

235676

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Z ANGLJI WSPÓŁCZESNEJ

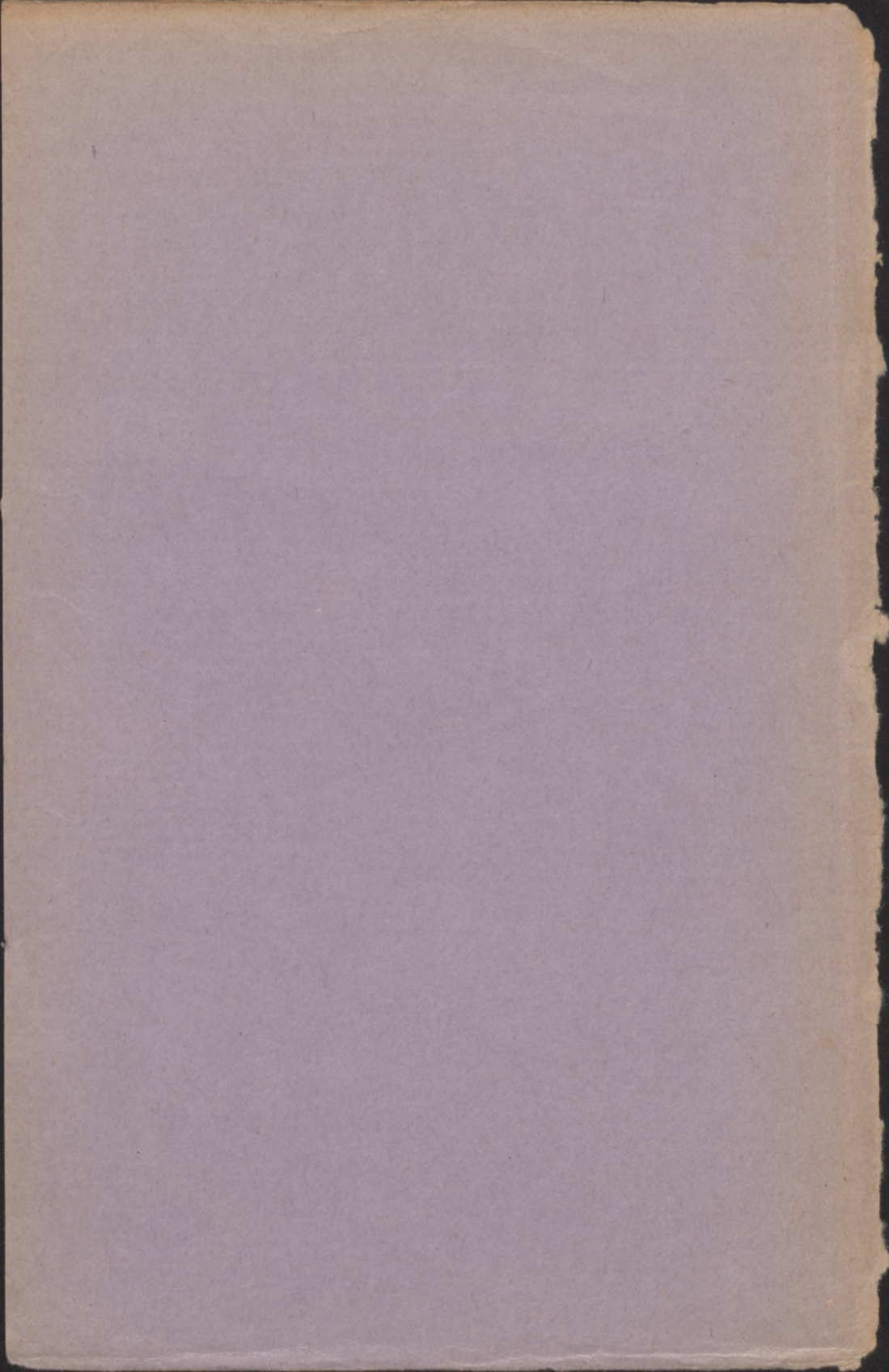
PIĘĆ SZKICÓW

(CHARAKTER ANGLIKÓW. — „DYNAŚCI“ TOMASZA HARDY. — GRUPY SPOŁECZNE W DZISIEJSZEJ BELETRYSTYCE ANGIELSKIEJ. — DWIE OSTATNIE SZTUKI SHAW'A. — KWESTJA ŻYDOWSKA W ANGLJI.)

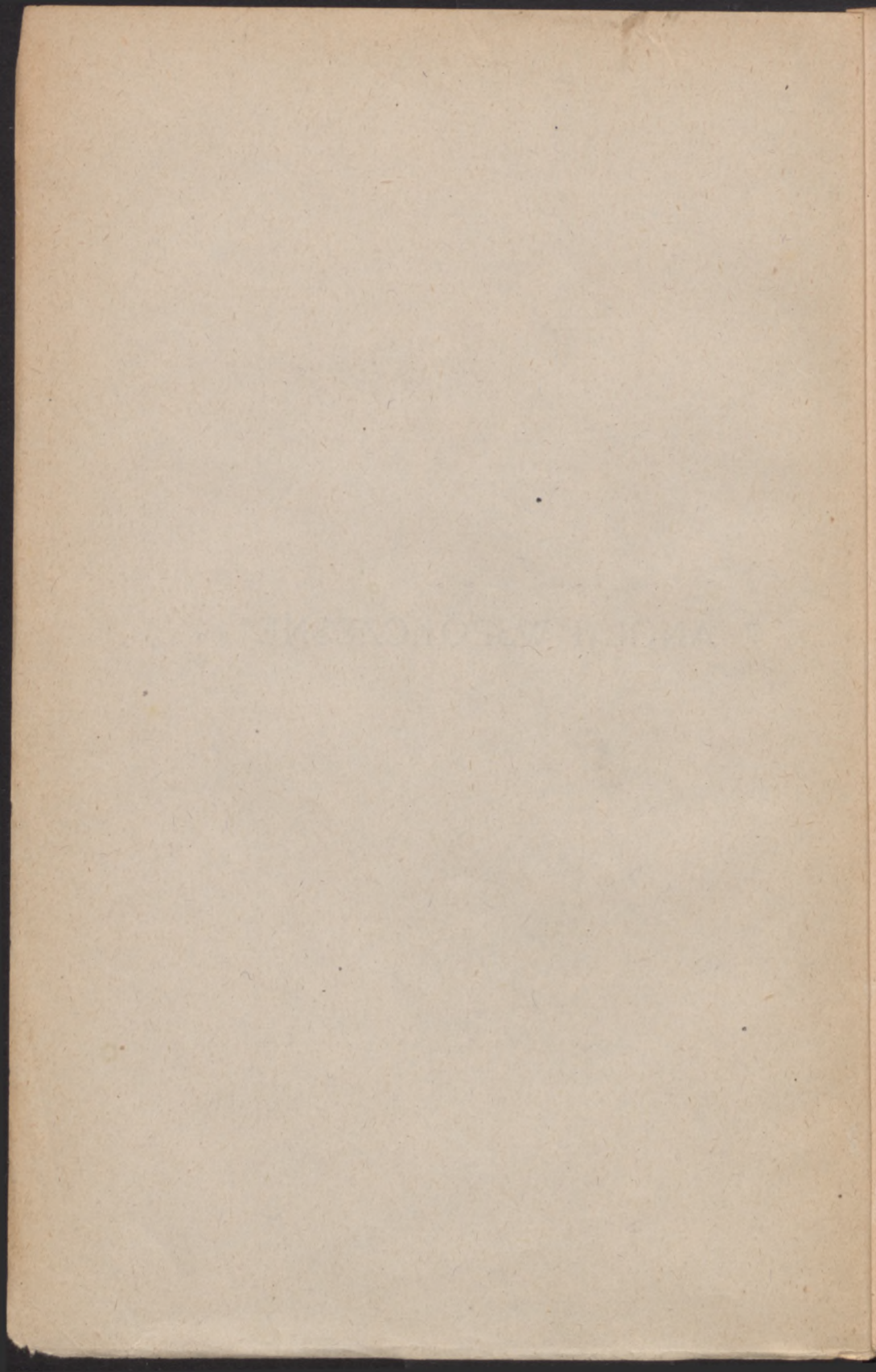


LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

1927



Z ANGLJI WSPÓŁCZESNEJ



WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Z ANGLJI WSPÓŁCZESNEJ

PIĘĆ SZKICÓW

(CHARAKTER ANGLIKÓW. — „DYNAŚCI“ TOMASZA
HARDY. — GRUPY SPOŁECZNE W DZISIEJSZEJ BELE-
TRYSTYCE ANGIELSKIEJ. — DWIE OSTATNIE SZTUKI
SHAW'A. — KWESTJA ŻYDOWSKA W ANGLJI.)



LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1927

235676



Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
pod zarządem Adama Wierzbickiego

PRZEDMOWA.

Oddając niniejszą książkę do druku, sędzę, że należy zrobić parę wstępnych uwag.

Jakkolwiek poszczególne szkice poświęcone są różnym przedmiotom, pomyślane były jako całość; jeden wyjaśnia i uzupełnia drugi. Stąd nie wahałem się o pewnych rzeczach, związanych z tematem równocześnie dwóch lub więcej z nich, mówić niekoniecznie tam, gdzieby je należało umieścić wedle ściśle logicznej dyspozycji, ale poprostu tam, gdzie było mi najdogodniej.

Znajomość życia angielskiego i literatury angielskiej u nas niewątpliwie rośnie, ale drogość książki, zwłaszcza takiej, nad którą ciężą jeszcze prawa autorskie, sprawia, że ukazujące się w W. Brytanji utwory docierają do nas dość powoli, a w każdym razie pojawiają się w bardzo skromnej ilości egzemplarzy. Z tego powodu uznałem za stosowne przy ich omawianiu dawać streszczenia i obficie wplatać charakterystyczne cytaty — z reguły tylko w polskiem tłumaczeniu. Wyjątek pod tym względem stanowi szkic o „Dynastach“, ogłoszonych w t. zw. prywatnem wydaniu, a więc szczególnie trudno dostępnych. Przytaczane z nich wyjątki znajdzie czytelnik i w angielskiem brzmieniu.

Pozostaje jeszcze obowiązek stwierdzenia zaciągniętych długów. W zakres poruszanych tematów wchodzą pisma i poglądy dwóch autorów naszej doby, Chestertona i Belloc'a. Starłem się zachować w stosunku do nich krytyczną obiektywność, lecz zdaje sobie sprawę, że obaj silnie oddziałali zarówno na moje zapatrywania na Anglję dzisiejszą, jak poniekąd nawet na całość moich pojęć społecznych i etycznych. Zwłaszcza dzieła Chestertona, poznane wcześniej, zapadły mi głęboko w duszę. Doznawałem czasem wra-

VI

żenia, że natrafiam w nich na własne myśli, i zdarza się obecnie, że trudno mi stwierdzić, do czego samoistnie doszedłem, a czego z nich się nauczyłem.

W toku książki użytkuję często szczegóły i uwagi, pochodzące z rozmów o Anglii z szeregiem przyjaciół i znajomych, polskich i angielskich, lwowskich i londyńskich. Nie będę wyliczał ich nazwisk, gdyż równałoby się to obarczeniu ich współodpowiedzialnością za całość lub spowodowałoby konieczność imiennego powoływania się na nich w poszczególnych wypadkach, przyczem mogłyby zająć niedokładności. Aby uniknąć jednego i drugiego, trzymam się zasady „Nomina sunt odiosa”.

Na zakończenie trzeba jeszcze coś powiedzieć o długu względem samego siebie. Ze względu na charakter książki, wydało mi się niejednokrotnie wskazanem powtórzyć w niej tę i ową myśl, już raz wypowiedzianą. Szczególnie często korzystałem z korespondencji z Anglii, zamieszczanych w czasopismach — w r. 1923 w „Ziemi Przemyskiej”, w r. 1925 w „Słowie Polskim”. Szkic „Dwie ostatnie sztuki Shaw'a” był drukowany w „Przeglądzie Warszawskim”, a pojawia się tu z niewielkimi zmianami.

Władysław Tarnawski.

CHARAKTER ANGLIKÓW.

I.

Swego czasu świecie wierzono u nas, że każdy Anglik jest lordem, a pojęcie lorda obejmowało niebieską krew, bajeczne bogactwo i zazwyczaj odpychającą wyniosłość. Później, jak meteor na oddalonej części nieba, zabłysnął Byron. Dodano więc do treści pojęcia rozwichrzony temperament, boleśnie ironiczny uśmiech i ekscentryczność. Zresztą oddawna istniało na europejskim kontynencie przekonanie, że każdy Anglik jest szalony. Uwiecznił je już był Szekspir w *Hamlecie*, a w naszych czasach uczynił je niemiecki anglista Schröer punktem wyjścia swej książki o głównych rysach i postaciach literatury angielskiej¹.

Po epoce romantycznej pojawiły się u nas nowe konwencje i nowe złudzenia. Od pojęcia jednak Anglika jako wcielenia handlarskiej praktyczności i jako bezwzględnego, lecz mądrego cywilizatora egzotycznych krajów, znacznie już bliżej było do rzeczywistości.

Przyszła wojna światowa ze straszliwą *spersis* żołnierza, a nawet i nie-żołnierza Polaka po szerokim świecie. Dotychczas stykały się były z Anglikami duchy wybrane lub w swem pojęciu wybrane, teraz zetknął się z nimi przeciętny zjadacz

¹ *Grundzüge und Haupttypen der englischen Literatur, 2 t. (Sammlung Göschen).*

chleba, często zresztą w tych czasach tułaczkiej niedoli zasługujący na taką nazwę jedynie potencjalnie, bo bardzo chętnie byłby jadł chleb — ale chleba nie było.

Sytuacja tego rodzaju kryje w sobie poważną przeszkodę do zawarcia bliższej znajomości. Anglik był wybornie ubrany, zaopatrzony w obfite zapasy żywności i w miarę możności tworzył sobie nawet komfort. Czy do Polaka, przeważnie głodnego i w łachmany odzianego, zbliżał się jako żołnierz, czy jako członek misji, czy nawet jako jeńiec, — istniała między nimi przepaść. Syty nie rozumie głodnego, ale też i głodny nie rozumie sytego.

Stosunek ten utrzymał się, choć nieco zmodyfikowany, i po wojnie. Nabrał nawet pewnego znaczenia alegorycznego. Spotkanie, które przedtem tysiąckrotnie zachodziło między mniej lub więcej podrzędnymi jednostkami, zaczęło teraz powtarzać się przy różnych zielonych stołach. Lecz teraz nie byli to już Tommy Atkins i Bartek Słowik. Byli to dyplomaci, z których każdy reprezentował swą ojczyznę. I jakoś tak składało się zawsze, że zmieniały się akcesoria i szczegóły, ale pozostawała istota rzeczy — głód i sytość. Syty nie próbował postawić się w położeniu głodnego, owszem, bywało, że szkodził mu bez żadnej dla siebie korzyści, nie raz — zdawałoby się mogło — poprostu dla złośliwej przyjemności, poprostu dla pokazania, iż potrafi. Głodny odchodził z poczuciem krzywdy, ale bez zrozumienia przyczyn i bez zrozumienia sytego...

Zadaniem niniejszego szkicu jest powiedzieć głodnemu parę rzeczy o sytym. Przy tej sposobności może wyjaśni się potrosze i postępowanie sytego. Ale zachodzi jedno pytanie: Czy warto?

Otóż sądzę, że warto. Głodnemu tylko na dobre wyjść może, jeżeli dowie się, co robił syty, aby dojść do codziennego obfitego posiłku. Lecz to jeszcze nie wszystko. Nie każdy pokarm wychodzi na zdrowie, a z pewnością nie wychodzi na zdrowie nadużycie pokarmu. Głodny może kiedyś

sam stać się sytym, zresztą także w czasie głodu nieraz dorwie się stawy i raczy się właśnie potrawami, które tamtemu szkodzą. Czy dobrze, aby, nie mając jego mięśni, miał jednak jego ociężałość, artretyzm i katar kiszek? Tego wszystkiego łatwiej ustrzeże się, gdy przyrzy się dobrze sytemu, jego trybowi życia, nawyczkom i postępowaniu.

Z takich to powodów uważam dla nas gruntowną znajomość Anglji i Anglików za potrzebną, nawet za konieczną. Ze znajomości tej płynie całe mnóstwo doniosłych rad i wskazań. Nie będę ich tu wyliczał. Za najważniejsze może uznałbym, gdyby szło o to, myśl, zawartą w naszym starem przysłowiu: „Nie święci garnki lepią“, powtórzonem raz bez dodatków, a raz zę skromnym dodatkiem, „ale garncarze“.

Nie wyczerpałby mego olbrzymiego tematu człowiek, który przystąpiłby do niego pod koniec życia spędzonego na gromadzeniu różnorodnych materjałów. Tem bardziej nie wyczerpię go ja, który zbliżałem się do Anglików głównie od strony literatury, będącej tylko jedną częścią potężnego kompleksu zjawisk zbiorowych. Lecz literatura, zwłaszcza zdrowa — a taką była angielska i taką jest jeszcze, przynajmniej częściowo — odgrywa podwójną rolę: jest zwierciadłem życia lub wzorem dla życia — w tym drugim wypadku również samo życie stanowi dla niej punkt wyjścia. Zresztą badania literackie zmuszają do zgłębienia całego szeregu spraw, pozornie pozbawionych z niemi związku.

W każdym razie nie kuszę się o danie zaokrąglonej całości, lecz tylko dzielę się z ogółem polskim — ach, czy z ogółem? — garścią spostrzeżeń.

Dla uniknięcia nieporozumień wstępna uwaga. Nie wiem, czy jeszcze w Polsce poza zapadłą prowincją bawią się w „cenzurowanego“. Może jednak ten i ów tę grę pamięta. Jeden z jej uczestników „zbiera“ i powtarza osobie „siedzącej na cenzurowanym“ „złe i dobre rzeczy“. Spełnia więc w zasadzie tylko rolę mechanicznego sprawozdawcy, od którego zależy gdzie niegdzie forma, zależy porządek i który w pew-

nej chwili pomiędzy zdania innych nieznacznie wtrąca własne. Otóż chciałbym mniej więcej tak samo przedstawić złe i dobre, wiążąc tylko jedno z drugim uwagami i przypominając, że złe i dobre najczęściej z jednego pnia wyrasta.

Trudno dziś Polakowi być wielbicielem Anglii. Powiem więcej, trudno dziś nim być bez poważnych zastrzeżeń myślącemu Anglikowi. Lecz jestem szczerym wielbicielem tego, co w Anglii jest dobre i mądre. Niewątpliwie więcej tego było wczoraj i przedwczoraj, niż jest dzisiaj. Przeto, jeżeli już mowa o uwielbieniu, uważajcie mnie za wielbiela Anglii wczorajszej i przedwczorajszej.

Atoli co dziś dojrzewa w cierpki, a czasem trujący owoc, musiało wczoraj kwitnąć, kielkować zaś i rósć przedwczoraj. Więc i na to nie mogę być ślepym.

Powiedział ktoś, gdy wobec niego wygłaszano ujemne uwagi o Anglii: „Ani słowa więcej! Jedno państwo i jeden naród na świecie musi pozostać dla nas ideałem“. Stanowisko tego „wielbiela“ było oryginalne, ale błędne. Ideałów na kuli ziemskiej niema, a najwyższem zadaniem ludzkości jest tylko do nich dążyć. W dążeniu pomocny być może wyidealizowany, fantastyczny obraz, jaki np. stworzył Ksenofont w *Cyropedji*, przenosząc urządzenia i obyczaje ukochanej Sparty na grunt swej nierzeczywistej Persji. Ale wątpię, czy dzieło jego podobało się Grekowi, który spotykał się z prawdziwymi Persami. Mogło natomiast podobać się Grekowi, który się z nimi nie spotykał. Co jednak następowało, gdy ten jakimś sposobem stanął oko w oko z perską rzeczywistością, gdy przekonał się, że go Ksenofont, trywjalnie wyrażając się, nabrał — zresztą w najlepszym celu? Niech kto co chce mówi, ale prawda — choćby taka, jaką człowiek zdolny jest poznać — stanowi dobro zbyt cenne, aby składać ją na jakimkolwiek ołtarzu, nawet na ołtarzu najszczytniejszych ideałów.

Każdy ze szkiców, zawartych w tej książce, dorzuci coś do ogólnego tematu. Zaczynam od próby zestawienia zasad-

nicznych rysów charakteru angielskiego, rozważanych na tle historycznego rozwoju aż do chwili obecnej. Będę posługiwał się przykładami z różnych dziedzin, nie gardząc nawet anegdotami i własnymi doświadczeniami z codziennego życia. Jeżeli jednak przeważać będą przykłady literackie, to zdaje mi się, że już powyżej dostatecznie wyjaśniłem, dlaczego uważam je za odpowiednie.

II.

Anglik nie jest ani warjatem, ani człowiekiem nienormalnym. Jest tylko od reszty narodów europejskich zgruntu odmienny. Na kontynencie istnieją zresztą nawet znacznie większe przeciwieństwa — np. między mieszkańcem któregoś z zachodnich krajów a Rosjaninem, tylko długo nie zdawano z nich sobie naogół sprawy, ponieważ miano zwykle do czynienia z jednostkami, albo przesiąkniętymi, albo pociągniętymi zwierzchu zachodnią kulturą, nieraz może mniej lub więcej wynarodowionemi.

Zupełnie odwrotnie ma się rzecz z Anglikiem. Zachowuje on na obczyźnie swój obyczaj i swoją kulturę. Stąd tak łatwo go poznać, stąd tak silnie odbija od obcego środowiska. Polak zagranicą przeważnie cieszy się, gdy go biorą za tubylca. Anglik byłby w najwyższym stopniu niezadowolony, robi też, co może, aby tego uniknąć.

Oto obrazek z francuskiej miejscowości nadmorskiej. Pensjonat zamieszkują w połowie Francuzi, w połowie Anglicy. Ci drudzy odgradzają się od pierwszych chińskim murem, żyją wyłącznie między sobą. Do obiadu Francuzi zrzucają marynarki, Anglicy ubierają się we fraki. W niedzielę Francuzi grają w tenisa i w karty, Anglicy śpiewają psalmy.

Rzecz działa się po wojnie światowej, a więc w czasie, kiedy ubieranie się czarno do obiadu przeważnie w Anglii już nie obowiązuje i śpiewanie psalmów w niedzielę wyszło prawie zupełnie z mody, a dla większej części owego towarzystwa z pewnością nie miało głębszego znaczenia, nie było

potrzebą duszy. Szło o stwierdzenie odrębności — choćby przy pomocy obyczajów, które ci sami ludzie w ojczyźnie uważali za przestarzałe.

Anglik będzie na Syberji nosił ciężkie futro, w kraju tropikalnym zbuduje sobie przewiewny domek, ale futro każe sobie przykroić z angielska i dom ozdobić w angielskim stylu. Wszędzie przyniesie z sobą własne obyczaje i własne rozrywki. Podczas wojny z Napoleonem w Hiszpanji oficerowie angielscy poza frontem polowali *par force* na lisy, podczas wojny światowej żołnierze angielscy urządzali poza frontem mecze futbolowe między drużynami poszczególnych pułków. I nie brak było żywiołu pułkowej dumy, przypominającej żywo regaty między Oxfordem a Cambridge lub zawody krykietowe między Eton a Harrow. Nie brak też było — zakładów.

Gdy Dantonowi na krótko przed uwięzieniem radzono, aby schronił się zagranicę, odpowiedział: „Czyż można ojczyznę zabrać z sobą na podeszwach?“ Otóż Anglik umie tę sztukę. Chesterton, omawiając pobyt Dickensa we Włoszech, mówi, że wielki powieściopisarz, gdziekolwiek podróżował, podróżował w gruncie rzeczy po Anglii. Ponieważ było to w zimie, więc tęsknił do mgły londyńskiej i kreślił w sławnych powiastkach wigilijnych obrazy ojczystej zimy i ojczystych zwyczajów świątecznych. Browning, otoczony cudami włoskiej przyrody, pisał najpopularniejszy ze swych liryków, zaczynający się od słów: „Och, gdybyż teraz być w Anglii, gdy tam jest kwiecień!“¹.

Upodobnić się do cudzoziemców nie umie i nie chce nawet ten Anglik, który wyjeżdża z kraju umyślnie poto, aby wydobyć się w inną atmosferę lub aby uchronić się przed następstwami wykroczenia przeciw prawu — ten, który jedzie do Paryża, aby swobodnie czynić to, czego w Anglii bez utraty dobrej opinii nie wolno czynić, i ten, którego zwięzłe

¹ *Home-thoughts, from abroad.*

wyrażenie angielskie określa jako *levanted*, t. j. który schronił się zagranicę, popełniwszy nadużycie czy sprzeniewierzenie.

Co więcej, Anglicy umieją narzucać obcym środowiskom swój język i wygląd. W chwili, gdy to piszę, pada mój wzrok przypadkowo na list z Francji, z którego cytuję parę słów o Paryżu: „Niektóre ulice (i to największe, jak *Avenue de l'Opéra* lub *Rue de Rivoli*) już straciły charakter francuski, sklepy wabią przechodnia tylko po angielsku...”

Prócz obyczajów Anglik bierze na obczyznę coś więcej, bierze swój sposób myślenia, swoje zasady i przesady, które będzie stosował do nowego środowiska, nie zrażając się bynajmniej obawą, że powiedzą o nim: „*Du sublime au ridicule il n'y-a qu'un pas — et c'est le Pas de Calais*”. Nawiasem mówiąc, dowcip ten z pewnością wymyślił Anglik — niekoniecznie dlatego, że mieści tak miłą jego duszy igraszkę wyrazów, ale przede wszystkim dlatego, że Francuz nie mówiłby o wzniosłości na północ od kanału La Manche. Zrobić to mógł tylko Anglik, którego *insularity* („wyspiarstwo”) wynika z silnej wiary w własną ojczyznę, nie dopuszczającej najmniejszego powątpiewania o tem, aby coś w niej mogło być gorsze od odpowiedniej rzeczy zagranicą.

Wszakże Anglik jest zdolny bronić nawet kuchni angielskiej! Choć z rozkoszą zje obiad w francuskiej lub włoskiej restauracji w Soho, będzie zawsze ze wzgardliwym skrzywieniem mówił o „bestjałskim gotowaniu francuskim” — a już jeżeli co w Wielkiej Brytanji zasługuje na tak jędrne *epitheton ornans*, to niewątpliwie kuchnia. Panują w tej dziedzinie szowinistyczne przesady. Zbrodnią byłoby używać masła — przodkowie używali przecież przechowywanego bodaj że latami zwierzęcego tłuszczu. Cielęcina i wieprzowina — z wyjątkiem tłustej wędzonki, nieodzownej przy pierwszym śniadaniu — to mięso, które można jeść tylko czasem, dla odmiany. Na codzień dajcie nam wołowinę i baraninę — jeżeli wołowinę, to niech ocieka krwią, niech w jedzącym bu-

dzi wątpliwość, czy zwierzę naprawdę dobrze zabito! I dajcie mięso albo bez żadnych przypraw, albo z musztardą, od której oko bieleje, czy z indyjską papryką, od której pot kroplisty występuje na czoło. Lubimy kompromisy, ale nie w tej dziedzinie. A kompot niech będzie gorący, dolejcie też do niego kleistej masy z jaj i mleka (*custard*)!

Oto charakterystyczny epizod, który trzeba poprzedzić wyjaśnieniem, że Anglik uważa kwaśne mleko za dobre jedynie dla świń — i dla Irlandczyków. Siedzę w restauracji na *Oxford Street* przy rosbifie i przy winie. Ponieważ chodzę tu od kilku dni i zwykle ten sam stół wybieram, kelnerka uważa za swój obowiązek zapytać, czym zadowolony z jedzenia. Odpowiadam wymijająco: „Gdybym w tej chwili był w domu, jadłbym dwie dziwne rzeczy. Jednej pani nie zna, drugą dałaby pani świniom“. Kelnerka nie interesuje się pierwszą potrawą — miałem na myśli kaszę hreczaną, — pyta natomiast o drugą. — „Kwaśne mleko“. — Na twarzy Angielki rozlewa się wyraz niesłychanego obrzydzenia. Oddala się szybko, aby nie powiedzieć czego niegrzecznego. I choć stara się pokryć ów wyraz zawodowym uśmiechem, nie znika on do końca mego obiadu z jej twarzy. Mówię więc: „Czy przypadkiem nie popsulem pani apetytu?“ — „Obawiam się, że tak“. Na drugi dzień, trochę z chęci poprawienia sobie opinii, wracam do tej sprawy: „A jadła pani kiedy kwaśne mleko?“ — „Nie“. — „A wie pani, co to jest?“ — „Nie wiem“. Poprostu umówiono się tu, że to rzecz obrzydliwa, i byłoby niepatrjotycznie być innego zdania.

Takie same uprzedzenia i konwencje rządzą całym życiem angielskim. Poprzedni przykład był z dość niskiej dziedziny, przeskoczmy więc kilka pięter i mówmy dla odmiany o polityce. Z wyjątkiem szowinistycznych optymistów w rodzaju Kiplinga wszyscy pisarze współcześni, i to bez względu na obóz, spotykają się w druzgocącej krytyce parlamentarizmu, i zgadzają się, że Wielką Brytanią nie rządzi ciało ustawodawcze, bo je usunęła na drugi plan silna władza wy-

konawcza. Mimo to przeciętny Anglik wierzy nadal we wszechwładzę Izby Gmin i w doskonałość partyjnego systemu rządów.

Agitacja komunistyczna naogół mocno przeraża obywatela brytyjskiego, który może nawet przecenia niebezpieczeństwo. Spróbujcie jednak temu samemu obywatelowi powiedzieć, że należałoby przeciw bolszewikom zastosować prawa wyjątkowe, odebrać im możliwość zgromadzania się i publicznego przemawiania. Oburzy się. Jakto? Czynić wyłom w tem, co od wieków stanowi źródło dumy każdego Anglika? Nigdy. Gdy w r. 1925 odbywał się w Glasgow kongres komunistyczny, odmówiono tylko wiz cudzoziemcom, którzy się nań wybierali, ale poza tem nie zrobiono nic więcej, a minister spraw wewnętrznych Hicks, interpelowany w tej sprawie równocześnie z prawej i z lewej strony parlamentu, zaznaczył wyraźnie swój punkt widzenia. Jego wywody dałyby streścić się poprostu tak: „Każdy Anglik ma prawo publicznie gadać głupstwa i rzeczy szkodliwe. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy na to pozwalać przybyszom“.

Na dnie takiego oświadczenia jest nie co innego, jak duma z angielskiej swobody obywatelskiej i jej poszanowanie. Może jedna i druga słabsza głowa da się zamącić, ale lepsze to, niż pogwałcenie zasady, którego ogół nie przebaczyłby rządowi.

W obecnych ciężkich czasach obcy towar jest zwykle tańszy od angielskiego. Mimo to mało znajduje nabywców. Niewątpliwie gra tu pewną rolę patriotyzm, ale nie on jest czynnikiem rozstrzygającym. Anglik za swe pieniądze chce dostać rzecz, odpowiadającą ściśle wysokości ceny i w ogłoszeniach często powtarzają się słowa „*We'll give you value*“ (Damy wam pełną wartość waszych pieniędzy). Otóż bez wiary, że angielski towar tę wartość posiada, niejeden kupiłby wyrób obcy. Ale publiczność wierzy, iż fabrykat angielski musi jakością wyrównywać wysokość ceny. Często ma rację, czasem jej nie ma — ale ufa brytyjskiej solidności i wedle tego postępuje. Wyrazy *British goods are best*, dla

reklamy wybijane przez pocztę na listach, nie są dla niego czczym frazesem, lecz paragrafem z katechizmu.

III.

Duma narodowa wytwarza poprostu podział ludzkości na Anglików czy co najwyżej Brytyjczyków — i barbarzyńców. Ma to pewne skutki śmieszne i przykre. Większość krajów europejskich cieszy się z ożywionego ruchu przyjezdnych, z którego nieraz ciągnie poważne zyski. Anglik na obcego zawsze patrzy niechętnie. „Czegoż ci tu chcą?“ myśli sobie, usłyszawszy dźwięk obcej mowy na swej ziemi i mruknie coś o *bloody foreigners* („krwawych“¹ cudzoziemcach — rozposzczehnione wyrażenie żargonowe), a że lubuje się w igraszkach słownych, *bloody* zaś nie brzmi salonowo, więc czasem co najwyżej powie *bl...ooming* (kwitnący) *foreigners*.

Nie mogę wstrzymać się od opowiedzenia na ten temat anegdoty:

Angielka przyjeżdża do Paryża i na dworcu napróżno usiłuje dogadać się z tragarzem. Spostrzega to jakiś Francuz, umiejący po angielsku, i przychodzi z pomocą. Po załatwieniu sprawy Angielka dziękuje, Francuz odpowiada grzecznie: „Nic dziwnego, że pani nie mogła sobie dać rady, jest pani przecież cudzoziemką“. — „Co?“ woła oburzona dama, „to pan jest cudzoziemcem, ja jestem Brytyjka“.

Są to jednak tylko słabostki i śmieszności, obok nich zaś ma ów podział świata na Anglików i cudzoziemców doniosłe dodatnie skutki. Dla odmiany przytoczę teraz prawdziwą historję:

Pewien Anglik spędził po wojnie światowej parę lat w Polsce. Robił wrażenie człowieka nieco zarozumiałego, ale uczciwego. Usłyszawszy raz, że ma okazję do Anglii, popro-

¹ Zdaje się, że już *bloody* jest eufemizmem i powstało z błźnierczego, a nieprzypoitego zaklęcia.

siłem, aby sprowadził dla mnie pewne książki, za którymi trzeba było pochodzić nieco po Londynie, i dałem mu na ten cel dość dużą sumę w markach polskich.

Przyszły wakacje, wyjechałem, a po powrocie przywitała mnie niemiła wiadomość, sensacja dnia w prowincjonalnem mieście, gdzie to się działo. Anglik zniknął, zarwawszy cały szereg ludzi. Położyłem naturalnie krzyżyk na swych pieniądzach.

W rok potem spotyka mnie niespodzianka. Wracam znów z wakacyj, spędzonych tym razem w Londynie, i zastaję w domu list od adwokata, oznajmiający, że Anglik przysłał mu dokładny wykaz swoich długów i pieniądze na ich pokrycie. Tylko proszę nie myśleć, że skorzystał ze spadku marki, bo wszystko pięknie przewaloryzował. Spadło mi, jak z nieba, 1000 franków francuskich. Adwokat przysłał mi również, jak wszystkim interesowanym, odpis listu, w którym Anglik przyznawał się do winy i prosił o przebaczenie. Po nagłym wyjeździe udał się do jednego z państw bałkańskich, dzięki poparciu rodaków znalazł dobrze płatne zajęcie, oszczędzał i pokrył swe zobowiązania.

Czy możecie sobie wyobrazić bohaterem tej historii Polaka? Ja, przyznam się, nie mogę. Gdy Polak raz popełni czyn njeuczciwy, traci szacunek dla samego siebie i stacza się coraz niżej. Natomiast ów Anglik miał na dnie duszy ideał dżentelmena. Powiedział sobie: „Tak, nadużyłem ludzkiego zaufania. Naraziłem swój naród na wstyd w oczach cudzoziemców. Ale mimo to w gruncie rzeczy jestem angielskim dżentelmenem. Potrafię podnieść się z upadku i naprawić szkodę“.

W żadnem sądownictwie nie mają wyroki warunkowe tak rozległego i tak skutecznego zastosowania, jak w angielskiem. Oskarżony, który pierwszy raz zbłądził, zostaje skazany, ale natychmiast wypuszczają go na wolność. O ile przez pewien przeciąg czasu nie popełni nowego przestępstwa, kara zostaje umorzona. Nazywa się to „wystawianiem na próbę“

i w rubryce sądowej gazet często można spotkać się z formułką „*he was put on probation*“. Statystyka dowodzi, że większość takich przestępców już nigdy nie ma nic wspólnego z sądem. Stają się napowrót dżentelmenami.

Sama historia słowa *gentleman* jest niezwykle ciekawa. Francuski wyraz, przyniesiony przez Normanów, oznaczał pierwotnie tylko szlachcica. Ale wnet dołączyło się pojęcie szlachectwa duszy. Już elżbietański dramaturg Dekker mówi, że Chrystus był pierwszym dżentelmenem na ziemi. Równoległe jednak tworzyło się i trzecie znaczenie. W miarę, jak mieszczaństwo dochodziło do wyższego stanowiska społecznego i jak w średnich warstwach zacierały się różnice stanowe, coraz częściej nazywano dżentelmenem poprostu człowieka przyzwoicie ubranego i umiejącego się zachować. Był to triumf zasady: Jak mnie widzisz, tak mnie pisz.

Naturalnie trzy główne znaczenia wyrazu mieszano nieraz. W r. 1711 pisze Steele w *Spectatorze*: „Jeżeli dżentelmen mówi rzeczy nieprzyzwoite, to niewiadomo, poco ubrał się czysto... Być dżentelmenem to być szlachetnym i dzielnym człowiekiem“.

Dziś demokratyzacja społeczeństwa sprawiła, że pierwszego znaczenia używa się jedynie wtedy, gdy mowa o dawnych czasach. Drugie zyskało prawo obywatelstwa i zagranicą. Ale najpowszechniejsze w Anglii jest trzecie. Ostatecznie doszło do tego, że dżentelmenem jest każdy, i zanadto szafuje się tem określeniem. Może w tym procesie semajologicznym mieści się pewna symbolika, niezbyt pochlebna dla nowoczesnej kultury. Niema co żałować pierwszego znaczenia, ale oby tylko trzecie zupełnie nie zagłuszyło drugiego!

Bądź co bądź, ideał żyje. Przypomina mi się rozmowa ze starym emerytowanym nauczycielem jednej ze sławnych średnich szkół angielskich, który raz przy obiedzie w klubie rozgadał się na ten temat, powtarzając zapewne myśli, wpajane przez długie lata wychowankom. Zakończył z emfazą: „Król jest dżentelmenem i dżentelmen (t. j. każdy Anglik)

jest dżentelmenem. Niema różnicy między królem a dżentelmenem“. Przyszło mi na myśl nasze „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“ i „*Primus inter pares*“. Lecz oba te wyrażenia mieszczą w sobie tylko jałowy element pychy — w „dżentelmenie“ jest dodatnia myśl twórcza.

W. Dibelius, który w obszernem dziele *England* (Lipsk, Berlin, 1923) między innymi zajmuje się także charakterem narodowym Anglików, wyprowadza ideał dżentelmena od średniowiecznego rycerza, pełnego odwagi i wspaniałomyślności, z obowiązku broniącego słabych. Treść pojęcia wzbogaciła się w czasach renesansu, a w dalszych epokach uległa różnym modyfikacjom, ale w zasadzie pozostała ta sama. Poglądy niemieckiego profesora, w znacznej części trafne, cierpią jednak na to, że nie uznaje on wieloznaczności wyrazu i wskutek tego zmuszony jest stawiać jedno obok drugich cechy istotne i nieistotne, ujemne i dodatnie.

Ideał dżentelmena stał się dla Anglików podstawą drugiego podziału ludzkości. Niestety w podziale tym często, zwłaszcza za naszych czasów, zachodzą nieporozumienia i odgrywają zbyt wielką rolę rzeczy podrzędne, a jego stosowanie do konkretnych wypadków, szczególnie gdy je rozpatruje człowiek, przywiązujący zbyt wielką wagę do form i mający za mało dobroci serca, daje wyniki ujemne.

Jest nowela Kiplinga następującej treści: Do zapadłej miejscowości w Indjach przybywa ktoś z listem polecającym od przyjaciela jednego z zamieszkałych tam stale Anglików. Wiadomo, że w społeczeństwie brytyjskiem list podobny ma siłę magiczną. Tego samego dnia odbywa się bal i gospodarz prosi gościa, aby mu towarzyszył. Ten upija się i popelnia cały szereg niewłaściwości. Nikomu nie przychodzi na myśl brać rzecz z komicznej strony. Panie, a szczególnie jedna, na której najbardziej zależało, są oburzone na owego miejscowego Anglika za wprowadzenie niemiłego gościa. Przybysza spotyka więc zemsta, równocześnie groteskowa i okrutna. Postarawszy się, aby dopełnić miary i stracił zupełnie przy-

tomność, opiekun przy pomocy znajomych maluje go majonezem i ozdabia jego twarz różnemi innemi sposobami, potem zawiązają go w jeden z dywanów, któremi sala była ubrana i które mają być odwiezione do składu, wsadzają między ich resztę na wóz i zostawiają własnemu losowi.

Opowiadającym w noweli jest sam „mściciel“. Nie wspomina nawet, aby przyszło mu choć raz na myśl, co może zdarzyć się nieprzytomnemu, nim go ktoś wyzwoli z rozpaczliwego położenia. Owszem, wyraża chęć mszczenia się na nim w dalszym ciągu i życzenie, aby ktoś dostawił mu go w tym celu „żywego lub umarłego“.

Prawda, że można całą historję brać z komicznej strony, ale przecież powinno to odnosić się i do przewinienia. Gdym czytał nowelę, uderzył mnie odrazu brak wszelkiej litości nad człowiekiem nieprzytomnym i nie mogącym ani wytłumaczyć się, ani przeprosić, ani obronić. Towarzyskie przekroczenie gościa było ciężkie. Lecz z tem wszystkim między winą a karą brak wszelkiej proporcji. Samego opowiadającego możnaby usprawiedliwić wrażeniem doznanych przykrości. Ale kara jest aktem zbiorowym. Nikt nie protestuje, nikt nie wyraża obawy, że ofiara może udusić się, że mogą ją zabić przy wyładowywaniu dywanów. Przykre też jest rozkoszowanie się komiczną srogością zemsty. Jeżeli jest w tem humor, to humor, znajdujący największą przyjemność w rozbiciu głowy lub podbiciu oka. Przychodzi na myśl, że całe towarzystwo było tak samo pijane, jak ów gość, tylko u niego nadużycie alkoholu objawiało się ordynarną wesołością, a potem zupełnem otumanieniem, u innych skłonnością do nieludzkich figlów.

I oto w parę lat po poznaniu noweli otrzymałem komentarz do niej. Wdałem się na okręcie w rozmowę literacką z młodą Angielką. Była silnie przekonana, że Kipling jest największym pisarzem, jakiego kiedykolwiek ludzkość wydała. Usiłowałem jej to wyperswadować. Między innemi przytoczyłem także treść owej noweli: „I cóż, nie sądzi pani, że pija-

nemu stała się krzywda?“ — „Nie, dobrze mu się stało. To był *a bounder*“. Wyraz jest nie do przetłumaczenia, podaję więc jego znaczenie za angielsko-angielskim słownikiem¹: „Niezdolny, źle wychowany człowiek, przykry dla stykających się z nim“. Wobec takiego wolno wszystko, a w każdym razie znacznie więcej, niż wobec dżentelmena...

Niezmiernie ważną, kto wie, czy nie najważniejszą zaletą, jakiej wymagają od dżentelmena, jest prawdomówność.

Znów powołuję się na proces semazjologiczny. W średniowiecznej Anglii Tudorów i Stuartów najcięższym zarzutem był zarzut kłamstwa. Równał się wyzwaniu i *to give the lie* znaczyło poprostu „wzywać na pojedynek“. Dziś to piękne wyrażenie złożono do lamusa językowego — wraz z pojedyńkiem i innym średniowiecznym rupieciem. W życiu prywatnym Anglii kłamstwo nadal jest rzeczą stosunkowo rzadką, natomiast stało się potężnym czynnikiem w życiu publicznym i nikt jakoś politykom nie „zadaje kłamu“, nikt ich nie „wzywa“. Spokojny, umiarkowany ton polemik jest z jednej strony rysem dodatnim, z drugiej, chyba ważniejszej, ujemnym i rzadko ktoś ośmieli się kłamstwo nazwać choćby nieścistością. Gdybyż wstał z grobu elżbietański żeglarz, rycerz i poeta, Sir Walter Raleigh, który w wierszu *The Lie*² zadał kłam i rzucił wyzwanie wszystkiemu, co uważał na świecie za nikczemne i pogardy godne!

Rzecz naturalna, iż czasem wstręt do kłamstwa — w prywatnym życiu — dochodzi do przesady, że nazbyt rozszerza się to pojęcie. Anglik, zatrudniony w jednej ze szkół krakowskich, ustawicznie skarżył się na nieprawdomówność swych uczniów, zaznaczając przytem nie bez słuszności, że zakłady wychowawcze jego ojczyzny są wolne od tej plagi. Doprowadziło to nawet do oziębienia się stosunku między nim a przyjacielem Polakiem.

¹ *The British Empire Universities Modern English Dictionary*, 1925.

² Na związek między tym wierszem a charakterem Anglików zwrócił już u nas uwagę prof. Dyboski w broszurze „Czego uczy nas Anglja?“

Zdarzyło się, że Anglik był zaproszony równocześnie w dwa miejsca i przyszedł do tego samego Polaka z prośbą o pomoc w napisaniu polskiego listu z usprawiedliwieniem. Przyjaciel postanowił dać mu lekką nauczkę, podyktował więc: „...Przybyć nie mogę, gdyż jestem zmuszony pojechać do Niepołomic“. Anglik oburzył się: „Przecież to nieprawda. Ja nie chcę kłamać“. — „Dobrze“, odparł Polak, „zmienimy to“ i podyktował: „...Przybyć nie mogę, gdyż w ołę pojechać do Niepołomic“. — „Ależ tak się nie pisze, to impertynencja“, zawołał Anglik, wyprowadzony zupełnie z równowagi. I po dłuższej dyskusji pogodził się z poprzednią formułką...

Nie trzeba dodawać, że trudność dała się obejść przez użycie ogólnikowego „wyjeżdżam“ i Polak umyślnie przemilczał tę możliwość, a Anglik, będąc zdenerwowanym, nie wpadł na nią. Lecz poza sztuczką stylistyczną kryła się subtelność semazjologiczna, wiodąca prosto w dziedzinę etyki. Kłamstwo kłamstwu nierówne, jego towarzyska odmiana jest zazwyczaj niewinna, a bardzo łatwo znaleźć jeszcze parę równie niewinnych odmian.

Nie należy wyobrażać sobie, że każdy Anglik jest naprawdę dżentelmenem. Każdy jednak prawie ma przed oczyma ten ideał, każdy prawie uważa się za dżentelmena. Pod tym względem jest zupełnym przeciwieństwem Moskala, który będzie pluł we własną duszę, tłumacząc sobie i drugim *per longum et latum*, jak wstrętą jest w gruncie rzeczy kanalia, aż słowo stanie się ciałem i jego postęпки dowiodą, że najwidoczniej miał słuszność.

Tymczasem dla Anglika wiara w siebie samego jest potężną dźwignią moralną. Nieraz przecież zdoła on poprostu wmówić w siebie szlachetność, której nie posiada, ta auto-sugestia zaś powstrzyma go od popełnienia niehonorowego czynu. Czasem zresztą popełniłby go chętnie, ale drży przed sądem społeczeństwa, zapatrzonego w wysoki ideał etyczny i wedle tego ideału wydającego surowe, nieodwołalne zwykle

wyroki. I wstrzyma się jeszcze zawczasu, jeszcze, jak mówią jego rodacy, o jedenastej godzinie.

IV.

Doszliśmy do przysłowiowej prawie cechy angielskiego charakteru, do hipokryzji. Nietylko cały świat zarzuca ją Brytyjczykom, ale i oni sami zdają sobie sprawę z jej istnienia. Mogą o tem zaświadczyć dwie nieśmiertelne postaci ich największego powieściopisarza — Pecksniff z „Marcina Chuzzlewita“ i Urjasz Heep z „Dawida Copperfielda“. Nadto cały szereg przykładów z literatury najnowszej i współczesnej znajdzie czytelnik tej książki w dalszych szkicach.

Obłuda jest może estetycznie najwstrętniejszą z wad ludzkich. Nie posiada nic a nic z niesamowitego, niezdrowego uroku, jakim odznacza się jej przeciwieństwo, cynizm. Ma w sobie nadto dużo tchórzostwa. A jednak z punktu widzenia praktycznej moralności społecznej nie może uchodzić za siłę czysto ujemną. Swego czasu La Rouchefaucauld nazwał ją hołdem występku dla cnoty, a określenie to bezwiednie powtórzył później Sienkiewicz. Niewątpliwie cyniczna szczerłość sztydzi z praw moralnych i w gruncie rzeczy odmawia im istnienia, a hipokryzja — przyznajmy pomimo wstrętu, jaki musi budzić — jest stwierdzeniem istnienia tych praw. Dany osobnik działa wbrew ich nakazom, ale otulając się płaszczem udawania, stwierdza, że je uznaje, i oszczędza społeczeństwu zgorzelenia.

Naturalnie są różne stopnie i formy obłudy. Gdy ten, co sam grzeszy pocichu, będąc zmuszonym wypowiedzieć swe zdanie o grzechu, nie zawaha się przed jego bezwzględnem potępieniem, będzie to z etycznego punktu widzenia występkiem, ze społecznego zasługą. Czyż grzech zyskuje moralnie na tem, jeżeli doda się do niego propagandę grzechu?

Inaczej ma się rzecz, gdy głosi się emfaticznie własny wysoki poziom moralny, gdy woła się w świątyni: „Dziękuję



Ci, Boże, żem nie jest jako ten celnik“, gdy stawia się siebie za przykład i postępuje z całą bezwzględnością względem tych, od których jest się może gorszym, a na pewne nie lepszym. Ta forma obłudy jest społecznie szczególnie groźna. Wyobraźmy sobie człowieka, który święcie wierzył w cnotę hipokryty i którego iluzje rozwiewają się niespodziewanie. Rzecz bardzo prawdopodobna, że widok rzeczywistości zburzy za jednym zamachem całą jego wiarę w prawa moralne i rzuci go w objęcia brudnych namiętności.

W życiu angielskiem łatwo natknąć się na najrozmaitsze rodzaje obłudy i jej wpływ jest z tego powodu bardzo różnorodny. Jestem daleki od palenia kadzideł przed ołtarzem Pecksniffa. Ale otwarcie mówię, że — pomijając zupełnie moralną kwalifikację samych czynów — społecznie szkodliwszy był ów lord z czasów restauracji Stuartów, co po pijanemu wyszedł nago na balkon i wypowiedział mowę do ściągniętych niezwykłym widowiskiem gapiów, niż jakiś jego potomek, patronujący Armji Zbawienia, a jeżdżący co pewien czas do Paryża, aby dowoli wytarzać się w perwersyjnej rozpuście.

Hipokryzja była we wczorajszej Anglii naogół dodatnią siłą społeczną, a to z tej prostej przyczyny, że cały poziom moralny był wyższy. I dziś jeszcze ma dużo dobrych skutków, ale przy pewnem obniżeniu się tego poziomu przybiera coraz częściej formy skrajne, coraz częściej też ulega zdemaskowaniu.

Odegrała np. ważną rolę w zdemoralizowaniu policji londyńskiej, które dokonało się głównie na tle zakazu prostytucji. Tolerowanie tej choroby społecznej jest niewątpliwie kompromisem z występkiem i zrządza wiele złego. Czyż jednak jeszcze więcej nie zrządza fakt, iż rzecz wzbroniona istnieje dzięki brudnym związkom między ściżganymi przez prawo istotami a organem kontrolnym, ciągnącym zyski z tego, co jego obowiązkiem jest bezwzględnie ścigać i tępić?

Galsworthy przez usta starego zgorzkniałego aktora bez zajęcia, z pochodzenia Irlandczyka, rzuca takie oskarżenie:

„Popatrz na kobiety. Tutejsze ulice są zgorzeniem całego świata. Ludzie nie chcą przyznać, że to istnieje — tak wysoko zadzierają nosy. Przymruża się naprawdę oczy w tym kraju klasy średniej“ (*The Island Pharisees*).

Jest tu nieco przesady, ale wedle mądrego angielskiego przysłowia nigdy niema dymu bez ognia. Rzecz jasna i niewątpliwa, że aktor Galsworthy'ego mówi prawdę.

Ciekawy może naocznie przekonać się co wieczór na *Piccadilly Circus*, może zresztą przestudjować cały szereg spraw sądowych z lat ostatnich, które wyleczą go z wszelkiego niedowierzania.

Hipokryzja angielska powstała na tle protestantyzmu, szczególnie na tle jego skrajnych prądów, pragnących stworzyć t. z. „piątą monarchję“, królestwo Boże na ziemi. Fundamenta takiego królestwa muszą naturalnie istnieć w duszach ludzkich, ale któż zajrzy do ich głębi? Nie mogąc dokazać tej sztuki, purytanie zaczęli przywiązywać olbrzymią wagę do zewnętrznych oznak bogobojności. Mówili stylem biblijnym, ubierali się skromnie, zazwyczaj czarno, przy każdej sposobności wznosili oczy w górę i szukali w niebie natchnienia, zwalczali jako sidła szatańskie przedstawienia teatralne i zabawy ludowe.

Śmieszło to resztę narodu, póki purytanie byli bezsilnymi marzycielami. Literatura elżbietańska, szczególnie dramat, obfituje w wycieczki przeciw skrajnym sektom i karykaturalne postaci ich przedstawicieli. Poważniej od reszty współczesnych musiał zapatrywać się na tę sprawę największy z pokolenia, gdyż wcielił obłudę purytańską w postać głęboko tragiczną, o której wyraził się poeta naszych czasów, John Masefield: „Duch Angela¹ pomścił się na Szekspirze przez to, że został duchem opiekuńczym sceny brytyjskiej.“

Gdy wynik wojny domowej oddał na szereg lat władzę w ręce religijnych ekstremistów, rzecz przestała być śmieszna.

¹ „Wet za wet“ — *Measure for Measure*.

Zwycięscy fanatycy rozciągnęli nad krajem ścisłą kontrolę, zrobili urzędników rodzajem policji obyczajowej, zostali stróżami sumień, przyczem naturalnie musieli sądzić z pozorów. Umieali zaś być konsekwentniejszymi tyranami, niż lekkomyślni Stuartowie. Hipokryzja stała się koniecznością dla ogromnej większości społeczeństwa.

Tem szersze zaś zatoczyła kręgi, że purytanie ścigali obok występków rzeczy zupełnie niewinne. Niegdyś rzucił im był Szekspir słowa, ujmujące genialnie problem obyczajowy: „Dlatego, żeś cnotliwy, to już nie ma być piwa i pierników?”¹ Otóż, przyszedłszy do władzy, powiedzieli: „Tak jest, piwa i pierników nie będzie“. Zaczęli traktować taniec, muzykę, teatr narówni z cudzołóstwem i obrazą religji. Cóż dziwnego, że uciśnione społeczeństwo chwyciło za jedyną broń, jaką w danej chwili miało do rozporządzenia? Tą bronią była obłuda.

Panowanie „świętych“ nie trwało zbyt długo i jego ślady byłyby może w charakterze narodowym znikły zupełnie, gdyby nie ostentacyjna, hałaśliwa, cyniczna, estetycznie wstrętna rozpusta restauracji. Niejeden pomyślał sobie w tych czasach: „A może ci purytanie przecież mieli słuszość?“

Rewolucja z roku 1688 położyła kres nowemu okresowi obyczajowemu i w przeciągu kilkudziesięciu lat następnych skryształizował się sposób myślenia społeczeństwa, który od-tąd ulegał już tylko drobniejszym, zewnętrznym zmianom. Jakkolwiek nieraz przesadza się co do angielskiej obłudy, trzeba stwierdzić, że była jego integralną częścią.

Dopóki działała w życiu rodzinnem i towarzyskiem, nie czyniła zbyt wielkich szkód, czasem zaś bywała nawet pożyteczna. Dziś jednak rozkrzewiła się w życiu publicznem, do-

¹ *Noc Trzech Króli*, II, 3. Komedja ta mieści drugą u Szekspira postać purytanina. Malwoljo zostaje ośmieszony, ale tylko za próżność i nietolerancję. Jego prawość nie ulega wątpliwości i niektórzy krytycy — niewątpliwie mylnie — głosili zdanie, że poeta z nim sympatyzuje. Zacytowane przeze mnie słowa zrobił Byron mottem *Don Juana*.

prowadzając do tego, że często myśli się „moja kieszeń“, a mówi się „dobro państwa“, myśli się „interes“, a mówi się „szczęście ludzkości“, myśli się „ekonomiczny wyzysk kontynentu“, a mówi się „pacyfikacja Europy“ i t. p. Ten rodzaj hipokryzji jest niebezpieczniejszy i wstrętniejszy od dawnych jej form, dotyczących uczęszczanie do kościoła, wstrzymywanie się od klątw, dotyczących stroju czy też przesadnej pruderji w stosunkach między płciami. Na dokładniejsze jednak omówienie życia politycznego przyjdzie kolej pod koniec niniejszego szkicu.

Ciężki kryzys czasów obecnych oraz podważenie ustroju społecznego Anglii przez skrajne doktryny zapowiada rewizję pojęć. Być może, że gdy na dobre rozpocznie się proces przebudowy, przyjdzie kolej i na obłudę, robiącą już stanowczo więcej złego, niż dobrego.

V.

W pobieżnym zarysie jej dziejów potrafiłem już zlekka o tak ważny rys angielskiego charakteru i życia, jak religijność. Zawsze uderzała mnie różnica, zachodząca pod tym względem między Anglikiem a Polakiem, a szczególnie silnie uzmysłowiłem ją sobie, gdy po umieszczeniu na indeksie książek, zakazanych przez Rzym, dzieł Anatola France'a pewien Anglik zapytał mnie: „Czy rzeczywiście w Polsce nie będą ich czytali?“

Brytyjczycy posiadają to, co teologia nazywa talentem religijnym. Wątpię, aby istniała jakaś przyczyna w ich pierwotnej strukturze duchowej. Zdaje się, że podziałał tu protestantyzm, zwłaszcza jego radykalne formy, których ojcem był Kalwin. Katolik może z czystym sumieniem troskę o dogmaty zepchnąć na barki swego proboszcza, wystarczy mu spełniać pewne obowiązki i wierzyć — a w co ma wierzyć, to mu już powiedzą. Protestant — t. j. prawdziwy protestant, bo, jak wybornie powiada Chesterton, Luter nie był luteraninem, był

tylko symptomem chwilowego rozkładu katolicyzmu — protestant ma obowiązek rozumowo stworzyć sobie wiarę przy pomocy *Pisma św.* Jeżeli tego dokonać nie potrafi, najwidoczniej przeznaczony jest na potępienie.

Między kościołem anglikańskim a katolickim niewiele zachodzi istotnych różnic. Lecz obok kościoła anglikańskiego były, są i będą sekty kalwinistyczne, które wyryły niezatarte piętno na życiu religijnem Anglii i na nim samym. Niedarmo powiedział Addison: „Każdy kraj odznacza się właściwemi sobie płodami. W. Brytania posiada szczególną urodzajność co do religij, które w jej klimacie schodzą i kwitną lepiej, niż w jakimkolwiek innym“.

Niema jedności w samym kościele państwowym. Ogół jego duchownych reprezentuje najrozmaitsze kierunki — od prawicowców, zwanych rytualistami, a dążących do zjednoczenia z Rzymem, do lewicowców, którzy radziby znieść instytucję biskupów i liturgję. Ta swoboda myśli religijnej poczęła się z ducha Kalwina, z wpływu radykalnych sekt i z wpływu Szkocji, skłonnej do skrajności w każdej dziedzinie.

Istnieje w kościele anglikańskim ciekawa instytucja, zwana *House of Laity*, Izba Świecka. Zbiera się co roku na rodzaj sejmu religijnego¹ i proponuje zmiany. Jej głos jest tylko doradczy, ale biskupi poważnie liczą się z uchwałami. Otóż Izba ta w roku 1925 postanowiła ni mniej, ni więcej, tylko znieść piekło, gdyż oświadczyła się za opuszczeniem w t. z. *Credo* atanazjańskim, które jest podstawą anglikańskiej doktryny, wszystkich trzech miejsc, wspominających o wieczystem potępieniu, jako „zbyt okropnych“. Była to reakcja na nastrój skrajnych sekt, których kościoły Wells nazywa złośliwie świątyniami szatana, gdyż ustawicznie straszą potępieniem — warto też przeczytać, co o tej ich właściwości, zwłaszcza na gruncie szkockim, pisał Buckle.

¹ A raczej dla uczestniczenia w sejmie religijnym (*Convocation*), którego trzecią izbę stanowi (w pierwszej zasiadają biskupi, w drugiej przedstawiciele niższego duchowieństwa).

Po ukazaniu się sprawozdania z obrad *House of Laity* nastąpiła w prasie żywa dyskusja nad uchwałą. Jakiś duchowny zwrócił uwagę, że dwa z owych trzech miejsc *Credo* atana-
 zjańskiego powtarzają słowa samego Chrystusa. Zapewne też biskupi oprą się tym razem powadze izby Świeckiej. Ale jakże charakterystyczna jest sama możliwość stawiania i uchwalania podobnych wniosków!

Przypisałem żywotność pojęć religijnych i dociekań religijnych w Anglii protestanckiej swobodzie myśli. Dlaczego coś podobnego nie wytworzyło się np. w Niemczech? Otóż są takie objawy i w luteranizmie, lecz znacznie słabsze. Wysztychował je nawet angielski poeta. Robert Browning, maluje w *Christmas Eve* parę obrazków obchodzenia wigilii w różnych środowiskach. Jednym jest wykład niemieckiego profesora, który w ten uroczysty dzień udowadnia, że Chrystusa wcale nie było. Niedarmo rzecz dzieje się na uniwersytecie. Te rzeczy mają w Niemczech charakter czysto akademicki.

Gdy na pobojowiskach wojny trzydziestoletniej stawały naprzeciw siebie armje katolickie i protestanckie, poza sprawą wyznania szło jedynie o to, kto gdzie będzie panował, nie zaś o to, jak będzie panował. Tymczasem w Anglii kwestje religijne organiczniej łączyły się z politycznymi. Angielscy katolicy, spiskujący przeciw Elżbiecie, pragnęli nie tylko przywrócić dawną wiarę, lecz także maskowany absolutyzm wielkiej królowej zastąpić przy zatrzymaniu monarchji oligarchją. Żołnierze Cromwella walczyli o swobodę religijną dla purytanów i o purytaniczną kościoła anglikańskiego, ale równocześnie i o skrepowanie samowoli królewskiej, o stwierdzenie, że wyłącznie parlament może nakładać podatki i że prosto parlament jest najwyższą władzą w państwie.

Ścisły związek kwestyj religijnych z politycznymi wystąpił jeszcze wyraźniej, gdy odwołani z wygnania Stuartowie wrócili na tron jako katolicy. Karol II krył się ze swym wyznaniem, Jakób II otwarcie przyznawał się do niego. Obaj dążyli do absolutyzmu. Dla konsekwentniejszego Jakóba abso-

lutyzm miał być środkiem do narzucenia Anglii zpowrotem wiary katolickiej. Tym sposobem najżywotniejsze interesy narodu i państwa zeszyły się z kwestją wyznania — i tak już zostało po wypędzeniu Stuartów, którzy długo jeszcze posiadali silne stronnictwo, dążące do ich nowej restauracji, i dwukrotnie zbrojnie kusili się o koronę.

Powstał na tem tle fanatyzm antykatolicki, stanowiący niewątpliwie czarną kartę w dziejach angielskich. Naturalnie katolicy nie byli w tem bez winy. Za czasów Elżbiety interes protestantyzmu pokrywał się prawie zupełnie z narodowym, to też większość zwolenników dawnej wiary stała twardo przy królowej i należał do nich nawet naczelny wódz floty, która pobiła Armadę. Ale z drugiej strony katolicy fanatycy dokonali szeregu zamachów na życie Elżbiety.

Za jej następcy ucisk wzmógł się i wówczas kilku szaleńców postanowiło odpowiedzieć nań potworną zbrodnią — wysadzeniem w powietrze króla wraz z obiema izbami parlamentu w dzień jego otwarcia. Na szczęście rzecz nie doszła do skutku i spiskowców stracono. Ale sam zamiar był tak straszny i tak oddziaływał na wyobraźnię narodu, że rocznicę obchodzono przez całe wieki i dziś ją jeszcze gdzieś obchodzą, urządzając rodzaj maskarady i paląc *in effigie* Gwida Fawkesa, schwytanego w podziemiach parlamentu pośród beczek z prochem. Powstała też pieśń ludowa, każąca po wiek wieków pamiętać „o 5 listopada i spisku prochowym“.

W dalszych dziejach było inaczej i katolicy angielscy mogliby o sobie powiedzieć z Learem, że więcej przeciw nim grzeszono, niż oni grzeszyli. W roku 1681 wystąpił niejaki Tytus Oates z rewelacjami o ich potwornem sprzysiężeniu, a gdy fatalny zbieg okoliczności nadał jego fantastycznym kłamstwom słaby pozór prawdopodobieństwa i podrażnił opinię publiczną, popełniono na ich podstawie cały szereg ohydnych mordów sądowych.

Okrutna i przewrotna gospodarka w Irlandji, potępiana

z oburzeniem przez wielu wybitnych Anglików, która mnóstwem szczegółów przypomina rosyjskie rządy w Polsce, ale ma również charakter konsekwentnego, dobrze obmyślanego ekonomicznego ucisku, nie byłaby chyba możliwa, gdyby nie antagonizm religijny.

Prawda, że Jakób II usiłował narodowi przemocą i podstępem narzucić zpowrotem katolicyzm i dopuścił się przytem szeregu okrucieństw oraz bezprawii. Niepodobna jednak czynić za tego króla odpowiedzialnym ogółu jego współwyznawców, którzy bynajmniej nie pochwalali jego polityki. Widać to dobrze z literatury współczesnej. Największy poeta tych czasów, Dryden, całą duszą oddany sprawie katolicyzmu, wyraźnie zaznacza, że jej nie rokuje pomyślnej przyszłości, i w ostrożnej formie potępia fanatyków z otoczenia Jakóba.

Zamachy na Elżbietę i spisek prochowy utrwaliły w społeczeństwie przekonanie, że katolicy są zdolnymi do wszystkiego wrogami państwa. Umożliwiło to np. zbrodnię Oatesa i sprawiło, że Anglicy z bezkrytyczną naiwnością wierzyli, a począćci dziś jeszcze wierzą najdziwaczniejszym oszczerstwom. Gdy Londyn odbudowywał się po pożarze w roku 1666, wzniesiono pamiątkową kolumnę, zwaną poprostu *the Monument*. Umieszczono na niej rodzaj notatki historycznej o strasznej klęsce elementarnej. Otóż w napisie tym bez najmniejszego faktycznego uzasadnienia zrobiono katolików podpalaczami stolicy. Napis istniał przez dwa wieki z górą, a gdy ostatecznie usunięto go w XIX stuleciu, jakaś tajemnicza ręka dwukrotnie kreśliła na dawnym miejscu te same wyrazy.

Gdy w roku 1780 parlament zniósł parę najostrzejszych ustaw antykatolickich, stało się to przyczyną olbrzymich, krwawych rozruchów, zwanych w historii od osoby dzieciniego fanatyka, który je wywołał, *Gordon Riots*. Do przywrócenia porządku w stolicy musiano użyć 10.000 wojska...

Równouprawnienie polityczne katolików miało i w XIX wieku dużo zawziętych oponentów, ostatecznie wprowadzono je w roku 1867, ale do dziś dnia nie jest zupełne. Mniejsza

o to, że poza koroną jeszcze jedna godność (lorda kanclerza) jest zarezerwowana dla anglikanów. Ta ustawa ma tylko charakter przywileju dla kościoła państwowego i upośledza na jego korzyść wszystkie inne wyznania. Ale w pewnym wypadku „papista“ stoi niżej od Żyda. O ile do własności ziemskiej przywiązane jest prawo prezenty na beneficją duchowne, Żyd może je wykonywać, katolik nie.

Pod koniec XVII w. zawiązały się stowarzyszenia o ustroju wolnomularskim, mające na celu zwalczanie Stuartów i obronę protestanckiego następstwa tronu. Ponieważ po wypędzeniu Jakóba II korona przypadła Williamowi ks. Oranji, członkowie ich nazywali się *Orangemen*. Stowarzyszenia te istnieją po dziś dzień i urządzają coroczne zjazdy, a w r. 1925 przyszło przy tej sposobności w Glasgow do poważnych rozruchów antykatolickich. Wedle nieco przesadnych zapewne sprawozdań prasy miało w nich brać udział około 80 tysięcy ludzi.

Niewątpliwie nietolerancja jest poważnym minusem. Drugim równie poważnym jest hipokryzja. Lecz oba te złe następstwa religijności brytyjskiej wynagradza i równoważy mojem zdaniem inna rzecz, pozostająca z nią w związku. Jeżeli wielu Anglików jest hipokrytami wobec społeczeństwa, to może większa jeszcze ilość jest szczerymi względem siebie samych, t. j. nie zna kompromisów w dziedzinie etyki.

W krajach katolickich spotyka się mnóstwo ludzi wierzących, którzy mimo to systematycznie dopuszczają się czynów, bezwzględnie potępianych przez religję. Uważa się za rzecz naturalną, że młody człowiek musi się wyszumieć — w znaczeniu płciowem. W męskim towarzystwie najulubieńszą rozrywką jest opowiadanie nieprzyzwoitych historyjek. Jedno i drugie czynią ludzie, którzy regularnie uczęszczają do kościoła, spowiadają się „raz w rok“ około Wielkiej Nocy“ i robią mocne postanowienia poprawy. To jeszcze nie wszystko. Zdarza się często, że gorliwi katolicy jako kupcy systematycznie oszukują, jako adwokaci przewlekają

beznadziejnie sprawy i łupią klientów ze skóry, jako urzędnicy stale biorą łapówki, jako bankowcy popełniają latami ciągnące się sprzeniewierzenia. A kto kiedy słyszał, aby jeden z tych pobożnych ludzi uczynił zadość obowiązkowi, który jest chlubą etyki katolickiej i daje jej taką wyższość nad protestancką, obowiązkowi restytucji?

W niektórych wypadkach zachodzi tu przy złych skłonnościach bezmyślność i brak logicznego umysłu, zachodzi to co Anglik nazywa *moral insanity*, ale naogół należy stwierdzić smutny objaw hipokryzji, bodaj że gorszej, niż przysłowiowa angielska.

Taki rozdźwięk między życiem religijnem a postępowaniem jest u Anglików rzeczą rzadką. Jeżeli za czasów Szekspira wyrazu „ateista“ używano często poprostu dla oznaczenia wielkiego zbrodniarza, nie myśląc przytem wcale o jego stosunku do Boga, poszło to nietylko z przekonania, że kto nie wierzy w Boga, musi być zdolny do wszelkiego łotrstwa, ale i z przekonania, że kto jest zdolny do wszelkiego łotrstwa, ten chyba nie może wierzyć w Boga.

Etyka płciowa jest chlubą W. Brytanji. Jeżeli u nas młody człowiek, poznający miłość zmysłową w noc poślubną, jest białym krukiem i jeżeli opowiadanie o takim białym kruku ludzie przyjmują uśmiechem niedowierzania lub, co gorsza, politowania, to w Anglii jest to regułą. Naturalnie istnieją i w obecnych czasach powojennych mnożą się wyjątki, ale dotąd zawsze są tylko wyjątkami.

Jakim sposobem Anglja strzeże swej młodzieży przed rozpustą? Przy pomocy systemu wychowawczo-naukowego, kładącego nacisk na dwie rzeczy — na moralność i na rozwój fizyczny. Nasza szkoła daje, a przynajmniej usiłuje dać o wiele większy zasób wiadomości, zmuszając słabiej uzdolnionego ucznia do zbyt długiego ślęczenia nad książką. W takim trybie życia budzą się szybko zmysły. Tymczasem angielski chłopak używa sportów na świeżem powietrzu, wyrabiając w sobie krzepkość i wytrzymałość. O ile nie ma

znaczniejszych zdolności, wyjdzie ze szkoły z poważnemi lukami w wykształceniu, ale ze zdrowem ciałem i nieskalaną duszą.

Powie ktoś, że między tem, co mówię teraz, a tem, co poprzednio powiedziałem o prostytutce, zachodzi sprzeczność. Znowu nie mogę zrobić nic innego, tylko wysłać go na wieczorną przechadzkę po *Leicester Square*, *Piccadilly Circus* i *Regent Street*. Jeżeli tylko posiada dość zmysłu spostrzegawczego i doświadczenia, przekona się, że ilość Anglików, kręcących się po giełdzie Wenery, jest znikomą.

Zobaczy tam jeszcze jedną rzecz ciekawą, która pozostaje w związku z angielską szczerością religijną, zobaczy ludzi, obnoszących tablice z napisami: „Zapłatą grzechu jest piekło“, „Chrystus szuka ciebie“ lub tym podobnemi.

Rzecz wątpliwa, czy takie napomnienia mają większą praktyczną wartość. Są zato niezmiernie charakterystycznym dowodem, że Anglik w swej religijnej szczeroci i powadze nie liczy się ze śmiesznością. Widocznie reaguje na pewne wrażenia swoiście. Inaczej śmiałyby się tylko z odstraszenia djabła koncertami przez Armję Zbawienia i z ulicznych kaznodziejów, wdających się w godzinne nieraz dociekania nad niezbyt ważnym wierszem z *Pisma św.*, a zawsze przez pewien czas rzucających swe słowa w próżnię, zanim zbierze się grupka słuchaczy.

Brak poczucia humoru i branie wszystkiego na serio jest cechą purytańską, to też Ameryka, której pierwotni osadnicy byli prześladowanymi w ojczyźnie purytanami angielskimi, dostarcza pod tym względem jeszcze jaskrawszych przykładów. Najklasyczniejszym był sławny proces w Dayton, gdzie na ławie oskarżonych siedział duch Darwina, a równocześnie na ulicach robiła furorę małpa, wystrojona we frak i cylinder. Właściciel cyrku, który użył tego środka reklamowego, zrobił na religijnym fanatyzmie swoich rodaków świetny interes.

Umysłowość purytańska ma jeszcze jeden poważny mi-

nus. Oto z żywiołowej nienawiści do grzechu urosła niezdolność odróżniania grzechów większych od mniejszych. Wszakże grzech sam w sobie jest rzeczą tak okropną, że już niewielką robi różnicę, czy ktoś powiedział „*Goddam*“, czy też rozwalił siekierą głowę rodzonemu ojcu...

Przesada, z jaką Anglicy zwalczają przekleństwa, jest rzeczywiście zadziwiająca. Istniała już w wiekach średnich, a zawdzięczała swe istnienie purytanom XIV i XV stulecia, Lollardom. Bardzo zręcznie zilustrował ją Chaucer w Opowieściach kantuaryjskich. Utrwalona przez reformację, a potem przez rządy „świętych“ w XVII w., trwa do dziś dnia zarówno dzięki przywiązaniu Anglika do pozorów, jak dzięki temu, że bierze on wszystko poważnie.

Gdy Polak mówi, choćby i w złości, „Niechże cię wszyscy diabli porwą“, jest to tylko frazes bez głębszego znaczenia. Anglikowi przy słowie *Goddam* staje przed oczyma płomieniste piekło, pełne ogoniastych, rogatych szatanów, którzy przerzucają widłami dusze potępione, niby snopy w stodole. W prymitywnej sztuce z XV w. pielgrzym, dostawszy się na chwilę do podziemnego królestwa, widział, jak ognistemi raketami grali w tennis. Piłkami były dusze grzeszników...

VI.

A feraz wróćmy jeszcze wieczorem w okolice *Piccadilly Circus*. Nie całe wałęsające się tłumy ściągnęła *Venus Vulgivaga*. Jest tu dużo ludzi, którzy przyszli tylko pokazać stroje i popatrzeć na stroje, przyszli dlatego, że to najmłodniejsza część miasta. Między tą publicznością prawie wcale niema angielskich twarzy — przeważają natomiast żydowskie. Anglicy wolą po parkach wciągać pełną piersią czyste powietrze i woń kwiatów, słuchać szumu stuletnich drzew i śpiewu słowika.

Miłość natury każdy z nich ma głęboko wpojona

w serce. Rzućmy okiem na mapę Londynu. Ile w tym labiryncie ulic i placów — bladezielonych, nieraz ogromnych plam! To parki i ogrody. Często jedne łączą się z drugimi lub oddzielone są od nich tak wąskim pasem zabudowanego terenu, że nie należy do rzadkości odbyć długą drogę z jednej dzielnicy do drugiej, leżącej w zupełnie innej stronie kolosalnego zbiorowiska ludzi, cegieł i głazów, prawie wyłącznie pośród zieleni i kwiecia.

Hen na południowo-zachodnim krańcu leżą obok siebie nad Tamizą trzy ogromne kompleksy ogrodów i parków, wszystkie trzy prześliczne, a wszystkie tak odmienne od siebie wyglądem i charakterem. Naprzód *Kew Gardens*, pełne drzew, krzewów, kwiatów, ziół, mchów z całego świata, usiane wspaniałymi cieplarniami. Potem *Richmond Park*, typowy ogród angielski, gdzie prócz trawy i malowniczo rozrzuconych drzew oraz krzaków nic nie znajdziesz, gdzie pasą się długorune owce i rudawe danielę. Wreszcie około starego zamku, zbudowanego jeszcze przez kardynała Wolsey, rozciągają się pyszne ogrody w stylu francuskim — regularnie nakreślone klomby, symetrycznie sadzone drzewa i pod sznur strzyżone żywopłoty. To *Hampton Court*. Trzeba dobrych paru godzin, aby, wyszedłszy z *Kew*, dojść do ich ostatniego krańca.

Na północ, już otoczone siecią ulic, graniczą z sobą *Hyde Park*, sławny z mównic publicznych, z alei dla eleganckich jeźdźców i długiej sadzawki, zwanej Serpentyną, — i *Kensington Gardens*, ciche, rozciągające nad strudzoną londyńską wrzawą gościem baldachim drzew sędziwych. Dalej na północ *Regent's Park*, a jeszcze dalej, już znów na krańcu miasta olbrzymi *Hampstead Heath*, park angielski, łączący z mozaiką drzew, krzaków i wody rozmaitość pagórków, dolin i jarów.

Możnaby, ciągnąc dalej to wyczerpanie, zakreślić ogromne koło, obejmujące Londyn kręgiem zieleni. Ale i na powierzchni koła jest tej zieleni niemało. Na każdym prawie

placu skwer — najczęściej prywatny i dostępny tylko dla wybranych, ale odświeżający powietrze i pozwalający wypocząć oku. A ile ulic, wysadzanych drzewami! Ile takich, na których niema domu bez ogródka!

Wszystko zaś — bez względu na to, czy ręka ludzka angielskim stylem naśladowuje naturę i troskliwie kryje ślady swego działania, czy ujarzmiła ją francuską modłą i zakuwa w kajdany symetrii — wszystko świadczy o subtelnym guście, który nie mógł wytworzyć się bez głębokiego umiłowania przyrody.

Nad wieczorem robi się rojno po parkach londyńskich. Na olbrzymich trawiastych boiskach rzesza młodzieńców uprawia sporty, a pośród drzew, krzewów, klombów i grządek mrowie dorosłych przechadza się, siedzi lub leży na zielonym kobiercu. „Anglik i pies chodzą po trawie“, mówi stare włoskie przysłowie. „I obaj mają rację“, dodają z pełnym przeświadczeniem. Owo włoskie przysłowie musiał mieć na myśli popularny przed wojną humorysta Jerome K. Jerome, opowiadając, jak w publicznym ogrodzie niemieckim pies wlaź na trawę, ale gdy jeden z ogrodników surowo spojrział na niego, wziął ogon pod siebie i ze skruszoną miną wyprowadził się przez bramę, na której widniał napis „Ausgang“.

Nikt w angielskich parkach nie łamie drzew i nie zrywa kwiatów. Niema tu też napisów w stylu niemieckim, zawierających zawsze wyrazy „*strengstens verboten*“ i dodających jeszcze ściśle określoną wysokość grzywny. Wystarczają tablice, przypominające publiczności, że ogrody do niej należą, więc byłoby rzeczą nierozsądną je niszczyć. Nadto spotyka się napisy, wzbraniające wybierania jaj z gniazd ptasich. Jest to bowiem ulubiona, tradycyjna rozrywka rozruchanych chłopców angielskich — rozrywka okrutna, ale powiem otwarcie: z dwojga złego wolę, aby syn mój, gdy podrośnie, niszczył ptasie gniazda, niż aby szukał przygód romantycznych w kuchni.

Tak się składa, że od samego początku tego szkicu ustawicznie muszę mieszać cienie ze światłami. Otóż skoro mowa o angielskich ogrodach publicznych, trudno przemilczeć dwa ujemne spostrzeżenia. Co krok widzisz na trawie pary w niezwykle poufałych pozach. O ile masz złe serce i podejdziesz zbyt blisko, mężczyzna i kobieta zachowują się zgodnie ze swą płcią. Ona uda, że coś w zupełnie innej stronie zaprzęta jej uwagę, on zaś podniesie na ciebie wzrok zły, czasem nieco błędny. I nie musisz być zbyt wielkim fizjognomistą, aby w jego spojrzeniu wyczytać niedwuznaczne „A idźże sobie do wszystkich djabłów, którzy cię tu przynieśli!“. Rzecz jest bezwątpienia niezdrowa — zarówno w dosłownem, jak w przenośnem znaczeniu.

Parkowe parki rekrutują się prawie bez wyjątku z przedstawicieli i przedstawioelek klas niższych, którym ze wszystkich artykułów nauki Marksa najlepiej podobała się wolna miłość. Lecz kobiety, wiedzione zmysłem praktycznym, dość rzadko bywają konsekwentne do ostateczności. Pozwalają jednak poza ostatecznością na wiele, chyba na wszystko...

To jedno. Druga rzecz jest mniej doniosła, ale również może zirytować. Mimo gęsto porozsiewanych koszuw na śmiecie i odpadki wszyscy rzucają przeczytane gazety i resztki jedzenia na ziemię. Być może, iż Anglik przez to, wiedziony jakimś półświadomym popędem, zaznacza swą indywidualną swobodę lub swe prawo właściciela ziemi publicznej. W lipcu r. b. wyszedł opis podróży londyńskiego dziennikarza po Czechosłowacji. Autor notuje z uznaniem, że tam każdy rzuca śmiecie do przeznaczonych na ten cel skrzynek. Dodaje ironicznie, że Anglikom, którzy zaśmiecają cały świat papierem, wydałoby się to pewnem... tchórzostwem.

W niedzielę nietylko parki pełne są już od rana. Jak w dzień powszedni blisko trzydziestokrotnie powiększa się ludność *City* (handlowo-bankowej dzielnicy Londynu), która w nocy stoi mniej więcej pustką, tak w niedzielę po uroczych miejscowościach podmiejskich rozlewają się nieprzeli-

czone tłumy mieszkańców stolicy. Dążą na łono natury wedle formułki wojskowego dokumentu podróży pociągami, autami, powozami, dążą na motocyklach, limuzynach, rowerach i pieszo, będą dążyły za lat kilka aeroplanami.

Po sześciu dniach oddychania węglem, benzyną, aromatami korzennego sklepu, kiepskich tłuszczów i najstraszniejszym ze wszystkich zapachem wielkich składów z rybami — co za rozkosz w rozdęte nozdrza i rozszerzoną pierś wciągać woń pól i lasów, co za rozkosz patrzeć, jak falują zboża, jak pienią się potoki, jak połyska srebrem i złotem pierś większych rzek, przyglądać się obrazom, malowanym przez odwiecznego Artystę samą zielenią w tysiącnych jaśniejszych i ciemniejszych odcieniach, czuć na twarzy naprzemian gorący pocałunek słońca i lekkie głaskanie wietrzyka, chronić się pod chłodny baldachim cieniu, słuchać szumu fal, szmeru trzciny nadwodnych, różnorodnej muzyki borów!

Kto może, zdąża dalej, ku morzu, szczególnie ku zacisznym miejscowościom nadbrzeżnym z rozległymi plażami. Tu w czasie mrozów, a raczej chłódów zimowych, którychby Polak nie zauważył, a na które Anglik jest dziwnie niewytrzymały, panuje ciepło, w czasie upałów przyjemny chłodek. Tu bawi oko wełnisty nurt przyływu, tu odpływ zostawia dzieciom do zabawy wdzięczne muszelki, zostawia je na piasku tak czystym, że każdy rzuca się nań w ubraniu i, otrzepawszy się później, zupełnie nie potrzebuje szczotki.

Oczy błędzą w oddali — i zdaje się nieraz, że tam poza horyzontem wykwitają w przejrzystej, turnerowskiej mgłę potężne kadłuby statków, rafy koralowe, smukłe palmy, gęstwa dziewiczych lasów i potężne szczyty górskie — cały świat niezmierny. Morze jest dla Anglika nie tylko cudem natury, jest jeszcze wielkim symbolem. Jeżeli Egipt zwano darem Nilu, Anglię nazwaćby można darem morza. Addison nazwał znów oceany „brytyjskim pastwiskiem gromadzkim“ (*British common*).

Z niedzielnych wypraw wraca się ze skrzepionymi ner-

wami, z zaostrzoną inteligencją, z większą zdolnością do pracy, z oczyszczoną duszą...

Lecz angielskie umiłowanie przyrody nie ogranicza się do martwej. Obejmuje także zwierzęta. W każdym domu jest rzeczą nieledwie nieodzowną *pet* t. j. jakieś żywe stworzenie, któreby można pieścić i hołubić. Najczęściej zajmuje to stanowisko kot, zazwyczaj szlachetnej krwi wschodniej. Korzysta z niepoślednich przywilejów. Jeżeli można wierzyć historjom, opowiadanym przez angielskich lubowników tych zwierząt, arystokratyczne pochodzenie darzy je inteligencją o wiele wyższą od tej, jaką mogą pochłubić się nasze gorzej urodzone koty. Ale być może, iż mamy do czynienia tylko z zaślepieniem miłości.

Każdy okręt wielkobrytański musi mieć co najmniej jednego kota. W tym wypadku ukochanie dochodzi aż do bałwochwalstwa, przypomina starożytny Egipt. Miałem sposobność je obserwować. Olbrzymi zwierz z puszystym ogonem i fosforycznymi oczyma przychodził regularnie do sali jadalnej i siadał obok starego, mrukliwego porucznika. Na mięso ani spojrział. Jak prawdziwy angielski marynarz, żywił się głównie rybami i serem. Gdy jedno lub drugie pojawiło się na stole, wspinał się nań przednimi łapami. „*Hands off!*“ wołał regularnie jego protektor, ale zwierz nic sobie z tego nie robił. Wiedział, że porucznik może stać się groźnym dla majątków, nawet dla pasażerów, ale nie dla niego. Prawdę mówiąc, kocisko miało w hierarchji okrętu miejsce zaraz po kapitanie i nieograniczone prawo wstępu na pomost.

Obserwujcie psy angielskie. Na widok nieznanego — o ile naturalnie w grę nie wchodzi obowiązek stróża — żaden nie powie głośnym szczekaniem „Ten pan mi się nie podoba“. Jest to zapewne i skutkiem starannego wychowania, ale przede wszystkim świadczy o dobrem obchodzeniu się ogółu z psami. Zwierzę, które nie doznało od ludzi nic złego, nie boi się ich i nie ma powodu na nich ujadać.

Koń należy do rzadkich zjawisk na ulicach Londynu

i wogóle w Anglii. Najczęściej spotyka się jeszcze olbrzymie okazy rasy *Clydesdale*, zwanej u nas meklemburami, które miarowym krokiem ciągną ciężary. Jak świetnie wyglądają, jak zawsze wybornie oczyszczone i jakie mimo pracy zadowolone z życia! Woźnica angielski jest może szczerzym miłośnikiem koni, niż hodowca wyścigowy. Więcej posiada bezinteresowności. Jest też ulubionym typem literatury. Nieśmiertelny Weller *senior* z „Klubu Pickwicka“ to głowa niezliczonego klanu. Nie będę wyliczał jego podwładnych, lecz nie mogę odmówić sobie przyjemności wspomnienia przynajmniej o jednym.

Gdy mniej więcej 15—20 lat temu samochód uczynił zbyteczną i wyparł dorożkę — niegdyś stanowiącą tak charakterystyczny rys ulicy londyńskiej, mnóstwo woźniców zostało na bruku, a raczej nie miało już co robić na bruku. Ciężko im było brać się do nowego zajęcia, ciężko je znaleźć, zresztą zabijała ich tęsknota za koniem. John Galsworthy wprowadza w dramacie *The Pigeon* takiego nieszczęśnika. Jego Timson z tęsknoty za dawnymi dobremi czasami zostaje alkoholikiem i gdy czasem łaskawy los pozwoli mu upić się do nieprzytomności, śni, że jest koniem.

Parki angielskie pełne są danieli i jeleni, chowanych często poprostu dla przyjemności właścicieli. Pasą się swobodnie na murawie, w zimie wypróżniają obficie napełniane żłoby, dochodzą do poważnego wieku — co na pierwszy rzut oka można zwykle poznać po rogach — i kończą najczęściej na uwiąd starczy. Z wyjątkiem pory rykowiska można zbliżać się do nich spokojnie. Nie lękają się ludzi i chętnie jedzą z ręki.

Co do gołębi, to np. podwórze *British Museum* i niektóre place londyńskie, jak *Trafalgar Square*, zdolne są rywalizować z placem św. Marka. Czy możecie sobie u nas wyobrazić coś podobnego? Zapewne nie zabrakłoby ludzi, coby ptactwu sypali ziarno, ale też znalazłoby się dość takich, coby woleli prażyć je kamieniami.

Idźcie do londyńskiego ogrodu zoologicznego w *Regent's Park*, zwanego przez ludność poprostu *the Zoo*. Zobaczycie, jak dziatwa bawi się z dobrodusznymi kolosami, słoniami, które skwapliwie wyciągają trąby w nadziei otrzymania jakiego przysmaku. Bułki, jabłka i pomarańcze zjadają, gazety i tym podobne rzeczy bez praktycznej wartości, zgodnie z angielskim zwyczajem, rzucają na ziemię, pensy bez namysłu oddają dozorcóm. Dzieci używają sobie na przejażdżkach na grzbiecie słoni, żebr i wielbłądów lub w wózeckach, ciągniętych przez strusie.

Tym sposobem Anglik od zarania życia uczy się kochać Boskie stworzenia, a równocześnie poznaje w czasie zabawy faunę odległych krain. Przy systemie szkolnym, obliczonym na to, aby młodzieży zbytnio nie przeciążać, ma to nieocenioną wartość.

VII.

Wogóle, gdzie tylko można, szkoła angielska nie opiera się suchemi, gołosłownemi opisami i abstrakcjami, ale przemawia do oczu i uszu. Olbrzymie, bogate muzea stoją otworem. W *British Museum* zawsze w porze południowej natrafisz na jakąś wycieczkę pod kierownictwem nauczyciela — czyto z przyległej dzielnicy, czy z Kanady lub Afryki południowej. Zbiory są odpowiednio uporządkowane.

Przypominam sobie, jak strasznie udęczeniem dla mnie i moich kolegów gimnazjalnych był „Terlikowski“, t. j. książka o życiu Greków i Rzymian. Ciężko, bardzo ciężko laża do głowy, bo jakże tu uczyć się rzeczy, reprezentowanych przez obce i obco brzmiące nazwy, przez zwięzłe i nieplastyczne opisy, a wyjątkowo tylko przez ilustracje? Cóż to za rozkosz dla rozmiłowanego w swym przedmiocie filologa klasycznego zaprowadzić uczniów do sal Brytyjskiego Muzeum i pokazywać im kolejno to słynne budowle, zrekonstruowane w pysznych dużych modelach, to naczynia kuchenne, to broń

zaczepną i odporną, to narzędzia rolnicze, to wnętrza sklepów i warsztatów, to maski teatralne!

Dzięki umiejętnemu użytkowaniu zbiorów, historia nie tylko utrwała się silniej w pamięci, ale i staje się czemś bardziej rzeczywistym, niżby była bez tego,

Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Puste jeziora brzmią licznymi wiosłami
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje.

Rozpatrzmy bliżej jako przykład tę kwestję historii w szkole. Dziecko naprzód słucha bajek, a potem zaczyna uczyć się dziejów, również pomieszanych z bajkami, zresztą wyraźnie mu się mówi, że poznaje podania z zamierzchłych czasów, z czasów, o których właściwie niewiele wiadomo. W jego umyśle powstaje dziwna mieszanina, tworzą się połączenia takie, jak Herakles i Miltjades, Romulus i Cezar, Roland i Karol Wielki, Krak i Bolesław Chrobry... Czasem zresztą cała historia ma dla niego charakter czegoś nierealnego i przez to jej nauka traci wszelką rację bytu — bo jakież jest jej główny cel, jeżeli nie przez znajomość tego, co było, ułatwiać zrozumienie tego, co jest? Jeżeli jednak to, co było, nie nabierze dla uczącego się cech rzeczywistości, to szkoda czasu i atlasu. Temu właśnie zapobiega zwiędzanie celowo uporządkowanych zbiorów, które równocześnie pomaga ogromnie pamięci.

Powie ktoś, że odbiegam od tematu. Niezupełnie. Dochodzę bowiem do kwestji pracowitości Anglików, a szkoły są w tym wypadku wiernym obrazem całego życia.

Anglik równocześnie jest i nie jest pracowity. Gdy w urzędzie, kantorze czy biurze osiągnie wyższe stanowisko, skraca chętnie godziny zajęcia. Przychodzi późno, przydłuża sobie przerwę na *lunch*, stara się jak najwcześniej rozpocząć spoczynek wieczorny. Jest też fanatykiem spoczynku niedzielnego. Przypominam sobie, jak raz w niedzielę siadłem do

pisania w bawialni pensjonatu. Irytowało to młodą Angielkę do tego stopnia, że wreszcie nie wytrzymała i odezwała się: „Niechże pan raz skończy, działa mi pan na nerwy“.

Poza niedzielami zna Anglja w roku tylko cztery dni świąteczne, zwane *bank-holidays*. Zato niedziela trwa czasem od soboty w południe do poniedziałku w południe, a nawet do wtorku rano — i stąd charakterystyczna nazwa *week-end* (koniec tygodnia).

Myliłby się, ktoby powiedział, że to objawy próżniactwa. Przedewszystkiem Anglik umie i wieczory i *week-end* wyżyłskować, używając sportów i świeżego powietrza, przyczem wiek nie robi prawie żadnej różnicy. Tym sposobem zyskuje możliwość wkładania później w pracę ogromnej energii. Nie spędza w biurze tylu godzin, co Polak, ale też nie kręci co kwadrans papierosa¹, nie pije herbatek, nie drzemie nad aktami i rachunkami, rzadko pozwala sobie na koleżeńskie pogadanki.

Nadto z niesłychaną praktycznością organizuje pracę. W fabrykach doprowadzono technikę zbiorowej wytwórczości nieledwie do ideału.

Gdy Żeromski w *Ludziach bezdomnych* opisuje na-przód fabrykę tytoniu, potem stalownię, zgodnie ze swą tendencją społeczną zwraca przedewszystkiem uwagę na ciężkość i niehigieniczne warunki pracy, poza tem efektownie przedstawia jej szybkość i mechaniczne ruchy ludzi. Arnold Bennet swój opis fabryki wyrobów garncarskich w *Anna of the Five Towns* zaczyna od dłuższego ustępu na temat doskonałej organizacji. Zwraca uwagę, że budowniczy „znał się na swoim zajęciu i na zajęciu garncarza, więc zrobił plan z pamięcią o jak największej oszczędności pracy“. Płynna glina, wychodziła z budynku nad kanałem, „w ciągu swej metamorfozy robiła koło“ i wracała do budynku nad kanałem, w którym pakowano gotowe naczynia. Para, „ożywiająca pięć-

¹ W urzędach angielskich zabroniono niedawno wogóle palenia.

dziesiąt maszyn“, po ustaniu ruchu służyła do suszenia niewypalonego towaru i do grzania stawy dla robotników. Do takich szczegółów polski powieściopisarz nie miał materiału w obserwacji, zresztą może nie zdawał sobie sprawy z ich wagi.

W urzędach angielskich szanują czas ludzki i żądają od ludzi poszanowania swego czasu. Unikają zbytecznych formalności. Jeden człowiek załatwia nieraz to, do czego u nas trzeba trzech lub więcej.

Spójrzmy na małą angielską stację. Ten sam kolejarz sprzedaje bilety i odbiera telefoniczne informacje co do ruchu. Drugi stoi przy wejściu na peron, udziela wskazówek pasażerom, przyjmuje w przechowanie i wydaje bagaż, a w wolnych chwilach zamiata podłogę. U nas z pewnością byłoby w tej samej sytuacji dwóch urzędników, czterech lub pięciu podurzędników i ze dwa popychadła pomocnicze, a wszyscy wzajemnie zwalaliby na siebie czynności i przeszkadzali jeden drugiemu.

Jak zaś to wszystko w Anglii funkcjonuje! Weźmy przykład z większych stacyj, zatrudniających już naturalnie liczniejszy, choć także stosunkowo nieliczny personel.

Wylądowawszy z żoną w Harwich, oddajemy kufarki tragarzowi — nie mogę nazwać go numerowym, bo niema tu żadnych numerów, — sami zaś załatwiamy formalności paszportowe. Jest ścisk, nadto w ostatnich czasach Anglja wprowadziła ściślejszą kontrolę przyjezdnych i odpowiedni funkcjonarjusz daje odrazu pozwolenia na krótszy lub dłuższy pobyt. Ponieważ nie chcę zgodzić się na trzy miesiące, po których upływie musiałbym zwracać się do Ministerjum Spraw Wewnętrznych, odkłada rozmowę ze mną na koniec. Tymczasem nadchodzi pakier ze smutną wiadomością, że ułożył nasze kufarki w londyńskim pociągu i pociąg sobie najspokojniej odszedł. Sytuacja przykra. Skończywszy z paszportem, idę do inspektora bagażu. Wysłuchawszy, patrzy na zegarek. — „Jest dość czasu, zaraz zatelegrafuję“. — „Czy mam

co zapłacić?“ — „Nie. Na *Liverpool Street Station* znajdzie pan swoje kuferki u inspektora bagażu.

Zjadłszy bez apetytu śniadanie, siadamy w kwaśnych humorach do następnego pociągu. Co pocniemy, przybywszy do Londynu, jak para mędrców, noszących z sobą cały swój majątek?

Liverpool Street Station! Z bijącym sercem idziemy szukać inspektora bagażu. Jakoś niełatwo go znaleźć wśród otaczającego nas gorączkowego ruchu — zresztą jestem z tego trochę zadowolony, bo radbym odwlec chwilę, w której do wiem się, jak sprawa stoi. Wtem zachodzi nam drogę fragarz. — „Czy też pan nie szuka swoich pakunków?“ — „Tak jest.“ — „Ja je mam.“ I bez słowa skręca w kurytarz. Idę za nim, a w myśli przygotowuję się na pytania co do wartości kuferków. Zbyteczne. — „To te, prawda?“ — „Tak jest“ — i sympatyczny człowiek bez dalszej dyskusji odnosi je do taksametu.

Ileż to u nas popsutoby papieru i atramentu, zmarnowano czasu, ile zrobionoby podróznemu przykrości! Ostatecznie różni dostojnicy daliby mu do zrozumienia, że doświadczył z ich strony łaski. A niechby zniecierpliwiał się i podniósł głos! Miałżeby się zpyszna! Tymczasem ów genialny inspektor bagażu z *Liverpool Street Station* odrazu wpadł na rozsądny pomysł. Oddał kuferki w opiekę tragarzowi i polecił mu szukać pary podróźnych o cudzoziemskim wyglądzie, przybywającej bez bagażu z Harwich i rozglądającej się za czemś na stacji. Nie było protokołów, irytacji, dąsów i łaski. Inspektor prawie wcale nie stracił czasu, nie straciłem go i ja, pakier dostał dwa szylingi zamiast jednego — wszyscy zadowoleni.

Dodaję jeszcze drugi przykład z własnego doświadczenia. Po wojnie wprowadziła Anglja dla cudzoziemców obowiązek „rejestrowania się“ na policji. Czyniłem mu zadość, ale niezawsze w terminie. Wyjeżdżając z Wielkiej Brytanji w r. 1923, zupełnie tego nie zgłosiłem. Gdy w dwa lata póź-

niej przyszedłem oznajmić o przybyciu, spytano się tylko, kiedy opuściłem Anglię, i uwidoczniło to *ex post* w legitymacji. Gdy potem żona wracała sama do Polski, nie męczyłem jej również przechadzką na *Bow Street* i dopiero w trzy miesiące później, donosząc o własnym odjeździe, podałem także datę jej odjazdu. Nie powiedziano mi za to ani słowa.

Skądże wzięła się ta wyrozumiałość policji i dlaczego ja z taką pewnością naprzód na to liczyłem? W Anglii ludzie nie są automatami. Każdy funkcjonariusz wie, poco wydano rozporządzenie o rejestracji cudzoziemców. Ani profesor, przybywający w celach naukowych, ani jego żona nie są jednostkami podejrzanymi. Nieprawdopodobne, aby prowadzili propagandę bolszewicką lub uprawiali szpiegostwo, na pewne też są na tyle zaopatrzeni w pieniądze, że nie spadną na kark tej lub owej parafji.

U nas w podobnym wypadku z pewnością nie oszczędzonoby cudzoziemcowi przesłuchań i upomnień. Trzymając się litery rozporządzenia, uważano by to za święty obowiązek, choćby w myśl zasady, że wobec prawa wszyscy równi. Stracono by moc czasu, zainkasowano nieproporcjonalnie małą grzywnę, a zrażony przybysz otrząśliby ze swych butów kurz niegościnnego kraju, przysięgając sobie, że już w nim jego noga nigdy nie postanie. Tymczasem Anglicy biorą rzecz rozumowo. Nawet najwznioślejsze ideały równości nie skłonią urzędnika, aby kogoś niepotrzebnie szykanował.

Ustawa o rejestracji wymierzona jest nie przeciw cudzoziemcom wogóle, lecz przeciw niepożądanym cudzoziemcom. Jest mieczem, spoczywającym w pochwie i wydobywanym dopiero w razie potrzeby. Niech tylko przybysz, trudniący się propagandą przeciwpaiństwową lub choćby jedynie odbierający chleb Anglikom, na włos przekroczy przepisy, nie uczyni w swoim czasie zadość wszelkim formalnościom... Bez większej straty czasu zostanie wydalony, a o ile stwierdzenie jego przynależności wymaga zwłoki, czeka w więzieniu. Środek ten stosuje policja brytyjska bardzo często do polskich Żydów,

którzy, zagrożeni wydaleniem, wpadają na pomysł udawania, że nie znają swego miejsca przynależności. Liczą na to, że władzom sprzykry się trzymać ich pod kluczem, ale doznają przykrego rozczarowania i odzyskują pamięć. Postępowanie Anglików w tym wypadku jest z pewnością bezwzględne; za jedno z jego źródeł trzeba uznać podział ludzkości na Brytyjczyków i barbarzyńców. Jakże jednak jest konsekwentne, celowe i praktyczne!

VIII.

Praktyczność angielska objawia się nietylko w uproszczeniach wszelakich czynności i w wybornej organizacji każdej pracy. „Właściwy człowiek na właściwym miejscu“ mówi często cytowane przysłowie, a całe życie W. Brytanji dostarcza tysiącznych przykładów.

W „Romeu i Julji“ nie umiejący czytać służący, któremu dano spis osób i polecono je zaprosić na bal, powiada: „...Tu jest napisane, aby szewc używał swego łokcia, krawiec swego kopyta, rybak swego pendzla, malarz swoich sieci.“ Otóż w Anglii nigdy prawie nie każą szewcowi operować łokciem, krawcowi kopytem, rybakowi pendzlem, malarzowi siecią. Do kopyta przeznaczają szewca, do łokcia krawca, do sieci rybaka, pendzel składają w ręce malarza.

Niema tam tak często spotykanych w świecie słowiańskim „genjuszów uniwersalnych“. Angielskie odpowiedniki niemieckiego wyrazu *Tausendkünstler* pełne są gryzącej ironji. Gdy — jeszcze za Elżbiety — złośliwy, a zazdrosny Robert Greene chciał nawymyślać Szekspirowi, nazwał go *Johannes Factotum*. Znaczyło to: Jeżeli jesteś aktorem, daj sobie spokój z pisaniem. Jeżeliś szewc, patrz kopyta. Greene, chcąc w oczach społeczeństwa obniżyć i ośmieszyć nienawistnego współzawodnika, wiedział dobrze, w jaką strunę uderzyć. Tam zazwyczaj szewc rzeczywiście patrzy kopyta.

Możemy też sobie wyobrazić, jakie wrażenie robią na Brytyjczykach różni nasi dyplomaci, nie znający języków, i eksperci finansowi, będący co najwyżej prawnikami — zjawiska, wynikłe poczęści z nowości naszej państwowej organizacji, ale poczęści też z lekkomyślności i protekcjonizmu, a także z tego, że u nas tupet i pewność siebie robią zbyt silne wrażenie, więc ten, kto je posiada, pcha się naprzód i, choć nieodpowiedni, otrzymuje upatrzone stanowisko, a człowiek do tego stanowiska stworzony siedzi w kącie, ale wbrew przysłowiu nikt go jakoś nie znajduje.

Najpopularniejszą postacią komiczną Dickensa jest Mr. Micawber, — podobno skopjowany z ojca wielkiego powieściopisarza, ale naturalnie podniesiony do kwadratu artystycznej przesady. Lekkoduch, obarczony liczną rodziną, chwytą się różnych zajęć, nigdzie miejsca nie zagrzeje, klepie więc biedę, ale jest niepoprawnym optymistą, wierzy niezachwianie, że przyjdzie lada dzień jakaś niespodziewana zmiana w jego życiu, więc ma nieprzebrany zapas dobrego humoru. Zdaje mi się, popularność tej doskonałej i z wielką werwą kreślonej postaci polega na tem, że to typ w gruncie rzeczy nieangielski, stąd dla czytelników niezwykły i nawet sprzeczny z ich pojęciami. W powieści bawi. W życiu przeciętny Brytyczyk ze wstrętem wyrzuciłby go za drzwi i jeszcze kopnął na pożegnanie.

Lecz zwróćmy się od fikcji do rzeczywistości. Znako- mity przykład umiejętnego użytkowania ludzi kompetentnych przedstawia w Anglii organizacja sądownictwa i wogóle zawodów prawniczych. Od niepamiętnych czasów były ogromnie zróżniczkowane, tak, że trudno zorjentować się w rozlicznych kategoriach adwokatów, notariuszów i sędziów. Dziś po przeprowadzeniu wielu uproszczeń niema już takiej specjalizacji. Z tem wszystkim adwokatura i sądownictwo mają swoisty ustrój, któremu warto poświęcić nieco uwagi.

Adwokaci dzielą się na dwie kategorie. Niższą stanowią t. zw. *solicitors*, pozbawieni prawa występowania przed wyż-

szemi trybunałami. Ich rzeczą jest przygotowywać materiał i oddawać go drugiej kategorii, *barristerom*. Tych mianują zupełnie w swoim zakresie niezależne kolegia prawnicze, uwzględniając zarówno zdolności, jak charakter. Podobnie mianują sędziów, których ilość jest stosunkowo niewielka, gdyż mnóstwo mniejszych spraw rozstrzyga się w t. zw. sądach policyjnych w ciągu jednej rozprawy, bez większego psucia papieru, bez straty czasu, bez apelacji i jednostkowo. Najwyższe stanowiska obsadza nominalnie król, w rzeczywistości gabinet.

Co za olbrzymie korzyści z takiego systemu! Spójrzmy na nasz stan adwokacki, szczególnie w tej dzielnicy, w której niezdrowe stosunki z powodu jego liczebności i składu etnicznego występują najjaskrawiej, w Małopolsce. Spójrzmy na te rzesze ludzi, zdemoralizowanych ciężką walką o byt i konkurencją. Naogół zatraciło się właściwe pojęcie zadania adwokata, który wprawdzie ma reprezentować stronę, ale który powinien być obrońcą niewinności i pomagać w wyświetleńiu sprawy. Tymczasem dziś przeważnie pojmuje się to zadanie zupełnie inaczej, mianowicie uważa się, iż rzeczą adwokata jest przy pomocy wszelkich możliwych środków wygrać każdą sprawę. Niedawno byłem w towarzystwie, w którym rozmawiano o porzuceniu przez kogoś adwokatury. Usłyszałem tam słowa: „Nie mogło mu się dobrze powodzić, przebierał i często odmawiał podjęcia się sprawy“. Była to najwyższa pochwała, jaką można oddać adwokatowi. Niestety u nas stosunkowo niewielu na nią zasługuje. A jeśli mnogie są grzechy przy wykonywaniu samego zawodu, to jak potwornie liczne w tem, co tylko jest w pewnym związku z zawodem! Znam adwokata, który chwalił się, że od roku nie był w sądzie, ale doskonale zarabia...

W Anglii to wszystko nie jest możliwe. Ideałem *solicitora* jest postąpić wyżej w hierarchji, zostać *barristerem*, ewentualnie sędzią. Musi więc bacznie strzec godności stanu

i własnej dobrej opinji. Inaczej do niczego nie dojdzie, lecz zostanie wiecznie lekceważonym kauzyperdą.

Wogóle sądownictwo angielskie zasługuje na szczególną uwagę jako pomnik geniuszu narodu, obdarzonego pod tym względem niezwykle zdrowym instynktem i praktycznością. Napróżno szukalibyśmy tu systemu i jednolitości. Część praw istnieje tylko jako ustna tradycja — i z pewnością nie zmniejsza to ich poszanowania, owszem, ludzie tem większą im przypisują wagę, że to pewniki, których nie trzeba było uchwalać i utrzymywać w konkretnej formie, bo nikt ich nie podaje w wątpliwość, bo rozumieją się same przez się.

Nigdzie tak nie uwidoczniła się jedyna w swoim rodzaju zdolność Anglików do tego, aby być równocześnie konserwatywnymi i postępowymi, aby starych form nie niszczyć, ale napełniać je nową treścią, aby gwałtownymi zmianami nie wprowadzać zamętu w pojęciach i w stosunkach, a mimo to iść z duchem czasu.

Już bezpośrednio po podboju normandzkim ustaliły się podstawowe zasady sądownictwa — że proces ma być publiczny, że każdą ważniejszą sprawę rozstrzyga ława, złożona z ludzi nie będących zawodowymi prawnikami, że ponad pisanymi ustawami stoi wrodzone człowiekowi poczucie sprawiedliwości. Wyrazem pierwszej zasady była procedura, wyrazem drugiej szerokie stosowanie sądów przysięgłych, wyrazem trzeciej istnienie najwyższego trybunału, zwanego *Court of Equity*, a stosującego do spraw nie paragrafy, ale przede wszystkim zdrowy rozsądek.

Bywały niewątpliwie w sądownictwie angielskiem anomalje. Niesłychana srogość ustawy karnej czyniła oskarżonego zależnym od nastroju i humoru ławy, czasem od przelotnego usposobienia sędziego. Zdarzało się, że przy identycznej zupełnie winie stosownie do tych warunków jeden nie ponosił żadnej kary, drugi szedł na szubienicę. Ustalały się pewne zwyczaje, odpowiadające potrzebom chwili, lecz sprzeczne z ideałem sprawiedliwości. Tak np. w średnich wiekach, kiedy największą,

ogólnie odczuwaną potrzebą społeczeństwa było podniesienie oświaty, rozszerzono t. zw. przywilej kleru na wszystkich umiejących czytać. Ocalało to wprawdzie czasem wybitne, twórcze jednostki — np. sławnego dramaturga Bena Jonsona, który, zabiwszy w pojedynku człowieka, został ukarany tylko piętnowaniem ręki — ale ostatecznie oznaczało pobłażliwość dla oświeceńszych, a bezwzględność wobec ciemnych, często „nie wiedzących, co czynią“. Praktyka zachowała się też stanowczo zbyt długo, gdyż wyszła z użycia w w. XVIII, a ustawowo usunięto ją aż w pierwszej połowie XIX.

Gdy Anglja podczas dynastycznych wojen późnego średniowiecza stała się widownią ustawicznych spisków przeciw władcy, i później, gdy po reformacji sumienie pozwalało fanatykom katolickim na mordercze zamachy i związki z zewnętrznymi wrogami, ustaliła się znowu inna anomalia. W procesach politycznych zaczęto traktować oskarżonego zgóry jako winowajcę, odmawiano mu obrońcy, odmawiano prawa konfrontacji ze świadkami, ograniczano jawność postępowania.

W czasie największego nasilenia walk partyjnych stały się ławy przysięgłych, odpowiednio zestawiane, narzędziem zemsty politycznej. W okresach maskowanego absolutyzmu znowu, kiedy pozbawieni skrupułów moralnych monarchowie pragnęli na wszystkich stanowiskach mieć ludzi, stawiających wolę królewską ponad prawem i, jak zwykle bywa przy rządach despotycznych, nietylko wynagradzali ich hojnie, ale pozwalali im samym wynagradzać się przy pomocy nadużyć, zdarzały się nawet na najwyższych stanowiskach sądownictwa jaskrawe przykłady zaniku poczucia moralnego. Wielki Bacon jako lord kanclerz systematycznie uprawiał przekupstwo. Podczas nagonki na katolików po szalbierczych rewelacjach wspomnianego już Oatesa przysięgli wydawali wyroki śmierci pod naciskiem ulicy. Po rokoszu Monmoutha wielki sędzia Jeffries pławił się we krwi winnych

i niewinnych, a przebaczał tylko tym, którzy opłacili się rządowi lub jemu samemu.

Lecz nawet w takich czasach obok haniebnych czynów stoją świetlane przykłady sędziowskiej nieugiętości i nieprzejadności. Żadne groźby ani obietnice nie wymogły potępiającego wyroku na ławie, przed którą stanęli oskarżeni przez Jakóba II biskupi. Wszyscy trzej wymienieni przed chwilą przestępcy przeciw czystości sądownictwa ponieśli ostatecznie karę. Bacona osłonił król przed ciężką odpowiedzialnością, ale nie mógł uchronić od utraty urzędu i od piętna hańby, a Jeffries zapił się na śmierć w londyńskiej Wieży.

Najciekawsze są dzieje Tytusa Oatesa. Gdy na tron wstąpił katolik, postawiono fałszywego donosiciela przed sądem. Był wielokrotnym mordercą, żadna zbrodnia nie mogła zrównać ohydą jego czynom — ale nie było ustawy, pozwalającej skazać go na śmierć, skazano go więc na pręgierz i publiczną chłostę tak długą i srogą, jakiej normalny człowiek nie może przeżyć. Macaulay oburza się na ten wyrok — mówiąc ironicznie, że chciano połączyć przyjemne z pożytecznym. Ale wielki historyk jest w tym wypadku chyba więcej wigiem, niż prawnikiem. Skazanie Oatesa było aktem zadośćuczynienia wobec majestatu prawa, pohańbionego szeregiem sądowych mordów.

Aby skończyć z tą historją, trzeba dodać, że Oates zrobił swym sędziom niespodziankę i przeżył egzekucję, a obdarzenie go wolnością i zapewnienie mu dostatniego bytu na zawsze pozostanie obok sławnej rzezi w Glencoe plamą na dobrej sławie wielkiego Williama III.

Ustawa wprowadzona za tego króla, odrazu podniosła etyczny poziom sądownictwa. Odtąd jego przedstawiciele byli wprawdzie nadal mianowani przez rząd, ale w zasadzie nieusuwalni. Gdyby zaszedł jakiś niezwykły wypadek i okazała się potrzeba pozbawienia sędziego godności, mogło to nastąpić jedynie na podstawie zgodnej petycji obu izb par-

lamentu. I tak do dziś pozostało, choć później zaszły różne zmiany w ustroju sądownictwa.

Miało ono jednak jeszcze poważne złe strony. Były właściwie dwie najwyższe instancje — *Court of Common Law* i ów *Court of Equity*, trzymający się raczej zdrowego rozumu i ducha prawa, niż ustaw. Działały powoli, istniał też między nimi pewien antagonizm. Sprawy wlokły się nieraz przez długie lata i doprowadzały ludzi do ruiny. Dickens w powieści *Bleak House* odmalował te stosunki trochę za jaskrawo, ale niewątpliwie w przybliżeniu wiernie. Może też poszczycić się, że przyczynił się do ich uzdrowienia.

Ustawa z r. 1873 połączyła oba trybunały w jeden, zaznaczając, że nowe ciało w każdym wypadku, w którym zachodziłby konflikt między pisaną ustawą a ideą sprawiedliwości, ma dawać pierwszeństwo tej idei.

Obecnie sądownictwo angielskie — jakkolwiek na świecie niema nic absolutnie doskonałego — może stanowczo być wzorem. Sędzia jest tak płatny, że nie zachodzi obawa przekupstwa. Cieszy się też ogromną powagą. Jest z reguły człowiekiem starszym, wypróbowanego charakteru, nieskazitelnej opinji i tęgim w swoim zawodzie. Będąc niezawisłym, nie ogląda się na uboczne względy. Uzupełnia często wyrok radami i upomnieniami, które skwapliwie powtarza prasa. Nieraz, uwalniając kogoś w sprawie karnej, udziela mu przestróg prawdziwie ojcowskich. Gdy znów okaże się zupełna nicość oskarżenia, dodaje do werdyktu uwagę, że oskarżony opuszcza salę sądową bez plamy na honorze — t. j. że nietylko winy nie udowodniono, ale stwierdzono niewinność.

Niedawno zaszedł wypadek, że sędzia, zajmujący jedno ze średnich stanowisk, miał do rozstrzygnięcia sprawę, w której prawo pisane zmuszało go do postąpienia wbrew przekonaniu. Zaznaczył to wyraźnie i dodał: „Ci panowie w parlamencie wydają nierozsądne ustawy o rzeczach, na których się nie znają“. Słowa te powtórzyły wszystkie gazety bez żadnych komentarzy. U nas sędzia zostałby za nie ukamienowany, za-

rzuconoby mu obrazę Sejmu, wytoczono śledztwo dyscyplinarne. W Anglii każdy wie, że skoro człowiek wybitny i doświadczony prawnik posunął się do takiego protestu przeciw ustawie, musiał to zrobić po dojrzałym namyśle — i z pewnością wnet znaleźli się w parlamencie ludzie, co wystąpili z wnioskiem o jej rewizję.

Niepodobna sobie wyobrazić na tle angielskiej sali sądowej takich wybryków obrony, jakie u nas są na porządku dziennym, a jakich drastyczne przykłady dały np. lwowskie procesy, będące w związku z zamachem na prezydenta Wojciechowskiego, lub różne warszawskie procesy komunistyczne. Jeżeli adwokat w wyższych trybunałach angielskich tytułuje sędziego „jego lordowską mością“, pachnie to może średnio-wieczem, ale równocześnie zapewnia porządek i poszanowanie władzy, która stoi na straży sprawiedliwości i w razie potrzeby umie w jej imię ukracać nadużycia innych organów rządu. Każdemu obywatelowi przysługuje prawo apelować do sądu przeciw zarządzeniom władz gminnych. I nie musi przytem wcale powoływać się na paragrafy, twierdzi po prostu, że uważa postępowanie zarządu miasta lub wsi za szkodliwe i niesprawiedliwe.

Opłaty sądowe są nadal dość wysokie, podobnież honorarja adwokackie. Ma to niewątpliwie pewne ujemne skutki, ale równocześnie zapobiega uprawianiu sztuki dla sztuki, procesowaniu się o byle co z samego zamiłowania. Człowiek niezamożny, wykazawszy, że ma dostateczne powody do wszczęcia sprawy, otrzymuje zwolnienie od taks i bezpłatnego zastępcę prawnego, zresztą nie jest bynajmniej wypadkiem wyjątkowym, że strona obchodzi się bez adwokata.

Zatrzymano z prastarych czasów instytucję sędziów podróżujących. Tak niegdyś objeżdżał swe dzierżawy król, rozstrzygając najważniejsze spory między poddanymi. Później w jego zastępstwie wybierali się co kwartał na roki do ośmiu miast angielskich członkowie trybunału, zwanego ławą kró-

lewską. Przyjmowano ich z całym ceremonjałem, należnym osobie władcy, którą zastępowali.

Sędziowie jeżdżą po dwóch, jeden zajmuje się sprawami karnymi, drugi cywilnymi. Szczególnie w drugim wypadku, ponieważ idzie o spory między chlebobawcami a służbą, o zatargi handlowe i tym podobne, zjawienie się człowieka obcego, nie mającego w danym mieście znajomości i nie uprzedzonego na niczyją korzyść, działa bardzo dodatnio. Obcy sędzia cieszy się też zwykle większą powagą od miejscowego, który może mieć znane wszystkim słabostki.

IX.

„Sędziowie podróżujący“ występują po dziś dzień w całym blasku swej godności. Przyjmuje ich szeryf w galowym stroju. Zajeżdżają w pozłocistej karecie i wysiadają z niej przy odgłosie trąb. Towarzyszą im halabardnicy w malowniczych strojach historycznych.

Będąc świadkiem tej sceny, cudzoziemiec roześmieje się może z politowaniem. Wydadzą mu się również śmiesznymi piętrzące się prawie pod sufit pudrowane peruki sędziów, ich czarne, długie, jedwabne suknie i wogóle skomplikowane obrzędy, towarzyszące wymiarowi sprawiedliwości. Ale należy pamiętać, że tak samo przeciętnemu Anglikowi wydałyby się dziwaczną maskaradą kontusze, żupany i delje. Tradycyjne stroje i ceremonje niewątpliwie działają silnie na wyobraźnię, więc też W. Brytania reżyseruje troskliwie wszystko, co ma robić wrażenie niecodzienne, nie oszczędzając pieniędzy na puder, na barwne draperje, na pióropusze, na szamerunki. Każdy gwardzista wyda się cudzoziemcowi na pierwszy rzut oka oficerem. Na tle murów londyńskiej Wieży strzegący przechowywanych tam zbiorów halabardnicy, zwani dla swego wzrostu i muskularności *beefeaters* (zjadaczami wołowiny), przedstawiają się nadzwyczaj malowniczo. Ich strój pochodzi z połowy XVI w. Szkocki żołnierz w krótkiej, nie tamującej

ruchów spódniczce (*kilt*), będzie śmieszny tylko dla człowieka, który nigdy o czemś podobnem nie słyszał, ale u Brytyczyka wzbudzi wspomnienia romantycznej historii wojowniczych klanów, co jeszcze w połowie XVIII w., walcząc w sprawie ukochanej — choć niewiadomo zaco ukochanej — dynastji, wyrażały sobie klejmorami¹ drogę nieledwie do Londynu, robiąc po drodze bigos z przeważających liczbą regularnych pułków, a przestały być postrachem spokojnych obywateli dopiero wtedy, gdy ich żołnierskie skłonności zużytkowano, tworząc w armji osobne formacje szkockie.

Zamiłowanie do dawnych strojów i do malowniczych uroczystości powstało w Anglji na tle poszanowania tradycji, o jakim my nie mamy wyobrażenia. Z postępowością co do treści szedł zawsze w parze konserwatyzm co do formy.

Król angielski nie ma właściwie żadnej władzy. Gdyby spróbował sięgnąć po nią, naraziłby się na usunięcie, do czego naród jest uprawiony. Nie wolno monarsze nawet ułaskawić skazańca, którego gabinet nie ma zamiaru ocalić. Jednem słowem, król nie jest głową państwa, tylko symbolem jego jedności, symbolem wielkiej idei, ożywiającej i łączącej imperjum. Zato pozostawiono mu przepych ceremonjału, sięgającego normandzkich czasów. I król tak szanuje tradycję, że podczas pobytu w Szkocji ubiera się na pewne przyjęcia dworskie w spódniczkę.

Ale — powie ktoś — co dwór, to dwór. To przecie z natury rzeczy przytułek niedorzecznej starej etykiety i średniowiecznych przeżytków. Otóż nie. Mówiłem już o sądach. Jeszcze lepszym przykładem jest parlament. Z jaką pompą odbywa się jego otwarcie! Jak ściśle określony jest przebieg jego obrad! I znów cudzoziemiec może śmiać się — a przecie drobiazgowość regulaminu jest mądra i celowa. Ten *speaker*, przed którym leży młotek czy berło (*mace*), a do którego

¹ *Claymore* — krótki miecz, którego używały klany szkockie, zwłaszcza góralskie.

zwraca się każdy mówca, to większa figura, niż nasz marszałek. Ma prawo nieposłusznego czy niesfornego posła kazać poprostu zamknąć w sławnej „wieży zegarowej“. Lecz do takich ostateczności nie dochodzi. Izba Gmin poto wybrała *speakera* i wyposażyła go w daleko idącą władzę nad sobą, aby szanować w nim swój symbol.

Przemawiający, jak wspomniałem, zwraca się zawsze do niego, a o innych członkach Izby mówi w trzeciej osobie, nie wymieniając nazwiska, tylko okrąg wyborczy. Jeżeli idzie o wojskowego, musi używać formuлки „wielmożny i dzielny poseł z X“, jeżeli o prawnika, „wielmożny i uczony poseł z X“. Łatwo sobie wyobrazić, jak te zwyczaje kojąco wpływają na burzliwe temperamenty, jak dodają obradom spokoju i powagi. Niejeden, co w innych warunkach krzyknąłby do parlamentarnego kolegi „Ty idjoto!“ lub „Ty łajdaku!“, ogranicza się pod ich wpływem do rzeczowej krytyki lub do umiarkowanego szyderstwa. I nie różni się w tym wypadku od dwu stronnictw z wiekową tradycją członkowie partji pracy. Wszedłszy między wrony, kraczą, jak i one. Uroczysta atmosfera robi swoje.

Jeszcze wspanialej przedstawia się Izba Lordów. Zachodzi tu jednak analogja z królem. Odbierając parom wpływ na rządy, pozostawiono im pozory i blask zewnętrzny.

X.

Piękną rzeczą jest lekceważenie form, gdy idzie w parze z większem przejęciem się treścią. Ale to dobre dla wybranych jednostek, dla wyrastających nad tłum mocarzy ducha, dla intelektualistów i filozofów. Przeciętny zjadacz chleba nie spoufali się, nie żyje z idea, o ile do jego zmysłów nie przemówią jej znaki widome. Zdolność do abstrakcji jest udziałem niewielu, ogromna większość ludzi, aby czuć i myśleć, musi widzieć i słyszeć.

Licząc się najwidoczniej z tą właściwością natury ludz-

kiej, Anglicy starają się przeszłość uczynić dla ogółu wiecznie żywą przez zachowanie i udostępnienie jej pamiątek, przez wznoszenie pomników, którymi tak gęsto usiane są miasta. Prawda, że między ludzi wielkich czy wybitnych wmieszało się dużo intruzów, których jedyną zasługą było pochodzenie lub stanowisko. Ale nawet tacy są ucieleśnieniem pewnej idei lub pewnej epoki.

Konserwacja zabytków jest niezmiernie staranna, interesuje się też niemi każdy. Pierwsze lepsze dziecko wskaże w Chelsea dom Carlyle'a, w Hampstead dom Keatsa, dopiero w r. 1925 otwarty jako muzeum dla publiczności, na *Chancery Lane* winiarnię, w której przesiadywał Ben Jonson w otoczeniu swoich „synów“, dyktując im zarówno ustawy pijackie, jak zasady poetyki. Potrafi przytem naturalnie tylko objaśnić, że to byli wielcy pisarze. Ale już osoby te są dla niego czemś realnem, co ponad wszelką wątpliwość istniało, już zrodziła się w młodem serduszku chętka dowiedzenia się o nich przy sposobności czegoś bliższego, zaznajomienia się z ich dziełami.

A pamiątki historyczne! Tu w Tyburn stała szubienica, na której po restauracji Stuartów powieszono wydobytego z grobu trupa Cromwella... A za co?... Tu na placu przed Whitehall spadła przecie głowa Karola I... Tu, w *Hampton Court* tak chętnie mieszkała Elżbieta... Oto strzela wgórze *Monument*. Ma 202 stóp wysokości, bo o 202 stóp od tego miejsca, na *Pudding Lane*, miał w r. 1666 wszcząć się ogień... Oto potężny kompleks gmachów, zwany poprostu Wieżą (*Tower*), budowany przez długie wieki, rezydencja i więzienie królów...

Wejdźmy na chwilę. Te stare kruki, poważnie przechadzające się po trawnikach, póki ich olimpijskiego spokoju nie zamąci czereśnia lub winogrono, pamiętają może dzieciństwo królowej Wiktorji. Oto *Wakefield Tower*, nazwana tak, ponieważ po bitwie pod Wakefield w czasie wojen Dwu Róż napełniła się stronnikami Yorków. A oto Biała Wieża —

tę podobno w części wybudował już Wilhelm Zdobywca. Jej ściany wewnętrzne pokryte jeszcze pismem więźniów politycznych.

Tu cela starego wilka morskiego, Sir Waltera Raleigh, co za Elżbiety dowodził flotami i kapał się w słońcu łask królowej — może bardzo daleko posuniętych, — a za jej następcy, wtrącony niewinnie do turmy, przetestnił lat kilkanaście, pisząc dla rozrywki olbrzymią kronikę świata — to ten foljał, uroczyście umieszczony w celi w trzechsetną rocznicę zgonu. Cenił sobie jako najwyższą przyjemność przechadzkę po wąskim tarasie, zwanym do dziś dnia *Raleigh's Walk*. Nie widział z niego coprawda okrętów, lecz słyszał radosne okrzyki wracających z szerokiego świata żeglarzy. A wciąż marzył o tem, aby jeszcze raz w życiu odetchnąć morskiem powietrzem, aby raz jeszcze pozdrowić nienawistnych Hiszpanów ogniem i ołowiem, aby raz jeszcze wylądować na brzegach Nowego Świata i szydząc z tysięcznych niebezpieczeństw, ruszyć przez lasy dziewicze na poszukiwanie „złotego grodu Manoa“, bogatszego, niż Meksyk i Peru. Udało mu się skusić chciwego a rozrutnego króla wizją złota. Popłynął stary Sir Walter starym szlakiem na zachód, dostawszy na pożegnanie przestrożę, że starcie z Hiszpanami opłaci głową. Hiszpanie pierwsi na niego napadli i pomścił się na nich krwawo, choć w boju utracił syna. Lecz grodu Manoa nie znalazł, bunt niesfornej załogi zmusił go do powrotu, stanął więc przed gniewnym monarchą z próżnymi rękami — i oto tam na *Tower Hill* przeciął nić życia starca miecz katowski.

Bo być traconym bez tłumy ciekawej gawiedzi, żądnej wstrząsającego nerwami widoku, należało do rzadkich przywilejów. Spójrzmy na bruk przestronnego dziedzińca. Choć te głazy tak czysto wymyte, tak białe, bije od nich zapach krwi. Tu umierały dwie żony Henryka VIII. Tu, chcąc przerazić i zmusić do uległości katolików, ścięto hrabinę Salisbury, „ostatnią z Plantagenetów“. Nie złożyła głowy na pniu, bo nie czuła się zdrączynią stanu. Tu strącił topór katowski złoto-

włosa, dziecięcą prawie, a pełną mądrości główkę Joanny Grey, „królowej dziewięciodniowej“.

Tu znów stracono Essexą, rycerskiego, pięknego magnata, ulubieńca „dziewiczej królowej“, co w taką wzbil się dumę, że samowolnie zawarł pokój z irlandzkimi buntownikami, a zgromiony zato po powrocie, targnął się na osobę Elżbiety, aby obok niej zasiąść na tronie. Lecz nie poszedł za nim tłum, co go był witał radosnemi okrzykami, gdy o pięć lat wcześniej wracał w triumfie, zaświeciwszy pobladłym z trwogi Hiszpanom w oczy łuną Kadyksu — i przyszło dać gardło w tem ponurem podwórzu. Wedle tradycji dumny hrabia posiadał pierścień, dany mu niegdyś przez królową z obietnicą, że jeśli kiedyś go pokaże, ona spełni każde życzenie swego paladyna. Nie pokazał — i po tych białych głazach stoczyła się jego piękna głowa, a potem przez długie lata gniła na londyńskim moście i królowa ze śmiechem pokazywała ją któremuś z obcych posłów. Lecz drogo ją ten śmiech kosztował — od tego czasu nikt już nie widział jej uśmiechniętej.

Poco pamiętać te krwawe historie? Poco je ludziom przypominać? Bo była w tych wyrokach i w tych skazańcach wielkość, bo często ginęli w imię idei lub w walce z ideą, a jeśli nawet ich pobudki lub pobudki tych, co posyłali ich na śmierć, były osobiste, to zawsze życie jednych i drugich wiązało się z wielkimi ideami lub z wielkimi przewrotami dziejowemi.

Oto Krwawa Wieża. Tu Ryszard Gloucester wtrącił dwóch swoich bratanków, z których jeden nosił dumne imię Edwarda V. Słuch zaginał o chłopcach, a Ryszard siadł na tronie, aż znów zkolei pozbawił go korony i życia Henryk VII. Ryszard był dzielny i mądry, choć srogi i podstępny w grze królewskiej. Henryk był równie mądry, równie żądny władzy, równie podstępny, a przytem chciwy złota. Miał wiernego sługę, co dzieje jego poprzednika przekazał potomnym, malując Ryszarda jako zbrodniarza o duszy równie

potwornej, jak niekształtne ciało garbusa. A szły już między ludem coraz głośniejsze szept, że z rozkazu Ryszarda zgładzono królewskich chłopców w Krwawej Wieży. Potwierdził to autor bezimiennej *Historji*,¹ powtarzali za nim inni kronikarze.

Aż przyszły czasy, kiedy magnat i włóczęga z równą skwapliwością dążyli na drugi brzeg Tamizy, by nacieszyć oczy widokiem malowanych królów i rozradować uszy cudną muzyką jambu. I wielki Szekspir sięgnął do zapyłonych kronik. Może wiedział, że tworzy wiecznotrwałe piękno, ale przede wszystkim myślał o tem, aby ściągnąć publiczność do teatru, w którym posiadał już lub miał otrzymać udział, aby zadać cios konkurencyjnej trupie i aby dać pole do popisu przyjacielowi Burbage'owi. Postawił więc na deskach scenicznych straszliwego garbusa, pławiącego się we krwi dla przyjemności zabijania i mordującego dzieci. Dla dramatycznego przeciwstawienia uczynił jego szczęśliwego rywala świetlanym rycerzem z bajki.

Napróżno wkrótce potem Bacon odmalował Henryka VII takim, jakim ten był w istocie. Napróżno historycy XIX i XX w. opisują mądre i szczęśliwe rządy garbusa, napróżno jeden z nich dowodzi, że mordercą książąt, uwięzionych w Tower był nie kto inny, tylko Henryk VII, że z jego to rozkazu pogrzebano pod schodami owe dwa małe szkielety, znalezione w półtora wieku później i pochowane uroczyście w grobach królewskich. Zdaje się, iż rzeczywiście zbrodnię popełnił Henryk, ponieważ chłopcy byli prawymi spadkobiercami korony, a on, zwycięzca z pod Bosworth, uzurpatorem. Wiemy też, że miał tajemnicze wyrzuty sumienia pod koniec życia i pod ich wpływem kazał zbudować najwspanialszą z kaplic Opactwa Westminsterskiego, tę kaplicę, o której sklepieniu powiedział

¹ Przypisywanej długo bez silniejszego uzasadnienia Sir Tomaszowi More, kanclerzowi za Henryka VIII, autorowi słynnej „Utopij“ i męczennikowi katolickiemu.

Washington Irving, że „kamień dzięki subtelnej pracy dłota pozbawiony został swej wagi i grubości, zawieszony jakby sztuką czarodziejską w powietrzu“. Nie bez głębszej przyczyny rozstawał się Henryk z gorąco umiłowaniem złotem na te cuda architektoniczne. Lecz wielka jest władza grzmiącego jambu. Ryszard pozostanie na zawsze potworem z garbatą duszą bez jednego lepszego rysu i katem bratanków.

Wydźmy z ponurych gmachów, tu duszne, krwią przesycone powietrze. Zapuśćmy się znów w sieć wąskich uliczek. Spójrzcie — oto gospoda, w której późniejszy Henryk V hulał z Falstaffem i układał z nim plany rozbójniczych wypraw. Znowu historycy naszych czasów powiedzą, że Henryk był młodzieńcem biegłym w sztukach rycerskich i obeznanym z polityką, że zawczasu układał ambitne plany podbojów, że nie łotrował po drogach i nie rabował funtów sterlingów, zanim zaczął rabować grody, prowincje i państwa, że nie pił z Falstaffem, bo żadnego Falstaffa nie było na świecie. Niech sobie historycy bają. Szekspir musiał lepiej wiedzieć. Jemu wierzy przeciętny Anglik. Komuż będzie wierzył, jeżeli nie największemu genjuszowi swego narodu?

Tak to twory poetyckiej fantazji stają się czemś realniejszym od ludzi z krwi i kości. Tak tradycja, legenda zwycięża historję.

Tem łatwiej jej zaś wyjść zwycięsko z tego boju, że przeciętny Anglik niewiele umie historji, nawet ojczyzej. Zaabsorbowany przez praktyczny zawód, zapomniał po największej części tego, co dała mu szkoła. Coś tam jeszcze czasem przypomną mu stare głązy i posągi. Ale naogół wielkie postaci i wypadki przeszłości widzi jak przez mgłę. A mgłą jest tradycja.

Wie on to i owo o Wilhelmie Zdobywcy, o Henryku VIII, o Elżbiecie, o Cromwellu, o Nelsonie, o Wellingtonie — ale zapytaj go o czas, w którym żyli, a przekonasz się, że zna go zaledwie w przybliżeniu. Tak, tak, z pewnością, jednych dawniej złożono w Westminsterze, drugich mniej dawno...

Lecz jasnego chronologicznego obrazu dziejów W. Brytanji u niego nie znajdziesz. Jeżeli zaś opowiesz mu coś o mniej znanych postaciach i zdarzeniach, będzie słuchał, jak o żelaznym wilku — czasem nie bez pewnej nieufności. Czy też ten cudzoziemiec nie ośmiela się mnie brać na kawał? Bo przecież ja o czemś podobnem w życiu nie słyszałem!

W parze z tem idzie idealizacja bohaterów narodowych. Powiedz, że Henryk V po bitwie pod Azincourt kazał tureckim obyczajem w pień wyciąć jeńców; że wedle słów najpopularniejszego angielskiego historyka ostatnich czasów zasadniczą metodą polityczną Elżbiety było kłamstwo i że, choć tę wielką królową zwano dziewiczą, w rzeczywistości różnie tam bywało; że Nelson wieształ w Neapolu ludzi, którym uroczyście przyrzeczono życie. Powiedz to Anglikowi, a nie tylko nie uwierzy, ale jeszcze pewnie obrazi się na ciebie.

I kto wie, czy nie będzie miał słuszności. Bo ty będziesz mówił mu o rzeczywistych postaciach dziejowych, takich, jakimi przedstawia je badacz, szperający w aktach dyplomatycznych, w korespondencji i pamiętnikach, on zaś ma w duszy szereg świetlanych obrazów, szereg bohaterów, których rzeczywistej historii zapomniał, ale którzy żyją swoistem życiem i mieniają się wszystkimi barwami tęczy. Co tam trzeba było wykuć z lekcji na lekcję, dawno uleciało mu z głowy. Swe wiadomości czerpie z zapamiętanych zabytków, pomników, portretów, zwalisk, z dorywczych objaśnień zawodowych przewodników i przygodnych towarzyszków, z aluzyj politycznych, czynionych przez mówców i przez autorów wstępnych artykułów. To wszystko w ciągu lat niepostrzeżenie osnuwa tkanina podświadomie działającej wyobraźni — i może tak właśnie lepiej. Niech całą prawdę w jej nagości znają ci, co piszą historję lub ją tworzą — przeciętnemu człowiekowi wystarczą i wyjdą na dobre złudzenia, dające karm jego dumie narodowej i stawiające mu przed oczyma ideał do naśladowania.

Jak wspomniałem, ogromnie wiele robi w tym kierunku poszanowanie zabytków i wznoszenie pomników. Ludzie, nie

umiejący powiedzieć, z kim i o co wojował Nelson, stroją kwiatami jego kolumnę na *Trafalgar Square* w rocznicę bitwy, co dała nazwę wspaniałemu placowi. Gdy w słoneczną niedzielę autobus mija starą gospodę w Barnet, jej nazwa, *The Battle Inn*, przypomina wycieczkowiczom, że gdzieś koło tego miejsca poległ Warwick — i wnet ktoś powtórzy jego fascynujący przydomek „twórca królów“ (*the King-maker*). Bynajmniej nie wynika z tego, aby choć jedna osoba w towarzystwie wiedziała, kiedy była wojna Dwu Róż i jakie miała skutki dla Anglii.

Przed parlamentem stoją dwa posągi — Ryszard Lwie serce i Cromwell. Każdy potrafi powiedzieć, że jeden rozślawił imię angielskie po muzułmańskim Wschodzie, a drugi i mieczem żołnierskim i toporem katowskim zwalczał tyranję. Lecz chyba cudzoziemcowi tylko przyjdzie odrazu na myśl, że te dwa pomniki to dwie sprzeczne, wrogie sobie idee. Tylko cudzoziemiec zapewne przypomni sobie, że owi dwaj ludzie obok heroicznych czynów spełniali i zbrodnie, bo Ryszard umiał łupić niegorzej od herszta opryszków, a Cromwell nietylko płacił się we krwi irlandzkiej, ale w samej Anglii żelazną prawicą dławił tę samą wolność, na której ołtarzu złożył głowę Karola Stuarta.

Nieopodal natknę się przechodzień na Cenotafjum, grób Nieznanego Żołnierza. Za lat pięćdziesiąt połowa przewijającego się tędy tłumu nie będzie pamiętała, za co ten nieznanany walczył i ginął. Ale wszyscy będą czuli, że przelewał krew w imię wielkiej idei, i wszystkie głowy będą odkrywały się przed nim, jak odkrywają się dzisiaj.

Anglja usiana jest zabytkami. Średniowieczne podanie opowiada o mnichu czarnoksiężniku, co mocą swej magji rozkazywał duchom i miał przy ich pomocy otoczyć cały kraj potężnym murem ze spiżu. Zamiary jego udaremniło niedbalstwo głupiego sługi. Lecz mur spiżowy istnieje — jest nim morze, które przez siedmset lat broniło Anglii przed inwazją. Uchroniło też od zagłady te stare zamczyska, będące

wcieleniem romantycznej przeszłości. Anglik nie lubi ruin. To też zamiast pozwolić budowłom przodków rozpaść się w gruz, woli je stylowo naprawiać i konserwować.

Ale nie tylko dzieła ludzkiej ręki są dla Brytyjczyka „arką przymierza między dawnymi a nowszymi laty“. Wszakże on nawet Tamizę nazywa „płynną historją“.

XI.

Z poszanowania tradycji, choćby w rzeczach zewnętrznych, i z czci dla przeszłości, choćby widzianej przez pryzmat legendy, rodzi się angielski patriotyzm. Ale ma on jeszcze jedno źródło.

Dzięki szczęśliwym warunkom państwo dawało swym obywatelom zawsze bardzo wiele, więcej może, niż którekolwiek inne. Mając granice, zabezpieczone wedle słów wyroczni delfickiej drewnianymi, a wedle obecnego stanu rzeczy stalowymi murami, i nie lękając się zewnętrznego wroga, mogło szanować wolność jednostki.

Anglik posiada nieograniczoną prawie swobodę słowa. Niema w jego kraju ustawy o obrazie majestatu lub obrazie państwa czy godła państwowego. Niedawno zdarzyło się, że z dwóch sąsiadujących z sobą trybun w *Hyde Parku* przemawiali równocześnie komunista i konserwatysta. Ten drugi, doszedłszy do szczytowego punktu i chcąc słuchaczy porwać efektem uczuciowym, rozwinął chorągiew brytyjską, popularnie zwaną *Union Jack*. Tłum, skupiony obok mównicy odkrył z szacunkiem głowy i była chwila ciszy, pośród której doleciały do uszu wzruszonych patriotów słowa: „Patrzcie się na tych głupców, co korzą się przed brudną szmatą!“. Tego za dużo było policjantowi, stale asystującemu popisom krasomówczym komunistów, poprosił więc bolszewickiego mówcę, aby poszedł z nim do komisarjatu. Spisano protokół i wytoczono sprawę sądową — o podżeganie do zaburzeń, które ewentualnie mogły wyniknąć z obrazy państwowej cho-

rażwi. Naturalnie ta koncepcja prawna była dowolna, więc sędzia wydał wyrok uwalniający.

Obraza króla traktowana jest tak samo, jak obraza każdego człowieka. Tylko w czasie wojny wolno Anglika, pozwalającego sobie na pogroźki przeciw osobie panującego, uwięzić, ale i to za ledwie na krótki przeciąg czasu. Natomiast każda obraza honoru, szczególnie popełniona drukiem, ściąga surową karę. Nasz sąd, dręczony powodzią „pyskówek“ czy „obrazówek“, mógłby wzdychać do angielskich ustaw. Tam za występki przeciw bezpieczeństwu czci wymierza się nadzwyczaj wysokie grzywny i zdarza się, że za chwilowy brak panowania nad sobą trzeba później płacić przez długie lata, odmawiając sobie wszelkich przyjemności i wygod. To też sprawy o obrazę honoru są rzadkie. I nie jest to ograniczeniem swobody osobistej, raczej jest jej ochroną.

Państwo bogate, czerpiące swe bogactwo bezpośrednio i pośrednio głównie z światowego handlu i kolonij, mogło dla społeczeństwa robić bardzo wiele. Pokryło też powierzchnię kraju siecią wspaniałych dróg, założyło szereg instytucyj użyteczności publicznej. Ubożsi korzystają z bezpłatnych łaźni, bezpłatnej porady lekarskiej, nawet bezpłatnej porady prawnej — a wszystko jest naprawdę w dobrym gatunku. Za niewielką opłatą, a w pewne dni za darmo każdy może zwiedzać liczne muzea i zbiory. Stoją mu otworem tysiączne ogrody i parki. Opiekuje się nim i udziela mu informacji wybornie wyszkolona policja.

To robi państwo dla szarego tłumu. Ale wypróbowana w ciągu wieków i ulepszana troskliwie maszyna daje również dużo wybranym jednostkom. Idźcie do czytelni *British Museum*. Ten olbrzymi księgozbiór (ponad 4 miliony tomów) jest dostępny dla każdego dorosłego człowieka, który wykaże się poleceniem dwóch osób, zamieszkałych w Londynie. Jaką tam będzie otoczony wygodą, jaką znajdzie łatwość korzystania z nagromadzonych skarbów myśli ludzkiej, — czyto z zamierzchłych wieków, czy z ostatniej doby! Kto raz uży-

ska prawo wstępu, cieszy się nieograniczoną prawie swobodą. Do orientacji i bibliograficznych studjów służy mu tysięc-tomowy katalog. Koło dwudziestu tysięcy tomów ma pod ręką i może w każdej chwili sam po nie sięgnąć. Inne otrzyma w przeciągu jakiej pół godziny po wypełnieniu karty zamówienia. Jeżeli należą do białych kruków lub są zbyt cenne, będzie mógł je studjować w mniejszej sali, pozwalającej na czujniejszy nadzór. Wszelkich objaśnień udziela mu urzędnicy i służba. Na żądanie sprowadzą mu w krótkim przeciągu czasu każdą książkę z zagranicy.

Obok oddających się poważnej pracy naukowej uczęszcza do czytelni Muzeum cały zastęp dziennikarzy i literatów, którym idzie o spokojny i wygodny zakątek do pracy, a w zimie o ciepło. Atmosfera sprzyja niewątpliwie wysiłkowi umysłowemu, gdyż poważnie działa świadomość, że dookoła zagłębia się w lekturze, wyciska z książek rzeczy istotne i tworzy kilkaset jednostek, należących do wszelkich ras i narodów świata, a w promieniu paruset metrów skupiono to, co setki tysięcy ludzi pragnęły jako kwintesencję swych uczuć i myśli przekazać potomnym. Z pod ogromnej kopuły spogląda dwadzieścia wielkich nazwisk literatury angielskiej, wypisanych tu ku uczczeniu. Trzeba też widzieć, z jakim nabożeństwem przyglądają się uprzywilejowanym gościom czytelni i jej całemu wnętrzu zwiedzający, którym regulamin pozwala tylko w towarzystwie urzędnika czy służącego stanąć tuż za progiem i rozejrzeć się przez chwilę.

Idźcie między nagromadzone w tym samym gmachu skarby kultury i sztuki, do Galerji Narodowej, do Galerji Portretów, do *Tate Gallery*, do *Wallace Collection*, do dwóch olbrzymich muzeów w South Kensington, z których jedno mieści zbiory etnograficzne, reprodukcje najwspanialszych dzieł sztuki światowej i wyroby przemysłowe wszelkich epok aż do współczesnych, z brytyjską praktycznością wystawionych na sprzedaż, drugie reprezentuje wszystkie działy historii naturalnej. Trzeba zaś wiedzieć, że kto nie posiada

odpowiedniego przygotowania, ten nie jest skazany na błędzie poomacku po tych cudnych labiryntach, póki na chybił trafił odbierane wrażenia nie zawichrzą mu głowy i nie zleją się w obraz barwny, lecz zamazany. Po wszystkich muzeach i galerjach urzędują codziennie prelegenci, przeważnie o pierwszorzędnych kwalifikacjach. Historję sztuki wykładają malarze, historję naturalną przyrodnicy, uczący co najmniej w szkołach średnich, asyrjologję, archeologję klasyczną i starożytności brytańskie również nieprzeciętni specjaliści, wszyscy zaś w ciągu pewnego czasu dają całość i wszyscy starają się być tak przystępni, aby nawet zupełny laik mógł odnieść korzyść z ich wykładów. Dzięki temu dorosły człowiek, pragnący uzyskać dobrą podstawę do studjów nad jakimś przedmiotem lub nabrać o nim ogólnego pojęcia, ma do tego doskonałą sposobność, nie będąc narażonym nawet na konieczność przyznania się do swej nieświadomości.

Przez większą część w. XIX panowały na zachodzie Europy zasady liberalne, pozostawiające wiele spraw i przedsięwzięć inicjatywie prywatnej. Ponieważ na te właśnie czasy przypada największy rozkwit Anglii, wryły one na jej dzisiejszych stosunkach niezatarte piętno. Rząd jednocześnie czynił prywatnym przedsiębiorcom oraz spółkom ułatwienia i rozaczał nad ich działalnością troskliwą kontrolę. Stąd okręty pasażerskie odznaczają się dobrmi urządzeniami i dają wszelkie możliwe bezpieczeństwo, koleje są doskonałe, bo dzięki trwałości torów — na nasz jeden próg wypadają tam blisko trzy — mogą osiągać znaczną szybkość i ustępują pod tym względem tylko amerykańskimi, ale niezmiernie rzadko ulegają katastrofom, czego o amerykańskich nie można powiedzieć.

Ogromnie wiele robią dla społeczeństwa ożywione duchem obywatelskim stowarzyszenia. Zakładają bezpłatne wypożyczalnie książek i czytelnie, urządzają popularne kursa i odczyty, organizują godziwą zabawę. Jeżeli z jednej strony liczne, jak piasek w morzu, sekty hałaśliwą swą i nieraz

śmieszna nawet dla Anglika propagandą tego zrobią ciasnym fanatykiem, owego odstręczą od religji wogóle, to z drugiej strony ich działalność obfituje w skutki dodatnie. Jak kwiat pociąga przenoszącego pyłek motyla barwnością płatków, tak one dla jednania sobie zwolenników świadczą dobrodziejstwa i rzeczywiście nieraz nawracają zbłąkane jednostki z nad brzegu przepaści.

Najrozmaitsze urządzenia, z których korzystają całe miasta czy hrabstwa lub pewne większe ugrupowania ludzi, pochodzą z ofiarności prywatnej, ukazującej się najczęściej w formie legatów. Weźmy jako przykład oświatę.

Całe szkolnictwo powszechne stworzyły dzielne, mądre i ofiarne jednostki, łożąc na nie z własnych funduszków lub organizując odpowiednie towarzystwa. Byli między tymi pionierami oświaty magnaci i uczeni pedagogowie, ale byli i tacy, którzy tem wyżej ją cenili, że sami zaledwie jej zakosztowali. Sławne „szkoły obszarpańców“ (*Ragged Schools*) zawdzięczają swe powstanie skromnemu szewcowi z Portsmouth, Johnowi Pounds, do ich dalszego rozwoju przyczynił się znacznie hr. Shaftesbury. Dopiero po długich latach wytrwałej pracy towarzystw oświatowych rząd zaczął zwolna brać trud i koszt na swe barki. Ale i dziś jeszcze szanuje inicjatywę prywatną, powierzając nadzór nad szkołami radom obywatelskim. Nie przesadzę, mówiąc, że jeżeli Anglja w przeciągu niecałych lat stu wykorzeniła analfabetyzm, była w tem większa zasługa społeczeństwa, niż państwa, któremu zawsze trzeba było naprzód wskazać drogę i dowieść użyteczności tworzonych instytucyj oraz ich zdolności do życia. Za dowód niech posłuży fakt, że przymus szkolny istnieje dopiero od r. 1876, ministerjum oświaty od r. 1899.

Podobnie działo się w zakresie szkoły średniej. Tylko większość zakładów powstała znacznie dawniej. Rozporządzają one znacznymi środkami, nad których użyciem czuwa zwykle rada kuratorów, i pobierają wprawdzie od uczniów

opłaty, ale prócz tego mają dużą ilość miejsc funduszowych dla młodzieży niezamożnej a zdolnej.

Warto wymienić tu fundację Harpura. Był to zamożny mieszkaniec Bedfordu. Doszedłszy w Londynie do ogromnego majątku i godności lorda mera, postanowił zapewnić młodzieży z Bedford łatwość kształcenia się. Zapisał więc miastu ojczystemu kawał gruntu z wzniesionymi umyślnie budynkami szkolnymi, a na ich utrzymanie dodał położoną pod stolicą łąkę. Działo się to jeszcze za Elżbiety. Dziś łąka owa jest już prawie w samym centrum Londynu (w dzielnicy Holborn) i pokryła się siecią rojnych ulic, a czynsz, który płacą właściciele domów, wzniesionych na gruncie fundacji, przynosi ogromne sumy, pozwalając radzie kuratorów utrzymywać szereg szkół różnego rodzaju.

Od wieków istniejące uniwersytety w Oxford i Cambridge rozporządzają również znacznymi własnymi funduszami. Ich program niewątpliwie jest nieco przestarzały. Lecz mają niezmiernie mądrą organizację. Dla wybitnie zdolnych młodzieńców znajdują się zawsze miejsca funduszowe, reszta słuchaczy uiszcza wysokie opłaty, które są poważnem utrudnieniem. Zapobiega to hiperprodukcji inteligencji i kieruje *gros* każdego pokolenia do szkół zawodowych, szczególnie technicznych i handlowych, gdzie nauka jest tania. System stypendyjny wydaje znakomite owoce. Widać, że ci, którzy chcieli łożyć na cele publiczne, dobrze zastanawiali się nad tem, jak łożyć, aby osiągnąć najlepsze wyniki.

XII.

Niepodobna wyliczać, co na różnych polach zdziałała inicjatywa prywatna. Muszę jednak wspomnieć o jednej rzeczy. Ogromnie wiele zrobili myśliciele angielscy, którzy rzadko gubili się w abstrakcjach, lecz przeważnie szli w kie-

runku praktycznym i studjowali życie, myśląc nad tem, jakby je ułatwić i jakby zapewnić bezpieczeństwo oraz wygody jak najszerszym masom. Znow ograniczę się do charakterystycznego przykładu.

Daniel Defoe, późniejszy autor „Robinsona Crusoe“ ogłosił w r. 1697 ciekawą broszurę p. t. *Essay on Projects*, w której zawarł owoce swych doświadczeń życiowych i obserwacyj. Dziś, gdy cały szereg rzeczy, proponowanych przez niego, istnieje, przeciera się ze zdumieniem oczy, czytając rzucane tu myśli. Oto krótki przegląd treści:

Defoe zaczyna od dziejów przedsięwzięć, które wprawdzie uważano za niewykonalne, a które jednak dzięki rozsądkowi i energii dały świetne wyniki. Zestawia stworzoną właśnie pocztę z wyprawą po srebro z zatopionego przed 40 laty okrętu hiszpańskiego. Potępia natomiast spekulacje giełdowe, mające w ćwierć wieku później w sławnym krachu, znanym w historii pod nazwą *South Sea Bubble*, złowrogo wstrząsnąć życiem angielskiem.

Przechodząc do części pozytywnej, podaje pewne pomysły ulepszenia banków, poświęciwszy zaś nieco miejsca potrzebie budowy gęstej sieci bitych dróg, zajmuje się dłużej spółkami asekuracyjnymi — pierwsze powstały były właśnie. Ubezpieczały od ognia i od katastrof okrętowych. Defoe poleca oparcie asekuracji na zasadzie wzajemności i rozszerzenie jej na nieszczęśliwe wypadki wszelkiego rodzaju, nie wyłączając gwałtownej śmierci. Podaje projekt kasy chorych. Stwierdza konieczność lepszej opieki nad obłąkanymi, a biorąc rzeczy praktycznie, doradza urządzenie na ten cel loterii państwowej i nałożenie niewielkiego podatku na książki. Doświadczywszy samemu srogości, z jaką państwo w owych czasach postępowało z bankrutami, proponuje ustanowienie osobnego trybunału, któryby rozpatrywał ich winę. Rzuca następnie rys organizacji pewnych szkół wyższych, między innymi akademji wojskowej i akademji kobiecej. Żąda utworzenia specjalnego sądu handlowego, w którymby zasiadali

zawodowcy, oraz urzędu pośrednictwa pracy dla marynarzy, którzyby z niewielkich opłat, składanych przez pracodawców, dawał chwilowo pozbawionym miejsca połowę miesięcznej płacy.

W streszczeniu pomiąłem parę drobniejszych rzeczy, ale i wyliczonych pomysłów chyba dość na jedną książkę, a czytelnik łatwo osądzi, czy były fantastyczne. Defoe zaś przeważnie zaopatrzył je w najważniejsze szczegóły ustroju projektowanych instytucji i podał gdzie niegdzie nawet kosztorysy.

Wciąż* muszę chwalić dawne czasy na niekorzyść najnowszych, ale nie jest to bez przyczyny i trudno inaczej. Naprawdę, czy ta skromna, dziś nikomu prawie nieznaną książeczką Daniela Defoe nie była więcej warta, niż szumne „Utopje“ Wellsa lub stopy książek, komentujących Marksa?

Z nazwiskami, sławnymi w dziejach literatury angielskiej, łączy się często pamięć praktycznej akcji społecznej. Gorzki mizantrop Swift słynął z dobroczynności, ufundował zakład dla umysłowo chorych, a także bronił Irlandczyków przed wyzyskiem przez puszczenie w obieg mało wartościowej zdawkowej monety i wogóle przed uciemieniem ekonomicznym. Najkonsekwentniejszy filozof idealistyczny, Berkeley, poświęcił kilka lat życia myśli stworzenia kolegium uniwersyteckiego w Bermuda — i jeżeli jej w czyn nie wcielił, to tylko z winy rządu, który nie udzielił obiecaney pomocy. Największy powieściopisarz XVIII w. Fielding był dobrym sędzią i zrobił niejedno dla poprawy sądownictwa. William Morris spopularyzował sztukę stosowaną i można uważać go za jej twórcę.

XIII.

Skądże wzięła się ta prywatna ofiarność, tworząca fundacje? W imię czego cały szereg ludzi poświęcił większą część życia bezinteresownej pracy dla ogółu? Co czyniło

obywateli chętnymi nie tylko do brania od państwa, a tem samem narodu, ale i do dawania narodowi? Co zwracało twórcze umysły ku potrzebom społeczeństwa?

Jesteśmy u głównego źródła angielskiego patriotyzmu. Przesiąknięty wielką tradycją państwową, mając przed oczyma przykłady świetlane — choćby nawet czasem wyidealizowane w stosunku do historycznej rzeczywistości — Anglik niezwykle silnie rozumiał, a przynajmniej odczuwał związek między przeszłością, terażniejszością i przyszłością, między dolą jednostki a dolą ogółu i państwa.

Rzecz doskonale może zilustrować jej przeciwieństwo. W latach niewoli patriotyzm polski miał naogół charakter negatywny. Polegał na nieuznawaniu rządów zaborczych. Można było naturalnie takie uczucia żywić tylko w głębi serca i nie odpowiadać na niebezpieczne pytania, póki ich nikt nie stawiał. W praktyce prowadziło to do kompromisów, ale wszelkie kompromisy w sprawach zasadniczych mają w sobie coś niemoralnego. Uznawano więc obcą państwowość i współdziałało z nią we wszystkim, co nie godziło bezpośrednio w dobro Polski — gdyż pośrednio godził w niej sam fakt istnienia na jej terytorjum obcego rządu i prawidłowego jego funkcjonowania.

Lecz przychodziły chwile, w których trzeba było oświadczyć się za państwem lub za narodem. Osobiste szczęście, dobrobyt, szanse życiowe wymagały zgody z istniejącym stanem rzeczy, ideał niedwuznacznie sprzeciwiał się temu stanowi. Jednostka stawała wobec konieczności poświęcenia się. W tej sytuacji, jak łatwo zrozumieć, nie każda postępowała jednakowo i wynikała stąd fatalna anomalja. Oto jednostka lepsza, wierna ideałowi patriotycznemu, składała na ołtarzu swe szczęście i ginęła, szła na tułaczkę lub przynajmniej traciła dobrobyt i wpływowe stanowisko, a z niem zdolność twórczej pracy dla społeczeństwa. Jeśli sobie to jasno uprzytomnimy, uwzględniając przytem prawo dziedziczności i fakt, że rodzice wychowują dzieci, łatwo będzie

zrozumieć, że jesteśmy dziś narodem niezbyt wysoko stojącym moralnie i możemy osiągnąć wyższy poziom dopiero wtedy, gdy w zmienionych warunkach i patriotyzm nasz i całe życie oprzemy na nowych podstawach.

Anglik tego wszystkiego nie doświadczał. On, pracując dla siebie, pracował dla ojczyzny i naodwrot. Tworząc instytucje użyteczności publicznej, wiedział, że nikt ich ducha nie zatruje i nie obróci ich na szkodę jego własnych dzieci. Nie stawał na rozdrożu, nie staczał walk wewnętrznych. Od dwóch wieków blisko nie znał prawie kolizji obowiązków. Mógł zawsze bez namysłu współdziałać z władzami i uzupełniać ich działalność, często zaś prywatną inicjatywą wytyczał jej nowe drogi. Nawet gdy w czasie historycznego kryzysu państwo zażądało od niego ofiary z życia — a przeważnie nawet wtedy nie żądało — wiedział, że nie umiera nadarmo, że dzięki temu poświęceniu jego rodakom i dzieciom będzie lepiej, a nie gorzej.

Pomyślny, ile u nas energii poszło na samo przezwyciężanie egoizmu i podporządkowywanie go wyższemu ideałowi! A wszakże każdy człowiek jest większym lub mniejszym egoistą. Tam szczęście osobiste pozostawało najczęściej w zgodzie z ideałem, ze szczęściem ogółu. Nasze dzieje przez lat sto kilkadziesiąt były mrozącą nerwy tragedją, której poetyczność nie daje dostatecznej zapłaty za jej okropność, angielskie w tym samym czasie — to spokojna powieść z codziennego życia, o tendencji oklepanej, ale wybitnie moralnej. A mówiąc o tej różnicy, trzeba jeszcze koniecznie zaznaczyć, że jeżeli u nas najlepsze jednostki ginęły, to w Anglii wybijały się na pierwszy plan, nadawały ton życiu, stanowiły wzór do naśladowania, bo stały na świeczniku. Wyjątków naturalnie dość po obu stronach, ale wyjątki nie burzą reguły.

Ponieważ wdałem się w to zestawienie, muszę już tu dla uniknięcia nieporozumień doprowadzić je szkicowo do chwili obecnej. Polska dzisiejsza w przeciągu lat kilku, jakie przeżyła od chwili swego zmartwychwstania, nie zdołała

jeszcze wyjść ze stanu chaosu, nie zdołała wytworzyć nowych form życia. Straszą w niej jeszcze upiory niewoli. Istnieje świadomość dwóch rzeczy — że społeczeństwo musi podnieść się moralnie i że musi wytworzyć w sobie poczucie prawa. Lecz pokolenie obecne, wzrosłe jako poddani austriacy, niemieccy i rosyjscy, w jednym i drugim kierunku jest bezsilne. Jak nikt z tych, co pamiętali Egipt, nie mógł wejść do Ziemi Obiecanej, tak i to pokolenie musi wymrzeć, zanim skryształizuje się nowy polski patriotyzm i nowe polskie życie. Strach pomyśleć, co stanie się, jeśli synowie zawiodą, jak zawiedli ojcowie...

W Anglii większość społeczeństwa przejęta jest dawnymi, zdrowymi ideałami, lecz z różnych przyczyn, na których omówienie przyjdzie kolej później, na pierwszy plan wybijają się jednostki gorsze i one to po największej części nadają ton życiu. Wynika stąd poważne niebezpieczeństwo na jutro. Wróćmy jednak do wczoraj.

XIV.

Co mógł osiągnąć Anglik w nagrodę za owocną pracę dla dobra ogółu, które było najzupełniej zgodne z jego własnym dobrem, względnie za ofiarę na rzecz ogółu, polegającą czyto na wyrzeczeniu się dla niego części majątku lub części wolnego czasu, czyto w pewnych wypadkach na zaryzykowaniu życia?

Anglija umiała zawsze po królewsku traktować swych najlepszych synów. Dzięki bogactwu, dzięki zrozumieniu, jak potężnym czynnikiem w państwie jest zachęta, wreszcie dzięki dobrej organizacji urzędów, armji i floty mogła zawsze ludzi zasłużonych wynagradzać dobrobytem i nawet możliwością przekazania dobrobytu dzieciom.

Pięknie wyglądają na kartach historii Arystydes, którego nie było za co pochować, i Epaminondas, który musiał siedzieć w domu, gdy dał płaszcz do prania. Z pewnością

niejeden ze współobywateli podziwiał niechłodniej od Neposa ich bezinteresowność i cnotę. Ale chłop polski, spojrzawszy na nich, byłby wzruszył wzdargliwie ramionami i mruknął „Dziady“. A przeciętny Brytyjczyk bezwątpienia bliższy w tym wypadku polskiego chłopu, niż Neposa. Przy kształtowaniu się angielskiego życia i poglądu na życie, zasadniczym czynnikiem było prawo własności.

Zacząło się to jeszcze w zaraniu wieków średnich. Witeż saksoński wyrąbywał mieczem granice swych posiadłości. Wolnym był człowiek, który coś posiadał, a nieliczna klasa ludzi, mających wolność bez własności, powstała zapewne tylko przez utratę mienia. Ten, kto posiadał więcej, był szlachcicem, kto jeszcze więcej, hrabią, a król władał największym obszarem ziemi. Że pojęcie władzy łączyło się ściśle z pojęciem własności nieruchomości, widać jasno z faktu, iż zanim najeźdźcy teutońscy osiedlili się, niema u nich nazwy króla, hetmania im tylko wybrani na czas wojny z pośród wodzów książyta. Po ustaleniu się granic pewnej ilości królestw zdarza się czasem, że najpotężniejszy władca narzuca swe zwierzchnictwo innym.

W czasie tego procesu zaczynają do Anglii przesiąkać pojęcia feudalne, powstałe nie na gruncie teutońskim, ale znajdujące w teutońskim ustroju punkt oparcia w drużynach owych wodzów-królów. Otaczali się oni kołem wiernych sobie wojowników, wynagradzanych bronią, końmi, złotem, wreszcie ziemią. Było w interesie władców popierać ich jako zupełnie od siebie zależnych przeciw szlachcie, zdawna osiadłej na znacznych obszarach roli. Aby zaś zależność nie słabła, nadawali im ziemię nie jako własność bezwzględna, wedle rozpowszechnionego prawnego terminu alodialna, ale jako warunkową, feudalną. Z własnością szły w parze tytuły szlacheckie, a ponieważ dla uniknięcia rozdrobnienia własności mienie nieruchome przechodziło w całości na najstarszego syna, tytuł również jemu dostawał się w udziale — i ten zwyczaj miał pozostać na zawsze widomyym znakiem związku

między godnością i władzą z jednej, a własnością z drugiej strony.

Po podboju normandzkim Wilhelm przyspieszył proces, który z wolna dokonywał się już poprzednio, i za jednym zamachem zniósł resztę własności bezwzględnej. Pozostała tylko feudalna, a głowa państwa stała się jej jedynym źródłem i rozdawcą. Dwa pojęcia własności i dostojęstwa czy władzy, zrosły się w niej na szereg wieków. Jakie zaś stanowisko zajmował król względem baronów, takie zajmowali baroni względem niższej szlachty. Powstała hierarchja społeczna, w której męstwem na wojnie, twórczą pracą podczas pokoju i wogóle usługami, oddanymi panującemu, można było wznieść się na wyższy stopień, zdobywając równocześnie tytuł i własność.

W miarę upływu wieków zanikał feudalizm, zmieniały się stosunki. Obok własności nieruchomości wyrosła ruchoma. korzenie jej tkwiły w handlu i przemyśle. W ręce jej przedstawicieli przeszła poczęści praca pokojowa, którą poprzednio dźwigali na barkach przedstawiciele kościoła. Mądrzy prawodawcy nie zgnębili tej nowej siły społecznej, jak to stało się u nas. Owszem, wynagradzano zamożnych mieszczan za zasługi względem państwa niższymi tytułami, a czasem wynagradzano ich poprostu za wzbogacenie się, stwierdzając tem dowodnie zasadę, że stopień w hierarchji społecznej zależy od majątku. Z biegiem czasu przepaść, dzieląca arystokrację od innych stanów, przestała być nieprzebytą.

Warto porównać pod tym względem dwa najwyższe cywilizacją narody świata. I angielskie i francuskie społeczeństwo miało od niepamiętnych czasów ściśle ustalony podział na warstwy. Lecz Francuzi zahamowali naturalny rozwój. Ich arystokracja, ich niższa szlachta pozostały grupami, zamkniętymi w sobie, i broniły się skutecznie przed wszelką inwazją. Wskutek tego przyszło do rewolucyjnej niwelacji, a przewrót pochłonął olbrzymie mnóstwo ofiar. Anglicy, umiając być równocześnie zachowawczymi i postępowymi, zatrzymali dawny

podział społeczeństwa. Owszem, kto przyjrzy się dokładnie ich życiu, stwierdzi istnienie większej ilości warstw, niż jest ich gdziekolwiek indziej, stwierdzi nadto, że nigdzie indziej nie przywiązują do różnic tak wielkiej wagi. Lecz pomiędzy poszczególnymi warstwami potworzono kłapy bezpieczeństwa, zapobiegając gwałtownym wybuchom. Jednostka ma zawsze możliwość wzniesienia się wyżej.

XV.

Na tem tle powstał angielski snobizm, w szeregu zewnętrznych objawów głupi i śmieszny, ale zasługujący mimo to na miano potężnej, twórczej siły społecznej. Parjas, pozbawiony własności, znaczenia i szacunku, zamiast ścigać wyższych i szczęśliwszych od siebie nieprzejednaną nienawiścią, zamiast wyęczać wszystkie siły, aby ich ściągnąć na swój poziom, w większości wypadków będzie dążył do tego, aby wnieść się samemu. Zaprzątnięty tą myślą, stanie się może dla powieściopisarza czy komedjopisarza wzorkiem do humorystycznej karykatury. Osiągnąwszy posadę gminnego sługi, będzie, jak Bumble Dickensa¹, z przesadną powagą nosił stosowany kapelusz i teroryzował biedaków, z którymi zetknie się przy pełnieniu nowych obowiązków. Każdą zdawkową grzeczność będzie brał za oznakę rosnącej czci dla swego stanowiska. Lecz nieraz, powodowany ambicją społeczną, zasłuży się naprawdę, wykona wzorowo rzecz trudną i niebezpieczną, w pewnych okolicznościach zdobędzie się na heroizm. Nawet zazdrość stanie się u niego siłą twórczą, a nie niszczącą.

O swym snobizmie sami Anglicy dużo zawsze mówili i pisali. W połowie XIX w. Thackeray poświęcił mu osobną książkę, w której dobrodusznie wykpiwał najrozmaitsze odmiany i objawy powszechnie zakorzenionej cechy charaktery-

¹ „Oliver Twist“.

stycznej Brytyczyków. Zresztą nie trzeba „Księgi snobów”. Całe dzieła Thackeraya są jedną wielką epopeją snobizmu — i niewątpliwie autor nie byłby został jego znawcą i satyrykiem, gdyby sam nie był zarażony powszechną chorobą. Pisał, bo był wesoły i sam pełen winy. Przyznawał się nawet w pokorze ducha do tego.

Anglik przywiązuje niezmierną wagę do miejsca zamieszkania. Dom rodzinny jest dla niego symbolem niezależności. Każdy stara się mieć własny dach nad głową i nigdzie niema tak mało kamienic czynszowych. Ale niedość posiadać dom, trzeba go posiadać w przyzwoitej dzielnicy. Kto mieszka w jednej ze wschodnich dzielnic Londynu, ten nigdy nie wejdzie w wyższe towarzystwo. Jeżeli chce nawiązać w niem stosunki, musi szukać nowego *domicilium*. Ma do wyboru *Mayfair*, *Piccadilly*, *Grosvenor square* i pewną jeszcze, bardzo ograniczoną ilość ulic oraz placów. Niech zaś nie łudzi się, że będąc kawalerem, więc nie przyjmując w domu żonatych znajomych, zdoła ukryć swe miejsce zamieszkania. Anglicy ustawicznie piszą i telefonują do siebie, jakby umyślnie w celu uniemożliwienia tego.

Nigdzie też nie zwraca się tyle uwagi na zamożność ludzi. Trzeba należeć do modnego klubu, trzeba oddawać się kosztownym sportom, trzeba ubierać się u pierwszorzędnego krawca. Fałszywy ideał dżentelmena święci na każdym kroku triumfy.

U nas człowiek samotny bywa u szeregu rodzin, zjada obiady, bierze udział w przyjęciach i nie jest obowiązany prawie do żadnego rewanżu. W Anglii inaczej. Owszem, kawaler jest w gorszym położeniu od człowieka żonatego, który stosunkowo niewielkim kosztem przyjmuje znajomych w domu. On musi zapraszać ich do eleganckiej restauracji — a rzecz wiadoma, że nigdzie nie płaci się za markę lokalu tyle, co w Anglii. Jest też rzeczą przyjętą, że ten, kto proponuje np. wypicie podwieczorku w cukierni, zagranie partji golfa czy tenisa na wynajętym placu, przejażdżkę łódką,

pójście do teatru lub do kina, ponosi koszty za całe towarzystwo. Rzecz rozumie się sama przez się i ktoby usiłował przeprowadzić jakiś podział wydatków, zostanie z pewnością bez pardonu uznany za człowieka, nie zasługującego na wstęp do przyzwoitego domu jako osobnik źle wychowany lub brudno skąpy. Takimi to sposobami ekskluzywne koła angielskie bronią się przed wciśnięciem się w nie kogoś stosunkowo niezamożnego.

Między klasami wagonów kolejowych niema co do komfortu prawie żadnej różnicy — a jednak mnóstwo ludzi za nic w świecie nie siadłoby do trzeciej, są zaś tacy, którzy korzystają z rzadkości kontroli i systematycznie z biletem trzeciej jeżdżą pierwszą. Snobizm kolejowy pochodzi w prostej linii od dylizansowego. Kocz pocztowy miał miejsca wewnętrzne i zewnętrzne. Pisarz doby romantycznej De Quincey bajecznie opisuje sceny, rozgrywające się na stacjach:

„Anglja zawdzięcza znaczną część swej wielkości sile arystokratycznego żywiołu w ustroju społecznym, walczącego przeciw jej silnej demokracji. Nie ja będę śmiał się z tego. Lecz czasem bezwątpienia objawiało się to w komicznej formie“. Oto dylizans zatrzymał się przed gospodą i pasażerowie z dachu zmierają do sali jadalnej, lecz kelner kiwa na nich i wołając: „Tędy, moi dobrzy ludzie“, wskazuje drogę do kuchni. „O ileby usiedli, a raczej usiłowali usiąść przy wspólnym stole, z pewnością jakiś poczciwy starszy dżentelmen starałby się uspokoić trzech swych dostojnych towarzyszy, tłumacząc im, że gdyby pasażerów z dachu podczas najbliższej sesji sądowej oskarżyć o ich usiłowaną zbrodnię, trybunał uznałby to raczej za napad szału, czy *delirium tremens*“. A studenci oksfordzcy czasem patrzą pytająco nawet na pasażerów ze środka karetki...¹

I nie należy sobie wyobrażać, jakoby snobizm ograniczał się do wyższych kół społeczeństwa. Mówiłem o restauracjach. Lecz idźmy do szynku. Zobaczymy, że jest podzielony na

¹ *The English Mail-coach.*

trzy części, na t. z. bar publiczny, bar prywatny i salon. Obdarty pijaczyna, siadający codziennie nad szklanką *whisky* w „salonie“, za nic świecie nie wypiłby jej na stojąco przy szynkfasie baru publicznego.

Każdy zawód i każda czynność ma swój strój tradycyjny. Do bankiera przyjmującego interesentów w ubiorze sportowym, niktby nie miał zaufania. Doniedawna na wszystkie lepsze miejsca w teatrze nie wpuszczano gości w marynarkach — obowiązkowy był frak. Po wojnie światowej dzięki zetknięciu się szerszych mas z kontynentem, szczególnie z bezceremonjalnymi Francuzami i dzięki wypłynięciu mnóstwa dorobkiewiczów, a zubożeniu mnóstwa ludzi z dotychczasowego „towarzystwa“ — mimo tego, że dorobkiewicz chwytą się kurczowo starych form i zwyczajów — rzecz się zmieniła i książę Walji usankcjonował tę zmianę, ukazując się w łożu w marynarce. Lecz jeszcze wielu ludzi twardo stoi przy dawnej praktyce, a krzesła pierwszego piętra dalej nazywają się — i przez setki lat będą nazywały się — *Dress Circle*, kołem wieczornych strojów.

Jakim sposobem cylinder, brzydkie i niewygodne nakrycie głowy, trafnie zestawione przez Chestertona z kominem, uznano za symbol elegancji i przynależności do wyższego towarzystwa, nie wiem. Ale fakt nie ulega wątpliwości. I ten przesąd dziś powoli znika. Lecz pamiętaj, niedoświadczony cudzoziemcze: Gdy przyjdiesz na jedną z wielkich stacyj londyńskich i będziesz miał interes do jej naczelnika, rozglądaj się za dżentelmenem w cylindrze, który przechadza się wolnym krokiem pośród tłumu śpieszących się podróżnych.

Wogóle, zdaje się, w podświadomej jaźni konserwatywnego snoba angielskiego żyje jeszcze poczucie, że niegdyś fakt zatrzymania kapelusza na głowie w danym miejscu był dowodem uprzywilejowanego stanowiska. Zdrowa i wygodna moda chodzenia w lecie z odkrytą głową znajduje zwolenników prawie wyłącznie pośród młodzieży. Starszym tego czynić nie wypada. Dżentelmen, siadający w kapeluszu w ka-

wiarni, w jadalni pensjonatu, w czytelni *British Museum*, czyni to dlatego, że niegdyś wysoka szlachta miała przywilej wchodzić tak na pokoje królewskie, a dowodem najwyższej uprzejmości ze strony magnata, dostojnika, czy monarchy były słowa: „Proszę nakryć głowę“.

XVI.

Oto śmieszne, często nawet godne pogardy strony snobizmu. Lecz wejdźmy na chwilę do Narodowej Galerji Portretów. Znajdziemy tu ugrupowane wedle pokoleń i okresów podobizny znakomitych ludzi.

Naturalnie narzucają się oku przedewszystkiem portrety monarchów i arystokracji. Obok nich widać osoby, które przypadek uczynił sławnymi — z jednej ze ścian patrzy oblicze człowieka, co dostał się w zbiorowisko różnych wielkości jedynie dlatego, że urodził się w tym samym roku, co Luter, a umarł za Karola I, przeżywszy z górą półtora wieku. Gdzie indziej niezdrowe czasy restauracji charakteryzuje bukiet zatrutych kwiatów — grono kochanek Karola II. Lecz obok tego widnieje liczny, w miarę coraz późniejszych dat coraz liczniejszy poczet jednostek, w których żyłach nie płynęła krew niebieska, które jednak weszły tu dzięki własnej zasłudze.

Po dumnych postaciach Elżbiety, Leicesterera, Essexera wzrok zatrzymuje się na szlachetnych rysach Szekspira. Wielki dramaturg *iure caduco*, zapewne przy pomocy przekupstwa wystarał się dla ojca o dyplom szlachecki. Dalej wisi podobizna Bena Jonsona, co zanim powziął zamiar zreformowania dramatu w duchu klasycznych reguł i stworzenia komedji typów, pracował jako murarz — wszakże dopiero kilka lat temu zburzono w ciasnej, starej uliczce City parę kamienic, zawdzięczających swe powstanie jego kielni¹.

¹ Być może, iż tradycja jest fałszywa i Jonson tylko kierował robotami.

Jest tu i sala, zasługująca na miano sali królobójców. Wkoło Cromwella skupili się bojownicy idei purytańskiej i republikańskiej. Anglik z czcią dla monarchji wybornie go-dzi uwielbienie dla tych, co stanąwszy z nią do boju i splamiwszy dłonie krwią pomazańca, zburzyli starą budowę, a choć wzniesiona w jej miejsce nowa wnet również runęła, wywołali taki przewrót w pojęciach, że już nikt odtąd nie mógł z namaszczeniem powtarzać bredni o Boskiem prawie królów i kusić się o *absolutum dominium*, że najwyższa godność państwowa, nie tracąc nic na zewnętrznym blasku, traciła coraz szybciej praktyczną wartość i stała się wreszcie tem, czem jest dzisiaj — symbolem, łączącym luźną i coraz luźniejszą budowę imperjum. Między grupą republikańską zwraca największą uwagę posępna nieco, a szlachetna twarz ostatniego wielkiego humanisty, Milтона.

Dalej sala restauracji — Karol II, jak „basza w pośrodku haremu“ i arystokraci, co szukali sławy w pijaństwie i awanturkach miłosnych, a czasem w pisanych podczas chwil wolnych od hulanki wierszach pseudoklasycznych. Lecz obok nich Pepys, równocześnie jeden z najbardziej zasłużonych twórców marynarki wojennej i angielski Pasek; dalej Bunyan, z zawodu kotlarz, z powołania kaznodzieja, autor najpopularniejszej książki angielskiej¹, o której barbarzyńca z kontynentu zapewne nie słyszał, a którą, dostawszy do ręki, po kilku minutach rzuci, zrażony namacalnością naiwnej alegorji i nużąca obfitością cytatów z *Pisma św.*

W następnej sali obok koronowanych wrogów, teścia i zięcia, Jakóba II i Williama III, natrafimy na Newtona i na Wrena, co po wielkim pożarze Londynu wznosił tysiące gmachów, między niemi katedrę św. Pawła.

Odtąd coraz częściej przy nazwiskach sław literackich, malarskich i innych jawi się króciutkie, a jednak dla Brytyjczyka magiczne słówko *Sir* — znak widomy faktu, że czyjąś

¹ *The Pilgrim's Progress.*

zasługę uznano jeszcze za życia i wyniesiono go za nią do wyższej klasy społecznej. Sir Krzysztof Wren, Sir Ryszard Steele, Sir Jozue Reynolds — i tylu, tylu innych...

Z wiekiem XVIII ukazuje się jeszcze jedna nowość — coraz częściej można natknąć się na aktorów. Jest tu Garrick, jest szereg portretów obdarzonej nietylko tragicznym talentem, lecz i tragiczną twarzą pani Siddons. Nieliczny poczet angielskich muzyków rozpoczyna największy z nich, Händel — który zresztą był Niemcem. Niedaleko od niego założyciel potężnej sekty Wesley, co sceptycyzmowi i epikureizmowi oświeconego wieku przeciwstawił prostotę i naiwną wiarę.

Zkolei idą założyciele indyjskiego imperjum. Clive'a za niesforność i lenistwo posłano jako biurowe popychadło za morze, lecz on, wiedziony wrodzoną żyłką żołnierską, wnet zmienił pióro na szablę, aby umrzeć jako sławiony wódz i par Irlandji. Obok niego widnieje Warren Hastings, który ze szczytu Kapitulu omal nie dostał się na skałę Tarpejską. Obaj weszli dzięki osobistej zasłudze już nie w szeregi średniej szlachty (*gentry*), lecz w szeregi arystokracji (*nobility*).

Dalej druga podobna para, zwycięzcy Napoleona — Horacy Nelson, Lord Nilu, i Artur Wellesley, ks. Wellington. Admirał i generał zdobyli głośniejsze imiona — ale nie zapominajmy o polityku, co nie doczekał ostatecznego triumfu, bo zamknął oczy wśród morskich zwycięstw i lądowych niepowodzeń. Oto patrzy na nas dumne, myślące oblicze Pitta młodszego. Ten nigdy nie został parem — ale tylko z tego powodu, że nie chciał wyrzec się miejsca w Izbie Gmin.

Następna sala przynosi postaci z nowych dziedzin. To kapitan Cook, co zwiedził olbrzymi szmat nieznanych mórz i lądów, nim padł ofiarą ludożerców, to znów Watt, co nowoczesną technikę nauczył, jak użytkować parę.

Wchodzimy w epokę Wiktorji. Dotąd przy nazwiskach niektórych literatów spotkać się było można z tytułem *Sir*. Teraz natrafiamy na lorda Tennysona i lorda Macaulay'a. Lecz nie literatura dzierży berło — wielką plejadę roman-

tyczną dawno zostawiliśmy poza sobą. Przychodzi kolej na nauki przyrodnicze, którym przodują Darwin i Huxley, na fizykę z Tonsonem i Faradayem, na archeologię z Layardem, na filologię porównawczą z Max Müllerem, wogóle na szereg umiejętności, dopiero teraz zdobywających sobie miejsce w narodowym panteonie.

Tu dalej widać znów, jak imperjum angielskie obejmuje swemi mackami kulę ziemską. Oto szlachetna twarz wodza, co padł z rąk mahdystów na szanich Khartumu,¹ tu marsowe rysy tego, co pomścił go pod Omdurmanem, a potem pierwszy przewidział długi czas trwania wojny światowej i dał początek mającej zwyciężyć organizacji, ale owoców swej bystrości i pracy nie ujrzał,² tu Roberts, nagrodzony tytułem hrabiowskim za rzucenie do stóp W. Brytanji zuchwałych republik południowo-afrykańskich. A oto podróżnicy, co szli pomiędzy góry lodowe, by na biegunie zatknąć *Union Jacka*.

Na zakończenie dwa olbrzymie płótna. Jedno przedstawia admirałów, drugie jenerałów wojny światowej. Pierwsi niewielkie mieli pole do okazania swej sprawności, bo słaby na morzu nieprzyjaciel po paru próbach schował rogi do skorupy i, nie śmiąc dalej stawić czoła na powierzchni fal, tylko pod ich powierzchnią, jak szakal, czyhał na zdobycz. Drudzy, zaprawieni co najwyżej do bojów w krajach egzotycznych, przeważnie z dzikimi, lub całkiem pozbawieni doświadczenia, zawiedli. Lecz pierwsi dobrze organizowali transporty i umieli ich bronić przed niewidzialnem niebezpieczeństwem, aż wreszcie zupełnie wydusili łodzie podwodne. Drudzy w dniach klęski nie tracili otuchy, świecili przykładem wytrwałości i nieraz osobistego męstwa, a wreszcie złożyli pychę z serca, poszli pod obcą komendę i zwyciężyli. Że zwycięstwa nie wyzyskano, to już wina nie ich, lecz małodusznych, krótkowzrocznych, nieuczciwych polityków Tych na szczęście niema jeszcze w Panteonie.

¹ Gordon.

² Kitchener.

Obok postaci, znanych z kart historii i literatury, z dziejów sztuki i wiedzy, z gazet lat wojennych, cudzoziemiec natrafi tu na portrety różnych ludzi, których nazwisk zapewne wcale znać nie będzie. Dopiero poszperawszy po katalogach Galerji lub po encyklopedjach, dowie się, że ten oto skromny kapitan marynarki nie opuścił tonącego okrętu, ta pani założyła towarzystwo dobroczynne i przez trzy czwarte życia poświęcała mu cały swój czas, ten duchowny zwalczał pracę nieletnich, ów handel niewolnikami. Wszystkim wdzięczna ojczyzna zapewniła chlubne wspomnienie...

Narodowa Galerja Portretów jest wyborynym obrazem procesu, jaki od wieków dokonywał się stale w społeczeństwie angielskiem. Jak w stawie pod wpływem nierównomiernej temperatury coraz nowe warstwy wody wydobywają się nawierzch, tak wyższe warstwy tego społeczeństwa odświeżały się stale dzielnymi jednostkami z niższych. Prawda, że zrobienie majątku — najczęściej na handlu kolonialnym i zagranicznym, a więc połączone z pomnożeniem bogactwa narodowego — samo przez się bywało nieraz kartą wstępu do klasy utytułowanej szlachty. Ale bywały nią również zasługi wszelkiego rodzaju — polityczne, wojskowe, literackie, naukowe, humanitarne i inne.

Ilekroć, będąc w *National Portrait Gallery*, przechodziłem przez sale, dające obraz końca XVIII i całego XIX w., nie mogłem opędzić się jednej myśli. W tym samym czasie, kiedy Nelson i Wellington, Tennyson i Macaulay zostawali lordami, Kościuszko, Kołłątaj i Mickiewicz wiodli nędzny żywot wygnańców, Poniatowski ginął za obcą sprawę w nurtach Elstery, Traugutt konał na szubienicy.

Szczęśliwy naród, u którego, jak wyraził się jeden z wymienionych przed chwilą wielkich Anglików, składając drugiemu poetycki hołd po jego zgonie,

Drogą do chwały była ścieżka obowiązku¹⁾

¹⁾ Tennyson w „Odzie na śmierć Wellingtona“.

i nie tylko do chwały, ale też do wysokiego stanowiska społecznego i do dobrobytu. Tam nie trzeba było dla zdobycia imienia u potomnych gnić po więzieniach, tułać się po obczyźnie i chleba wygnania popijać łzami, nie trzeba było staczać bojów, w których pokonanemu groziła szubienica...

Nelson przed bitwą pod Trafalgarem oznajmił załodze swych okrętów imieniem Anglii, że ta spodziewa się od każdego spełnienia powinności — i każdy ją rzeczywiście spełnił. Ale najlichszy chłopak okrętowy wiedział, iż właśnie w spełnieniu powinności jest jego wielka szansa życiowa.

Ten sam Nelson przed drugim swem sławnym zwycięstwem¹ powiedział coś jeszcze bardziej charakterystycznego: „Jutro o tej godzinie zostanę parem Anglii lub zdołę grób w Westminsterze“. W tych słowach typowy snobizm angielski złączył się idealnie z szczytnym zapałem patriotycznym i z pragnieniem jak najlepszego spełnienia obowiązku.

XVII.

A obowiązkowość również cechuje Anglika. Doświadczy tego cudzoziemiec, wszedłszy w styczność czyto z jakimkolwiek urzędem, czy z pocztą, czy z bankiem, czy choćby z policjantem. Nikt tam nie spycha z siebie czynności szorstkiem „To do mnie nie należy“. Każdemu idzie o to, aby sprawa została jak najprędzej i jak najlepiej załatwiona. Jeżeli sam jej nie może załatwić, wskazuje powołaną do tego osobę; jeżeli nie może udzielić potrzebnych informacji, wskazuje, gdzie ich szukać. Idzie mu przecież nie o to, aby za jak najmniejszy trud wziąć jak największą płacę, ale o to, aby maszyna, w której jest kółkiem, szła i spełniała swe zadanie. Wie, że i sam wyjdzie na tem najlepiej.

Wyborne towary angielskie — dziś przeważnie nie mo-

¹ Pod Abukirem.

gące wytrzymać konkurencji z mniej wybornemi — zawdzięczają swą jakość temu, że robotnik znajduje zadowolenie w wartości fabrykatu, a nietylko szuka pozorów do jak najlżejszego spędzenia swych ośmiu godzin.

Anglik ma jeszcze jedną wielką zaletę — wytrwałość. Tu najlepszych przykładów dostarcza historia. Z początkiem czasów nowożytnych przodowali światu Hiszpanie. Więc Anglik podpatrywał ich tajemnice. Gdy stosunki między oboma narodami popsły się, podpatrywał je jako korsarz, odkrywał na drugiej półkuli ponownie to, co tamci dawniej już odkryli. Korzystał czasem z pomocy francuskich hugenotów, którzy wcześniej zbliżyli się do mistrzów. Zadanie było trudne, on nie zrażał się jednak przeciwnościami. Niejeden śmiały żeglarz z Devonu znalazł grób w słonych falach, niejeden kupiec stracił cały majątek w awanturycznej wyprawie. Wreszcie do innych przeszkód dołączyła się wojna z Hiszpanją. Temu, co popadł w moc nieprzyjaciela, groziły wszystkie okropności Inkwizycji.

Lecz Hiszpanie i Portugalczycy po świetnych wysiłkach Kolumba, Vasco da Gamy i Magellana, Korteza i Pizarra popadli w gnuśność, powiedzieli sobie: „Zrobiliśmy dość, teraz używajmy“. Tymczasem Anglicy doskonalili swe statki i przedsiębrali coraz śmielsze wyprawy, aż usadowili się na dobre na amerykańskim lądzie i wydarli monopol groźnemu rywalowi. Obok dziejów tego okresu pomnikiem ich żelaznej wytrwałości pozostanie na zawsze literatura żeglarska. Każdą książkę hiszpańską, traktującą rzecz praktycznie lub teoretycznie, tłumaczono natychmiast po wyjściu oryginału. Drukowano opisy własnych podróży, aby wszyscy mogli użytkować ich doświadczenia. Dwaj ludzie¹ poświęcili całe życie pracy nad dwoma olbrzymimi zbiorami takich opisów. I foljały te były pilnie czytane.

Albo przyjrzyjmy się W. Brytanji w dwóch najwięk-

¹ Hakluyt i Purchas.

szych wojnach, jakie prowadziła. Do rozważenia zapasów z Napoleonem będzie sposobność na innem miejscu niniejszej książki. Dzieje lat 1914—1918 znów zbyt świeże, aby nużyć czytelnika ich powtarzaniem. Zwrócę więc uwagę tylko na parę faktów z tego czasu.

Z początkiem wojny światowej Anglja prawie zupełnie nie posiadała organizacji wojskowej, potrzebnej do uruchomienia wielkiej armji na kontynencie. Stała zaś wobec nieprzyjaciela, który od długich lat o niczem innem nie myślał. W chwili najstraszniejszego niebezpieczeństwa rzuciła na szalę tyle żołnierza, ile go miała pod ręką. Dzięki tej pomocy, dzięki bohaterstwu i militarnemu genjuszowi Francuzów, a trochę i dzięki temu, że w potwornej maszynie, stworzonej przez Niemców dla zmiżdżenia świata, kółka nie zachodziły za siebie tak dokładnie, jak się wówczas zdawało laikowi i jak weń Niemcy wmawiali, pierwszy napór został z wielkimi ofiarami osadzony w miejscu. I zaczęła się dalsza walka — na przetrzymanie.

Jasny umysł Kitchenera i tych, co po nim objęli ciernisty spadek, widział jak na dłoni, że nieprzyjaciel mimo całej swej organizacyjnej przewagi w ciągu lat trzech do pięciu ulegnie wspartej o posiadanie morza przewadze liczebnej, że więc zwycięstwo jest pewne, o ile wytrwa się tak długo, a równocześnie udaremni wszelkie jego usiłowania, zmierzające do rozstrzygnięcia przedtem zapasów militarnym wysiłkiem. A więc trzeba było „trzymać front“, paraliżować niemieckie próby ruszenia z miejsca, hamować wszelką niecierpliwość własnych wodzów, skłonnych do ryzyka. Trzeba było przez lata składać Molochowi pewną liczbę ofiar dziennie, a prócz tego liczyć się z nadzwyczajnymi stratami — i wypełniać luki w szeregach. Trzeba było z pokojowego ludu, który miał za co dobrze opłacać ilość ochotników, potrzebnych do parad i do kolonialnych wojenek, przedzierzgnąć się w potęgę wojskową, wprowadzając sprzeczną z pojęciami każdego Anglika powszechną służbę. Trzeba było stworzyć przemysł

wojenny, a raczej zmienić przemysł na wojenny, doścignąć technicznie, a raczej ile możliwości prześcignąć tych, co od dawna rzecz traktowali zawodowo. Trzeba było całe społeczeństwo zmobilizować do niezwyklej pracy.

Nie poszło to wszystko łatwo. Pułki, rekrutujące się z wielkich miast, zawodziły tak, jak we wszystkich armjach — tylko Anglja ma więcej wielkich miast, niż inne kraje. Inne formacje miały żołnierza doskonałego, tylko nieco wymagającego na punkcie zaopatrzenia, wikt, wygód. Dano mu, czego wymagał. Cóż z tego, kiedy nie było odpowiedniej ilości wyszkolonych oficerów i podoficerów. Kultury wojskowej nie stwarza się z dnia na dzień.

Oddaję na chwilę głos staremu kpiarzowi, Bernardowi Shaw. Oto ustęp z jego sztuki *Augustus does his bit*:

Dama. Rozkazano panu zająć ów straszliwy kamieniołom w Hulluch, a pan wdarł się do niego na czele swych ludzi, ...wyskoczył na brzeg, wołając donośnym głosem „Do Berlina! Naprzód!“, rzucił się pan sam jeden na armję niemiecką, został pan odcięty i wzięty w niewolę przez Hunnów.

August. Tak, pani. I jakaż była moja nagroda? Powiedzieli, że nie usłuchał rozkazów i posłali mnie do domu... To gorzka myśl, że uznanie, którego odmówiła mi własna ojczyzna, ... stało się moim udziałem ze strony nieprzyjaciela, ze strony nizekzemnego Prusaka.

Dama. Nie może być!

August. Jakże inaczej mógłbym być tu zamiast przymierać głodem w Ruhleben? Tak, pani. Pułkownik pomorskiego pułku, który mnie schwycił, dowiedziawszy się, com zrobił, i porozmawiawszy ze mną przez godzinę o polityce europejskiej i strategji, oświadczył, że niema siły, która mogłaby go skłonić do pozbawienia mej ojczyzny moich usług, i wypuścił mnie na wolność. Naturalnie proponowałem, że postaram się o uwolnienie niemieckiego oficera, równego mi wartością, ale on ani słyszeć nie chciał o tem. Powiedział w swej uprzejmości, że nie sądzi, aby istniał oficer niemiecki, odpowiadający temu określeniu.

Niema dwóch zdań, że Shaw w swej złośliwości nieco przesadził, ale jakim sposobem świeżo upieczeni oficerowie mogli być o wiele lepsi od klasycznego lorda Augusta?

Mimo bolesnych strat, mimo niepowodzeń, wynikłych

z braku doświadczenia, mimo tysiącznych trudności Anglja wypełniała luki na froncie, pomnażała armję ekspedycyjną, zmieniała swe zakłady przemysłowe na fabryki amunicji, uczyła się z morskich dział robić polowe, wzięła się do masowego produkowania czołgów i samolotów. A przecież byleby zdecydowała się opuścić sprzymierzeńców i zrezygnować z osiągnięcia swych dalszych celów, mogła w każdej chwili zawrzeć korzystny pokój, nie narażający jej na żadne straty, owszem, może przynoszący doraźne zyski.

Wiedzieli o tem Niemcy. Więć z jednej strony pilnie pracowali przez swych ajentów, z drugiej wysilali się na obrzydzenie wojny najwytrwalszemu z przeciwników. Ich wielkie okręty nie mogły pokazywać się na pełnem morzu. Więć zaczęli wojnę łodziami podwodnemi. Jak za napoleońskich czasów, cierpiał handel angielski, a i z aprowizacją przemysłowego *par excellence* kraju, który nie pokrywa sam ani połowy swego zapotrzebowania żywności, było bardzo niewyrażnie.

Polak, co przypadkowo przebywał w tym czasie w Berlinie lub w Wiedniu, z zazdrością myślał o mieszkańcach Londynu, wyobrażając sobie, że opływają w dostatek. Tymczasem Londyn miał wszystko to samo, co stolice państw centralnych — chleb na kartki, mleko tylko dla dzieci, ceny szeregu produktów — np. masła — dziesięciokrotnie wyższe od normalnych. Okropny wybuch w fabryce amunicji nad Tamizą tuż pod miastem pochłonał setki ofiar.

Ale mieli londyńczycy i urozmaicenie, którego brakło berlińczykom i wiedeńczykom. Stolica W. Brytanji leży za blisko płynnej granicy, cieśnina wąska, a Belgja była w rękach Niemców... Nie mijał prawie tydzień bez ataku lotniczego. Pierwsze spadły na ludność i na władze, jak grom z jasnego nieba. Szybko zorganizowano służbę wywiadowczą i obronę. Zawczasu ostrzeżona ludność gasiła światła i kryła się po piwnicach. Mimo to wedle oficjalnej statystyki zginęło z górą pół tysiąca ludzi, rany odniosło około półtora ty-

siąca. A i materialne straty były znaczne. W jednym wypadku wyniosły nawet półtora miliona funtów.

Ciekawy widok przedstawiało miasto po odleceniu nieproszonych gości. Znow błyskały światła, ulice roiły się od mężczyzn i kobiet w negliżach, podawano sobie z ust do ust wieści o szkodach zrządzonych, o liczbie rannych i zabitych. Zwykle jednak rozpraszał tłumy nowy gwizd ostrzegawczy... Z wyrafinowanym okrucieństwem wracali lotnicy niemieccy po dwa i więcej razy na noc.

Umiano ludności Londynu grać na nerwach — i grano skutecznie. Ale zdenerwowanie objawiało się tylko zawziętością. Były rozruchy przeciw Bogu ducha winnym Niemcom, zamieszkałym w stolicy angielskiej od lat kilkudziesięciu i dawno wynarodowionym. Zresztą brano za Niemca każdego, kto mówił łamaną angielszczyzną i niszczone czasem sklep lub sprzęty... Francuzowi. Ale rozruchów przeciw dalszemu prowadzeniu wojny nie było. Najwięksi pacyfiści umilkli, niektórzy z nich nawet agitowali za wstępowaniem na ochotnika do wojska. Sam Shaw napisał tego rodzaju jednoaktówkę dla Irlandczyków — tylko uznano ją za nieodpowiednią i wystawiono dopiero po wojnie.

Jeżeli zastanowimy się nad pokojem, jaki ostatecznie zawarto, musi zrodzić się silne podejrzenie, że nie wszyscy kierownicy nawy państwowej Anglii byli przeciwni wcześniejszemu zakończeniu wojny. O ile przypuszczenie to jest trafne, to wpoprzek stanęła wola narodu, który zaciął zęby i postanowił przecierpieć wszystko do końca. Nie jego wina, że go ostatecznie oszukano i że go dalej oszukują.

XVIII.

Wspominając w opisie Narodowej Galerji Portretów o Bunyanie, nazwałem jego alegorję namacalną. Z małemi wyjątkami da się to powiedzieć o wszystkich angielskich mistykach. I nie bez przyczyny. Anglik myśli konkretnie

i wszelkie wycieczki poza granice zmysłowego poznania mają u niego charakter bardziej konkretny, niż u kogokolwiek innego. Możliwe, że wogóle ideał nie jest tem, co gdzie indziej nazywają ideałem. Jest bliższy i ma wyraźniejsze kontury. Ale też przedstawiając się realniej, nie odstrasza niemożliwością. Nie poto go sobie ludzie tworzą, aby mieć w nim odświeżone marzenie, a w dni powszednie sięgać po inne, bardziej przyziemne cele. Zresztą Brytyjczyk doskonale zdaje sobie sprawę, że do ideału można dążyć tylko etapami. Wybierając się na trzecie piętro, nigdy nie zapomina, że droga wiedzie przez pierwsze i drugie. Stąd często osiąga swe zamierzenia.

Weźmy w rękę którykolwiek z tomów Kiplinga, poświęconych chwale imperjum. Niewątpliwie dużo tu tendencji, dużo optymizmu, dużo przesadnej dumy narodowej, dużo drażniącej wiary w to, co u Shaw'a postać, będąca wciele niem i karykaturą angielskiego nacjonalizmu wojującego, nazywa „szczególną zdolnością Anglii do rządzenia mniej cywilizowanemi rasami dla ich własnego dobra“, dużo wreszcie zupełnej obojętności na nieetyczność takiego poglądu. Z tem wszystkim Kipling, pomijając przeważnie złe strony angielskiej gospodarki kolonialnej, pomijając potworne nieraz czyny jednostek, obdarzonych władzą nad biednymi dzikusami, daje naogół trafny obraz systemu.

Inne narody europejskie przystępowały do szerzenia kultury poza swą częścią świata bez zrozumienia i bez próby zrozumienia psychiki krajowców. Chciały budować dachy i niebosiężne wieże przed fundamentami. Oto znamienna historia cywilizacyjna: Kapelan Pizarra wyłożył Atahualpie zasadnicze punkty religii chrześcijańskiej. — „Skąd wiesz to wszystko?“ spytał król Peru. — „Z tej książki“, odparł Hiszpan, pokazując mu Pismo św. Atahualpa wziął księgę i przyłożył ją sobie do ucha. Sądził, że tajemniczy przedmiot przemówi, a doznawszy rozczarowania, rzucił go ze zniechęceniem na ziemię. Co dalej nastąpiło, było dziełem chciwości

i okrucieństwa genialnych nędzników, którzy wybrali się na podbój Nowego Świata. Ale opowiedziana rozmowa doskonale charakteryzuje stosunek większości narodów europejskich do dzikich. Zazwyczaj zaczynało pracę cywilizacyjną od końca, a gdy nie szła, mszczono się na dzikich za własną głupotę.

Anglicy nie byli świętsi od Hiszpanów i nie mniej od nich pożądali złota. Byli tylko rozsądniejsi. Dzięki swemu silnemu poczuciu rzeczywistości uniknęli naogół podobnych błędów. Nie zaczynali od nawracania. Studjowali sposób myślenia, zwyczaje i zabobony dzikich ludów, więc starali się ludy te podnosić stopniowo, nie burząc stanu rzeczy, jaki zastawali, lecz wyzyskując go umiejętnie dla swoich celów — często egoistycznych, ale czasem, gdy to nie kolidowało z ich interesami, także altruistycznych. Zastrzegam się, że nie mówię o Ameryce. *Westward Ho!* Karola Kingsley jest dobrą powieścią dla dorastającej młodzieży, ale na każdym kroku przemilcza i idealizuje. W Ameryce purytanin, jak tylko wysiadł z historycznego okrętu *Mayflower*, wedle sławnych słów Marka Twaina „naprzód rzucił się na kolana, a potem na tubylców“, tępiąc ich muszkietem i szpadą, a potem jeszcze skuteczniej „wodą ognistą“.

I w Australji ludność tubylczą wytępiono prawie doszczętnie. Jej resztki nie przekraczają dzisiaj liczby stu tysięcy. W tym wypadku przyczyną było powstanie dzisiejszego dominjum z kilku kolonij karnych.

Lecz inaczej przedstawia się rzecz w Azji i w Afryce.

Jeden z bohaterów Kiplinga, którego przodek na stanowisku gubernatora wiele zrobił dla indyjskiego plemienia Bilów, przybywa w te same okolice jako młody oficer. Dowiaduje się wkrótce, że Bilowie uważają go za nowe wcielenie dziada. Jest nieco zdziwiony, ale widząc, że ich nie wyprowadzi z błędu, nie potwierdza ani nie przeczy. Przyjmuje oznaki czci jako rzecz naturalną. Skłania Bilów, aby poddali się spokojnie szczepieniu ospy, które przedtem omal

nie wywołało krwawych rozruchów, a równocześnie, będąc namiętym myśliwym, używa ich jako nagonki — gorliwszej naturalnie i odważniejszej, niżby był tłum, wiedziony jedynie chęcią zarobienia paru groszy. Wtem pośród ciemnego plemienia rozchodzić się zaczynają coraz głośniejsze szepty, że ich ukochany Sahib harcuje po nocach na olbrzymim tygrysie, co zwiastuje bliskie klęski i niepokoje. Zamiast tłumaczyć im bezsensowność ich naiwnej wiary, młodzieniec daje do zrozumienia, że to prawda, ale że na przyszłość zaprzestanie nocnych wycieczek, i na dowód, wytropiwszy swego rzekomego wierzchowca, kładzie go trupem. Bilowie urządzają z tego powodu wielką ucztę, a wyleczeni z przesądnej trwogi, będą odtąd z ufnością przyjmować zarządzenia władz i sami na tem jak najlepiej wyjdą.

W innej noweli Kiplinga, dziejącej się dla odmiany w Afryce, polowanie *par force* na lisa, przeszczepione z Anglii przez rozmiłowanego w tym sporcie gubernatora, staje się symbolem wymiaru sprawiedliwości, ponieważ gubernator zwykle podczas myśliwskich wycieczek rozstrzygał spory gruntowe. I on nie wyprowadza naiwnego ludu z błędu, bo wie, że wiara w tajemniczy związek między jego rozrywką a regulowaniem prawa własności jest pierwszorzędą podporą porządku. Natomiast powierza krajowcom hodowlę chartów.

Naturalnie w rzeczywistości podobne idylle były rzadkie, a korzyści osobiste, jakie ze swych prowincyj uzyskiwali angielscy prokonsulowie, czy z powierzonych sobie okręgów urzędnicy i oficerowie, przedstawiały się bardziej realnie. Zdarzały się wypadki zdzierstw i okrucieństwa, czasem nawet bezmyślnego, bo wywołanego strachem. Z tem wszystkim obraz rządów kolonialnych, malowany przez autora *Kima* opiera się na rzeczywistości i mimo jej wyidealizowania jest pod jednym względem prawdziwy: Anglicy nie byli może lepsi od innych Europejczyków, niewątpliwie byli od nich mądrzejsi i praktyczniejsi. Ich literatura nie wydała „Maksa

Havelaara“. Zato — mógłby ktoś powiedzieć — ich dzieje wydały sprawę Warrena Hastingsa. Ale z jednej strony powszechnie znany z Macaulay'a obraz Hastingsa jest zbyt ciemny, z drugiej część parlamentarnych oskarżycieli prokonsula niewątpliwie powodowała się szczytnym humanitaryzmem. Holenderskich rządców Jawy oskarżał chudy literat Decker, Hastingsa szereg wielkich polityków jego czasów z Edmundem Burke na czele.

Mądrość Anglików okazywała się nawet tam, gdzie zetknęli się ze starą, wysoką kulturą, t. j. w znacznej części Indyj. Ich zwyczaj traktowania ludzi innej rasy jak dorosłe dzieci nie zawiódł i tu. Może stało się to przypadkowo, natrafili bowiem na lud, zapatrzony w zaświaty, uważający ziemskie życie za rodzaj czyścica, z którego wydostać się jest celem człowieka. Tak bowiem traktują zagadnienie bytu dwie z trzech głównych religij indyjskich. Hindus myślał o szczeblach duchowej doskonałości, drzemał, kołyszany wschodnim kwietyzmem, a jeżeli był mahometaninem, stwarzał sobie w haremie przedsmak raju; mniej doskonały, może nawet mniej inteligentny Anglik ujarzmił go i eksploatował przy pomocy materialnej kultury, równocześnie odbierając go stopniowo skarbami tej kultury.

Dziś doświadcza prawdziwości słów Chrystusa „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie“. Inaczej jednak być nie mogło. Dopóty bowiem wedle słów Kiplinga „budował most w miejscu, gdzie był bród“, aż nie tylko przekonał Hindusów, że lepiej rzekę przechodzić po moście, niż w bród, ale nawet nauczył ich budować mosty. A z tą umiejętnością musiała z kolei przyjść świadomość, że lepiej budować je samemu, niż płacić Anglikom naprzód za budowę, a potem za kopytkowe. To wszystko jednak — łącznie z zarobkiem Brytyjczyków za cywilizowanie egzotycznych krajów — nie zmniejsza ich cywilizacyjnej zasługi, zwłaszcza że naogół umieli dobrze używać zarobionych skarbów.

XIX.

Cały ustrój państwowy Anglii polega na poszanowaniu indywidualności i ogranicza ingerencję władz do *minimum*. Wolno chodzić po ulicach w stanie nietrzeźwym, zataczać się i śpiewać. W konflikt z prawem popada dopiero ten, kto jest *drunk and unable* lub *drunk and disorderly* — t. j. kto upadnie i nie może się podnieść lub kto robi awantury i wogóle zachowuje się nieprzyzwoicie. Ale w podobnych wypadkach publiczność często sama wymierza sobie sprawiedliwość.

Państwo pozostawia jednostkom wolne pole działania i najchętniej bierze w obronę tych, którzy dowiodą, że umieją bronić się sami. Biurokracja była dla Anglika zawsze przedmiotem pogardy i odpędzaną ze wstrętem zmorą.

W krajach kontynentalnych czuwają nad drogami najrozmaitsze władze państwowe lub samorządowe i do nich zwraca się obywatel, gdy czuje się pokrzywdzonym przez zamknięcie drogi, której przez długie lata używał. Postawienie roгатki jest w tym wypadku gwałtem i przyjęło się, że interesowany odpowiada również gwałtem, burząc poprostu niepożądaną przeszkodę. Ponieważ zajścia takie były częste, zawiązało się ostatecznie towarzystwo, mające na celu obronę praw ludzi, którzy z cudzych dróg korzystają. Członek zwraca się do niego o pomoc i następuje wyprawa na zburzenie roгатki. Dopiero później sprawa opiera się o sąd i ten rozstrzyga ją zasadniczo, nie biorąc nikomu za złe, że uciekł się do siły.

Naogół w Europie człowiek, obrażony na ulicy, zwraca się do stróża porządku, a o ile próbuje sam sobie wymierzyć sprawiedliwość, staje się winnym narówni z tym, który go obraził. Anglik, wyszkolony „w szlachetnej sztuce samoobrony“ (*the noble art of selfdefence*), wyzywa przeciwnika na walkę bokserską. Wnet tworzy się koło ciekawych, robiących często zakłady i zachęcających zapaśników okrzy-

kami. Policjant uważałby za swój obowiązek interwenjować dopiero wtedy, gdyby spostrzegł, że jeden z walczących przekroczył granice *fair play*, t. j. zadaje ciosy niedozwolone. Ale w tym wypadku zaprotestowałaby i sama publiczność.

Boks, z którego wynikają tylko sińce i guzy, kwitnie, natomiast pojedynki nie istnieje w Anglii zupełnie. A były czasy, kiedy pochłaniał mnóstwo ofiar. Wedle A. Langa¹ zabiło go „użycie pistoletu, nieromantyczne, fatalne i dające pole przypadkowi“. Ale przyczyny należy szukać głębiej. Pojedynek zwalczał konsekwentnie szereg wpływowych pisarzy, od Steele'a począwszy. Zwalczało go prawodawstwo. Co zapewne najważniejsze, zwalczało go magnaci, których snob angielski brał sobie za przykład. Ostatecznie wysoka kultura odniosła zwycięstwo nad dzikością, a raczej zaszedł rodzaj kompromisu między temi dwoma czynnikami. Boks został, pojedynki zniknęły. W niektórych wypadkach zastąpiła go skarga o odszkodowanie. Jeżeli przy oszczędności musimy to uznać za słuszne i naśladowania godne, to nasz kontynentalny sposób myślenia nie pogodzi się nigdy z tem, aby kazać sobie płacić za uwiedzenie żony. Dibelius, który w Anglikach widzi mało przekształconych historycznymi zmianami „chłopów fryzyjskich i dolnosaksońskich“, uważa to za zabytek starogermańskich pojęć. Raczej jednak złożyły się na dziwaczną praktykę dzisiejszą dwa czynniki, — nowoczesne myślenie kategorjami kupieckimi i dążność ku temu, aby ująć w karby wrodzoną dzikość i nie dać jej pola do działania.

Tej pierwotnej dzikości Anglik zachował dużo, lecz nauczył się trzymać ją w korbach. Tu może główne źródło jego fanatyzmu w przestrzeganiu form towarzyskich i jego nieprzystępności. Jedno i drugie ogromnie ułatwia panowanie nad sobą. Przysłowiowa „zimna krew“ i „beznamiętna wytrwałość“ są złudzeniami powierzchownych obserwatorów.

¹ *History of English Literature.*

Anglik jest w gruncie rzeczy gwałtowny. Że umie swą gwałtowność tłumić wysiłkiem woli, że, co ważniejsza, zamiast wyładowywać ją w chwilowych wybuchach, umie rozdłuzać ją na lata niesłabnącej energii, to zasługa wiekowej kultury.

Lecz można i dziś w życiu angielskim natrafić nieraz na groźne wybłyski temperamentu, który na gruncie amerykańskim przy młodszej kulturze zrodził okropną instytucję *lynchu*. Były niemi pewne okrucieństwa, jeszcze w w. XX popełniane z błahych przyczyn w Indjach i w Egipcie, a piętnowane bez litości przez wolnomyślnych Anglików, jak Shaw i Chesterton¹.

Warto również wspomnieć o zachowaniu się straży bezpieczeństwa podczas demonstracji i rozruchów. O tych rzeczach niewiele wie się u nas, bo rząd angielski nie lubi,

¹ Niedawno ukazała się u nas ciekawa książka pod angielskim tytułem *On His Majesty's service*. Są to okropne dzieje Polaka, porwanego wraz z kilkudziesięciu ludźmi różnych narodowości przez wojska angielskie, wycofujące się z Buchary. Wszyscy ci nieszczęśliwi, kupieni prosto od lokalnego rządu kontrrewolucyjnego poto, aby figurować jako jeńcy, spędzili dłuższy czas w strasznej niewoli i doznali niesłychanych okrucieństw. Autor, Mieczysław Schmidt, zdołał ostatecznie dostać się do Polski i wystąpił obecnie ze swym strasznym aktem oskarżenia. Niema powodu, aby mu nie wierzyć, gdyż w opowiadaniu trudno znaleźć jakiegokolwiek sprzeczności, nie widać też przesady. Gdyby treść była zmyślona, p. Schmidt musiałby chyba posiadać w tym stopniu, co Daniel Defoe, talent nadawania swym zmyśleniom pozorów prawdy. I szczegóły etnograficzne oraz geograficzne nie robią wrażenia *ad hoc* wystudjowanych czy dowolnych. Całość odbija korzystnie np. od sławnych pseudoautobiograficznych powieści p. Ossendowskiego. Jest tedy smutnym dowodem, że po wojnie stosunki w kolonjach angielskich popsuly się znacznie, a dzikość, tamowana na wyspach brytyjskich ideałem dżentelmena i wysoką kulturą, wybucha tam coraz częściej z pierwotną siłą. Rzecz pozostaje w związku z trzema faktami — że Anglik dzieli ludzkość na Brytyjczyków i cudzoziemców i wobec tych drugich postępuje nieraz tak, jakby nigdy nie postąpił względem swych rodaków, że dziś mało kto opuszcza Anglię, o ile nie jest do tego zmuszony, że więc w wojskach i urzędach kolonialnych pełno wyrzutek społeczeństwa, wreszcie, że posiadają tam ogromne wpływy żywioly obce, pozbawione wszelkich zasad moralnych.

aby opisy przedostawały się zagranicę. Atoli potworny rozrost bezrobocia w latach ostatnich powodował raz po raz niepokoje. Policjant angielski robi imponujące wrażenie swym spokojem i godnością, ma też większą powagę, niż u nas niejeden urzędnik. Rzadko używa siły. Zdarzały się jednak prawdziwe masakry upartego tłumu. Policja, wybornie zdyscyplinowana, zachowywała się zrazu prawie biernie i pozwalała się do czasu obrażać, choć miała już nieodzowny w takich wypadkach pisemny rozkaz rozproszenia tłumu. Ale nadchodziła chwila, w której sytuacja ulegała błyskawicznej zmianie i pałki gumowe czyniły między demonstrantami niesłychane spustoszenia, a nie oszczędzano nawet uciekających.

XX.

Wyrobiona w ciągu pokoleń powściągliwość objawia się i w stosunkach przyjacielskich. Anglik niełatwo je zawiera, lecz zato bierze na serjo. Nie lubi wynurzeń. Dyskretne miarkowanie zewnętrznych objawów świadczy u niego o sile uczucia. Wybornie odmalował to Thackeray w powieści *Pendennis*, gdzie z okazji spotkania się dwóch przyjaciół po dłuższej rozłące wplata ciekawą dygresję.¹ Porównywa zachowanie się Anglików z czułościami Francuzów i Niemców.

Alphonse i Frédéric rzuciliby się sobie w objęcia i wśród uścisków piszczeli „*Le bon coeur! Ce cher Alphonse!*” Maks i Wilhelm okryliby swe cygarami naperfumowane wąsy pół tuzinem pocałunków. „No i cóż chłopcze?” — „Jak się masz, stary?” — mówią dwaj Brytyjczycy — a może wczoraj jeden drugiemu ocalił życie. Jutro darują sobie nawet uścisk ręki i tylko wzajemnie kiwną sobie głową, gdy przyjdą na śniadanie... Ciekawa skromność, dziwna stoicka przyzwoitość angielskiej przyjaźni!

Lecz pełen zawsze ironji, uśmiechnięty pesymista Thackeray nie kończy na tem. Dodaje znamienne słowa:

¹ Początek rozdziału LXIX.

„Tak, tak, nie jesteśmy tacy demonstracyjni, jak ci przekłeci cudzoziemcy, mówi Hardman,¹ który nietylko nie okazuje przyjaźni, ale i nie czuł jej przez całe życie“.

Satyryczna wycieczka Thackeraya ma duże uzasadnienie. Angielskie poszanowanie indywidualizmu, pozostawianie jednostki własnym siłom, wstręt do objawów sentymentu wyrobiły w gorszej części społeczeństwa bezwzględne samolubstwo. Anglik rzadko rozkliwia się nad nędzą i zazwyczaj przechodzi koło niej obojętnie. Kto nie umiał zdobyć sobie stanowiska i znośnego bytu, niech cierpi. Na gruncie angielskim powstała teoria, że świat jest tak urządzony, aby słabsze osobniki ginęły, a rozwijały się tylko silniejsze (*the survival of the fittest.*) To też przeciętny Brytyjczyk z jednej strony spycha wszelką akcję dobroczynną na barki państwa, z drugiej broni się zawzięcie przed ciężarami, jakie mu państwo z tego powodu usiłuje nałożyć. Niedarmo wadą, jaką najostrzej zwalczał Dickens, jest brak uczucia i egoizm.

Nie należy jednak zapominać, że to samo społeczeństwo wydało długi poczet wielkich filantropów. Być może, iż działalność ich była poczęści nietylko wynikiem wrodzonych popędów, ile rozumowania — ale kto wie, czy tak nie lepiej. Miała bowiem więcej systematyczności i celowości. Zamiast udzielać doraźnej pomocy, tworzono trwałe, dobrze obmyślane instytucje. Anglja ma mniej żebractwa, niż szereg katolickich krajów, w których kwitnie miłosierdzie. I jeżeli dziś na ulicach jej wielkich miast, przedewszystkiem Londynu, często można spotkać się ze słabo zamaskowanym wyciąganiem proszącej ręki, jest to zapewne tylko przejściowy objaw powojenny.

Natomiast w dawniejszych czasach, zanim jeszcze idee humanitarne i poczucie obywatelskie zorganizowały opiekę społeczną, nigdzie nie było tylu złodziei i bandytów. Don

¹ To wymyślone *ad hoc* „mówiące“ nazwisko dałoby się przetłumaczyć „Twardosz“.

Juan Byrona, wylądowawszy w Anglii, wygłasza szumną tyradę na cześć ziemi wolności, jej mądrych praw, jej moralności i bezpieczeństwa, jakie na niej panuje. Lecz przerywa mu w środku zdania — zbójca. Poeta dotknął tu skalpelem satyry objawu, który rzeczywiście przynosił wstyd jego ojczyźnie. Jeszcze w połowie XIX w. ulice Londynu nie były w nocy bezpieczne. Rzecz też niewątpliwie wiązała się z całym życiem Anglii i z charakterem narodowym. Społeczeństwo odwracało się od człowieka, którego nie uważano za dżentelmena, nie podawało biedakowi pomocnej ręki. Cóż mu pozostawało innego, jak kraść lub rabować? Popychała na drogę zbrodni i srogość ustawy karnej, skazującej na śmierć za stosunkowo lekkie przewinienia. Mówiono sobie: „Wisieć — to niechże będzie za co“ — i budziła się pierwotna brutalność natury. Tem bardziej jednak należy podziwiać naród, który zdołał w ciągu lat kilkudziesięciu wykorzeni ć rozboje — razem z analfabetyzmem. Mówię „w ciągu lat kilkudziesięciu“, ponieważ kulturalne podniesienie się Anglii przypada głównie na w. XIX. Postęp było widać już poprzednio, ale dopiero teraz nastąpił przewrót — parę pokoleń zebrało żniwo zarówno z własnej pracy, jak z pracy kilkudziesięciu poprzednich.

XXI.

Schowałem na koniec jeszcze jedną cechę charakteru angielskiego, która po poznaniu innych staje się jasną bez dokładniejszej analizy. Duma narodowa, praktyczność, widok osiągniętych zdobyczy zrodziły skłonność do hazardu. Śmiałe wyprawy morskie, zdobywcze wojny, prowadzone w odległości tysięcy mil, wielkie przedsięwzięcia handlowe nigdy nie były pozbawione tego żywiołu. Nawet Wellington, zimny rachmistrz szans strategicznych, pozbawiony napoleońskiej fantazji, raz w życiu dał się porwać wrodzonej swym rodakom żyłce. Na dniu każdego zakładu jest wiara we własną siłę i zręczność, w doskonałość swego systemu hodowli koni,

psów, kogutów, we własne zjawstwo i wiadomości, w najgorszym razie we własne szczęście.

Mimo swą ekscentryczność i mimo nieodłączną przymieszekę chciwości zakłady angielskie nieraz mogą naprawdę olśnić i zaimponować. Popis siły fizycznej i fizycznej biegłości w sporcie wymaga zawsze podkładu siły duchowej, która by pozwoliła jednostce wycisnąć z siebie *maximum*, przetrwać niezwykle trudy, przewyciężyć wszelkie przeszkody.

W lecie r. 1923 dwaj członkowie parlamentu, — nawiasem mówiąc, z dwóch różnych partyj, — obaj po czterdziestce, obaj byli żołnierze wojny światowej, urządzili sobie oryginalne wyścigi. Mieli w pełnym obciążeniu połowem przebyć przestrzeń blisko 30 mil angielskich (około 48 km). Dzień był upalny. Jeden i drugi mdał parokrotnie po drodze. Starszy ostatecznie ciężko zasłabł. Młodszy jednak doszedł do mety, przy której ślaniającego się podtrzymała żona, zapowiadając, że już nigdy nie pozwoli mu na podobne wybryki. Miała słusność. Wyścig mógł zwycięzcy zaszkodzić na zdrowiu równie poważnie, jak zaszkodził zwyciężonemu. Lecz ponad wszelką wątpliwość stwierdził silną wolę i wytrwałość obu.

Naogół jednak zakłady angielskie są stanowczo rysem ujemnym — zwłaszcza w zwyrodniałej formie, polegającej na tem, że sam przedmiot zakładu nie gra właściwie żadnej roli, a głównym momentem jest wygrana pieniężna, nie idzie więc o okazanie sprawności lub dowiedzenie słusności, tylko o doznanie nerwowej sensacji, której podłożem jest chciwość. A hazard dla hazardu ma w Anglii potężny zastęp zwolenników.

Czemże bowiem jest zakorzeniona w Anglii gra na wyścigach? Same wyścigi wprowadzono niegdyś, aby dzięki bodźcowi współzawodnictwa podnieść chów koni. Dołączył się wnet moment pieniężnego hazardu. Zrósł się z innymi czynnikami tak, że właściciel stajni, zapytany, o co mu głównie idzie, czy o triumf moralny, czy o wykazanie znajomości rzeczy, czy o nagrodę i zakłady, gdyby nawet chciał być szczerym, nie umiałby dać odpowiedzi.

Lecz na wyścigach grają i ludzie, którzy biegów nie widzą, którzy może ich w życiu nie widzieli, którzy, mieszkając i pracując w olbrzymiej stolicy, spotykają codziennie setki samochodów, ale zapomnieli, jak koń wygląda. Wybierają też sobie czworonoga, któremu mają powierzyć swych kilka szylingów czy funtów, nieraz prawdziwy grosz wdowi, kierując się gazeciarską blagą, zasłyszaniem plotkami, nazwą konia lub losem. Zresztą w miarę, jak wpływają stawki, bukmakerzy ogłaszają kurs każdego konia, więc na podstawie rachunku prawdopodobieństwa ten, kto jest skłonny do zadowolenia się małą wygraną, gra na bardziej obstawionego, na faworyta, a kto pragnąłby od razu zgarnąć całą kupę złota, na niepopularnego *outsidera*.

Ale najbardziej typowym objawem są t. z. *sweepstakes*. Grupa ludzi, zatrudnionych w jednym biurze czy kantorze lub mieszkających w jednym pensjonacie, składa po równej sumie. Rozstrzygają następnie losem, komu który koń przypadnie w udziale — i po biegu szczęśliwy właściciel kartki z imieniem zwycięzcy zgarnia wszystkie pieniądze.

Aby stwierdzić, jak rozpowszechniona jest ta manja, a raczej zaraza, dość, przechodząc ulicą, patrzeć na nagłówki gazet i liczyć, ile z nich dotyczy wyścigów. Nie należy zaś wyobrażać sobie, że grają tylko ludzie zamożni, którym wygrana i przegrana robi niewielką różnicę. Gra dosłownie każdy, nie wyłączając robotnika bez zajęcia i żebraka, ta tylko między bogatymi a ubogimi zwolennikami konnego sportu zachodzi różnica, że ubożsi często grają u tajnych bukmakerów, ściganych przez policję, więc hazard polega na tem, że nie tylko niewiadomo, czy upatrzony koń przyjdzie pierwszy do mety, ale też niewiadomo, czy wygrana będzie wypłacona.

Namiętność ta znajdowała nieraz odbicie w literaturze. Lecz warto zwrócić uwagę na charakterystyczny objaw: Trzy ćwierci wieku temu Thackeray w „Pendennisie“ przedstawił, jak na Derby zgrywają się do nitki lekkomyślny lord i równie

lekkomyślny jego synalek. Dziś Galsworthy w *The White Monkey* wprowadza parę robotniczą. Źle się powodzi tym dwojgu ludzi, on stracił miejsce, więc marzą o wyjeździe do Australji. Koszta podróży chcą pokryć wygraną na wyścigach. Dziś Wells w *The Dream* rysuje sklepikarza z małego miasteczka i wypędzonego za kradzież ogrodnika, którzy systematycznie przegrywają swe skromne oszczędności, a szukając pociechy w wódce, zostają wkrótce nałogowymi alkoholikami. Demokratyzacja życia we wszystkim...

XXII.

W powyższem zestawieniu ustawicznie powoływałem się na niezatarte ślady, jakie różne rysy charakteru narodowego pozostawiły w twórczości literackiej Anglików. Ale kusili się oni nietylko o kreślenie poszczególnych rysów; było dość prób syntezy. Nie mogę niemi zajmować się obszerniej, przytoczę więc tylko dwie z ostatnich czasów. Wybrałem je mniej więcej na chybił trafił, dla sprawiedliwości tylko stawiając obok siebie dwa ustępy, pisane w różnym nastroju i celu.

Oto naprzód charakterystyka satyryczna, złośliwa i nieco karykaturalna. Shaw wkłada ją w usta Napoleonowi, stojącemu jako naczelny wódz armji włoskiej, u początku swej kariery, ale przewidującemu już przyszłość i zastanawiającemu się nad nią. Czytając, należy pamiętać, iż wprawdzie rzecz dzieje się w roku 1796, ale sztuka powstała o sto lat później.

Są na świecie trzy rodzaje ludzi — niski, średni i wysoki. Niski i wysoki są do siebie podobne w jednym względzie: nie mają skrupułów, nie mają moralności. Niski rodzaj jest poniżej moralności, wysoki ponad nią. Nie boję się żadnego z nich, bo niski rodzaj ludzi nie ma skrupułów, ale nie ma i wiedzy, więc uczyni mnie bożyszczem, podczas gdy rodzaj wysoki nie ma skrupułów, ale nie ma i celu, więc uniży się przed moją wolą... Przejdę po wszystkich motłochach i dworach europejskich jak pług przechodzi po polu. To ludzie średni są niebezpieczni; nie brak im i wiedzy i celu. Ale oni też mają swą piętę Achillesa. Są pełni skrupułów,

mają ręce i nogi związane łańcuchem swej moralności i czcigodności (*respectability*).

Tu kobieta, z którą rozmawia Napoleon, wtrąca: „Pobijesz więc Anglików, bo wszyscy kupcy to ludzie średniego rodzaju“, on zaś odpowiada:

Nie, gdyż Anglicy są rasą jedyną w swoim rodzaju. Żaden Anglik nie stoi zbyt nisko, by miał skrupuły, żaden Anglik dość wysoko, aby wolny był od ich tyranji. Lecz każdy Anglik rodzi się z pewną cudowną władzą, która czyni go panem świata. Gdy chce czegoś, nigdy sobie nie powie, że chce. Będzie czekał cierpliwie, aż w jego umyśle pojawi się płomiennie przeświadczenie, że jest jego moralnym i religijnym obowiązkiem podbić właściciela rzeczy, której chce. Wtedy staje się niezwyciężonym. Jak arystokrata, czyni, co mu się podoba, i porywa to, czego pożąda; jak sklepikarz, zdąża do swego celu z przemyślnością i wytrwałością, płynącymi z silnego religijnego przekonania i głębokiego poczucia odpowiedzialności etycznej. Nigdy długo nie szuka potrzebnej moralnej pozy. Jako wielki szermierz wolności i niezawisłości narodowej podbija i anektuje pół świata, a nazywa to kolonizacją. Gdy trzeba mu nowego rynku zbytu na fałszowany towar manczesterski, posyła misjonarza, aby niósł krajowcom ewangelję pokoju. Krajowcy zabijają misjonarza; on porywa za broń w obronie chrześcijaństwa; walczy za nie; zwycięża w jego imię i bierze rynek zbytu jako nagrodę nieba. By bronić brzegów swej wyspy, wsadza na okręt kapelana, przybija flagę z krzyżem do najwyższego masztu i płynie na kraj świata, topiąc, paląc i wytracając wszystkich, którzy odmawiają mu panowania nad morzami. Chępli się, że niewolnik jest wolnym z chwilą, gdy noga jego dotknie się ziemi brytyjskiej, a sprzedaje sześciolatek dzieci swych nędzarzy, aby pod batem pracowały w jego fabrykach po szesnaście godzin dziennie. Urządza dwie rewolucje, a potem w imię prawa i porządku wypowiedzi wojnę naszej jednej. Niema rzeczy tak złej lub tak dobrej, byście nie ujrzeni Anglika robiącego ją; ale nigdy nie ujrzyście Anglika nie mającego słuszności. Czyni on wszystko z zasady. Walczy z tobą dla zasady patriotycznej, łupi cię dla zasady kupieckiej; teroryzuje cię dla zasady męskiego postępowania; popiera swego króla dla zasady lojalności i ucina swemu królowi głowę dla zasady republikańskiej. Jego hasłem jest zawsze obowiązek i nigdy nie zapomina, że naród, który pozwoli, aby jego obowiązek i interes znalazły się po dwóch przeciwnych stronach, jest zgubiony...

Cała filipika to komentarz do znanego przysłowia *Right or wrong, my country*. Shaw włożył ją w usta Na-

poleona jakby dla usprawiedliwienia przesady. Kazał mu jeszcze dodać później, że Anglicy „czasem są za głupi, aby poznać, że są pobici“. Ale to zdanie odnosi się zapewne tylko do Waterloo, jest więc szyderstwem z samego Napoleona.

A teraz charakterystyka naogół dodatnia, gdyż dotyczy postaci dramatycznej, uchodzącej od dawna za dodatni typ Anglika, charakterystyka bastarda w szekspirowskim „Królu Janie“. Wstępne zastrzeżenie, które wymienia dwie postaci komiczne, moralnie niewysoko stojące, oraz pewne ujemne punkty w samej charakterystyce są piołunem, domieszanym do miodu, gdyż autor, znany poeta współczesny John Masefield, bał się wpaść w ton zbyt optymistyczny, niemodny w naszych czasach i nieprzystojny dla miotającego gromy postępowca.

Z wyjątkiem Sir Tobjasza¹ i sędziego pokoju Shallow'a² bastard jest najbardziej angielską figurą w dramatach (Szekspira). Ani przedtem, ani potem nigdy nie widziano takiego Anglika (w literaturze). To człowiek nawylot uczciwy, silny, o wielkim sercu; gardzi słabymi; cieszy się, że jest królewskim bękartem; umie wkradać się w łaski kobiet (między innymi własnej matki); odznacza się budzącą zaufanie, pełną dobrego humoru otwartością; lubi walkę; jest wybitnie zdolny, gdy mu powiedzą, co ma robić; lubi używać środków prostych — im prostszych, tem lepiej; łatwo imponuje mu inteligencja, gdy ją spostrzeże na wysokim stanowisku po własnej stronie, ale absolutnie nie jest zdolny spostrzec inteligencję u cudzoziemca; lubi te rodzaje humoru, które zwykle prowadzą do bitki; lubi słowa „*fair play*“; szlachetnie i subtelnie wybucha głębokiem, naprawdę poetycznem wzruszeniem na widok okrutnego czynu, spełnionego na istocie małej i bezradnej. Zupełność portretu najlepiej widać w rysie praktycznej mądrości.

I Masefield jako przykład przytacza scenę, w której bastard, podejrzewając, że Hubert jest mordercą Artura, każe mu nieść ciało chłopca, a sam wygłasza ogólniki i równocześnie bacznie obserwuje. To „uczuciowa próba, którejby nie zastosował nikt z wyjątkiem Anglika“.

¹ *Noc Trzech Króli.*

² *Henryk IV, Wesole kobiety z Windsoru.*

XXIII.

Przeszedłszy katalog angielskich zalet i przywar, łatwo zrozumieć angielskie formy towarzyskie, tak bardzo odmienne od naszych. Cudzoziemcowi ich obserwację utrudnia angielskie poczucie wyższości, które często żywiłowo bierze górę nad dobrem wychowaniem. Bo Anglik chce być dla cudzoziemca uprzejmym. Wogóle zapatrywanie jakoby był niegrzeczny, należy uznać za zgruntu fałszywe. Anglik jest tylko grzeczny po swojemu.

Przedewszystkiem trzyma się w rezerwie. Podanie ręki uważa za oznakę wielkiej zażyłości, więc też nie szafuje tą uprzejmością, która u nas stała się zdawkową. O ile nie jest z kimś w bliższych stosunkach, uważałby za szczyt niedelikatności pytać go o jego osobiste sprawy lub nudzić opowiadaniem o swoich. Tyle jest przecie innych tematów. Zaczyna się z zasady od pogody — zmienny i nieprzyjemny klimat daje dużo sposobności.

Zresztą ludzie, którzy znajdują się przypadkowo przy jednym stole, niekoniecznie muszą z sobą rozmawiać. Mogą równie dobrze milczeć, bo milczenie bynajmniej nie dowodzi braku grzeczności. Ten sam dżentelmen, który ani nie spojrział na ciebie, siadając przy tym samym stole w restauracji, kawiarni lub pensjonacie, a tve próby nawiązania rozmowy zmroził monosylabami, skwapliwie poda ci sól, pieprz lub cukier, gdy spostrzeże, iż się za czemś rozglądasz. Zwykle nawet zgadnie, czego szukasz. Nikt też w Anglii nie puści drzwi automatycznych na drugiego. Przytrzymuje je każdy, czekając, aż tamten dotknie ich ręką — i wtedy obaj powiedzą *Thank you*.

Nigdzie ludzie sobie tak często nie dziękują. Gość w restauracji mówi *Thank you* kelnerowi za to, że mu podał potrawę, kelner gościowi za to, że łaskawie pozwolił jej sobie nałożyć na talerz. Nie lękaj się też, cudzoziemcze, gdy kupiec, biorąc od ciebie monetę lub banknot, z którego ma wydać

resztę, dziękuje. Będzie dziękował raz jeszcze, dając ci drobne, a potem znowu, gdy będziesz wychodził.

Przybywszy po raz pierwszy do Anglii, zamieszkałem w skromnym pensjonaciku o dziesięć minut drogi od *British Museum*. Znając trochę zwyczaje z książek, ze stosunków z Anglikami na kontynencie i z podróży morskiej, nie przedstawiałem się nikomu, chociaż przy stole rozmawiałem z sąsiadami. Pewnego razu jednak dama, która siadywała podczas obiadu na drugim końcu jadalni i nigdy ze mną dwóch słów nie zamieniła, przystąpiła do mnie po obiedzie i przeprosiła mnie, że nie ukłoniła mi się na ulicy. Zdziwiłem się bardzo i pomyślałem, że najwidoczniej spodziewała się ukłonu, ma żal do mnie i chce mi to okazać. Podobną drażliwość tem łatwiej było mi zrozumieć, że była to stara panna, ruda, garbata i mocno brzydka — istny Ryszard III w spódnicy. Zapewniłem, że jej nie dostrzegłem i że na przyszłość będę uważniejszy. — „Nie, nie“, odparła, „to ja powinnam była pana przywitać, ale za późno pana zobaczyłam“.

„A to złośliwy stary grat“, pomyślałem, składając głęboki ukłon. Na drugi dzień opowiedziałem wszystko znajomemu Anglikowi i ten wyprowadził mnie z błędu. Z mojej strony właśnie byłoby nietaktem, gdybym na ulicy pierwszy ukłonił się kobiecie, z którą wprawdzie mieszkam pod jednym dachem i jadam przy jednym stole, ale której nie byłem przedstawiony. A nuż nie życzy sobie znajomości ze mną? Jeżeli jednak pragnie stosunków towarzyskich, daje sposobność, pozdrawiając mnie pierwsza. Nie trzeba więc brać tego zwyczaju za objaw niegrzeczności względem kobiet. Przeciwnie, jest to posunięta bardzo daleko uprzejmość względem nich. Doniedawna jeszcze z tych samych powodów przedstawiano panie mężczyznom, lecz już wziął górę zwyczaj kontynentalny.

Podobnież nie dziwny się, widząc na ulicy panią po lewej, pana po prawej stronie, — a często nam się to zdarzy. Nie jest to wcale objaw brutalności męskiej. Poprostu

umówili się tu inaczej, niż na kontynencie — i o wiele praktyczniej, o ile idzie o zapewnienie kobiecie uprzywilejowanego miejsca. Honorowe jest właśnie miejsce od muru i to oddaje jej mężczyzna, który za czasów Szekspira nieraz dobywał szpady, gdy mu je drugi, równie jak on zarozumiały człek chciał zabrać. Kroczy sam brzegiem chodnika, gdzie musi uważać, aby go nie zepchnięto pod koła, gdzie gorzej dokuczają zapach benzyny, gdzie łatwiej zostać obryzganym.

Snobizm sprawia, że *savoir vivre* angielski jest w całym szeregu wypadków bardziej drobiazgowy od kontynentalnego. Wyższe klasy odgradzają się od niższych tysiącami zwyczajami, po których nieznajomości łatwo poznać intruza. Zresztą działa tu i konserwatyzm. Weźmy jako przykład zachowanie się przy jedzeniu.

Pewien mój znajomy, Polak, przebywający stale w Londynie, mieszkał w pięknym domu, zbudowanym niegdyś na rezydencję miejską zamożnej ziemiańskiej rodziny i odpowiednio umeblowanym. Wskutek zubożenia obecni właściciele zaczęli odnajmować pokoje i dawać wikt lokatorom. Pamiątką dawnej świetności pozostał poza stylowym urządzeniem z pierwszej połowy XIX w. stary, równie stylowy służący, typowy *butler* angielski, promieniający klasyczną *respectability*.

Będąc tam na obiedzie, doznawałem pewnej tremy, aby w oczach tego dżentelmena-lokaja nie okazać się źle wychowanym. Za pierwszą bytnością, jeżeli się nie mylę, wszystko było w porządku. Służący stawiał mój talerz przed gospodarzem, który mi nakładał potrawy. Czułem instynktownie, że dałbym dowód łakomstwa, gdybym sam sięgnął po jedzenie, czekałem więc, aż je stary z należytą powagą postawi przede mną. Drugim razem jednak poszło gorzej. Nie wiem już, jakim sposobem zająłem miejsce, na którym zwykle siadywał gospodarz. Służący widocznie uznał, że ten umieścił mnie tak dla szczególnego uczczenia i przelał na mnie w tym samym celu wszystkie swe prawa. Stawiał więc przede mną i jego talerz. Ponieważ pokrajanie kury, pływającej w tłustym

sosie, „nie jest nauką łatwą ani małą“, wybrałem złe mniejsze i udałem, że nie orjentuję się w sytuacji. Lokaj zastosował się do mnie i, jak przystało jego dostojnemu stanowisku, nie zmienił wyrazu twarzy. Do końca wieczoru czułem jednak instynktownie, że albo ma żal do mnie, albo stracił dla mnie przynajmniej część szacunku.

O czytelnicy, jeżeli kiedy będziecie w Anglii, a nie zechcecie, aby każdy na pierwszy rzut oka poznał w was „krwawych cudzoziemców“, pamiętajcie o tem, że gdy paru ludzi razem publicznie pije herbatę, nie godzi się, aby każdy sam sobie nalewał. Musi to czynić jedna osoba, jeżeli jest w towarzystwie kobieta, to kobieta. Jej to przywilej i prawo.

Nie od rzeczy również będzie następująca przestroga: Kto przy stole chce, aby mu potrawę jeszcze raz podano, na znak pogotowia składa nóż i widelec na krzyż na talerzu. W przeciwnym razie ma położyć je równolegle. Nie rozglądajcie się również za wykłuwaczami — to kontynentalna nieprzyzwoitość, kto do niej przyzwyczajony, niech nosi w kieszeni odpowiedni instrument i używa go na osobności.

XXIV.

Ale dość tych drobiazgów. Przechodzę do wyjaśnienia, dlaczego, jak parokrotnie zaznaczyłem, wyżej cenię Anglię wczorajszą i przedwczorajszą od dzisiejszej.

Zarzut, jaki nasuwa się czytelnikowi, dałby się sformułować mniej więcej, jak następuje:

Jakto? Roztoczyłeś przed nami obraz, w którym są wprawdzie rysy ujemne, ale potężnie przeważają dodatnie, i mówisz, że tak było jeszcze niedawno, a dziś już jest inaczej? Czyż olbrzymie zbiorowisko ludzkie, i więcej, niż zbiorowisko, bo naród, związany wspólnymi pojęciami, wspólnym charakterem, wspólną historją i wspólną kulturą, może zmienić się z dziś na jutro? Czy to, co dotąd przynosiło korzyść, może ni stąd ni zowąd nagle stać się szkodliwem?

Otóż tu właśnie, w tem ostatniem pytaniu, punkt wyjścia do odpowiedzi. Największy geniusz angielski wypowiedział przez usta swego mnicha-lekarza głębokie słowa:

Twór żaden nie jest lichym tak i brzydkim,
 Że nigdy na nic przydać się nie zdoła,
 Tak dobrym żaden, aby złym użytkiem
 Zhańbiony, szkody nie siał dookoła¹.

Starałem się przy każdej sposobności zwracać uwagę, że te same rysy charakteru angielskiego mają dla społeczeństwa równocześnie złe i dobre następstwa. Wystarczają więc zmiany stosunkowo niewielkie, dla przygodnego i powierzchownego obserwatora może niedostrzegalne, aby zmienił się ogólny rezultat.

Dobre odżywianie jest człowiekowi konieczne do zdrowia. Jak łatwo jednak od tego, co rodzi siłę i zdrowie, przejść do szkodliwego nadmiaru! Ani się spostrzeżesz, jak zbytnia tusza zacznie tamować swobodę ruchów, jak popsuje się trawienie, jak pojawiają się bóle artretyczne.

Anglja skupiła pod swem panowaniem największe w dziejach świata obszary, zgromadziła największe bogactwa, wytworzyła najwyższy poziom kultury materialnej. Jedyną analogję przedstawia państwo rzymskie, a analogja ta nie kończy się na rozległości, dobrej organizacji i potędze. Gdzieś w niedalekiej przeszłości leży punkt, do którego rozrost pod każdym względem wychodził Anglji na zdrowie. Dziś utrzymanie w łączności terytorjum olbrzymiego, a różnorodnego co do warunków życia, jeszcze wprawdzie udaje się, ale już pochłania zbyt wiele energii, już prowadzi do zbyt nierównomiernego rozkładu wysiłków, których wiele idzie na samo zachowanie *status quo*.

Dobrobyt sprawił, że pieniądz z jego wykładnika zmienił się w coś realnego, ze środka stał się celem sam dla sie-

¹ „Romeo i Julja“, II, 3.

bie. Wytworzyła się liczna klasa, nie produkująca pracą nic, a żyjąca i rosnąca w siły tylko dzięki sprytowi, skierowanemu ku korzystnym spekulacjom. Podstawą życia ekonomicznego stał się kredyt, rzecz wygodna, ale oparta na niemoralnej podstawie, bo na pomnażaniu swych dostatków bez trudu. Zapomniano dziś o starej zasadzie etyki chrześcijańskiej, która bezwzględnie potępia lichwę. Niema w tem nic złego, jeżeli ojciec uczciwą pracą dojdzie do majątku i przekaże go dzieciom, aby zapewnić im byt dostatni. To prawo człowieka. Ale gdy dziedziczona własność była nieruchoma, trzeba było nią zarządzać, a przynajmniej dobierać sobie ludzi i kontrolować ich. O ile ktoś nie pracował, jego majątek z reguły nie rósł, a często zmniejszał się i w kilku pokoleniach zwykle topniał zupełnie. Dziś zaś majątki rosną, jak lawina, samą siłą ciężkości, miazdząc stojących na dole.

Potworzyły się olbrzymie fortuny, które samemu państwu wyrosły nad głowę i zyskały nad niem rodzaj supremacji. Podobną potęgą byli w średnich wiekach magnaci, władający wielkimi obszarami ziemi. Lecz między nimi a dzisiejszymi możnowładcami finansowymi zachodzą trzy zasadnicze różnice:

Po pierwsze baron feudalny zależny był od dobrobytu swych włości i, o ile nie był głupcem, liczył się z tym względem. Po drugie nad baronami stał król i zazdrośnie czuwał nad tem, aby żaden z nich zbyt wysoko nie wybujał — więc uniały się w proch lub spadały głowy, co nad tłum wyrosły, a wielki Twórca dziejów co pewien czas zsyłał monarchę, spełniającego to zadanie — choćby z pogwałceniem praw moralnych. Dziś król nie posiada władzy, a niekoronowani królowie gruntują swą potęgę nie na latyfundiach i na zastępach wasali, wiernych zwykle dopóty jedynie, dopóki im choć w przybliżeniu dobrze, ale na nieuchwytnym kapitale i na gromadach niewolników, których dobrobyt pozostaje w odwrotnym stosunku do dobrobytu panów. Nigdzie ten proces nie postąpił tak daleko, jak w Anglii. Rządzą zaś par-

lamenty i oparte na nich gabinety, a zarówno członkowie jednych, jak i drugich, są zależni od kapitału. Po trzecie baron feudalny był związany z ziemią ojczystą, kapitał jest międzynarodowy.

Miały średnie wieki swe bunty chłopskie, ale burze te, choć nieraz groźne i gwałtowne, szybko zato przemijały. O ileż groźniejsza jest reakcja na władzę kapitału! Nad dzisiejszemi społeczeństwami wisi niebezpieczeństwo, że reakcja ta za jednym zamachem zniszczy wszystko co złe i co dobre, i że równocześnie zmiecie z powierzchni ziemi te wartości materialne, których sprawiedliwszego podziału żąda.

Anglik nie jest bynajmniej z natury skłonny do społecznej utopji. O ile mi wiadomo, na ziemi brytyjskiej nie czynił dotąd nikt praktycznych prób wprowadzenia w życie ustroju komunistycznego. Lecz przychodzą mi na myśl dwa przykłady — amerykański i australijski. Sądzę, że mogę je zużytkować z tem zastrzeżeniem, iż rasa anglosaska nabrała poza ojczyzną pewnych właściwości odmiennych. W każdym razie jednak pozostała w szeregu zasadniczych rysów tą samą.

Niejaki John Humphrey Noyes, zebrawszy z górą dwustu zwolenników płci obojga, założył w Oneida Creek gminę, zorganizowaną na podstawie wspólności wszystkiego, a realizującą także postulat wolnej miłości. Musiał być tęgą jednostką, gdyż eksperyment trwał aż do jego zgonu. Lecz już przedtem w łonie gminy potworzyły się rodziny i powstał związek własności prywatnej. W drugim pokoleniu komunizm zniknął i została tylko kooperatywa. Jeden z ludzi, urodzonych w Oneida Creek, opisał dzieje ciekawego eksperymentu, zakończył je stwierdzeniem, że duch anglosaski zbyt jest indywidualistyczny, aby mógł zgodzić się z komunizmem.

Po wielkich strajkach, jakie wstrząsnęły Australją w r. 1890 i 1892, grupa niezadowolonych z rezultatu uczestników postanowiła stworzyć osadę komunistyczną w południowej Ameryce. Zamiar urzeczywistniono, ale z założonej gminy rozczarowana ludność w przeciągu kilku lat puciekąca.

Jako urodzony snob, Anglik myśli nie o tem, aby wszystkie klasy zrównać, lecz aby samemu wznieść się do wyższej. Jeżeli w dawniejszej historii, mianowicie podczas rzeczywolitej, pojawiały się dążenia do niwelacji społecznej, to rodziły się raczej z ducha szkockiego i z rozpętanej przez protestantyzm spekulacji religijnej, a miały bardzo krótki żywot. Jeżeli zaś dziś robotnicze związki zawodowe stały się potęgą i mniej wprawdzie systematycznie, ale równie zastraszająco, jak kapitał, ograniczają suwerenność państwa, wynikło to jedynie z nienormalności całego życia. Istnieją podobne objawy w całym cywilizowanym świecie — mówię „cywilizowanym“, a więc pomijam zupełnie Rosję, bo ta nigdy dostatecznie nie przesiąkła mechanicznie narzuconą kulturą. Ale nigdzie rzecz nie doszła do tak groźnej fazy, nigdzie przeciwieństwa nie są tak jaskrawe, jak w Anglii.

Nie należy obawiać się, aby kiedykolwiek przyjął się tam jakiś na utopji zbudowany porządek socjalny. Lecz przy krótkowzroczności polityków i ich zależności od czynników postronnych może nagle przyjść krótkotrwała burza, po której trzeba będzie przez długie lata naprawiać szkody¹.

XXV.

A właśnie angielskie życie polityczne przedstawia obecnie najsmutniejszy obraz. Świat — nie wyłączając samych Angli-

¹ Stłumienie majowego strajku generalnego (1926) dowiodło z pewnością energii społeczeństwa, ale nie stanowi przełomu w życiu społecznym i ekonomicznym Anglii. Walka zbyt krótko trwała, aby wyczerpały się siły jednej ze stron walujących. Wielki kapitał i związki zawodowe stoją dalej wrogo naprzeciw siebie — nieprzejednane i nieustępliwe, społeczeństwo zrozumiało niebezpieczeństwa, grożące z jednej strony, t. j. ze strony związków zawodowych, z grożących z drugiej strony nie zdaje sobie nadal sprawy. Zresztą szkody zrządzone przez strajk górniczy, który w chwili, gdy to piszę, trwa jeszcze, ocenić będzie można dopiero z pewnej perspektywy czasu.

ków — jeszcze niezupełnie zdaje sobie z tego sprawę. Przyzwyczajono się powszechnie podziwiać system, polegający na rządach większości, którą kontroluje mniejszość i która wnet musi stać się sama mniejszością, o ile nie umie dać sobie rady z trudnościami. Z zachwytem przeciwstawiano bezkrwawe, pokojowe przewroty konstytucyjne okropnościom rewolucji francuskiej.

Lecz po pierwsze Anglja od szeregu lat posiada już nie dwa, tylko trzy stronnictwa, a chociaż jedno z nich znacznie stopniało przy ostatnich wyborach i stało się *quantité negligéable*, wątpić należy, aby ten pocieszający stan rzeczy mógł utrzymać się dłużej. Po drugie dziś w krótkich odstępach czasu jeden rząd następuje po drugim, z łatwością obalając poprzedni dlatego, że tamten nie umiał rozwiązać pewnych zagadnień, a potem okazuje się wobec nich równie bezsilnym; kłopoty rosą — nie z jego bezpośredniej winy zapewne, lecz z winy niezdrowych stosunków, w których stać w miejscu znaczy staczać się wdół. Każdy rząd gospodaruje z dnia na dzień i używa półśrodków. Chesterton porównał obecnych sterników nawy państwowej ze ślepcem, który dostał się do wielkiego składu i usiłuje się od stóp do głów ubrać. Wdziewa naturalnie nie to, co dla niego najodpowiedniejsze, ale to, co mu wpadnie pod rękę.

Prof. Dyboski ogłosił niedawno broszurę *Czego uczynas Anglja*. Już sam tytuł wskazuje na cel pedagogiczny i łatwo zrozumieć, że autor musiał wszystko brać pod tym kątem widzenia. Ułożył też z życia angielskiego i stosunków angielskich wspaniałą bukiet cech i faktów, godnych postawienia za przykład. Ale — pomijając optymistyczne z natury rzeczy ujęcie szeregu rysów i objawów — muszą sprzeciwić się jednemu pogładowi.

Nie jest symptomem zdrowym, że „walki polityczne w Anglji mogą sprawiać wrażenie igrzysk sportowych“ i nawet nie jest nim przesadna uprzejmość przeciwników politycznych

względem siebie, nie jest też w wielu wypadkach fakt, że bardzo rzadko robi się politykom osobiste zarzuty.

Daleki jestem od wychwalania w życiu parlamentarnem i wogóle publicznem chałstwa, pochopnego ciskania ciężkimi zarzutami i szarpania honoru ludzi innych partyj. Ale nie to są najgorsze strony naszego życia publicznego. Za takie uznać należy mnogość stronnictw, wypychanie się na pierwszy plan ludzi bez kwalifikacyj, wreszcie częsty brak osobistej uczciwości. Jeżeli byśmy za przykładem angielskim łajdaka czy durnia z przeciwnej partyj, dlatego tylko, że to przeciwnik, zaczęli nazywać „czcigodnym przyjacielem“ i, mając dowody lub silne poszlaki jego nieuczciwości, uprzejmiem milczeli, tobyśmy niedaleko zaszli. Łajdak i dureń są łajdakiem i durniem, a nie czcigodnymi przyjaciółmi. Owszem, są nieprzyjaciółmi uczciwego i mądrego człowieka. Gwałtowny ton naszych obrad i wieców oraz wytaczanie zarzutów osobistych to często objawy ujemne. A jednak mają zdrowy podkład. Dobry jest kompromis, gdy idzie o sprzeczne interesy, gorszy, gdy o zasady, bezwzględnie zły, gdy o etykę. To też gdy u nas ogólny poziom moralny i umysłowy podniesie się, wówczas dzisiejsze minusy staną się plusami¹.

Ale wróćmy zgodnie z tematem na grunt angielski.

Gdy w drugiej połowie XVII w. wig torysa, a torys wiga pragnął nietylko odsunąć od władzy, ale i popchnąć

¹ Pisane przed majem r. 1926. Straszne wypadki tego miesiąca czynią niezbędną jedną uwagę: Zwycięstwo tych, co zeszedli z drogi prawa, naraża Polskę na poważne niebezpieczeństwa. Krew, przelana w bratobójczym boju, przejmując grozą. Ale gdyby nie było okazało się, że są jeszcze ludzie, umiejący ginąć za to, w co wierzą, gdyby ideę państwa ośmieszono bezkrawwym kompromisem, należałoby je uznać bezwzględnie za zgubione.

Konieczna jest i uwaga druga. Ze strony zwycięskiej padł szereg oskarżeń przeciw wybitnym jednostkom z pośród zwyciężonych. Część tych oskarżeń uczyniono bez najmniejszej wątpliwości w złej wierze. Ale nawet użycie tego niemoralnego środka agitacyjnego świadczy o zaufaniu do poczucia moralnego społeczeństwa.

przed kratki sądowe, aby potem głowę jego oglądać na Londyńskim Moście, była w tem niewątpliwie pierwotna dzikość, ale była i szczerłość przekonań. Myślano bowiem: „Jedynie moje zasady mogą zbawić ojczyznę. Ten człowiek wyznaje inne, grożące jej zagładą. Niech więc lepiej zginie, nim przez niego zginiemy wszyscy“. A wigowi musiało się zgubą wydawać wyładowanie „dwudziestu tysięcy pocziwych Francuzów“, torysowi potworne hekatomby długotrwałych wojen kontynentalnych. Dodajmy, że narzędziem zemsty politycznej bywały z reguły tylko sądy przysięgłych, a choć te w pewnych wypadkach dawały również oświadczyć sobie partyjnej zawziętości, naogół kierowały się sprawiedliwością.

Później dzikość ustąpiła, ale została szczerłość przekonań i ta, ujęta w szczęśliwie pomyślany system większości i opozycji, dała Anglii sto kilkadziesiąt lat najlepszych rządów konstytucyjnych, jakie świat oglądał. Dziś niestety ta szczerłość należy do przeszłości.

Złożyło się na jej zanik wiele przyczyn. Daleko idąca demokratyzacja rządów reprezentacyjnych zmusiła polityków do starania się o względy już nie ograniczonej ilości ludzi, wprawdzie dbających o swe interesy stanowe, ale naogół oświeconych, wyrobionych politycznie i ożywionych dbałością o wspólne dobro, lecz o względy tłumu, stojącego zapewne wyżej, niż np. polski, będącego jednak mimo to jedynie tłumem, więc dającego porwać się efektownemi, a w gruncie rzeczy kłamliwemi lub pozbawionemi treści mowami i wymagającego olśniewających obietnic. Coraz trudniej było zdobyć mandat, mówiąc wyłącznie prawdę. Zaczął powstawać rozdzwiek między słowem a myślą. Zaczęto obmyślać hasła wyborcze, *slogans* — dawniejsza angielszczyzna nie zna nawet takiego wyrazu¹. Zwolna i w dyskusjach parlamentarnych pojawiało się coraz więcej rzeczy, pozbawionych pozytywnej wartości, a podyktowanych troską o następne wybory. Zarówno przez

¹ Oznaczał on w dialekcie szkockim okrzyk wojenny klanu.

to, jak i przez częste kompromisy, programy partyjne stały się martwą teorią, gorzej, stały się różnokolorowymi okładkami, z których każda kryje w sobie tylko faktyczne zasady rządzenia, z małemi, niezbyt istotnymi różnicami te same dla każdej partji. „Wszystko jest prowizoryczne, przekonania, opinie, twierdzenia“. Polityka — to tylko „sztuka dochodzenia do władzy i utrzymywania się przy niej“.

Pod koniec wieków średnich sztuka wojenna we Włoszech stała się rzemiosłem, uprawianem przez pewną ilość jednostek, mniej lub więcej do tego uzdolnionych. Z chwilą, gdy na polach bitw zaczęli stawać naprzeciw siebie zamiast brojących ojczyzny obywateli wynajęci do wzajemnego wyrzucania się zawodowcy, sprytniejsi z nich wpadli wnet na myśl, że przecież ludziom o wysokiej kulturze nie godzi się mordować, a jeszcze mniej godzi się być mordowanymi. Cóż zawinił „czcigodny przyjaciel z przeciwka“ i co ją mu zawiniłem? Rzecz da się przecież załatwić bez takich nieestetycznych szczegółów, jakimi są rozłupane czaszki i wyprute wnętrzności. Zaczęto tedy wojować tak, jak gra się w szachy, gdzie „zabić“ figurę, znaczy postawić ją na boku. Walczono wedle technicznego wyrażenia owych czasów *escadre par escadre*, t. j. uderzano na siebie w głębokich kolumnach, pierwsze szeregi przez chwilę zadawały i parowały cięcia, a potem jedna strona, liczebnie słabsza lub zajmująca mniej korzystną pozycję, rzucała się do ucieczki. Wedle podręcznika strategji i taktyki do tego przyjść musiało — pocóż niepotrzebnych nieboszczyków? Takie prowadzenie wojen zbliżało się do idealnych stosunków, w którychby wcale nie było wojen, i dobrze z tem było Włochom, póki szło o to, czy jakimś szmatem kraju będzie rządził Visconti czy della Scala, d' Este czy Gonzaga. Ale cóż, kiedy potem przyszli „barbarzyńcy z północy“, stojący i w strategji i w kulturze na niższym stopniu rozwoju...

Otóż obecne angielskie walki polityczne przypominają mi zawsze bitwy włoskich kondotjerów. Porównanie to opiera

się nie tylko na rozdźwięku między programami partyj i hasłami wyborczymi a faktycznymi systemami rządzenia. Opiera się i na tem, że jak bohaterowie bezkrwawych bitw odrodzenia, angielscy politycy są zawodowcami.

XXVI.

Doszliśmy do drugiej przyczyny zaniku szczerości przekonania w życiu politycznym W. Brytanji.

Każdy zawód ma dwa cele, dwie strony. Idzie jednocześnie o rzecz i o człowieka. Dobry szewc stara się zrobić jak najlepsze buty, najwięcej mu za nie zapłaca, zyska sławę porządnego rzemieślnika i powiększy się liczba jego odbiorców. Ale już nawet w szewskim zawodzie sprawa nie jest taka prosta. Można zrobić z kiepskiego materiału kiepskie buty, aby prędko się zdarły i trzeba było zamówić nowe. Można zrobić z dobrego materiału kiepskie buty, aby stracić mniej czasu i prędzej mieć co naprawiać. Można kiepskim butom nadać modny fason i pozór dobrych. Można umyślnie produkować buty gorsze, ale tańsze, bo te mają odbyt — i tak dalej. Tu już nieraz rzecz traci na tem, na czem człowiek zyskuje.

A przecie jakże prostym jest zawód szewca w porównaniu z zawodem polityka, zwłaszcza w ogromnym państwie nowoczesnym o demokratycznym ustroju! O ileż trudniej odkryć tandetność jego roboty! O ile mu łatwiej ludziom świat modnym fasonem i pozorami! O ile łatwiej usprawiedliwić się nawet wtedy, gdy ogół pozna się na pozorach!

Z tych to mniej więcej powodów ludzkość zazwyczaj nie powierzała polityki zawodowcom, a raczej — tam, gdzie panował rozsądek — powoływała do niej jednostki, tęgie w innych zawodach, a ożywione duchem obywatelskim. Jedną Anglią, która na wszystkich polach tyle zawdzięcza specja-

lizacji, wytworzyła i osobną klasę specjalistów-polityków. Skutek na tem właśnie jednym polu jest ujemny.

Człowiek, który ma żyć z polityki, wchodzi w nią wprawdzie z odpowiednim przygotowaniem, ale, że tak powiem, niewłaściwymi drzwiami. On powinien w życiu wyrobić sobie pewne zasady, a o ile silnie czuje ich słuszność i jest pewny, że nie zawiodą go zdolności i znajomość stosunków, ruszyć w imię tych zasad na szerszą arenę, aby wcielać je w życie i jednać im zwolenników. Ale biada mu, jeżeli zgóry postanawia zostać politykiem, a dopiero potem szuka zasad. O ile nie ma kryształowego charakteru — a ludzkie charaktery przeważnie są zlepkami złych i dobrych popędów, rozwijających się w miarę okoliczności, — to osobiste pobudki muszą wziąć u niego górę. Zasady będą tylko nalepioną etykietą, którą zawsze można w części lub zupełnie przemałować. Prędko nauczy się kłamać, bo kto głosi hasła, nie będące najgłębszą treścią jego duszy, ten zawsze kłamie, a z kłamstwa wyrasta tysiąc innych występków.

Przewaga w polityce zawodowców wpływa demoralizująco i na tych, którzy poświęcili się jej w późniejszym wieku, nie będąc predestynowani na parlamentarzystów. Naturalnie między jednymi i drugimi bywa dużo uczciwych ludzi. Lecz cała atmosfera jest niezdrowa i na to najuczciwszy nic nie poradzi.

Czy inaczej byłby możliwy fakt, że mnóstwo polityków angielskich po parę razy w życiu przechodzi z partji do partji? Że niektórzy z nich, nawet nie zmieniając partji, nazywają dziś białem to, co wczoraj nazywali czarnem? Że synowie konserwatywnych ministrów zasiadają w parlamencie jako członkowie partji pracy i nie wpływa to w niczem na ich stosunek do ojców? Że Izba Gmin może pochłubić się takim dziwolągiem, jak Mr. Lansbury, nominalnie socjalista, z przekonań komunista, z wyznania bardzo pobożny, praktykujący chrześcijanin, a poza tem — bajecznie bogaty handlarz drzewa?

XXVII.

Trzecią przyczyną — jest zgubny wpływ, jaki wywiera na sprawy państwowe wielki kapitał, a z drugiej strony reakcja przeciw niemu, oparta o związki zawodowe. Między temi dwiema potęgami państwo traci suwerenność. Obowiązkiem polityków byłoby starać się jedną i drugą osłabić, kapitałowi nałożyć wędzidło, aby nie sięgał po władzę nad światem, związki zawodowe sprowadzić do właściwej roli, t. j. uznawać w nich instytucję opiekującą się robotnikami i pośredniczącą w ich stosunkach z pracodawcami, ale stanowczo oprzeć się ich próbom decydowania np. o sojuszach, cłach, pokoju i wojnie, zabezpieczyć się przed terorem z ich strony.

Tymczasem większość polityków popadła w zależność od jednej lub drugiej potęgi. Prawda, że sytuacja pod tym względem jest trudna i coraz trudniejsza. Ale tu właśnie okazuje się najwyraźniej szkodliwość istnienia specjalnej klasy polityków.

Znalazłszy się w położeniu bez wyjścia, człowiek, reprezentujący pewne przekonania, składa złożoną w swe ręce władzę i robi miejsce innym. Tym sposobem zwraca społeczeństwu uwagę na niezdrowe wpływy, zagrażające własności państwa i rządu. Zawodowiec z reguły pamięta o tem, że, usuwając się, wypada poza nawias życia politycznego, że nawet jeżeli jest mniej więcej niezależny materialnie, traci wpływ i stanowisko, staje się niepotrzebnym graczem. Stąd zawsze będzie skłonniejszy do ustępstw.

Jest rzeczą naturalną, iż każdy człowiek, zajmujący się sprawami politycznymi, myśli i o sobie. Nikt nie może mu wziąć za złe, że dąży do osiągnięcia wysokiego urzędu i znaczenia — ale tylko o tyle, o ile za środki po temu będzie uważał jak najlepsze spełnienie obowiązków, jak najowocniejszą pracę dla dobra państwa. Cele osobiste powinny być zawsze uboczne; u dziewięciu na dziesięciu zawodowców będą co najmniej równorzędne.

Zawodowiec będzie również mniej odporny na różnego rodzaju pokusy. Tylko naiwni mogą sobie wyobrażać, że, powiedzmy, do ministra przychodzi dżentelmen i powiada: „Konsorcjum, do którego należę, stara się o taką a taką koncesję. Państwo wprawdzie na udzieleniu jej wyjdzie jak najgorzej, ale ja panu daję 10.000 funtów, jeżeli pan postara się, aby tę sprawę pomyślnie dla nas załatwiono“. W rzeczywistości do ministra przychodzi jego krewny lub przyjaciel i powtarza mu treść rozmowy z przedstawicielem konsorcjum, starającym się o koncesję. Czasem w złość, czasem w najlepszej wierze tłumaczy mu, że przedsięwzięcie przyczyni się do podniesienia tej a tej gałęzi przemysłu, państwu zapewni znaczny dochód z podatków, a i swoim akcjonariuszom da poważne zyski. „Ot, na dowód, jakie mam do niego zaufanie, powiem ci, że sam nabyłem tyle a tyle udziałów. Może i ty masz ochotę?“ — „Nie mam gotówki“. — „Nic nie szkodzi, poczekaj“. — „Ha, namyślę się“. Ostatecznie, jeżeli rzecz może państwu wyjść tylko na dobre, cóż będzie w tem złego, że minister oświadczy się za udzieleniem koncesji? A że posiada akcje danego konsorcjum, to jego rzecz prywatna. Nie zapłacił za nie, tylko wpisano pewną sumę na jego rachunek? Przecież ma kredyt. Sprzedał je później, gdy po udzieleniu koncesji poszły w górę, i poprostu zainkasował różnicę? Miał przecież prawo rozporządzać swą własnością. Jednym słowem to, co w całości przedstawia się jako typowy wypadek przekupstwa, daje rozłożyć się na szereg czynności niewinnych, poczęści może chwalebnych.

A w atmosferze fałszu i prowizoryczności przekonania niezmiernie łatwo o sposobność. Kto nauczył się okłamywać innych, ten wkrótce zacznie okłamywać własne sumienie. Ani spostrzeże się, jak przekroczy granice uczciwości. Dodać jeszcze należy, że w organizmie państwowym, w którym kapitał odgrywa taką rolę i tworzy tak skomplikowane formy bytu, jak w Anglii, pokus ogromnie wiele, granice między

tem, co się godzi, i tem, co się nie godzi, często niedostrzegalne.

Obie potęgi, istniejące w państwie i nieraz uzależniające państwo od siebie, są międzynarodowe. Kapitalizm za wzorem Wespazjana nie wacha pieniędzy. Co najwyżej woli dolara lub funta, niż francuskiego franka lub polskiego złotego. Ale operuje jednemi i drugimi bez względu na uczuciowy stosunek do nich. Bierze odpowiednią ilość gorszej waluty, mienia ją na lepszą, potem na gorszą, wyzyskuje każde drgnienie kursu — i nie troszczy się o to, którego narodu majątkiem i pracą utył. Kwestjami narodowemi interesuje się o tyle, o ile służą jego celom lub są z niemi sprzeczne. A socjalizm głosi wyraźnie, że nie uznaje nacjonalizmu i różnic plemiennych. Tymczasem państwa nowoczesne opierają się zazwyczaj na podstawach nacjonalistycznych. Niewątpliwie też opiera się na nich Anglja. Stąd mieszanie się w jej sprawy publiczne dwóch sił międzynarodowych nabiera szczególnie złowrogięgo znaczenia.

XXVIII.

W rękach kapitału jest prasa. Słyszałem nieraz rozwijane szczegółowo porównanie między naszymi ubożuchnemi, naogół źle redagowanemi i irytująco gwałtownemi w tonie pismami ideowemi a angielskimi gazetami, które ze wspólnie zorganizowanych redakcyj, drukarni i administracyj wyrzucają po kilkaset tysięcy egzemplarzy, mieszczących w sobie coś dla każdego czytelnika, zapełnionych dobrmi informacjami, nie przeładowanych polityką i traktujących ją z olimpijskim spokojem. Stale wołałem *Veto!* i dziś je powtarzam.

„Gazeta Poranna Warszawska“ czy „Robotnik“ mogą mieć poważne braki, ale reprezentują pewne idee. Czuje się, że ich współpracownicy, nawet gdy błędzą, błędzą w imię prze-

konań i w duchu tych przekonań pojętego dobra publicznego. Drukując ograniczoną ilość egzemplarzy, nie mogą mieć tak pierwszorzędnych informacji, jak kolosy angielskie. Ale znowu w miarę podnoszenia się ogólnego poziomu te rzeczy mogą szybko się poprawić. Jeżeli prasie naszej grozi niebezpieczeństwo, to ze strony pism, które mechanicznie naśladowują wzory zachodnie i traktują swe zadanie ze stanowiska czysto materialnego, a także ze strony zatrutych źródeł wiadomości, ja-kiemi są wielkie agencje telegraficzne Zachodu.

Zarówno te agencje, jak wszystkie prawie pisma narodów zachodnich, z jednej strony są przedsiębiorstwami dochodowymi, z drugiej reprezentują nie zasady, lecz pewne interesy kapitalistyczne. Czyż to nie rzecz potworna, potworniejsza od krzykliwe oskarżanego „partyjnego zaciętrzewienia“ naszych gazet, że jeden człowiek lub jedno konsorcjum posiada cały szereg pism o różnem zabarwieniu politycznem? Każde z nich reprezentuje pewien kierunek, zresztą niekoniecznie pokrywający się z programem któregoś z istniejących stronnictw politycznych, i normalnie zajmuje wobec zagadnień życia publicznego pewne określone stanowisko. Nie zapędza się jednak nigdy zbyt daleko, stać je na ton spokojny i na poszanowanie przeciwnych poglądów. Ostatecznie bowiem Bogiem a prawdą całą polityka jest tylko przynętą, pokrywką, jest jednym z koniecznych działów, a prawdziwym zadaniem jest dawać dochód i popierać pewną grupę finansistów.

W odniesieniu do ich interesów pisma jednego bloku, rozbieżne w innych kwestjach, będą zawsze zgodne. Co więcej, potrafią i te inne kwestje przykroić tak, jak ze względu na popierane interesy wygodnie.

Nie łudźmy się pięknymi pozorami tego świata — to świat fałszu i zgnilizny moralnej. A przecie pisma urabiają pojęcia, i to nie tylko bezkrytycznych czytelników, ale, choć powolniej, nawet i pojęcia tych, co biorą je do ręki z ostrożną nieufnością. Nikt nie ma w głowie całych stosunków światowych,

całej historii lat ostatnich, całej statystyki z różnych zakresów, aby potrafił zawsze gazetę skontrolować lub chociażby poczuł zasadzkę — tem bardziej, że uśpią jego uwagę, podając mu cały szereg informacji prawdziwych i bezstronnych, — naturalnie o rzeczach, które stoją poza reprezentowanym przez pismo kręgiem interesów.

XXIX.

Demoralizacja życia politycznego i prasy objawia się w mnóstwie spraw, mających pierwszorzędne znaczenie dla współczesnej Anglii. Weźmy kwestję bezrobotnych. Jest rzeczą humanitarną i słuszną człowiekowi, który bez własnej winy utraci zajęcie, nie dać umrzeć z głodu. Pomoc doraźna, trwająca przez dni, a najwyżej tygodnie, może mieć i formę pieniężnego zasiłku. Jeżeli jednak zachodzi konieczność jej przedłużenia, powinna mieć tylko formę płatnej pracy. Trudno taką pracę stworzyć na miejscu. Kto jak kto jednak, ale Anglicy mają tysiączne możliwości poza krajem, tam, gdzie trzeba „oczyszczać ziemię ze zła, zakładać drogi, budować mosty w miejsce brodów“. Wszakże dawno cierpią z powodu przeludnienia, a ich przemysł nie tak łatwo odzyska potracone w czasie wojny rynki zbytu.

Obowiązkiem każdego rządu bez względu na jego zabarwienie było — zamiast demoralizować bezrobotnych płatnem próżniactwem — wezwać ich, a w razie potrzeby zmusić do emigracji. Prawda, że ciężko rozstawać się z krajem ojczystym, z jego dla każdego dostępnymi wygodami i korzyściami, z nadzieją pracy w przyjemniejszych warunkach. Prawda, że partja, wysłana do Kanady, wróciła po krótkim czasie, bo z jednej strony robota była za ciężka, z drugiej pracodawcy narzekali na przybyszów. Lekarstwo gorzkie, ale innego niema.

Tymczasem wszyscy wiemy, co się dzieje. Jeden rząd

po drugim ulega podwójnej presji — ze strony partji pracy, która idzie w kierunku najmniejszego oporu, zwalcza niepopularną myśl emigracji i każe burżujom płacić za wszystko, i ze strony kapitału, który boi się strajków i rozruchów. Każda strona doradza swoje cudowne lekarstwo — partja pracy daninę majątkową, kapitał postawienie na nogi Niemiec i przywrócenie tym sposobem równowagi w świecie. Pierwsze byłoby może rozwiązaniem ciężkiej sytuacji, gdyby uzyskanych sum użyć na sfinansowanie osadnictwa poza Anglią, przedsięwziętego na wielką skalę. Ale kapitał nie dopuszcza, są zresztą poważne trudności techniczne. Drugie jest typowym przykładem fałszywego hasła politycznego, wmówionego większości społeczeństwa przez nieuczciwych polityków i dziennikarskich najmitów — zresztą przyjdzie jeszcze osobno o tem pomówić.

Zamiast szukać radykalnych, choćby przykrych środków zaradczych, obecny rząd, chcąc zapobiec wzmózeniu się klęski, obciążył budżet jeszcze zasiłkiem dla kapitalistów, dla właścicieli szybów, któreby inaczej zamknięto, aby nie pracować ze stratą. Państwo płaci już na dwie strony. Na każdym kroku zamiast odważnego spojrzenia w twarz sytuacji i śmiałego dążenia ku jej rozwiązaniu — łatanina i poddawanie się wpływom. Zamiast przestrzegania interesu państwa uległość wobec presji kapitału i związków zawodowych.

W związku z kwestją bezrobotnych są i inne sprawy, np. budowa okrętów wojennych. Ostatnia wojna wykazała zupełną supremację angielskich *dreadnoughtów* i krążowników na morzach. Zachodzi co najwyżej potrzeba uzupełniania floty taniemii łodziami podwodnemi. Anglja gra pierwsze skrzypce w akcji rozbrojenia. Mimo tego wszystkiego buduje wciąż właśnie nowe pancerne kolosy. Dlaczego? Z jednej strony, aby nie zwiększyła się liczba bezrobotnych, z drugiej, aby dogodzić kapitałowi — i to bynajmniej nie wyłącznie angielskiemu, — który robi na tem korzystne interesy.

XXX.

Przejdźmy teraz do przykładów z zakresu polityki zagranicznej. Polityka ta bywała często nieuczciwa. Głęboko zakorzeniony patriotyzm i stawianie interesu państwa ponad wszystkim były dla sterników jego nawy dostatecznym usprawiedliwieniem czynów, nie dających się usprawiedliwić ze stanowiska czysto etycznego. Wyzyskiwano do czasu sprzymierzeńców, czyniono im złudne obietnice, pchano ich w mordercze i niszczące wojny, a później bez najmniejszych skrpułów pozostawiano własnemu losowi. Stojąc na czele obozu protestanckiego w Europie i popierając Niderlandy oraz Henryka IV w walce z Hiszpanją, wielka Elżbieta wzbogacała swój skarb niecną lichwą, uprawianą na tych sojusznikach, a niektóre jej operacje tego rodzaju zasługują na miano oszustwa. Planowała nawet raz zbójcecki napad na obładowaną skarbami Nowego Świata flotę holenderską — i dziś historycy angielscy cieszą się, że nie przyszło do wykonania ohydneho planu. Po hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej Anglicy z lekkim sercem opuścili wiernych Katalończyków. Zupełnie podobnie traktowali później nieszczęsną Wandę.

Zresztą nie trzeba nam przykładów historycznych. Już wiek XVIII wydał *enfant terrible*, które cynicznie wypowiedziało zasady polityki angielskiej. Oceniając ujemnie politykę kontynentalną Henryka VIII, mówi Bolingbroke, że król ten „mógł być zyskać stanowisko pośrednika i rozjemcy całego chrześcijańskiego świata i odnosić korzyści z wszelkich wojen i układów, nie biorąc w nich udziału“.

Znamienne to zdanie formułuje dwa zasadnicze artykuły podręcznika dyplomacji brytyjskiej — narzucać się stale z pośrednictwem i myśleć przytem przedewszystkiem o własnej korzyści, oraz prowadzić wojny, o ile możliwości, cudzemi wojskami.

Tę drugą zasadę formułuje Bolingbroke gdzie indziej

jeszcze wyraźniej: „Gdy wybuchnie wielka wojna, powinniśmy uważać te potęgi stałego ładu, ku którym się skłaniamy, za principów i hastatów rzymskiego wojska, a siebie samych za triariuszów“ (t. j. rezerwę)... „To jest stanowisko korzystne i zaszczytne, jakie wyznacza nam nasze wyjątkowe położenie wśród mocarstw europejskich“. Niewiadomo, co w tych słowach bardziej podziwiać — czy cynizm myśli, czy gest *moral insanity*, z jaką Bolingbroke ją wypowiada.

Nie był on twórcą swych wskazań. Istniały bowiem przed nim i istnieją do dziś dnia. Powinienby też to rozważyć, każdy, kto myśli o zbliżeniu się do Anglii.

Polityka jej zagraniczna bywała więc pod wpływem egoizmu narodowego nieuczciwa. Prawie zawsze jednak była mądra. Dziś zaszła pod tym względem zmiana.

W. Brytania wszczęła z Niemcami wojnę z powodu, że nagły wzrost ich handlu i przemysłu zagrażał jej światowemu stanowisku. Mogła to z czystym sumieniem uczynić, ponieważ równocześnie zagrożona była wolność Europy, ponieważ pogwałcona została neutralność Belgji. Owszem, Anglja wniosła się tym razem ponad zdradzieckie metody Bolingbroke'a. Wystąpiła do boju z podniesioną przyłbicą, rzuciła na szalę własną krew. I jeżeli Dibelius oburza się na jej metody, w szczególności na robienie nastroju wojennego przy pomocy historyj o wytapianiu tłuszczu z trupów i o ukrzyżowaniu kanadyjskiego żołnierza, to czyni to z patriotycznego zaślepienia. Trudno wymagać od rządu państwa, które walczy o byt, aby ze swą szkodą powściągał podobne wybryki prasy. Zresztą nie brak było zupełnie analogicznych objawów i po drugiej stronie.

Już wkrótce po rozpoczęciu morderczych zapasów światowych Anglja zaczęła wysuwać hasła przebudowy Europy w duchu sprawiedliwości. I nie były one taktyczną sztuczką. Mężowie stanu traktowali je na serjo, społeczeństwo w nie wierzyło.

Później szlachetny idealista Wilson ogłosił swój jeszcze

bardziej konkretny program rozkucia z kajdan ujarzmionych ludów.

Pod koniec morderczych zapasów, dla Anglii niesłychanie kosztownych, Wilson dostał się pod wpływ ludzi chytrych, którzy, umiając grać na jego idealizmie i humanitaryzmie, poddali mu myśl takiego zakończenia wojny, aby i wilk był syty i koza cała. Nieuczciwy polityk, stojący u steru angielskiego rządu, skwapliwie tę myśl pochwycił, gdyż odpowiadała interesom jego przyjaciół i jego własnym. Zawarto w chwili przełamania nieprzyjacielskiego oporu zaawieszenie broni, a potem pokój, który mieścił w sobie cały szereg kwestyj połowicznie załatwionych, szereg punktów niejasnych, nadających się na później do dowolnej interpretacji. Pokój ten nakładał na nieprzyjaciela warunki niewykonalne, ale też nie dawał gwarancji ich choćby częściowego wykonania i wogóle krył w sobie zarodki zmartwychwstania z takimi wysiłkami złamanej potęgi.

Równocześnie Anglja zaczęła — naprzód nieznacznie, potem coraz jawniej — prowadzić politykę filogermańską. Rozmawiając to tłumaczono narodowi, który tak ciężkie położył ofiary w czasie wojny. A więc wytaczano działa humanitaryzmu. Gdy na pomniku Miss Cavell, rozstrzelanej przez Niemców w Brukseli, miano umieścić jej przedśmiertne słowa, głoszące przebaczenie i wyrzeczenie się wszelkiej nienawiści, szereg pism żądał opuszczenia cudzysłowu, robiąc z uczczenia ofiary filogermańską propagandę. Rozczulano się nad niedolą pokonanych w chwili, gdy ci przy pomocy wszelkich środków uchylali się przed zapłaceniem odszkodowań za barbarzyńskie i nieraz pozbawione strategicznego celu spustoszenia, a gorączkowo pracując, odzyskiwali szybko rynki zbytu. Dalej straszono W. Brytanję wzrostem potęgi francuskiej, która nie może być dla niej groźna ze względu na francuskie kłopoty finansowe i kolonialne, a przede wszystkim na depopulację. Wreszcie, jak już wspomniałem, głoszono, że uzdrowienie

Niemiec jest niezawodnym lekarstwem na wszelkie niedomagania Anglii — a przecie równocześnie Niemcy zdobywali drugie miejsce w imporcie indyjskim, zniżali cło na wywóz węgla, aby dzięki jego taniości wyprzeć z paru krajów węgiel angielski, i zaczęli nawet przebąkiwać o zwrocie kolonij.

Słusznie stwierdził w czasie wojny Chesterton, że Anglija walczy z potęgą, którą sama stworzyła, popierając zbójecką politykę pruską w w. XVIII i XIX. Kto wie, czy w przyszłości, w odpowiednim momencie dziejowym nie będzie po raz drugi pasować się z odrodzonymi po raz drugi Niemcami?

Boję się zarzutu, że mówię o tych rzeczach ze zbyt wielką goryczą, ponieważ filogermanizm angielski zwraca się na każdym kroku przeciw mej ojczyźnie, a wedle obecnego zwyczaju zawsze przytem stroi się we wzniósłe formułki, przeznaczone do mamienia tłumów. Tak, odczuwam krzywdę Polski, ale rozumiem i krzywdę, jaką politycy angielscy zrzadzają własnemu narodowi, pchając go w sprawy kontynentalne, podczas gdy jego prawdziwy interes jest poza Europą. A na dowód, że o stosunku Anglii do Polski można wyrażać się i silniej, przytaczam słowa, wypowiedziane przez francuskiego historyka Grappina (*L'Est Européen* z 25 czerwca 1925): „Nieszczęśni publicyści angielscy, którym zdaje się, że głosząc opuszczenie Polski, ocalają Europę, są tylko niebezpiecznymi podpalaczami“.

Jeżeli w „ratowaniu Niemiec“ główną rolę odgrywa kapitał, to w drugiej kwestji angielskiej polityki zagranicznej zupełnie podobnie wpływają na nią związki zawodowe. Mam na myśli stosunek do sowietów, które nie tylko prowadzą na gruncie angielskim silną propagandę, ale wyrządzają W. Brytanji nieobliczalne szkody, podburzając przeciw niej ludy azjatyckie.

Rząd socjalistyczny Macdonalda nawiązał z Rosją stosunki dyplomatyczne i wnet poselstwo jej w Londynie stało się ośrodkiem agitacji. Obecny rząd konserwatywny próbuje

bolszewików zastraszyć sojuszami, ale poza tem nie umie zdobyć się na żaden krok stanowczy. Wobec organizacji robotniczych, częścią zbolszewizowanych, a częścią powodowanych w swym stosunku do Sowieców sentymentem socjalistycznym, czuje się zbyt słabym, boi się strajków manifestacyjnych, woli używać półśrodków i odkładać decyzję z dnia na dzień.

XXXI.

Wróćmy do dawnego porównania, przedstawiającego organizm państwowy jako ciało ludzkie. Pacjentowi dziś zamiast gruntownej zmiany trybu życia lekarze przepisują raz aspirynę, raz piramidon, a znachorzy spirytystyczni tłumaczą, że mu się dziwnym sposobem odrazu polepszy, gdy pewien jegomość, mieszkający wpobliżu, zresztą niebezpieczny zabijaka i niebezpieczny jego konkurent, odzyska straconych 20 kg wagi i wróci do dawnej setki... Może ten pacjent ma nie artretyzm, tylko paraliż postępowy lub uwiad starczy, a co najmniej sklerozę?

Niedawno uczony niemiecki wystąpił z teorią, że narody, jak ludzie, żyją nieco krócej lub nieco dłużej, ale na ogół czas ten jest określony i, jak u człowieka, w pewnym wieku ukazują się objawy schyłkowe, zwiastując mniej lub więcej bliskie skonanie. Teoria z pewnością efektowna, ale też tylko efektowna. Polega ona na takim samym antropomorfizmie, jak przedstawianie sobie Boga z rękami, nogami, z nagniotkami, które bołą, gdy kto na nie stąpi, i ślepa kiszka, która może wymagać operacji. A jeżeliby nawet teoria ta była słuszna, nie podpada pod nią Anglja, żyjąca wprawdzie nie od wczoraj, ale podobna do drzewa, co przeszło szereg szczepień, — ostatnie w połowie XI w. To też przyjęcie teorii Spenglera oznaczałoby bezwzględne stwierdzenie żywotności Anglji. Właśnie tylko odrzucając teorię Spenglera, moglibyśmy przypuszczać zmiernych narodu, istnie-

jącego dopiero od ośmiu wieków. Aby wykluczyć nieporozumienia, zwracam uwagę, że nie mam na myśli imperjum brytyjskiego, lecz naród angielski i państwo, które pozostałoby sobą, choćby poniosło pewne straty terytorjalne, jak pozostało sobą po odpadnięciu Stanów Zjednoczonych.

Otóż poza polityką i prasą objawów degeneracji nie widać. Prawda, że poziom moralności w w. XX, zwłaszcza po wojnie, obniżył się nieco. Z jednej strony doktryna socjalistyczna, odbierając niektórym jednostkom, zwłaszcza w niższych warstwach, wiarę i podkopując rodzinę, na której stoi każdy ustrój społeczny, zrobiła wiele złego. Potem przyszła wojna; odciągnęła mnóstwo ludzi od pracy, zepsuła ich zdrowie moralne, wydobyła na powierzchnię życia dużo szumowin. Z drugiej strony robił swoje wybujały kapitalizm. Jest w dzisiejszej Anglii dużo mężczyzn, którzy pragną żyć, i to dobrze żyć — jedynie z giełdowej spekulacji, jest dużo kobiet, które mogłyby wziąć za godło trywjalny dwuwiersz:

Ja nie chcę dzieci niańczyć,
Ja wolę *shimmy* tańczyć.

Ale *gros* społeczeństwa jest nadal zdrowe, trwa przy dawnym obyczaju, ale wielka tradycja ciągłości życia narodu nie słabnie, ale wre praca społeczna i nie próżnują twórcze umysły.

Anglja przechodzi niewątpliwie kryzys ekonomiczny. Wobec nieudolności i małej wartości moralnej tych, którzy powołani są do naprawy stosunków, można obawiać się przejść bardzo poważnych — zwłaszcza, o ile położenie wewnętrzne pogorszy się jeszcze wskutek niepowodzeń na zewnątrz. Lecz silny ból elektryzuje tego, co leżał w łóżku, ponieważ go strzykało w nodze. A może nawet obejdzie się i bez silnego bólu. Anglicy w ciężkich chwilach swych dziejów okazywali zawsze nadzwyczajną energję oraz zdolność pokonywania trudności i wychodzili z nich zwycięsko dzięki wyliczonym powyżej zaletom swego charakteru. A te u ogółu nie zanikły.

I jeszcze jedno. Na wieść o angielskich strajkach czy o ruchu antyangielskim w Indjach, Egipcie, w Chinach słyszy się u nas nieraz zrodzone z żalu za antypolską politykę pobożne życzenia i proroctwa, któreby Anglika oburzyły nie tyle treścią, bo w swej dumie narodowej nawet nie dopuszcza do siebie złych myśli, ale formą, bo czuły jest na imię djabła i na zapowiedź, że kogoś djabli wezmą. Otóż rzecz wątpliwa, czy to byłoby dobrze. Gdy wali się potężny gmach, każdy przechodzień jest w niebezpieczeństwie, a i mniejsze domy są zagrożone. Dlatego wiadomości te należy raczej witać słowami *Di avertite omen!*

„DYNAŚCI“ TOMASZA HARDY.

I.

Pod koniec w. XIX Tomasz Hardy dochodził do sześćdziesiątki i dzielił z Meredithem sławę największego powieściopisarza angielskiego od czasu wygaśnięcia potężnej grupy wiktoriańskiej. Zapewne nawet przyszłość wyniesie go ponad tego współzawodnika, nadzwyczaj subtelnego, ale nieraz właśnie skutek subtelności wpadającego w zbytnią drobiazgowość i gadatliwość.

Najważniejszą ilościowo i jakościowo częścią prozaicznej twórczości Hardy'ego są t. zw. *Wessex Novels*, cykl powieści, związanych z sobą tłem obyczajowym i środowiskiem. Hardy ukochał gorąco przyrodę okolic, w których urodził się i wychował, a ich ludzi i życie poznał nawylot i uczynił przedmiotem całego szeregu utworów, posiadających przeważnie pierwszorzędną wartość.

Światek powieści Hardy'ego ze swą obfitością żywych, kochających i nienawidzących postaci daje w minjaturze obraz całego świata — z tem zastrzeżeniem, że niema tu echa wypadków historycznych, a głównym motywem jest stosunek mężczyzny do kobiety. Natomiast tworzy autor i na każdym kroku uzasadnia przykładami własną filozofję życia.

Ta filozofja jest zgruntu pesymistyczna i ponura. Korzystając z roli, jaką w losach ludzi odgrywa przypadek,

dawniejsi powieściopisarze użytkowali go często w wybitnie optymistycznych celach — do cudownych ocalań i pomyslnych zwrotów. Hardy postępuje zupełnie przeciwnie. U niego życie jest precyzyjnie działającą maszyną do miażdżenia istot żyjących — nawet i zwierząt. Dobry czyn nietylko nie osiąga nagrody, ale zazwyczaj jeszcze ściąga karę. Zły zawsze wyjdzie najaw i zniszczy szczęście jednostki, która go spełniła, chociaż albo był jedynym złym czynem całego życia, albo dawno zmazały go skrucha i poprawa. Ludzie poważnieni spotykają się zawsze w chwili podrażnienia i rozgoryczenia, więc też zamiast przy pomocy wyjaśnień i ustępstw usunąć nieporozumienie, wykopują między sobą przepaść nieprzebytą. Tym sposobem przypadek urasta na siłę kosmiczną. Każdy z osobna jest kaprysem siły, rządzącej światem; wszystkie razem wzięte stanowią złośliwą potęgę, która nietylko niszczy, ale i szydzi, nietylko strąca z wyżyn szczęścia, ale zatrzuwa moralnie i upadla.

Hardy pisywał w młodości także wiersze, ale ich nie ogłaszał. Zdobywszy sławę wielkiego prozaika, postanowił widocznie pokusić się o wawrzyny poety i w r. 1898 wydał pierwszy zbiór liryków, po którym poszło kilka innych — ostatni, zawierający szereg rzeczy, pierwotnie nie przeznaczonych do druku, gdy autor miał lat 77. W chwili, gdy to piszę, zapowiedziany jest nowy.

Hardy nie wznosił się w poezji na te wyżyny artystzmu, jakie osiągnął w powieściach, ale włożył w nią równie obfite zasoby uczucia i myśli. Natomiast — co łatwo zrozumieć u człowieka, zaczynającego na większą skalę pisać wierszem koło sześćdziesiątki — mozolnie borykał się z formą, a choć zczasem potrosze nauczył się przewycięzać jej trudności, nigdy ich w zupełności nie opanował i nie uzyskał kompletnej swobody ruchu — tem bardziej, że z charakterystyczną śmiałością nowicjusza piętrzył sobie umyślnie przeszkody, siląc się na wielką różnorodność metryki i na karkołomne próby. Na każdym kroku natrafiamy u niego

obok wspaniałych wlotów wyobraźni, odzianych w godną ich szatę zewnętrzną, na nieprzyjemnie działającą rymowaną prozę.

Pozostał i tu wieczystym pesymistą. Jeden z krytyków powiada, że w zbiorze *Past and Present* (1901) utwór o nastroju wesołym (*On a Fine Morning*) robi wrażenie, „jakby trupia czaszka nagle się zaśmiała“.

Lecz ponura metafizyka Hardy'ego, zawarta w powieściach przeważnie tylko między wierszami, tu już z natury rzeczy przemawia wprost. Autor zadaje sobie pytanie, dlaczego świat jest zły i dlaczego los wciąż ironicznie znęca się nad człowiekiem. Czasem ogranicza się do rzucenia pytania. Bohater wiersza *The Church Builder* zrujnował się, aby wystawić kościół, ale nietylko nie zdobył wdzięczności społeczeństwa, lecz i przekonał się, że kościół w wieku niewiary był zbyt cenny. Więc popadłszy w rozpacz, nieszczęśliwy powiesił się we wspaniałej budowli, tuż obok krzyża. Cóż ludzie na to powiedzą? Powiedzą: „Mógł być sobie zbudować tańszą szubienicę“.

Gdzie indziej spotykamy się już z próbą odpowiedzi na to pytanie. Odmalowawszy nędzę bezdomnego wieśniaka, Hardy stwierdza, że Bóg nie może wiedzieć o niej, boby nie pozwolił. Chwalmyż Go za łaskawość, jaką okazałby, gdyby wiedział. W wierszu *God-forgotten* autor przypomina Bogu o istnieniu ziemi. Bóg nie pamięta, ale skoro Mu przypomną, naprawi zło.

Oto np. piękny sonet *At the Lunar Eclipse*. Cień ziemi, zakrywający chwilowo księżyc, nic nie mówi o panującym na niej zamęcie i szale. Wyłania się jednak kwestja, która dręczyła już autora *Księgi Joba*. Oto wiersz *The Subalterns*. Chmurne niebo, mroźna północ, choroba, śmierć usprawiedliwiają się, że nic nie mają przeciw biednemu wędrowcowi, lecz muszą słuchać siły wyższej. Poeta rozkoszuje się swym pesymizmem, bo gdy otrzymał to wyjaśnienie, uśmiechnęli się do siebie ze śmiercią, a życie miało już dla niego mniej

ohydny wygląd, niż zanim „subalterni“ wyznali byli swą bierność.

Lwia część utworów ma nadal związek z miłością, ze stosunkiem między mężczyzną i kobietą oraz ich stosunkiem do dziecka, a więc stosunkiem przyczyny do skutku, miłości do nowego życia, jakie tworzy. Dzieje natomiast nie są prawie nigdy punktem wyjścia. W niezbyt licznej grupie wierszy, powstałych pod wrażeniem typowo imperjalistycznej wojny południowo-afrykańskiej, stanowisko poety jest stanowiskiem oskarżyciela. Żołnierz zabił wroga — tak, wojna jest rzeczą ciekawą i w swoim rodzaju piękną (*quaint*)! Zastrzeliłeś człowieka, któremu byś sprawił poczęstunek, spotkawszy go tam, gdzie byś miał pod ręką gospodę, lub któremu byś pożyczył pół korony... Dopiero w r. 1914 miał Hardy stwierdzić, że odróżnia wojnę narodową od imperjalistycznej czy dynastycznej. We wrześniu tego roku napisał między innymi wiersz *Those who march away*. „Myślisz, o zadumany przyjacielu, że to bójka ludzi, dotkniętych ślepotą?... Nie, my dobrze widzimy, co robimy... Anglja nas potrzebuje (*England's need are we*)“.

Łatwo zrozumieć, że Hardy wywołał ogólną sensację i zaciekawienie, gdy w r. 1904 wystąpił z pierwszą częścią olbrzymiego utworu historycznego, mającego przedstawić dwanaście lat wojen napoleońskich. Niespodzianka, jaką autor *Wessex Novels* sprawił angielskiej publiczności, przyczyniła się niewątpliwie do powodzenia „Dynastów“ (*The Dynasts*), których dwie dalsze części ukazały się w ciągu czterech lat następnych, doprowadzając akcję do końca, a utwór do 19 aktów i 130 scen. Hardy nadał mu bowiem formę dramatyczną.

II.

Ale nie był to ani prosty w swej wzniosłości dramat grecki, ani naśladowający nieudolnie i wyniosłość i prostotę jego

pseudoklasycy, ani luźniejszy, a swobodniejszy elżbietański, ani żadna z tegoż późniejszych naśladowań i modyfikacji, ani dramat ibsenowski, będący przeniesionym w sferę mieszczańską pseudoklasycyzm.

Prostu Hardy ujął swój przedmiot w dialogi, uwagi sceniczne i pieśni chórów — tak samo, jak epik ujmując w opowiadanie jedną ze swych osób część swej treści lub nawet treść całą. Anglicy widzą wzór w „Fauście” Goethego, ale analogja ta jest trafna tylko ze względu na podkład filozoficzny i aparat nadnaturalny „Dynastów”. O ile idzie o wątek historyczny, Polakowi łatwo znaleźć bliższą w wielkich dramatach niescenicznych Krasińskiego. I tu jednak zachodzą poważne różnice. *Nieboska* jest wizją przyszłości. *Irydjon* cofa się w przeszłość, ale mimo bogactwa szczegółów obyczajowych jest raczej śmiałą fantazją na marginesie dziejów, a poczęści alegorią, niż obrazem wypadków historycznych. Tymczasem Hardy wyraźnie zaznacza we wstępie prozaicznym, że trzymał się wiernie historii, i rzeczywiście zwykle sili się na ścisłość.

Druga zasadnicza różnica polega na tem, że młody Krasiński, nie czując się panem wiersza, a nie chcąc zostać jego niewolnikiem, odział oba swe wielkie utwory w szatę wspaniałej poetyckiej prozy, a sędziwy Hardy z nieopatrznością starca, który dużo w życiu osiągnął i zachował nienaruszone swe zasoby intelektualne, pokusił się niefortunnie o formę wierszowaną. Co więcej, zapragnął zuchwale zmierzyć się z największymi mistrzami rytmu literatury angielskiej, używając w dialogach przeważnie nierymowanego pięciostopowego jambu, a w chóralnych mowach istot nadprzyrodzonych i wplatanych pieśniach, jak często w swych lirykach, nakładając sobie kajdany zbyt wyszukanych zwrotek. Sceny rodzajowe, zwłaszcza z życia niższych sfer społecznych, sceny, które — powiedzmy odrazu — są przepyszniemi komentarzami do wątku historycznego, wiedziony tym razem traf-

nym instynktem, pisał prozą. Zaważyły tu zresztą i wzory elżbietańskie.

Wogóle mimo tego, że forma dramatyczna jest w *Dynastach* tylko pozorem, a utwór niewątpliwie należy do epiki, Hardy zupełnie niepotrzebnie popadał czasem w konwencję dawniejszego czy nowszego dramatu. Tak np. (A, III, 5) Napoleon opowiada ministrowi marynarki Decrès'owi o bitwie morskiej z przed trzech tygodni. To znów (B, VI, 2) Masséna dochodzi w otoczeniu sztabu do słynnych szaićów, wzniezionych przez Wellingtona pod Torres Vedras koło Lizbony. Nawet w czasie bardzo szybkiego pościgu wódz naczelny musiałby być naprzód dokładniej poinformowany o takiej przeszkodzie i wiedzieć, gdzie się na nią natknie. Lecz marszałek odzywa się do sztabu: „Wznosi się tu coś, co może zagrozić naszemu pochodowi naprzód, a nawet go powstrzymać“. I otrzymuje wyjaśnienie od jednego z podkomendnych generałów:

To linje angielskie, to ich sterczące nazewnątrz kły i rogi — mówiłem był o nich. Zbudował je niedawno lord Wellington, by wrócić stopami w ziemię portugalską.

Przypomina się początek niejednej sceny z *Tamerlana* Marlowe'a, gdzie zawsze wódz wchodzi na scenę na czele wojska i skwapliwie uświadamia widzów, przez jakie kraje przeszedł i z jakim przeciwnikiem ma się spotkać. Ale elżbietański dramaturg dawał swej publiczności uproszczoną projekcję wypadków wojennych, na jaką pozwalała scena, i korzystał z konwencji scenicznej. Hardy'ego nic do podobnego postępowania nie zmuszało, nie był skrepowany żadnymi warunkami zewnętrznymi — poprostu zaplątał się w szacie, którą mógł w każdej chwili zmienić.

Wpłynął dramat elżbietański i na styl. Czasem udają się Hardy'emu wspaniałe tropy, nie ustępujące szekspirowskim. Oto pod Ulmem (A, IV, 5) stoi nieszczęśliwy Mack obok Napoleona, a przed nimi defilują Austriacy, idący w myśl kapitulacji w niewolę. Cesarz tłumaczy pokonanemu

jenerałowi nieprzyjacielskiemu, że ten walczył o interes Anglii, której dyplomatyczne matactwa i pieniężne subsydja wywołały wojnę. „Jej to złoto tworzy deseń tego kobierca wojsk“ (*Her gold it is that forms the weft of this Fair tapestry of armies marshalled here*). Śmiała przenośnia równocześnie doskonale maluje rzecz i odpowiada widokowi, jaki miałby czytelnik, gdyby zgodnie z intencją autora na skrzydłach wyobraźni wzniosł się ponad Europą i stamtąd patrzył na opisywane wypadki.

Zwięzłość i śmiałość przenośni, równą szekspirowskiej, spotykamy dość często. Oto jako klasyczny przykład wiersz, wyrażający tę samą myśl, co przytoczone poprzednio słowa Napoleona, tylko z silniejszą, jadowitą poprostu ironją. Wyjęty jest z chóru Duchów Ironicznych, tworzącego rodzaj prologu do bitwy pod Lipskiem:

So Poland's three despoilers, primed by Bull's bold pay...

Bez wyrazu *bola* możnaby to przetłumaczyć: „Tak więc trzej łupieżcy Polski, nabici (jak działa) żołdem Johna Bulla“... Lecz wyraz *bold* mieści w sobie całe piekło szyderstwa. Rezygnując więc z całej przenośni, a uwzględniając zato przymiotnik, trzeba by powiedzieć: „Tak więc trzej łupieżcy Polski, walecznie opłaceni przez Johna Bulla“... Wiersz ten, a raczej jego druga połowa przypomina niektóre ustępy z dramatów ostatniej epoki Szekspira, w których jedna przenośnia tak rozrasta się obok drugiej, że rozsadzają ciasny wazon wyrazów.

Niezawsze naśladowanie mistrzów elżbietańskich jest tak szczęśliwe, jak w tym wypadku. Oto po ogrodach Schönbrunnu kręci się przebrany za ogrodnika agent napoleoński Montrond ze swym towarzyszem Ménevałem (C, V, 4). Przybył nakłonić Marję Ludwikę do ucieczki, gdyż Napoleon wrócił z Elby i zdołał opanować Francję. Miejsce cesarzowej jest przy boku męża. Montrond zawiezie ją z łatwością do Strassburga, niech tylko Marja Ludwika przebierze się po

męsku. Méneval wyraża powątpiewanie, aby zechciała. Dotyczącą mowę zaczyna od słów: „Choć taki niezwykły a piękny strój zrobiłby z niej młodzieńca, urodziwego, jako Adonis w poranek łowów... (*Though such quaint gear would mould her to a youth Fair as Adonis on a hunting morn...*)“.

Tu już przypominają się mitologiczne aluzje dramatu przedszekspirowskiego, szczególnie Roberta Greene'a.

Podobne wrażenie czynią klasyczne zaklęcia Wellingtona pod Waterloo (C, VII, 4). Francuzi wzięli właśnie szturmem La Haye Sainte. Lecz wódz angielski zwraca się do pruskiego generała, przydzielonego do swego sztabu:

Mimo ich gwałtownych postępów przysięgam na wszelkich bogów, jakich wojna może wezwać (*By every God that war can call upon*), trzymać za wszelką cenę naszą obecną pozycję, dopóki wasza armja nie zacznie współdziałać z nami.

Może zaklęcie uszłoby w innych ustach i w sąsiedztwie innych wierszy. Tu raz.

Niepotrzebnie również naśladuje Hardy zwyczaj kończenia scen rymowanym dwuwierszem, zwyczaj, którego sam Szekspir prawie zupełnie zaniechał w ostatnich latach swej twórczości. Scena poprzedzająca wspomnianą w tej chwili ma właśnie takie zakończenie — tylko cała mowa Napoleona jest mocno prozaiczna:

Dziś rano mieliśmy dziewięćdziesiąt procent powodzenia, a dotąd mamy sześćdziesiąt. Niech tylko Grouchy naprawi błąd swej nieobecności, a wieczór przyniesie zwycięstwo (*...This morning we had ninety chances ours. We have threescore still. If Grouchy but retrieve His fault of absence, conquest comes with eve*).

Wogóle rym, nieraz najniewłaściwiej zastosowany, specje cały szereg ustępów, a już najgorsze wrażenie robi w mowach aniołów, spisujących ludzkie czyny (*Recording Angels*) i uosobień wieści. Są to bowiem przeważnie suche sprawozdania i wyliczania, jakby wyszłe z biura Reutera.

Wiersz biały nie wytrzymuje porównania nietylko z Szekspirem, Miltonem i Marlowem, ale wogóle z ogromną

większością angielskich poetów, jacy się nim posługiwali. Nie posiada rozmaitości, a jednak często brzmi nierytmicznie. Jego wymienieni mistrze, zwłaszcza dwaj drudzy, zdobili go skutecznie niezwykle dla Anglików, a dźwięcznymi imionami własnymi, głównie wschodniego pochodzenia. Naśladuje ich pod tym względem Hardy, ale z fatalnym prawdziwie skutkiem. Dla tamtych owe egzotyczne imiona były materiałem, pozwalającym na potrzebne w wierszu zmiany. Hardy operuje historycznymi francuskimi, których Anglik obsłuchał się dostatecznie. Nadaje im czasem nienaturalny akcent. A już zgroza bierze Słowianina, gdy pod Austerlitz spotka się z generałem „Prbiszewskim“ (Przybyszewskim), pod La Mure koło Grenoble z dowodzącym eskortą ułanów polskich pułkownikiem „Jermanwskim“ (Jerzmanowskim), gdy Mały Jarosławiec znajdzie nazwany „Jaroslavitz“ i zrymowany z *flits* i *quits*.

Natomiast bez porównania lepiej wypadły pieśni — wplecione również zgodnie z wielką tradycją elżbietańską. Z wybranymi trudnymi zwrotkami dał sobie Hardy radę lepiej, niż z wierszem białym. Najsilniejsze może wrażenie robi pieśń, którą w imię ginących bez boju angielskich wojsk pod Walchëren śpiewają duchy. Wogóle chóry duchów, ujęte w rozmaite formy rymowanego wiersza, zawierają dużo piękności poetyckich.

Zważywszy wszystko razem, dojdziemy do przekonania, że „Dynaści“ jako poemat nie mogą zadowolić i niewątpliwie konsekwentne użycie prozy byłoby im wyszło na dobre.

III.

Lecz przejdźmy do cech wewnętrznych, zastanówmy się, co było celem poety i o ile ten cel został osiągnięty. Wypada zacząć od genezy utworu.

Hardy wiele rozmyślał nad życiem i, jak widzieliśmy, powieści jego tchnęły swoistą pesymistyczną filozofją. Gdy

przerzucił się do liryki, nie poprzestał na przedstawianiu życia w świetle tej metafizyki, ale coraz częściej wypowiadał wprost swój pogląd na świat. Czynił to zrazu w formie pytań, — z reguły czysto retorycznych, — później coraz wyraźniej. Zapragnął wreszcie swoją straszliwą teorię fatalistyczną, uwydatnioną w powieściach w życiu jednostek, uwydatnić w dziejach narodów. Zaczął więc rozglądać się za odpowiednio potężnym tematem.

Tu, jak wiemy ze wstępu, rozstrzygająco wpłynął znowu umiłowany Wessex. Hardy stwierdza, że znał miejsce kąpielowe, gdzie jeździł Jerzy III w czasie wojny, znał wybrzeże, zagrożone inwazją francuską, i znał leżącą w tejże okolicy wieś, gdzie urodził się kapitan okrętu admirałskiego Nelsona.

Uwaga poety zwróciła się więc ku wojnom napoleońskim. Olbrzymi ten temat trzeba było zacieśnić i ograniczyć. Dokonać takiego ograniczenia mechanicznie — znaczyło zamierzone dzieło odrazu zniszczyć, uczynić torsem. Było więc jasne, że jedynie historjografja może być narzędziem koniecznej operacji.

Za poglądem, że cały szereg wielkich kampanij, toczo-nych na najrozmaitszych terenach od r. 1793 do 1815, był tylko olbrzymimi zapasami między Anglią a rewolucją francuską, a od chwili wysunięcia się we Francji na pierwszy plan Napoleona, t. j. od r. 1797, między Anglią a Napoleonem, przemawia dużo względów. Przyzwyczailiśmy się wprawdzie albo każdą z wojen brać z osobna, albo w nich wszystkich razem widzieć bój nowego porządku rzeczy ze starym, który po nadludzkich wysiłkach zdołał zwyciężyć, ale tylko poto, aby w niedługim czasie ulec bez wojny, gdyż jego strupieszala budowa długo stać już nie mogła. Spróbujmy jednak teraz przedstawić sobie cały ten okres jako jedną wojnę francusko-angielską.

Prawdziwą przyczyną wystąpienia Wielkiej Brytanji przeciw rewolucyjnej Francji była klęska amerykańska, w której

doniosłą rolę odegrała rywalka z za kanału La Manche, i wzmoczenie się morskiej potęgi tej rywalki. Przypadkowo siedział na tronie ciasnego umysłu monarcha, skłonny do walki o *ancien régime* we Francji i o głowę Ludwika XVI. Niewątpliwie pojawiły się i w jego państwie idee rewolucyjne, ale nie przedstawiały większego niebezpieczeństwa i cała sprawa większości narodu ani nie ziębiła ani nie grzała.

Zręczni mężowie stanu wyzyskali i królewski fanatyzm, i lęk klas posiadających przed jakobinizmem, i wrażenie krwawych dni terroru. Największy pisarz polityczny i mówca przygotowywał słowem żywym i drukowanem wystąpienie czynne.

Wielki premier był przeciwny wojnie, ale gdy raz na nią się zdecydował, dowiódł niezwykłej energii i wytrwałości.

Jeszcze osłabiona nieco porażką amerykańską, Anglja śpieszy jednej koalicji po drugiej z pomocą pieniężną. Wysyła nawet wojska, które dzięki lichemu wyćwiczeniu i nieudolności wodzów ponoszą klęskę po klęsce. Nic to. Rewolucyjna Francja dowodzi niesłychanej żywotności i raz po raz przechodzi do ofensywy, do podbojów. Wydaje największego wodza świata i na jednym przeciwniku po drugim wymusza upokarzający pokój. Nic to. Widząc, że jednego ma tylko nieubłaganego wroga, wysyła Napoleona do Egiptu, aby zagroził Indjom. Mamelucy i Turcy zawodzą militarnie, zato Anglikom po raz pierwszy błyska szczęście — niszczą flotę francuską, a zwycięski pochód nieprzyjaciela rozbija się o mury marnej forteczki. Już wydaje się, że Napoleon wpadł w pułapkę, gdy wielki szczęściarz cudem dostaje się do ojczyzny, która tymczasem poniosła szereg porażek. Dokonywa zamachu stanu, a zostawszy sternikiem nawy państwowej, opanowuje znowu Włochy. Tymczasem najsilniejszy ze sprzymierzeńców, Rosja, wycofał się z koalicji.

Zwycięstwa w Syrii i w Egipcie pozwalają teraz Anglji zawrzeć honorowy pokój. Ale to tylko pauza dla wytchnie-

nia. Mimo istnienia silnej partji pokojowej, mimo grozy inwazji, mimo wzrostu potęgi francuskiej znów przychodzi do starcia. Zawodzi Austria, zawodzą Prusy, zawodzi raz jeszcze do wojny namówiona Rosja. Tylko drugie wielkie zwycięstwo morskie ratuje nastrój. Umiera Pitt, który był duszą wojny. Nic to. Dawny rzecznik pokoju, Fox, prowadzi ją z tą samą zaciętością. Napoleon chętnie zwróciłby Jerzemu III Hanower, pozwoliliby Anglii poczynić różne nabytki. Nic to. Aby utrzymać zdobyte posiadanie mórz, trzeba zwyciężyć i na lądzie.

Rozzuchwalony szczęściem cesarz Francuzów robi pierwszy krok fałszywy, wikła się w wojnę hiszpańską. Anglja organizuje korpus za korpusem i posyła je na półwysep Iberyjski. Pierwsze walki wypadają naogół nieszczęśliwie. Nic to. Wre dalsza walka ze zmiennem szczęściem. Giną dziesiątki tysięcy — Anglja straty swe zastępuje w dwójnasób i trójnasób, znalazła ostrożnego, systematycznego i dzielnego wodza, więc „czapkę sprzeda, pas zastawi“, ale nie da się już wrzucić do morza. Niema pokoju z korsykańskim bandytą!

Napoleon na tę zawziętość odpowiada nowym genialnym pomysłem. Organizuje bojkot angielskich towarów na kontynencie. Ma dość sił, aby dopilnować opornych. Nie będziemy pili kawy! Straszliwa maszyna, ożywiona energją wielkiego człowieka, zaczyna funkcjonować. Nic to. Raz jeszcze wysuniemy przeciw niemu Austriję. Po chwilowym przebłysku powodzenia — zawiodła i podniosła ręce do góry. Nic to. Z czterdziestu tysięcy żołnierza, które miały zrobić dywersję i uderzyć na samą Francję, wróciła zaledwie garść ślaniających się na nogach kościotrupów. Nic to. Londyńscy kupcy bankrutują setkami — 2500 bankructw w ciągu roku, *City* zaczyna mieć wojny dosyć, lud szemrze, dług państwowy rośnie, jak na drożdżach, o gotówkę coraz trudniej... Nic to. Tam z północy błyska światło nadziei. A może nieprzyjacieli znowu jaki błąd popełni?

I popełnia rzeczywiście. Chce wojnę, której nie mógł

uniknąć, skończyć napoczekaniu, zapuszcza się głęboko w słabo zaludniony kraj o ostrym klimacie i traci pół miliona ludzi. Przyszedł czas działania! Uwijają się po europejskich stolicach dyplomaci angielscy, sypią hojnie złotem, organizują nową koalicję, potężniejszą od którejkowiek poprzedniej. Po potwornych rzeziach 1813 r. następuje rozpaczliwa *campagne en France*. Nie biorą w niej udziału Anglicy, ale równocześnie przyciskają do muru armję hiszpańską Napoleona. W chwili, gdy z Paryża dochodzi wieść o abdykacji pokonanego mocarza, Wellington właśnie dodusza już na francuskiej ziemi jej niedobitków...

Całe te dzieje, skrócone do dni trzech, powtórzyły się w minjaturze o rok później. Trzeba Anglikom przyznać, że w tym wypadku walczyli na równych mniej więcej szansach tylko dla oszczędzenia dalszego krwi rozlewu. Mogli zwlekać z rozstrzygającą rozprawą do nadejścia Austriaków i Moskali, do osiągnięcia przygniatającej przewagi. Woleli jednak pokusić się o skończenie wojny za jednym zamachem.

Zaczął się niepowodzeniem pod Ligny, które mogło mieć dla Prusaków, a więc i dla ich sprzymierzeńców okropne skutki. Lecz genialny plan Napoleona popsuli Ney i d'Erlon. Trzydzieści tysięcy Francuzów, które mogły spowodować zupełne zniażdżenie Blüchera, ukazały się wpobliżu pola walki, aby wycofać się natychmiast. W grę strategiczną wmieszał się po raz pierwszy żywioł ślepego trafu — tym razem przyjaznego Anglikom, wrogiego Napoleonowi.

Pobiwszy Prusaków, Napoleon stał się z Anglikami pod Quatre Bras. Walka była nierozstrzygnięta. W dalszym ciągu trzydniowej kampanji imponuje nie geniusz wojskowy bynajmniej, lecz wytrwałość wodza i armji. Wellington starannie wybiera sobie pole bitwy. Zajmuje silną pozycję, odznaczającą się tem, że w razie klęski odwrót byłby niełatwy. Czyni to zapewne rozmyślnie. Wie, że bój będzie wymagał nadludzkiej prawie determinacji i siły nerwów. Liczy na to, że pod wieczór zdążą na plac boju Prusacy.

Jego obliczenie było mylne. Gdyby Grouchy nie był niedołągą lub zdrajcą, byłby o parę godzin uprzedził Blüchera. Mógł zresztą zrobić i co innego — nie puścić go przez rzekę Dyle.

Ale Wellington kurczowo trzyma się kombinacji, opartej na tej właściwości swych rodaków, która najrzadziej zawodzi. Mówię o jego rodakach dlatego, że wprawdzie w armji przeważały inne narodowości, ale niewątpliwie angielskie bataljony i szwadrony stanowiły jej rdzeń i główną siłę.

Kawalerja ulega francuskiej. Część rozbitych jeźdźców opiera się aż w Brukseli, szerząc popłoch i zamieszanie. Artylerzyści mieli przed atakującym nieprzyjacielem uchodzić i, chroniąc się chwilowo w środku czworoboków, wracać potem do dział. Spełniają pierwszą część rozkazu zbyt sumiennie, aby mogli spełnić drugą. Wola na dobre opuścić pole — Wellington będzie chciał później odmówić im medalu, wybitego ku pamięci bitwy. Szeregi rzedną. Pada cała masa wyższych oficerów. Czworoboki jednak stoją. Za nimi leśne drogi, zatłoczone uchodzącym trenem, przed nimi wróg, którego celem jest nie odepchnąć armję Wellingtona, lecz zetrzeć ją z powierzchni ziemi. W tem widzi swą jedyną deskę ratunku. Zionie więc huraganem ognia i żelaza, uderza wręcz z niesłychaną furją.

Trup pada gęsto, pot zalewa oczy, lufy parzą dłonie. Lecz czworoboki stoją. Blücher lub noc! Do nocy jeszcze godzin parę, a zamiast Blüchera powinienby nadejść Grouchy. Wellington jednak zaciął zęby i ani nie myśli o odwrocie. Zresztą odwrót byłby już niebezpieczniejszy od dalszej walki. Tam pewna zguba, tu tylko prawdopodobna.... Rozszalałych kirasjerów odpycha kula karabinowa, odpycha krwawy bagniet. Buldog chwycił niedźwiedzia za łydkę. Mimo ciężkich ran, mimo nieuchronnej pozornie śmierci nie puszcza. Wierzy w nadejście myśliwego.

I myśliwy nadchodzi...

W tych straszliwych kilku godzinach 18 czerwca 1815

streściło się dwadzieścia lat poprzednich — streściło i o tyle, że wprawdzie jedynie mała część przeciwników Napoleona i Francji była Anglikami, ale walką kierował mózg angielski — bez geniuszu, bez błyskotliwych pomysłów, bez olśniewających niespodzianek, zato z przeciętną poprawnością i z opanowaniem nerwów. Wygrał.

IV.

Nie wyobrażam sobie poprostu, aby można cały ten splot wypadków historycznych inaczej pojmować, o ile zgodzimy się, że były w gruncie rzeczy tylko wojną Anglii z Francją rewolucyjną i z Napoleonem. W tym wypadku nie może być mowy o wojnie dynastycznej. W Anglii już dynastia nie rozstrzygała o polityce państwa, a ci, co rozstrzygali, nie powodowali się interesami dynastycznymi.

Natomiast jeżeli pojmiemy te ćwierć wieku szerzej, jeżeli obok Anglii przyznamy pierwszorzędną rolę mocarstwu kontynentalnym, wówczas pierwiastek dynastyczny również nabierze znaczenia. Może nie tak zasadniczego i powszechnego, jakie przypisuje mu Hardy, lecz niewątpliwie bardzo doniosłego.

Wojny napoleńskie były rzeczywiście czemś więcej, niż śmiertelnym pojedynkiem między dwoma państwami czy dwiema grupami państw. Były pojedynkiem między dwoma porządkami świata. Zaczęły się na długo przedtem, zanim ktokolwiek usłyszał coś o Napoleonie.

W strupieszalej Europie XVIII w. wybujał pierwiastek dynastyczny do potwornych rozmiarów. Deptano w jego imię ludzi, prawa i narody. Rzućmy okiem na mapę z tego czasu i przyjrzyjmy się przedewszystkiem otoczeniu Francji. Na północy, za cieśniną morską ujrzymy kraj, w którym zdołano już zasadę dynastyczną podporządkować innym, ale tylko przez to, że ją zrobiono ich symbolem. Setki tysięcy ludzi byłyby dały porąbać się w kawałki za „protestanckie na-

stępstwo tronu“, za rodzinę hanowerską, ale trzeba być bardzo naiwnym, aby sądzić, że szło im naprawdę o tę rodzinę. Co o niej Anglicy myśleli, to streszcza się doskonale w nagrobku, który jakiś dowcipniś napisał księciu Walji, zmarłemu wprzód, zanim doczekał się korony po Jerzym II: „Tu leży Fred, który żył, ale już nie żyje; gdyby to był jego ojciec, byłbym bardziej zadowolony; gdyby matka, jeszcze bardziej, gdyby siostra, niktby nie odczuł jej straty; gdyby całe pokolenie, tem lepiej dla narodu; skoro jednak to Fred, który żył, a już nie żyje, niema nic więcej do powiedzenia“. I nie sądzmy, że wiele zmieniło się za Jerzego III, który w przeciwieństwie do swych poprzedników był już prawie Anglikiem. Czyż mógł lojalnie zapalać budzić król, zbliżający się poglądami do Karola I? Poza dworską kliką Anglicy w gruncie rzeczy dbali o swych hanowskich władców tyle, co o śnieg zeszłoroczny. Tylko, musząc wybierać z dwojga złego, woleli ich od Stuartów, a jeżeli wigowie posługiwali się imieniem nowej dynastji jako hasłem, to mówili „dynastja hanowerska“, a myśleli „król panuje, a parlament rządzi“, „swoboda indywidualna“, a także często „naprzód handel, potem rolnictwo“.

Ale inna była reszta sąsiedztw, ważniejszych, bo nie oddzielonych od Francji morzem. Na południowym zachodzie drzemała Hiszpanja, którą napróżno usiłowali byli przebudzić przedsiębiorczy ministrowie z początków XVIII w. Tam dynastja była wszystkim, była prawdziwem wcieleniem ojczyzny — i nic przytem nie szkodziło, jeżeli reprezentował ją pół-idjota, który nie umiał nawet dostosować się do wymagań skomplikowanej etykiety dworskiej, który poza polowaniem nie widział świata, który kochanka żony zrobił wszechwładnym ministrem i nazywał „pocziwym Manuelem“.

Na południowy wschód znów leżały Włochy, rozszarpane w imię dynastycznych ideałów na podległe obcym prowincje i tyrańskie ksiąstewka, z ironją republiki w Wenecji i z klasyczną zgangrenowaną monarchją absolutną w Neapolu.

Lecz jeszcze klasyczniejszy kraj rozciągał się na wschód. Były to Niemcy ze *Zbójców* oraz *Intrygi i miłości*, z całym zastępem udzielnych książątek, z których każde naśladowało Ludwika XIV, ale tylko w rzeczach dla ludu złych lub obojętnych, nigdy w dobrych. Niemcy stanowiły dzięki obfitości dynastij rodzaj szkółki królów i miały zawsze na eksport bogaty wybór sadzonek płci obojga.

Ich najważniejszą częścią były żarłoczne Prusy, stojące militarną organizacją starego Fryca. W luźnym związku ze „Świętem Państwem Rzymskiem“ pozostawała Austria, w której pióro skostniałego w starych formułkach biurokraty było tem, czem trzcina kaprańska w Prusiech. Dzięki posiadaniu części Niderlandów sąsiadowała również z Francją.

Dalej na wschód wiła się w bolesnej agonji Polska, dobijana przez sąsiednich monarchów za to, że wzgardziła ideą dynastyczną, ale będąc postępową w formie rządu, nie umiała równocześnie być postępową w administracji i technice wojskowej, za to wreszcie, że ze swemi prawie wyłącznie politycznymi granicami i ze swą słabością stanowiła idealny łup dla dynastycznych *raubritterów*.

Wreszcie trzeba wymienić Rosję, biorącą coraz żywszy udział w polityce europejskiej, tę Rosję, w której zasadę dynastyczną doprowadzono do bałwochwalczego absurdu, stawiając na piedestale błyskotliwą niemiecką nierządnicę, a potem czcząc, jak ojców i bogów, jej następców, ludzi nienormalnych i zależnych od pierwszego lepszego dworaka, wiedzącego, że szarfa na piersiach sługi oznacza łaskę pańską, na szyi pańskiej — władzę pozbawionych iluzyj sług nad panem.

W takim to otoczeniu znalazła się Francja, która nagle w imię zasad filozoficznych, ujętych dla szerokich mas w lapidarne formuły praw człowieka, zerwała się do boju z czczonym doniedawna pierwiastkiem dynastycznym. Lecz idee rewolucyjne przyjęły wprędce zabarwienie nacjonalistyczne,

nawet imperjalistyczne. Nie zadowolono się zasadzeniem drzew wolności w Paryżu, w Marsylii, w Strassburgu. Zaczęto sadzić je w Awinionie, w Moguncji, w Koblencji, nawet w Bogu ducha winnym republikańskim Amsterdamie. Nietylko posłano pod gilotynę Ludwika XVI, ale czyn ten z pedagogicznym gestem polecono ludom Europy jako przykład do naśladowania. A wyzwalając zajmowane zbrojnie ziemie od tyranji drobnych książątek i arcybiskupów, narzucano tyranję komisarzy konwentu i plebejskich jenerałów. Tworzenie drobnych republik było tylko formą aneksji, stosowanej czasem i bez obsłonek. Jednym słowem, rewolucja rozpętała dwie siły, wrogie pierwiastkowi dynastycznemu — nacjonalizm i żądę równości, a w rydwan ich wprzęgła potężny czynnik, o którym Europa zdołała była zapomnieć, żołnierza-obywatela.

Dynaści XVIII w. stanęli oko w oko z zagładą. Czuli, że przykład jest zaraźliwy. Pierwsza spostrzegła się Austria, po niej Prusy. Wsparła oba państwa Anglja, żądna zemsty za wojnę amerykańską i mająca u siebie myślicieli, pokrewnych ideologją teoretykom rewolucji. Przyłączyła się później Rosja, zawsze skóra do odgrywania roli żandarma Europy. Okolicznościowo brali w wojnie udział i mniejsi dynaści.

Ale wszyscy prócz wspólnego interesu antyrewolucyjnego, który ich łączył, mieli i interesy, które ich dzieliły. Gdy więc nieprzyjaciel dowiódł niespodziewanej żywotności, chłódli prędko w zapale. Wyjątek stanowi jedna Anglja. Jej wystąpienie było dziełem genialnego polityka, popieranego przez cały zastęp ludzi światłych i wiedzących, czego chcą; umiała więc być — poza jedną krótką pauzą — do końca konsekwentną. Dynaści tymczasem wypowiadali kolejno wojnę, ale doznawszy niepowodzeń, kwapili się z zawarciem pokoju, aby po jakimś czasie znów próbować szczęścia. Austria pięciokrotnie, Prusy trzykrotnie, Rosja również trzykrotnie rozwijała skrzydła do lotu.

V.

Po kilku latach tych walk pojawił się w rewolucyjnej Francji Napoleon. Z korsykańskiego patrioty, z jakobińskiego marzyciela urósł błyskawicznie na najpopularniejszego generała Francji, na pierwszego konsula, wreszcie ozdobił skroń diademem cesarskim. Ale nazwał się cesarzem Francuzów. Nie ziemią chciał władać, lecz równymi obywatelami. Okres napoleoński jest dalszym ciągiem okresu rewolucyjnego — tylko z dwóch głównych czynników rewolucji czynnik nacjonalistyczny coraz bardziej bierze górę. Ale ideom dynastycznym jest równie wrogi, jak żądza równości.

Jak je deptał i unicestwiał, świadczy najlepiej stosunek Napoleona do Rzeszy Niemieckiej. Niema bardziej znamienego faktu, niż porządkowanie przez Bonapartego stosunków Rzeszy. Książątka niemieckie, żebrzące, wycierające sobą przedpokoje i operujące przekupstwem w Paryżu — to obraz symboliczny. Idea dynastyczna korzy się przed nowymi siłami dziejowymi, jej zwyrodniali przedstawiciele, godząc się na zmiany terytorjalne i na utworzenie związku reńskiego, oddają władzę, byleby zatrzymać możność wygodnego życia bez pracy i nosić nadal paradne stroje dworskie. Idą pod komendę nacjonalistycznej Francji.

To komedja okresu. Ale jest i tragedia, równie typowa. Mówię o śmierci księcia d'Enghien. Stawiać nieszczęśliwego krewnego królów przed oczyma Napoleona, dręczonego przed bitwą pod Waterloo okropnemi snami, Hardy nie bez pewnej naiwności daje do zrozumienia, że zalicza stracenie d'Enghiena do zbrodni Korsykanina. Jest bezwątpienia w błędzie. Rzecz działa się w chwili, gdy potężny zastęp zwolenników *ancien régime*, zwątpiwszy o szablach, ostrzył przeciw pierwszemu konsulowi sztylety i konstruował na niego bomby. On sam dał też dostateczną odpowiedź wszystkim przyszłym oskarżycielom, bo gdy ktoś wspomniał mu o krwi królewskiej, powiedział, że jego własna krew nie jest też wodą z przy-

drożnego rowu. Zaszło pogwałcenie prawa narodów, zaszła samowola autokraty, zaszły pewne brutalne szczegóły, ale nie może być mowy o zbrodni. Może d'Enghien i nie brał udziału w spiskach na życie człowieka, który na podstawie woli ludu był w tym czasie głową jego ojczyzny. Zaprzeczył temu przed sądem. Wyznał jednak, że walczył przeciw Francji i przybył nad granicę, aby znów walczyć przeciw Francji. Za to sąd francuski ukarał go śmiercią. Nawet wyrok wykonał nie żaden kat, lecz pluton żołnierzy-obywateli. Był to triumf idei równości i idei narodowej nad ideą dynastyczną.

Napoleon nawet jeszcze przez pierwsze lata cesarstwa jest przedstawicielem dwóch pierwszych, walczy na śmierć i życie z drugą. Ale dzieje się z nim z wolna to, co nieraz spotykało i jednostki i nawet całe narody. Upodabnia się w ciągu długich wojen do nieprzyjaciela, sam niepostrzeżenie staje się dynastą. Osadza swych krewnych na tronach i po raz pierwszy wszczyna wojnę czysto dynastyczną, gwałcąc pierwiastek narodowy. Dopóki miał do czynienia z niemieckimi księstwami, nie popełniał w tym kierunku zbyt ciężkich przekroczeń, gdyż znaczna część samych Niemców sprzyjała ideom rewolucji i ciążyła ku Francji, a wspólność narodowa była u nich fikcją. Gdy krajał i zszywał inaczej oddawna pokrajane Włochy, zbliżał je ku zjednoczeniu — i Włosi to czuli. Gdy od Prus odrywał kraje, zrabowane Polsce, szedł w kierunku jej wskrzeszenia. Nawet gdy następcy Fryderyka II odbierał niemieckie posiadłości, usprawiedliwiała go poniekąd odwieczna zaborcza zachłanność pruskiej polityki.

Ale tym razem targnął się na państwo pod względem narodowym dość jednolite, na naród swej wspólności światomy. Choć był przedstawicielem nowego porządku rzeczy, powtórzył najfatalniejszy z błędów Ludwika XIV, który zresztą wszczął był wojnę o dziedzictwo hiszpańskie na podstawie pewnych praw — podczas gdy Napoleon nie posiadał ani cienia prawnego tytułu. Ale potworna zbrodnia była

równocześnie i potwornym błędem. Zślepiiony powodzeniem, Napoleon nie uwzględnił w swych obliczeniach wytrwałości i zawziętości Hiszpanów, nie uwzględnił ich religijnego fanatyzmu. Co więcej, stworzył teren wojny lądowej dla Anglii, która natychmiast skorzystała ze sposobności, aby zacząć systematycznie, jak zęby grzebienia, wykruszać stare pułki napoleońskie i wyczerpywać materiał ludzki Francji.

Nieszczęsna wojna hiszpańska wlokła się ze zmiennem szczęściem, pochłaniając straszliwe hekatomby po obu stronach, lecz Napoleon nie umiał już odczytać baltazarowego pisma na ścianie. Apopleksję poprzedza zazwyczaj lekki atak ostrzegawczy. Kto po nim zmieni tryb życia, może odwrócić katastrofę. Napoleon ostrzeżenia nie rozumiał.

On, powołany do obalania dynastji i wyzwalań ludów, on, pionier nowego porządku świata, opartego na równości stanów i pierwiastku narodowym, został sam dynastą, zapragnął połączyć się z jednym ze starych rodów monarchicznych. Ten, który genjuszem wyrastał nad setki pokoleń, zapragnął zrównać się z pseudo-Romanowymi lub pseudo-Habsburgami. Ten, co jednym i drugim dyktował twarde, nieraz poniżające traktaty, stanął przed nimi w pozie suplikanta i doznawał emocji, czy zgodzą się, czy nie zgodzą na związek.

Pseudo-Romanowy zaczęli kręcić i odwlekać. Zraził się. Pozostali pseudo-Habsburgowie. Hardy odtwarza na podstawie listu księżny Metternich do męża jej rozmowę z Napoleonem, który napomknął jej o planach austriackiego małżeństwa. — „Czyby pani zgodziła się, będąc na miejscu arcyksiężniczki?“ — „Z całą pewnością odmówiłabym“. Hardy zaznacza w nocie, że powątpiewa, czy księżna pisała prawdę. Jeżeli jednak pisała, to cesarz Francuzów otrzymał od niej odpowiedź, na jaką w pełni zasługiwał.

Krótko mówiąc, dzieje wojen napoleońskich i wogóle czasów napoleońskich można podzielić na dwa wielkie okresy. W pierwszym Napoleon, jakkolwiek rozkoszuje się władzą

i sławą, spełnia swą misję historyczną i kładzie podwaliny pod nowy porządek Europy. W drugim, zaczynającym się mniej więcej równocześnie z wojną hiszpańską, sprzeniewierza się temu posłannictwu, złudzony błyskotkami przechodzi do obozu dynastów, których był wrogiem, i znajduje zgubę.

Oto jego dramat. Jest to rzeczywiście dramat dynastyczny, gdyż zniżenie się Napoleona od wyższego ideału, którego w znacznej mierze był świadom i który wcielał w życie, do niższego, który długo zwalczał, było winą tragiczną cesarza. W drugim okresie występuje też u niego szereg objawów, łatwych do wytłumaczenia utratą wewnętrznej równowagi, gdyż musiał mieć dość wyraźne poczucie, że zszedł na manowce, lecz poczucie to tłumił przy pomocy sofistyki i bronił się przed niem, a ta walka moralna z samym sobą wyczerpywała go i osłabiała, czyniąc coraz mniej zdolnym do rozwiązywania olbrzymich zadań, jakie mu wciąż narzucała fatalna siła przeznaczenia, jakie zresztą ohotnie podejmował, powodowany rozbujałą dumą i wiarą w swą gwiazdę. Ale już wiara ta nie była żywiołową siłą, już miała podkład autosugestji i oszukiwania siebie samego.

Zstąpić w najtajniejsze głębiny duszy największego genjusza ery chrześcijańskiej, zanalizować i odmalować stopniowe jej zatrucie przez pychę, staczanie się z wyżyn ogólnoludzkich ideałów w przepaść samoubóstwienia, rozrastanie się kultu własnego ja, mącenie się sądu, doprowadzające do tego, że wielki człowiek, powołany do zmienienia fizycznego i moralnego oblicza świata, sięga do błyskotki i rozkoszuje się błyskotkami, przedstawić jego walkę z coraz silniejszą tego świadomością, z rodzącą się pogardą dla samego siebie i z poczuciem winy — to byłoby zadanie dla wielkiego poety. Pytanie tylko, czy był, czy mógł być taki poeta. Może Szekspir, gdyby nie był urodził się za wcześnie... Ten jednak w „Korjolanie“ cofnął się przed podobnym zadaniem i ograniczył się do rzeczy zewnętrznych, opuszczając zasłonę na duchową przemianę bohatera, a w „Juljuszu Ce-

zarze“ pokazał go już przemienionym. A więc zapewne nawet i nie Szekspir...

VI.

Absolutnie już zaś nie był do tego nadludzkiego zadania powołany Hardy. Pesymizm nie jest siłą twórczą. Jeżeli życie nic nie warto, poco ozdabiać je dziełami sztuki? Poco jego zagadki rozwiązywać? Poco z pochodnią schodzić w wielkich dusz głębinę? Nic naturalniejszego nad to, że pesymiście Hardy'emu Napoleon wydał się od początku do końca swej kariery awanturnikiem tylko i zbrodniarzem.

U Hardy'ego niema między nim a dynastami żadnej różnicy prócz tej, że dynaści mają za sobą tradycję i posługują się wypróbowanymi formami rządu, a Napoleon jest w tem dostojnem gronie parwenjuszem i zamiast berła dzierży w ręku nagą szpadę. Tamci — to starsi panowie, często głupi, śmieszni i dziecinnie przeświadczeni o swem posłannictwie, nieraz występni, a nieraz ożywieni dobrymi chęciami. On — to rozbójnik, co wlaź między nich, jak Piłat w *Credo*, i myśli że zdoła między nimi utrzymać się, jak równy pośród równych. Hardy nie ceni go nawet tak wysoko jak manjaka Jerzego III.

Przez usta premiera Percevala (B, VII, 7) nazywa go pogardliwie *The rawest dynast of the group concerned* — więc „najmniej dopieczonym dynastą z grupy, wchodzącej w grę“, ale co niedopieczone, to i niestrawne, więc epitet odnosi się także do brutalnych metod Napoleona.

Pogląd Hardy'ego na wojny napoleońskie jako na pewną całość dziejową widać może najlepiej w dwóch zwrotkach Chóru Lat po bitwie pod Lipskiem:

*The Battle of the Nations now is closing
And all is lost to One, to many gained:
The old dynastic routine reimposing,*

*The new dynastic structure unsustainable.
 Now every neighbouring realm is France's warder,
 And smirking satisfaction shall be feigned:
 The which is seemlier? — so called ancient order
 Or that the red-breathed war-horse prance unreined?*

(Teraz kończy się bitwa narodów. Jeden utracił wszystko, kilku zyskało, wraca brzemie starego, wypróbowanego dynastycznego trybu, kolumny nowej dynastycznej budowli runęły. Teraz każde sąsiednie królestwo jest opiekunem Francji i ludzie będą stroili twarze w udany uśmiech zadowolenia. I cóż wygląda piękniej — czy tak zwany stary porządek, czy zionący ogniem rumak bojowy, nie powściągany uzdą i tratujący wszystko?)

Walczyły z sobą dwa systemy dynastyczne, oba nie-mądre i niesprawiedliwe. Hardy nie sympatyzuje z żadnym. Ale z dwojga złęgo woli stary. Nowy jest dla niego identyczny z nieustanną rzezią. Jego twórczych pierwiastków, które po okropnej burzy pozostały w świecie jako siła fatalna, nie widzi czy nie chce widzieć. Uprościł sobie temat kosztem prawdy historycznej, poszedł drogą najmniejszego oporu.

Działała tu jeszcze i potęga tradycji. W czasie śmiertelnych zapasów Anglii z cesarzem Francuzów podtrzymanie moralnej siły narodu wymagało ustawicznej propagandy. Posługiwano się w niej słowem żywym i drukowanym, ale przedewszystkiem starano się przemawiać do wzroku.

U samego Hardy'ego jest niezmiernie charakterystyczna scena tego rodzaju (C, V, 6), umiejscowioną w ukochanem i nawył autorowi znanem hrabstwie Wessex. Wieść o ucieczce Napoleona z Elby rozbudziła na nowo nienawiść do niego Anglii, od lat dwudziestu dręczonej wojną. Więc w Durnover k. Casterbridge gromadzi się tłum, aby ulżyć sobie przez spalenie zienawidzonego Korsykanina *in effigie*. Chłop z zapadłej wioski usłyszał o tem, ale wziął rzecz zbyt dosłownie. Wyobraża sobie, że będą palili samego cesarza. To warto zobaczyć, więc mimo znacznej odległości i braku czasu przybywa. Doznaje rozczarowania, któremu daje upust w sło-

wach: „Tak? To niema dziś już krzty uczciwości w Wessexie“.

Nadchodzi wieść, że Ney przeszedł na stronę cesarza. Wikary z Durnover, charakterystyczna figura z cybuchem „nadnaturalnej długości“ „wypuszcza chmurę dymu i raz jeszcze spluwa prostopadle“, poczem mówi: „No, no, niechże mnie — ach, ach, niech się dzieje wola Boża“. W tej chwili nadjeżdża dylizans z Londynu, a pocztyljon, ujrawszy, co robi zgromadzony tłum, opowiada, że właśnie, gdy odjeżdżał ze stolicy, otwarto tam dla publiczności nowe widowisko. Można było oglądać Boney'go na koniu, w naturalnej wielkości, powieszono go głową nadół. „Wstęp szylinga, dzieci płacą połowę. Prawdziwie patriotyczne widowisko — ale i wasze tutejsze nieźle, jak na taką zapadłą wiejską dziurę“.

W tej pysznej scenie rodzajowej Hardy wytknął swemu narodowi obniżanie wielkiego nieprzyjaciela, wytknął objawy dziecinnej, ośmieszającej jedną i drugą stronę nienawiści, której symbolem była nazwa Boney, urobiona nie od wielkiego, grozą przejmującego imienia cesarza, ale od nazwiska, a więc wypominająca mu plebejskie i korsykańskie pochodzenie, a równocześnie wyzyskująca fizyczną małość dla pomniejszenia duchowej indywidualności i geniuszu. Jest w tej nazwie i snobizm angielski i angielska duma narodu.

Dziś jeszcze widzi się za wystawowemi oknami londyńskich antykwarni tysiączne karykatury z początków XIX w. Głównym motywem jest prawie zawsze dorobkiewiczostwo Napoleona, jego rodziny i dworu. Żywo tkwi mi w pamięci widziana w księgarni na Piccadilly koronacja, robiąca wrażenie maskarady. Oto gromada niezgrabnych, ordynarnych mieszczuchów poprzebierała się w paradne stroje dworskie, których nie umie nosić, i profanuje swą obecnością wnętrze starego, wspaniałego kościoła...

Z drugiej strony nazywanie największego wodza świata Boney'm było symbolem majestatu narodu angielskiego, wobec którego wszelki wróg jest mały, nędzny i lekceważenia godzien.

Hardy zdawał sobie sprawę z śmieszności podobnego postępowania, ale nie wyzwolił się z pod wpływu tradycji i w wielkim swym utworze także powiesił „Boney’go na koniu, w naturalnej wielkości do góry nogami“, zrobił go tuzinkowym rycerzem przemysłu i krwiożerczym bandytą.

Zresztą, jak już wspomniałem, szedł w kierunku najmniejszego oporu, gdy jego tragedję wewnętrzną, nadającą charakter całym dziejom czasów napoleońskich i dzielącą je na dwa okresy, wyrzucił poza nawias „Dynastów“. Podobnie Milton, nie czując się na siłach, aby przedstawić przejścia moralne Szatana, rozpoczął epopeję po strąceniu z nieba zbuntowanych aniołów, a potem ledwie w pobieżnym opowiadaniu zaznaczył, co było przyczyną upadku bohatera — i tym sposobem stworzył postać z jednej bryły, od początku do końca epopei jednakową. Ale potrafił jej nadać ponurą, niesamowitą wielkość. Hardy Napoleona zrobił małym i chłostał go ustawicznie szyderstwem mniej lub więcej efektownych i sprytnych pomysłów.

VII.

Zanim je omówię, muszę zwrócić uwagę, że cała sprawa ujęcia charakteru Napoleona pozostaje w organicznym związku z ograniczeniem tematu. Autor, któryby pragnął przedstawić dramat Napoleona, jak go znają dzieje, musiałby włożyć w swój utwór całą historję i historjografję wojen rewolucyjnych i napoleońskich. Musiałby zacząć od r. 1792, może od 1789.

Tymczasem Hardy zaczyna wkrótce po ponownym wybuchu wojny między Francją a Anglią. Moment jest z angielskiego punktu widzenia potężny. Oto koło Bulonji zgromadziło się około dwustu tysięcy wyborowego żołnierza napoleońskiego, grożąc dumnej wyspie inwazją. Przypomina to moment zbliżania się ku brzegom brytyjskim Armady — ale tylko pozornie. Istnieje bowiem jeden skromny warunek na-

jazdu. Trzebaby zapewnić sobie na 24 godzin posiadanie kanału La Manche. Cała groza położenia jest więc sztuczna, efekt czysto zewnętrzny.

A jednak temu efektowi poświęcił Hardy wewnętrzną logikę i historjozofję. Wojny rewolucyjno-napoleońskie uczynił drzewem bez korzeni. Zrządził krzywdę Francji, odbierając jej militarnej eposi cały podkład ideowy. Zrządził jej krzywdę, przemilczając, że była — przynajmniej przez Prusy i Anglję — napadnięta, że szereg obcych państw zapragnął wmieszać się w jej sprawy wewnętrzne i narzucić jej powrót do starego ustroju. Zrządził krzywdę Napoleonowi, odrzucając z jego życia naprzód okres marzycielstwa i idealizmu, potem okres, w którym młody oficer wprawdzie służył już własnej ambicji, ale równocześnie służył idei. Zrządził mu krzywdę i przez to, że odrazu przedstawił go w pozie teatralnego tyra, miotającego groźby nie do spełnienia. Napoleon w obozie pod Boulogne przypomina trochę Kserksesa, każącego biczyć morze, trochę szekspirowskiego Ryszarda II.

Angielscy krytycy, którzy stanowczo przeceniają „Dynastów“ zdają sobie jednak sprawę z niewłaściwej chwili rozpoczęcia akcji. Oto, co mówi H. C. Duffin, autor wartościowej książki o *Wessex Novels*, do której drugiego wydania z r. 1921 dodał rozdziały o lirykach Hardy'ego i o „Dynastach“:

...rok 1805 z Napoleonem świeżo ozdobionym godnością cesarską, z Pittem bezpośrednio po powrocie do władzy i z Anglją u szczytu oczekiwania najazdu stanowczo dostarcza dramatycznego momentu do podniesienia kurtyny.

Otóż w tem sęk, że w „Dynastach“ kurtyna wcale się nie podnosi. Ich początkowy moment byłby doskonały w scenicznym dramacie, nie pozwalającym widzowi na zbytne zastanawianie się nad szybko po sobie następującymi wypadkami. Od dramatu niescenicznego i fantastycznego z podkładem historjozofji, mającego właśnie być potężnym bodźcem dla myśli czytelnika, musimy żądać czegoś więcej, niż chwilowego efektu.

To rozrąbanie jednolitego okresu dziejów i odrzucenie jego części wcześniejszej posłużyło do niezyczliwego i zbyt płytkiego ujęcia postaci Napoleona. Jest on pozbawiony pierwiastków ideowych i zrobiony od pierwszej chwili awanturnikiem, nie przebijającym w środkach uzurpatorem, zrobiony dynastą, który różni się od innych dynastów tylko o tyle, że tamci gruntują swe prawa na starych, przez długie wieki szanowanych zasadach, a pozbawieni są tych praw tylko wobec nowego poglądu na świat, reprezentowanego zresztą, zdaje się, i przez samego autora, Napoleon zaś musi być potępiony z każdego punktu widzenia.

Formalnie Hardy, pisząc o „dynastach“, o tyle miał słusność, że akcja zaczyna się już po koronacji na cesarza. Ale tylko formalnie. Skołatana wewnątrz i zewnątrz burzami Francja łaknęła trwałej formy rządu, a Napoleon otrzymał koronę z rąk ludu, którego prawo powinienby szanować demokratycznie usposobiony pisarz XIX i XX wieku. Co więcej, Napoleon, zasiadłszy na tronie, dał Francji krótki, lecz owocny okres pokoju, którego tak bardzo potrzebowała, i zabłysnął w tym czasie niezrównanymi zdolnościami organizatora. Pokój nie dał się utrzymać, lecz z pewnością więcej w tem było winy Anglii, niż Napoleona. Hardy zupełnie pomija te rzeczy. Czyżby tak dalece uległ stronniczości?

Jeżeli stronniczość u niego działała, to podświadomie. Nie tu główna przyczyna. Głęboko zakorzeniony pesymizm, pesymizm, wyniesiony do godności poglądu na świat, kazał Hardy'emu obniżyć genialną jednostkę, kazał ją ściągnąć do poziomu Kambizesów i Batu-chanów, bo w świecie, pojętym tak, jak go Hardy pojmuje, nie mogło być miejsca dla prawdziwego Napoleona, dla postaci, służącej, choć niedoskonale i nie do końca, ideom, którym dane było załamać się chwilowo, lecz, później rzeczywiście przekształcić stosunki polityczne i społeczne. Świat Hardy'ego jest katownią i chaosem, a w katowni i w chaosie jest miejsce tylko dla Kam-

bizesów i Batu-chanów, nie może go być dla Cezarów i Napoleonów.

Jest jednak w charakterystyce Napoleona u Hardy'ego jeden niezaprzeczony rys wyższości. Pojmuje on — zgodnie z parokrotnymi odezwaniami się swego historycznego imiennika, — że jest bezwolnem narzędziem w ręku niezbadanej siły wyższej.

Po rozmowie z królową Luizą w Tylży, gdzie oparł się szczęśliwie jej smutnej kokieteryj i nie odstąpił od twardych warunków pokoju, pozbawiających Prusy połowy terytorjum, cesarz mówi do siebie: „Jakaś moc wewnątrz mnie, unieczniam me zamiary, gna mnie naprzód, czy chcę, czy nie chcę. Moją gwiazdę, moją gwiazdę oskarżajcie, nie mnie. Niema z nią dysputy“. Do tych słów dodany jest komentarz w następującej bezpośrednio mowie duchów.

Duch Lat: „Tak to on mówił na moście pod Lodi. Rzecz dziwna, że on należy do tych niewielu w Europie“ — a więc nie jest jedynym wyjątkiem! — „którzy zdają sobie sprawę z działania Woli“ (nieświadomej woli świata, t. j. wedle metafizyki Hardy'ego Boga).

Duch Litości: „Jeżeli tak, to lepiej byłoby dla Europy, aby nie zdawał sobie sprawy“.

To już zarzut, zrobiony Bogu za to, że stworzył Napoleona.

*(Napoleon. Some force within me, baffling my intent,
Harries me onward, whether I will or no.
My star, my star is what to blame — not I.
It is unanswerable.*

*Spirit of the Years. He spoke thus at the Bridge of Lodi. Strange,
He's of the few in Europe who discern
The working of the Will.*

*Spirit of the Pities. If that be so,
Better for Europe lacked he such discerning.)*

VIII.

Słowa „Moją gwiazdę, moją gwiazdę oskarżajcie, nie mnie“ w intencji Hardy'ego mają oznaczać pewien żal ze

strony Napoleona, że nie dał wzruszyć się pięknej królowej, że z różą nie dał jej Magdeburga, i wogóle, że nie złagodził srogiego wyroku na Prusy. Zmieniając mapę Europy, Napoleon myślał o losie milionów i o przyszłych kombinacjach polityczno-strategicznych, nie o łzach czy uśmiechu kobiety. Że Luiza usiłowała go zmiękczyć kokieteryją, jest faktem historycznym. Są na ten temat nawet bardzo skandaliczne plotki. Z tem wszystkim jednak Napoleon najwidoczniej grał komedię, znaną równie dobrze dyplomatom, jak handlarzom starzyzny. Wprawdzie nie dał z różą Magdeburga. Ale gdy dawał z nią Warmję — o czem Hardy nie wspomina, — robił postanowione naprzód ustępstwo. Rzecz bardzo prawdopodobna, że postawił takie warunki, aby można je było potem nieco złagodzić.

Wogóle Hardy nie ma zmysłu politycznego i przecenia stosunki osobiste między „dynastami“. Były one w starym świecie szanowaną formą, ale tylko niekiedy rzeczywiście odgrywały rolę. W nowym świecie, reprezentowanym przez Napoleona, rola ich była jeszcze mniejsza. Dzięki genialnej intuicji Napoleon przejrzał grę monarszą i, odkąd po raz pierwszy jako wódz naczelny armji włoskiej — zresztą wychodząc poza swój zakres działania — zaczął prowadzić układy z panującymi, chętnie wysyłał pisma odręczne i odbywał osobiste rozmowy. Lecz była to nie ambicja parwenjusa, cieszącego się, że go monarchowie muszą traktować jako równego, lecz ambicja gracza, który siadł po raz pierwszy do grubej gry i chce pokazać, że mimo braku doświadczenia potrafi używać wszelkich sztuczek i fortelów, potrafi nawet ich subtelnością przewyższyć zgrane z sobą oddawna towarzystwo, potrafi wlot pochwyć i wyzyskać psychikę ludzi, widzianych po raz pierwszy w życiu.

Dlatego jest dużo wyspiarskiej naiwności w słowach, włożonych w usta Napoleonowi w A, IV, 1 po otrzymaniu opryskliwej odpowiedzi ministra angielskiego na pismo własnoręczne z propozycją pokoju, wystosowane wprost do króla.

Dzieje się to w chwili wypowiedzenia wojny przez Austrię w r. 1805, które daje Napoleonowi sposobność do zlikwidowania obozu pod Boulogne. Cesarz mówi:

*...My knock at George's door
With bland inquiries why his royal hand
Withheld due answer to my friendly lines,
And tossed the irksome business to his clerks,
Is thus perforce delayed.*

(Tak więc z konieczności zostaje odłożone moje zapukanie w drzwi Jerzego z uprzejmem zapytaniem, dlaczego jego królewska ręka nie raczyła, jak się godziło, udzielić odpowiedzi na mych przyjaznych kilka wierszy, i zepchnęła ten męczący obowiązek na pisarzy.)

Napoleon był pyszny, jak szatan, a nie próżny, jak dziecko. W każdym razie nie można go o taką próżność podejrzewać już w r. 1805. Pragnął w danej chwili pokoju z Anglią i bolała go treść odpowiedzi, a nie jej wzgardliwa forma, bolało pokrzyżowanie własnych planów, a nie złośliwość starego fanatyka królewskości. Zresztą jedno tak czy tak osiągnął — zepchnął odpowiedzialność za dalsze trwanie wojny na barki Anglii.

Hardy daje czasem Napoleonowi pewne przebłyski liwości. Oto krytyczny moment położu Marji Ludwiki (B, VI, 3). Lekarz Dubois pyta się cesarza, czy ocalić matkę, czy dziecko. Ten odpowiada bez namysłu:

*Then save the mother, pray. Think but of her;
It is her privilege and my command.*

(Więc, proszę, ocal matkę. Myśl tylko o niej, to jej przywilej i mój rozkaz.)

Przynoszą fałszywą wiadomość, że dziecko przyszło na świat nieżywe.

Napoleon:

*Praise Heaven for that!
I'll not grieve overmuch about the child...
Never she shall go through this strain again
To lay down a dynastic line for me.*

(Więc dzięki Niebu! Nie będę zbyt gryzł się dziećciem... Ona już nigdy nie będzie przechodziła tego bolesnego wysiłku, by dać początek mojej dynastji.)

Ma to być wedle intencji autora rys ludzki. Nie licuje jednak wcale z charakterem Napoleona — i tego z „Dynastów“ i tego z historii, — nie licuje z pojęciami, na których opierał się dynastyczny porządek świata. Rzecz jasna, że o ile zgodzimy się na ten porządek, życie jednej kobiety, choćby koronowanej, będzie drobnostką wobec życia dziecka, które chroni państwo od zamieszek i waśni, zapewnia spokój i bezpieczeństwo. Napoleona wyszydza natychmiast księżna Montesciou, mówiąc cicho do innej damy:

*He only says that now.
In cold blood it would be quite otherwise.
That's how men are.*

(On tylko teraz tak mówi. Na zimno byłoby całkiem inaczej. Otóż to tacy są mężczyźni.)

Budzi się podejrzenie, że chociaż Hardy dał swemu utworowi tytuł „Dynaści“, żądał od „dynasty“ kierowania się w każdym wypadku zasadami przeciętnego mężczyzny. Napoleon z pewnością pragnął przedewszystkiem syna. I słuszność miał Napoleon, a nie Hardy.

Bezpośrednio po tej rozmowie Duch Lat podszeptuje cesarzowi wspomnienie pani Walewskiej, a ten dziwi się, że ta właśnie w takiej chwili przychodzi mu na myśl:

*...That little one I loved in Warsaw days,
 Marie Walewska and my boy by her.
 She was shown faithless by a foul intrigue
 Till fate sealed up her opportunity...
 But what's one woman's fortune more or less
 Beside the scheme of kings!*

(Ta mała, którą kochałem za dni warszawskich, Marja Walewska, i syn, którego z niej miałem — nikczemna intryga przedstawiła ją jako niewierną, a czas położył pieczęć na szansach, jakie miała.. Lecz czemu jest szczęście jednej lub drugiej kobiety wobec monarszych planów?)

Hardy dodał ten monolog widocznie dlatego, aby stworzyć *pendant* do poprzednich słów Napoleona, tchnących dobrocią serca, aby dać do zrozumienia, że tkliwości cesarza dla żony nie należy brać zbyt serjo, bo to tylko chwilowy popęd, który wnet zostanie stłumiony, lub sztuczka, spleciona przez nerwy. Jakikolwiek zresztą były intencje autora, w drugim wypadku zbliżył on się bardziej do tego, co naprawdę cesarz mógł myśleć.

Moglibyśmy bezwzględnie potępiać ten sposób myślenia, gdyby „monarsze plany“ były same w sobie celem. Lecz zazwyczaj kryło się poza niemi coś więcej. Jałowa to rzecz roztrząsać historyczne możliwości. Pozostawiam więc czytelnikowi tej książki zastanowienie się nad tem, jak wyglądałyby dzieje Polski, gdyby Zygmunt August miał był syna.

IX.

Paru miejscom, służącym do zaznaczenia, że Napoleon przecież jest człowiekiem i ma pewne ludzkie struny w duszy, odpowiada długi szereg epizodów i rysów, służących do przedstawienia go zgodnie z angielską tradycją jako wyzutego ze wszelkich lepszych skłonności potwora, a równocześnie jako człowieka w gruncie rzeczy małego.

Zaraz w pierwszej części jest zjadliwa ironja w bezsilnych pogroźkach cesarza przeciw Anglii. Przy sposobności wyzyskuje Hardy tragedję admirała Villeneuve dla dowiedzenia, że dla Napoleona ludzie byli tylko pionkami, które w razie potrzeby poświęca się bez namysłu i skrpułów. Epizod zresztą jest naogół historycznie prawdziwy. Opanowany myślą wylądowania w Anglii, cesarz, jak niegdyś Antonjusz, przecenił bojową wartość swej floty. Villeneuve zdawał sobie sprawę z niższości francuskich okrętów i ich załóg w porównaniu z morskimi siłami Anglii, nie łudził się również co do hiszpańskich sprzymierzeńców. Unikał więc stanowczego starcia i schodził z drogi żadnemu boju Nelsonowi. Tym sposobem Francuzi nie mogli na 24 godzin zostać panami Kanału, więc Napoleon w swych instrukcjach smagał nieszczęsnego admirała szyderstwem i wyrzutami, aż Villeneuve postanowił bez względu na skutek mechanicznie spełnić wolę cesarza. Skutkiem tym był Trafalgar. W odmalowanym *con amore* obrazie bitwy Hardy przedstawia francuskiego admirała w szale zniszczenia. Villeneuve rozkoszuje się potwornym rozlewem krwi po obu stronach, rozkoszuje się artyleryjskiem piekłem w chwili, gdy dwa admirałskie kolosy zasypują się zbliska gradem ognia i żelaza. Niech Napoleon ma to, czego pragnął.

Nastrój nieszczęśliwego marynarza w czasie boju mógł być rzeczywiście taki. Lecz Hardy przemilczał przyczynę. Oto Villeneuve spodziewał się zwycięstwa, gdyż Nelson chytrze pokazał mu tylko część swych okrętów, a resztę trzymał poza horyzontem i wysunął naprzód dopiero w chwili, kiedy Francuzi i Hiszpanie już nie mogli uchylić się od przyjęcia bitwy. Przez pominięcie tego strategicznego szczegółu Hardy część odpowiedzialności za katastrofę trafalgarską zepchnął z bark Villeneuve'a na Napoleona.

Admirał francuski szukał śmierci. Lecz śmierć ma swoje kaprysy. Wołała skosić zwycięzcę, a zwyciężonego oszczędzić, aby mógł dosyta zakosztować upokorzeń niewoli angielskiej

i niełaski cesarskiej. Anglicy z gestem wspaniałomyślności, który po zniszczeniu flot nieprzyjacielskich i zupełnem opanowaniu mórz niewiele im robił różnicy, przywrócili wolność jeńcowi. Życie było dla niego udręczeniem i odebrał je sobie po krótkim czasie. Hardy kończy jego przedśmiertny monolog (A, V, 6) wykrzyknikiem, który jest zarazem oskarżeniem przeciw Napoleonowi i hołdem dla Anglii:

Ungrateful master; generous foes; farewell!

(Niewdzięczny władco, wspaniałomyślni nieprzyjaciele — żegnajcie!)

X.

Gdy byłem kilkunastoletnim chłopcem, dzieje wojen napoleońskich stanowiły moją ulubioną lekturę. Naturalnie więcej dbałem o opisy bojów, niż o wewnętrzną logikę wypadków. Nie zdawałem też sobie jeszcze sprawy z tego, że cały okres, nawet pojmovany strategicznie, posiada określony punkt zwrotny (najazd na Hiszpanję), logicznie wynikający z ewolucji charakteru cesarza. Odczuwałem, że Austerlitz i Jena to ostatnie bitwy, w których zwycięstwo było naprzód obmyślane i dzięki genialnym obliczeniom musiało nastąpić. W dalszych bojach — jak parokrotnie wyjątkowo we wcześniejszym okresie — uwydatnia się silnie działanie przypadku. W rozstrzygającej chwili pojawiają się trudności, których wielki wódz nie przewidział lub nie docenił. Okazuje się konieczność uzupełniania planu lub zmieniania go napoczekaniu, konieczność kupowania zwycięstwa drogo i coraz drożej. Wnet następuje pierwsza klęska (Aspern) — ze stratą 44 tysięcy ludzi i niebezpieczeństwem zagłady całej armji, — powetowana wprawdzie, lecz powetowana w morderczej walce, w której znów powodzenie wisało na włosku i która nie byłaby rozstrzygnęła wojny, gdyby nie małoduszność nieprzyjaciela. Dalej idą porażki na półwyspie Pirenejskim, gdzie działający wedle genialnie skreślonych ogólnych planów ce-

sarza marszałkowie nie umieją równie genialnie wypracować szczegółów lub w stanowczej chwili znaleźć jedyne strategiczne rozwiązanie, a swe dobre chęci zaznaczają głównie nieszczędzeniem materiału ludzkiego. Wreszcie nadchodzi fatalna wyprawa moskiewska, już naprzód oparta na błędnych kombinacjach, z okropnem Borodinem i jeszcze okropniejszym odwrotem, po niej pyrrusowe zwycięstwa i wielka klęska 1813 r., genialna *campagne en France*, w której jednak najszczęśliwsze manewry są dziełem chwilowego natchnienia, a niektóre plany zawodzą, wreszcie Waterloo, bitwa typowo obrazująca załamanie się wybornego planu wskutek trudności, które przynajmniej poczęści były do przewidzenia. Wytrwałość Wellingtona i jego piechoty Napoleon dobrze znał z walk hiszpańskich, a jeżeli przybycie na plac boju oddziału, który poprzednio ścigał Prusaków, stanowiło konieczny warunek powodzenia, trzeba było na czele tej rezerwy postawić innego człowieka.

Wyjaśnienie tego wszystkiego u Hardy'ego jest łatwe i proste, zbyt nawet łatwe i proste, aby mogło być w całości prawdziwe. Stanowi je postarzenie się Napoleona i wyczerpanie się jego genjuszu przy równoczesnem wzrośnięciu dumy i pewności siebie. Niewątpliwie jest coś w tem, ale są i przyczyny ważniejsze, tkwiące głębiej w duszy Napoleona.

Hardy tych przyczyn nie widzi i bierze rzecz czysto zewnętrzną. Wielokrotnie już zwracano przed nim uwagę na fizyczny wygląd Napoleona, który z pełnego ognia smukłego, choć niskiego, młodzieńca zaczął przedwcześnie zmieniać się w okrągłutkiego starszego pana. Hardy starannie to podkreśla — po raz pierwszy w B, I, 8, gdzie dowiadujemy się, że cesarz „wygląda dobrze, ale tyje“ (*looks well, but is growing fat*). Potem w Hiszpanji ogień oświeca jego „niezdrową twarz i grubiejącą figurę“ (*his unhealthy face and stoutening figure*)¹.

¹ Obie te wzmianki zestawil już H. C. Duffin.

Wogóle prawie od początku części II w stosunku autora do Napoleona coraz więcej ironji, coraz więcej wieszania Boney'go głową nadół. Wyolbrzymione jest stanowczo okrucieństwo względem Józefiny, której przeszłość można uważać za usprawiedliwienie bezwzględności cesarza. Hardy bezwiednie czy też tendencyjnie ignoruje wyższe pobudki rozvodu i sprowadza je do sofizmatów, pokrywających jedynie ambicję parwenjusza pragnącego za wszelką cenę zasiąść w zamkniętem kółku prawdziwych dynastów.

Rozmowa Napoleona z Józefiną (B, II, 6) utrzymana jest w tonie brutalnym. Cesarzowa wypomina mężowi p. Walewską. — „To była przygoda, trwająca przez tydzień, słów niewarta. Mówię, że idzie o Francję“, odpowiada Napoleon — i zaczyna się dyskusja ginekologiczna. Józefina broni się od zarzutu bezpłodności przypuszczeniem, że może to nie ona nie może mieć dzieci, lecz cesarz. Odpowiedź brzmi: „Polska dama, której nazwisko spodobało ci się wymienić, dowiodła, że błąd nie po mojej stronie“. Myśl ta wraca raz jeszcze w chwili, gdy cesarz definitywnie oznajmia Józefinie o rozwodzie (B, V, 2): „Pamiętaj, że p. Walewska miała syna i gdyby, biedne, głupiutkie stworzonko, była okazała spryt równy twojemu, mógłbym być zająć miejsce jej zwiędłego męża i zrobić jej chłopca swym dziedzicem...“ To ustawiczne mówienie kobiecie o dziecku, które miało się z drugą, jest jeszcze wstrętniejsze od zdrady małżeńskiej.

Początek części III przynosi wojnę rosyjską. Obraz, jaki tu Hardy rzuca na swe płótno, i wrażenie, jakie wywołuje, są potężne. Coprawda, używa w tym celu niezmiernie sztucznych środków, przedewszystkiem swego aparatu nadnaturalnego, o którym trzeba już tu w traćć parę słów wyjaśniających.

Hardy połączył kalwinistyczny determinizm z ateizmem nowoczesnym, objawiającym się z potworną niekonsekwencją w ujemnem przedstawianiu Bóstwa, którego istnieniu się przeczy. Malowano Je już nieraz jako potęgę złą, Hardy dla odmiany zrobił z Niego potęgę — głupią. Nazwał swego Boga

„Nieświadomą Pierwszą Przyczyną“ lub „Immanentną Wolą“ i kazał Jego nieodpowiedzialność za okrutne rządy komentować chórowi duchów — z jednej strony Litosnych (*Spirits of the Pities*), z drugiej Ironicznych (*Spirits Ironic*) i Nieczystych (*Spirits Sinister*). Ponad wszystkimi stoi stary Duch Lat, który im ustawicznie wyjaśnia ukryte znaczenie przedstawianych wypadków, a raczej brak w nich wszelkiego znaczenia i związku.

Jesteśmy nad Niemnem i słyszymy proklamację Napoleona, wkraczającego w dzierżawy rosyjskie. Echo przynosi proklamację carską. Zaczynają przewijać się przed oczyma kolumny olbrzymiej armji, ożywionej pewnością siebie i nadzieją rychłego zwycięstwa. Duch Litości jednak, spojrzawszy w przyszłość, widzi wracającą garść szkieletów. Pyta „Dlaczego?“ Duch Lat odpowiada mu: „Pokażę ci, dlaczego“. I następuje uwaga sceniczna:

The unnatural light before seen usurps that of the sun, bringing into view, like breezes made visible, the films, or brain-tissues of the Immanent Will that pervade all things, ramifying through the whole army, Napoleon included, and moving them to Its inexplicable artistries.

(Nadnaturalne światło widziane już poprzednio¹, zastępuje światło słoneczne, czyniąc widocznymi nici tkanek mózgowych Immanentnej Woli, które nawskroś przechodzą przez wszystko, rozgałęziając się po całej armji — bez wyłączenia Napoleona — i popychając ją ku swym nie dającym się wyjaśnić artystycznym pomysłom.)

Cóż dziwnego, że kto tak umie szydzić z Boga, szydzi z Napoleona? Bezpośrednio po tej przygrywce do moskiewskiej tragedji następuje monolog cesarza, będący jakby ziemskim echem rozmowy duchów i potwornej ilustracji świetlnej:

¹ T. j. w scenie wstępnej (A).

Why am I here?

By laws imposed on me inexorably...

...Well, war's my trade.

(Dlaczego jestem tu? Dzięki prawom, nieubłaganie mi narzuconym...
No, no, wojna to moje rzemiosło.)

I Napoleon zaczyna sobie śpiewać starą francuską piosnkę „*Marlborough s'en va-t-en guerre... Ne sait quand reviendra*“, a Duch Nieczysty nuci mu do ucha dalszą zwrotkę: „*Monsieur Marlborough est mort... Est mort et enterre*“. Marlborough umarł i pochowany — oto los zwycięzców i triumfatorów.

XI.

Tragedja Napoleona, pojęta płytko i tendencyjnie, staje się jednak w części trzeciej niezmiernie efektowną. Ten silny człowiek, dla którego własna wola jest jedynym prawem, czuje jednak na każdym kroku, że jest igraszką w ręku siły wyższej. Ustawicznie dręczą go złe przeczucia. Choć milczy, czujemy, że walczy z niemi i wyczerpuje się w tej walce. Szkoda tylko, że tę tragiczną sytuację szpecą co chwila grube, karykaturalne pociągnięcia pendzla Hardy'ego.

Jest faktem autentycznym, że Napoleon przed bitwą pod Borodinem kazał przed swym namiotem umieścić obraz synka, bawiącego się balonem, który przedstawiał kulę ziemską. Był to zapewne nietyle akt szatańskiej pychy, ile obliczony na silne działanie akt kuglarstwa ubóstwianego wodza. U Hardy'ego jest naturalnie tylko tem pierwszym, a dla efektu bezpośrednio potem widać w oddali procesję popów, przybywających z cudownymi ikonami do rosyjskiego obozu, i Napoleon bluźnierczo szydzi z naiwnej wiary cara i muzyków:

...I laugh
*That men can be so grossly logicless,
 When war, defensive or aggressive either,
 Is in its essence Pagan, and opposed
 To the whole gist of Christianity.*

(Na śmiech mi się zbiera, że ludzie mogą być tak grubo nielogiczni, skoro wojna, czyto obronna, czy najeżdża, jest w swej istocie pogańska i przeciwna całej istotnej treści chrześcijaństwa.)

To postawienie narówni wojny obronnej ze zdobywcą spotkamy u Bernarda Shaw w *Back to Mathuselah* — zwracam uwagę na cytaty w odnośnym szkicu. Ale Shaw wypowiada własne zdanie, powstałe na tle nowoczesnego pacyfizmu, który w swej dziecinnej czy obłąkańczej konsekwencji doszedł do etycznego bluźnierstwa. Hardy takie bluźnierstwo podsuwa tylko Napoleonowi. Jest rzeczą jasną, że mówi zbrodniczy bohater, a nie autor, który i w samych „Dynastach“ nie bez pewnego sentymentu przedstawił przygotowania do obrony Anglii na wypadek inwazji, i, jak widzieliśmy, w r. 1914 solidaryzował się ze swą ojczyzną. Ale Napoleon nie mógł myśleć tak, jak odzywa się u Hardy'ego, a jego wojna z Rosją nie była ani czysto najeżdżą, ani wyłącznie przez niego wywołaną.

Niesłychaną złośliwością jest kazać Napoleonowi mówić, że uspokoi Paryż po klęsce moskiewskiej, kazać pozłocić kopułę Inwalidów, i wogóle kazać mu lekceważyć sobie okropne straty. Marja Ludwika słucha wieści o katastrofie ze zgrozą, lecz mąż tłumaczy, że to rzecz śmieszna, „jakkolwiek się na nią zapatrywać“. „Jakto?“, pyta Marja Ludwika, „A tych sześćset tysięcy ludzi? Śmieszne? Możeż to być śmieszne, mój drogi, dla — powiedzmy, dla ich matek?“ (C, I, 12).

Napoleon zwolna zaczyna robić wrażenie ośłupiałego i odrętwiałego. W chwili, gdy Poniatowski i Macdonald z trudem zasłaniają odwrót z pod Lipska, a on czeka na konia, śpiewa sobie znów piosnkę o Marlborough'u.

Bohaterską, genialną *campagne en France* Hardy zupełnie pomija. W C, IV, 1 widzimy wkraczające do Francji zastępy sprzymierzonych, a już w następnej scenie jesteśmy w Paryżu, zagrożonym zajęciem przez nie.

Naprawdę bezlitosnym i nierycerskim policzkiem dla pokonanego i dawno pogrzebanego wroga Anglii jest scena w Fontainebleau po abdykacji (C, IV, 4). Cesarz wygląda tu już zupełnie, jak lew z bajki La Fontaine'a, którego najlichsze zwierzęta biją i kopią. Poprzednio uczyła go ludzkości austriacka gąska, teraz przychodzi kolej na Rustana, który daje swemu panu lekcję wschodniej pogardy życia. Wchodzi do niego, ostrząc na pasie kindżał, i pyta się, czy Napoleon sam się przebije, czy on go ma przebić. Napoleon oświadcza, że nie ma zamiarów samobójczych. Na to Rustan: „Jakto, nie chcesz, Sire? Możesz choć przez chwilę wieść nędzne życie w takich warunkach? Zabij mnie tą bronią lub mnie odpraw“. I Rustan podaje Napoleonowi kindżał, lecz ten przecząco potrząsa głową, a Mameluk mówi: „Nie będę dłużej żył w podobnej hańbie“ i „wyniośle odchodzi“ (*Exit Roustan haughtily*).

To jednak nie koniec, to raczej dopiero początek. Napoleon rzuca się na sofę i zasypia. Zbudziwszy się, zażywa trucizny, lecz albo dawka jest za mała, albo środek lichey — i Hardy nie może odmówić sobie przyjemności przedstawienia jednego z największych ludzi świata, szukającego śmierci, a znajdującego zamiast niej... wymioty.

W C, IV, 6 widzimy znów zdetronizowanego władcę, jak jedzie przez okolicę Awinjonu na Elbę. Lud chce go wyciągnąć z karety i zgładzić, więc komisarze koalicji muszą uspokajać wzburzony tłum, a jakaś stara kobieta, co straciła w Rosji dwóch synów, woła: „Kto nam zaręczy, że ten łotr nie wróci?“

Ale koroną znęcania się nad Napoleonem jest Waterloo. Może to drażnić, ale, o ile zostawimy na boku koncepcję, trudno nie przyznać, że wykonanie jest świetne. Niejedno-

krotnie twierdzono, że do klęski Napoleona przyczynił się licheski stan jego zdrowia. Hardy podkreśla to raz za razem, równocześnie jednak przedstawia cesarza, dręczonego ustawicznie wyrzutami sumienia z powodu przelanego morza krwi.

W C, VI, 3 Napoleon dostaje list, podpisany nazwiskiem księcia d'Enghien. Zasypia jednak — ma zaledwie krótką chwilę na odpoczynek przed bitwą. Lecz duchy czuwają. Duch Ironji mówi:

A little moral panorama would do him no harm, after that remind of the Duke d'Enghien. Shall it be, young Compassion?

(Malańka panorama moralna doskonaleby mu zrobiła po tem przypomnieniu księcia d'Enghien. Czy dobrze, młode Współczucie?)

Zwraca się do Ducha Litości, który zgodnie ze swą rolą odpowiada:

What use if that old Years tells us be true?

(Poco, jeżeli to, co nam mówi stary Duch Lat, jest prawdą?)

Lecz Duch Ironji nie rezygnuje z „malańkiej panoramy moralnej“ i następuje wizja. Setki tysięcy szkieletów wstają z pobojuwisk, a d'Enghien występuje jako reżyser (*showman*) widowiska. Napoleon broni się przez sen tą samą fatalistyczną doktryną, którą głosi Hardy i na którą przed chwilą powołał się Duch Litości:

Why, why should this reproach be dealt me now?

Why hold me my own master, if I be

Ruled by the pitiless Planet of Destiny?

(I czemuż, czemuż teraz czynią mi ten zarzut? Czemu uważać mnie za pana siebie samego, skoro rządzi mną bezlitosna planeta przeznaczenia?)

Napoleon Stu Dni nie jest u Hardy'ego tem, czem był poprzednio. Co chwila zasypia, nawet na koniu i w czasie, gdy dokoła wre najgorętsza walka. W takim momencie śni

mu się Lannes, którego bohaterskiej postaci poza tem wcale nie spotykamy w „Dynastach“. Mówi:

What — blood again? Still blood?

(Co, znowu krew? Jeszcze krew?)

Hardy zapewne dlatego użył tu postaci Lannes'a, że wedle niektórych źródeł pod Aspern śmiertelnie ranny marszałek miał Napoleonowi czynić zarzut, iż wszystko i wszystkich poświęca swej ambicji. Ale jest to zapewne tylko plotka historyczna, a o wiele prawdopodobniejszą wersję owej rozmowy podam na innym miejscu.

W chwili ostatecznej rzezi wkłada Hardy w usta Napoleonowi rozpaczliwy okrzyk na cześć Anglii.

They are crushed! So it has ever been since Crécy!

(„Zmiażdżeni!“ — zapewne stara gwardja. — „Tak to zawsze było od czasu Crécy!“ — mowa o wielkiem zwycięstwie Edwarda III nad Francuzami w r. 1346).

W ostatniej scenie wreszcie (C, VII, 9) widzimy pobitego mocarza, uciekającego przez las Bossu i drzemiącego na koniu. Budzi się jednak co chwila. Duch Lat mówi mu do ucha: „Tak to Wola tobą poruszała do ostatka“, a Napoleon odpowiada: „Zawszem to wiedział“. Byłoby to poważne i podniosłe zakończenie ziemskich scen utworu, lecz Hardy ma jeszcze w rezerwie Ducha Ironji i ten musi zabrać głos:

*Nothing I care for these high-doctrined dreams,
And shape the case in quite a common way,
So I would ask, Ajaccian Bonaparte,
Has all this been worth while?*

(Nic nie dbam o te senne marzenia górnolotnej doktryny i kształtuję sobie całą sprawę po codziennemu. Pozwól mi spytać się, Bonaparte z Ajaccio, czy to wszystko było warto?)

Ów epitet *Ajaccian*, zniżający cesarza Francuzów i zdobywcę napowrót do poziomu Korsykanina z niewielkiej mie-

ściny, brzmi w ustach zjadliwego ducha niezwykle efektownie. Brak tylko jeszcze w nazwisku złośliwej pisowni (a więc i wymowy) zwolenników *ancien régime* — Buonaparte... Zdaje się, że Hardy byłby lepiej zrobił, oszczędzając Napoleonowi tego ostatniego kopnięcia.

XII.

Zgodnie z ujęciem tematu jako wojny Napoleona z Anglią Hardy przeciwstawił mu dwóch angielskich bohaterów narodowych. Nelson jednak jest z natury rzeczy postacią epizodyczną. Poeta niewiele miał tu do dodania. Już sama historia i tradycja przekazały mu dosyć. Nelson w „Dynastach“ jest niestrudzonym i nieustraszonym bojownikiem patriotycznego obowiązku.

Ograniczenie tematu wyrzucało poza nawias niebezpieczną sprawę neapolitańską i niema o niej wzmianki. Wogóle Hardy w tym jednym wypadku powstrzymał się od wszelkich rysów ujemnych i od ironicznych uwag — przynajmniej pod adresem samego Nelsona.

Scena śmierci admirała ma w sobie dużo wielkości. Ostatnie jego słowa są:

I'm satisfied. Thank God, I have done my duty.

(Jestem zadowolony. Dzięki Bogu, spełniłem swą powinność.)

O ile mi wiadomo, Hardy jest w zgodzie z prawdą historyczną. Ale istnieje i druga wersja, zdaje się, fałszywa, ale charakterystyczna i efektowniejsza. Admirał miał skonać ze słowami: „Wieczorem niech okręty staną na kotwicy“. Rozkaz wodza jest czynem, więc gdyby Hardy był poszedł za tą wersją, byłby silnie zaznaczył, że Nelson umarł w samej chwili czynu.

Bardzo silne wrażenie robią wyrazy, którymi kapelan okrętowy oznajmia o jego zgonie:

*Yes... He has homed where
There's no more sea.*

(Poszedł do domu tam, gdzie już niema morza.)

Natomiast poeta włożył w usta umierającego jedną ze swych wycieczek przeciw Anglii. W przeciwieństwie do szyderstw pod adresem postaci historycznych wycieczki te są stosunkowo nieliczne. Zato odznaczają się piekielną złośliwością.

Wiadoma rzecz, iż Nelson rzucił był rękawicę angielskiej opinii publicznej swym stosunkiem z Lady Hamilton, kobietą z ludu, splamioną brudem londyńskiej ulicy, ale dzięki swej cudownej urodzie i innym zaletom zewnętrznym, wyniesioną przez angielskiego posła w Neapolu do wyższej sfery towarzyskiej. Mimo całego uwielbienia dla zwycięzcy z pod Abukiru i Trafalgaru Anglija nie wybaczyła mu nawet po śmierci i pomściła się na jego ukochanej, która zresztą — dodać należy — wywierała na bohatera wpływ jak najgorszy. Nelson adoptował ją w testamencie. Społeczeństwu wydało się rodzajem pozagrobowego kazirodztwa, aby kochanka była wobec prawa córką kochanka. Z drugiej strony uważano ostatnią wolę admirała za krzywdę, wyrządzoną jego żonie i prawym potomkom. Obalono więc testament i nieszczęsna Emma spędziła długą swą starość w dotkliwej nędzy.

Hardy wypomina to swej ojczyźnie w aluzji tem silniej działającej, że krótkiej i dyskretnej, która nawet łatwo może ująć uwagi powierzchownego czytelnika. Umierającemu admirałowi przychodzi na myśl Emma, ale jest o nią spokojny, sądzi, że zapewnił jej dobrobyt i poszanowanie:

*Now she rests
Safe on the nation's honour.*

(Teraz honor narodu daje jej zabezpieczenie.)

Trudno o silniejszy policzek...

XIII.

Wellington jest stanowczo wyolbrzymiony. Wódz, którego Heine nazwał drewnianym bohaterem, który genjuszowi przeciwstawił tylko żelazną wolę, pedantyczną dyscyplinę i metodyczność, stoi tu obok Napoleona, jak równy obok równego. Od połowy części II Hardy poświęca mu tyle miejsca, co cesarzowi. Ustawicznie wraca do Hiszpanji. Talavera, Torres Vedras, Albuera stoją, jak groźne *memento* obok Wagram oraz scen, przedstawiających narodziny króla rzymskiego. W części III Salamanka i Vittoria, postawione obok okropności odwrotu z pod Moskwy, mówią wyraźnie, że gdy w rosyjskich śniegach i lodach, o setki mil od Francji ginie wielka armja, z południowego zachodu zbliża się ku granicom wróg nieubłagany.

Potem, wiedziony trafnym instynktem artystycznym, Hardy usuwa swego bohatera za scenę. Nie słyszymy o nim przez dłuższy czas nic. Na pierwszym planie jest oplwany pogardą Rustana i napiętnowany przekleństwami francuskich matek Napoleon.

Aż nadchodzi Sto Dni i dwaj protagoniści dziejowego dramatu stają z sobą oko w oko. Hardy raz jeszcze zaznacza, że traktuje ich jak równych, zwracając uwagę, iż obaj mają po lat 46. I następuje w szeregu równoległych scen z obu frontów ściśle przeprowadzone porównanie, które wypada stanowczo na korzyść Wellingtona.

Napoleon podejrzewa swych najdzielniejszych jenerałów o zdradę, czy o złą wolę, nie umie utrzymać na wodzy nerwów, ulega wyczerpaniu, objawiającemu się snem, i okłamuje armję, gdyż wie, że nadciągające oddziały to Prusacy, a głosi, że to Grouchy. Wellington okazuje żelazną wolę i odporność nerwów. Niegdyś Addison, pisząc panegiryczny poemat, mający wzmocnić stanowisko gabinetu, porównał drugiego wielkiego wodza Anglji z aniołem, co kieruje z woli Bożej straszliwą burzą i zachowuje zupełny spokój wśród ogólnego

chaosu i klęski. Takie wrażenie robi przez długi czas Wellington pod Waterloo. Lecz Hardy widocznie uznał potrzebę zaznaczenia, że i ten nie jest wyjątkiem, że jest marionetką w ręku Nieświadomej Pierwszej Przyczyny.

W czasie, gdy front angielski trzyma się tylko dzięki nadludzkim wysiłkom, Duch Litości odzywa się o Wellingtonie:

*The hour is shaking him, unshakable
As he may seem.*

(Ta godzina wstrząsa nim, jakkolwiek mógłby się zdawać niewzruszony).

Lecz Duch Lat odpowiada surowo:

*Know'st not at this stale time
That shaken and unshaken are alike
But demonstration from the Back of things?*

(Czyż po tylu wiekach niewiadomo ci, że to, co stoi mocno, i to, co daje się wstrząsnąć, jednakowo są tylko zewnętrznymi objawami Odwrotnej Strony Wrzechrzeczy?)

I znowu następuje demonstracja:

„Jak w dawniejszych scenach, znów całe widowisko staje się przeczystem i nacisk Immanentnej Woli widomy na każdym miejscu. Tkanina, która łączy pozornie oddzielne postaci, obejmuje swemi splotami pośród innych także Wellingtona i ukazuje go działającym, jak oni, dopiero, gdy odkryje w sobie zamiar działania“ (a więc nie wedle powziętego naprzód planu). „Przy mętnej świetle twarze w każdym szeregu, czworoboku, grupie i kolumnie ludzi, tak Francuzów, jak i Anglików, mają wyraz uśpionych“.

Duch Litości odzywa się drżącym głosem:

Yes, sir I see. Disquiet me, pray, no more.

(Tak, panie, widzę. Już mnie nie niepokój, proszę.)

Zaraz „dziwne światło znika i wydaje się, że uszykowane wojska posiadają ruch samoistny, jak zwyczajnie“.

Dla uzupełnienia tej sceny widzimy wkrótce potem

Wellingtona zobojętniałego na wszystko i, jak Napoleon, odrętwiałego wśród piekła bitwy. Żądającym posiłków odmawia i każe ginąć, walcząc do ostatka, a gdy granat pękł koło niego i generał Hill zwrócił mu uwagę, aby cofnął się na mniej widoczne miejsce, nie chce tego zrobić :

*I know, I know. It matters not one damn!
I may as well be shot as not perceive
What ills are raging here.*

(Wiem, wiem. Nie robi to różnicy więcej, niż jedno „Niech cię djabli“. Mogą mnie zastrzelić. Nie będą widział szalejących wkoło okropności.)

Wizerunek Wellingtona nie jest jednak tak świetlany, jak szkicowy portret Nelsona w części I. Hardy nie mógł odmówić sobie wypowiedzenia przez usta Ducha Ironji jednego przynajmniej zarzutu. W nieco wcześniejszej scenie (C, VII, 4), gdy Ney na czele kirasjerów uderza raz za razem na angielskie czworoboki i, odparty, formuje szwadrony do nowej szarży, Wellington nie może wstrzymać się od słów podziwu, nazywając go najświetniejszym wodzem kawalerji na świecie. Tu nieubłagany Duch Ironji wtrąca :

*And when that matchless chief
Sentenced shall lie to ignominious death
But technically deserved,¹ no finger he
Who speaks will lift to save him.*

(A gdy ten niezrównany wódz skazany będzie na śmierć niesławną, zasłużoną wedle litery prawa jedynie, ten, co to mówi, nie ruszy palcem, aby go ocalić.)

XIV.

Przejdźmy teraz do postaci monarchów. Najlepszą z nich i, zdaje się, najlepszą wogóle postacią całego utworu jest

¹ Warto zwrócić uwagę na fatalną prozaiczność tego zwrotu. I o samą rzecz możnaby się sprzeczać.

Jerzy III, ów dynasta, o którym współcześni wydawali najsprzeczniejsze sądy. Za życia wyszydzał go „Piotr Pindar“,¹ bezpośrednio po zgonie apoteozował niezgrabnie Southey, wywołując piekielnie złośliwą „Wizję sądu“ Byrona, pełną pogardy dla zmarłego króla. Hardy obszedł się z nim bez porównania życzliwiej.

Zresztą łatwo zrozumieć, dlaczego i Hardy'emu samemu powiodło się w tym wypadku lepiej, niż gdy miał do czynienia z kolosami dziejów, szczególnie z nadludzką postacią Napoleona. Szło tu tylko o przeciętnego człowieka, którego potworne cierpienia musiały mimo wszystkich jego słabości i manij budzić litość.

Charakterystyka króla zasługuje na tem większe pochwały, że spotykamy się z nim tylko dwukrotnie. W A, IV, 1 zaakcentowany jest przede wszystkim dynastyczny pogląd na świat Jerzego, który używa zwrotu *Our just crusade against this Corsican* (Nasza sprawiedliwa krucjata przeciw temu Korsykaninowi), a potem nawet daje wierze w swe posłannictwo upust w jeszcze charakterystyczniejszych wyrazach :

*I read it as a thing
Of signal augury, and one which bodes
Heaven's confidence in me and in my line,
That I should rule as King in such an age...*

(Uważam za rzecz o wadze przepowiedni, za rzecz, świadczącą o zaufaniu Niebios do mnie i do mego rodu, że władam jako król w takich czasach.)

O Napoleonie Jerzy wyraża się :

*This vily bombardier of dynasties
That rule by right divine...*

(Ten niecny niszczyciel — dosłownie : bombardjer — dynastji, rządzących dzięki prawu, danemu przez Boga.)

Istnieje karykatura współczesna, przedstawiająca Jerzego III, jak z wysiłkiem i w pocie czoła obraca toczydło, na którym Pitt ostrzy jeden sztylet po drugim. Ale w rozmowie

¹ Pseudonim poety Wolcota.

tych dwóch ludzi obaj okazują równą zawziętość. Król ma nawet więcej zapału, niż minister, znużony niepowodzeniami, zdający sobie sprawę z ciężkiego położenia, a nie dzielący naiwnej wiary w opiekę Opatrzności nad dynastjami. Naturalnie wiarę tę wyzyskał Hardy, aby ją skonstrastować ze swą teorią o Nieświadomej Pierwszej Przyczynie.

Pitt słucha spokojnie słów króla. Nie przeczy jego sprzecznym z konstytucją poglądom. Nie szkodzą mu one nic, póki zwracają się w kierunku, który uważa za zgodny z interesem państwa. Ale gdy zniechęcony i podupadający na zdrowiu minister mówi, że z ochotąby ustąpił, a wtedy stanowisko jego mógłby objąć przywódca opozycji Fox, Jerzy odzywa się nagle :

Rather than Fox, why, give me civil war!

(Co, Fox? Ha, lepiej wojna domowa!)

Tu już Pitt miesza się i jąka — widać, że wstydzi się za króla, a równocześnie wie, że napróżno starałby mu się wytłumaczyć, iż jednak lepszy Fox od wojny domowej, a zresztą, że jeżeliby parlament złożył władzę w ręce Foxa, to królowi nie wolno się sprzeciwić.

Koniec tej sceny dodaje jeszcze jeden wyborny rys do charakterystyki Jerzego. Oto monarcha w swej sumienności „interesuje się wszystkim, co bawi jego poddanych“. Wyznacza więc nagrodę dla zwycięzcy w walce na kije i ma być obecny przy dziwacznej rozrywce, którą już na sto lat przedtem wyszydzał był *Spectator*. Jest to t. zw. *grinning match*. Współzawodnicy, patrząc na siebie przez chomąta, wyszczerzają zęby i robią możliwie najobrzydliwsze miny. Kto dłużej wytrzyma, wygrywa. Jerzemu musiała ułatwiać udział w tych chamskich dzieciństwach własna niska kultura estetyczna. Żył w czasie rozkwitu literatury i malarstwa w Anglii, ale najbardziej lubił właśnie stare barbarzyńskie zabawy ludowe.

Drugi raz spotykamy się z królem pod koniec części II (VI, 5). Był przez kilka miesięcy obłąkany i jeszcze niezupełnie

przyszedł do siebie. Scena jest niesłychanie tragiczna i mieści szereg reminiscencyj elżbietańskich, szczególnie szekspirowskich. Jerzy prosi lekarzy, aby zaniechali puszczenia krwi, przed którym czuje niewypowiedziany lęk. Przypomina się przedśmiertna trwoga Edwarda II u Marlowe'a. Duch Litości jest wzruszony i, jak zwykle, Duch Lat musi go strofować:

*Mild one, be not too touched by human fate.
Such is the Drama, such the Moral state.
No sigh of thine can null the Plan Predestinate.*

(Nie rozczulaj się zbytnio nad losami ludzkiemi, ty łagodne stworzenie. Taki jest ten dramat, taki moralny porządek rzeczy. Twoje westchnienia nie mogą unicestwić naprzód postanowionego planu.)

Hardy albo świadomie zużytkował tu motywy, towarzyszące cierpieniom królów w paru dramatach elżbietańskich, albo użył ich bezwiednie dzięki kojarzeniu wyobrażeń. Jerzy oburza się, że gdzieś w pobliżu gra muzyka — Ryszard II w więzieniu skarżył się, że pod wpływem muzyki wpadnie w obłąkanie. To znów Jerzy nie może pocieszyć się po stracie księżniczki Amelji, przypominając boleść Leara nad zamordowaną Kordelją.

Są jednak w tej scenie i myśli, pozostające w związku z tytułem. Satyryczną wycieczką przeciw idei dynastycznej jest miejsce, w którym królowi donoszą, że wygrał bitwę pod Albuerą. Pomysł musi działać silnie na każdego, kto w czasie wojny światowej wciąż czytał i słyszał o różnych „najwyższych wodzach“, o ich inspekcjach frontu i o operacjach, wykonywanych pod ich osobistym kierownictwem. Hardy silnie potępia te błazeńskie obyczaje przez usta swego obłąkanego króla, który wpada w straszne oburzenie. Ktoś z obecnych dodaje na stronie: „Daję słowo, wydaje się, że warjat ma tu najzdrowsze zmysły“ — wykrzyknik ten ma szereg odpowiedników u Szekspira.

W dalszym ciągu sceny król dostaje szału. Uspokoiwszy się, przeprasza i mówi dalej rozsądnie. Sprawy państwowe nie

dają mu spokoju. Lecz Hardy, jakby wzruszony obrazem nie-szczęścia, który stworzył, wkłada mu w usta już tylko rozsądne i szlachetne słowa. Jerzy boleje nad poległymi i czyni sobie wyrzuty, że swym nierozsądnym uporem wymógł postawienie na czele ekspedycji holandskiej starszego brata Pitta, lorda Chatham. Jak wiadomo, przedsięwzięcie to skończyło się dzięki niedołęstwu wodza katastrofą bez walki pod Walcheren, gdzie większość bezczynnego wojska wymarła wskutek trudów i zaraźliwych chorób. Hardy już poprzednio (B, V, 1) wypowiedział był swe zdanie o tej wyprawie przez usta Napoleona: „A jednak przedsięwzięcie było dobrze obmyślane, pomysł pełen wielkości i wyobraźni“, tylko przeznaczenie Anglików sprawiło, że „oddali ster idjocie“.

Sympatje Hardy'ego w tej drugiej scenie, w której występuje Jerzy, są stanowczo po stronie króla. Natomiast poeta charakteryzuje lekarzy jako istoty pozbawione serca, każąc im układać plany wieczornej zabawy w Londynie — rzecz bowiem dzieje się w Windsorze.

XV.

Jerzy III wyszedł stosunkowo dodatnio. Natomiast ile razy pojawi się na scenie księżę regent, późniejszy Jerzy IV — a Hardy wyprowadza go na nią z lubością, — rzecz można, stoi ustawicznie pod pręgierzem. Napoleon był zbrodniarzem, ale wielkim zbrodniarzem. Księżę jest łotrem małym i godnym pogardy.

O występem jego życiu dowiadujemy się naprzód w B, II, 3, lecz tu jest zużytkowane głównie dla napiętnowania angielskiej obłudy. Dwaj hiszpańscy grandowie przybyli prosić o pomoc przeciw Napoleonowi i jawią się na dworze. Jeden z nich zobaczył panią Fitzherbert i pyta się naiwnie, czy to księżna Walji. Naturalnie obcy posłowie, mający do załatwienia sprawy pierwszorzędnej wagi, są zwykle naprzód poinformowani o stosunkach i ostrożniejsi. Hardy to

z pewnością wiedział, ale nie chciał wyrzec się efektu. Po otrzymaniu wyjaśnień jeden z Hiszpanów mówi: „Nie jesteście w Anglii świętsi, niż my w Hiszpanji“, a kapitan Bagot potakuje: „Tylko wy grzeszycie z odkrytymi twarzami, my w maskach“. Don Diego de la Vega kładzie kropkę nad *i* pół naiwnym, pół cynicznym wykrzyknikiem: „O cnotliwy kraju!“

Widzimy stale regenta uczującego w kole pochlebców i hulaków. Jednym z nich jest komedjopisarz Sheridan, przedstawiony bardzo ujemnie. Na urodzinowym obiedzie u księcia (B, IV, 7) gospodarz nie wie, jak zacząć toast, więc usłużny Sheridan podszeptuje mu pierwsze słowa i nieszlachetnie chwali się tem przed pewnym lordem, dając cynicznie do zrozumienia, że mu się to opłaca.

W tej scenie jeszcze nie poznajemy księcia bliżej. Tylko bankiet skonstrastowany jest z poprzednią (Talavera) i z następną (Walcheren), a już wśród biesiadnej wrzawy mówi Duch Litości, że jakiś jęk doleciał z oddali — i wnet następuje dantejski obraz ginącej armji z ponurą pieśnią duchów, które mówią w imieniu nieszczęsnych żołnierzy: „Mogliśmy walczyć i gdybyśmy zginęli, zginęlibyśmy lepiej, choć nawet i w tym obcym nam sporze dynastów. Przynajmniejby ktoś spytał o naszą śmierć...“ Następują nieodzowne uwagi Ducha Litości i upomnienia Ducha Lat.

Drugi bankiet u księcia Walji następuje po owej okropnej scenie windsorskiej. W chwili, gdy stary król miota się w straszliwych boleściach, tłumy gości zdążają do rzeźwiście oświetlonego Carlton House, do jego syna. Lecz w dwóch cichych pałacykach usychają w zgryzocie dwie porzucone żony — Karolina Brunszwicka i Mrs. Fitzherbert. Na wieść, że księżę ma nową kochankę, obie w przebraniu udają się na ucztę, wchodząc ukradkiem przez boczne drzwi, któremi zwykle służba wpuszcza „damy niewyraźnej opinji“.

Po tem przygotowaniu Hardy ukazuje nam regenta, „otoczonego stu czterdziestu najserdeczniejszymi przyjaciółmi“

(*surrounded by his 140 particular friends*). Duch Ironji puszca w kurs fałszywą wieść o śmierci Jerzego III. Sheridan natychmiast podnosi się z krzesła z pełnym kielichem — „Niech żyje król!“ Lecz jak szekspirowski Antonjusz, otrzymawszy list, że jego żona umarła, pyta się „Możeż Fulwja umrzeć?“, tak ksiązę regent nie chce uwierzyć swemu szczęściu:

Damn me though; can it be true?

(Niech mnie djabli wezmą, czy to jednak może być prawda?)

I nietylko wieść o zgonie ojca okazuje się mylną; ale jeszcze ksiązę spostrzega, że obie jego żony są na sali. Robi mu się coraz nieprzyjemniej, narzeka na gorąco i każe sobie prędko podać kieliszek wódki, gdyż obawia się zemdlenia. Dickens aplikował swym łotrom lanie za pośrednictwem swych sympatycznych, a silnemi mięśniami obdarzonych młodych ludzi. Hardy woli stosować katusze moralne.

Powtarza to w C, IV, 8. W Londynie bawią Aleksander I i inni monarchowie. Nastrój po wysłaniu Napoleona na Elbę jest wesoły. Odbywa się w operze uroczyste przedstawienie. Właśnie gdy dostojni goście rozglądają się po sali, do przeciwnej loży wchodzi księżna Walji. Publiczność wita ją rześystemi oklaskami, ona jednak wypowiada charakterystyczne słowa: „Żona Puncta nie liczy się, gdy sam Punct jest obecny“ — a wiadomo, że w popularnych widowiskach angielskich hulaka i awanturnik Punct znęca się nad żoną i ostatecznie kark jej kręci.

Gdy monarchowie kłaniają się komuś innemu, księżna przez pomyłkę oddaje ukłon. Jej mąż nie może wstrzymać się od wykrzyknika „Przeklęte ciele!“ Lecz Karolina zwróciła już na siebie uwagę gości. Sentymentalny Aleksander odzywa się: „Przystojna kobieta“ — nawiasem mówiąc, księżna nie miała być zbyt urodziwa — i zapowiada, że jej złoży wizytę. Ksiązę rzuca wreszcie charakterystyczne słowa:

Oh, damn the peace, and damn the war, and damn Boney, and damn Wellington's victories! — the question is, how I am to get over this infernal woman!

(A niech djabli wezmą pokój i niech djabli wezmą wojnę i niech djabli wezmą Boney'ego i niech djabli wezmą zwycięstwa Wellingtona! — Tu o to idzie, jak ja mam pozbyć się tej piekielnej baby!)

Po przedstawieniu publiczność znów oklaskuje księżnę i odzywa się jakiś głos: „Moje kochanie, czy mamy spalić Carlton House i jego razem z pałacem?“ Ale Karolina hamuje wściekłość tłumu.

Księżę ostatecznie pozbył się „piekielnej baby“, ale na to trzeba było aż skandalicznej sprawy rozwodowej przed forum parlamentu. Rzecz bardzo prawdopodobna, że Hardy późniejszemu Jerzemu IV poświęcił tyle miejsca nietylko ze względu na ideę dynastyczną, ale i dlatego, że nie mógł mu przebaczyć wstydu, jaki ten proces zrobił cnotliwej Anglii. W takim razie poeta jest czulszy od ogółu, który spokojnie patrzy w Narodowej Galerji Portretów na olbrzymie, całą ścianę zajmujące płótno, przedstawiające Karolinę Brunswicką przed Izbą Gmin. Obraz jest ciekawy z tego względu, że każda osoba ma autentyczne rysy.

XVI.

Hardy stworzył dwie życiem kipiące, świetne postaci angielskich dynastów. Natomiast jego kontynentalni monarchowie kreśleni są pośpiesznie i szkicowo, najwidoczniej bez głębszych studjów i często niezgodnie z prawdą. Było tu zaś rozległe pole do popisu. Trzeba jednak zaznaczyć, iż rzecz jest niewątpliwie w związku z całym ujęciem tematu, bo ogólny plan kompozycyjny, wymagający skupienia całego światła na Anglii, nie pozwalał na zbyteńskie zajmowanie się bocznymi grupami.

Tem należy tłumaczyć sobie, że Hardy wyrzekł się przyjemności odmalowania jakby stworzonej dla siebie dwor-

skiej idylli Madrytu, klasycznego trójkąta małżeńskiego (król — królowa — minister), trójkąta, który jakoś niebardzo podobał się następcy tronu, a który ostatecznie zburzył z korsykańską brutalnością Napoleon. Był tu materiał do silnych realistycznych efektów, którym złożył hołd sam cesarz Francuzów, bo po próbie uregulowania osobistą interwencją stosunków rodzinnych hiszpańskiego dworu miał zawołać:

„Co za ludzie ci Burboni! Co za matka, co za syn!“

Hardy ze swego punktu widzenia zrobił słusznie, że te rzeczy pominął. Odciągałyby uwagę widza od głównych wypadków i postaci. Ale w takim razie najniepotrzebniej wtrącił epizodycznie scenę u Godoya (B, II, 5), kreśląc błędą nieco sylwetkę lowelasa na dwa fronty. Zdaje się, że uległ pokusie pokazania, jak to Hiszpanie „grzeszą z otwartymi twarzami“, gdyż scena ta od sceny, w której słyszymy przytoczone słowa, oddzielona jest tylko obrazem czterech angielskich transportów morskich, zmierzających ku brzegom Hiszpanji. W każdym razie potrąca o sprawy, usunięte poza nawias „Dynastów“, i jest równie zbyteczna, jak epizod partyjski w *Antonjuszu i Kleopatrze*.

XVII.

Król pruski mało ma rysów indywidualnych. Rzecz charakterystyczna, że choć znam dość dobrze historję owych czasów, w chwili, gdy to piszę, jestem zmuszony zajrzeć do encyklopedji dla sprawdzenia, jaką to zero miało liczbę porządkową, gdyż niczem nie wbiło mi się w pamięć. A przecież nie dalej, niż dwa miesiące temu, wpatrywałem się na *Siegesallee* w tę twarz tuzinkową i myślałem: „Otóż tak wygląda jeden z pogromców Napoleona!“

A więc Fryderyk Wilhelm III? Jakoś dziwnie nie mogę spamiętać królów pruskich. Ale też poza dwiema charakterystycznymi postaciami XVIII w. (starym Frycem i jego oj-

cem) oraz Wilhelmem II, z którym każdy człowiek naszych czasów jest zapewne dostatecznie spoufalcony, muszą oni wydawać się tylko pierwszym, drugim, *n*-tym numerem z Alei Zwycięstwa i Hardy może dobrze zrobić, nie wysilając się na charakterystykę Fryderyka Wilhelma jako jednostki, a charakteryzując go tylko gatunkowo w chórze Lat, donoszącym o klęsce pruskiej w r. 1806 i zajęciu Berlina słowami:

...And the Man of Adventure sat in the seat of the Man of Method and rigid Rule.

(...I siadł awanturnik na miejscu męża metody i surowych rządów.)

Ale nie sama metoda i surowość składały się na rządy pruskie. Hardy uczynił Napoleona mieczowym złodziejem, uprawiającym wojnę jako zyskowne rzemiosło, i niczem więcej. Można się na taki pogląd zgadzać lub nie zgadzać. Trudno jednak nie widzieć, że to, co Napoleon czynić miał przez lat dwadzieścia, dżentelmeni z Alei Zwycięstwa uprawiali systematycznie przez całe wieki, nie kępując się przytem żadnymi skrupułami moralnymi i często nie przestrzegając nawet pozorów.

Hardy tak śmiało rzuca rękawicę wszystkiemu, co słusznie lub niesłusznie wydaje mu się u Anglików przesądem — a przecież w tym wypadku nie odważył się czy nie zechciał zerwać z tradycją, napiętnowaną później — ale już w czasie wojny z przejętymi pruskim duchem Niemcami — przez Chestertona. Jest faktem, że Anglja, kierując się krótkowzrocznym nieco egoizmem narodowym, od czasu hiszpańskiej wojny sukcesyjnej ustawicznie popierała Prusy, że „naprzód pozwoliła Prusakom uniknąć kary, jak jej unika młody bandyta, a potem pozwoliła bandycie wydawać wyroki, jak szanowny urzędnik“.

A może Hardy poprostu przeoczył charakter historii pruskiej? Na pewne nie, bo oto, co mówi Duch Ironji (B, I, 6), gdy po bitwach pod Jeną i Auerstädt królowa Luiza ucieka z Berlina:

*So the Will plays at flux and reflux still.
This monarchy, one-half whose pedestal
Is built of Polish bones, has bones home-made.
Let the fair woman bear it. Poland did.*

(Tak to Wola bawi się nieustannie w przyływ i odpływ. Ta monarchja, której piedestału połowa zbudowana jest z polskich kości, zkolei sama płaci kośćmi. Niechże to piękna kobieta przecierpi — Polska przecierpią.)

Ale mówi Duch Ironji, a ponieważ jego słowa są jedyną myślą tego rodzaju, należy je chyba postawić obok takich okolicznościowych wycieczek satyrycznych, jak znana nam już łątka, przypięta Wellingtonowi z okazji jego pochwały dla Neya. Tu i tam firma Ducha Ironji dowodzi, że autor tylko częściowo przyjmuje odpowiedzialność.

Poza tem Hardy najwidoczniej nie może wyzbyć się podświadomej wdzięczności za pośpiech Blüchera i inne momenty dziejowe, w których interes Prus był identyczny z interesem Anglii. Nie wspomina zupełnie o łapczywej, dwulicowej, a tchórzliwej polityce, jaką Prusy prowadziły wobec rewolucyjnej Francji i innych mocarstw już od r.1793. To jest poza zakresem jego tematu. Ale na ich matactwa dyplomatyczne podczas kampanji r. 1805 powinno było znaleźć się miejsce. Jest faktem, że do rozprawy na śmierć i życie z Napoleonem wystąpiły w najgorszej chwili, zmarnowawszy poprzednio dobrą sposobność na wysiłkach, aby przechytrzyć wszystkich — wrogów i przyjaciół.

W obrazie porażki z r. 1806 jest nawet, rzechy można, nieco pruskiego sentymentu. Nie spotykamy się z przedstawieniem samej walki, o której nawet niemieccy historycy wyrażają się, że była raczej chaotyczną, sromotną rozsypką, niż bitwą. Słyszymy o niej głównie tylko na ulicach Berlina i na odległość przedstawia się bodajże, jak Termopile.

Prologiem do nastrojowych scen w stolicy Prus są słowa:

*So does the Will objectify Itself
In likeness of a sturdy people's wrath,
Which takes no count of the new trends of time
And trusts ebb'd glory in a present need.*

(Tak to Wola przyjmuje postać gniewu dzielnego ludu, co nie liczy się z nowymi prądami czasu i w chwili obecnej potrzeby ufa przebrzmiałej chwale.)

Patetyczny ten zwrot odnosi się zapewne do przestarałej taktyki Fryderyka II, która była dobra wobec Austriaków i Francuzów, gdy ci trzymali się jeszcze starszej, ale musiała prysnąć wobec nowej, napoleońskiej. Równocześnie jednak może Hardy ma na myśli wogóle pruski ustrój państwowy.

W następnej scenie czytelnikowi udziela się nastrój patriotycznej ludności, oczekującej z bijącymi sercami wieści z frontu. Jawi się zbieg, donosząc o niepowodzeniach i o bohaterkim oporze armji, o męstwie króla i generałów. Natomiast o nieudolności i niedołęstwie nie słyszymy. Wszystko to musi wydać się dziwnem szczególnie Polakowi, dla którego podwójna bitwa r. 1806 kojarzy się zawsze z humorystycznym ustępem „Pana Tadeusza“, z uniżonem pytaniem o nowinki i z późniejszym „łowieniem herów oficerów za harcaby“. Ale nad Prusami z „Dynastów“ unosi się duch Carlyle'a.

W tragicznej scenie czytania przez kobiety biuletynu — najniepotrzebniej napisanego wierszem — czuje się, że ostatnie słowa „Król żyje“ są dla ludności Berlina naprawdę pociechą w nieszczęściu. A było tu pole do satyry, zgodnej z tytułem i myślą przewodnią utworu... Nawiasem mówiąc, przypomina się żywo napoleoński biuletyn o katastrofie rosyjskiej, kończący się tak samo słowami „Zdrowie jego cesarskiej mości nigdy nie było lepsze“. Hardy go zapewne nie znał, bo nie byłby chyba pominął tak wybornej sposobności do uwag Ducha Ironji.

Wogóle cała relacja o Jenie i Auerstädt ma pewien rozmach epicki, widoczny także w chórze Lat, który ją kończy. Była zaś owocem namysłu, gdyż poeta zmienił pierwotny plan, znany ze scenarjusza, ogłoszonego na końcu części I. Wedle tego planu miały dwie sceny rozgrywać się pod Jeną, w wykonaniu jednak pozostała z nich tylko jedna, i to króciutka.

Reszta kampanji odpadła, a więc odpadł przedewszystkiem okres sromotnych kapitulacyj, podczas którego Napoleon wyraził się żartobliwie, że zniesie w swej armji artylerję i inżynierję, skoro kawalerja zdobywa twierdze. Odpadł zresztą także i bohaterski odwrót Blüchera.

Współczuciem tchnie przedstawienie upokorzeń, jakich pruska para królewska doznaje w Tylży. Szczególnie rozczuła się Hardy nad królową Luizą. Najsilniej przemawiają do niego cierpienia kobiety, szczególnie pięknej — tak samo było już w jego powieściach. Nie wspomina o żonie Fryderyka Wilhelma III inaczej, niż *the fair queen Louisa* lub *the spirited queen Louisa*. Jej wdzięki działają silnie nawet na Napoleona, a Aleksander I stanowczo jest w niej zakochany.

XVIII.

W psychikę tego dynasty Hardy nie usiłował, czy nie potrafił wnikać. Wydaje się, że z odległości lat stu działają jeszcze miła powierzchowność, poza rycerskiego paladyna dam, robione porywy romantyczne i liberalne frazesy. Aleksander Hardy'ego jest szlachetnym, nieco naiwnym i nieco płytkim romantykiem. Odznacza się niesłychaną wrażliwością i rozstrzyga doniosłe zagadnienia polityczne pod wpływem wrażeń. Jeżeli duch tego cara, który niby trochę bałamucił się wolnościowo z Czartoryskim, póki nie pokonał Napoleona, a potem wołał rządzić przy pomocy Arakczejewych i Nowosilcowych, gdzieś w zaświatach przeczytał „Dynastów“,

musiał się rozradować. W ośmdziesiąt lat po śmierci wywiódł w pole jeszcze jednego Anglika, i to nie pierwszego lepszego.

Inne postaci rosyjskiego dworu — cesarzowej matki, która z okazji małżeńskich propozycji Napoleona mówi, że zwlekanie jest „rosyjskim stylem i rosyjską modą“ oraz wielkiej księżniczki Anny — są zupełnie epizodyczne i podrzędne.

XIX.

Jeszcze słabiej wypadła grupa austriacka. A przecież Franciszek I ze swą biurokratyczną sumiennością, z zakamieniałym bezdusznym konserwatyzmem, z tępotą, z taną wiedeńską *Gemütlichkeit* i z wytrwałością drewna, które znosi po bohatersku ciosy siekiery, bo ich nie czuje, ten Franciszek I mógł stać się taką ozdobą „Dynastów“, jaką jest ozdobą „Orlątko“ Rostand’a.

Czyż może być coś charakterystyczniejszego, niż scena z pod Wagram: Franciszek I przygląda się z panującego nad okolicą wzgórze morderczym zapasom. Nie unosi się przedwczesną radością, gdy widzi żelazną wytrwałość swej armji. Nie wybuchu rozpaczą, gdy widzi, że pod naporem potężnego uderzenia Macdonalda linja austriacka zaczyna w samym środku wyginać się wstecz. Wreszcie Francuzi nadludzkim wysiłkiem zdobywają Markgrafneusiedel. Cesarz Austrii mówi zimno: „Możemy iść do domu“ — i odjeżdża.

Zamiast tego zdania, mieszczącego w sobie całe tomy, Hardy z naiwnością, równą elżbietańskiej, wkłada mu w usta rymowany dwuwiersz, także o zupełnie elżbietańskim brzmieniu:

*...May brighter times,
Attend the cause of Europe far in Spain,
And British blood flow not, as ours, in vain!*

(Niech jaśniejsze słońce przyświeca sprawie Europy w Hiszpanji i krew brytyjska nie płynie tak, jak nasza, na darmo!)

Właśnie tam Franciszkowi I chciało się w podobnej chwili myśleć o Anglji!

Postać Marji Ludwiki Hardy maluje początkowo z pełną sympatją i daje arcyksiężniczce dużo naiwnego wdzięku. W B, V, 3 Metternich oznajmia jej o projekcie małżeństwa, ona zaś zachowuje się, jak dziecko. Pierwsza jej myśl jest „Za stary“; druga „Taki niegodziwy“; trzecia „Ale pomyśl tylko, kanclerzu, co ja za rzeczy o nim mówiłam!“

Ostatecznie Marja Ludwika zdaje się na wolę ojca. Byłoby tu pole do odmalowania walki wewnętrznej dynasty, odczuwającego z pewnością to samo, co królowie z bajki, gdy muszą córki przykuwać do skały na pożarcie dla straszego smoka. Lecz w „Dynastach“, Franciszkowi tylko raz w rozmowie z Metternichem wrywa się słowo „ofiara“ i kanclerz mówi do siebie, że cesarz ukrywa ból serca.

B, V, 6 przynosi nastrojowy obrazek zapoznania się z sobą oblubieńców. Jest dzień dżdżysty i mglisty. Niecierpliwy, jak dziecko, gdy ma dostać nową zabawkę, Napoleon wyjechał wraz z Muratem naprzeciw arcyksiężniczki. Ta, przerażona niespodzianem zjawieniem się obcych, woła: „O nieba! Dwóch rozbójników na nas napadło!“ Następują wyjaśnienia, a scenę kończą twory nadprzyrodzone. Duchy Ironiczne śpiewają piosnkę:

*First 'twas a finished coquette,
And now 'tis a raw ingenue —
Blonde instead of brunette,
An old wife doffed for a new.
She'll bring him a baby
As quickly as may be,
And that's what he wants her to do!
Hoo, hoo!
And that's what he wants her to do!*

Ponieważ dosłowny przekład prozaiczny nie dałby żadnego wyobrażenia o tonie i nastroju piosnki, spróbowałem ją przełożyć wierszem:

Wprzód była skończona kokietka —
 Naiwną dawajcie mi tu!
 Blondynkę — a była brunetka —
 I żonę odmienił co tehu.
 Ta grzeczna dziewczynka
 Na termin da synka,
 O więcej nie idzie zaś mu —
 Hu, hu!
 O więcej nie idzie zaś mu!

What lewd noise mouth those wry-formed phantoms there?

(Co tam za nieprzystojną wrzawę robią te widma o niekształtnej postaci?)

pyta się gniewny Duch Lat. Duchy Ironiczne odpowiadają mu:

*Nay, Showman Years! With holy reverend air
 We hymn the nuptials of the Imperial pair.*

(No, no, reżyserze widowiska, Duchu Lat, my tylko śpiewamy cesarskiej parze uroczysty, pełen namaszczenia hymn weselny.)

Końcowa uwaga sceniczna brzmi:

The rain thickens to a mist and obscures the scene.

(Deszcz zgęszcza się w mgłę i zaciemnia scenę.)

Marja Ludwika znika teraz na dłuższy czas, słyszymy jedynie o jej niebezpiecznym położeniu. Po wyprawie rosyjskiej Hardy użyje jej do napiętnowania bezwzględności i nieludzkości Napoleona. Później cesarzowa występuje w chwili, gdy Paryż jest zagrożony przez wojska koalicji. Oficerowie gwardji składają jej przysięgę wierności, a ona mówi naiwnie:

*Such enthusiasm I have never known,
 Not even from the Landwehr of Vienna.*

(Takiego entuzjazmu nigdy jeszcze nie widziałam — nie, nawet i u wiedeńskiej landwehry.)

Słowa te są gorzką ironią pod adresem Francuzów. Już w następnej scenie (C, III, 3) cesarzowa musi opuścić stolicę, zabierając przemocą opierającego się króla rzymskiego.

Raz jeszcze ukazuje się Marja Ludwika w akcie V tej części, ale już w znacznie gorszym oświetleniu. Po abdykacji męża łatwo pogodziła się z losem. Pociuszają ją dwie rzeczy — nadzieja otrzymania księstwa Parmy i hr. Neipperg. Wieść o ucieczce Napoleona z Elby sprawia jej przykrość, budzi bowiem obawę, że nic nie będzie z Parmy. To też za cenę tego księstwa wyrzeka się opieki nad królem rzymskim, który modlił się wciąż o powodzenie dla ojca, i obowiązuje się wszelkie listy oddawać nieodpieczętowane. Emisarjusze napoleońscy nie mogą dostać się do niej. Słyszymy, że gdyby de Montrond był z nią mówił, może mapa Europy wyglądałaby inaczej, ale przypuszczenie to Hardy ostrożnie wypowiada przez usta Ducha Ironji, zapewne więc jest tylko wymierzone przeciw małodusznej cesarzowej, a nie reprezentuje poglądu autora.

Jeszcze ostrzej piętnuje ją poeta, wprowadzając (C, V, 4) jej rozmowę z Marją Karoliną, eks-królową Neapolu — nawiasem mówiąc, wedle historii fanatyczną legitymistką, która nigdy nie chciała pogodzić się z faktem, że Napoleon jest cesarzem Francuzów. Marja Karolina mówi, że miejsce Marji Ludwiki przy boku męża, bo „małżeństwo jest na całe życie”. Otrzymuje odpowiedź, która przerasta stanowczo poziom umysłu Marji Ludwiki, a ze względu na myśl nie mogła być podsunęta przez wiedeńskie otoczenie: „Byłam jagnięciem, którego niewinne ciało przyrządzono, aby złożyć je na ołtarzu dynastycznych obrzędów“.

(...the lamb,

Whose innocent flesh was dress'd to grace

The altar of dynastic ritual.)

Tu Hardy stanowczo wypadł z epickiego czy dramatycznego obiektywizmu i przemówił od siebie. Następuje

typowy u niego policzek moralny, wymierzony przez Marię Karolinę:

...*Go, join your Count, he waits you, dear.*

(Idź do swego hrabiego, czeka na ciebie, moja droga.)

XX.

Najsympatyczniej z postaci kobiecych przedstawił Hardy Józefinę, której odepchnięcie przez Napoleona, będącego jeszcze w pełni potęgi i chwały, musiało poecie wydawać się okropniejszym, niż przejścia Marii Ludwiki, niezdolnej, jak widać ze streszczonych scen B, V, do odczucia upadku. Przemilczał po rycersku przewinienia generałowej Bonaparte i odmalował tylko cierpienia cesarzowej i eks-cesarzowej, której śmierć w „Dynastach“ naprawdę wzrusza do głębi.

XXI.

Skończyliśmy z dynastami. Lecz epoka napoleońska miała cały zastęp wybitnych ludzi cywilnych i wojskowych, odgrywających ważne role w dziejach i stanowiących nieraz pierwszorzędny materiał dla twórczości literackiej. Nieangielskich mężów stanu przeważnie wcale niema u Hardy'ego lub są marionetkami bez cech indywidualnych, jak Metternich i Talleyrand, blademi postaciami ledwie naszkicowanemi, jak Godoy. Wojskowi są automatami do zabijania i umierania. Autor zbywa ich epickimi epitetami, niewiele mówiącemi, jak *gallant, brave, bold, smart* i t. p. Z marszałków najczęściej słyszymy o Neyu, ale wciąż powtarza się tylko motyw jego bohaterstwa. Hardy'ego pociąga zewnętrzna malowniczość mundurów i zgrozą przejmujący urok ustawicznego ryzykowania życia, pociągają go dźwięczne cudzoziemskie nazwiska. Mało wdaje się w malowanie drugorzędnych postaci.

Ci wszyscy wojownicy w strojnych mundurach są dla niego tylko kostkami, z których układa mozaikowe obrazy bitw. Ale przeważnie jedna kostka niczem prócz barwy nie różni się od innych. Nie czujemy, aby to byli ludzie z krwi i kości.

Oto Francuzi bezładnie cofają się z pod Lipska. Napoleon odjechał. Mieszczanie przyglądają się odwrotowi, chóry duchów unoszą się w powietrzu. Jeden z ciekawych, który zajmuje lepszy punkt obserwacyjny, niż inni, oznajmia, patrząc w dal:

Poniatowski's Poles

Wearily walk the level causeway now...

(Polacy Poniatowskiego znużonym krokiem idą po równym gościńcu.)

Charakterystyczny jest ton tych słów. To mówi epik, a nie zaciekawiony człowiek, który nie bawiłby się w szczegóły i określenia. W tej chwili most wylatuje w powietrze i zabierają głos półchóry Duchów Litosnych, wpatrujących się w Elsterę:

The smart Macdonald smims therein

And smartly wins the verge;

Bold Poniatowski plunges in

Never to re-emerge.

(Dziarski Macdonald plynie i dziarsko dosięga brzegu. Mężny Poniatowski rzuca się w fale, aby już nigdy się nie wynurzyć.)

Jeden mieszczanin pyta się drugiego, czy wszyscy przeszli. Odpowiedź brzmi: „Ani korpus Reyniera, ani Macdonalda, ani Lauristona, ani Polacy...”

Wszystko jest wzięte jedynie jako efekt sceniczny czy epicki; nie słyszymy, co dzieje się w duszach tych ginących ludzi. Przecie każdy z nich miał swój dramat. Żaden z dwóch pływaków w uniformach marszałków Francji nie był Francuzem. Szkota podtrzymywała ambicja żołnierska, Polaką cześć żołnierska i narodowa, a jego na krótko przed śmiercią wy-

powiedziane słowa o honorze Polaków, powtórzone bez zmian i dodatków, stanowiłyby efekt tragiczny, silniejszy i wspanialszy od całego szeregu zmyślonych, które ludzie podziwiają i cytują.

W chwili ostatecznej rzezi pod Waterloo nie brak u Hardy'ego Cambronne'a. Z dwóch wersji jego odpowiedzi na wezwanie do poddania się poeta wybrał nie patetyczną „Gwardja umiera, ale się nie poddaje“, tylko realistyczną, a więc owo „*Merde!*“, spopularyzowane przez Wiktora Hugo, choć zapewne nieautentyczne. Zepsuł je atoli niepotrzebnym dodatkiem, który osłabia lapidarny wyraz:

*Merde! You've to deal with desperates, man, to-day:
Life is a byword here.*

(Masz dziś, człowiecze, do czynienia z desperatami. Z życia sobie tu kpią.)

Wogóle Hardy wyzyskuje u pomniejszych postaci wszystko w kierunku malarsko-epickich efektów, w psychologję nie wdaje się prawie zupełnie. Prawdopodobnie czyni to celowo. Na tle barwnem, ale pozbawionem wydatniejszych figur tem silniej odcinają się posągowe postaci protagonistów.

Niedarmo już parokrotnie nasunęło mi się porównanie „Dynastów“ z „Antonjuszem i Kleopatrami“. Największy z historycznych dramatów Szekspira ma z utworem Hardy'ego cały szereg punktów stycznych. I tu i tam tematem jest walka o panowanie nad światem. I tu i tam prywatne życie władców spleta się z wypadkami dziejowemi. I tu i tam tło stanowi pewna określona epoka. I tu i tam obraz zadziwia wielkością.

Liczba wprowadzonych przez Hardy'ego postaci oraz wogóle rozmiary jego dzieła są bez porównania większe. A jednak jakie u Szekspira bogactwo charakterystyki! Niema jednej osoby, która byłaby tylko automatem lub manekinem. Prawda, że nieco traci na tem architektura tragedji — ale jakąż obfitość poeta daje wzamian! I znów dochodzimy dzięki

temu porównaniu do wypowiedzianego powyżej zdania, że Hardy w „Dynastach“ nie jest ani prawdziwym dramaturgiem, ani prawdziwym powieściopisarzem, ale epikiem, który wybrał niewłaściwą formę.

Jeżeli już wspomnieliśmy o analogji z „Antonjuszem i Kleopatram“, to dociągniemy ją do końca. U największego poety angielskiego, który nie był pesymistą, jak Hardy, ale nie był też i optymistą, uderza wyrozumiałość dla ludzi. Szekspir czuje ją, chociaż silnie wierzy w wolność woli i wskutek tego musi oceniać każdy czyn każdej swej postaci. Jego Antonjusz jest w pierwszych aktach tragedji płytkim hedonikiem, egoistą bez serca, lekkomyślnym i opieszalym władcą, podstępny i nieszczerym dyplomata, uparty i nieopatrny wodzem, potem zaś, już w nieszczęściu, dziecinny marzycielem. A jednak, gdy ciosy sypią się jeden za drugim na jego głowę, staje się widzowi coraz bliższy i zyskuje coraz więcej sympatji. To wzruszony poeta kazał go cierpieniu uszlachetnić. Ocalić go nie może, lecz pozwala mu zginąć, wyciskając łzy z oczu patrzących. Zupełnie podobnie możnaby mówić o Kleopatrze. Zresztą to samo jest i w innych dramatach Szekspira. Gdy Ryszard III skarży się, że niema stworzenia, coby go kochało, a gdy polegnie, nikt go nie będzie żałował; gdy Makbet porównywa swe życie z przedwczesnie zwarzonymi i pożółkłemi liśćmi, trudno wstrzymać się od współczucia dla zbrodniarzy.

W „Dynastach“ jest w ogromnej większości wypadków odwrotnie. A przecież wedle filozofji ich autora ludzie nie odpowiadają za swe czyny, przecież są tylko „muchami, które bogowie zabijają dla rozrywki“. Czemuż, jak Napoleon, jak Marja Ludwika, jak nawet Wellington, tak często znikają za kulisami, spoliczkowani na pożegnanie? Pesymizm Hardy'ego jest niekonsekwentny i czasem nieszlachetny, ale — powiedzmy na jego usprawiedliwienie — jest chorobliwy.

Pora jednak wrócić do drugorzędnych postaci w Dy-

nastach“. Nawet dwaj angielscy mężowie stanu namalowani są blado. Pitta poznajemy wyczerpanego pracą i żądnego spoczynku. Jego śmierć, którą przyśpiesza hiobowa wieść z pod Austerlitz, nie wzrusza tak, jak np. zgon Józefiny. Postać Foxa służy znów tylko do złożenia hołdu angielskiemu honorowi i angielskiej zasadzie *fair play*, gdyż przeciwnik i następca Pitta występuje właściwie tylko poto, aby ze wstrętem odrzucić myśl skrytobójczego zgładzenia Napoleona, z którą zgłasza się do niego niktzemny Francuz.

XXII.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z postaciami niehistorycznymi, szczególnie z ludu, służącymi do podmalowania tła. Tu już Hardy był w swoim żywiole i nie tylko umiał stworzyć znaczną ilość wybornych, pulsujących życiem, a typowo angielskich figur, ale i ukazał je w ruchu, w starannie dobranych sytuacjach. Te rodzajowe sceny są największą zaletą „Dynastów“.

Najefektowniejsze może dzieją się w Wessex. O jednej była już mowa. Drugą jest rozmowa dwóch starców, którzy w czasie grozy inwazji napoleońskiej pełnią straż na Edgon Heath i czekają, rychłoli będą musieli okropną wieść o wyładowaniu wroga podać dalej ogniomym sygnałem. To, jak mówi Duffin, „szekspirowscy grabarze, którzy powrócili, a tylko trochę stracili w czasie długotrwałego spoczynku“.

Najbardziej znana zapewne jest scena, przedstawiająca angielskich dezterterów i maroderów podczas sławnego odwrotu Sir Johna Moore, zapijających się z hiszpańskimi dziewczkami w piwnicy koło Corunny. Jest w tym obrazie i pijaństwo, i rozpusta, i śmierć; jest i żołnierski honor, bo gdy przechodzi regularny oddział angielski, niektórzy z pijanych, zdemoralizowanych zbiegów na głos bębna stają karnie w szereg. Jest i typowa *insularity* angielska. Jeden

z dezertarów zaczyna mieć dość „barbarzyńskiego wina“ i tęskni za piwem. Wypowiada on często cytowane słowa:

Would that I were at home in England again, where there's old-fashioned tippie, and a proper God A'mighty instead of this eternal 'Ooman and Baby.

(Żebyż to być zpowrotem w Anglii, gdzie jest staroświecki trunek i przyzwoity Wszchemogący Bóg zamiast tej wiecznej Kobiety z Dzieckiem!)

Mowa naturalnie o katolickim kulcie Madonny i Jej obrazach z Dziecięciem.

Albo ta scena (C, VII, 5), wtrącona między okropności boju pod Waterloo: Wpobliżu Mont St. Jean jest obóz żon żołnierskich i markietanek. Jedna z kobiet właśnie porodziła. Druga, która straciła męża pod Quatre-Bras, została z innymi, bo powiedziała sobie: *Widder or no widder, I mean to see this out* (Wdowa, czy nie wdowa, chcę to widzieć do końca).

Dla odmiany przyjrzyjmy się tłumowi, zgromadzonemu w chwili, gdy przywożą do Londynu zwłoki Nelsona (A, V, 5). Scena ta następuje bezpośrednio po obrazie jego bohaterskiej śmierci. Mieszczanin, który wobec synka chce uchodzić za powagę, wyjaśnia: „Zabalsamują go, jak balsamowali wszystkich wielkich egipskich admirałów“. Lecz chłopak zapędza go w kozi róg drażliwym pytaniem: „Jego żona (*Lady*) będzie przytem pomagać, prawda?“. Biedny mieszczanin nie wie, co odpowiedzieć, więc mówi ostro: „Nie stawiaj niedorzecznych pytań“. Inny mieszczanin wśród ogólnego entuzjazmu zachowuje trzeźwość chłopskiego rozumu i zestawia wypadki morskie z lądowymi:

...The overthrow

*Of all Pitt's European policy,
When his hired army and his chosen general
Surrendered them at Ulm a month ago,
Is now forgotten. Ay, this Trafalgar
Will botch up many a ragged old repute...*

(Dziś zapomniano o zawaleniu się całej europejskiej polityki Pitta, gdy wynajęta przez niego armja i wybrany przez niego generał poddali się pod Ulmem miesiąc temu. Tak, tak, ten Trafalgar połata niejedną starą, postrzępioną reputację...)

W jednej z następnych scen, przedzielonej od tej jedynie samobójstwem Villeneuve'a, widzimy przewoźników, transportujących ciało Nelsona. Opowiadają sobie, że było ono dla zakonserwowania umieszczone w grogu, ale załoga okrętu, wśród której zaczęły szerzyć się choroby, wypila wszystek trunek (*the crew had drunk him dry* — dosłownie „opiła go do sucha“). „Więc był ich zbawieniem po śmierci, jak był w bitwie“, dodaje patriota przewoźnik. Ale ktoś ze zgromadzonej publiczności jest zgorszony: „Może to ujdzie na morzu, ale na lądzie wydaje się niewyraźnem“.

Efekt scen ludowych zwiększa Hardy często zręcznem, a umiarkowanem użyciem dialektu.

To znów nastrojowy prolog do bitwy pod Waterloo. Po sławnym balu w Brukseli maszeruje ulicami wojsko, dążące pośpiesznie na front. Stara i młoda Angielka stoją w oknie. Matka bacznie przypatruje się córce. Pyta się, czy dużo tańczyła na balu. — Tylko cztery tańce. — I podczas tych czterech tańców zdążyłaś się zakochać? — Cóż za śmieszna myśl! — oburza się panna, ale gdy przechodzą huzarzy, blednie nagle. Nie ma już ochoty widzieć Wellingtona. „Nie chcę na niego patrzeć! Nie chcę już patrzeć na nikogo!“.

Scenka ta (C, VI, 5) robi silniejsze wrażenie, niż sam bal, poprzedzony długim spisem uczestników, dla realistycznego efektu ułożonym tak, jakby wyjęty był ze stałej rubryki *Times'a Court and Society* (Dwór i życie towarzyskie). Spotykamy tu jedną po drugiej takie pozycje, jak np. „*Sir Henry and Lady Susan Clinton*“. Nadchodzi wieść o odmarszu i zabawa się urywa. Śmierć wyprowadza z balu szereg oficerów, którym przeznaczony jest nie wrócić. Ale ów historyczny bal i odmarsz lepiej już opisał Byron w „*Childe Ha-*

roldzie“, a Hardy skuteczniej maluje poprostu życie, niż operuje symboliką i światem nadprzyrodzonym.

Wogóle życie angielskie przedstawione jest w „Dynastach“ zajmująco, naturalnie i barwnie. Jak widzieliśmy, autor nie ogranicza się do jednej sfery, ale interesuje się wszystkimi od najniższej do najwyższej, interesuje się na równi dworem, klasą średnią i nawet mętami społecznymi.

Naturalnie poświęca kilka scen parlamentowi. Opiera się w nich przeważnie na zachowanych sławnych mowach. Lecz w selekcji obrazuje się jego satyryczny pesymizm. Nie-raz wzruszył się poeta, przedstawiając niedolę i wesele jednostek. W tym wypadku jest stale ironiczny i z okrutnem zadowoleniem dobywa z archiwów takie rzeczy, jak sławne zdanie Sheridana:

Polowę długu narodowego zaciągnęliśmy na wysiłki zgniecenia potęgi burbońskiej, drugą połowę na wysiłki jej przywrócenia (C, V, 5)

W innej scenie (B, V, 4) jeden z członków Izby Gmin cytuje z opozycyjnej mowy Warda następujące słowa:

...Lecz gabinet nie we wszystkim doznał niepowodzenia. Nie, w jednym wypadku cudownie mu się udało. Udał mu się atak na Kopenhagę — ponieważ był wymierzony przeciw sprzymierzeńcowi.

XXIII.

Jeżeli obraz społeczeństwa angielskiego jest niezwykle barwny, pełen różnorodnych szczegółów i — pomijając lekką tendencję do karykatury — prawdziwy, nie można tego bynajmniej powiedzieć o rysunku innych środowisk w „Dynastach“.

Hiszpanji poświęcona jest wspomniana już scena u Godoya, malująca zepsucie dworu. Scena pod Corunną służy tylko do charakterystyki Anglików. Berlińczyków poznajemy zgrubsza jako lud gorąco kochający ojczyznę i parę królewską. Rosja zbyta jest ikonami, carską proklamacją, do której Duch Ironji dodaje swój komentarz „Ha, wolność — to piękne

słowo, gdy nadlatuje z takiego kraju“, wreszcie wzmianką o polityce przewlekania i odkładania. Naddunajskich Feaków, co po krótkiej okupacji zasmakowali w wolnomyślnych rządach Napoleona, nie poznajemy wcale, a jeżeli przy opisie przejścia granic francuskich przez sprzymierzonych w r. 1814 słyszymy charakterystyczne słowa:

There glides carked Austria's invading force

(Tam prześlizguje się wkraczająca armja trwożliwej Austrii),

to zapewne słowo *carking* odnosi się do Schwarzenberga i jego strategii.

Polaków spotykamy często, zwłaszcza ułanów i Poniatowskiego. Słyszymy też przed wojną z r. 1812 z ust angielskiego premiera Percevala, że Napoleon i Aleksander I zetrą się z sobą, ponieważ „austrjackie małżeństwo dało początek nieporozumieniu, a kwestja polska nieporozumienie czyni ostrzejszem“. Ale przeciętny czytelnik angielski nie wie, co to była kwestja polska i w „Dynastach“ nigdzie nie znajdzie wyjaśnienia, z pewnością też czasem stawiał sobie pytanie: „Co u licha łączyło tych Polaków z Napoleonem?“ Natomiast wdzięcznym można być Hardy'emu, że nie wspomniał o Somosierze. Najślawniejszy czyn militarny porozbiorowej Polski jest w gruncie rzeczy bolesną tragedją. Ułani Kozietulskiego, co poszli za Napoleonem walczyć o wolność swej ojczyzny, trupami obrońców wolności wymościłi najeźdźcy drogę do stolicy Hiszpanji.

Więcej uwagi poświęcił Hardy Francji. Ale każdy prawdziwy Anglik niecierpi Francuzów, choć niezawsze zdaje sobie z tego sprawę i choć rozum każe mu podziwiać ich pod wielu względami. A Hardy jest Anglikiem z krwi i kości. Jak widzieliśmy, mimo swego antimilitaryzmu kazał zrozpaczonemu Napoleonowi skarżyć się pod Waterloo, że Francuzi w walkach z sąsiadami z za Kanału zawsze ponosili klęskę, co zresztą nie jest prawdą. Wyszydził francuską zapalność, zestawiając entuzjastyczną przysięgę oficerów gwardji z ka-

pitulacją Paryża. Nawet dzikiemu, lecz pełnemu godności Rustanowi przeciwstawił francuskich służących. Jeden z nich po ucieczce ze stolicy Marji Ludwiki z królem rzymskim mówi cynicznie: „No więc czas, bym przywdział moją zbroję“, wyciąga z kieszeni białą kokardę i przypina ją sobie. Temu samemu celowi służy rozmowa Rustana z kamerdynerem Napoleona Constantem (C, IV, 5). Podpisawszy akt abdykacji i podziękowawszy Mamelukowi za jego kindżał, wyczerpany cesarz usnął. Constant korzysta ze sposobnej chwili i ucieka. Ma uskładaną pokazną sumkę i mówi: „W całej umiarkowanej strefie niema drugiego doskonałego lokaja i byłoby krzywdą dla społeczeństwa, gdybym się tu marnował“.

Sceny francuskie „Dynastów“ są prawie zupełnie pozbawione tła obyczajowego — chyba, że uznamy za wyjątek fantastyczną rozmowę Ducha Wieści z paryską prostytutką po bitwie pod Austerlitz (A, VI, 7). Wykonanie charakterystycznego, a dziwaczного pomysłu jest bardzo słabe.

Jedno męstwo Francuzów wysławia Hardy bez zastrzeżeń. Tylko tak nieszczęśliwie się złożyło, że najbardziej rzuca się w oczy Ney — a ten był pochodzenia niemieckiego. Można jednak przypuszczać, że to przypadkowe.

XXIV.

Powiedziałem, że „Dynaści“ najbardziej zbliżają się do epepei. Atoli oceniając utwór pod tym kątem widzenia, musimy stwierdzić jeden ciężki błąd — brak epickiego spokoju i zrównowazenia. Hardy za dużo miał w sobie z liryka — i to z gorzkiego liryka-pesymisty. Najlepiej widać to na świetnie nadprzyrodzonym jego wielkiego dzieła.

Bez sił nadprzyrodzonych niema epepei, bo niema bez nich świata. Kompletny ateizm jest rzeczą wyjątkową. Ci, co nie wierzą w Boga, wierzą w naturę, w jakąś bliżej nieokreśloną siłę życiową, w teorię atomistyczną, w analogię,

w prawo przyczynowości, w spirytyzm, w swe szczęście lub brak szczęścia, wreszcie w feralność trzynastki czy poniedziałku. Utwór epicki, którego główną cechą jest uniwersalność, nie może ignorować tego czynnika w ludzkim działaniu, co więcej, musi go uplastyczyć i *ad oculos* pokazać czytelnikowi.

Odrzucając teorię determinizmu, którą przyjmuje Hardy, musimy jednak zgodzić się na to, że obok woli ludzkiej potężnie działa na świecie to, co nazywamy ślepym trafem, zbiegiem okoliczności, przypadkiem. Siła ta również ma swoją logikę. Stąd epik powinien przedstawić ją w formie, któraby tę logikę podkreślała.

Bez sił nadprzyrodzonych niema epepei. Nowoczesny poeta, który pokusi się o jej stworzenie, ma niezmiernie trudne zadanie. Może najtrafniej rozwiązał je Mickiewicz, gdy z cudowności w dosłownym znaczeniu zrezygnował zupełnie, a zastąpił nadziemskie potęgi ziemską — daleką, z odległości nadludzko olbrzymią, a już dla współczesnych opromienioną blaskami legendy, mianowicie tym samym Napoleonem, którego w „Dynastach“ oglądamy dyndającego głową nadół.

Hardy miał zdrowy instynkt epicki. Wiedział, że jego utwór nie może obejść się bez metafizyki, kryjącej się poza ludzkimi aktami woli, i bez ujętego w konkretną formę pojęcia trafu. Poszedł nawet dalej, niż ktokolwiek inny. W myśl swej filozofji zaprzeczył zupełnie istnieniu wolnej woli. Tę posiada u niego jedynie Pierwsza Przyczyna, nazywana nawet znamienne Immanetną Wolą lub poprostu Wolą. Ale brak jej intelektu. Jest tylko rzeczą.

Oto rzucające na tę kwestję nieco światła zdanie z przedmowy do „Dynastów“:

The abandonment of the masculine pronoun in allusions to the First or Fundamental Energy seemed a necessary and logical consequence of the long abandonment by thinkers of the anthropomorphic conception of the same.

(Zarzucenie użycia zaimka w rodzaju męskim, gdy mowa o Pierwszej czyli Zasadniczej Energji, wydało mi się koniecznym i logicznym następstwem dawno zaszłego zarzucenia przez myślicieli Jej antropomorficznej koncepcji.)

Mówiąc o swym Bogu, Hardy używa zaimka *It*, którym język angielski zastępuje nazwy zwierząt i rzeczy martwych. Nie można do tej istoty nierozumnej mieć żalu za okropny chaos, panujący na świecie, i za okropne cierpienia śmiertelnych. Podobne złudzenia może mieć tylko Duch Litości, uosobienie ludzkich uczuć, które nie umieją przeniknąć poza zewnętrzne pozory bytu. Raz po raz, z celową, ale nużącą monotonią tłumaczy mu stary Duch Lat, że wszelkie jego pretensje są bezpodstawne. On jednak czuje, więc raz po raz wraca do swych zarzutów. Oto jego straszliwa tyrada, wypowiedziana pod koniec bitwy pod Waterloo:

...Between the jars

*Of those who live, I hear uplift and move
The bones of those who placidly have lain
Within the sacred garths of yon grey fanes —
Nivelles and Plançenoit and other nigh,
Where faith is vibrant still — through untold years.
Their dry jaws quake: „What Sabbaoth is this,
That shakes us in our unobtrusive shrouds,
As though our tissues did not yet abhor
The fevered feats of life?*

(Wśród wrzawy, czynionej przez żywych, słyszę, jak wstają i poruszają się kości tych, co spokojnie leżeli pod nietykalnymi nasypami tych szarych świątyń — Nivelles, Plançenoit i innych miejsc pobliskich, gdzie wciąż pulsuje wiara przez nieprzeliczone lata. Z ich wyschłych szczęk dobywa się zgrzyt: A cóż to za Sabaoth wstrząsa nami w naszych nikomu nie szkodzących całunach, jakgdyby nasze tkanki nie nabrały jeszcze dostatecznego wstrętu do gorączkowych konwulsyj życia?)

Zapewne Hardy pamiętał o tem, że pola belgijskie były jednym z odwiecznych pobojuwisk Europy (np. w czasie hiszpańskiej wojny sukcesyjnej).

Jakby poeta uląkł się własnej koncepcji, odpowiada tym

razem nie przez usta Ducha Lat, którego słowa mają wagę nieomyślności, lecz przez usta Ducha Ironji:

Mere fancy feints!

*What know the coffined what comes after them,
If though it whirl them to the Pleiades?*

(To tylko złudy wyobraźni! Jakżeby leżący w trumnach mieli wiedzieć o tem, co dzieje się po ich zgonie, choćby to nawet trąbą powietrzną rzucało ich aż pod Plejady?)

Lecz Hardy musiał osądzić, że zaprzeczenie Ducha Ironji, który nie posiada ani absolutnej wiedzy, ani absolutnej dobrej wiary, może wprowadzić w błąd czytelnika lub przynajmniej pozostawić go w wątpliwości. Więc poświęciwszy nieco uwagi dogasającemu bojowi, wraca do Ducha Litości, który woła:

Why prompts the Will so senseless shaped a doing?

(Dlaczego Wola podsuwa ludziom czyny, które mają kształt tak dalece sprzeczny z rozsądkiem?)

Tu już odpowiada Duch Lat:

*I have told thee that It works unwittingly,
As one possessed, not judging.*

(Mówiłem ci, że Ona działa nieświadomie, jak ktoś obłąkany i pozbawiony sądu.)

Myśl chwytają natychmiast półchóry Duchów Ironicznych:

*Of Its doings if It knew,
What It does It would not do.
— Since It knows not, what far sense
Speeds Its spinnings in the Immense?
— None, a fixed foresightless dream
Is Its whole philosophem.
— Just so, by unconscious planning
Like a potter rapt in panning.*

*Are then, Love and Light Its aim —
 Good to praise and Ill to blame?
 Nay; to alter evermore
 Things from what they were before.*

(Gdyby wiedziała co, czyni, nie czyniłaby tego. — A skoro nie wie, to jaki daleko sięgający rozum nadaje kierunek jej przędzy we wszechświecie? — Żaden. Naprzód ustalony sen bez przedwiedzy to jej cała filozofja. — Tak, tak właśnie. Jest to nieświadome snucie planów. Tak garniarz, wpadłszy w zachwycenie, obraca swe koło. Cały chór. Więc czy Jej celem są dobro i światłość? Czy celem tym jest chwalić dobre, a złe ganić? Nie — tylko ustawicznie zmieniać rzeczy, aby nie pozostawały tem, czem były poprzednio.)

W zakończeniu, które, jak scena początkowa, odbywa się w „wyższym świecie“ (*the Overworld*), powtarza się odwieczny dialog między Duchem Litości a Duchem Lat. Tym razem ten drugi sam zabiera głos, jakby mając zamiar wypowiedzieć rodzaj epilogu. Mówi o „Wielkim Pozbawionym mocy przewidywania“ (*the Great Foresightless*). Ale Duch Litości przerywa:

*Thou arguest still the inadvertent Mind. —
 But, even so, shall blankness be for aye?
 Men gained cognition with the flux of time,
 And wherefore not the Force informing them?*

(Wciąż głosisz nieświadomy Umysł. — Ale czyż nawet w tym razie pustka ma być wieczna? W miarę przyływu czasów ludzie zyskiwali poznanie — dlaczegooby tak samo nie miało być z Mocą, która ich uczyła?)

Tu Duch Lat pyta się:

*What would'st have hoped and had the Will to be?
 How would'st have peaned It, if what had'st dreamed
 Thereof were truth, and all my showings dream?*

(Czemże miała być Wola wedle twych nadziei i pragnień? Jakie piałbyś na Jej cześć peany, gdyby prawdą były twoje sny o Niej, a wszystko to, co ja pokazałem, snem?)

To zdanie powinienby raczej wypowiedzieć Duch Ironji. Jeżeli Hardy przydziela je Duchowi Lat, to dlatego, że ten był mu w dialogu potrzebny jako rzecznik rzeczywistości.

Duch Litości daje mu taką odpowiedź:

*The Will that fed my dreams was far from thine,
One I would thus have hymned eternally:*

(Wola, która była snów mych karmą, daleka była od tej twojej, taka, że przez całą wieczność byłbym na Jej cześć piał hymny — ot takie):

— i następują wielbiące półchóry Duchów Litosnych. Duch Lat przyznaje się, że i on tak niegdyś śpiewał, ale już tego nie czyni. Teraz półchóry Lat rzucają pytanie:

*O Immanence that reasonest not
In putting forth all things begot,
Thou build'st Thy house in space — for what?
— O Loveless, Hateless! — passed the sense
Of kindly eyed benevolence,
Te what tune danceth this Immense?*

(O Siło wewnętrzna, która nie rozumujesz, wydając na świat wszystko, coś poczęła, budujesz w przestworze swój dom — i poco? — O Ty, co nie znasz miłości i nienawiści, Ty, która przerastasz pojęcie Dobroci o życzliwych blaskach w oku — t. j. Ducha Litości — na jaką nutę tańczy ten świat niezmierny?)

Tu po raz ostatni odzywa się Duch Ironji:

*For one I cannot answer. But i know
'Tis handsome of our Pities so to sing
The praises of the dreaming, dark, dumb Thing,
That turns the handle of this idle show!
As once a Greek asked I would fain ask too,
Who knows if all the Spectacle be true
And the illusion of the gods (the Will
To wit) some hocus-pocus to fulfill.*

(Ja pierwszy nie mam odpowiedzi. Lecz wiem, że to pięknie ze strony naszej Litości tak śpiewać pochwały dla tej Rzeczy śniącej, ciemnej, niemej, która obraca korba, aby zmieniały się obrazy tego bezielowego widowiska. Jak raz zapytał pewien Grek, ja także mam ochotę spytać: Kto wie, czy cały spektakl jest prawdziwy i prawdziwą iluzją, że bogowie (to jest, rozumie się, Wola) spełniają jakieś hokus pokus?)

Zawahał się na końcu nawet Hardy i na ponury obraz spływa słaby przeblask nadziei. Półchóry Lat zadają pytanie, czy Wola nigdy nie przyjdzie do świadomości i utwór zamyka cały chór:

*But a stirring thrills the air
Like to sounds of joyance there
That the rages
Of the ages*

*Shall be cancelled and deliverance offered from the darts
[that were,
Consciousness the Will informing, till It fashions all things
[fair.*

(Lecz przebiega powietrze dreszcz — coś jakby głosy radości, że zmazane zostaną szaty wieków i przyjdzie wyzwolenie od dawnego gradu grotów, gdy świadomość oświeci Wolę tak, że Ta da wszechrzeczom piękne kształty.)

Przeważnie dotąd cytowałem wiersze i w oryginalnem brzmieniu i w mniej więcej dosłownym przekładzie. Czyniłem to z tego powodu, że czasem zachodzą pewne dwuznaczności — tak np. w ostatnich wierszach tego, co poprzednio mówił Duch Ironji, mogłaby być mowa o „iluzji bogów, że spełniają jakieś hokus pokus“. Ale koniecznie trzeba było przytoczyć po angielsku chór końcowy dla okazania, jakie te wiersze są liche i niezgrabne. Hardy'ego stać było na lepsze, czasem nawet na wspaniałe. Prawda, że na każdym kroku spotyka się u niego fatalne nierówności. Nieprawdopodobne jednak, aby nie zdawał sobie sprawy, że z artystycznego punktu widzenia kończy dysonansem. Może ten dysonans pozostawił celowo, aby kompromisowo dodany

promyk nadziei przyćmić ironją... Tak niegdyś śpiewały Lata. Przeszły. Dały się raz jeszcze porwać złudzeniom Ducha Litości — ale z tego nie wynika, aby tym razem przepowiadały prawdę.

XXV.

Nie tu miejsce do zwalczania metafizycznego systemu Hardy'ego, którego utwór, jak wyraża się Lascelles Abercrombie, jest „najobszerniejszym, najkonsekwentniejszym i najbardziej przemyślanym literackim wykładem fatalizmu“. Powtórzę jednak za Duffinem uwagę, że filozofja „Dynastów“ jest sprzeczna z ich polityczną teorią, gdyż „tytuł, wzmocniony wielu miejscami epepei, wskazuje na satyryczne przedstawienie przez Hardy'ego wojny jako narzuconej niechętnym i cierpiącym narodom przez ich ambitnych władców“. Jako przykład można przytoczyć słowa Ducha Ironji w C, VII, 8:

Warfare mere

*Plied by the Managed for the Managers;
To wit: by fellow-folks who profit nought
For those who profit all.*

(To tylko sztuka wojenna, praktykowana przez aktorów dla reżyserów, to znaczy przez bratnie ludy, które nie mają z tego żadnej korzyści, dla tych, którzy zgarniają całą wygraną.)

„Lecz jeżeli i władcy i ludy“, mówi dalej Duffin, „są tylko pozbawionymi świadomości cząstkami ogólnego organizmu, to gdzie ostrze satyry — sprawiedliwej, gdyby było inaczej?“

Rozszerzę ten zarzut. Powiada Chesterton, że powieść jest *par excellence* chrześcijańskim (a raczej katolickim) rodzajem twórczości, gdyż wiara w przeznaczenie przeczy woli, której wynikiem są ludzkie czyny, pesymizm wiarę tę zabija, powieść zaś przedstawia ludzi w działaniu, a dzia-

łanie jest wpływem woli. „Dynaści“ są epopeją, ale to, co odnosi się do powieści, odnosi się tem bardziej i do epopei, która tylko ma inną formę i bywa bardziej wszechstronna. Co więcej, „Dynaści“ posiadają dużo żywiołu dramatycznego, a dramat zawsze jest konfliktem woli ludzkiej z innymi wólami lub z porządkiem świata. POCO charakteryzować Napoleona i Jerzego III, jeżeli jeden i drugi działał pod nieodpartym przymusem? Jak można oskarżać ich i smagać ironją za ich czyny, jeżeli te nie były wpływem ujawniającego się w zetknięciu z praktycznymi zadaniami życia charakteru? POCO wogóle malować charaktery? Jeżeli pod Waterloo ludzie oplątani są tkankami mózgowymi Immanentnej Woli i mordują się przez sen, to jakież sądy może ich potępić za krew przelaną?

Mina wybuchem swym niszczy całe otoczenie, ale i siebie samą. Coś podobnego zdarzyło się Hardy'emu z własnym utworem. W skrajnym pesymizmie przedstawił ludzi zbrodniarzami, kłamcami, okrutnikami, rozpustnikami. Było mu to za mało. Dodał więc metafizykę, głoszącą, że oprócz tego jako jednostki moralne nie istnieją — i przez to nietylko uwolnił ich od wszelkiej odpowiedzialności, ale starł poprostu ze swej tablicy ich ohydę etyczną i ich ohydne czyny. Dwie ilości o przeciwnych znakach zniosły się i została nicość. Pokazało się, że niepodobna oskarżać równocześnie i Boga i ludzi, bo jedno oskarżenie obala i unicestwia drugie...

Świat nadprzyrodzony „Dynastów“ robi najsłabsze wrażenie w ustępach, gdzie Duch Lat wykłada metafizykę autora. Znacznie silniejsze tam, gdzie Duchy Litości boleją nad niedolą śmiertelnych. Jeszcze silniejsze tam, gdzie Duchy Ironiczne — już sprzecznie z filozoficzną koncepcją całości — wyszydają ludzi i ich czyny. Wszakże autor jest mistrzem jadowitej satyry.

Czyż można złośliwiej wytłumaczyć powodzenie Napoleona, niż czyni to u niego Zły Duch (*Spirit Sinister*) w A, II, 5:

My argument is that War makes rattling good history; but Peace is poor reading. So I back Bonaparte for the reason that he will give pleasure to posterity.

(Moje rozumowanie jest, że wojna to dobra, pełna zgiełku — ale wyraz *rattling* wywołuje asocjację grzechotki, bawiącej niemowlęta — historia, a pokój to marna lektura. Stoję więc po stronie Bonapartego dlatego, że on da wiele przyjemności potomnym.)

Tylko po Napoleonie zostało na świecie coś więcej prócz zajmującej historii...

Najsilniejsze jednak wrażenie odczuwamy tam, gdzie Hardy zapomina o całej swej koncepcji metafizycznej i, puszczając wodze wzrokowej czysto fantazji, rozkoszuje się zewnętrzną wielkością jej tworów.

Cała akcja „Dynastów“ jest widowiskiem, które Duch Lat pokazuje i objaśnia swej młodszej braci. Jak niegdyś Milton przedstawiał ziemię jako kulę, zawieszoną w przestrzeniach na łańcuchu, tak Hardy pokazuje swemu czytelnikowi ludzkie sprawy z lotu ptaka — ale co ten ptak ma za oczy! W scenie wstępnej Europa przedstawia się z „wyższego świata“, jak organizm ludzki. Wielka armja w odwrocie wygląda jak gąsienica, która „czołga się z trudem bliżej“ (punktu obserwacyjnego nadprzyrodzonych widzów), „ale wbrew prawom perspektywy zamiast rósć robi się cieńsza i pozostają na ziemi jej cząsteczki“. Okręty pływają po morzach, jak kaczki pióra po sadzawce. Oto przykład zmiany dekoracji: „Pokój przyjęć“ (hrabiny Salisbury) „zamyka noc, czająca się na dworze, i punkt widzenia nagle odsuwa się na południe, przyczem Londyn ze swemi ulicami i światłami maleje, aż zginie woddali i... jego wrzawę zastąpi pomruk fal kanału La Manche i zatoki Biskajskiej“, — a po falach zmierzają ku Hiszpanji cztery angielskie transporty.

Oto znów efekt innego rodzaju, pozbawiony głębszego znaczenia, ale robiący silne wrażenie: Zły Duch (*Spirit Sini-ster*) uwija się pod Waterloo między oboma frontami:

*One needs must be a ghost
To move here in the midst 'twixt host and host!
Their balls scream brisk and breezy tunes through me
As I were an organ-stop. It's merry so.*

(Koniecznie trzeba być duchem, aby tu sobie chodzić pośrodku obu wojsk. Lecąc przeze mnie z jękiem, ich kule wygrywają, jak na organach, tony, raz ostre, raz przeciągłe. To tak wesoło.)

Niestety Hardy, jak często, psuje tę mowę banalnym dodatkiem:

What damage mortal flesh must undergo!

(Cóż musi dziać się ze śmiertelnym ciałem!)

Wprowadzenie postaci nadzmysłowych do dziejowego wątku musi Polakowi przypomnieć „Noc listopadową“. Ale różnice są poważne. Dla Wyspiańskiego punktem wyjścia była scena. Szukał czegoś posągowego, malowniczego, tchnącego poezją — był przecie malarzem i poetą w jednej osobie. I znalazł, czego szukał. Uczynił osobami swego dramatu szereg bóstw klasycznych, widzianych przeważnie przez pryzmat greckiej rzeźby. Nie silił się na filozoficzną jednolitość tego świata nadnaturalnego. Owszem, zależało mu na różnaitości, aby nie znużyć. Operował przytem symboliką, ale nie zrobił jej rzeczą główną. Będąc zależnym od koncepcji mitologicznej, kazał swym bóstwom wpływać na tok ziemskich wypadków, ale postawił nad nimi fatum. Na tym punkcie spotkał się z Hardyem. Podobieństwo jednak jest zewnętrzne. Ludzie Wyspiańskiego mają pewne *quantum* wolnej woli, sprzeczność między istnieniem tej woli a istnieniem fatum nie jest podkreślona. Hardy odrzucił pośrednictwo zmysłów i chciał przemówić wprost do intelektu. Stąd idzie mu nie o różnorodność, lecz o jednolitość, potrzebną każdemu systemowi metafizycznemu. Stworzył też taki system, ale każdy system metafizyczny stoi na sprzeczności.

XXVI.

Silną stroną „Dynastów“ jest kompozycja. Pewne opuszczenia wynikły z antypatji Hardy'ego do Napoleona. Inne — ze świadomością lub bez świadomości autora — wyszły na korzyść Anglii. Lecz wszystkie przyczyniły się do podkreślenia metafizycznej lub historjozoficznej koncepcji.

Jeżeli np. Hardy pomija *campagne en France*, wie dobrze, co robi. Wychodząc z zasady, że *in der Einschränkung zeigt sich erst der Meister*, Karol Bleibtreu opisał właśnie tę kampanję i dał książce tytuł „Napoleon“. W rozpaczliwej walce z przygniatającą przewagą liczebną w roku 1814 błysnął wedle Bleibtreua genjusz cesarza świetniej, niż w wielkich bitwach, w których siły bywały równe, a często nawet Francuzi dzięki taktycznej umiejętności swego wodza stawali do boju liczniejsi od nieprzyjaciela. Czy rzeczywiście Napoleon byłby zgniótł najeźdźców, gdyby nie małoduszność marszałków, którzy poddali Paryż, trudno powiedzieć. Może Bleibtreu przesadza. Jest w każdym razie faktem, że cesarz odniósł szereg zwycięstw, że po klęskach błyskawicznie przechodził do akcji zaczepnej i że, zadając niezwykle ciężkie straty, zwołna zbliżał się do wyrównania szans.

Jakżeby to wszystko przedstawił Hardy? Musiałby chyba zmienić prawdziwy tok wypadków, który stanowczo przemawia przeciw jego tezie, że Napoleon wyczerpywał się stopniowo, tracąc równocześnie zdrowie fizyczne i siły umysłowe. Nic dziwnego, że w „Dynastach“ widzimy tylko armie sprzymierzone, przekraczające granice Francji, a potem odrazu autor przenosi nas do kapitulującego Paryża.

Z innych powodów pominięta jest bitwa pod Aspern. Nie słyszymy bowiem nawet tej nazwy, spotykamy się tylko z niewyraźną wzmianką o wstępnych niepowodzeniach w kampanji 1809 r. Napoleon na balu u Cambacères'a mówi: „Gdy wśród pierwszego szczęku broni w ostatniej wojnie śmiała

wiara w gwiazdę Austrii brała górę..." (królowie czekali z utęsknieniem na jej triumf).

Karjera Bonapartego stanowi w „Dynastach“ dwie linje, z których pierwsza wznosi się ustawicznie. Małżeństwo z arcyksiężniczką i narodziny upragnionego syna stanowią szczyt. Tu rozpoczyna się druga linja, biegnąca ku dołowi. Odtąd klęska będzie szła za klęską. Wszelkie falowanie jednej lub drugiej linji psułoby konstrukcję.

Po klęsce pod Aspern Napoleon był przez dni kilka w beznadziejnem prawie położeniu. Zagłada wisiała na włosku i wielki wódz widział to już w chwili, gdy doszedł do przekonania, że nie zdoła wygrać bitwy. Spójrzmy na ten okropny obraz:

Największy z mostów na Dunaju, wzniesiony z takim trudem, runął. Mimo strasznych ofiar, wśród których jest najdzielniejszy z marszałków, Lannes, linja austriacka twardo stoi. Więc cesarz postanawia odwrót. Odwrót na wysepkę Lobau, gdzie armja, stłoczona na ciasnej przestrzeni, będzie początkowo głodować i pić rzeczną wodę. W razie, jeżeli nieprzyjaciel zdobędzie się na przedsiębiorczość i energję, nie ujdzie z tej pułapki ni jeden Francuz.

Cofającą się armję zasłoni Masséna. Adjutant cesarza zastaje go siedzącego na kupie kamieni. Masséna wśród plejady marszałków był czarnym charakterem. Ale stary chciwiec, łupieżca i zazdrośnik w tej ciężkiej chwili zdobywa się na gest historyczny: „Powiedzcie cesarzowi, że wytrzymam dwie, sześć, dwadzieścia cztery godzin — tyle, ile będzie trzeba, by ocalić armję“. I z zimną krwią zaczyna wydawać rozkazy. Nie zostawi „austriackim kanaljom“ ani jednego karabinu i wśród świstu kul wejdzie na most — ostatni.

Tymczasem cesarz, poniósłszy pierwszą w życiu prawdziwą klęskę, pogrążony w czarnych myślach, płynie łódką ku fatalnej wysepce. Przed chwilą Lannes, śmiertelnie ranny, odpowiedział mu na słowa nadziei: „Stracisz, najjaśniejszy panie, najwierniejszego sługę i przyjaciela. Żyj i ocal armję“.

Czy będzie możliwe ją ocalić? Teraz Napoleon, jakby dla okazania, że interesuje go coś poza rozpaczliwym położeniem, zwraca się do drugiego śmiertelnie rannego człowieka, do austriackiego generała, który obok niego spoczywa w łódce: „Jakże czuje się pan, jenerale?“ — „Wybornie“, odpowiada zagadnięty, „bo widzę, że pan drży“. Jest już sądzone, że cesarz tego dnia nic wesołego nie usłyszy z ust konających... Zapada więc w ponurą zadumę, a wydawszy ogólne zarządzenia i pozostawiwszy szczegóły sztabowi, zapada w ciężki sen. Śpi długo, długo — jakby ten człowiek żelaznej woli nie chciał zbudzić się, wiedząc, że go nic dobrego nie czeka po przebudzeniu... Wstawszy wreszcie, zwołuje radę wojenną — po raz drugi w życiu. Chce zbadać usposobienie marszałków. Wszyscy przemawiają za jak najszybszym odwrotem — i musi im wykazywać, że odwrót to pewna, a nowa bitwa to tylko prawdopodobna zguba...

Wspaniały obraz nastrojowy! Wystarczyłoby powtórzyć bez upiększenia faktu i historyczne słowa, aby wywołać potężne wrażenie. Ale wrażenie to pomściłoby się na całości, popsułoby linję. Wszakże po Aspern nastąpiło Wagram, po Wagram małżeństwo z Marią Ludwiką i narodziny króla rzymskiego. Co więcej, silne efekty wieczoru po bitwie pod Aspern osłabiłyby działanie na czytelnika późniejszej serji klęsk i zachowania się Napoleona w ich czasie. Sen jego i ponura zaduma nie może spowszednieć. Tylko mistrz kompozycji mógł zdobyć się na wyrzeczenie się części materiału, dającej pole do tak świetnego opracowania. Podobnie Szekspir pominął wyprawę Antonjusza na Partów, aby nie używać przedwcześnie motywów klęski, śmiertelnego niebezpieczeństwa i myśli samobójczych, ponieważ to wszystko miało mu posłużyć przed katastrofą.

Mniej więcej z tych samych powodów nie przedstawił Hardy ławy Pruskiej i Frydlandu. Ława nie była wprawdzie klęską, ale nie była i zwycięstwem, a kosztowała dużo krwi. Zatrzęsła też giełdą paryską, która już wtedy była nieomył-

nym termometrem dziejów. Hardy strzegł się załamania linii Napoleona, więc zaznaczył tylko po bitwie pod Jeną przez usta duchów, że zwycięzcy zajęli Berlin i puścili się dalej za pokonanymi „poprzez sosnowe lasy i kałuże“, a potem zaraz przystąpił do przedstawienia układów w Tylży.

Wyolbrzymienie doniosłości kampanji hiszpańskiej i przedstawienie tej kampanji również jako wznoszącej się wciąż ku górze linii prostej, podczas gdy w rzeczywistości mocno fałdowała, jest bezwątpienia celowe. Konstrukcja ma prawie geometryczną prostotę. Linja Napoleona opada, linja Wellingtona wznosi się, punktem przecięcia jest Waterloo, klęska Napoleona konsekwentnym wynikiem konfiguracji. Prawda historyczna musi ustąpić wszechwładzy twórczej. Wprawdzie nowoczesnemu autorowi nie ujdą dowolności w stylu Szekspira. Ale Hardy uważa, iż przysługuje mu prawo przemilczania pewnych wypadków i po mistrzowsku korzysta z tego prawa.

Genjusz kompozycyjny jego objawia się i w zestawieniach. Jest w nich najczęściej ironiczna równoległość. Pod Trafalgarem Nelson zwyciężył i zginął, Villeneuve został pobity, szukał śmierci i wyszedł z życiem. Następny akt (A, V) przyniesie uroczyste powitanie zwłok angielskiego admirała, wielbionego i sławionego po zgonie, oraz postawione obok samobójstwo francuskiego, który cieszy się, że nie ma dziecka, aby „objęło po nim fatalne dziedzictwo i jęczało pod brzemieniem jego nazwiska“. Są to zaledwie sparafrazowane autentyczne słowa z listu Villeneuve'a do żony. Hardy przyspiesza nieco jego samobójstwo, które tym sposobem wyprzedza bitwę pod Austerlitz, ale osiąga wyborny efekt.

W B, IV urodzinowy bankiet księcia Walji zestawiony jest z Walcheren. W VI akcie tej części podobnie ma się rzecz z połogiem Marji Ludwiki i bitwą pod Albuerą, z okropną sceną w Windsorze i nowem przyjęciem u regenta; Napoleon prawie równocześnie ponosi klęskę w Hiszpanji i otrzymuje dziedzica, Jerzy III „wygrywa bitwę“ i dochodzi do szczytu swych cierpień, jego syn hula w najlepsze. Potem

sceny hiszpańskie przeplatają się z rosyjskimi. Tu już klęska towarzyszy klęsce. Jest to znak, że zbliża się katastrofa.

Tylko końcowy obraz bitwy pod Waterloo nakreślony jest inaczej. Hardy powiedział sobie: „Bierz najwyższy ton!“. Gdyby chciał, znalazłby materiał do wstawek, ale wiedział, że osłabiłby nimi efekt. Jak owa wdowa po żołnierzu, zabitym pod Quatre Bras, postanowił sobie, że musi zobaczyć koniec i nie oddala się ani na chwilę od Mont St. Jean, La Haye Sainte, Nivelles i Plançenoit. Te sceny stanowią osobny dramat z prologiem brukselskim i okropnym epilogiem w lesie Bossu. Zresztą stanowiły go i w historii.

Lecz dramat ten tak, jak go mamy w „Dynastach“, w porównaniu z historją nie jest kompletny. Brak w nim jednej postaci — Rotschilda. A przecież finansista w tej wielkiej chwili swej kariery nawet dosiadł konia, aby śledzić przebieg boju, a po rozstrzygnięciu się jego na rzecz Anglików pocwałował ku wybrzeżu i błyskawicznie przeprowił się do Londynu, aby kilka godzin, o które wyprzedził oficjalne wiadomości, zamienić na giełdzie w stopy złota. To epizod ważniejszy od wszystkich innych, to początek nowej ery. Dynaści tłumią krwawo ostatnią rozpaczliwą próbę Napoleona. Będą rozkoszowali się triumfem, pewni, że wskrzeszą *ancien régime*. Ale oto powstaje potęga nowa, która pewniej i trwalej, niż jakkolwiek zdobywca, zakuwa w kajdany ciała i dusze. Wnet wyrośnie nad głowy i monarchom i powstałym na gruncie zasad rewolucji francuskiej demokracjom. Pisarz, uprawiający z początkiem XX w. historjozofję, powinienby coś o tem wiedzieć — zwłaszcza, że musiał sto razy przechodzić koło prawdziwego symbolu bitwy pod Waterloo, koło stojących obok siebie u wejścia do *Hyde Parku* pałacyków Wellingtona i Rotschilda.

Chwytam się jednak — po raz nie wiem który — na gorącym uczynku przekroczenia granic krytyki. Zajmuję się tem, coby powinno być w „Dynastach“, gdyby ich idea była zupełnie inna. Wedle koncepcji Hardy'ego obraz jest kom-

pletny i, o ile zaniechamy dyskusji nad koncepcją, podziwu godny.

Jeszcze jedną zaletę trzeba koniecznie wymienić. Autor zdołał niezliczone w „Dynastach“ bitwy, potrząsając swym kalejdoskopem i wciąż zmieniając punkt widzenia, tak urozmaicić, że nie nużą czytelnika. Używa w tym celu różnych środków. Roztacza przed oczyma nie cały bój, lecz tylko pewne jego charakterystyczne momenty, raz przedstawia jedynie wynik, innym razem podaje go w formie wieści lub przez usta chóru duchów. Czasem maluje tylko nastrojowo przygotowania do walki. Posiada przytem pewien zmysł strategiczny i umie pochwycić cechy, które bitwę wyodrębniają z pośród innych. Energicznymi pociągnięciami pendzla kreśli zwykle rodzaj mapy terenu, a potem zaludnia ją armjami. Pomaga mu w tem bardzo umieszczony zwykle wysoko punkt widzenia — i czytelnikowi musi zdawać się nieraz, że przygląda się rozburzonemu mrowisku.

XXVII.

Szereg angielskich krytyków witał „Dynastów“ jako pomnikowe arcydzieło, godne stanąć obok „Ilijady“ i „Boskiej komedji“. Porównywano ich też z „Faustem“, z „Rajem utraconym“, z „Prometeuszem wyzwolonym“. Te zachwyty były bezwątpienia przesadne. Historjzofja utworu kłóci się z metafizyką, a obie są fałszywe. Forma jest źle wybrana, wykonanie ma poważne nierówności. Czytelnik myśli raz: „Czemuż ten Hardy od młodości nie poświęcił się poezji?“, drugi raz: „Czemu temu Hardy'emu ustawowo nie zabronili pisać wierszy?“ To też w miarę, jak perspektywa rośnie, słychać w Anglii głosy bardziej umiarkowane.

A jednak jest w „Dynastach“ pewna wielkość, pewien rozmach, pewne wulkaniczne rozognienie siły twórczej, które sprawia, że trudno oderwać się od tej książki. I doświadcza

takiego wrażenia nietylko historyk i historyk literatury. Dzieło wyszło w ograniczonym nakładzie i było drogie. *Gros* publiczności miało sposobność zapoznać się z niem tylko po tak licznych w Anglii wypożyczalniach (*circulating libraries*). Otóż, jak stwierdza Harold Williams w swem dziele *Modern English Writers* („Najnowszy pisarze angielscy“, 1 wyd. 1918, 3 wyd. 1925), statystyki wypożyczalni dowodzą nadzwyczajnej popularności „19 aktów i 130 scen“ z wojen napoleońskich.

Odegrała tu pewną rolę sama wielkość tematu. Subtelności wykonania subtelnościami, a przecie Austerlitz, Jena, Moskwa i Lipsk silniej przemawiają do duszy, niż familijne obiady i rozwodowe sprawy Forsyte'ów lub nieszczęścia Tess d'Urberville. A Trafalgar i Waterloo muszą szczególnie silnie przemawiać do duszy angielskiej — tak, jak do polskiej Grunwald i Warszawa.

Z drugiej strony obok chwały przeszłości przemawiają do niej bardzo silnie i myśli wprost przeciwne, przemawiają palące, jak do czerwoności rozżarzone żelazo, wycieczki przeciw Anglii, charakterowi angielskiemu i dziejowym triumfom Anglików. Rzecz łatwo sobie wytłumaczyć nastrojem czasów. Każdy Brytyjczyk dzisiaj świadomie lub nieświadomie czuje, że naokoło dzieje się źle i coraz gorzej. Wypadałoby przeciwdziałać, a niewiadomo, jak. Trzeba przynajmniej zająć stanowisko. Niejeden sądzi, że połowa obowiązku jest spełniona, gdy stanie w szeregu krytyków, gdy przyłączy się do Hardych, Galsworthych, Shaw'ów. Stąd popularność książek, których autorzy smagają własne społeczeństwo ironją.

Trzecią atrakcję „Dynastów“ stanowią dla Anglika wspinała rzeczywistość, typowo angielskie obrazki obyczajowe, odsunięte o sto lat wstecz i dzięki temu stwierdzające ciągłość życia narodowego i jednolity rozwój charakteru narodowego. Czy siedzi na tronie Jerzy III czy V — Anglik jest do pewnego stopnia przynajmniej jednakowy, ma te same wady i zalety. Robiono przed stu laty głupstwa i popełniano występki, a jednak dawano sobie radę z trudnościami i społeczeństwo

wydało Pitta, Focha, Nelsona, Wellingtona. Dlaczegożby dziś nie miało być tak samo?

Wszystko to jest niekonsekwentne. Lecz ludzie rzadko są konsekwentni, gdy rozumują i działają. Skądżeby mogło być konsekwentne ich podświadome ja, które najczęściej rozstrzyga o uczuciowym stosunku szerokich mas do dzieła sztuki?

Dla cudzoziemca epos Hardy'ego ma mniejszy urok. Z pewnością nie poruszy w nim tylu strun uczuciowych. Lecz zaimponuje wielkością tematu, wielkością koncepcji, nawet wielkością błędów. Przedewszystkiem zaś pobudzi do myślenia — a nie wiem, czy można utworowi literackiemu oddać większą od tej pochwałę.

Lecz moralnego zdrowia, lecz bodźca do działania, lecz nauki dla przyszłych pokoleń w „Dynastach“ nie znajdzie, a to samo powiedzieć można o całej twórczości Hardy'ego. I stwierdzili to ludzie, którzy, zastanawiając się nad kandydatami do nagrody Nobla, wybierali między nim a ś. p. Reymontem.

GRUPY SPOŁECZNE W DZISIEJSZEJ BELETRYSTYCE ANGIELSKIEJ.

I.

Jedną z cech zarówno życia angielskiego, jak literatury angielskiej było od niepamiętnych czasów silne zainteresowanie kwestjami społecznymi.

Przyczyna jest dwojaka. Przedewszystkiem rozwój konstytucyjny Anglii rozpoczął się bardzo wczesnie. Na bieg spraw państwowych wywierało wpływ stopniowo coraz więcej ludzi, więc też zupełnie naturalnym objawem były z jednej strony dążenia, aby wejść do tej uprzywilejowanej grupy, z drugiej obrona przed temi dążeniami. Prawa obywatelskie pozostawały w ścisłym związku z własnością i ta okoliczność dodawała walkom o nie zawziętości. Czasy najnowsze przyniosły równouprawnienie polityczne całej dorosłej ludności kraju, lecz w zakresie rozdziału własności pozostały ostre przeciwieństwa. Ich kwestja musiała z natury rzeczy wysunąć się na plan pierwszy.

Drugą przyczyną, równie doniosłą lub jeszcze donioślejszą była intensywność życia religijnego. Już niedole społeczne w. XIV, powstałe na tle dynastycznego imperjalizmu Plantagenetów, wywołały ruch religijno-społeczny wyklifitów, którzy zwracali się równocześnie przeciw niemoralności wyższego duchowieństwa, przeciw pewnym dogmatom i przeciw uciskowi klas niższych. Szukano w Piśmie św. lekarstwa

na wszystkie wady rozpadającej się budowy średniowiecznej. Rzecz niezmiernie charakterystyczna, że prawie równocześnie powstała pierwsza sekta i wybuchł pierwszy wielki bunt ludowy, a niektórzy zwolennicy Wyclifa, zwani biednymi księżmi, należeli do jego przywódców. Wielki mistyczny poemat, napisany około tego czasu, „Wizja Piotra Oracza“, zajmuje się równocześnie zagadnieniami religijnymi i dolą ludu. Odtąd miał przez lat czterysta z górą zachodzić między kwestjami religijnymi a socjalnymi wyraźny związek. Biblia stała się podstawą do projektów i prób przebudowania społeczeństwa.

Nawet największy z humanistów, Sir Tomasz More, snując w swej „Utopji“ teorie komunistyczne i etatystyczne, czerpał natchnienie nietylko z Platona, ale i z św. Augustyna¹. Uważał swój utwór za czystą fantazję bez praktycznego znaczenia, ale nie wszyscy stali na tem stanowisku, co autor, i wiadomo, że w kilkanaście lat po wyjściu „Utopji“ powoływali się na nią agitatorzy ludowi, którzy doprowadzili do krwawego rokoszu. Książka Sir Tomasza jest w swej pozytywnej części nierealna, nie myślał on ani przez chwilę, że możnaby przedstawiony tu ład społeczny wprowadzić w życie. Lecz prócz fantastycznych obrazów idealnego państwa „Utopja“ zawiera także krytykę istniejących stosunków — i to nie są już jakieś rojenia czy żarty, lecz poważne oskarżenia. More wytyka swym współczesnym szereg złych urzędzeń. Zwraca uwagę na służbę magnacką, która przyzwyczajają się do życia bez pracy, a w razie straty miejsca staje się ciężarem dla społeczeństwa. Podobnie mówi o żołnierzach, pomnażających w czasie pokoju zastęp złodziei i rabusiów. Nietyle część pozytywna, ile właśnie ta część negatywna czyni „Utopję“ pierwszą książką angielską, poświęconą sprawom społecznym. Z tego powodu uczciłem ją obszerniejszą wzmianką. Na podobne traktowanie dalszych

¹ *De civitate Dei.*

dziejów rozwoju angielskiej myśli socjalnej niema miejsca w niniejszym szkicu. Ograniczę się do zasadniczych faktów.

Odrodzenie wprawdzie przynosi nieznaną średniowieczu swobodę myśli i słowa, ale z drugiej strony odwraca uwagę od kwestyj społecznych. Odmłodzony po wojnach domowych XV w. organizm narodu wyteża swe siły w innych kierunkach. Wytwarza się potęga zewnętrzna — polityczna i ekonomiczna, wytwarza się wiekopomna literatura piękna. Jedno i drugie stoi jednostkami i sprzyja jednostkom, wobec których szara masa schodzi do roli zer w cyfrze lub statystów w teatrze. Dzieje się to zaś mimo faktu, że Anglja zmieniła wiarę. Ale wielcy mężowie pokolenia elżbietańskiego nie są prawdziwymi protestantami. Królowie i ich doradcy stworzyli narodowi surogat reformowanego kościoła; było im to dogodne ze względów politycznych, a sprawy religijne w gruncie rzeczy ich nie interesowały. Idea demokratyczna żyje tylko wśród skrajnych sekt, stojących na lewo od *High Church*.

W miarę jak państwo słabnie i traci powagę nazewnątrż, a nawewnątrż walczy z coraz cięższymi trudnościami, sekty te rosna w siły. Kryzys wojny domowej jest starciem zarówno między purytanami a dążącym do absolutyzmu w sprawach świeckich i kościelnych królem, jak między mieszczaństwem, sięgającym po udział w rządach, a szlachtą. Ostatecznie ster ruchu purytańskiego dostaje się w chwili jego zwycięstwa w ręce ludzi pod względem społecznym umiarkowanych, których idee są raczej republikańskie, niż demokratyczne. Lecz skrajna myśl społeczna nie wygasa w radykalnych sektach. Po restauracji zaczynają wyraźnie rysować się stronnictwa wigów i torysów. Jedni i drudzy mają swe poglądy socjalne, ściśle złączone z pewnymi poglądami religijnymi, to też w sporach politycznych jedne nie dają oddzielić się od drugich.

W czasie wojny domowej pisał Milton o Londynie jako o głównej kwaterze stronnictwa parlamentarnego:

Spójrzcie na to rozległe miasto... Warsztat wojenny nie ma przy pracy tylu kowadł i młotów, które wykuwają pancerze i miecze sprawiedliwości, uzbrojonej w obronie obłożonej prawdy, niż jest piór i głów, co przy świetle przyświecających trudowi lamp myślą, dociekają, roztrząsają nowe pojęcia i idee...

Miecze i pancerze przysły, ale pojęcia i idee zostały. Pisma prozaiczne Milтона są wielkim hymnem na cześć skrajnego protestantyzmu i demokracji, a zwalczają kościół episkopalny i teorię o boskim pochodzeniu władzy królewskiej. Ale równocześnie występuje uczyony, który postanowił sobie oprzeć absolutyzm na innych podstawach. Hobbes w „Lewjatanie“ stwierdza istnienie między poddanymi a monarchą umowy, ale uważa ją za nieodwołalną, gdyż w przeciwnym razie powróciłby poprzedzający ją stan wojny wszystkich przeciw wszystkim, który uczynił jej zawarcie koniecznością. I w tem dziele zajmują kwestje kościelne ogromnie wiele miejsca. Reakcją na nie będą teorie społeczne Locke'a, zwracające się ostro przeciw absolutyzmowi i dowodzące, że nieodwołalność owej umowy jest nonsensem.

Epoka restauracji przyniosła wielkie odkrycia naukowe i zwróciła szereg wybitnych ludzi na tory nauk ścisłych. Na gruncie tych nauk zaczęła rozwijać się nowa filozofja. Teraz dopiero pojawia się prawdziwa swoboda myśli. Teorja poznania wydaje racjonalizm XVIII w. Przypisuje się zazwyczaj przełomowe znaczenie pismom encyklopedystów francuskich oraz Voltaire'a i Rousseau'a. Myśliciele angielscy ich wyprzedzili. Voltaire kształtował w Anglii swój pogląd na świat, Montesquieu w *Ésprit des lois* proponował Francji wprowadzenie angielskiej konstytucji, filozofja Locke'a i Hume'a, polityczne i religijne myśli Bolingbroke'a i Shaftesbury'ego były dla encyklopedystów punktem wyjścia. Deizm zrodził się w Anglii, jego zasadnicze myśli sformułował był już w w. XVII Herbert of Cherbury, a rozwijali je następcy. Nawet ateizm miał swoich przedstawicieli angielskich, a w tym czasie, kiedy krwawa zawierucha wielkiej rewolucji szalała we

Francji, szereg Anglików — np. Paine i Godwin — głosił pokrewne idee. Zresztą niejedyn z francuskich rewolucjonistów — np. Marat — otarł się był o Anglię.

Nadchodzi romantyzm. W chwili, gdy Anglja walczy na śmierć i życie z Francją rewolucyjną i napoleońską, niejedyn z wielkich pisarzy angielskich sympatyzuje z nieprzyjacielem bardziej, niż z własną ojczyzną, a przynajmniej z porządkiem społecznym, którego ta ojczyzna broni i który ostatecznie udaje się jej zwycięsko przywrócić. Związek między religją a zagadnieniami społecznymi jest dalej widoczny — tylko dawniej polegał na religijności demokratów, teraz na ich wrogiem usposobieniu względem religji, a przynajmniej kościoła. Nawet ateizm zrodził się z potrzeby wiary. Shelley byłby w średnich wiekach został mistykiem. Zresztą zwalczając pojęcie Boga, nie może obejść się bez niego i zostaje panteistą. Równocześnie głosi skrajne przekonania społeczne.

Przez cały wiek XIX Anglja wciąż przechodzi zmiany ustroju. Towarzyszy im gorączkowa działalność publicystyczna. Wśród wymiany żywego i drukowanego słowa arystokracja przeobraża się w demokrację, pojawia się ochrona pracy, rozdrabnia się własność ziemska. Największy powieściopisarz angielski, który nie bawi się w teorie społeczne, jest jednak szczerym, pełnym zapału demokratą i surowym krytykiem starej Anglji, mającej zstąpić do grobu. Cały szereg urzędów, odmalowanych przez niego czarnymi kolorami, ulega zniesieniu lub zasadniczej reformie.

Tymczasem po wyczerpaniu się romantyzmu, którego filozofja była idealistyczna, wzbiera fala materializmu. Znowu przoduje światu Anglja. Jej wielcy naturaliści XIX w. występują z teorjami, wedle których człowiek nie ma różnic się istotnie od innych stworzeń żyjących. Od tego poglądu krok tylko do traktowania ludzi mechanicznie jako równe sobie okazy pewnego rodzaju. Socjalizm jest przez lat dziesiątki w powietrzu. Jego podstawowe myśli wygłasza Blanc, pół Szkot, pół Francuz. Ostatecznie formułuje i układa je

w jednolity system niemiecki Żyd Marx. W Anglii po czysto teoretycznych dociekaniach pojawił się już był w połowie wieku socjalizm chrześcijański, teraz pojawia się ostrzejsza forma, mająca wyraźne zabarwienie antychrześcijańskie. Oba kierunki znajdują odbicie w literaturze. William Morris rzuca na ekran przyszłości wizję ustroju socjalistycznego. Jego „Wieści znikąd“ (*News from Nowhere*) stanowią ogniwo, łączące „Utopję“ More'a z fantazjami Wellsa.

Pod koniec XIX w. Anglja osiąga szczyt potęgi i rozkwitu. Liberalizm daje społeczeństwu *maximum* dobrobytu, jaki zdolny był stworzyć. Budzi się imperjalizm i włącza coraz nowe ziemie w skład olbrzymiego państwa. Ale równocześnie zaczyna coś psuć się. Przeciwnieństwo między bogactwem a nędzą staje się zbyt jaskrawe. Anglja wikła się kolejno w dwie wojny — naprzód w małą, lecz uciążliwą, potem w zastraszającą ogromem. Ciężary państwowe stają się nieznośnymi, przeludnienie przybiera niebezpieczne rozmiary. Zwycięstwo w wojnie światowej nie polepsza położenia, lecz je pogarsza. W imperjum coraz silniej działają siły odśrodkowe. Rozrósłszy się pötwnie, przemysł widzi się nagle pozbawionym rynków zbytu. Pojawia się klęska bezrobocia. Zbawienne w zasadzie instytucje społeczne zaczynają wywierać wpływ szkodliwy. Wysokie płace robotnicze zabijają produkcję. Związki zawodowe zmieniają się w groźną potęgę, która ją niszczy strajkami lub groźbami strajków. Wkrótce po ostatecznem zdemokratyzowaniu systemu wyborczego rządu parlamentarne stają się iluzją. O najżywotniejszych zagadnieniach rozstrzygają interesy kapitalistyczne lub stanowe. Jasne zorientowanie się w sytuacji utrudnia masom nieuczciwa prasa.

Nie będę dłużej rozwodził się nad temi stosunkami, którym więcej miejsca poświęciłem już poprzednio. Nie ulega wątpliwości, że każdy myślący Anglik zdaje sobie sprawę, iż źle się dzieje. Więc szereg pisarzy zastanawia się nad położeniem, bada objawy i przyczyny, ewentualnie szuka

środków zaradczych. Naturalnie nasuwa się jako taki środek gruntowna przebudowa ustroju społecznego.

W Anglii rozkład zaszedł niewątpliwie dalej, niż w innych krajach europejskich, cierpiących na te same choroby. To też oczy Anglików zwracają się ku narodom, które przedsięwzięły już próby kuracji.

Na wschodzie Europy zrobiono straszliwy eksperyment, wcielono w życie cały system Marxa i stworzono opartą na nim organizację państwa. Niepodobna nikomu wobec tego faktu przejść obojętnie. Trzeba zająć stanowisko — tem bardziej, że komunizm sięga Anglii mackami propagandy, nie jest zaś niczem innym, jak konsekwentnym socjalizmem, posługuje się temi samemi formułkami i symbolami, znajduje więc mniej lub więcej silny oddźwięk w duszy każdego socjalisty. Nasuwa się myśl, że może to on właśnie stanowi jedyne zbawienie.

Między tem, co zaszło w Rosji, a tem, co zaszło we Włoszech, istnieje uderzająca analogja. I tu i tam rewolucyjnym trybem zorganizowana mniejszość ujęła przemocą ster rządów. Nie jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, że i hasła i metody były inne. Różnice dają sprowadzić się do przeciwieństwa między Wschodem a Zachodem, między kulturą wschodnią, która zgniła, zanim dojrzała, a starą kulturą łacińską, opartą na powolnym, konsekwentnym rozwoju. Kultura wschodnia z naiwnością dziecka i śmiałością niedorostka, a równocześnie z niepraktycznością doktrynera usiłowała wszystko oprzeć na jednolitej teorji i nie troszczyła się zupełnie o powstające stąd sprzeczności, ani o ludzkie cierpienia w okresie rzekomo przejściowym. Zresztą zesła już na drogę kompromisów. Kultura łacińska nauczyła ludy zachodnie odróżniać poszczególne czynniki ustroju społecznego, przedewszystkiem prawo własności od prawa udziału w rządzie. Pozostawiła pierwsze niezmienionem, natomiast dokonała poważnych przesunięć w zakresie drugiego. Zrobiła to zaś z charakterystyczną szczerością, której naprózno by szukać

u bolszewików, wojujących wciąż nietylko frazesami, ale i świadomem kłamstwem.

Oba ruchy były w Anglii przedmiotem bacznej obserwacji i znalazły w niej oddźwięk. Są tam już i komuniści i faszyci. Ponieważ jednak komuniści angielscy są ruchliwsi od faszystów, a nadto polityka światowa ustawicznie — często w bardzo niemiłej formie — zwraca uwagę Brytyjczyków w stronę Rosji, w literaturze dotychczas dość często było można spotkać się z komunizmem, a rzadko z faszyzmem.

II.

Trzeba było słów parę poświęcić zarówno dziejom angielskiej myśli społecznej w przeszłości, jak przyczynom, które od początku w. XV zmuszają koryfeuszów literatury do zajmowania się kwestjami socjalnymi. I tradycja i potrzeby chwili pchają ich w tym kierunku. Gdy zwłaszcza przyjrzymy się czasom obecnym, dziwić się będziemy nie temu, że ustroj społeczeństwa i forma rządu zajmują tyle miejsca w literaturze pięknej, lecz raczej temu, że są jeszcze wielcy pisarze, którzy temi kwestjami się nie interesują lub interesują się tylko ubocznie.

A są niewątpliwie. Największy z nich, Polak z pochodzenia, zstąpił niedawno do grobu. Zresztą warto zaznaczyć, że Conrad unikał kwestyj społecznych głównie dzięki egzotyczności swych tematów. Drugi, Arnold Bennet, maluje życie i naturę ludzką, niewiele troszcząc się o resztę. Ten znów uciekł przed piekąciami zagadnieniami chwili na głęboką prowincję „pięciu miast“, których ludność przedstawia z takim zamięłowaniem. Trzeci, Hardy, jako powieściopisarz należy do w. XIX. Od początku w. XX działa już tylko na niwie poezji. Nie wchodzi tu w grę jako konsekwentny pesymista, który zgóry wyklucza wszelką możliwość poprawienia świata. Czwarty, Kipling, to znów płytki optymistą.

Uważa, iż tak, jak jest, jest dobrze i nie tylko radby istniejące stosunki utrzymać, ale i podnieść do kwadratu. Nawiasem mówiąc, hymny na cześć imperjum i nawoływania do rozszerzenia tej budowy czyta się z dziwnym wrażeniem dziś, gdy jej wiązania coraz bardziej złowrogo trzeszczą.

Zresztą Kipling ma rację bytu. Nie jest fantastą. Tak, jak on, myślą jeszcze miliony Anglików, a co ważniejsza, setki polityków angielskich. Obecne trudności uważają za przejściowe i marzą o powrocie do przedwojennego stanu rzeczy; stworzyli nawet, używając niezbyt szczerze różnych nowomodnych a dźwięcznych haseł, organ, który ma im w tem dopomóc, Ligę Narodów.

Lecz w literaturze Kipling jest bezwzględnie wyjątkiem. Przeważa w niej niezadowolenie z dzisiejszych stosunków, przeważa ich surowa, czasem nawet aż nazbyt surowa krytyka, posługująca się raz sarkazmem, raz łagodnym lub zjadliwym szyderstwem, a z potępianiem istniejącego stanu rzeczy często idzie w parze omawianie środków zaradczych.

Wedle tego, czy kto wogóle podaje takie środki, i ewentualnie, jakie podaje, możemy współczesnych beletrystów angielskich podzielić na trzy grupy. Z każdej z nich uwzględnię tylko osobistości najwybitniejsze, pomijając mniej ciekawe postaci ich zwolenników i naśladowców.

III.

Pierwsza grupa ma charakter czysto negatywny. Jej przedstawiciel, John Galsworthy wykazuje ustawicznie, że jest źle i coraz gorzej, ale najwidoczniej nie żywi nadziei, aby społeczeństwo dało się odrodzić. Zresztą nie wypowiada swych poglądów na przyszłość. I w ocenie teraźniejszości często czuje się u niego pewną nieszczerłość. Lektura jego utworów wywołuje wrażenie, iż autor ustawicznie pozuje, strzegąc się pilnie, aby przypadkiem czego zbyt sympatycznie nie przed-

stawić, aby nie zdradzić się z wiarą, że na świecie mogłoby jeszcze kiedyś być lepiej.

Pierwsza powieść Galsworthy'ego wyszła w r. 1900, ale autor „Willi Rubein“ miał już wtedy lat 33. Przyniósł do literatury gotowy pogląd na życie, który skryształizował się przez krótki czas panowania hasła „Sztuka dla sztuki“. Stąd do duszy Galsworthy'ego przemawiają najsilniej wzruszenia estetyczne. Obłudzie, egoizmowi, beznadziejności ludzkiej ma do przeciwstawienia głównie tylko piękności natury i sztuki. Gdy lituje się nad swymi bohaterami, pozwala im odpocząć „po gorączkowych konwulsjach życia“ w cieniu odwiecznego dębu, wśród kwiatów, nad szumiącym strumykiem lub zapomnieć o troskach w galerji obrazów.

Ulubioną sztuką Galsworthy'ego jest malarstwo. W jego ostatniej powieści („Biała małpa“, *The White Monkey*, 1924) obraz, od którego poszedł tytuł, staje się symbolem całego życia nowoczesnego. Szereg sympatycznych lub prawie sympatycznych bohaterów Galsworthy'ego — od Harza w „Willi Rubein“ zacząwszy — jest malarzami. Jedną niesympatyczną czyni kolekcjonerem obrazów i ustawicznie wraca do tego samego motywu: Soames Forsyte w ciągu długich lat nabrał znajomości rzeczy, umie rozróżniać szkoły i kierunki malarzskie, ale zbiór swój uważa przede wszystkim za lokatę kapitału, jak każda inna. Nietylko kupuje, ale i sprzedaje; interesuje się konjunkturą; stara się przewidzieć, jakie obrazy wejdą w modę i podskoczą w cenie. Jednym słowem mimo pewnego zamiłowania traktuje dzieła sztuki niby walory giełdowe.

Soames jest przedstawicielem angielskiej „wyższej klasy średniej“, którą Galsworthy bezlitośnie smaga satyrą w cyklu powieści, zatytułowanym ironicznie „Saga o Forsyte'ach“ (*The Forsyte Saga*). Galsworthy poddał go próbie przy pomocy tego, co sam najwyżej ceni, i na tej podstawie potępił. Przeciwwstawił mu dwóch artystów, z którymi los popy-

cha go w konflikt, — w pierwszej z cyklu powieści „Właściciel“ (*The Man of Property*) architekta Filipa Bosinney, w dwóch dalszych malarza Jolyona Forsyte'a (Młodsze), który mocno odrodził się od familji.

Powiedziałem powyżej, że Galsworthy pozuje. Należy to również przypisać wpływowi hasła sztuki czystej. Jego główny angielski przedstawiciel, Wilde, poświęcił własnemu wyglądowi i obejściu, jeżeli nie więcej, to z pewnością tyle uwagi, co i dziełom. Nietylko utwory muszą być piękne, ale i sam artysta — zawsze subtelny, zawsze tchnący estetyczną wyższością, równowagą i spokojem arystokraty ducha. Taka jest poza Galsworthy'ego. Mimo głębokiego pesymizmu nigdy nie wybuchnie krzykiem rozpacz lub oburzenia. Jego ironja nie tryska, jak strumień lawy, spada systematycznie po kropli i wydrąza głązy *saepe cadendo*. Galsworthy posiada zapewne niewiele uczucia, lecz bacznie stara się ukryć i tę niewielką ilość. Czasem tylko wzruszy go miłość — ale nigdy ta, która bez poważniejszych przeszkód wiedzie mężczyznę i kobietę ku gniazdu rodzinnemu. Musi przynajmniej być prześladowana w imię różnic społecznych, czy ogólnie przyjętej moralności, którą Galsworthy uważa za zbiór szkodliwych przesądów,

Bohaterów „Willi Rubein“ dzieli różnica narodowości, klasa społeczna i przeszłość mężczyzny, gdyż Krystyna jest Angielką z zamożnej rodziny, a Harz austriackim Niemcem i malarzem, nadto rząd prześladowuje go za to, że niegdyś należał do kółka anarchistów. Ojczym panny, nie będący zresztą Anglikiem, chcąc niewygodnego wielbiciela Krystyny usunąć z widowni, denuncjuje go przed policją — i wtedy reszta jej rodziny staje po stronie kochanków. Stary i chory Nic Treffry uwozi Harza za granicę włoską, Krystyna wraz z małą siostrą urządzają nocną wyprawę do pracowni malarza, aby zabrać jego obrazy. I tu następuje jedyna świetna scena słabej naogół powieści, zdolna silnie przemówić do uczucia. Stara nauczycielka Miss Naylor, pilnie przestrzegająca trady-

cyjnej *respectability*, jest tak wzruszona, że obcinając róże w ogrodzie i rozmawiając równocześnie z senną Gretą, ustawicznie niszczy zdrowe pączki. Wyraźnie widać tu wpływ Dickensa — tak jak wprowadzenie konfliktu rewolucjonisty z policją austriacką poddał bezwątpienia Browning.

Wogóle świat powieści jest wyczytany z książek. Satyrę społeczną reprezentuje między innymi zbyteczna i papierowa postać włoskiego hrabiego, który wciąż piorunuje przeciw anarchistom, zapija się z powodu dawnego zawodu w miłości i wspomina swą karierę wojskową. Jest to chyba symbol przeżywającego się starego świata. O anarchistycznej przeszłości Harza nie dowiadujemy się nic bliższego. Fakt, że podłości dopuszcza się „krwawy cudzoziemiec“ (Niemiec, a może Czech), Brytyjczycy zaś okazują się szlachetnymi, należy chyba uznać za kokietowanie czytelników, częste w literaturze angielskiej. Galsworthy miał wznieść się na wyższy poziom artystyczny dopiero po powrocie na lepiej sobie znany grunt angielski i po wyraźniejszym zdeklarowaniu się jako satyryk społeczny. W dalszych powieściach wciąż przesładuje czytelników w lekki ironiczny uśmieszek wykrzywiona maska autora.

Zanim Galsworthy poświęcił się literaturze, był adwokatem. Często też porusza zagadnienia prawnicze. Jego ostatnia sztuka, wystawiona z wiosną 1925 r., wymierzona jest przeciw przestarzałej angielskiej ustawie, traktującej samobójstwo jako zbrodnię, a ulubionym motywem jego powieści jest proces. Musiał dużo rozmyślać nad zagadnieniem odpowiedzialności człowieka i poszedł daleko w kierunku nowszych teorii prawniczych, znacznie ograniczających tę odpowiedzialność. Czyny ludzkie przedstawiają mu się jako wynik wychowania, stosunków, okoliczności, a także odziedziczonych skłonności. Wobec tego wszystkiego wola schodzi na plan ostatni. Postaci Galsworthy'ego prawie nie znają walk wewnętrznych. Jeżeli ociągają się z działaniem, to zwykle tylko pod wpływem nerwów lub zewnętrznych warunków.

W gruncie rzeczy autor rozgrzesza je z wszelkiej odpowiedzialności, gdyż nie mogą postępować inaczej. Tem silniej oskarża ustrój społeczny, ustawy, rozpowszechnione pojęcia i sposób myślenia przeciętnego Anglika.

Studjum prawa i praktyka prawnicza dały też Galsworthy'emu znaczną dozę bezstronności. W kwestji społecznej sympatyzuje on bezwątpienia z socjalizmem. Michał Mont, bohater jego ostatniej powieści, już powyżej wspomnianej, należy do *Labour Party*. Lecz Galsworthy strzeże się pilnie aby zachować sędziowską bezstronność i pozę sceptyczną. „Biała małpa“ zawiera charakterystyczną scenę, w której zapąły społeczne Michała otrzymują dotkliwą nauczkę. Jest on człowiekiem zamożnym i żyje dostatnio. Spotkawszy pozabawionego zajęcia robotnika, którym się opiekuje, zaprasza go do restauracji na śniadanie (*lunch*). Pojawiają się na stole ostrygi, ryba i francuskie wino. Michał wstydzi się nieco swego zbytku i zaczyna się usprawiedliwiać. Lecz jego gość daje mu do zrozumienia, że wedle niego wszystko jest w porządku, że on sam marzy, aby tak jadać, więc nikomu nie może mieć za złe dobrego śniadania. Jest większym snobem, niż Michał. Nie pragnie równać ludzi, wolałby sam wznieść się do wyższej klasy.

W dramacie „Zapasy“ (*Strife*) patrzymy na walkę między pracą a kapitałem, objawiającą się w najzwyczajszej formie, w strajku. Stoją naprzeciw siebie przywódcy dwóch obozów. Oba zostają ostatecznie pognębieni.

Bezwzględna krytyka angielskiego życia Galsworthy nieco przypomina Dickensa. Lecz Dickens oskarżał, bo złego nienawidził i przed oczyma miał ideał. Galsworthy oskarża, bo ważąc wszystko na szalach subtelnego intelektu, uznał, że jest niedobrze. Niebardzo jednak go to wzrusza, przynajmniej zaś robi taką minę, jakby go nie wzruszało. Poczyniwszy pewne ustępstwa na rzecz prawdy życiowej, Dickens nagradzał i karał osoby swych powieści. Jego zbrodniarze giną na szubienicy (Dennis, Fagin) lub w ucieczce przed spra-

wiedliwością (Bill Sykes, Quilp), czasem popełniają samobójstwo (Ralf Nickleby, Jonas Chuzzlewit). I za złe przezwinięcia spotyka ich zwykle kara — autor pod koniec powieści ukazuje ich w więzieniu lub w upadającej nędzy. Przytem, jak już wspomniałem w szkicu o „Dynastach“, lubi im czasem sprawić lanie za pośrednictwem jednej z sympatycznych postaci (Mikołaj Nickleby — Squeers, Dick Swiveller — Quilp). Czuje się przytem, jaką to autorowi sprawa przyjemność. Galsworthy uważa się za wyższego nad podobne, nieco dziecinne, ale bardzo ludzkie wzruszenia. Jest realistą, a że na życie ma pogląd pesymistyczny, więc zwykle unieszczęśliwia w czambuł winnych i niewinnych, a raczej sympatycznych i niesympatycznych, gdyż winy prawie nie uznaje. Niesympatycznych smaga tylko biczem ironji i sarkazmu. Soames Forsythe zbiera policzki moralne od pierwszej i od drugiej żony, a także od szeregu innych osób. Lecz Galsworthy daje mu ostatecznie szczęśliwą starość w otoczeniu rodziny, pozwala mu nawet w „Białej małpie“ wyjść z godnością z przykrego zawikłania, w które popadł jako członek rady nadzorczej pewnego towarzystwa akcyjnego. Epizod ten jest stanowczo triumfem moralnym Soamesa.

Galsworthy ma stanowczo w pogardzie cnotę, którą Dickens cenił najwyżej. W dyskusji między Porcją a Szajlokiem stanąłby bez wahania po stronie Szajloka. Pogardza litością. Michał Mont kilkakrotnie, gdy go unosi popęd miłosierdzia, powtarza sobie aforyzmy w rodzaju lapidarnego *Pity is tripe* (*tripe* jest to potrawa z żołądka wołowego, tania, niesmaczna i miana w pogardzie, stąd w żargonie stała się symbolem czegoś lichego i wstrętnego).

Zresztą Galsworthy poświęcił parę utworów na wyszydzenie litości i dowiedzenie, że nie osiąga ona swego celu. Jednym z takich utworów jest dramat *The Pigeon*. Tytuł trudno przetłumaczyć, a w żadnym razie nie powinien brzmieć „Gołębie serca“, jak go polsku oddano. „Gołębim“, który każdemu pozwala się skubać, jest malarz Wellwyn, odznaczający

się chorobliwą słabością do nędzarzy i włóczęgów. Napróżno upomina go córka i napróżno składa jej wciąż przyrzeczenia poprawy. Ile razy wyjdzie do miasta, wraca bez pieniędzy. Często przyprowadza obdartych gości, często też przyznaje się ze wstydem, że znowu w braku gotówki dał komuś bilet ze swym adresem i naturalnie odwiedziny nastąpią w najbliższym czasie.

Obok Wellwyna stoi trzech filantropów, nie mogących się z sobą zgodzić, gdyż każdy pragnie działać inaczej. Są to doktrynerzy miłosierdzia. Profesor Calway każe popierać inicjatywę państwową, gdyż wedle niego ta tylko zdolna jest podnieść moralnie biedaka. Sędzia pokoju Sir Tomasz Hoxon ma inny pogląd. Radzi pomagać prywatnym towarzystwom i organizacjom, aby ratowały tych, którzy na to zasługują. Innych — niech djabli biorą. Trzecim w tej grupie jest pastor Bentley. Zajmuje stanowisko pośrednie i kładzie naturalnie silny nacisk na religję.

Jak widzimy, idzie tu o rozstrzygnięcie zagadnienia, czy warto wspierać biedaków upadłych moralnie lub zagrożonych upadkiem. Takich jest znowu troje. Były fiakier Timson pije, lecz nosi w sercu ideał angielskiej *respectability*. Ostrzega Wellwyna przed cudzoziemcami i kradnie mu rum. Francuz Ferrand, włóczęga i z biedy i z upodobania, jest trochę filozofem, trochę socjalistą — Galsworthy wprowadził go już był w powieści „Faryzejscy wyspiarze“ (*The Island pharisees*). Mrs. Megan, młoda i ładna Irlandka, pragnęłaby użyć życia — niestety ma męża gracza. Oboje w braku innego zarobku sprzedają po ulicach kwiaty — jest to właściwie jedna z licznych form żebraniny.

Sztuka nie ma jednolitej akcji. I Wellwyn i „zawodowi“ czy urzędowi filantropi zostają gruntownie ośmieszeni. Dobre serce malarza gromadzi w jego domu mimo braku miejsca całą trójkę biedaków. Jest to noc wigilijna. Nawiązuje się niebezpieczny flirt między Francuzem a Mrs. Megan. Napróżno cnotliwy Timson ze zgrozą zwraca na to uwagę.

Pastor pragnie Irlandkę pogodzić z mężem. Megan widział ją przez okno całującą się z Ferrandem, ale mimo tego jest gotów żyć z nią dalej. Lecz Timson widział to samo i występuje z oskarżeniem. Wówczas Megan cofa się, bo już wszedł w grę jego honor. Następuje jeszcze jeden jaskrawy efekt. Hoxon i Calway, jak zwykle, kłócą się o system niesienia pomocy nędzarzom. Rozgniewany sędzia pokoju chce odejść, ale tuż za drzwiami przewraca się na pijanym Timsonie. Calway śpieszy mu na pomoc, ale nie wiedząc, co było przyczyną, upada również. Naturalnie obaj są wściekli.

W ostatnim akcie widzimy Wellwyna, przystępującego do przeprowadzki. Uległ prośbom córki i w nowym mieszkaniu nie będzie już miał nieproszonych gości. Wziął do transportu mebli trzech obdartusów z ulicy — niech sobie zarobią. Lecz jeszcze jawią się kolejno dawni protegowani.

Mrs. Megan została już tem, czem jej było sądzone zostać. Timson spędził dłuższy czas w przytułku, gdzie dawano mu do picia tylko mleko. Wyszedłszy stamtąd, przez cały tydzień był pijany. Ferrand przeszedł gorączkową chorobę. Wszyscy troje pragnęli umrzeć, ale im nie dano. Mrs. Megan wyciągnął z wody policjant i, doprowadziwszy ją do przytomności, mimo protestów i prośb malarza zabiera do więzienia. Miłosierdzie wydało jak najgorsze skutki i tylko zrobiło los nieszczęśliwych cięższym...

Wellwyn przez roztargnienie dwa razy zapłacił za przeniesienie rzeczy. Co gorsza, jednej i drugiej trójce protegowanych rozdał starym zwyczajem bilety z nowym adresem. Pozostanie i nadal „gołębiem“...

Pendant do tej sztuki w powieściowej twórczości Galsworthy'ego stanowi „Braterstwo“ (*Fraternity*). Tytuł jest gorzką ironją. Szereg ludzi ze sfer wyższych usiłuje zbliżyć się do biedaków, a stary, dziecinniejący, wolnomysłny filozof pisze książkę o braterstwie powszechnem. Rodzina o wysokiej, artystycznej kulturze bierze w opiekę dziewczynę z gminu, modelkę Miss Barton. Ten szlachetny postępek okazuje się dla

obu stron fatalnym. I we własnej sferze dziewczyny zaszły tragiczne zawikłania i małżeństwo Hilarego z Bianką, od dawna rozluźnione, rozleciało się, gdy literat spostrzegł, że nie tylko litość pociąga go do modelki. Podobny wpływ wywarła ona nawet na starego filozofa, który źle się czuł, gdy nie przyszła pisać za jego dyktatem. Hilary wyjeżdża na końcu powieści, aby już nie powrócić do żony. Ma wziąć ze sobą Miss Barton, ale w ostatniej chwili wstrzymuje go poczucie nierówności społecznej.

W tym wypadku zbliżenie popsuło się dzięki pociągowi jednej płci do drugiej. Lecz podobny los spotyka i inne próby, przy których nic podobnego nie zachodzi. W powieści występuje medyk Marcin, który jest fanatykiem postępu społecznego w rodzaju Judyma z „Ludzi bezdomnych“. Gdy Hilary wyraża wobec niego swą niewiarę w zniknięcie przepaści, jaka dzieli jedną klasę od drugiej, Marcin odpowiada mu szumnym, ogólnikowym frazesem: „Jest światło naprzekór wszystkim ludziom bez kości pacierzowej“ i prędko odchodzi.¹

Bratanica Hilarego, Thyme, postanawia pod wpływem Marcina pracować nad podniesieniem higieny wśród warstw niższych i z wykwintnego mieszkania w Kensington przenosi się do skromnego pokoiku na Euston Road. W ciągu niecałej doby dochodzi do przekonania, że jest niezdolna do przedsięwziętego zadania — i wraca do rodziców, a ojciec z radości posyła czeki szeregowi towarzystw dobroczynnych. Ale czy to co warte? Zapewne nie, bo przedstawicielką takich towarzystw w powieści jest Mrs. Tallents Smallpeace, typowa dama z salonów, uprawiająca filantropję dla mody i dla rozrywki, jak uprawia np. kult artystów i sławnych ludzi.

¹ Słowa Hilarego były: „Ja, brat, pan i pański dziadek — wszyscy pragniemy postępu społecznego, każdy po swojemu. Czy któryś z nas ma słuszność? Czy jest jakieś światło po drugiej stronie tego ciemnego kurytarza (*passage*)?“

Dlaczego więc nie może być zbratania? Coś w rodzaju odpowiedzi daje symboliczna scena w *Hyde Parku*. Dwaj intelektualiści, Hilary i brat jego Stefan, przechadzają się, mówiąc o sprawie modelki, gdy wtem nadjeżdża świetnym nowiutkim samochodem Purcey, *businessman* i snob, pozbawiony wszelkiej subtelności i nie odczuwający kwestji społecznej. Przed autem widać lekki cień, za niem ciągną się wyziewy benzyny. Hilary porównywa siebie i Stefana z cieniem, klasy upośledzone z wyziewami i odpadkami, znaczącymi drogę samochodu. „Między nami a nimi jest ten człowiek i jego auto...”

Możnaby stąd wnioskować, że wedle Galsworthy'ego tylko usunięcie kapitalizmu może doprowadzić do braterstwa klas. Ale myśl jest rzucona nieśmiało, niejasno, jakby ubocznie. W każdym razie miłosierdzie zostaje wyszydzone i potępione. „*Pity is tripe*“ powie Michał Mont.

I niedarmo Galsworthy włożył te słowa w usta socjalisty. Można przypuszczać, że z socjalizmu właśnie wziął swą pogardę dla miłosierdzia, pojmowanego jako średniowieczny przeżytek i jako rzecz poniżającą wspieranych. Każdemu tyle, ile mu się należy; co nadto jest, ode złego jest...

Pokrewną treść ma sztuka „Okna” (*Windows*), gdzie chęć podniesienia upadłej dziewczyny przez przyjęcie jej do domu jako służącej doprowadza do fatalnej rozterki. Podobno w dramacie tym Galsworthy wyprowadził na scenę siebie samego.

Inny jego utwór dramatyczny, „Ojciec rodziny” (*The Family Man*) przedstawia rozpadanie się nie bez skandalu rodziny, w której starzy i młodzi nie mogą zrozumieć się wzajemnie.

Bohaterem jest stary egoista i tyran domowy, a równocześnie fanatyk angielskiej *respectability*, Builder. Na początku pierwszego aktu jest w doskonałym humorze, gdyż ma właśnie zostać merem. Chce nawet przebaczyć córce malarce, która zamieszkała wbrew jego woli poza domem. Ale nadchodzą niepowodzenia. Poszedłszy do córki, stwierdza, że żyje ona z lotnikiem. Mimo próśb ojca nie chce tego związku

uświęcić ślubem, gdyż z rodzicielskiego domu wyniosła głęboki wstręt do małżeństwa. Druga córka chce zostać artystką filmową i również opuszcza *sweet home*. Buildera kocietuje wyrachowana pokojówka, Francuzka Kamila. Żona podpatrzyła przypadkiem chwilę jego słabości i żegna go również. Chcąc ją zmusić do powrotu, Builder doprowadza do awantury. Sprawa wytacza się przed mera i dostaje się do gazet. Builder jest wściekły, przespawszy się jednak, uspokaja się nieco, kobiety z wyjątkiem Kamili wracają i nastaje dawny stan rzeczy. Ale niech to zakończenie nikogo w błąd nie wprowadza. Sztuka jest wymierzona w stary angielski ideał domu rodzinnego, w *patria potestas* i *respectability*, chociaż autor nie posiada konsekwencji i śmiałości Shaw'a. Woli operować ironją, której szczytem jest właśnie owa słomiana zgoda w ostatnim akcie. I w Anglii wszystko nadal po staremu...

Bardzo znamienna, choć jako całość słaba, jest powieść „Faryzejscy wyspiarze“. Niema tu prawie żadnej akcji. Młody człowiek, który jakiś czas spędził na obczyźnie, przybywa do Anglii. Za kilka miesięcy ma ożenić się z rodaczką, poznaną w zagranicznej miejscowości kąpielowej. Lecz do ślubu nie przyjdzie, gdyż i panna i jej rodzina są okazami angielskiej hipokryzji i czcicielami angielskich przesądów. Jak powieściopisarze w. XVIII wypełniali swe utwory przygodami w podróży, tak Galsworthy czyni swój długim szeregiem wizyt. Przed oczyma czytelnika przewijają się sceny w salonie, w kancelarii adwokackiej, na uniwersytecie, w zamownym wiejskim domu i t. d., a wszędzie pełno fałszu, nieszczerości i zabobonów. Uzupełnienie „Faryzejskich wyspiarzy“ stanowi „Wiejski dwór“ (*The Country House*), poświęcony specjalnie wsi angielskiej, odmalowanej naturalnie równie ciemnymi barwami.

„Patrycjusz“ (*The Patrician*) należy do słabszych powieści Galsworthy'ego, który znów wszedł na niewłaściwy teren, malując nieznanie sobie bliżej z obserwacji środowisko

arystokratyczne. Treścią jest konflikt między miłością a dumą rodową, ambicją i angielską *respectability*. Zgodnie z pesymistycznym usposobieniem autora miłość zostaje poświęcona. Ciekawsze od tej akcji są epizody polityczne. Mimo całego sceptycyzmu Galsworthy'ego można mu zarzucić naiwność. Wszystkie mniej więcej osoby są szlachetnymi idealistami i wysoko dzierżą sztandar swych przekonań, które stanowią jedyną sprężynę ich działania.

Jakby rywalizując z Dickensem, Galsworthy wplótł opis wyborów, ale potraktował je poważniej i urozmaicił postacią starego czartysty (t. j. jednego z uczestników potężnego ruchu demokratycznego lat czterdziestych XIX w.).

W rozmowie dwóch przeciwników politycznych, Mil-touna i Courtiera, widać próbę ujęcia dwóch poglądów na świat, arystokratycznego i demokratycznego. Miltoun jest za ustrojem, któryby dla ogólnego dobra ograniczył wolę ludzką. Na to odpowiada mu z zapalem Courtier:

Nieufność do natury ludzkiej, strach — to cała podstawa działania ludzi w twoim stylu. Nie uznajesz prawa jednostki do wydawania sądu, ponieważ nie masz wiary w zasadniczą dobroć ludzi; w głębi serca jesteś przeświadczony, że są źli. Nie dajesz im wolności, nie pozwalasz im rozstrzygać za siebie samych, bo sądzisz, że ich postanowienia dążyłyby wdół, nie ku górze. Tak, to jest cała różnica między arystokratycznym a demokratycznym poglądem na życie.

Miltoun ma moment siły, gdy woła:

Jakaż tyranja zrównałaby tyranji tej twojej wolności? Gdzież jest na świecie despotyzm podobny do tego despotyzmu „wolnej“ wąskiej ulicy z jej setką dzienników, rojących się jak mrowiska poto, aby produkować — co? W wnętrznościach tej twojej wolności, Courtierze, niema miejsca ani na wzniosłość, ani na dyscyplinę, ani na ofiarę. Jest miejsce tylko na handel i samowolę.

Replika Courtiera brzmi:

Mimo wszystkich błędów jej (t. j. wolności) wicher wionie przez ulice i jest możliwość wszystkiego. Na Boga, chętniej patrzyłbym na parę gwiazd, przemocą wydobywających się z ciemności nieba, niż na twoje sztuczne oświetlenie.

Sympatja autora jest po stronie Courtiera i widać, że Miltoun czuje się pokonanym, choć tego nie przyznaje. Myślowa konstrukcja tej rozmowy jednak pozostawia zbyt wiele do życzenia. Galsworthy trafnie zaznaczył rolę, jaką w różnych teorjach o formie rządu odgrywa wiara lub brak wiary w dobroć natury ludzkiej, ale zapomniał, że skrajna demokracja jeszcze silniej krępuje rolę jednostki, niż arystokracja, dalej pomieszał najwyraźniej demokrację z liberalizmem, a wreszcie skończył mętnym, choć pełnym polotu frazesem. I tu był na niewłaściwym terenie. Jego silną stroną miała być jedynie satyra społeczna bez pozytywnych wniosków, gdyż umysłowość jego ma wyraźny charakter ironiczno-negatywny.

Brak mi miejsca, aby omawiać każdy utwór bardzo płodnego pisarza. Wolę więc zatrzymać się przy jego najobszerniejszym i najsławniejszym dziele. Na „Sagę o Forsyte'ach“ składają się trzy powieści i dwie krótkie nowele, a właściwie należy tu i czwarta powieść, „Biała małpa“. Pierwotnie tytuł pierwszej powieści (*The Man of Property*) miał służyć całemu cyklowi. Odnosi się on do Soamesa, który wszystko bierze z punktu widzenia własności i radby narówni z kamienicami, akcjami, czy obrazami traktować żonę.

Samo nazwisko familji, która go wydała, jest symboliczne. Przybyła do Londynu z hrabstwa Dorset i rozrodziła się w pomyślnych warunkach, gdyż każdy z braci zrobił majątek. Każdy myśli o przyszłości (*for-sight*=przewidywanie), dorabia się, lokuje swój dorobek jak najkorzystniej w nieruchomościach, papierach, nawet w dziełach sztuki. Tymoteusz Forsyte, liczący sto lat z górą i zupełnie zdzieciniały — bo długowieczni Forsyte'owie koło dziewięćdziesiątki są jeszcze w pełni sił umysłowych — ożywia się na krótko przed zgonem i zaczyna prorokować: „Konsole¹ pójdą w górę!“

Jak wyraz „saga“ w tytule, tak i nazwisko jest gryzącą ironją. Znającemu grekę czytelnikowi musi przyjść na myśl... Prometeusz. Ale nie tu kres złośliwego figla. *To Let* i *The*

¹ Papier wartościowy.

White Monkey dzieją się po wojnie światowej, pokazują więc kapitał, przygnieciony olbrzymimi podatkami, cały ustrój społeczny chwiejący się, pokazują straszliwą niepewność jutra. Jedno pokolenie za drugim pracowało, oszczędzało, wyzyskiwało może, obliczało — i było pewne, że nie tylko samo dni swych dokona wśród wygody i zbytku, ale przekaże następnym tę samą możliwość. A tu stopa procentowa spada, spółki bankrutują, ciężary rosną, nawet widmo daniny majątkowej staje u drzwi, nawet upiór przewrotu społecznego zaczyna straszyć... Komedja zmienia się w tragedję. Galsworthy zapewne nie przewidywał tego wszystkiego, gdy pisał pierwsze powieści cyklu, nie zdawał sobie sprawy, jaki świetny temat wybrał. Historia dopomogła, a satyrykowi zostało zadanie podkreślania i przesadzania.

O ile poszczególnych Forsyte'ów nie dzieli osobisty antagonizm, wynikły z tego, że któryś sprzeniewierzył się wspólnemu ideałowi, utrzymują oni między sobą stosunki. Spotykają się po klubach i zapraszają na obiady, podczas których przedmiotem rozmowy są losy familji. Galsworthy opisuje *con amore* te wizyty, służą mu one do nadania całemu cyklowi pewnej jednolitości, scharakteryzowania szeregu osób, których czytelnik nie widzi działających, i uwydatnienia duchowego pokrewieństwa, idącego w parze z fizycznym. Występują tu stale postaci uboczne, rodzaj chóru Forsyte'ów, komentującego po swojemu wypadki. Niektóre z tych postaci są wyborne.

Para starych ciotek żywo interesuje się wszelkimi sprawami familji. Jedna z nich ma talent zawsze powiedzieć coś, co dotyka obecną osobę, lub zadać niedyskretne pytanie. Druga jest niezmiernie czuła na te niefortunne występy i uważa za swój obowiązek odwracać od nich uwagę.

Co jakiś czas pojawia się znów Jerzy, przedstawiciel nie tych Forsyte'ów, co zarabiają i składają, lecz tych, co korzystają z nagromadzonych przez innych zasobów, jednym słowem typowy *fruges consumere natus*. Łatwo go spotkać

na wyścigach. Ale na pewne zobaczy go się w oknie eleganckiego klubu na Piccadilly. Jest zawodowym dowcipnikiem. Wszelkie zdarzenia, komiczne czy tragiczne, są dla niego tylko materiałem do *bons mots*. Pod tym względem dał mu Galsworthy coś z samego siebie.

Wyposażył go i w drugą własną cechę. Jerzy jest przedstawicielem angielskiej pobudliwości językowej i mistrzem *slangu*. Rozkoszuje się treściwymi, ekscentrycznymi a błyskotliwymi zwrotami i sam je często tworzy. Autor to kilkakrotnie podkreśla. Tak np. słyszymy z okazji użycia przez Jerzego pewnego popularnego wyrażenia: „On to wynalazł tyle z tych wyszukanych (*quaint*) powiedzeń, którym przypisywano inne pochodzenie“.

Podobne zdolności językowe posiada i druga z osób „Sagi“, Montague Dartie, który z Jerzym razem stanowi wyborną parę. Obaj nie mają żadnych ideałów, obaj nie pracują i nie chcą pracować, dla obu jedynym celem jest życie. Lecz w Jerzym płynie krew Forsyte'ów, ten więc nie trwoni bezmyślnie pieniędzy, zdrowia nie rujnuje, nie wywołuje skandalów — trzeba przecież pamiętać o tem, aby mu wystarczyło na próżniacze życie aż do końca, zdrowie jest pierwszym warunkiem zadowolenia, a i pewna doza ludzkiego szacunku, choćby pozornego, jest niezbędna. Jerzy przez długie lata będzie dobrze jadł i pił, będzie imponował lśniąącym cylindrem na wyścigach, będzie sterczał z gazetą w rękę w oknie klubu, będzie drżał z obrzydzenia i trwogi przed przewrotem społecznym, gdy po szczęśliwym zwrocie w wojnie południowo-afrykańskiej ujrzy w eleganckiej części miasta rozbawione tłumy proletariatu. W gruncie rzeczy jednak zachowa na zawsze dobry humor. Tylko coraz większa okràgłość brzuszka będzie dla niego stanowiła *memento mori* — i kiedyś rzeczywiście umrze jako prawy burżuj angielski — na wątrobę.

Natomiast Dartie przyzenił się tylko do Forsyte'ów, nie

posiada ich cech charakterystycznych i pogardza nimi serdecznie. Pasorzyt ten wyludza pieniądze od żony i teścia, oddając się grze, pijaństwu oraz kosztownym awanturkom miłośnym. Własny syn spotka go w *music hallu* pijanego, z różowym gwoździkiem w butonierce — i to spotkanie razem z głębszym uczuciem ku kuzynce ocali młodego człowieka przed zostaniem takim samym nicponiem, jak ojciec. Dartie sprzeda perły żony, aby pofrunąć do Ameryki z hiszpańską tancerką. Wróci stamtąd głodny, brudny i obdarty, przez pewien czas będzie cichy i pokornego serca, lecz potem znów rozwinie skrzydła do lotu. Jego zgon będzie zgonem nie filistra, lecz awanturnika, będzie nawet otoczony mgłą tajemniczości i nigdy nie dowiemy się, co było powodem upadku Dartiego ze schodów po wielkiej wygranej w bakarata w jakiejś paryskiej norze.

Jeżeli Montague ma wogóle zasługi — to podobnie, jak Jerzy, tylko językowe. Galsworthy przypisuje mu wynalazek wyrażenia, niezmiernie od jakiego ćwierć wieku rozpowszechnionego, czytamy bowiem, że Dartie zapytał się: „*What was the matter with that?* (Co z tem było nie w porządku?)“ i autor dodaje: „Zapewne pierwsze użycie słynnego frazesu — tak niejasne są początki nawet najślawniejszego języka“.

Kto wie, czy nie należy upatrywać pewnej świadomej autoironji w fakcie, że Galsworthy, miotający na prawo i na lewo groty szyderstwa i nie przyznający niczemu na świecie pozytywnej wartości, takich dwóch nicponiów właśnie obdarzył cechą, którą sam posiada w wysokim stopniu i która stanowi najwyższej wartości składnik jego talentu. On sam bowiem jest mistrzem języka — ale nie mistrzem klasycznym, kojarzącym poprawność z harmonją i oryginalnością. Schodzi ustawicznie do piwnic *slangu*, rozkoszuje się jego produktami. Doznaje żywej przyjemności, używając wyrażeń, których zagadki nie rozwiąże odrazu przenikliwość pierwszego lepszego cudzoziemca, bo do tego trzeba znać najgłębsze tajniki an-

gielskiej mowy, wżyć się w angielski sposób myślenia skrótami i w angielskie szeregi asocjacji, trzeba mieć szczęście trafienia w proces myślowy, z którego zrodził się frazes.

Sztuka dostosowywania stylu do treści wydaje się Galsworthy'emu zbyt łatwa, zbyt powszednia. Szuka on efektów ironicznych w rodzaju tytułu sławnego cyklu. Używa zręcznych niedomówień. Małostkowość uczuć i pojęć podkreśla wielkością wysłowienia i naodwrot prawdziwie wzniosłe uczucia zaznacza prostotą wyrazów i przemilczeniami. Wszystko to jest zręczne, błyskotliwe, często piękne — ale traci pewną dekadencją.

Najbardziej mogą zadowolić obrazy przyrody lub rzadkie opisy ludzkich przeżyć wewnętrznych, przy których Galsworthy wyjątkowo wyrzekł się ironji. Nie brak mu subtelnych przenośni i zdolności dobierania najwłaściwszych w danym wypadku wyrazów. Te słowne cieniowania są czasem zadziwiające. Naogół język Galsworthy'ego jest świątynią bez Boga — szkoda tej szaty dla bezwzględnego, nieledwie nie wszechobejmującego szyderstwa.

Treść cyklu jest dość uboga. Pierwsza powieść, *The Man of Property* (1906) obraca się około stosunku między Soamesem a jego żoną Ireną. Piękna, subtelna kobieta popełniła błąd, wychodząc za tego człowieka, który kocha ją po swojemu, ale razi ją wciąż zapatrywaniami typowego Forsyte'a i gruboskórnością, czającą się pod pokrywą form towarzyskich „wyższej klasy średniej“. W kole Forsyte'ów pojawia się gość z innego świata, architekt Bosinney, jednostka o wysokiej kulturze artystycznej. Ma wejść w rodzinę, żeniąc się z June, córką „młodego Jolyona“, a wnuczką „starego Jolyona“. Buduje on dom dla Soamesa, marzącego wciąż o tem, aby czemś zbliżyć i przykuć do siebie żonę. Bosinney i Irena poznają się, prawie odrazu budzi się w obojgu miłość, silniejsza nad wszystko i wedle poglądów autora najwidoczniej usprawiedliwiająca starganie wszelkich węzłów. Irena zaczyna odczuwać fizyczny wstręt do męża, który nie

chce się z tem pogodzić i, jak to eufemistycznie określa Galsworthy, zdobywa się raz na „męskość postępowania“. Równocześnie, korzystając z tego, że Bosinney przekroczył kosztorys budowy, Soames ściga go sądownie. Lecz pozwany nie jawi się na rozprawie. Spotykali się z Ireną poza domem. Wiadomość o tem, co zaszło między nią a mężem, wywarła na Bosinneya straszne wrażenie. Półprzytomny puścił się mimo zimowej mgły londyńskiej w drogę, prawdopodobnie celem rzucenia się na Soamesa — i zginął wskutek przejechania. Irena opuszcza dom mążowski na zawsze.

Rodzaj podrzędnej akcji dotyczy Jolyonów Forsyte. Ojciec June porzucił był żonę dla cudzoziemskiej guwernantki, którą ostatecznie po śmierci tamtej poślubił. Mają dwoje dzieci. Ulegając nieprzepartej chęci, stary Jolyon zaczyna interesować się wnukami i zwolna przywraca syna do łaski. Dzieli on wprawdzie z Forsyte'ami ich zapobiegliwość i przywiązanie do form, ale ma więcej serca i pozwala sercu czasem rozstrzygać o swem postępowaniu. Stanie się protoplastą gąłęzi rodu, która sprzeniewierza się familijnym ideałom.

Następuje krótka nowela „Indyjskie lato Forsyte'a“ (*Indian Summer of a Forsyte*). Soames wyzbył się nieszczęsnego domu i mieszkają tam obecnie młody Jolyon z żoną i dziećmi oraz stary Jolyon. Zostawszy w czasie wakacyj sam z małą wnuczką, stary spotyka się z Ireną, która zakradła się do ogrodu, aby raz jeszcze przyjrzeć się domowi, zbudowanemu przez ukochanego. Galsworthy rozwija teraz motyw, wprowadzony już w „Braterstwie“ w formie słabości starego filozofa Stone'a do modelki. Jolyon ma lat 86 i podupadł nieco na zdrowiu. Lecz Irena — często przez autora porównywana z Afrodytą — wywiera na niego silny urok, budząc uczucie może ojcowskie, a może i nieojcowskie. Starzec znajduje niewypowiedzianą przyjemność w tem, że może urozmaicić jej szare i smutne, a zupełnie samotne życie. Zaprasza ją do teatru, prosi, aby jego wnuczkę uczyła muzyki, wreszcie dodaje do testamentu legat, mający zapewnić jej nie-

zależność. Jego „indyjskie lato“ kończy się cichą, błogą śmiercią w chwili, gdy oczekuje przyjścia Ireny.

Powieść „W kanclerskim sądzie“ (*In Chancery*, 1920) wraca do losów Soamesa. W miarę, jak lat przybywa, coraz silniej dręczy go pragnienie ojcostwa. Komuż zostawi majątek? Zresztą czuje wkoło siebie coraz dotkliwszą pustkę. Poznał przypadkiem piękną Francuzkę Anetę, córkę restauratorki z Soho¹. Mimo różnicy lat myśli o małżeństwie, lecz do tego potrzebny jest rozwód z Ireną. Odwiedza żonę dla porozumienia się, jak to zrobić — i dochodzi do przekonania, że ją jedną kochał i jeszcze kocha — o tyle, o ile prawdziwy Forsyte może kochać, t. j. z silną przymieszką poczucia własności. Proponuje zgodę, a odtrącony z oburzeniem, nie przestaje narzucać się, równocześnie zaś karze Irenę śledzić prywatnemu biuru detektywów. Prześladowana prosi o pomoc „młodego Jolyona“, obecnie już pięćdziesięcioletniego i owdowiałego powtórnie. Oboje są przedstawicielami uczucia, skontrastowanego z poglądem na świat Forsyte'ów, i umiłowania piękna. Okoliczności zbliżają ich ku sobie. Śledząca Irenę kobieta donosi Soamesowi, że widywała często Irenę z Jolyonem. Mściwy Soames opiera na tem skargę rozwodową, a oni nie przeczą — mąż Ireny stał się dla nich swatem.

Równocześnie toczy się w sądzie kanclerskim druga sprawa, siostry Soamesa, Winfrydy Dartie, przeciw mężowi. Lecz ten najniespodzianie wraca ze swej eskapady do Buenos Aires i Winfryda nie bez pewnego zadowolenia napowrót obejmuje swą własność w posiadanie. Natomiast Soames otrzymuje rozwód i żeni się z Anetą, która traktuje rzecz jako interes. Powieść kończy jej połów. Jak u Hardy'ego Dubois Napoleonowi, tak i tu lekarz stawia dwie alternatywy: dziecko trzeba poświęcić, a matka będzie bezpłodna — lub ocali się dziecko, lecz matka prawdopodobnie umrze, a jeżeli

¹ Cudzoziemska dzielnica Londynu.

wyjdzie z życiem, również zostanie bezpłodną. Soames okazuje mniej serca nawet od Napoleona z „Dynastów“ i wybiera drugą alternatywę. Aneta przeżywa niebezpieczeństwo, ale zwycięstwo Soamesa nie jest zupełne. Jego jedyne dziecko jest płci żeńskiej. Od łóża żony śpieszy on teraz do konającego ojca, któremu nie ma serca powiedzieć prawdy, kłamie więc, że przyszedł na świat chłopak. Jakób Forsyte umiera zadowolony.

Jest w tej powieści jeszcze i inne zawikłanie miłosne. Val Dartie, syn Winfrydy, i Holly, córka młodego Jolyona, pokochali się. Ojciec panny, wyobraziciel poglądów samego autora, unika wszelkiej ingerencji. Ale brat Holly uczuwa silną niechęć do swego rówieśnika. Rzecz dzieje się podczas wojny południowo-afrykańskiej, a obaj chłopcy są na uniwersytecie w Oxfordzie. Val nazwał Jolly'ego zwolennikiem Boerów (*pro-Boer*), a ponieważ rozmowa toczyła się w przesyconej elektrycznością atmosferze studenckiej libacji, wynikła z niej walka bokserska, nierozstrzygnięta z powodu nadejścia profesora. Po tem wszystkim Jolly, przybywszy na wakacje do domu, spotyka siostrę, jeżdżącą konno z Valem Dartie. Zwraca jej uwagę, że postępuje niewłaściwie, ale ona odpowiada mu spokojnie i stanowczo, że wolno jej robić, co zechce. Wówczas rozgniewany młody człowiek wstępuje do wojska i w obecności Holly wzywa Dartiego, aby zrobił to samo. Val czyni zadość życzeniu, a Holly zaręcza się z nim i udaje się do południowej Afryki jako pielęgniarka. Tam Jolly jeszcze przed wzięciem udziału w walce ulega panującej epidemji, a Val odnosi ranę i do końca życia będzie lekko utykał na nogę, ale poślubia ukochaną. Zostają w Afryce, gdzie nabyli farmę.

Po tej powieści, odznaczającej się wyjątkowo, jak na Galsworthy'ego, żywą i urozmaiconą akcją, następuje znów krótsza nowela — „Przebudzenie“ (*Awakening*). Dowiadujemy się tu, jak wychowywano małego Jona — jeszcze jedno zdrobnienie imienia Jolyon — i jak powstała w jego sercu

z ubóstwieniem granicząca miłość synowska ku Irenie, wiecz-
nie pięknej mimo siwych już włosów.

Obie nowele, należące do cyklu, są czemś w rodzaju
prologów do większych powieści i doskonale spełniają swe
zadanie, świadczą też o dużym talencie kompozycyjnym, który
sobie autor wyrobił z wiekiem, gdyż nie widać go w jego
pierwszych utworach. Ale pozatem stanowią drobne całości,
pełne wdzięku i czyta się je przyjemniej od przepojonych
ironją powieści „Sagi o Forsyte'ach“.

Niedarmo Galsworthy poświęcił osobny utwór synow-
skim uczuciom Jona. Są one sprężyną wypadków następnej
powieści „Do wynajęcia“ (*To Let*, 1921). Rzecz dzieje się po
wojnie światowej. Życie płata złośliwe figle przewidującej
mądrości Forsyte'ów. Paru najmłodszych członków rodziny, dla
których składano i oszczędzano, znalazło śmierć na polach
Francji.

Córka Soamesa Fleur wyrosła na piękną, pełną tempe-
ramentu dziewczynę. Ojciec otacza ją bałwochwalczą miłością,
pod której wpływem jego brutalna natura mocno złagodniała
i nawet egoizm nieco stopniał. Córka jest jedyną pociechą
Soamesa, gdyż jego drugie małżeństwo rozluźniło się mocno.
Aneta spędziła znaczną część lat wojennych w ojczyźnie,
opiekując się dzielnymi *poilus*, a po zawarciu pokoju przy-
wędrował za nią do Anglii belgijski milioner Prosper
Profond. Soames widzi, co się dzieje, ale gdy pokazuje
żonie otrzymany list anonimowy, ona spokojnie daje mu do
zrozumienia, że jest w swoim prawie. Wychodząc za niego,
była dzieckiem i nie znalazła u niego uczucia. Soames po
raz drugi nie narazi się na emocje kanclerskiego sądu i na
nieodłączny skandal. Zresztą p. Profond ku wielkiemu stra-
pieniu Anety usuwa się z drogi.

Soames i Fleur spotykają się przypadkowo w galerji
obrazów z rodziną „młodego Jolyona“, obecnie siedmdziesię-
cioletniego i poważnie chorego na serce. Jon i Fleur wza-
jemnie zwracają na siebie uwagę. Budzącą się miłość podnie-

cają jeszcze niejasne wzmianki rodziców o zastarzałej waśni między oboma domami. Galsworthy na karcie tytułowej umieścił wiersze z prologu „Romea i Julji“ o zrodzonych pod złą gwiazdą kochankach... Ani Soames, ani Jolyon i Irena nie mogą przez długi czas zdobyć się na odwagę powiedzenia dziecku całej prawdy. Zakochani spotykają się na wsi, u Vala Dartie i Holly, bo ci przenieśli się z południowej Afryki do Anglii. Potem wyznaczają sobie spotkania na ulicy lub u ciotki June, która po bolesnym zawodzie wczesnej młodości nigdy już nie pomyślała o małżeństwie i jest ekscentryczną starą panną, opiekującą się niezrozumianymi i niedocenionymi artystami różnych narodowości — Galsworthy i jego postaci nazywają ich stale *lame ducks* (okulałami kaczątami).

Jolyon i Irena usiłują zwrócić myśl syna w inną stronę i wyjeżdżają z nim zagranicę. Pierwotnie celem podróży miały być Włochy, ale Jon woli jechać do Hiszpanji. W galerji Soamesa wisi kopja obrazu Goyi *La Vendimia*, a Fleur jest nieco podobna do malowanej dziewczyny i pokazała się raz młodemu człowiekowi w stroju, wzorowanym na obrazie. Jon spędza długie godziny przed oryginałem... Po powrocie dochodzi do wyznań. Rodzice widzą, że przeszłość nie da się zataić. Jolyon pisze do syna list, w którym odkrywa mu całą prawdę. Silne wzruszenie wywołuje u siedmdziesięcioletniego człowieka atak i śmierć — jak na Forsyte'a przedwczesną. Naturalnie epizod ten ma i symboliczne znaczenie: Inni Forsyte'owie są długowieczni — ale nigdy nie chorują na serce.

Galsworthy popada w pewną sprzeczność z sobą samym, każąc Soamesowi zdobyć się po ciężkiej walce na gotowość do ofiary. Ojciec Fleur idzie nawet do nieszczęsnego domu na Robin Hill, aby to oznajmić Irenie. Ta nie może pogodzić się z myślą związku między Jonem a Fleur, Soamesowi zaś odmawia podania ręki na pożegnanie. Los syna jednak pozostawia jego własnej decyzji — i Jon, uczyniwszy ofiarę ze swej miłości, wyjeżdża z matką do Kanady. Dom, zbud-

wany niegdyś przez Bosinneya, jest „do wynajęcia“. Fleur oddaje rękę Michałowi Mont, który kocha ją oddawna i oświadcza się co dni parę. Młody człowiek jest wprawdzie socjalistą, ale Forsyte'owie widzą w tem nawet pewne zabezpieczenie w niepewnych czasach, równocześnie zaś znajdują zadowolenie w fakcie, że jest on także synem baroneta i kiedyś odziedziczy tytuł. Cykl kończą równoległe opisy wesela Michała z Fleur i pogrzebu stuletniego Tymoteusza Forsyte. W obu jest dużo szyderstwa z hipokryzji społeczeństwa, które dawno utraciło wiarę, a zachowuje jej obrzędy. Tytuł rozdziału o pogrzebie brzmi „Ostatnia wzmianka o starych Forsyte'ach“ (*The Last of the Old Forsytes*). Z Tymoteuszem zesłała do grobu dawna Anglija. Domy „wyższej klasy średniej“ są „do wynajęcia“.

Widzimy, że tendencja cyklu zwraca się nie tylko przeciw tej klasie, ale i przeciw rodzinie, przynajmniej przeciw takiemu pojęciu rodziny, jakie autor uważa za przestarzałe. Galsworthy oburza się na jego pomieszanie z pojęciem własności i staje w obronie kobiety, wysuwając postulat jej zupełnej swobody. W tym wypadku walczy poniekąd z wiatrakami, gdyż rodzicielski przymus i w Anglii stanowczo wyszedł z mody. Wreszcie śpiewa hymn na cześć miłości, która wszystko usprawiedliwia i daje prawo do wszystkiego.

Rozpatrzmy nieco bliżej sprawę Ireny, postaci stanowczo ze wszystkich najbliższej sercu autora. Całe jej postępowanie w *Forsyte Saga* budzi żywą sympatię czytelnika, o którą zresztą Galsworthy stara się na każdym kroku. Ale u początku i u końca dziejów Ireny są punkty wątpliwe. Poznaliśmy ją już jako żonę Soamesa. POCO za niego wyszła? Słyszemy, że parokrotnie mu odmawiała — jak później Fleur Montowi, — aż ostatecznie Soames „zręcznie skorzystał z ostrej fazy jej niechęci do otoczenia domowego“ i przyjął ją jego szóstą oświadczyń. Galsworthy sprytnie usuwa tę sprawę w półcień, dając do zrozumienia, że „panna na wydaniu“ jest zbyt młoda, aby mogła ocenić doniosłość kroku, który czyni,

i być za niego odpowiedzialną. To też wolno jej później prosto robić, co jej się spodoba. Drugi przykład stanowi druga żona Soamesa — tylko przykład to drastyczniejszy, gdyż Aneta postępuje wedle metod francuskich, polegających nie na jawnem zerwaniu związku, lecz na tajemnym wiarołamstwie.

Może to niemodne, ale mam ochotę powtórzyć za angielskim pisarzem XVII w.¹ „A przecież trzymaj się starej moralności!“, a za Schillerem „*Drum prüfe, wer sich ewig bindet!*“ Kobieta pod względem mądrości życiowej rozwija się prędzej od mężczyzny i w wieku, w którym wychodzi za mąż, wie zwykle, co robi. W Anglii wiek ten jest z reguły późniejszy, niż gdzie indziej. Czasem naturalnie zachodzą pomyłki, ale znana rzecz, iż w ludzkim życiu dużo pomyłek. Od tego jest sąd kanclerski, *malum necessarium*. Najnieszczęśliwsze małżeństwo rozporządza w ojczyźnie Galsworthy'ego tą klapą bezpieczeństwa. Są naturalnie utrudnienia, ale rzecz to chyba niezbędna, gdyż inaczej nadużywanoby wyjątkowego środka. Bez dostatecznej przyczyny uwalniać jedną stronę od wszelkiej odpowiedzialności to tania i dekadencja etyka.

I w *To Let* postępowanie boskiej Ireny nie jest tak wolne od zarzutów, jak wydaje się autorowi. Nie chce ona po długich, długich latach uścisnąć dłoni pierwszego męża, któremu tym razem idzie tylko o dowód, że uzyskał przebaczenie. Znaczenie tego epizodu jest chyba takie, że niema przebaczenia za występki przeciw majestatowi kobiecości i człowieczeństwa. Podobny pogląd zrodzić się mógł tylko z płytkiej nienawiści do chrześcijaństwa.

A teraz stosunek Ireny do Jona. Zdobył się na ofiarę brutalny egoista Soames, a ona, ściśle rzecz biorąc, nie może się zdobyć. Wprawdzie daje synowi wolną rękę, ale wie na przód, że syn poświęci się dla niej. Jej rzeczą byłoby się po-

¹ Sir Tomaszem Browne.

święcić, np. wyjechać bez pozostawienia adresu i donieść Jonowi, że nie chce stać w drodze jego szczęściu. Tegobyśmy oczekiwali, gdyby Irena miała pozostać ideałem, którym stawnowczo chciał ją mieć autor. Bodaj, że wiem, co tu zaszło. Galsworthy'ego zaślepiała nienawiść do Forsyte'ów. Powiedział sobie: Położę nieprzyjaźń między jej nasieniem a ich nasieniem. Ale czytelnik musi rzecz brać inaczej i osądzić, że to Irenę zaślepiała jej stara nienawiść, silniejsza od miłości macierzyńskiej.

I jeszcze dalsza uwaga. Niechęć Galsworthy'ego do małżeństwa zrodziła się niewątpliwie z dogmatu wolnej miłości. Nie myślę wdawać się w roztrząsanie tego dogmatu. Nie mogę sobie jednak odmówić przyjemności przypomnienia, że kto pisze powieść *à thèse*, ten posiada bezgraniczną swobodę. Recepta jest prosta: tworzy się takie postaci i takie ugrupowania postaci, jakie w danym wypadku są potrzebne. Galsworthy wydał naprzód Irenę, potem Anetę za Soamesa. Kazał sympatycznemu „młodemu Jolyonowi“ porzucić pierwszą żonę dla guwernantki, a usunąwszy w cień ten dramat rodzinny, pokazał czytelnikom tylko jego nowe gniazdko, pełne śladów niedostatku, ale przesiąknięte duchem miłości i magnetycznie przyciągające „starego Jolyona“. Potem kazał „młodemu Jolyonowi“ połączyć się z Ireną jeszcze przed końcem jej rozwodowej sprawy. Wszystko to pięknie — ale inny powieściopisarz, broniący przeciwnej tezy, potrafi równie pięknie przy pomocy odpowiedniego zespołu osób udowodnić świętość i nierozzerwalność małżeństwa, a pognać wolną miłość. Jako przykład polecam Bourgeta, zresztą, aby pozostać przy literaturze angielskiej, apeluję od dzisiejszej Anglii do wczorajszej, od Galsworthy'ego do Dickensa. I nie wstydę się powiedzieć otwarcie, że stoję po stronie Dickensa.

Gdyby jaki powieściopisarz pragnął zwalczać poglądy Galsworthy'ego jego własną bronią, miałby wdzięczne pole do działania, gdyż jest w tych poglądach pewna wewnętrzna sprzeczność, jest szkopuł, który autor starannie omija, gdyż

inaczej statek jego musiały się rozbić. Ów powieściopisarz musiałyby zająć się losem dzieci, które zostały pół-sierotami dzięki przegrupowaniu niedobrych małżeństw...

Kto wie jednak, czy poglądy Galsworthy'ego nie uległy pewnej modyfikacji. Choć w *To Let* postawił on nagrobek Forsyte'om, wyprowadził Soamesa raz jeszcze na widownię w luźnie związanej z cyklem powieści „Biała małpa“ (*The White Monkey*, 1924). Jest to obraz Anglii powojennej, Anglii kłopotów i zamętu, Anglii bezrobotnych robotników i pozbawionych dochodu kapitalistów. Otóż występują tu Fleur i Mont. Ich małżeństwo, zawarte bez miłości, trzeszczy złowrogo. Przyjaciel i kolega z wojny wyznaje Montowi otwarcie, że kocha jego żonę i chce mu ją odebrać. Prawdopodobnieby się to udało, gdyż Fleur, mając za sobą tragedję, przedstawioną w *To Let*, skłania się ku spróbowaniu nieznanym wzruszeń. Ale w gruncie rzeczy jest jej wszystko jedno, kto wzruszeń dostarczy, i do wiarołomstwa nie dochodzi, a poeta, uważający, że spełnił wszystko, co do niego należy, gdy mężowi oznajmił o swej miłości do żony, zmienia ostatecznie zamiar, wyjeżdża w podróż i jest już daleko od Londynu, gdy rozanielony Soames zostaje dziadkiem.

Akcja podrzędna tej powieści jest równie charakterystyczna: W firmie wydawniczej, gdzie literackim kierownikiem jest Mont, dopuścił się jeden z niższych funkcjonarjuszów drobnego sprzeniewierzenia. Przyczyną była choroba ukochanej żony. Nieubłagany właściciel stoi twardo na gruncie starej angielskiej etyki kupieckiej i mimo wstawiennictwa Monta wydała winowajcę. Biedak sprzedaje na ulicy kolorowe baloniki gazowe, będące naturalnie symbolem złudzeń, i marzy o wyjeździe do słonecznej Australji. Naturalnie nigdyby tego planu nie wcielił w życie, gdyż podróż dwojga osób kosztuje kilkadziesiąt funtów, gdyby nie żona, która w tajemnicy przed nim zostaje modelką i zbiera potrzebną gotówkę. Po nieodzownych podejrzeniach i wyjaśnieniach wyruszają w drogę.

Więc małżeństwo, zawarte tylko dzięki zawodowi miłośnemu jednej strony i poważnie zagrożone, zdołało przetrwać atak z zewnątrz i wzmocniło się przez przyjście na świat dziecka. Więc drugie, oparte na obopólnej miłości, wytrzymało próbę nędzy i zmierza ku lepszej przyszłości za morzem... Czyżby Galsworthy przebaczył instytucji, którą poprzednio zwalczał? Czyżby od wieczystej negacji przeszedł do podawania społeczeństwu środków zaradczych na jego kłopoty i wskazał na emigrację? Może. Lecz „Biała małpa“ mieści dużo motywów, podkreślających beznadziejność czasów i bezsilność społeczeństwa. Sam jej tytuł odnosi się do obrazu, symbolizującego bezmyślność i bezcelowość człowieczego bytu. Dzisiejsza ludzkość jest małpą, która wzrokiem bez wyrazu patrzy na pomarańczę, obierając ją ze skóry...

Raczej więc odegrał tu rozstrzygającą rolę zmysł praktyczny. W Anglii, posiadającej tak starą kulturę literacką, ludzie piszący są niezmiernie czuli na upodobania publiczności i starają się dawać jej to, co może liczyć na powodzenie. Jeżeli młodszy z pokolenia elżbietańskiego, a potem dramaturgowie restauracji przesadzali się w drastyczności pomysłów, jeżeli Bunyan szpikował swą namacalną alegorię tysiąciami cytatami z Pisma św., jeżeli Richardson moralizował, jeżeli romantycy latali po przestworzach, to przyczyna zawsze była nietylko w twórcach, ale i poza nimi, w społeczeństwie.

Otóż przed wojną, gdy stosunki angielskie psuły się już powoli, lecz jeszcze mało kto zdawał sobie sprawę z doniosłości różnych niebezpieczeństw, pesymizm popłacał. Obecnie wszyscy widzą, że jest źle, więc mniej chętnie o tem czytają, a raczej czytają chętnie, ale pożądamy promyka nadziei, rozświetlającego ponure obrazy chwili obecnej. I Galsworthy to bezwątpienia zrozumiał.

IV.

Galsworthy jest nie wyznawcą, lecz sympatykiem socjalizmu i — poza pewnymi symptomami, widocznymi w „Białej

małpie“, a może zapowiadającymi na przyszłość ewolucję — reprezentuje czystą negację. Drugą grupę społeczną w beletrystyce dzisiejszej stanowią zdeklarowani socjaliści.

Najcharakterystyczniejszymi postaciami są tu George Bernard Shaw i Herbert George Wells. Mimo różnicy lat dziesięciu, jaka między nimi zachodzi, wychowali się w tej samej atmosferze, w atmosferze potężnego rozwoju nauk ścisłych, zwłaszcza historii naturalnej, rozwoju materialistycznej filozofii oraz opartych na niej teorii społecznych. Obaj wiele ze swego poglądu na świat zawdzięczają *Fabian Society*. Obaj wyszli z „niższej klasy średniej“ i własną pracą dobijali się w życiu dobrobytu, znaczenia, sławy. Ale istnieją między nimi i poważne różnice, które okażą się przy szczegółowym omówieniu.

Shaw urodził się w Irlandji i nieraz z naciskiem powtarzał Anglikom, że jest Irlandczykiem. Czynił to jednak zapewne głównie z wrodzonej przekory, gdyż rodzina była protestancka. Posiada jednak może przymieszkę krwi irlandzkiej, a w każdym razie dobrą znajomość życia irlandzkiego i pewne cechy irlandzkie — przede wszystkim silny egotyzm, objawiający się ciągłym mówieniem o sobie, i dowcip, niekiedy błazeński.

Z drugiej strony, jak trafnie stwierdził Chesterton, będąc Anglikiem irlandzkim z protestanckiej rodziny, Shaw ma w sobie dużo purytanizmu. Samo bawienie tłumu uważałby za hańbę lub zbrodnię. Nie cofa się przed żartami, godnemi komików z *music hallu*, ale nigdyby ich nie wypowiadał dla samego dowcipu czy dla zyskania poklasku. W sztukach, pozornie obliczonych jedynie na wywołanie burz śmiechu, głosi swoje doktryny, atakuje istniejące instytucje społeczne, żąda reform. Wprawdzie lubi rozśmieszać ludzi, nawet własnym kosztem, lecz zawsze uważa swe błazeństwa tylko za przynętę, bo zawsze jest tendencyjny. Od nieledwie dziecinnych żartów przechodzi prawie bez żadnego przygotowania do oschłych rozmowań. Żywi też głęboką wiarę we własne

posłannictwo. Jednym słowem ma na głowie raz czapkę z dzwonekami, raz biret kaznodziei, raz wieniec laurowy — i nic dziwnego nie widzi w tych transformacjach. Między pokazną liczbą jego utworów zaledwie parę możnaby zaliczyć do znanych rodzajów. Większość stanowi dziwną mieszaninę farsy, dramatu *à thèse* i tragedji.

Shaw jest oryginalną postacią, ma swoje dziwactwa i idjosynkrazje. Nie jada mięsa i gdy raz śmiertelnie zachorował, oświadczył, że jego trumnę powinny ciągnąć wszystkie zwierzęta, których nie zjadł. Nienawidzi wiwisekcji i szczepienia ospy. Nie kocha też Szekspira. Nieraz go ostro zaatakował, choć z latami coraz silniej zdawał sobie sprawę z jego wielkości i coraz większe na jego rzecz czynił ustępstwa. Ale nie dawniej, niż z wiosną r. 1925 słyszałem go przemawiającego na dorocznej uroczystości szekspirowskiej w londyńskim *King's College*. Odczyt wypowiedział inny dramaturg, Grenville Barker, a Shaw zabrał po nim głos w porozumieniu z urządzającymi obchód, w szczególności z prezesem Towarzystwa Szekspirowskiego, Sir Izraelem Gollanczem. Jeżeli zaproszenie wybitnego komedjopisarza nie było nietaktem, to było z pewnością niezręcznością. Widząc go wstępującego na estradę, obawiałem się, że zawoła: „Do składu rupiecia z Szekspirem, niech żyje Ibsen i Shaw!“ Ale G. B. S. nic tak okropnego nie popełnił. Prześliznął się lekko po Szekspirze, mówiąc, że ten był wciąż skrępowany zamiłowaniem swej publiczności do krwawej sensacji, jak dziś skrępowani są trywjalnymi librettami kompozytorzy oper, musiał więc swoje wielkie postaci wplatać w tok tuzinkowych historyj. Było to zdanie, które Shaw dawno gdzie indziej wypowiedział jaśniej i bezwzględniej, twierdząc, że Szekspir zdolny był do stworzenia wielkiego charakteru, ale nie do ukazania go działającym. Większą część przemówienia poświęcił innym uczestnikom uroczystości, więc przedewszystkiem Barkerowi i mającemu po sobie przemawiać staremu aktorowi Sir Johnstonowi Forbes, a nadto zmarłemu niedawno

krytykowi teatralnemu Williamowi Archerowi, z którym do spółki zaczął być niegdyś pisać swą pierwszą sztukę. Barker, Archer i sam Shaw byli najgorliwzszymi zwolennikami Ibsena na scenie angielskiej. Ale publiczność, mam wrażenie, naogół nie poznała się na tem zestawieniu.

W gruncie rzeczy Shaw nie może Szekspirowi darować, że mimo swego geniuszu nie stworzył jednolitego poglądu na świat. Wedle autora „Człowieka i nadczłowieka“ obowiązkiem twórcy jest wyjaśniać ludzkości jej byt i wskazywać nowe drogi, a samo odmalowanie różnorodności zjawisk psychicznych, którego z takim mistrzostwem dokonał Szekspir, to za mało. Shaw jest nawet do pewnego stopnia przeciwnikiem poetyckiego piękna. Nietylko potępia bezwzględnie hasło „sztuka dla sztuki“, ale uważa, że barwność stylu i ozdobność wyślowienia rozprasza ją uwagę czytelnika lub widza, odrywając ją od tego, co jest prawdziwą treścią utworu. Nie uznaje również liryki. Dla niego pierwszą, ledwie nie jedyną rzeczą w dziele sztuki jest konstrukcja myślowa, nadana mu w pewnym określonym celu. Te zasady musiały uczynić Shaw'a przeciwnikiem Szekspira.

Czy zresztą przy bardzo wysokiem mniemaniu o sobie nie odegrała tu także roli — może podświadomej — zawiść, trudno ocenić. „Gdybym zamiast w r. 1856 urodził się był w 1556, byłbym wziął się do białego wiersza i utrudnił nieco Szekspirowi zrobienie majątku“, powiada Shaw. Najwidoczniej czuje się pokrzywdzonym przez los, że przyszedł na świat w czasach, gdy naczelne miejsce w literaturze angielskiej i w literaturze dramatycznej wogóle jest już zajęte.

Shaw rozpoczął karierę autora jako powieściopisarz, krytyk teatralny i krytyk muzyczny. Jego powieści są prawie bez wartości, a szersze koło czytelników zyskały dopiero dzięki powodzeniu dramatów. W swych sprawozdaniach teatralnych Shaw głosił stale chwałę Ibsena i poświęcił mu nawet osobną książkę, rodzaj syntezy „ibsenizmu“. Jest to równocześnie *credo*, w którem autor kładzie nacisk na podpo-

rządkowanie względów artystycznych tendencji. Karjerę krytyka muzycznego uwieńczyło studjum „Wagneryta doskonały“ (*The Perfect Wagnerite*). Shaw interpretuje tu cały „Pierścień Nibelungów“ jako alegorię społeczną w duchu socjalistycznym. Interpretacja ta zapewne nie jest trafna, jakkolwiek bowiem Nibelheim ma niewątpliwie znaczenie symboliczne, inne motywy daleko trudniej do niej nagiąć, a ze „Zmierzeniem bogów“ Shaw mógł poradzić sobie tylko tak, że zarzucił mu niejednolitość ideową i ustępstwa na rzecz konwencji operowej.

Pracując wydatnie na różnych polach, został Shaw równocześnie jednym z filarów *Fabian Society* i przyjacielem Sidneya Webba, wybitnego teoretyka socjalizmu, opierającego system Marxa na statystyce, zresztą często dość dowolnej i tendencyjnej. Późniejszy komedjopisarz chętnie przemawiał na ulicy. Przyznaje sam, że z początku nie chciano go słuchać. Pewnego razu, jak zwykle, głosił swe teorie jednemu, czy dwom słuchaczom, gdyż w pobliżu jego trybuny w parku zaczęła grać muzyka. Ściągnęła tłum publiczności, która później zgromadziła się koło młodego agitatora. Wypadek ten dał mu poznać potęgę reklamy — i odtąd Shaw bez skrupułów zaczął się nią posługiwać.

Z tych publicznych wystąpień wyniósł niesłychaną ciętość oraz przytomność umysłu i dowodził ich później na każdym kroku. Istnieje na ten temat cały szereg autentycznych historyj. Ograniczę się do przytoczenia jednej. Na przedstawieniu którejś sztuki Shaw'a zachowywała się entuzjastycznie cała publiczność z wyjątkiem jednego człowieka, który zawzięcie gwizdał. Wyszedłszy wśród grzmiących oklasków przed kurtynę, autor zauważył malkontenta i zwrócił się do niego: „Więc pan uważa, że sztuka jest tak licha?“ — „Obrzydliwa“. — „Jestem tego samego zdania, ale cóż poradzimy we dwójkę przeciw takiej większości?“

Pierwszy dramatyczny utwór Shaw'a ma silny podkład

socjalizmu. Zajmuje się problemem wyzysku mieszkaniowego. Tysiące i tysiące ludzi żyją z wynajmowania biedakom mieszkań w nędznych, niehigienicznych domach, zwanych przez Anglików *slums*. Czy mają do tego prawo? Czy mają prawo żyć z dochodów od kapitału, wiedząc jedynie, że kapitał jest gdzieś ulokowany i daje dobre odsetki, ale nie wiedząc, czy pieniądza nie obciąża ludzka krzywda? Naturalnie po tych dwóch pytaniach, dość wyraźnie sformułowanych w sztuce, nasuwa się siłą logiki trzecie, już tylko domyślne: Czy człowiek wogóle ma prawo żyć z procentu? Shaw nie daje właściwie odpowiedzi na żadne, lecz łatwo zgadnąć, co myśli.

Jego bohater ma żenić się z córką właściciela kilku domów w dzielnicy robotniczej Londynu, ale, dowiedziawszy się, jakie tam panują stosunki, zrywa. Wtem wstrząsa nim do głębi odkrycie, że jego własne dochody płyną z tego samego źródła — i wyzbywszy się skrupułów, wraca do narzeczonej. Jest to atak nie, jakby można przypuszczać, na naturę ludzką, lecz na porządek społeczny, który nawet osobnikom z szlachetnymi popędami uniemożliwia moralne postępowanie. Autor daje to na każdym kroku do zrozumienia. Charakter jest wedle niego rzeczą podrzędną, okoliczności rozstrzygają o wszystkim. Wobec tego odpowiedzialność jednostki za jej czyny spada do *minimum*.

Łatwo zrozumieć, że takie postawienie problemu wolności woli znacznie obniża dramatyczną wartość utworów Shaw'a. Bez pełnej wolności woli nie może być właściwie dramatu. Ale jest jeszcze jedno ciekawe następstwo. Shaw odznacza się niesłychaną pobłażliwością. Różni wielcy pisarze — klasycznym przykładem jest Dickens — jednych ze swych postaci najwidoczniej nienawidzili, inne kochali. Shaw nie zajmuje wobec nich najczęściej żadnego stanowiska uczuciowego. Oszpeca też często jakimś ujemnym lub śmiesznym rysem najlepsze lub wkłada sympatyczne wyrazy w usta naj-

gorszych. Z jednej strony zbliża to jego ludzi do natury, która bardzo rzadko tworzy absolutną doskonałość i absolutne zło, ale z drugiej wywołuje często niekonsekwencję.

Shaw uzupełnił sztukę komiczną postacią człowieka, który z siepacza kapitalizmu, to jest zarządcy domów czynszowych, sam zostaje kapitalistą. Takie przejście z jednej klasy do drugiej będzie często powtarzało się w dalszej twórczości naszego autora. Swemu silnemu dramatowi nadał on tytuł „Domy wdowców“ (*Widowers' Houses*), czyniąc tym sposobem ironiczną aluzję do biblijnej wdowy.

Pomysł pochodził od Williama Archera, a raczej wzięty był przez niego z francuskiej sztuki współczesnej. Pierwotnie ułożono się, że Archer będzie podawał Shaw'owi dokładną treść dialogów, a Shaw je opracowywał, lecz pierwszy wycofał się szybko, można więc „Domy wdowców“ uważać w całości za duchową własność Shaw'a, który samoistnie napisał resztę dramatu; tytuł też nic nie mówił o współdziale Archer'a.

Między zaczęciem sztuki, a jej wykończeniem i wystawieniem upłynęło lat siedm. Premjera w *Royalty Theatre* była burzliwa. Jak mówi sam autor, socjaliści klaskali dla zasady, reszta publiczności gwizdała z tego samego powodu; nastąpiła ożywiona dyskusja w prasie. „Nie osiągnąłem sukcesu, ale narobiłem wrzawy, a emocja była tak przyjemna, że postanowiłem spróbować ponownie“.

W następnym roku (1893) powstała słaba komedia „Kobieciarz“ (*The Philanderer*). Uwydatniła się tu niezdolność Shaw'a do rysowania postaci kobiecych. Pojawiają się dwie jego ulubione myśli — że wbrew utartym pojęciom zazwyczaj mężczyzna jest zwierzyną, na którą kobieta poluje, i że lekarze łudzą się, przypisując sobie znajomość organizmu ludzkiego i umiejętność jego leczenia, że zresztą główną rzeczą jest dla nich choroba, a nie chory. Stanowiskiem względem medycyny Shaw przypomina Molière'a, tylko — zgodnie z tem, co przed chwilą powiedziałem o jego metodach

charakterystyki — jest lepiej usposobiony dla przedstawicieli niesympatycznego sobie zawodu. Rzadko czyni ich świadomymi kłamcami, powodowanymi chęcią zysku. Natomiast jego satyra, uderzająca nie w ludzi, lecz w urządzenia społeczne, bywa głębsza od moljerowskiej — jego lekarze często cierpią sami i wiją się rozpaczliwie w sieci swych bezwartościowych odkryć i urojeń.

W dalszej sztuce Shaw wrócił do problemu kapitału, wziął jednak pod uwagę drastyczniejszy przypadek. „Przemysłem pani Warren“ (*Mrs. Warren's Profession*) jest stręczenie do nierządu. Oskarżenie jednak zwraca się całkiem wyraźnie już nie przeciw niej i nawet nie przeciw cynicznemu, pozabwionemu skrupułów kapitaliście, pozostającemu z nią w spółce, lecz przeciw ustrojowi społecznemu. Mrs. Warren jest tem, czem zrobiło ją życie. Ma przytem dobre serce i kocha gorąco córkę, przed którą chciałaby ukryć źródło swego bogactwa. Ta córka odpowiada w strukturze sztuki Trenchowi, bohaterowi *Widowers' Houses*. Lecz Trench w walce ze stosunkami podniósł ręce do góry, Miss Vivie Warren buntuje się przeciw nim, bez wahania i bez walki wewnętrznej odpycha od siebie brudny pieniądz i wchodzi na drogę pracy.

Cenzura zabroniła wystawienia tej przykrej, ale wartościowej i pozornie wysoce moralnej sztuki. Był to początek długotrwałej wojny Shaw'a z nienawistną mu instytucją. Dramaturg miał wiele słuszności, zarzucając jej raz po raz, że patrzy przez palce na pornografię, a zwalcza utwory, służące ideałom etycznym. Ale zapewne także cenzura nie była tak naiwna, jak mu się zdawało, i zastosowała ostracyzm do „Przemysłu pani Warren“ nie z powodu drastyczności tematu, ale z powodu jego ujęcia.

Mrs. Warren jest kobietą pewną siebie i, gdy spostrzeża, że nie zdoła ukryć swej przeszłości, występuje z jej obroną. Miała do wyboru słuchać przestróg pastora i pójść za reprezentowaną przez niego moralnością chrześcijańską, która wedle Shaw'a oddała się na usługi złemu ustrojowi społecz-

nemu, a więc ciężko pracować i stać się na całe życie ofiarą wyzysku — lub odrzucić nakazy tej moralności i zdobyć pieniądze, zdobyć niezależność, jednym słowem „szacunek dla samej siebie“. Lecz Mrs. Warren nie ogranicza się do obrony swej przeszłości prostytutki. Przechodzi do swego przemysłu. Kobietom w jej domach było lepiej, niż fabrycznym robotnikom. Niema dziś dla kobiety lepszego zajęcia.

Zawsze sobie myślałam, że tak być nie powinno. To nie może być słuszne, Vivie, aby kobieta nie miała lepszych szans. Trwam przy tem zdaniu, to niesłuszne. Ale w każdym razie tak jest i dziewczyna musi w takich warunkach starać się urządzić, jak dla niej najlepiej.

Jeszcze charakterystyczniejsza jest apologja współnika Mrs. Warren:

Przypomina sobie pani stypendyjną fundację Croftsa w Newnham? Otóż stworzył ją mój brat, członek parlamentu. Uzyskuje od swego kapitału 22 procent dzięki fabryce, w której jest sześćset dziewcząt, a żadna z nich nie ma dostatecznej płacy, aby żyć. Cóż pani sądzi, jak ich większość sobie radzi? Niech pani zapyta matki. I pani spodziewa się, że ją zrezygnują z 35 procent, podczas gdy wszyscy inni nabijają kieszenie czem się da, jak ludzie rozsądni? Niema głupich!

Ten kapitalista, spokrewniony z książętami, wychodzi w sztuce gorzej, niż Mrs. Warren, która nie chciała zostać kelnerką i zarabiać 4 szylingów tygodniowo... Stręczycielstwo to tylko jedna z form kapitalistycznego przemysłu, małżeństwo — wedle wywodów Mrs. Warren — jedna z form prostytucji. Taka jest myśl dramatu i cenzura ją zrozumiała.

W roku 1893 odniósł Shaw pierwszy wielki triumf sceniczny komedją „Broń i człowiek“ (*Arms and the Man* — w Polsce grano ją pod tytułem „Bohaterowie“; operetkowa przeróbka, zaopatrzona w muzykę przez Straussa, nosi tytuł „Żołnierz z czekolady“). Tendencją było podkopanie militarizmu przez odarcie wojny z romantycznych złudzeń i wykazanie, że jest ona tylko rzemiosłem, jak każde inne, a wygrywa w niej rzemieślnicza biegłość, nie zapał i odwaga.

Tu po raz pierwszy pokusił się Shaw o przedstawienie obcego środowiska. Zapewne skreślona karykaturalnie Bułgaria była główną atrakcją komedji dla Anglików, którzy tak lubią śmiać się z cudzoziemców, zwłaszcza z zupełnie sobie nieznanymi barbarzyńców o zakazanych nazwiskach słowiańskich. Bardzo zręcznie powierzył Shaw rolę zawodowca wojskowego Szwajcarowi, a pamiętając o tradycji najemniczej, nie zapomniał i o hotelarskiej. Charakterystyka obcych narodowości u naszego dramaturga będzie zawsze polegać na efektownem wyzyskaniu paru wyolbrzymionych aż do karykatury rysów, będzie nieco powierzchowna, lecz mocna i barwna.

Reprezentant złudzeń o bohaterstwie, Bułgar Sergjusz jest niestety nieprawdopodobnym błaznem i ciągle o tem sam opowiada. W system społeczny godzi postać typowego sługi, który chętnie znosi wszelkie upokorzenia i szuka w nich korzyści materialnych. Shaw dał mu zato dużo zdrowego rozsądku. Skontrastowana z nim śmiała i dumna dziewczyna, pnąca się do wyższej klasy, wychodzi poza granice prawdopodobieństwa. Lepiej trochę udała się opiekunka „żołnierza czekoladowego“, Raina — tylko kobieta, złapana na podsłuchiwanie i na kłamstwie, nie przyznaje się tak łatwo, że systematycznie praktykuje jedno i drugie. Jest to stały błąd Shaw'a. Jego ludzie zbyt szczerze odkrywają tajniki własnej duszy, zbyt wyczerpująco komentują własne uczucia i poglądy, bo Shaw sprowadza wszystko do wyobrażeń. Jego tendencyjny dramat jest właściwie tylko surogatem prawdziwego, pokazującego zwierciadło życiu. U Szekspira charaktery osób uwydatniają się w akcji, same postaci rzadko są zupełnie szczerze — nawet w monologach. W rzeczywistości jeden człowiek na stu będzie tak skłonny do wynurzeń, jak są osoby Shaw'a, ledwie jeden na tysiąc będzie tak dobrze znał samego siebie, jak one.

Z okazji „Broni i człowieka“ dla odmiany austriacka cenzura wystąpiła z zakazem — i ta niewątpliwie dała dowód naiwności.

W związku z komedią jest drukowana wraz z nią w zbiorze „sztuk przyjemnych“ jednoaktówka „Mąż przeznaczenia“ (*The Man of Destiny*). Załatwiwszy się z oficerami, Shaw bierze się tu do wielkiego wodza. Interesowały go żywo dwa największe genjusze wojskowe i organizatorskie Europy, które po karkach tłumów wspięły się na wyżynę samowładztwa. Lecz dla Cezara miał dużo uwielbienia — tyle w każdym razie, na ile stać pisarza, pamiętającego ustawicznie o zasadzie *nil admirari*. Bliższego swym czasom Napoleona nie cierpiał. Odegrała tu pewną rolę angielska tradycja.

Bonaparte Shaw'a, przedstawiony u początku swej me-teorycznej kariery, podczas kampanji włoskiej, jest w swym zawodzie niezwykle zdolnym rzemieślnikiem. Szczędzi wszystkiego, za co trzeba płacić, natomiast szafuje hojnie tem, co go nic nie kosztuje, t. j. życiem ludzkim. W przeciwieństwie do Cezara Shaw'a, który będzie dobrym kolegą swych żołnierzy, uważa ich tylko za narzędzie. Wszystko wprzęga w rydwan swych samolubnych planów. Ma też w sobie dużo komedjanctwa.

Akcja jest typową akcją farsy; pogardą prawdopodobieństwa i dziwactwem pomysłów przypomina Dumasa. Najlepiej wypadła postać typowego włoskiego właściciela gos-pody. Jest też dużo dowcipu i satyryczna wycieczka przeciw Anglikom, przytoczona na innem miejscu niniejszej książki.

„Albo to człowiek zgadnie?“ (*You Never Can Tell*) wprowadza postaci nie żyjących z sobą małżonków. Mąż trwa przy starych pojęciach, żona jest bojowniczką emancypacji. Ale Shaw nie rozwija tego pomysłu szerzej i tworzy jedynie wesołą farsę, kipiącą ruchem i błazeństwami. Jest tu pełna taktu i godności klasyczna postać angielskiego kelnera, któremu autor dla kompletu daje stare normandzkie nazwisko i syna *barristera*.

Jesteśmy w okresie pogodnym Shaw'a. Zapewne powo-

dzenie pierwszych sztuk uwydatniło się w nastroju następnych. Czwartym utworem w zbiorze „sztuk przyjemnych“ jest „Kandida“. Wprawdzie występują tu dwie przeciwstawione sobie postaci, chrześcijański socjalista, oddany szerzeniu swych zasad, i bezwzględny kapitalista, wyposażony w dość rzadki u Shaw'a przy charakterystyce jednostek rys obłudy — zresztą mocno prymitywnej —, ale kwestje społeczne pozostają na drugim planie. Chrześcijański socjalizm Morella, który wciąż zbiera oklaski po zebraniach i ludzi się, że jest człowiekiem silnym, a w gruncie rzeczy bez pracy i poświęcenia żony nie byłby niczem, — to dobroduszna satyra członka *Labour Party* na konkurencyjną firmę z przeciwka. Obłudny kapitalista, teść Morella, jest postacią komiczną. Wogóle Shaw najbardziej zbliżył się tu do prawdziwej poważnej komedji.

Nie brak w „Kandidzie“ problemu, ale jest to problem życia rodzinnego. Żonę Morella pokochał młody poeta, który, zatopiony w swych marzeniach, nic sobie nie robi z noclegu w ogrodzie publicznym i z pomiętego ubrania. Jest egotystą i nie wstydzi się tego, że nie istnieją dla niego „przesady“. Wzywa więc poprostu Kandidate, aby poszła za nim. Lecz ta reprezentuje ideał kobiecości, poświęcającej się z ochotą i z dobrym humorem. Jej praca daje namacalne rezultaty, podczas gdy Morell marnuje energję na syzyfowe prace i błąka się po labiryncie złudzeń, które sobie stworzył. Kandida wybierze słabszego z dwóch i bardziej potrzebującego opieki — więc zostanie przy pastarce, a poecie ze swą klasyczną dobroduszną każe napisać wiersz na temat: „Gdy ja będę miał lat trzydzieści, ona będzie miała czterdzieści pięć, gdy ja będę miał sześćdziesiąt, ona będzie miała siedmdziesiąt pięć“.

Postaci tej sztuki, nie wyłączając dwóch kobiecych, nie są marjonetkami, za które przemawia autor, a które tylko jego słowa ilustrują gestami i mimiką. Jak jednak słusznie stwierdza Harold Williams, jest to między dziełami Shaw'a

jedyny pod tym względem wyjątek. Wyjątkowa jest i apoteoza kobiecości, t. j. przedstawienie pozytywnego ideału, już istniejącego, a nie mającego dopiero być dziełem ewolucji. Ale Shaw prędko wrócił do negacji.

Nastąpiły „Trzy sztuki dla purytanów“, drukowane razem w roku 1900. Dwie z nich, „Uczeń szatana“ (*The Devil's Disciple*) i „Nawrócenie kapitana Brassbounda“ (*Captain Brassbound's Conversion*) poruszają głównie problemy religijne. Obie są dość słabe i nie zyskały większej popularności. Dlaczego weszła do tego zbioru trzecia, „Cezar i Kleopatra“, dość trudno powiedzieć. Może ze względu na problem winy i kary, który Shaw rozstrzyga przez usta jedyne go wielkiego człowieka pośród wszystkich swych postaci. Pyta się ktoś Cezara, co zrobiłby, spotkawszy na pustyni lwa, — czy nie ukarałby go za to, że zjadł już niejednego człowieka. Cezar zastrzega się, że tylko zabiłby go, aby samemu nie zostać zabitym. Shaw stwierdza wyraźnie, że unieszkodliwienie zbrodniczej jednostki nie ma nic wspólnego z moralnością i jest wyłącznie aktem samoobrony społeczeństwa. Wplata zresztą w dalszy tok akcji epizod, podkreślający tę zasadę.

Wbrew historii Kleopatra nie jest tu kochanką Cezara, który traktuje ją jak dziecko i usiłuje wychować na prawdziwą władczynię, lecząc równocześnie — z niewielkim skutkiem — z różnych wad, kobiecych, wschodnich i królewskich. Obiecuje jej zato przysłać Antonjusza. Postać braciszka Kleopatry, małego Ptolemeusza, otoczonego czcigodną należąca monarcha, uczonego napamięć mów, strofowanego przez otoczenie i lekceważonego przez siostrę, stanowi satyrę na królów i dworskie stosunki. Zaznaczone też jest przeciwieństwo między rycerskością ludów wschodnich, walczących dla honoru czy dla sportu, a zawodową wojskową biegłością Rzymian, górujących organizacją i celowością wszystkiego, co czynią, jednym słowem, grających dla wygrania, i to dla wygrania przy jak najmniejszych własnych stratach.

Shaw ani przez chwilę nie zastanawia się nad kwestją,

czy Cezar ma prawo gospodarować w Egipcie i burzyć orientalne urządzenia. Cezar jest nadczłowiekiem i niesie na ostrzu miecza kulturę — to wystarcza. Zresztą ideały nacjonalistyczne były obce jego twórcom.

Sztuka ma niezłe postaci drugorzędne. Jedną jest straszna ochmistrzyni Ftatatita, którą Cezar stale nazywa Teetatota, przypominając Anglikowi abstynenta (*teatotaler*). Drugą pionier sztuki stosowanej Apollodorus. Trzecią, najciekawszą, wbrew wszelkiej możliwości historycznej dodany Cezarowi do boku sekretarz Brytańczyk. Stanowi on może najlepszą satyrę Shaw'a na Anglię. Sztywny, wysoki, scharakteryzowany na angielskiej scenie karykaturalnie i ubrany w niebieski kolor, do którego robił trywjalne aluzje Disraeli, strofuje wciąż Cezara za brak powagi, pilnie przestrzega wszelkich pozorów, nie umie i nie próbuje dać sobie rady z maszyną, która „nie jest brytyjskim wyrobem“, nie zdaje sobie sprawy z własnej śmieszności, pływać nie umie, bo od tego są okręty, a w chwili boju nie może wstrzymać się od wzięcia udziału. Budzi niesłychane burze śmiechu. Wogóle sztuka pełna jest niegłębokich i niesubtelnych żartów, jakie najbardziej mogą liczyć na powodzenie u przeciętnego angielskiego widza. Pojawia się też ustawicznie na scenie tego lub owego teatru i ściąga tłumy publiczności.

W literaturze angielskiej Irlandczyk był stale ofiarą drwin i szyderstw. Shaw zapragnął się zrewanżować i wystawił w r. 1904 „Drugą wyspę Johna Bulla“ (*John Bull's Other Island*). Skontrastował tu irlandzką subtelność, poetyczność, kulturę duchową i humor z angielską gruboskórnością, powierzchowną kulturą materialną i niezdolnością odczucia humoru, o której mówi drugi tytuł. Ale Irlandczyk, wprowadzony epizodycznie w I akcie — a więc na terenie angielskim, — jest alkoholikiem, a polityczna błaga Anglika znajduje w Irlandji zwolenników i Broadbent zasiądzie w parlamencie jako ich przedstawiciel. Odbierze subtelniejszemu od siebie Irlandczykowi od lat na niego czekającą pannę, ze-

szpeci też wybrzeże Erynu hotelem, który będzie typowym przedsiębiorstwem kapitalistycznym... Ostatecznie i Irlandczycy nie są bez winy, że ich Anglicy zarażają swemi wadami. O ruchu niepodległościowym właściwie nie słyszymy. Shaw, wróg nacjonalizmu, nie mógł sympatyzować z *Sinn Feinem*.

Sympatyzował natomiast z projektem samorządu (*Home Rule*), ale z wrodzoną przekorą dorobił do tego postulatu własne uzasadnienie, które swą paradoksalnością mogło chyba zadziwić i oburzyć irlandzkich patriotów. Oto rozumowanie Shaw'a: Uciskana i wyzyskiwana „druga wyspa Johna Bulla“ nie może w tych warunkach mieć społeczeństwa zdrowego. Stąd wytworzył się wśród jej mieszkańców chorobliwy nacjonalizm. Zadławić go, to dać mu spokojnie zaniknąć, bo „naród zdrowy tak samo nie zdaje sobie sprawy ze swej narodowości, jak człowiek zdrowy nie zdaje sobie sprawy z tego, że ma kości“.

Podobny pogląd czyni wrażenie wydedukowanego z obserwacji przeciętnego Anglika, przysłowiowego *man in the street* — ale czyżby Shaw uważał dzisiejszych Anglików za zupełnie zdrowy naród? I oni zresztą, choć przy wyborach idą na lep demagogicznej blagi lub głosują na tego, kto obieca im niższą cenę wołowiny, okazali w czasie wojny, że mają głębokie poczucie narodowości.

Shaw zapomniał jeszcze o jednej rzeczy — o zagadnieniu, co zrobić ze sprzeczными interesami dwóch nacjonalizmów. Oba nigdy nie będą zadowolone i zawsze pozostanie tarcie. Tak rzecz miała się — i ma dziś, w r. 1926, w Irlandji. W „Drugiej wyspie Johna Bulla“ problem potraktowany jest powierzchownie, antagonizmu prawie nie widać. Kwestja irlandzka wygląda na obróconą w żart i zlekceważoną. Dowiodły tego wypadki, które zaszły od czasu powstania komedji.

Jest w niej jeszcze jedna teza — że charakter narodów kształtuje się nie pod wpływem rasy, lecz pod wpływem klimatu. Do takiego poglądu doprowadziła Shaw'a, pochodzą-

cego z angielskiej rodziny, a urodzonego i wychowanego w Irlandji, autoanaliza. Ale pogląd to zgruntu mylny — wystarczy wskazać na Żydów, rozprószonych od dwóch tysięcy lat po całym świecie.

Irlandję reprezentuje między innymi postać księdza Keegana, usuniętego z parafji za nieprawowierność. Jest on czemś pośrednim między św. Franciszkiem z Assyżu a Tołstojem. Uważa wszystkie zwierzęta za braci, jest wrogiem cywilizacji materialnej, odznacza się przytem intuicyjną przenikliwością w stosunku do jej kapitalistycznych sztuczek. Broadbent słucha go z zachwytem, entuzjazmuje się jego poglądami — i robi swoje. Ideały ideałami, a interes interesem. I niema tu nieszczerości. Jedno godzi się doskonale z drugim w duszy Anglika. Oto kończące sztukę słowa Broadbenta:

Czuję się szczerze wdzięcznym Keeganowi; sprawił, że czuję się lepszym człowiekiem; wyraźnie lepszym. (Ze szczerym zapalem). Czuję teraz, jak jeszcze dotąd nigdy nie czułem, że mam słuszość, poświęcając swe życie sprawie irlandzkiej. Chodź i pomóż mi wybrać miejsce na hotel.

W następnym roku powstała dramatyczna fantazja na temat Don Juana, „Człowiek i nadczłowiek“ (*Man and Superman*). Shaw w myśl swych poglądów odrzucił tradycyjną koncepcję. I Don Juan wedle niego był ofiarą kobiet, i jego współczesne wcielenie angielskie, Tanner, teoretyk socjalizmu, choć sam „członek próżniaczej bogatej klasy“, — jest zwierzyną, na którą poluje kobieta; padnie też ostatecznie jej ofiarą.

Tanner przypomina zlekka typ, który w elżbietańskim dramacie nazywa się *the humorous man* (np. Merkucjo w „Romeu i Julji“ lub Benedykt w „Wiele hałasu o nic“). Autorzy wkładali takim postaciom w usta swoje najlepsze dowcipy i wogóle dawali dużo z siebie samych. Podobnie postąpił Shaw, ale poszedł znacznie dalej. Nietylko dołączył w druku do sztuki książkę Tannera „Podręcznik rewolucjonisty“ (*The Revolutionist's Handbook*), ale nadto uczynił swego bohatera rzecznikiem teorii, do której doszedł w roz-

myślaniach nad światem. Przebieg tych rozmyślań był zapewne następujący: Dzisiejszy porządek społeczny jest zły. Trzeba wprowadzić ustrój socjalistyczny. Lecz tego nie zdołamy nigdy wprowadzić i zresztą nawet w razie wprowadzenia nie wydałby dobrych owoców, o ile ludzie pozostaną takimi, jakimi są dzisiaj. Ogłupiały w ciężkiej pracy proletariusz nie potrafi wymusić przewrotu, jest zresztą niezdolny do rządu. A więc za wszelką cenę trzeba wyprodukować nadezłowieka.

W skład aktu III wchodzi sen, odbywający się w piekle przy akompaniamencie muzyki Mozarta. Don Juan-Tanner polemizuje tu z innymi osobami sztuki, zmienionymi również w osoby opery. Komandor-Roebuck przedstawia typ człowieka płytkiego, którego pojęcia uległy petryfikacji. Roebuck był w latach siedmdziesiątych XIX w. postępowcem i wciąż uważa się za postępowca, choć stał się już wstecznikiem. Djabeł ze snu odpowiada w sztuce Żydowi Mendozy, który niegdyś był kelnerem londyńskim, a obecnie jest hersztem bandytów, operujących — zresztą dość humanitarnie — w okolicy Granady. Przytrzymanym aż do złożenia okupu podróżnym czyta swe oburzająco podłe wiersze do angielskiej dziewczyny, która nie chciała wyjść za Żyda. W śnie djabeł-Mendoza reprezentuje siłę negatywną intelektu. Wygłasza druzgocącą krytykę natury ludzkiej i ludzkich urzędzeń, ale jako ideał zachwala piekło, gdzie muzyka jest symbolem nieszczerých uniesień artystycznych i platonicznej miłości. Teorje Tannera zwalcza zręczną sofistyką. Wreszcie Donna Ana (Anna Whitefield) występuje ustawicznie ze swą kobiecą mądrością. Chce za wszelką cenę mieć Don Juana na własność, ale ustawicznie pozuje na jego ofiarę. Naturalnie łatwo domyślić się, kto w tej dyskusji odnosi zwycięstwo — przynajmniej w intencji autora.

Cała rozmowa w piekle wywody Don Juana-Tannera są nużącó długie, choć urozmaicone licznymi dowcipami. Wogóle sztuka męczy obfitością motywów i szczegółów.

Zwróć uwagę tylko na te z nich, które dotyczą kwestyj społecznych. Socjalizm reprezentuje w „Człowieku i nadczłowieku“ także oświecony proletariusz, szofer 'Enry Straker. Posiada dużo rozsądku i godności, a także pewne odczytanie, lecz dla zaznaczenia swej przynależności do klasy pracującej umyślnie na początku wyrazów opuszcza *h*, co w języku angielskim jest charakterystyczną oznaką gminnej wymowy.

Ta z sympatją kreślona postać nie usprawiedliwiałaby zwątpienia o praktycznej wartości socjalizmu, któremu trzeba aż nadludzi do odrodzenia świata. Lecz jest i banda Mendozy, uprawiająca narazie dziką ekspropriację, zanim wprowadzi sprawiedliwy rozdział własności. Każdy z tych socjalistów reprezentuje inny odcień doktryny; nie są wolni od „przesądów nacjonalistycznych“, nie odznaczają się też odwagą i wobec wspólnego wroga, t. j. przejezdnych kapitalistów oraz wojska są bezradni. Aby mogli działać, trzeba im determinacji i ręki Żyda-organizatora... „Człowiek i nadczłowiek“ jest ostatecznie wyrokiem, wydanym na socjalizm, gdyż wyprodukowanie nadczłowieka stanowi realny warunek jedynie dla Shaw'a.

Lecz ciężki wyrok spada równocześnie na kapitalizm. Amerykański milioner zainteresował się przedsiębiorstwem Mendozy („z ograniczoną poręką“) i, choć nie wie o niem nic bliższego, myśli o jego sfinansowaniu. Nie cofa się wcale, gdy stwierdził, o jaki to przemysł idzie. Dla kapitalisty wszelka lokata dobra — i domy wdowców i domy pani Warren i bandytyzm. To charakterystyczne połączenie kapitalisty z bandytą powtórzy się jeszcze w *Heartbreak House*.

Shaw zadał sobie zkolei pytanie, czy w obecnym systemie społecznym miłosierdzie posiada jaką wartość. Odpowiedź brzmiała „Nie“. Tytułowa bohaterka „Majora Barbary“ pracuje z zaparciem się siebie w Armji Zbawienia. Lecz dobroczynna działalność nie ratuje ani ciała, ani dusz biedaków. Z pośród gości przytuliska uczciwie postępuję

tylko chwilowo pozbawiony pracy socjalista. Inni kłamią i kradną. Dzieje się jednak rzecz gorsza. — Armja Zbawienia musi przyjąć zasiłki pieniężne od fabrykanta wódek i od fabrykanta broni oraz amunicji. Barbara rzeka się więc rangi majora i usuwa się z Armji...

Ale to jest zagadnienie uboczne. Na pierwszy plan wysuwa się potężna postać „księcia ciemności“, współwłaściciela i kierownika olbrzymich zakładów, zasypujących świat narzędziami śmierci i zniszczenia. Shaw kreśli ją — w przeciwieństwie do przedstawicieli kapitalizmu ze swych pierwszych sztuk — z widoczną sympatją. Undershaft jest cynikiem. Rozkoszuje się precyzyjnym działaniem swych okropnych wyrobów. Szydzi z humanitaryzmu. Wygłasza hymny na cześć pieniądza i prochu strzelniczego. Głosi zasadę, że największą zbrodnią na świecie jest nędza. Ale myliłby się, ktoby sądził, że Shaw potępia ten pogląd. Undershaft przemawia — przynajmniej w tym wypadku — napewne w jego imieniu.

„Niema ani dobrych ludzi, ani łotrów“, mówi Barbara, polemizując ze swym bratem Stefanem, przedstawicielem ośmieszonej angielskiej moralności. „Są tylko dzieci jednego Ojca, a im prędzej przestaną się przezywać, tem lepiej... Przechodzili przez moje ręce tuzinami¹ łotry, zbrodniarze, ateści, filantropi, misjonarze, członkowie rad hrabstwa, co kto chce. Wszyscy są tego samego rodzaju grzesznikami i dla wszystkich jest to samo zbawienie“.

I Barbara mówi tu — poza terminologją religijną — za samego Shaw'a, który tylokrotnie zaznaczał, że niema na świecie złych, ani dobrych. Zły jest ustrój społeczny. Lecz wedle Shaw'a jedną z podpór, może najgłówniejszą podporę tego ustroju stanowi chrześcijaństwo ze swem pojęciem winy i kary — bo odkupienie to tylko forma kary. Nadto chrześcijaństwo odwraca uwagę od rzeczy, dziejących się na świecie, a królestwo Shaw'a — przyszły idealny ustrój — jest

¹ W oryginale „po dwudziestu“ (*by scores*).

z tego świata. Słowa Barbary muszą nabrać nowego znaczenia. Jej ewangelia chrześcijańskiego humanitaryzmu zbankrutowała. Undershaft jest narzędziem siły życiowej, podstawionej przez Shaw'a zamiast Boga. Produkuje potęgę materialną, która równa ludzi, podczas gdy intelekt, oddany na usługi obecnemu ustrojowi społecznemu, utwierdza go, sącząc w dusze psychologię niewolników. Undershaft w dobrze zorganizowanym przedsiębiorstwie kapitalistycznym stwarza dla proletariusza możliwość znośnej egzystencji, podczas gdy przytułek Armji Zbawienia był siedzibą hipokryzji. Straszliwe zakłady Lazarusa i Undershafta wyglądają na mały raj, w którym robotnik może się także swobodnie rozwijać umysłowo. A następcą Undershafta zostanie idealista Cusins z wyleczoną z chrześcijańsko-humanitarnych złudzeń Barbarą przy boku.

Shaw od 27 roku życia po dziś dzień jest socjalistą. Ale nigdy nie był ortodoksem doktryny Marxa, którego wielkie dzieło nazwał wzdorliwie „jeremjadą przeciw kapitalowi“. Nic nie wydawało mu się wstrętniejszem od zwyczaju *iurare in verba magistri*, ciężącego, jak zmora, na socjalizmie. W *Fabian Society*, nazwanej tak podobno od Fabjusza Kunktatora na znak, że celem jej jest nie rewolucja, lecz powolna ewolucja, był członkiem komitetu wykonawczego i żartobliwie mawiał, że nie ma nic przeciw tyranji, o ile sam jest jednym z tyranów. Otóż w szczytowym okresie twórczości samoistność myślenia zawiodła go daleko od socjalistycznych ogólników. Undershaft jest rodzajem nadczołowieka, dla którego nie istnieją prawa moralne. Głosi często teorie przewrotne, ale działa dodatnio, gdyż zbliża ludzkość ku idealnemu ustrojowi. Ten kapitalista, cieszący się, że bojowy okręt powietrzny okazał się znakomitym wynalazkiem i za jednym atakiem zmiotł z powierzchni ziemi fort z trzema setkami załogi, miłszy jest autorowi od uczciwego socjalisty Shirleya, któremu łyzy cisną się do oczu, gdy musi korzystać z dobroczynności publicznej. We wstępie słyszymy, że „postępowanie Undershafta wytrzymuje próbę kantowskiego kry-

terjum, postępowanie Piotra Shirleya nie". Undershaft jest konsekwentny. Jest narzędziem siły życiowej i, co więcej, zdaje sobie z tego sprawę.

Rozwijając swą teorię nadczłowieka w „Majorze Barbarze“, a raczej usiłując jej nadać konkretne kształty i wskazać na zaczątki nowej siły już w pokoleniu współczesnym, Shaw niewątpliwie popadł w sprzeczność z socjalizmem. Doszedł do poglądu, że uszczęśliwić ludzkość jest jedynie w mocy jednostek z rodzaju nadczłowieka, obdarzonych władzą, która płynie ze źródła, przekłętego przez Marxa. Kapitał był potęgą złą, stanie się dobrą i, jak włócznia Achilleśa, uleczy rany przez siebie zadane.

Shaw miał pełną słuszność, głosząc zapatrywanie, iż odrodzenie ludzkości może być tylko dziełem jednostek, narzucających jej swą wolę. Lecz sposób myślenia, powstały na gruncie doktryny materialistyczno-socjalistycznej, popchnął go ku błędowi. Siła nadludzi, tworzących nowy porządek, nie może być materialna. Kapitał nigdy nie stanie się potęgą dobroczynną. Zamiast oczekiwać od niego odrodzenia świata, trzeba mu nałożyć wędzidło, aby świata nie pustoszył, z jednej strony zamieniając ludzi w niewolników, z drugiej wywołując niszczącą walkę klas na mocy prawa, że akcja równa się reakcji. Jego zniesienie zupełne jest utopją, a podwójną utopją nadzieja, że sam wyteży wszystkie siły, aby siebie zmieścić z powierzchni ziemi.

Doktryna socjalistyczna opiera się na filozofji materialistycznej i na zdobyczach naukowych materialistów z jednej, a na wierze w dobroć natury ludzkiej z drugiej strony. Shaw obie jej podstawy odrzuca. We wszechwładzę nauki nie wierzy i nieraz bardzo ostro wyszydza jej fanatyków. Jak mówi Chesterton, „wpatrywał on się przez chwil kilka w tę nową powagę, w zakwefione bożyszcze Huxleya i Tindalla, a potem z największym spokojem i precyzją kopnął je w brzuch“. Teorię o mającej zbawić świat dobroci natury ludzkiej zwalczał w broszurze „Niemożliwości anarchizmu“ (*The Impossi-*

bilities of Anarchism). A jednak nieświadomie wrócił tu do obu zasad, bez których nie może być mowy o socjalistycznym społeczeństwie przyszłości.

Niewątpliwie zbłądził. Potęgą nadludzi — o ile kiedy będą nadludzie — musiałyby być duchowa i przy pomocy ducha opanować materję. Posiadanie bogactw — mówię naturalnie o bogactwach olbrzymich, dających władzę nad światem — demoralizuje i na dziesięciu wielkich kapitalistów przypadnie może jeden, myślący o ludzkości. To też „ewangelja św. Andrzeja Undershafta“ nie wytrzymuje krytyki.

Daleko większą wartość mają w sztuce satyryczne obrazy życia angielskiego — sceny w przytulisku Armji Zbawienia i sceny między Undershaftem a jego synem Stefanem, który jest wyborną karykaturą Anglika, pełnego patrijotycznej pewności siebie i tradycyjnych złudzeń. Jest też karykaturą polityka angielskiego.

Oto drobny przykład zjadliwej ironji Shaw'a: Undershaft od długich lat nie żyje z żoną, arystokratką, wychowującą dzieci w duchu angielskiej klasy wyższej. Obecnie żona wzywa go, aby zabezpieczył im byt materialny. „Książę ciemności“ wypytuje się Stefana o jego kwalifikacje. Młodzieniec nie ma zamiłowania do przemysłu i handlu, nie zna się na filozofji, nie studjował prawa, nie chce być duchownym, ani oficerem. Myśli o karierze parlamentarnej, a za swą kwalifikację uważa, iż zna różnicę między złem a dobrem. Tu Undershaft woła:

Nie może być! Jako? Żadnych zdolności do interesu, żadnej znajomości ustaw, żadnych sympatyj do sztuki, żadnych pretensyj do filozofji — tylko poprostu znajomość tajemnicy, która wprawiała w zakłopotanie wszystkich filozofów, wytrącała z równowagi wszystkich prawników, ogłupiała biegłych w interesach i niszczyła większą część artystów, tajemnicy złego i dobrego! Ha, człowiecze, jesteś geniuszem, panem panów, bogiem. I to w wieku lat dwudziestu dwóch!

STEFAN (z trudnością panując nad sobą). Podobna ci się żartować. Nie roszczę sobie pretensyj do niczego nad to, co każdy uczciwy Anglik uważa za swoje przyrodzone prawo.

UNDERSHAFT. O tak, to przyrodzone prawo każdego! Popatrz na Jenny Hill, dziewczynę z Armji Zbawienia. Pomyśli, że ją wyśmiewasz, jeśli każesz jej stanąć na ulicy i uczyć gramatyki, geografji, matematyki lub choćby tańców salonowych. Ale nigdy nie przyjdzie jej na myśl wątpić o tem, że może uczyć moralności i religji. Wszyscyście jednakowi, wy porządni ludzie... Co za kraj, co za świat!

LADY BRITOMART (z zakłopotaniem). No i jak myślisz, Andrzeju, jaki zawód byłby dla niego najlepszy?

UNDERSHAFT. O, właśnie ten, jakiego pragnie. Nie umie nic, a sądzi, że umie wszystko. To jasno wskazuje na karierę polityczną. Postaraj mu się o posadę prywatnego sekretarza u kogoś, kto może postarać się dla niego o podsekretarjat stanu, a potem zostaw go własnemu losowi. Znajdzie sobie stworzone dla siebie miejsce na końcu ministerjalnej ławy.¹

STEFAN (znów się zrywając). Przykro mi, że mnie pan zmusza do zapomnienia o szacunku, który winienem panu jako ojcu. Jestem Anglikiem i nie mogę słuchać, jak obraża się rząd mej ojczyzny (wkłada ręce do kieszeni i przechadza się gniewnie wzdłuż okna).

UNDERSHAFT (z pewnym akcentem brutalności). Rząd twojej ojczyzny! Ja jestem rządem twojej ojczyzny. Czy przypuszczasz, że tuzin takich dyletantów, jak ty, siedzących rządem w tym głupim sklepie, zdobnym w gotyckie wieżyczki,² może rządzić Undershaftem i Lazarusem? Nie, mój przyjacielu, ty zawsze będziesz robił to, co nam się opłaca. Będziesz prowadził wojnę, gdy to nam dogadza, a strzegł pokoju, gdy nie. Będziesz dochodził do przekonania, że handel wymaga pewnych zarządzeń, gdy my zdecydujemy się na te zarządzenia. Gdy coś będzie mi potrzebne, aby moje dywidendy nie zmaleły, zrobisz odkrycie, że moja potrzeba jest potrzebą narodu. Gdy inni zapragną czegoś, coby obniżyło moje dywidendy, użyjesz przeciw nim policji i wojska. A wzamian będziesz miał poparcie i poklask moich gazet, a przytem rozkosz wyobrażania sobie, że jesteś wielkim mężem stanu. Rząd twojej ojczyzny! Idź, mój chłopczyku, baw się w swoje posiedzenia przedwyborcze, w swoje artykuły wstępne, w uświęcone tradycją stronnictwa i urządzaj wszystkie inne swoje rozrywki. Ja wracam do mego kantoru, aby opłacać muzykanta i poddawać nutę.

STEFAN (uśmiechając się i z protekcyjną po-
błażliwością kładąc ojcu rękę na ramieniu). Naprawdę, mój drogi ojcze, niepodobna gniewać się na ciebie. Nie wiesz, jak to wszystko brzmi niedorzecznie dla mnie. Masz słuszną przyczynę być dumnym ze

¹ T. j. zostanie premierem.

² W parlamencie.

zrobienia majątku i przynosi ci niemały zaszczyt, że do tego przywiązujesz taką wagę. Ale to nie pozwoliło ci wyjść poza koła, w których cenią cię z powodu majątku i uniżają się dla niego przed tobą, nie byłeś w niewątpliwie przestarzałym i niepostępowym gimnazjum i na uniwersytecie, gdzie ja kształtowałem swój umysł. To rzecz zupełnie naturalna, że wedle ciebie rządzi Anglią pieniądz. Ale pozwolisz, że ja jestem lepiej poinformowany.

UNDERSHAFT. A więc cóż rządzi Anglią? Bądź łaskaw mi powiedzieć.

STEFAN. Charakter, ojczyzna, charakter.

UNDERSHAFT. Czyj charakter? Twój czy mój?

STEFAN. Ani twój, ani mój, ojczyzna, tylko najlepsze pierwiastki angielskiego charakteru narodowego.

UNDERSHAFT. Stefanie, znalazłem dla ciebie zawód. Jesteś urodzonym dziennikarzem. Założę dla ciebie na początek poważny tygodnik. Otóż to!

Przytoczę z „Majora Barbary“ jeszcze jedną wycieczkę satyryczną, tym razem przeciw brytyjskiej obłudzie. W ostatnich akcie sztuki wszystkie jej osoby zwiedzają fabrykę Undershafta, a ten, otoczony widomymi świadectwami swej potęgi, zaczyna głosić swą ewangelję. Lady Britomart jest oburzona, ale reszta towarzystwa, patrząc na znakomitą organizację olbrzymich zakładów, nie może wstrzymać się od podziwu i nikt nie staje zbyt wyraźnie po jej stronie. Wówczas energiczna arystokratka wybucha:

...Karolu Lomax, jesteś błazen, Adolfie Cusins, jesteś jezuita, Stefanie, jesteś głupi zarozumialec (*a prig*); Barbaro, jesteś warjatka; Andrzeju, jesteś zwyczajny kramarz. Teraz wiecie wszyscy, co o was myślę i w każdym razie mam czyste sumienie (siada tak gwałtownie, że omal nie łamie krzesła).

UNDERSHAFT. Moja droga, jesteś wcieleniem moralności. Masz czyste sumienie i poczucie spełnienia obowiązku, gdy każdemu nawymyślasz (*when you have called everybody names*).

Rok 1906 przyniósł „Lekarza na rozdrożu“ (*The Doctor's Dilemma*) z pyszną galerią eskulapów. Tytułowy bohater Ridgeon odkrył sposób leczenia gruźlicy iniekcjami preparatu, który pobudza działalność fagocytów. Ale wstrzykiwania trzeba robić w odpowiedniej porze, stwierdzonej

przy pomocy żmudnej obserwacji. Kuracja jest trudna i liczba miejsc w zakładzie Ridgeona ograniczona. Wtem zjawia się u niego żona chorego malarza, błagając o pomoc. Lekarz początkowo odmawia, ale rysunki Dubedata robią na niego duże wrażenie, a piękność pani Dubedat jeszcze większe. Z powodu wielkiego braku czasu zaprasza artystę wraz z żoną na bankiet, który urządza dla kolegów, ponieważ otrzymał tytuł *Sir*. Zbadają wspólnie pacjenta i postanowią, co czynić dalej.

Ridgeon nie wie jeszcze, czemu zawdzięcza odznaczenie. Ma poczciwego kolegę, znanego i cenionego, którego samo nazwisko *Sir Bloomfield Bonnington* jest symbolem jego dobrodusznego optymizmu, doskonale działającego na chorych. Sympatyczny ten eskulap jest blagierem i robi często głupstwa, ale ma szczęście. Uważa, że iniekcje zawsze pobudzają działalność fagocytów, a jakiej szczepionki i kiedy się używa, to wszystko jedno. Lecząc na dworze dziecięcą chorobę, użył preparatu Ridgeona z doskonałym skutkiem, a ponieważ nie chciał stroić się w cudze piórka i wolał przysłużyć się koledze, ten został odznaczony.

Chory malarz jest wielbicielem Shaw'a (*a Shavian*). Wedle własnych słów nie śmie uważać się za nadczołwieka, ale zdąża do tego ideału, t. j. wyzwolił się z wszelkich przesądów moralnych. W praktyce objawia się to wyłudzeniem pieniędzy na prawo i na lewo oraz oszukiwaniem — we wszelkich tego wyrazu znaczeniach — żony, która go kocha i jest ślepa na jego brzydkie sprawy. Shaw uległ tu zapewne pokusie zakpienia lekko z samego siebie, lecz równocześnie zwrócił się przeciw swoim krytykom. Stworzył postać skończonego szubrawca, który powołuje się na jego teorie. Tylko nie na tem koniec. W sztuce szubrawiec ten okazuje się lepszym od wyznawców konwencjonalnej moralności. Ostatecznie niewiele zrządził złego: Uwiedzionej kelnerce dał dwa tygodnie szczęścia, zresztą wziął z nią nawet ślub. Jeżeli zwążywszy plusy i minusy jego drugiego, trwalszego małżeństwa,

dojdziemy do przekonania, że przy miłosnem zaślepieniu uroczej Walijski jej kłopoty pieniężne i przykrości, wynikające z postępowania męża, są niczem wobec błogich iluzji, trwających i po śmierci ukochanego; wszakże owdowiała Jennifer urządza wystawę prac zmarłego i drukuje „Historję króla ludzkości — przez jego żonę“. Nawet finansowe operacje Dubedata nie są niczem okropnem, gdyż wyłudza on niewielkie sumy od ludzi bogatych, zwłaszcza od lekarzy, którzy sami są wyzyskiwaczami, bo każą sobie dobrze płacić za swą problematyczną wiedzę i stosowane na chybił trafił środki.

Tymczasem Ridgeon popełnia z premedytacją skrytobójcze morderstwo. Przekonawszy się o charakterze malarza, nie ma ochoty podjąć się jego leczenia. Zresztą w zakładzie Ridgeona jest tylko jedno miejsce wolne, a równocześnie zapadł na płuca jego kolega z medycyny, poczciwy biedaczysko Blenkinsop. Więc wynalazca cudownej szczepionki wysuwa wątpliwości natury moralnej. Lepiej ocalić pożytecznego Blenkinsopa, niż genialną kanallę Dubedata. Ale poza tą sofistyką kryje się miłość do Jennifer i „lekarz na rozdrożu“ dobrze zdaje sobie sprawę z tego, co czyni, gdy wydaje malarza w niezawodne ręce Bonningtona. A morderstwo to sankcjonuje nawet Sir Patryk, starej daty eskulap o dobrem sercu i zdrowych poglądach.

Kwestje społeczne zajmują w tej doskonałej sztuce niewiele miejsca. Blenkinsop tłumaczy sławniejszym i bogatszym kolegom, że jedyną moralną formą praktyki medycznej jest opłacanie lekarzy przez państwo lub jakąś organizację. Naturalnie wygłasza jedną z teoryj socjalistycznych, zbudowanych na naiwnej wierze w dobroć ludzką. Sam jest zahukany i ograniczonym biedakiem, należy więc do szeregu tych postaci Shaw'a, których zadaniem jest wykazać, że w dzisiejszych stosunkach, wśród wyzysku i nędzy, proletarjat nie może wydobyć z siebie sił umysłowych, potrzebnych do odrodzenia świata. Spotykamy tu nadto efektowną i słuszną

wycieczkę przeciw karze więzienia, a także doskonałą epizodyczną postać reportera, który szukał zajęcia w prasie, ponieważ do żadnego innego zawodu nie miał zdolności i przygotowania, a odznacza się klasycznym talentem przekreślenia wszystkiego.

Usunięcie na drugi plan doktryny wyszło „Lekarzowi na rozdrożu“ na dobre. Postaci lekarzy są znakomite, zwłaszcza dwie — Sir Ralf Bloomfield Bonnington ze swą uczuciowością, dobroduszością, pogodnym humorem, z zawodową błagą, z hymnami na cześć nauki i z groteskowymi cytataми z Szekspira, skonstruowanymi wedle recepty „Kobieto, puchu marny, ty jesteś, jak zdrowie“, i Cutler Walpole ze swą fanatyczną zawziętością przeciw jednemu organowi, który stale ludziom wycina, i ze zwykłą u operatorów szorstkością.

Następny utwór, „Jak się ludzie żenią“ (*Getting Married*) cierpi na zupełny brak akcji i jest jednym ciągiem dysput. Od świetnej sceniczności dwóch poprzednich dramatów Shaw przeszedł do absolutnego lekceważenia warunków sceny. Nie podzielił nawet sztuki na akty. Naturalnie tytuł mówi za siebie — roztrząsanym problemem jest małżeństwo.

Przewija się tu szereg typowych wypadków i zachodzą różne małżeńskie oraz przedmałżeńskie zawikłania. Osoby sztuki stanowią ciekawą galerję, świadczącą o pogoni autora za nadzwyczajnościami. Wolnomyślny biskup powtarza wciąż „*Give the devil fair play*“ (Traktujcie diabła jak partnera i dajcie mu równe szanse). Snobizm angielski reprezentuje pan z biletem wizytowym „Mr. John Hotchkiss, słynny tchórz, były porucznik 165 pułku fizyljerów“. Nie wykonał on był podczas wojny południowo-afrykańskiej nakazanego ataku, aby plan nie udał się i komendant, nie będący dżentelmenem, bo jedzący pudding łyżką, nie awansował. Postępek ten spowodował wydalenie Hotchkissa z armji, lecz zjednał mu wielką popularność. Ideał kobiecy reprezentuje burmistrzowa Mrs. George, pełna mądrości życiowej i wdzięku, a nadto

obdarzona zdolnościami medjumistycznymi. Kilkakrotnie uciekała od męża i często go zdradza.

„Blanko Posnet“ (*The Shewing up of Blanco Posnet*) wywołał nowy zatarg z cenzurą. Sam Shaw poprzedził jednoaktówkę w druku ostrą filipiką przeciw tej instytucji, autorzy zaś licznych książek o nim, będący jego towarzyszami partyjnymi i mniej więcej bezkrytycznymi wielbicielami, oburzają się na cenzora, zarzucając mu brak inteligencji, gdyż wedle nich sztuka jest głęboko moralna i ma nawet myśl religijną. Analiza musi jednak obudzić poważne wątpliwości.

Rzecz dzieje się w Ameryce, na dzikim zachodzie. Poziom moralny osady niedoszłych poszukiwaczy złota jest niesłychanie niski. Wprowadzili właściwe rasię anglosaskiej instytucje, lecz zrobili z nich parodię. Najcięższą zbrodnią jest kradzież konia. Karze się ją śmiercią, a wykonanie wyroku ma charakter barbarzyński — skazańca wieszają i potem cała młodzież miejscowa strzela do niego z rewolwerów. Naturalnie traktuje ona egzekucję jako doskonałą rozrywkę.

Blanko jest pijakiem, kobieciarzem i włóczęgą. Jego brat, który przestał pić ze względu na zdrowie, stoi od niego moralnie jeszcze niżej, gdyż do nieuczciwości dodał hipokryzję. Jest obecnie w „zgniłej“ osadzie równocześnie duchownym i właścicielem baru. Nikt nie domyśla się, jaki stosunek zachodzi między nim a Blankiem. Ten, skrzywdzony przez brata przy podziale spadku, przybywa do niego, aby upomnieć się o bezwartościową pamiątkę po matce. Rozdrażniony odmową, kradnie ze stajni konia, który jest własnością kogoś innego. Nieopodal od osady spotyka kobietę, niosącą do lekarza konające dziecko. Zdjęty litością, oddaje jej konia i przez to zostaje schwytany. Ale do skazania potrzebne jest świadectwo. Dostarcza go Feemy, kobieta, będąca zakałą nawet tak mało moralnej miejscowości. Wyjrzała podczas trwającej do rana hulanki przez okno i zobaczyła Blanka na koniu.

Cały proces jest zjadliwą satyrą na ludzką sprawiedli-

wość. Między przysięgłymi zasiada siwobrody starzec, zupełnie pijany, któremu Shaw na urągowisko dał imię Nestora; reszta ławy jest nie o wiele lepsza, a chciwy emocji tłum publiczności wywiera silny nacisk na sędziów; jedynym świadkiem jest prostytutka. Zresztą oskarżonemu nicby się nie stało, gdyby oparł się był szlachetnemu popędowi i nie oddał konia nieznanemu kobiecie. Widzi, że będzie powieszony za jedyny dobry czyn swego życia.

Sytuacja ta doprowadza Blanka, który ma organizm zniszczony przez alkohol, prawie do obłądu. Bóg zastawił na niego pułapkę. Skorzystał z jego dobrego serca, aby go zgubić. Blanko sądzi, że kobieta i dziecko były umyślnie przez Niego zesłanymi widziadłami. Efekt jest naprawdę wstrząsający — i nie zaciera go szczęśliwe zakończenie.

W chwili, gdy po zeznaniach Feemy wyrok ma zapaść i natychmiast zostać wykonany, zjawia się kobieta. Jej dziecko umarło mimo poświęcenia Blanka. Zorientowawszy się w sytuacji, chce nieszczęśliwemu ocalić życie i twierdzi, że to nie on dał jej konia. Lecz pozostaje Feemy. Blanko usiłował był poprawić swą sprawę, kwestjonując wartość świadectwa i przysięgi kobiety upadłej. Feemy pragnie się zemścić i obstaje przy tem, co raz powiedziała. Ponieważ zeznania biednej matki, która ma powód do wdzięczności, są podejrzane, życie Blanka pozostaje nadal w ręku Feemy, ale ta nie może zdobyć się na wykonanie swego postanowienia. Waha się, wreszcie histerycznym płaczem mówi:

Nie, to nie był on. Powiedziałam tak tylką ze złości, bo mnie obraził. Niech padnę trupem, jeżeli widziałam go na koniu.

Mimo niezadowolenia publiczności i protestów Nestora ława musi uwolnić Blanka, zwłaszcza, że konia oddano i szeryf, od którego był pożyczony, stanowczo sprzeciwia się wyrokowi śmierci. Blanko wygłasza teraz rodzaj kazania. On, Feemy i wszyscy mieszkańcy „zgniłego miasta“ grali w „zgniłą grę“. Ale prócz zgniłej jest i Wielka Gra. Dziwne

są Jej drogi — posługuje się nawet krupem, duszającym niemowlęta.

Może jest głupia; ale nie jest zgniła. Gdy w nią szeryf zaczął grać, przestał być zgnitym. Gdy w nią Feemy zaczęła grać, omal szminka nie odpadła od jej policzków. Gdy ja w nią grałem, przeklinałem siebie jako głupca; ale i tak wyzbyłem się uczucia zgniłości.

Tu wpada w słowo duchowny:

To Pan przemawiał do twojej duszy, Blanko.

Lecz brat odpowiada mu szyderczo:

O tak, ty wiesz o Panu wszystko, nieprawdaż? On za nic w świecie nie zrobiłby czegoś, coby mogło oburzyć ciebie, mój drogi Booze Ha, a co z krupem?

Problem złego na ziemi wraca. Lecz Shaw stoi przy swoim optymistycznym poglądzie na świat, wyrażonym w „Człowieku i nadczłowieku“. Blanko mówi dalej:

To już musiało być dawno, kiedy On stwarzał krup. Wówczas było to najlepsze, co mógł wymyślić. Ale gdy krup w użyciu okazał się złym, On stworzył mnie i was, byśmy w Jego zastępstwie walczyli z krupem... Onby nigdy nie był nas stwarzał, byśmy byli zgnitymi, zapitymi drabami, jak ja, lub nic niewartymi szmatami, jak Feemy. On stworzył mnie, ponieważ miał dla mnie robotę...

Pozornie jest wszystko w porządku i myśl wydaje się głęboko moralna — niezbadane drogi Opatrzności wiodą ludzi ku wyższemu poziomowi moralnemu poprzez krup, niebezpieczeństwo szubienicy i płatne uściski Feemy. Blanko podniósł się z upadku i oświadcza nawet gotowość posłubienia tej biedaczki. Ale dalej wypowiada słowa, które mają stwierdzić wyraźnie, że Shaw nie chce mieć nic wspólnego z moralnością chrześcijańską.

Duchowny odzywa się, używając naturalnie biblijnego stylu, właściwego skrajnym sektom protestanckim:

Bądźcie dobrej myśli, bracia. Walczcie dalej. Szukajcie drogi.

Na to odpowiada Blanko:

Nie. Dość już dróg. Dość już drogi szerokiej i wąskiej.¹ Dość złego i dobrego. Niema złego i dobrego; ale dalibóg, panowie, jest zgniła gra i Wielka Gra. Grałem w zgniłą, ale zagrano ze mną w Wielką Grę i odtąd na zawsze jestem gotów do Wielkiej Gry...

Shaw zrobił pewne ustępstwo na rzecz poglądów, ogólnie przyjętych przez społeczeństwo. Może chrześcijaństwo było jednym stopniem rozwoju ludzkości — w żartobliwej formie słyszeliśmy to już w „Człowieku i nadczłowieku“.² Lecz musi ustąpić czemuś doskonalszemu — jakgdyby Nieświadoma Wola Hardy'ego przyszła do świadomości.

Wielka Gra Shaw'a to nie Bóg chrześcijański. — Ten stworzył krup, rządził przy pomocy złych sił, przy pomocy kary. Wielka Gra Shaw'a to jego Siła Życiowa z „Człowieka i nadczłowieka“.

To też może owa nieinteligentna cenzura zrozumiała sztukę lepiej, niż wszyscy wielbiciele Shaw'a, i z chrześcijańskiego punktu widzenia miała słuszość, nie pozwalając jej wystawić — o ile naturalnie uznamy wogóle rację bytu cenzury, bo to poważna kwestja, nie dająca się napoczekaniu rozstrzygnąć, czy lepiej zabronić wygłaszania poglądów, które uważamy za niemoralne, czy pozwolić je wygłosić, aby zwalczyć je argumentami, lub pozostawić je do unicestwienia ich własnej nielogiczności. Kwestji tej nie zdołały rozstrzygnąć długie wieki i ja nie będę tu kusił się o jej rozstrzygnięcie

¹ Do piekła i do nieba.

² *Don Juan* ...mamut i człowiek, mysz i megaterjum, muchy, pchły i ojcowie kościoła to wszystko mniej lub więcej szczęśliwe próby wcielenia prymitywnej siły w coraz wyższe jednostki (... *the mammoth and the man, the mouse and the megatherium, the flies and the fleas and the Fathers of the Church* i t. d.

Ale Shaw potem ostrożnie obraca to zestawienie w żart przez usta Don Juana. Donna Ana protestuje przeciw wciąganiu w dyskusję ojców kościoła, a Juan odpowiada:

„Zrobiłem to jedynie dla aliteracji, Ano, i już o nich nie będę wspominał“.

zasadnicze. Sądę jednak, że wogóle nie może być zasadniczej odpowiedzi, a za każdym razem musi decydować poziom umysłowy tych, dla których utwór jest przeznaczony, i szereg innych zewnętrznych okoliczności.

Dalsza twórczość Shaw'a nie wymaga już tak szczegółowego omawiania. Pisał jeszcze dużo, ale jest faktem, że oryginalne swoje myśli wypowiedział był już prawie bez wyjątku poprzednio i teraz zaczął się powtarzać. Byłoby niesprawiedliwością przypuszczać, że odegrały tu rozstrzygającą rolę względy materialne. Shaw dawno uzyskał dobrobyt, a żyje skromnie. Wie dobrze, że o ile podwoi, czy potroi majątek, nie będzie mógł i tak zjeść dwa razy tyle jarzyn i chleba. Ale miał stosunki w świecie teatralnym. Z jego przedmów wiemy, że nieraz proszono go o nowe sztuki, zresztą zachował dawny dowcip i zdolność kreślenia ciekawych postaci, a nawet zdolność znajdowania ciekawych tematów — tylko wyczerpał się ideowo.

Widać pewne znużenie.¹ Częściej też pojawiają się sceniczne drobnostki — poprzednio już pominąłem jedną „Jak on kłamał przed jej mężem“, (*How He Lied to Her Husband*), napisaną właściwie tylko dla stworzenia popisowej roli. Wysokie wyobrażenie, jakie Shaw ma o sobie, doskonale charakteryzują słowa wstępu: „Drukuję tu tę bagatelkę jako przykład, co da się zrobić nawet z najbardziej oklepaną (*hackneyed*) sceniczną ramą, gdy wypełni się ją zaobserwowanym rysem prawdziwej natury ludzkiej, a nie doktrynerskim romantyzmem“... W ciekawej sztuczce „Wycinanki z gazet“ (*Press Cuttings*) Shaw wyprowadził na scenę parę politycznych osobistości, ale ostrze satyry zwracało się właściwie przeciw prasie. Wogóle coraz częściej zaczął karykaturować osoby. W prologu i epilogu do „Pierwszej sztuki Fanny“ (*Fanny's First Play*) zrobił to z kilku krytykami dramatycznymi. Jednym jest Chesterton.

¹ Przestając przestrzegać ściśle porządku chronologicznego utworów.

Myśl o nadczłowieku zaprzętała Shaw'a dalej i poświęcił zagadnieniu jej urzeczywistnienia sztukę „Mezaljans“ (*Misalliance*). Do tego tytułowego mezaljansu nie dojdzie, gdyż pełna życia Hipatja, zaręczona z inteligentnym i subtelnym nerwowcem, pozna mężczyznę, który oprócz inteligencji ma także siłę i odwagę. Zerwie więc z pierwszym narzeczonym i zwyczajem bohaterek Shaw'a zdobędzie sobie odpowiedniejszego. Pierwszego uwiezie aeroplanem polska cyrkówka, aby odczytać go historii i zrobić przy pomocy gimnastyki prawdziwym mężczyzną.

Shaw dał jej nazwisko Lina Szczepanowska i zużytkował do komicznych efektów ciężki dla Anglików dźwięk początkowy, każąc im ćwiczyć się w jego wymowie przez łączenie wyrazów *fish* i *church* (ryba i kościół). Pisarzowi, nie pojmującemu, jak można przelewać krew dla nacjonalistycznych mrzonek, Polacy musieli wydawać się narodem Don Kiszotów, gdyż panna Szczepanowska lata dlatego, aby utrzymać tradycję, od lat stu istniejącą w rodzinie, że codziennie któryś z jej członków musi narażać życie. Poza tem jest postacią sympatyczną, choć dziwną. Przy zonglerskich ćwiczeniach czyta Biblię. O taką kombinację możnaby podejrzewać chyba Angielkę lub Amerykankę, ale nie Polkę.

Lecz wróćmy do myśli sztuki. Shaw daje tu znów do zrozumienia, że nadczłowiek może wyjść tylko z klas posiadających — i dla jej podkreślenia wprowadza ogłupiałego w kieracie kantoru socjalistę. Baker naczytał się agitacyjnej bibuły i romansów. Odkrywszy, że bogaty kupiec miał niegdyś stosunek z jego matką, przychodzi go zastrzelić. Przedsięwzięcie nie udaje się, a Baker zostaje ubezwładniony przez muskularną Linę. Umie on tylko wygłaszać oklepane frazesy; przerażony wyzwaniem do walki bokserkiej, woła na pomoc znienawidzonej policji, a nabiera tupetu dopiero wtedy, gdy jemu, abstynentowi, dano kieliszek wódki, która naturalnie podziałała piorunująco.

Ojcem nadczłowieka zostanie może, ożeniwszy się z Hi-

patją, Percival, który łączy w sobie fizyczną tężyznę z intelektem. Rozwój umysłowy zawdzięcza on faktowi, że „miał trzech ojców“. Prawdziwy ojciec trzymał w domu „oswojonego filozofa á la Coleridge lub Herbert Spencer“, matka, z domu włoska księżniczka, włoskiego księdza, — a chłopak pilnie przysłuchiwał się rozmowom. Filozof był wolnomyślicielem i zawsze wierzył w ostatni pogląd (*the latest thing*). Ksiądz nie wierzył w nic, aby mieć jak najmniej kłopotu, a prawdziwy ojciec nie kępował się niczem i wierzył w to, co mu się najlepiej opłacało... Percival mawiał nieraz, że gdyby miał jeszcze i trzy matki, toby nie bał się porównania z Napoleonem.

Jest to żartobliwy hymn na cześć filozoficznej dyskusji, burzącej śmiało dogmaty i torującej sobie drogę przez ich gruzy. Jednym słowem pochwała własnej twórczości autora.

Satyrze na ustrój Anglii i imperjum służy postać lorda Summerhays. Był on gubernatorem wielkiej kolonii i po długich latach pomyślnej działalności wrócił do Anglii. „Rządź nami!“, mówi mu ktoś, lecz lord odpowiada:

Ba, ale tam rządzi się tak, jak trzeba (*the right way*), albo jest się odwołanym. Tu rządzi się, jak nie trzeba (*the wrong way*), aby dogodzić rządcom, którzy umieją tylko polować na przepiórki,¹ i wyborcom, którzy nie wiedzą, za czem głos oddają.

Stary fabrykant Tarleton reprezentuje przeciętnego Anglika ze średniej sfery. Shaw wkłada mu w usta słowa:

Dobra rzecz to imperjum. Wychowuje nas. Rozwija nasze umysły. Wybija nam z głowy Biblię. A cywilizuje tamtych.

LORD SUMMERHAYS. Tak, cywilizuje ich, a nas wyzuwa z cywilizacji. Ich zysk, nasza strata.

Tarleton jest amatorem książek i w czasie dyskusji raz za razem odsyła ludzi do tego lub owego autora. Ale lord

¹ T. j. arystokracji.

Summerhays, który reprezentuje własne poglądy autora, ostrzega przed lekturą.

TARLETON. Jako? Czytanie jest przecie początkiem wychowania.

LORD SUMMERHAYS. Przeciwnie, jest jego końcem. Jak śmiecie uczyć człowieka czytać, zanim wprzód nauczycie go wszystkiego innego?

Jest to słuszna satyra na nasze pokolenie, dla którego zadrukowany papier jest wszystkim. Syn Tarletona Johnny woła z zapalem:

Czas już, byśmy my, trzeźwi, bezpretensjonalni ludzie spojrzeli w oczy temu spiskowi piszących, gadających i zajmujących się sztuką, uknutemu poto, aby nas zepchnął do ostatniego rzędu krzeseł.

Wśród tej antyliterackiej dyskusji dostaje się ciepła wzmianka i piewcy imperjum:

TARLETON. Czytajcie Kiplinga „Abyśmy nie zapomnieli“.¹

JOHNNY. Jeżeli Kipling chce pamiętać, niech pamięta. Gdyby miał do prowadzenia *Tarleton's Underwear* (fabrykę bielizny Tarletona), zapomniałby z przyjemnością. A że ma zajęcie daleko lżejsze (*a softer job*), a chce utrzymać się na oczach publiczności, woła: „Nie zapominajcie o rzeczach, o których dość sprytnie umiem pisać“. No, nie mam nic przeciw niemu, to jego interes; robiłbym to samo na jego miejscu.

„Czarna dama z Sonetów“ (*The Dark Lady of the Sonnets*) jest okolicznościową jednoaktówką, przeznaczoną na fundusz budowy angielskiego teatru narodowego. Shaw oparł ją na jednej z teoryj, mających wyjaśnić sonety Szekspira, zresztą błędnej. Wyprowadzając na scenę wielkiego poprzednika, był dla niego nieco względniejszy, niż dotychczas. Muśiał się zresztą liczyć z publicznością.

¹ *Lest we forget* — refren jednego z najbardziej znanych wierszy Kiplinga. Jest to rodzaj hymnu do „Pana zastępów“, pod którego dłońią Anglja dzierży „władzę nad sosną i palmą“, aby nie opuszczał swego nowego wybranego narodu. Warto zwrócić uwagę na widoczne tu mistyczne przeświadczenie o misji dziejowej W. Brytanji i na rzadkie u Kiplinga złe przecucia, z których zrodziła się jego modlitwa.

Ale nie odmówił sobie przyjemności zrobienia go typowym angielskim snobem. Jego Szekspir jest dumny, a raczej zarozumiały aż do śmieszności — jednakże nie z powodu swych dzieł, tylko z powodu szlachectwa. Drugą główną postacią sztuczki jest Elżbieta, wybornie scharakteryzowana kilku mocnymi rysami.

W *Overruled* (tytuł dałby przełożyć się „Za dużo było reguł“) Shaw rozprawił się raz jeszcze z małżeństwem, w „Androklesie i lwie“ (*Androcles and the Lion*) z chrześcijaństwem, które zaatakował w obszernym wstępie, zawierającym między innymi próbę krytycznej oceny czterech Ewangelij. Sama sztuka z jednej strony odziera z nimbu pierwszych chrześcijan, wykazując na paru postaciach, że mieli swe słabości, a nawet czasem szli na śmierć męczeńską dla niskich pobudek, z drugiej strony ośmiesza cesarstwo rzymskie, przyczem naturalnie godzi, jak twierdzi sam Shaw, w imperjalizm, a raczej w ideę dynastyczną. To zadanie miała przedewszystkiem efektowna scena, w której kapitan konwoju tłumaczy więźniom chrześcijańskim stanowisko cesarza wobec nich i ich obowiązki względem cesarza. Gdy „Androklesa“ grano po raz pierwszy w Berlinie, obecny na przedstawieniu następca tronu podczas tej sceny ostentacyjnie wyszedł z teatru. Wydając sztukę już po wybuchu wojny, Shaw z właściwą sobie przekorą zwrócił uwagę, że „żaden angielski imperjalista nie miał dość inteligencji i powagi, aby zrobić to samo w Londynie“. „Jeżeli wiadomość jest prawdziwa“, dodaje Shaw, „muszę przyklasnąć logicznemu postępkowi kronprinca i cieszę się, że mnie tak dobrze zrozumiał. Lecz mogę go zapewnić, że imperjum, które służyło mi za model przy pisaniu „Androklesa“, było, jak teraz przekonywa się na swą szkodę, znacznie bliżej mego domu, niż niemieckie“. Zwrot bardzo efektowny, ale, jak często u Shaw'a, opiera się na logicznej sztuczce lub nieścisłości. Jak nie można utożsamiać bliskich sobie, ale odrębnych pojęć imperjalizmu i idei dynastycznej, tak monarchja i władza Hohenzollernów w chwili ich największej potęgi,

t. j. przed samym wybuchem wojny światowej, nie nadawała się nawet do porównania ze stanowiskiem Jerzego V w Anglii. I tu należy szukać przyczyny, że w Londynie nikomu nie przyszło na myśl urządzić demonstracyjny *exodus* z teatru.

Najciekawszą sztuką z tego czasu jest „Pigmaljon“. Tytuł odnosi się do profesora fonetyki, który usłyszał na ulicy piekielny, prawie całkiem niezrozumiały dialekt londyński kwiaciarki i zakłada się, że w przeciągu pół roku uczyni z niej elegancką damę, zdolną przetrwać ogniową próbę obiadu u ambasadora. Z tym ogromnie oryginalnym pomysłem Shaw połączył i problem społeczny, problem przejścia z niższej klasy do wyższej. Pod koniec sztuki coraz wyraźniej wylania się pytanie, co zrobić z Lizą, gdy zmieniła się w Elizę, a profesor Higgins — wzorowany poczęści na sławnym uczonym Henryku Sweet — udziela lekcji fonetyki dorobkiewiczom; zresztą nawet ojciec Elizy, wyborny przedstawiciel „biedaków, nie zasługujących na litość“ (*the undeserving poor*), w ostatnim akcie dzięki testamentarnej fantazji amerykańskiego milionera z żalem przywdziewa smoking. Komedia miała wielkie powodzenie.

Następuje czas wojny światowej. Shaw oburzył się zrazu na objawy roznamiętnienia społeczeństwa. We wspomnianym już dodatku końcowym do „Androklesa“ piętnował rozruchy uliczne przeciw nieprzyjacielskim poddanym, a szczególnie ostro oburzał się na zamknięcie niemieckiego kościoła w Londynie, wołając z piękącym szyderstwem: „Dobrze Panu Bogu tak! Poco stwarzał Niemców?“. Wnet jednak umilkł. W przedmowie do kilku utworów, granych i drukowanych już po r. 1918, tłumaczy, że lata morderczych zapasów z Niemcami nie były czasem odpowiednim do dzielenia się z publicznością antimilitarystycznymi poglądami i odwracania uwagi od ciężkich zagadnień chwili. Zresztą Shaw w myśl swych zasad, przyznając sobie nieograniczone prawo krytyki, przyznawał równocześnie państwu jego wszelkie prawa i poddawał się władzy. W przedmowie do „Blanka Posnet“ po-

wiedział był wyraźnie, że uznaje chwilowe zawieszenie praw obywatelskich. Tak samo zamyka się ruch uliczny w czasie pożaru lub strzela do złodziei po trzęsieniu ziemi. Shaw bolał nad stratami ojczyzny i jej nieprzyjaciół, które nazywał wspólnymi stratami cywilizacji, widział i miał później wytykać Anglii różne śmieszności i występki jej wojennej psychozy, ale w znacznym stopniu solidaryzował się ze sprawą ojczyzny.

Napisał nawet jednoaktową fraszkę, mającą służyć do agitacji za wstępowaniem na ochotnika do wojska. Że jednak wszystko robił po swojemu, wabił tu w szeregi nadzieją, że front da swobodę młodym mężczyznom, krótko trzymanym przez matki, żony czy narzeczone, i że pozwoli im zaznać trochę spokoju. Nadto zbyt swobodnie poruszył zaognioną właśnie kwestję irlandzką. *O'Flaherty V. C.* (litery po nazwisku oznaczają, że bohater posiada krzyż Wiktorji) nie mógł być w Anglii grany.

W ciągu wojny wystawiono w Londynie tylko inną jednoaktówkę Shaw'a, „August dorzuca swoją cegielkę“ (*Augustus Does his Bit*). Znamienny to fakt, że lepiej było kpić z ministerjum wojny oraz z frontowych i pozafrontowych oficerów, niż choćby zlekka dotykać sprawy irlandzkiej. Sztuczka mieści wyborny przykład zdrowego rozumu Shaw'a, który mimo, że jest abstynentem, doskonale zdawał sobie sprawę z nieskuteczności różnych zarządzeń przeciw sprzedaży alkoholu. W Anglii podczas wojny można go było nabywać tylko w zamkniętych naczyniach. Otóż w „Augustście“ występuje człowiek, który dawniej codzień chodził do szynku na swoją miareczkę *whisky*, a obecnie nauczył się wypijać całą kwartę. Zupełnie tak samo u nas widzi się najwięcej ludzi pijanych w niedzielę.

Broszura „Głos zdrowego rozsądku o wojnie“ (*Commonsense about the War*) napsuła dużo krwi Anglikom. Z tem wszystkiem nie była niepatriotyczną, a choć antymilitarystyczna, nie zwracała się przeciw udziałowi Anglii w wojnie światowej. Lecz zawierała dużo niemiłych prawd, cza-

sem przesadzonych. Zresztą Shaw niejedno widział inaczej, niż ogół, gdyż patrzył zawsze przez pryzmat własnego poglądu na świat.

W r. 1919 publiczność zapoznała się z napisaną wcześniej od tamtych sztuką „Dom pękających serc“ (*Heartbreak House*). Jest to dialogowana satyra na przedwojenną Anglię klas średnich, w szczególności na erotomanję rozpróżniaczonych dam i dżentelmenów. Niema tu żadnej akcji — chyba, że akcją nazwiemy atak lotniczy niemiecki, który całemu towarzystwu raczej czyni przyjemność, dostarczając silnych emocyj, niż napędza strachu. Boją się o życie tylko włamywacz i aferzysta z City — ci też obaj symbolicznie giną razem.

W „Wielkiej Katarzynie“ (*Great Catherine*) przedstawił Shaw kilku śmiałymi pociągnięciami pendzla Rosję XVIII w., urozmaicając obraz parą skarykaturowanych Anglików.

Bardzo zniżył lot w „Cesarzowej bolszewickiej“ (*Annajanska the Bolshevik Empress*), gdzie, uniesiony socjalistycznym sentymentem, robi reklamę rosyjskim komunistom — wiadomo zaś, że jest bezwzględny przeciwnikiem bolszewizmu. Ostatecznie szło mu tylko o stworzenie efektownej roli kobiecej, a rzecz była przeznaczona nie dla teatru, lecz dla *variété*¹. Jedno i drugie możnaby zgadnąć, nawet nie czytając przedmowy.

Ostatnim dwom utworom Shaw'a poświęcam osobny szkic i omówię je obszerniej. Są ciekawe i efektowne, ale do charakterystyki autora i jego poglądów nie dorzucają nic istotnego.

G. B. S. jest niewątpliwie największą postacią dzisiejszej literatury angielskiej. Uważając się za ibsenistę i na każdym kroku popisując niechęcią do Szekspira, stworzył swój własny dramat. Akcji często brak zupełnie, a jeszcze częściej widać w niej nonszalancję autora, nie wysilającego

¹ *Coliseum Theatre.*

się w tym kierunku i trochę rozmiłowanego w błaznowaniu. Postaci przeważnie nie są ludźmi prawdziwymi, lecz co najwyżej stylizowanymi. Wszystkie odznaczają się cechami swego twórcy, a więc wielomównością, skłonnością do analizowania zarówno własnego postępowania i pobudek, jak ustroju świata, wreszcie świetnym dowcipem. Dowcipu tego posiada Shaw nieprzebrane zasoby, jak posiadał przez długi czas nieprzebrane bogactwo myśli. O styl nie dba zupełnie, ale właśnie dlatego jest mimo swej głębokości i oryginalności zawsze naturalny. Robi silne wrażenie tak ze sceny, jak w lekturze.

Chesterton przyznaje mu dwie główne zasługi — że „ulepszył dyskusje filozoficzne, popularyzując je“ i że „ulepszył także popularne rozrywki, czyniąc je bardziej filozoficznymi“. Ale przyznawszy to, Chesterton mówi dalej: „Umysł nowoczesny nie jest podobny do osiołka, któremu trzeba kilku kopnięć, aby go ruszyć z miejsca. Umysł nowoczesny jest podobniejszy do samochodu na odludnej drodze, który szofer-dyletant właśnie zdołał rozebrać na kawałki, ale którego nie umie złożyć napowrót. W tych okolicznościach nigdy dotąd znawcy nie orzekli, iż kopanie samochodu jest rzeczą skuteczną. Stąd nikt jeszcze nie przysłużył się naszemu wiekowi samem stawianiem pytań“.

Widzimy, że Chesterton obojętnie przechodzi do porządku nad pozytywnymi koncepcjami Shaw'a — i nie bez słuszności. U błyskotliwego i płodnego autora „Człowieka i nadczłowieka“ robi silne, nieraz piorunujące wrażenie krytyka obecnego porządku rzeczy, natomiast wiara w odrodzenie świata przez socjalizm jest nieco naiwna, a Shaw miał cały szereg chwil, w których to czuł i z całą swą dżentelmeńską szczerością wypowiadał. Ostatecznie wymyślił nadczłowieka. Kto chce, niech wierzy. Ale rzecz ciekawa, że Shaw, który tak serdecznie nienawidził romantyzmu i romantycznych złudzeń, spotkał się tu z romantykami, przepowiadającymi epokę Prometeusza wyzwolonego, czy Ducha świętego. *Les extrêmes se touchent*. To, co Shaw'owi wy-

dawało się najwyższem zwycięstwem mózgu, działającego niezależnie od serca i nieraz wbrew wszelkim popędom serca, stanowiło w gruncie rzeczy kapitulację mózgu. Nadczłowiek bowiem był raczej potrzebą serca, niż tworem mózgu.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do pytań i negacji Shaw'a. Jego krytyka współczesnego życia, choć przesadna, jest przeważnie sprawiedliwa, o ile autora nie uniesie jego przekora. Dzieje się to często w długich i ciekawych przedmowach do dramatów. Jako przykład warto wymienić przedmowę do *Getting Married* z sofistycznym równocześnie i namiętym atakiem na małżeństwo i miłość. Czytamy tu, że między małżeństwem a prostytutką jest taka tylko różnica, jak między związkami zawodowemi a niezorganizowaną, dorywczą pracą — „różnica niewątpliwie ogromna ze względu na porządek i wygodę, ale nie różnica gatunkowa“. Dalej czytamy, że „wypadki chronicznej, przez całe życie trwającej miłości, czyto sentymentalnej, czy zmysłowej, należałoby wydawać w ręce lekarza, jeżeli nie w ręce kata“... Shaw bowiem jest wyznawcą purytańskiej zasady, że stosunek między mężczyzną a kobietą ma polegać tylko na płodzeniu dzieci. Reszta — to konwencja i blaga. Zupełnie podobne są jego wycieczki przeciw chrześcijaństwu.

Ale o ile Shaw umie zachować równowagę, bywa głęboki i pełen rozsądku. Inaczej jednak, niż z krytyką życia, ma się u niego rzecz z krytyką ideałów. I w tym wypadku najdogodniej posłużyć się określeniem Chestertona. Jeżeli jest to jedyny krytyk, którego cytuję, to nie z powodu niezajomości innych. Niestety z Anglików, jak Archibald Henderson lub Herbert Skimpole, z Francuza Augustyna Hamon mogłem zaledwie zacerpnąć pewnych szczegółów o życiu Shaw'a. Poza tém prace ich są tylko panegirykami. Hamon daje nawet swojej podtytuł „Molière XX wieku“.

Otóż Chesterton wyraził się, że Shaw zeskrobuje poźłótkę z piernika. Zresztą nic to nie szkodzi, o ile wolimy piernik od poźłótki. Lecz ludzie tego rodzaju biorą się po-

tem do zeszkrobywania pozłótki z ogromnych brył złota i Shaw często tak postępuje. „Jeżeli mu się podoba, może zeszkrobać poezję (*romance*) ze zbrojeń angielskich lub z partyjnego systemu rządów w Wielkiej Brytanji. Ale nie zeszkrobie jej z miłości lub z odwagi wojskowej, bo te bryły są samą poezją i mają grubość trzech tysięcy mil“.

V.

O wiele mniej skomplikowaną osobistością jest Herbert Jerzy Wells. Młodszy od Shaw'a o całych lat dziesięć, jest jego przyjacielem i również zawdzięcza wiele ze swego poglądu na świat *Fabian Society*. Ale zachodzą poważne różnice.

Wells jest przede wszystkim fanatykiem wiedzy. Wychował się w atmosferze chemji i historji naturalnej. Uwielbia zdobycze materialnej cywilizacji i prorokuje dalsze, bez porównania świetniejsze. Atoli ceni wysoko i historję: „Nie mogę wyobrazić sobie wychowania“, powiada, „doprowadzonym choćby do połowy, póki nie objęło dostatecznie gruntownego przeglądu znanej przeszłości od początków tego, co pamięta geologja, aż do naszych czasów“. Usiłował też sam — z niewielkiem powodzeniem — bawić się w historjka. Żąda, aby uczono prócz ojczystego języka łaciny i choćby trochę greki, francuskiego, niemieckiego, jednego języka słowiańskiego — wymienia rosyjski i czeski, — a nadto podstawowych wiadomości z jednego języka niearyjskiego. Musiał sam być obdarzony wyjątkową pamięcią i zdolnościami do nauki, gdyż twierdzi, że nauczenie się tych wszystkich języków — z dodatkiem paru słów hiszpańskich w związku z francuskim i szwedzkich w związku z niemieckim — nie przedstawia większych trudności. Mówi apodyktycznie:

...Myślicie, że żądam niemożliwości; ale nie zapominajcie, że ja tu jestem na swoim własnym gruncie; mam wykształcenie nauczycielskie, studjuję pedagogikę i jestem bacznym ojcem; wiem, ile czasu i sposob-

ności marnuje się w szkole, szczególnie przy nauce języków. Nie są one czemś oddzielonem od siebie nieprzemakalnemi przegródkami, jeden rozjaśnia drugi i — o ile nie uczy się z zadziwiającą głupotą — prowadzi do drugich...

(*The Salvaging of Civilisation* —
„Uzdrowienie cywilizacji“, 1921.)

Zacytowałem to miejsce jako znamienne. Widać w niem i nauczycielską pewność siebie Wellsa, który nie dysputuje, lecz poprostu woła „Ja wiem lepiej“, i jego dumę z nabytego mimo ciężkiej walki o byt wykształcenia, i jego niezachwianą, fanatyczną wiarę w potęgę nauki.

Jako socjalista Wells jest od Shaw'a prawowierniejszy. Nie odrzucił nic z programu Marxa, nie zakwestjonował w nim ani litery. Lecz zapragnął go rozwinąć i wypracować do najdrobniejszych szczegółów. Cały szereg powieści Wellsa dzieje się w przyszłości, a we wszystkich kojarzą się dwa motywy — socjalistyczny etatyzm i opanowanie sił przyrody. „Nowoczesna Utopja“ (*The Modern Utopia*, 1905) przedstawia stosunki na jakimś planecie, dokładnie odpowiadającym ziemi. Istnieje tam centralne biuro ewidencyjne, zaopatrzone w dokładne pomiary, odcisk wielkiego palca i *curriculum vitae* każdego mieszkańca globu. Jedynym materiałem budulcowym jest metal, wszystko odznacza się trwałością, a urządzenie pokojów jest tak doskonałe, że każdy bez wysiłku i bez straty czasu może u siebie posprzątać, naciskając szereg guzików.

Zbawienie ludzkości, t. j. wprowadzenie ustroju socjalistycznego ma wedle Wellsa nastąpić w drodze rewolucji. W powieści „Gdy śpiący się ocknie“ (*When the Sleeper Wakes*) przedstawia on kapitalistyczny świat, doprowadzony do absurdu. Bohater kiedyś w naszych czasach dziwnym sposobem zapadł w głęboki sen. Ponieważ nie umarł, niewielka suma, jaką pozostawił, nie mogła przejść na żadnego spadkobiercę. Zarządzała nią rada kuratorów i w ciągu wieków Śpiący został właścicielem całej kuli ziemskiej, a kura-

torzy jej rządem. W tej sytuacji następuje przebudzenie. Śpiący dowiaduje się, że był długo nadzieją całej ludzkości, oczekującej od niego zmiany potwornych stosunków, w których między pracującymi a używającymi wytworzył się nieprzebyty przedział. I Wells każe swemu bohaterowi, omotanemu siecią intryg żadnego władzy ministra, zerwać tę sieć i stanąć po stronie proletariatu, powstającego do walki. Kreśli teraz z lubością obrazy dziwnych bojów na powietrznych ulicach, w podziemiach i pod chmurami — powieść powstała w r. 1899, więc walki aeroplanów były jeszcze tylko śmiałą fantazją.

Ów przedział między używającymi a pracującymi zaznacza się jeszcze wyraźniej w przyszłym świecie „Maszyny czasu“ (*The Time Machine*, 1895). Bohater jej skonstruował przyrząd, który pozwala odbywać podróże w czasie, jak je odbywamy w przestrzeni. Naturalnie pociągała go przede wszystkim odległa na lat tysiące przyszłość i w nią się wybrał. Powierzchnię ziemi zamieszkują istoty dziecinne, wiecznie uśmiechnięte, bez mięśni, spędzające czas na zbieraniu kwiatów i tańcach. Obie płci są do siebie najzupełniej podobne. W nocy ogarnia tych ludzi nieokreślona trwoga. Jakieś potworne postaci wypełzają z głębin ziemi. „Podróżnik w czasie“ ma przy sobie zapalki, a tajemniczy goście nie znoszą światła, więc ich z łatwością odpędza, powodowany instynktownym wstrętem i zgrozą kobiety, która odczuła pociąg do niego i dotrzymuje mu towarzystwa. Długo jednak nie rozumie zagadki. Dopiero po całym szeregu niebezpiecznych przejść udaje mu się ją rozwiązać. Oto wewnątrz ziemi zamieszkują zdziczali potomkowie proletariatu, którzy na jej powierzchni trzymają sobie burżuazję jako rodzaj bydła i co pewien czas porywają tego lub owego z „Elojów“ na zarznięcie.

Wells nie posiada tej głębokości i samoistności myślenia, co Shaw. Posiada natomiast łatwość przystępnego i efektownego przedstawiania swych myśli. Czyta go się przy-

jemnie i szybko, gdyż wie zawsze, co chce powiedzieć, nie lubi niedomówień i nie roztacza zbyt szerokich horyzontów przed czytelnikiem. Można by nawet powiedzieć, że popiera tym sposobem lenistwo umysłowe. Wszystko to jest w znacznej części następstwem okoliczności, iż zaczął od pisania wyłącznie dla zarobku, wydając jedną po drugiej powieści sensacyjne o podkładzie naukowym lub pseudonaukowym. Pierwiastek społeczny zajmował pierwotnie stanowisko podrzędne.

Niema go zupełnie np. w „Wyspie doktora Moreau“ (*The Island of Dr. Moreau*, 1986), opartej na darwinistycznym pomysle, że przy pomocy przeszczepiania różnych organów można tworzyć nowe rodzaje zwierząt, a nawet zwierzęta zbliżać do ludzi, lub w „Człowieku niewidzialnym“ (*The Invisible Man*, 1897), którego bohater korzysta ze swego wynalazku, aby kraść, a nawet zabijać.

Dopiero zyskawszy pewną popularność, Wells przerzucił się prawie równocześnie do dwóch nowych rodzajów, które do dziś uprawia. Jednym są pretensjonalne rozprawy o niedomaganiach obecnego porządku świata i obrazy socjalistycznej przyszłości, różniące się czasem w szczegółach, ale naogół do siebie podobne. Nieuprzedzonego czytelnika musi w nich razić dogmatyczność Wellsa i jego niezdolność wczucia się w obce kategorie myślenia.

Drugim rodzajem jest powieść obyczajowa z podkładem satyry na społeczeństwo współczesne. Zwykle spotykamy tu przeciwstawione obłudzie i snobizmowi angielskiego małomieszczactwa jednostki, które pracują, samoistnie myślą i obdarzone są silnym poczuciem godności. Mówię o małomieszczactwie, gdyż Wells nie zna innego środowiska. Wyszedł z niższej klasy średniej i zna ją nawylot. Ilekroć jednak pokusi się niebacznie o malowanie warstw wyższych, dowodzi ich zupełnej nieznanomości. Zdarza mu się to zresztą rzadko, gdyż ma dużo zdrowego instynktu pisarskiego.

Wogóle w ciągu całej swej kariery literackiej mało się

zmienił. Przedewszystkiem nigdy nie zdołał pozbyć się zmysłu handlowego. Był czuły na każdą aktualność. W „Nowoczesnej Utopji“, napisanej w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, złożył rządy bliźniaczego planety ziemi w ręce rodzaju zakonu, którego członków ochrzcił samurajami. W r. 1908, wracając do sensacyjnych fantazji pseudonaukowych, przedstawił straszliwe zapasy całego świata, zbrojnego w aeroplany. Początek dają Niemcy, zamieniając Londyn w kupę gruzów. Wells naturalnie zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że rozwój lotnictwa i niebezpieczeństwo niemieckie, to dwie rzeczy, które w danej chwili najbardziej zaprzatają umysły angielskie, a podziałają najsilniej, jeżeli splecie się obie w wątku fantastycznej powieści. Nie zawahał się nawet wprowadzić tu Wilhelma II i kazać mu odbyć niedobrowolną przejażdżkę powietrzną.

Utwory Wellsa miały powodzenie na rynku księgarskim. Jego przystępność, aktualność, gładkość, sensacyjność jednały mu szerokie koła czytelników. Pisał więc szybko i coraz szybciej. Nie wysiłał się na nowe koncepcje myślowe, zadowalał się powtarzaniem dawnych, strojąc je tylko w inną szatę. Wystarczały mu zmiany czysto zewnętrzne. Tu punktem wyjścia uczynił jakiś wynalazek ostatniej doby, tam użył nowej techniki.

„Nowoczesną Utopję“ czyni rodzajem odczytu dwóch ludzi, którzy byli na tajemniczym planecie. Zaczyna od opisu ich wyglądu, zaznaczając, że podczas opowiadania pojawiają się na ekranie obrazy świetlne. Urozmaica opis idealnego społeczeństwa tem, że jeden z mieszkańców ziemi wciąż bada wszelkie urządzenia i rozmyśla nad niemi, drugi natomiast nie może ani na chwilę zapomnieć o swej nieszczęśliwej miłości. Osiąga na końcu doskonały efekt, przenosząc obu z idealnego Londynu na idealnym planecie na prawdziwy ziemski *Trafalgar Square* i ilustruje to przykre przebudzenie przedewszystkiem plakatem, streszczającym zawartość jednego z pism codziennych:

Rzeź w Odessie

Odkrycie zwłok ludzkich w Chertsey.

Potworny lynch w stanie Nowy Jork.

Niemieckie intrygi sparaliżowane.

Odnaczenia z powodu urodzin królewskich — pełna lista.

Wszystko to jest efektowne i świadczy o dużym sprycie pisarskim. Ale prawdziwa treść książki nie różni się niczym istotnym od reszty innych utopij Wellsa.

Zupełnie podobnie ma się rzecz z jego powieściami obyczajowymi. Najwcześniejsza z nich, „Koła przypadku“ (*The Wheels of Chance*, 1896) przedstawia filisterskie środowisko, wśród którego żyje bohater, subjekt w sklepie bławatnym. Wznosi on się stopniowo ponad otoczenie, nabiera coraz głębszego poglądu na świat oraz godności. I przedstawione tu stosunki opierają się na długoletniej obserwacji autora, który sam był synem drobnego kupca, i rozwój intelektualny centralnej postaci odpowiada własnej ewolucji Wellsa.

Bohaterem „Miłości i pana Lewisham“ (*Love and Mr. Lewisham*, 1900) jest nauczyciel, bohaterem „Kippsa“ (1906) znowu subjekt ze sklepu bławatnego. „Anna Weronika“ (1909) przedstawia wyzwolenie się panny z mieszczańskiego domu z „przesądów rodzinnych“, kończy się jednak rodzajem kompromisu. W każdym razie autor z największym zapałem malował tu miłosną idyllę związku, sprzecznego z ogólnie wyznawanymi zasadami moralnymi.

W tym samym roku wyszła powieść *Tono-Bungay*. Tytuł jest nazwą uniwersalnego lekarstwa dla chorych i zdrowych. Treść satyryczna zwraca się przeciw potędze reklamy i wyzyskowi łatwowiernych przez przedsiębiorczego blagiera, sięgającego po miliony, nadto przeciw atmosferze wiejskiego dworu, równie dusznej w apartamentach właścicieli, jak w pokojach służby. Lecz obok satyry widzimy tu i ideał pozytywny. Powieść napisana jest w pierwszej osobie, opowiadający, chłopak niskiego pochodzenia, powtarza znów rozwój

psychiczny autora. Przypatruje się światu i ludziom, uczy się przeziierać nawylot pozory i gardzić małomieszczańską moralnością. Przez jakiś czas jest pomocnikiem wuja, wynalazcy cudownego środka, po bankructwie zaś aferzysty zostaje mechanikiem — jest to również ulubiony zawód bohaterów Wellsa. Nie brak i romansu o schemacie typowym u Wellsa, który raz po raz przedstawia z warjantami własne przeżycia — w „Tono-Bungay“ przedwczesny związek z kobietą, nie mogącą mężczyźnie dać szczęścia, gdyż wyszła z otoczenia filisterskiego i nie wyzbyła się wyniesionych stamtąd pojęć. Bohater targa te węzły i znajduje sobie inną kobietę, której temperament bardziej mu odpowiada. Ale niema już mowy o małżeństwie i o trwałości stosunku. Jest to więc ewolucja od małżeństwa do wolnej miłości. „Tono-Bungay“ byłaby to może najlepsza powieść Wellsa, gdyby nie był jej z przyzwyczajenia zesześcił żywiołem sensacji. Reprezentuje go wyprawa w daleki, egzotyczny świat po skarby. Łatwo rozpoznać awanturniczko-romantyczny motyw szeregu powieści XIX wieku, wywodzący się jeszcze od Daniela Defoe, ale Wells zmodernizował go po swojemu. U Stevenson'a np. skarb pochodził z rozbojów morskich, trzeba go było odszukać na podstawie niejasnych wskazówek i stoczyć o niego szereg homeryckich bojów z korsarzami. Tu pochodzenie skarbu nie odgrywa żadnej roli i pozostaje nieznanne; stanowią go olbrzymie bryły radioaktywnych kruszców, które załogę nabawiają chorób i powodują rozpadnięcie się drewnianego statku.

Nie będę katalogował imponującej ilościowo twórczości Wellsa. Poświęcę jednak jeszcze nieco uwagi jego powieści „Sen“ (*The Dream*), ogłoszonej w r. 1924. Nad „Tono-Bungay“ ma ona tę wyższość, że nie zawiera żywiołu taniej sensacji, nad „Anną Weroniką“ znów tę, że nie wychodzi poza zakres stosunków i postaci, z którymi autor był spoufalony. Poza tem kojarzy dwa rodzaje jego twórczości — utopję i powieść satyryczno-obyczajową.

Zaczyna się w przyszłości. Po wojnie światowej nastąpiła straszniejsza od niej „wojna gazów trujących“, po tej odrodzenie świata. Nasze czasy są dla ludzi czemś tak odległym i mało znanym, jak dla nas dzieje Asyrji lub Babilonii. Lecz Wells wskrzesza własną epokę przy pomocy metempsychozy i anamnezy. Czworo osób zatrzymuje się podczas rozkosznej wycieczki górskiej w gospodzie i jeden z uczestników ma sen, w którego kilku godzinach przeżywa swe poprzednie życie, przypadające właśnie na „wiek zamętu“ (*the Age of Confusion*) t. j. na koniec w. XIX i początek XX. Reszta towarzystwa ustawicznie przerywa jego opowiadanie pytaniami, okrzykami zdziwienia i politowania. Na pierwszy plan wybija się pierwiastek satyryczny.

Bohater nosił za naszych czasów pospolite nazwisko Smitha i był synem sklepikarza w małej mieścinie południowoangielskiej. Za chlubę rodziny uważano wuja, naczelnego ogrodnika w sąsiednich dobrach. Chłopak odwiedzał go co tydzień w towarzystwie ojca, a obaj dorosli nie szczędzili mu przy tej sposobności nauk moralnych. Niestety pokazało się potem, że wuj, człowiek, uważający się za dżentelmena, t. j. za członka wyższej warstwy społecznej, stale dawał szwagrowi kradzione jarzyny i owoce, a ten sprzedawał je w swym sklepie — i to był cel owych regularnych wizyt. Ogródnik został oddalony i mieszkał odtąd u rodziców Harry'ego Smitha.

Nauczył jego ojca grać na wyścigach. Gdy wygrali, pili z radości; gdy przegrali, co zdarzało się o wiele częściej, ze zgryzoty. Wyczerpywały się oszczędności wuja, a i sklepikarzowi powodziło się coraz gorzej. Jego starsza córka, Fanny, uciekła z domu do zamożnego młodego człowieka, nie żyjącego z żoną, a wkrótce potem Harry stracił ojca, który w stanie nietrzeźwym wpadł pod automobil. Starszy brat, zajęty jako mechanik w jednym z londyńskich garaży, przybył na pogrzeb i sprzeciwił się ostro planowi, aby wdowa wynajmowała w miasteczku umeblowane pokoje,

a wuj jej pomagał — t. j. dalej pasorzytował w jej domu. Po pozbyciu się tego dżentelmena pani Smith przeniosła się do Londynu, aby zamieszkać u przyjaciółki, prowadzącej skromny pensjonat. Pracowała tam bardzo ciężko, ale znalazła utrzymanie dla siebie i dla dwojga najmłodszych dzieci.

Ten szkaradny pensjonat w szkaradnem Pimlico daje Wellswi sposobność do wprowadzenia całej galerji epizodycznych figur. Jest tu dodatnia postać sufrażystki. Reszta lokatorów to przedstawiciele snobizmu i obłudy. Oksfordczyk zatrudniony w firmie wydawniczej, udaje, że co lata jeździ do Szwajcarii i że co rana kąpie się w lodowatej wodzie. Ma całą kolekcję cybuchów oraz mnóstwo zakurzonych książek, a jego stereotypowe dowcipy polegają na przezywaniu właścicielki i służby. Stary pastor, który jakimś sposobem stracił parafję, przestrzega małego Harry'ego, mającego gorącą chęć do nauki, aby dał temu spokój i zadowolił się pozostaniem we własnej sferze. Pogardza geologją jako sprzeczną z *Genesis*, historją naturalną jako nauką Huxley'a i Darwina, francuszczyzną jako językiem Voltaire'a. Zato daje Harry'emu na drogę życia Biblię, a chłopiec znajduje w niej źle wyskrobany napis, dowodzący, że została ukradziona w jakiejś poczekalni. Pastor wychodzi z domu bez parasola, a wraca co najmniej z jednym. Sprzedaje je później, a gdy raz wrócił przemokły do nitki i żona wyraziła ubolewanie, że znów zgubił parasol, odpowiada jej łagodnie: „Nie zgubiłem, moja kochana. Nie zgubiłem, ale nie miałem go już przed deszczem... Pan dał, Pan wziął“. Po powrocie z takich wycieczek pastor jest zwykle podochocony.

Zdaje się, że i w tym wypadku pisarz o przeciwnej tendencji mógłby równie łatwo wprowadzić postać świątobliwego i rozsądnego duchownego, imponującego znoszeniem nędzy z godnością, jak imponuje bohater klasycznej książki XVIII w., wikary z Wakefield. Gdy Goldsmith tworzył swą powieść, kler anglikański dawał do satyry stanowczo więcej

sposobności, niż go daje dzisiaj. Odbiło to się też w literaturze. Gdy Jane Austen, a po niej Thackeray kreśliли ujemne typy pastorów, były wprawdzie protesty, ale słabe, gdyż smagane przez nich wady, służalczość i sybarytyzm, miały wśród duchowieństwa bardzo liczny zastęp przedstawicieli. Jeżeli Wells piętnuje obłudę i zacofanie, ma słuszość tylko poczęści; dużo jest dziś w Anglii pastorów tak postępowych, że ich poglądy na Pismo św. i na różne kwestje obyczajowe wywołałyby oburzenie katolickiego księdza. Ogółem biorąc, można nawet powiedzieć, że zarzut nieuznawania zdobyczy nauki i popierania ignoracji jest niesprawiedliwy. Zresztą Wells popsuł postać swego pastora jaskrawymi efektami w rodzaju historii parasolów.

Mieszka w pensjonacie także stara nauczycielka niemieckiego. Później zajmuje jeden z pokojów para, której nazwisko nie zgadza się ze znakami na bieliźnie. Fakt ten oburza matkę Harry'ego, lecz właścicielka pensjonatu przerywa dyskusję stwierdzeniem, że państwo Milton płacą rachunki z największą punktualnością.

Młody człowiek, jak zwykle u Wellsa, zanim naprawdę dorośnie, kocha się platonicznie i beznadziejnie w starszej od siebie kobiecie, mianowicie w sympatycznej sufrażystce. Ale musi szukać zajęcia. Zostaje naprzód chłopcem do posyłek u kupca bławatnego, potem pomocnikiem aptekarza, który sprzedaje „narkotyki, lekarstwa, czasem korzenie, barwki i tym podobne dziwaczne towary“. „Znacie go z Romea i Julji; czas, w którym odbyłem to życie, był tylko o cztery i pół wieku¹ odległy od starego Szekspira“ powiada Sarnac-Smith. Sklep zdobią flaszeczki,

¹ Nie trzeba dodawać, że obliczenie jest błędne. Autorowi, liczącemu na okresy geologiczne i tysiące lat, wiek czy półtora nie robi różnicy. Trudno nie wstrzymać się od uwagi, że z dążenia do wszechstronności zawsze wynika niedokładność i powierzchowność. Nie jest to naturalnie jedyny przykład z pism Wellsa, a całego szeregu dostarcza pretensjonalna „Historja świata“, o której będzie mowa poniżej.

w których co pewien czas zmienia się wodę. Prawdziwy towar nie ma z niemi nic wspólnego. Ale napisy na tabliczkach pobudzają chłopca do studjów nad łaciną. Przekonywa się wkrótce, że „Lukrecjusz, stary rzymski poeta, który żył i umarł na dwa tysiące lat przed mojemui czasami, a na cztery tysiące lat przed chwilą obecną, dał opis wszechświata i początku człowieka o wiele prawdziwszy i zrozumialszy, niż stare semickie legendy, których uczono mnie w szkółce niedzielnej“.

Przychodzi kolej na grekę i na historję naturalną. Ale tym razem Wells nie zatrzymuje się dłużej przy studjach swego samouka. Pilno mu do dalszej treści powieściowej.

Brat Harry'ego Ernest wiózł raz jako szofer elegancką damę. Rozpoznał w niej, gdy go na to naprowadziła, siostrę Fanny, która żyje jak najszczęśliwiej i jak najwzorowiej ze swym kochankiem. Niegdyś lubili powieściopisarze angielscy opisywać szczęście rodzinne po ślubie kościelnym. Wszystko jest rzeczą gustu, a zdarza się w życiu jedno i drugie. Trzeba jednak zaznaczyć, że Wells dodaje przez usta Sarnac'a uwagę:

Większość tych nieprawidłowych stadł ulegała... pokusom rozłąki... Dziewczęta podczas samotności nawiązywały stosunki z innymi mężczyznanami, pierwszy kochanek podejrzewał je o niewierność i oddalał się. Dużobył mógł opowiadać o zazdrości w starym świecie; nie uważano jej za coś wstrętnego, raczej za coś świadczącego o szlachetnym sposobie myślenia...

Pani Smith nie chce słyszeć o lekkomyślnej córce, ale Harry zaczyna siostrę odwiedzać i przekonywa się, że nie taki djabeł czarny, jak go malują. Za protekcją Fanny dostaje się do wielkiej firmy, wydającej popularne, pouczające czasopisma i, jak Wells z początkiem swej karjery, bierze się do publicystyki. Traci tymczasem matkę. Jego stosunek z Fanny wciąż jest bardzo serdeczny. Odkrywa w niej coraz nowe zalety. Natomiast przekonywa się, że młodsza siostra, brzydka, zazdrosna, pobożna i dużo mówiąca o moralności, —

kradnie. Bywa i tak, ale — zapewne z pominięciem brzydoty — mogłoby też być naodwrot.

Nadchodzi rok 1914 i Smith, odbywszy wykszolenie wojskowe, idzie na front. Oto charakterystyczny ustęp, zawierający poglądy jego (i autora) na wojnę światową:

Przyznaję, że wybuch wielkiej wojny zrobił potężne wrażenie; wydawał się równocześnie końcem i początkiem (starej i nowej ery). Zrazu przyniosła wojna wielkie dni — tak samo dla nas, Brytyjczyków, jak dla każdego innego narodu. Ujmowaliśmy nadchodzącą przyszłość we wspańnię słowa. Myśleliśmy — mówię o ludzi — całkiem uczciwie, że imperjalizmy państw centralnych są w całości niesłuszne, a po naszej stronie jest cała słuszność. Setkami tysięcy ofiarowaliśmy siebie samych, pełni radości i w szczerej wierze, że zwycięstwo zdobędzie nowy świat. Ten duch nie ograniczał się do Brytanji, ani do którejkolwiek ze stron walczących. Jestem przekonany, że lata 1914, 1915 i 1916 widziały piękniejsze żniwo wielkich czynów oraz wzniosłych poświęceń, bohaterskiego trudu i bohaterskiej wytrwałości, niż jakiegokolwiek lata poprzednie w dziejach całej ludzkości i jakiegokolwiek lata wielu następnych wieków. Młodzi ludzie byli cudowni; śmierć i sława zbierały pośród nich plon obfity. A potem chorobliwość, tkwiąca w samym początku wojny, zaczęła wychodzić najaw coraz wyraźniej i zagał złudny świt w ludzkich sercach. Pod koniec r. 1917 cały świat był światem wyleczonym z iluzji — a pozostawała tylko jedna nadzieja, idealizm Stanów Zjednoczonych i jeszcze niestwierdzona wielkość prezydenta Wilsona. Ale o tem i o tem, co z tego wynikło, czytacie w książkach historycznych i nie będę o tem mówił. Bóg na miejscu tego człowieka byłby zjednoczył świat w XX wieku i oszczędził mu stuleci tragicznej walki. Prezydent Wilson nie był Bogiem...

Nie będę rozprawiał się z wszystkim, co w tym popisie retorycznym jest fałszywe. Nie będę też próbował uzupełniać go rzeczami, które Wellsowi nie przyszły na myśl. Zresztą jest tu obok rojeń taniego idealizmu i jedna rzetelna prawda, że „prezydent Wilson nie był Bogiem“. Dodajmy tylko, że Wells wołał tych słów nie wyjaśniać. Nie dodał, czego brak było Wilsonowi — czy wszechmocy Bożej, czy Bożej doskonałości i mądrości. Jeżeli jednak mowa i o jednym i o drugim, to można podpisać się pod zdaniem Wellsa.

Reszta tyrazy to *sancta simplicitas*. Taki antymilitarysta, jak autor „Snu“, powinienby jednak pamiętać, że wielka wojna

obok męstwa i poświęcenia wydobyła najaw także nieprzebrane zasoby ludzkiej nikczemności. Ale to nie należy do rzeczy.

Teraz następuje nieodzowna część erotyczna książki. Smith podczas urlopu poznaje, włócząc się samotnie po górach, nauczycielkę szkoły elementarnej Hetty Marcus, która od razu wywiera na niego silne wrażenie. Zawiazuje się rozmowa, spędzają razem dzień — i nietylko dzień. Za następną bytnością w Anglii Smith żeni się z Hetty, ale wnet nadchodzi tragedia. Pełna temperamentu kobieta, pozostawiona sama, nie dochowała wiary. Jej wina nie była wielka — na fatalny wypadek złożyły się atmosfera wojenna, wino i ohydny podstęp odchodzącego na front oficera. Nigdy go od tego czasu nie widziała. Smith zastaje żonę w stanie odmiennym, a kalendarz otwiera mu oczy. Hetty kocha go szczerze i błaga, aby jej nie odtrącał. On jednak jest nieubłagany, porzuca ją i przeprowadza rozwód, a w jakiś czas potem żeni się z Milly Compton, pracującą w administracji firmy wydawniczej, gdzie i on jest zajęty. Milly ma dobre serce, ale jest nawskróś przesiąknięta ideałem angielskiej *respectability*, której autor tak nienawidzi. Żyją w dostatku i względnie szczęśliwie, to drugie małżeństwo jednak nie ma już dla Smitha tego uroku, co pierwsze.

Po paru latach spotyka on Hetty, która poślubiła swego uwodziciela, Sumnera. Człowiek ten okazał się pijakiem i szubrawcem. Jego postępowanie skłania ostatecznie biedną Hetty do porzucenia go na zawsze. Wells musiał zastanawiać się, czy nie wysłać z nią do Kanady i Smitha, który czuje, że był dla pierwszej żony okrutny i że ją jeszcze kocha. Galsworthy byłby niewątpliwie tak właśnie postąpił. Lecz Wells wbrew dawniejszej praktyce zawahał się. Osądził widocznie, że stałaby się za wielka krzywda Milly i jej dziecku. Dla zaznaczenia jednak, że w zasadzie mężczyzna powinien bez namysłu rzucić kobietę niekochaną, a pójść za kochaną, wplótł rozmowę Smitha z Fanny. Siostra pyta się

go, dlaczego nie jedzie z Hetty, a potem wypowiada sarkastyczne zdanie: „Dziwne, jak szlachetni są mężczyźni wobec żon, których nie kochają“.

Po zniknięciu Hetty Sumner wpada na ślad, prowadzący wprost do Smitha. Gdy ten odmawia mu odpowiedzi na pytanie, gdzie przebywa żona, rozstaje się z nim wśród pogroźek i w parę dni potem strzela do Smitha na ulicy. Śmiertelnie ranny bohater powieści wzywa mordercę, aby szybko uciekał, zmyśla szereg szczegółów, aby stworzyć pozory nieszczęśliwego wypadku, i umiera.

W epilogu słuchacze robią uwagi nad opowiadaniem. I oni miewają sny z przeszłych żyć. Jednej z kobiet śniło się parokrotnie, że jest panterą, że zjada ludzi, że polują na nią i że ostatecznie zostaje zastrzelona. Nie był to taki jasny i ciągły sen, jak sen Sarnaca, gdyż „umysł pantery nie ma jasności i ciągłości, lecz od przebłysków zainteresowania przechodzi do międzyaktów apatii i zupełnej niepamięci“. Była pantera dodaje, że, mając dużo do czynienia ze zwierzętami, miała sposobność stwierdzić ich zasadniczą identyczność z ludźmi. „One są instrumentami o dwudziestu strunach, podczas gdy my mamy dziesięć tysięcy strun, ale są instrumentami, jak my; co gra na nich, gra na nas; co je zabija, to i nas zabija“. Wells nie mógł wstrzymać się od ukłonu w stronę ukochanych naturalistów, względnie darwinistów.

Powieść kończy się ogólnem biadaniem nad losem ludzi w „wieku zamętu“ i stwierdzeniem, że jeżeli ci, co wówczas żyli i poumierali, nie osiągnęli nowych wcieleń w lepszym okresie świata, „to niema sprawiedliwości w sercu Boga“. Ponieważ opowiadanie trwało noc całą, następuje wschód słońca — naturalnie nie pozbawiony symbolicznego znaczenia.

Wells wolał zwykle pisać o przyszłości, niż o przeszłości, co zresztą znacznie łatwiej. Stąd pośród jego utworów „Historja świata“ stoi na uboczu. Mimo szeregu zalet jest ona smutnym przykładem zarozumiałości pisarza o znanem

nazwisku — i wyrobionym zbycie. Nastręcza się analogia z średniowiecznymi kompilatorami, którzy porywali się na skreślenie całości dziejów. Jak tamci zaczynali od dni stworzenia, tak Wells zaczyna od naukowych teorii o powstaniu ziemi i okresów geologicznych oraz przedhistorycznych. Oni z pobożną naiwnością brali dosłownie każdy zwrot Biblii — tak samo Wells może rozczulić swą silną wiarą w miliony i miliony lat i w ewolucję, w człowieka z Neanderthalu i z Rodezji. Wie dokładnie, że pierwsi prawdziwi ludzie pojawili się przed 40 tysiącami lat — i t. d. W dalszym ciągu dziejów jest często silny w negacji — t. j. w potępieniu militarystyki, fanatyzmu, ciemnoty. Bywa jednak równie często nieścisły w szczegółach, pomija rzeczy ważne, a zatrzymuje się nad błahemi, o ile te dostarczają mu powieściowych efektów. Mam przed sobą „przekład [polski jego książki, która ma tu 326 stron. Blisko trzy z tych stron wypełnia opis ostatnich lat życia Karola V, przyczem szczegóły kulinarne odgrywają wybitną rolę. Bywa też Wells łatwowierny — prosto z braku zmysłu krytycznego i z pośpiechu. Zgodnie z nowszymi historykami Rzymu odrzuca baśń Liwjusza o zwycięstwie nad Gallami po zburzeniu przez nich wiecznego miasta. Ale nie odrzuca gęsi kapitolinijskich. Wogóle cały obraz dziejów ludzkości jest mętny i chaotyczny.

Oczywiście niejedyn historyk jest socjalistą. Ale taki musi swe przekonania co chwilę odkładać. Socjalizm jest negacją tradycji i chce przyszłość ludzkości oprzeć na zupełnie nowych podstawach, a w przeszłości działały — często skutecznie i dobroczynnie — wielkie siły, nie mające z nim nic wspólnego. Działali „nadludzie“, których konsekwentniejszy w swym rozumowaniu Shaw uznał za warunek socjalistycznej przyszłości świata, ale dla których naprawdę niema miejsca w socjalistycznej doktrynie. Aby te objawy zrozumieć i należyte ocenić, trzeba raz za razem schodzić z socjalistycznego stanowiska. Niewątpliwie Wells postanowił względem nich być sprawiedliwym, ale mu to się nie udało. Cały umysł

jego, wyteżony w jednym kierunku, nie jest zdolny do bezstronności i nasycy wszystko tendencją, która wbrew woli autora nadaje ludziom i wypadkom fałszywą barwę. Względem wszelkich objawów nacjonalizmu autor jest stanowczo niesprawiedliwy, stanowczo też nie docenia jego żywotności. Przeocenia wartość rozwoju materialnej cywilizacji ostatnich lat stu i ślepy jest prawie na jej ujemne strony. A jeżeli w stosunku do ułomności natury ludzkiej w przeszłości był zbyt surowy, to, o ile idzie o przyszłość, zbyt łatwo przechodzi nad niemi do porządku.

Wells ma za sobą pewne studia historyczne, ale opiera się głównie na swem, dość obszernem, ale niegłębkim wykształceniu przyrodniczem, a wykształcenie to nie może być dobrym przewodnikiem w historii, słusznie zaliczonej do nauk humanistycznych, t. j. do nauk, traktujących o człowieku jako o czemś zasadniczo odmiennem od reszty świata i o dziełach, będących wynikiem tej odrębności.

„Historja świata“ wywołała szereg artykułów i broszur, a nawet, jak wnet przekonamy się, książek, polemizujących bądźto z jej błędami i nieścisłościami, bądźto z tendencją.

VI.

Pisma Wellsa są dla społeczeństwa angielskiego drogowskazem, zwróconym ku doktrynie socjalistycznej. Jest jednak grupa literacka, równie surowa w ocenie istniejących stosunków, widząca jednak zbawienie w zupełnie innej stronie. Nazwałby ją można chrześcijańsko-demokratyczną lub raczej katolicko-demokratyczną. Jej głównymi przedstawicielami są Gilbert Keith Chesterton¹ i Hilary Belloc, dwaj ludzie, zwią-

¹ Już w czasie druku niniejszej książki (w lipcu i sierpniu r. 1926) pojawił się w „Kurjerze Poznańskim“ szereg doskonałych feljetonów o Chestertonie pióra prof. Dyboskiego, prof. Tretiaka i p. Zbigniewa Grabowskiego. Można tam znaleźć jasny ogólny zarys jego twórczości i po-

zani wspólną wiarą, wspólnym poglądem na świat i serdeczną przyjaźnią.

Obaj zaczęli od dziennikarstwa, ale tylko Chesterton do dziś dnia uprawia je dalej na większą skalę i wogóle pozostał dziennikarzem z temperamentu i przyzwyczajęń. Obaj oddają się najrozmaitszym rodzajom twórczości — przeważnie jednak nie tym samym. Obu powieści nie są w ścisłym znaczeniu powieściami, lecz odzianymi w formę powieściową satyrami lub rozprawami na temat uzdrowienia Anglii i wogóle społeczeństwa XX w.

Kilka książek Chestertona przetłumaczono na nasz język. Natomiast o Bellocu ledwie może ten i ów Polak coś słyszał.

Chesterton i Shaw to dwie najpopularniejsze postaci literackiego świata Londynu. Shaw jest chudy, wysoki, z irończym skrzywieniem twarzy. Jego podobieństwo do Mefistofelesa potęgowała dawniej płomienista bródka, dziś już przez wiek posrebrzona. Chesterton stanowi jego fizyczne przeciwieństwo. Jeżeli w jednym ze swych dzieł mówi o ulicznikach, „pokpiwających sobie z tuszy pewnego wybitnego publicysty“, bez najmniejszej wątpliwości ma siebie na myśli. Jego twarz odznacza się nawet dobrodusznym, może nieco ospałym wyrazem, właściwym grubasom.

Shaw nie jada mięsa, nie używa alkoholu, wyrzekł się nawet kawy i herbaty. Chesterton przy każdej sposobności szydzi z jaroszków i abstynentów, stwierdza też czynem swe przekonania. Shaw lepiej wyszedł na swym trybie życia, gdyż u Chestertona, który niedawno skończył lat pięćdziesiąt jeden, a od lat blisko trzydziestu tworzył wciąż z gorączkowym, dziennikarskim pośpiechem, objawiają się pierwsze, ledwie dostrzegalne ślady wyczerpania.

glądu na świat, garść ciekawych szczegółów o jego stosunku do Polski, a także wzmianki o paru utworach, których wobec ogromnego ilościowego dorobku literackiego Chestertona nie uwzględniłem.

Mimo odmienności przyzwyczajęń i ostrego przeciwieństwa przekonań, między ascetą a zwolennikiem dobrze zastawionego stołu, między kolektywistą a fanatykiem osobistej własności, między wrogiem romantyzmu a romantykiem, między czcicielem mglistej Siły Życiowej a gorliwym katolikiem istnieją przyjazne stosunki. Jeden wie, że wszystko, co głosi drugi, płynie z najgłębszego przekonania, a obaj umieją szczerze przekonania szanować, choć, o ile uważają je za błędne, zwalczają je z całym rozmachem swych zapalnych temperamentów.

Bo senny wyraz twarzy Chestertona jest pozorem, któremu przeczy zresztą ogień, czający się w oczach. Ta falstaficzna postać kryje umysł niesłychanie giętki i lotny. Chesterton ani na jotę nie ustępuje Shaw'owi zdolnościami dialektycznymi. Umie błyskawicznie zestawiać zjawiska i pojęcia, odkrywać ich wewnętrzny związek, oświetlać go i w efektywnej formie dzielić się z czytelnikiem swymi spostrzeżeniami.

Między tymi dwoma ludźmi istnieje jeszcze kilka uderzających podobieństw. Oto jak jeden, tak i drugi nie boi się śmieszności. Shaw jest znany z ekscentrycznych dowcipów i hałaśliwej autoreklamy. Chesterton jej nie uprawia, lecz cieszy się, gdy ulicznicy pokazują go sobie palcami. Obaj uważają się za „błaznów na służbie narodu“ czy ludzkości i radzi są swej popularności, choćby komicznej, bo wiedzą, że to pomaga im w szerzeniu ich idei.

Dalszy punkt styczny widać z następujących słów Chestertona:

Spędziłem większą część życia na krytykowaniu i potępianiu obecnych rządów i ustroju mojej ojczyzny. Uważam to za bezwzględnie najbardziej patrijotyczną rzecz, jaką może człowiek czynić.

(„Zbrodnie Anglii“).

Zupełnie podobnie pojmuje zadanie pisarza i publicysty Shaw. Nietylko widać to z jego utworów, ale i kilkakrotnie

wypowiedział równie niedwuznacznie identyczne *credo* autorskie.

Dla obu tendencja jest rzeczą nieodzowną w twórczości literackiej. W „Latającej gospodzie“ jowialny oberżysta śpiewa „Pieśń przeciw pieśniom“. Spotykamy tu znamienne wyrazy:

A pieśń o Pięknie, Sztuce, Miłości jest cuchnącą pieśnią (*a stinking song*). Wywiedzie cię w pole, ściągnie cię z wyżyn i za życia odda twą duszę na pastwę potępienia.

Jak Shaw, Chesterton nie może nawet spokojnie mówić o „sztuce dla sztuki“.

Nienawidzi równie gorąco, jak on, i kapitalizmu. Stwierdza, że obecny ustrój świata jest zły. Lecz zbawienie widzi nie w orgjach nie krępującej się rzeczywistością abstrakcji. Jego wzrok zwraca się nie ku dowolnie wydedukowanej przyszłości, lecz ku przeszłości, którą łatwiej traktować realnie. Poco burzyć wszystko, co istnieje, aby potem przekonać się, że nie jest się zdolnym zbudować nowego gmachu na ruinach, lub aby zbudowany okazał się gorszym? Lepiej zatrzymać to, co dobre, i wskrziesić to, co dawniej było dobre, a zanikło. Złego przytem niema potrzeby ani oszczędzać, ani wskrzeszać.

Przeciwko kapitalizmowi, wyzyskującemu masy, fałszującemu przy pomocy prasy opinię i rządzącemu takimi metodami na świecie, Chesterton wysuwa drobną własność prywatną. Stosunki muszą się poprawić, gdy każdy będzie coś posiadał. Pod tym względem autor „Prawowierności“ jest typowym Anglikiem. Jego ideał ma przedewszystkiem formę domu z ogrodem — o ile możliwości, na wsi. Mimo pewnego sentymentu względem miasta, który objawia się w opisach Londynu, godnych stanąć obok dickensowskich, Chesterton wolałby, aby olbrzymie skupienia ludzkie przestały istnieć, aby człowiek rozsypał się równomierniej po powierzchni ziemi.

Jest również wrogiem giełdy i wielkiego handlu, polegającego na obracaniu w ogromnych ilościach towarem, któ-

rego się na oczy nie widziało i który może nawet jeszcze nie został wytworzony. Przeciwstawia mu drobny handel, uprawiany przez samego producenta lub przez kogoś, związanego wprost z producentem. Jeden z bohaterów jego powieściowego utworu *Tales of the Long Bow* (1925), oficer, który w czasie wojny światowej odznaczył się jako lotnik, zostaje handlarzem świń, a gdy władze dzięki wpływom wielkiego trustu, chcącego zdusić wszelką, choćby drobną, konkurencję, czynią mu ustawicznie trudności rzekomo ze względów sanitarnych, chwyta się różnych dziwacznych i humorystycznych podstępów i ostatecznie zaczyna wozić swój towar aeroplanem.

Widząc, że olbrzymie magazyny w stylu amerykańskim — i z kapitałem głównie amerykańskim, — jak sławny Selfridge z Oxford Street, zabijają handel detaliczny, Chesterton w wydawanym przez siebie *G. K.'s Weekly* („Tygodniku G(ilberta) K(eitha)“) zaproponował, aby drobnym kupcom pozwolono mieć sklepy dłużej otwarte.

Wogóle w dzisiejszem niesłychanem wybudaniu kultury materialnej, mechanizującej wszystko, ujarzmiającej i zabijającej indywidualność, Chesterton widzi krok wstecz na drodze rozwoju ludzkości. Tęskni za średniowieczem — t. j. naturalnie nie za feudalizmem i nietolerancją, lecz za prostotą, naiwną wiarą, podaniami o elfach, balladami ludowymi i beztroskiem weselem biesiadnego stołu. Staroświecka gospoda angielska jest dla niego sympatycznym symbolem; na wspaśniały hotel z nowoczesnymi urządzeniami, który ją bez litości wypiera, Chesterton spogląda ze wstrętem.

Jest patriotą, ale nie imperjalistą. Gardzi takim nacjonalizmem, który inne nacjonalizmy atakuje, pożera lub po prostu odmawia im prawa do istnienia. Dlatego, że sam kocha Anglię, rozumie tych, co kochają Irlandję, Transvaal, Polskę. W czasie wojny południowo-afrykańskiej nie taił się z sympatjami dla Boerów, boksował się na ulicy z jakimś imperjalistą i krew puściła mu się z nosa. Był z tego tak

dumny, że nie omieszkiał wspomnieć o zajściu w jednym ze swych szkiców. W „Latającej gospodzie“ wprowadził postać irlandzkiego oficera marynarki Dalroya, który kogoś, szydzącego z koloru jego ojczyzny, pomalował na zielono. Wskutek tego zajścia i częstych szykan Dalroy musiał porzucić flotę angielską, osiadł więc w Grecji i wojował z Turkami, aż został... królem Itaki. W „Napoleonie z Nottinghill“ (1903) postać prezydenta Nikaraguy jest wspaniałym symbolem patriotyzmu, broniącego się do ostatka przed ujarzmieniem i nawet po klęsce nie godzącego się z gwałtem. Zresztą sam ekscentryczny pomysł wojny jednej z dzielnic londyńskich w obronie kilku starych ruder ma to samo znaczenie.

Chesterton długo wiedział o Polsce tyle, co każdy przeciętny Anglik, t. j. właściwie nic. Ale gdy raz — podobno pod wpływem swej bratowej, pani Cecil Chesterton, również znanej literatki — zwrócił na nasz kraj uwagę, wnet nabrał dość dobrej znajomości rzeczy polskich. W „Człowieku, który był Czwartkiem“ (*The Man who was Thursday*, wyd. w r. 1907, a więc wkrótce po ruchu rewolucyjnym w Rosji i Królestwie), zasiada w radzie naczelnej anarchistów Polak nazwiskiem... Gogol. Wprawdzie podobnie, jak wszyscy inni członkowie, okazuje się przebrany detektywem i Anglikiem, — ale i tak jest jasne, że Chestertonowi jeszcze wtedy Polska wydawała się klasycznym krajem anarchizmu. Jeżeli natomiast przeczytamy jedną z jego przedmów do książek o Polsce (np. do wydanych i po polsku wraz z tą przedmową „Listów“ profesora Sarolea) albo do tłumaczeń z naszego języka (np. do „Nieboskiej komedji“ w przekładzie pań Umińskiej i Kennedy), przekonamy się, że zmienił zdanie, że orjentuje się w historii polskiej i w historycznej misji naszej ojczyzny. Znamienna jest szczególnie przedmowa do książki prof. Sarolea. Jakby przypomniawszy sobie postać Gogola, zastanawia się nad tem, skąd wzięło się w Anglii przekonanie, że Polacy są narodem, skłonny do anarchji. Przekonanie to uważa za typowy przesąd. A co to jest przesąd? To rzecz, w którą

wierzmy, nie wiedząc, skądemy jej się dowiedzieli. Otóż „patryota angielski niebardzo sobie jeszcze zdaje sprawę z tego, że około trzech czwartych z jego narodowych przesądów to nauka niemieckiego szpiega“ i że wszelkie ujemne informacje o Polsce pochodzą od Niemców. Chesterton przyznaje, że długo niewiele sam wiedział o niej. Natomiast czuł do niej sympatię — i to nie na podstawie jakichś pozytywnych danych. Wszakże — powiada — „pochwały Polski są w tym kraju nienaturalnie rzadkie“. Owszem, sympatja jego opierała się na oskarżeniach, miotanych przeciw Polsce. Prostu „sądził ją wedle jej wrogów“. Wstęp do „Listów“ kończy się entuzjastycznym wyrażeniem nadziei, że srebrzysty orzeł wzbije się wysoko pod niebo.

Wogóle herb Polski jest dla Chestertona głębokim symbolem. W „Człowieku wiecznotrwałym“ (*The Everlasting Man*, 1925) mówi on, że Europa odmładzała się, jak jej orły. „Tak to orły rzymskie wzniosły się ponad kohortami Napoleona, tak to widzieliśmy nieledwie wczoraj bujającego w przestworzach srebrnego orła polskiego“. „Nieledwie wczoraj“ oznacza tu r. 1920.

W czasopismach, wydawanych przez siebie (t. j. *G. K's Weekly* i w „Nowym świadku“ — *The New Witness*) umieścił Chesterton cały szereg artykułów, w których porusza różne kwestje, odnoszące się do nas. Patronuje również publicznym wystąpieniom Polaków w Londynie. Jednym słowem jest naszym szczerym, wypróbowanym przyjacielem — nigdy bowiem nie wahał się płynąć przeciw prądowi.

Nie należy bowiem łądzić się co do angielskiego usposobienia względem Polski i angielskich pojęć o Polsce. Posiadamy szczerpy zastęp przyjaciół, z których Chesterton jest najwybitniejszym. Ale są to wyjątki. Odbiegłbym tu zbyt daleko od tematu, gdybym kusił się o przedstawienie dróg, jakimi chadzała w ciągu wieków opinja przeciętnego wykształconego Brytyjczyka — od Barclaya do p. Garvina z *The Observer*. Obok przyczyny, podanej przez Chestertona,

działały i inne, ale niewątpliwie tamta była główną i rozstrzygającą. Typowym przykładem antypolskiego nastroju w literaturze jest Carlyle. Nie znam równie przykrych dla Polaka lektury, jak dotyczące ustępy „Historji Fryderyka W.“, zwłaszcza rozdział o pierwszym rozbiore, porównanym przez autora z szubieniczną egzekucją „ciemnego indywiduum, które przebrało miarę niegodziwości i głupoty“. Mamy tu do czynienia z wpływem bezkrytycznie traktowanych niemieckich źródeł; z germanofilskim sentymentem, o którym jeszcze coś usłyszymy z ust samego Chestertona; z idealizacją Fryderyka, z którego Carlyle chciał zrobić ideał króla; dalej z uwielbieniem siły i z pogardą, a nawet nienawiścią do słabych; z niezrozumieniem wielu rzeczy, do którego Carlyle często przyznaje się bez najmniejszej ceremonji; wreszcie z protestanckimi uprzedzeniami. Ten ostatni punkt jest szczególnie ciekawy. Carlyle skrętnie notuje wyolbrzymione przez swych informatorów objawy nietolerancji polskiej z XVIII w. i wybucha co chwila świętem oburzeniem, zapominając na śmierć, iż rzecz dzieła się na krótko przed sławnymi *Gordon Riots* z r. 1780¹.

Patryjotyzm Chestertona objawił się w dwóch przedwszystkiem utworach, w „Balladzie o Białym Koniu“ i w „Zbrodniach Anglji“. *The Ballad of the White Horse* jest rapsodem rycerskim, opartym na wzorach poezji ludowej. Ponieważ stanowi zapewne szczyt twórczości Chestertona, a jednocześnie wybija się na czoło angielskiej twórczości epickiej po Tennysonie i Browningu, zasługuje na szczegółowe omówienie.

Krytyka współczesna stawia „Balladę“ wysoko, popełnia jednak błąd nie do darowania. Nie szczędząc pochwał, Harold Williams twierdzi, że poemat psuje tendencją dydaktyczną; szczególnie oburza go proroctwo Alfreda z księgi ostatniej, gdzie król zapowiada, że mimo jego zwycięstwa

¹ Ob. „Charakter Anglików“, V.

nad poganami, wrócą oni jeszcze kiedyś, nie w postaci kudłatych barbarzyńców, ale dobrze ogoleni i łagodni, aby „martwemi słowy porządkować wszystko“. I w związku z tą myślą Williams przytacza czterowiersz, wyjęty z innego miejsca utworu, na temat wiary chrześcijańskiej, która nie usiłuje odgadnąć przyszłości, lecz ufnie kroczy ku niej pociemku.

Cytat służy najwidoczniej do zaznaczenia związku między prorocstwem Alfreda a zasadniczą myślą poematu. Lecz taki cytat łatwo było znaleźć w którejkolwiek księdze, nieledwie na każdej stronie. Cały poemat jest tak pełen ideowej treści, że z pewnością nie pozostałby „dźwięcznym i podnoszącym ducha, gdyby opuścić w nim treść ideową“ (*message*). Ballada ludowa, udoskonalona przez romantyków, dostarczyła formy, swobodnej, pełnej niespodziewanych efektów rytmu i wspaniale zharmonizowanej z tokiem akcji. Lecz niema tu spokoju epickiego i epickiej równowagi, gdyż poeta wcale ich nie próbował osiągnąć. Jest natomiast dużo mistycznej liryki i jest silna konstrukcja myślowa. Nie dzieje zwycięstwa Alfreda nad skandynawskimi najeźdźcami natchnęły Chesteronowi ten poemat. Przeciwnie, musiał szukać w zamierzchłych czasach tematu, któryby nadawał się do alegorycznego traktowania, i postaci wodza, którąby można uczynić wcieleniem chrześcijańsko-narodowego ideału. I bohater, i wypadki musiały być osnute mgłą legendy. Warunkom znakomicie odpowiadała bitwa pod Eddington (Ethandune), zwycięstwo twórczej chrześcijańskiej kultury nad barbarzyńską, niszczącielską siłą, i Alfred, krzewiciel oświaty łacińskiej, prawodawca, znany zarówno z historii i z literatury, jak z podań.

Bitwa pod Eddington stanowiła przełom w dziejach krwawej epoki duńskiego¹ najazdu. Dzicz skandynawską zwyciężano za każdym razem, gdy zdobyto się na zgodne i celowe współdziałanie. Lecz po klęsce, zadanej jej przez Alfreda,

¹ Przyjęta ogólnie nazwa jest nieściśła, gdyż Duńczycy stanowili tylko część najeźdźców.

nastąpił układ, który barbarzyńców zmienił w chrześcijańską, osiadłą ludność. Jak mówi przyjaciel Chestertona Belloc w swej „Historji angielskiej“,

„ochrzcić wodza korsarzy wraz z załogą okrętów było pełnym odwodem jego pobicia i jego absorbcji przez Europę. Zwycięstwo militarne nad nim było jedynie wstępem do tego, a bez tego żadne zwycięstwo nie miało znaczenia...

Zresztą na wybór wypadków, które miały posłużyć za szatę istotnej treści, wpłynęły może „Idylle królewskie“ Tennysona. W jednej z nich oczyszczanie Białego Konia, skalistej góry, wstawionej zwycięstwem Alfreda, z chwastów i zielska, zużytkowane jest jako symbol walki Artura i jego rycerzy z bezprawiem. Postać Alfreda u Chestertona zawdzięcza również to i owo Arturowi — tylko jest bardziej szczegółowo wypracowana, bardziej ludzka, bardziej chwyta za serce. Artur z „Idyll królewskich“ jest symbolem duchowej doskonałości, nie urodził się, jak zwykli śmiertelni, lecz „przyszł“, zesłany przez wyższe potęgi na ratunek nieszczęśliwemu narodowi, nie umrze, lecz „odejdzie“, aby leczyć się z ran i może powróci kiedyś. Alfred z „Ballady o Białym Koniu“ to człowiek z krwi i kości. Wspomina o występkach swych lat młodzieńczych, o których zresztą mówi rzeczywiście tradycja historyczna. Gdy zgodnie z podaniem wiejska kobieta rzuca na niego przypalonem z jego winy ciastem, przebrany za żebraka monarcha Wessexu nie zachowuje się bynajmniej, jak abstrakcyjna doskonałość:

Na chwilę błysły w jego oczach tortury i inne złe rzeczy, które żyją w dziecinnych sercach królów.

Wtem ujrzał nadchodzące z trzech stron kraju wojska — rzecz działa się na wyznaczonym punkcie zbornym.

Ziemia drżała, a król stał bez ruchu pod zielonem drzewem, u nóg jego leżało dymiące się ciasto, a na jego czole widniał ślad ciosu.

I zrobił to, co w tej sytuacji zrobiłby każdy normalny człowiek — wybuchnął śmiechem, potężnym, „jak wiosenne

grzmoty“. Od jego śmiechu zatrzęsły się belki nad oknami chaty, zbudziły się ze snu wiewiórki i zerwały się przestraszone ptaki. Lecz Alfred w tej chwili przypomniał sobie, że jest królem, więc natychmiast uczynił sytuację punktem wyjścia do przemowy, która miała zagrać do boju jego zastępy:

„...Na mój miecz, kogo wybito jako złego sługę, ten będzie dobrym panem. Kto był sługą, temu wiadomo więcej, niż kapłanom i królom, ale temu, kto był złym sługą, wiadomo wszystko na ziemi“.

I Alfred przeciwstawia pokorę, której widomym znakiem jest oparzenie na jego czole, pysze duńskich najeźdźców. Oni „nie mają takiego znaku do pokazania“. Czerwona plama na czole Alfreda, jak gwiazda gorejąca, powiedzie wojowników Wessexu do zwycięstwa.

„Ten cios, którego nie oddaję, oddam dziesięciokrotnie królom i hrabiom... Pysną przede mną pędzące z impetem hufce i wstecz runą prace naprzód kohorty, bom jest pierwszy król, którego wybito, jak niewolnika“.

Oto najbardziej realistyczna scena z „Ballady o Białym Koniu“. Podziwiać należy jej efektywność i plastyczność, a także jej celowość ze względu na charakterystykę Alfreda jako człowieka i jako króla. Ale trudno nie zdawać sobie sprawy, że poecie szło przedewszystkiem o apoteozę pokory chrześcijańskiej, do której świat należy.

Alfred jedynie w tym epizodzie — właśnie pod wpływem zniewagi ze strony starej wieśniaczki — jest pewny zwycięstwa. Nawet gdy obchodzi domostwa trzech swych wodzów, aby wezwać ich do nowej walki z najeźdźcami, nie łudzi ich łatwością triumfu. Natrafia u nich na niechęć do wysiłku i ofiar. Mimo to powtarza im jedynie słowa, jakie usłyszał od Bogarodzicy w chwili widzenia, słowa te zaś, niejasne i tajemnicze brzmią: „Niebo jeszcze ściemnieje, a fale morskie wezdmą się jeszcze wyżej“, mogłyby więc raczej być zapowiedzią klęski. I słowa te porywają wojowników do nowej walki.

Ale Bogarodzica powiedziała Alfredowi więcej. Rzuciła mu, znikając, pytanie: „Czy umiesz być wesołym bez przychyny, żywić wiarę bez nadziei?“ To twarda, a wzniosła nauka, że obowiązkiem człowieka jest cierpieć, walczyć i ginąć w imię ideałów bez względu na wynik walki.

I Chesterton wraca ustawicznie do tej myśli. Gdy Alfred w pierwszym starciu poniósł porażkę i gromadzi swe przegrane hufce do nowego, rozpaczliwego uderzenia, podnosi w nich ducha nie widokami zwycięstwa bynajmniej. Maluje tylko ohydę niewoli i woła:

Nie, bracia, cokolwiek wy myślicie, ja twierdę, że śmierć jest lepszym napojem¹ — i na wszystkie gwiazdy Chrystusowe, co właśnie gasną, Duńczycy będą pili wraz ze mną.

Gdy czyta się te słowa, łatwo zrozumieć, dlaczego Chesterton pokochał Polskę. Nie każdy Polak zapewne potrafi równie dobrze wczuć się w psychikę powstań.

„Ballada o Białym Koniu“ jest poematem patriotycznym. Lecz u Chestertona pojęcie narodowości jest ściśle spojone z dwoma innymi: niema dla niego Anglii i Anglików bez chrześcijaństwa i bez łacińskiej kultury. Rozpoczyna poemat olbrzymim obrazem upadku chrześcijańskiego Rzymu, zalewanego przez barbarzyńców Wschodu i Północy. Alfred jest rzuconym na odległą od stolicy świata wyspę spadkobiercą ginącej kultury. I czujemy tu analogię do naszych własnych czasów. Odrodzony świat łaciński zalewa dziś fala niewiary i materjalizmu, pustoszą go barbarzyńcy „łagodni i dobrze ogoleni“, — ale on odrodzi się na nowo w myśl słów, które sam Alfred dodał do przekładu Boecjusza, a które Chesterton uczynił mottem poematu:

Mówię wraz z ogółem chrześcijan, że rządzi Boża Opatrzność, a nie przeznaczenie.

Naród angielski, idący za bohaterskim królem w rozpaczłą walkę, przedstawił poeta schematycznie w postaciach

¹ Dosłownie „piwem“ (*Death is a better ale to drink.*)

trzech wodzów — Saksona, Rzymianina i Celta. Że Wessex za czasów Alfreda posiadał ludność głównie anglosaksońską, z tego trudno nie zdawać sobie sprawy i Chesterton mówi wymijająco w swym prozaicznym wstępie, że wedle niego zachodziło tam wielkie pomieszanie krwi. Lecz zaraz dodaje, że „główną zasługą tradycji jest mieszać wieki przy zachowaniu sentymentu; widzieć wszystkie wieki jakby w wspaniałej skróconej perspektywie“. Trzej wodzowie reprezentują więc nietyłe trzy szczepy, ile trzy pierwiastki, składające się na naród angielski ze wszystkim, co wchodzi w pojęcie narodu, a więc z obyczajami, pojęciami, kulturą i tradycją. Rzymianin Marek wciela w sobie nawet to, co za czasów Alfreda istniało ledwie w zarodku, a co naprawdę dopiero później przynieśli i rozwinęli Normanowie.

Postaci wodzów, rozpatrywane z tego wyższego punktu widzenia, są świetnymi kreacjami. Oto naprzód ociężyły olbrzym saksoński Eldred, co drzemie nad swym dzbanem piwa, a zrażony klęskami, nie chce już walczyć o rzeczy niepewne — woli patrzeć na swe rosnące świnię i dojrzewające śliwki. „Nie przychodź do mnie, królu Alfredzie, chyba na piwo“, powiada. Jest jednak w jego sercu utajone bohaterstwo. Gdy usłyszał tajemnicze słowa Matki Bożej, w milczeniu zdjął ciężki miecz z osnutego pajęczyną gwoździa. Potrafi zginąć za wiarę i ojczyznę. Ale czujemy, że bez rzymskiego geniuszu, bez celtyckiej wyobraźni, Eldred byłby niczem.

Przodkowie Marka pono przybyli z Italji wraz z Juluszem Cezarem. Alfred zastaje tego opalonego na kolor brązu człowieka z jasnym ptasiem okiem i orlim nosem wśród wyciągniętych pod sznur drzew owocowych i winnych latorośli. „Wszyscy królowie ziemi bowiem pili piwo, lecz on pijał wino“. Gdy Alfred powiedział mu, z czym przychodzi, Marek odparł, rozejrzawszy się po swych posiadłościach, że „winorośle to sznury, co dobrze trzymają“. Lecz od razu nakreślił coś w rodzaju planu strategicznego. Alfred zaklął go

na sąd ostateczny — i nie czekając na ostateczną odpowiedź, odszedł. I Marek przywiódł pod kamień Egberta swój zbrojny hufiec, a w boju odegrał pierwszorzędną rolę. Inni walczyli po bohatersku i o nic więcej nie dbali — Rzymianin ani na chwilę nie tracił z oczu swych ludzi i zagrzewał ich ustawicznie, wołając po imieniu.

Scena bitewna, której bohaterem jest Marek, mało ma cech realnych. Jest jedynie alegorją, powtarzającą myśli z początkowego ustępu o Rzymie. W przemowie do żołnierzy Marek woła: „Śmierć bogom śmierci“ — i przeciwstawia im Boga, co „rzeźbi z dębu królów, pisze pieśni na pergaminie, Boga złotego i płomiennego szkła“ (t. j. witraży), kończy zaś wyrazami łacińskiego hymnu. Wśród wiru walki potyka się z duńskim witeziem Ogierem, co głosił w pieśni, że „tylko nienawiść jest prawdziwa“. Rzymianin odbił jego cios, strzaskał hełm barbarzyńcy i jego samego obalił na kolana. Wówczas Ogier osłonił głowę swą olbrzymią tarczą. Marek stanął na niej jedną nogą, drugą oparł na skale i „piętrzył się ponad zawichrzonym pobojowiskiem, jak posąg na dachu“, rozdzielając ciosy. Lecz Ogier, co pod tarczą wił się, jak żółw w skorupie, potężnym ciosem przebił bronz i skórę, miecz jego wbił się w pierś Rzymianina, ten runął martwy, a barbarzyńca, zerwawszy się z szatańską radością, zaczął natrzasać się z pokonanego:

„Padł Rzym!... Długo stał na dachu świata, jak on na mojej tarczy...“

I następuje długa mowa na cześć bogów nienawiści, na cześć krwawego chaosu.

Cała ta scena, fizycznie niemożliwa, nie ma charakteru epickiej przesady — jest celową, świadomą symboliką, mającą to, co poeta raz powiedział od siebie, ponownie postawić przed oczyma czytelnika w obrazowej formie.

Trzecim wodzem Alfreda jest Colan z Caerleonu — wsławionego podaniami o Arturze, czyli Colan z pod świętego drzewa.

Ostatni z ginącej rasy, mówił gallicką mową, miał krewnych w świętej Irlandji¹ lub pośród poszarpanych skał walijskich... Jego harfa była rzeźbiona i misterna, jego miecz nieleniwy i ostry. I był wesoły, gdy dzierżył miecz, smętny, gdy dzierżył harfę... Trzymał się rzymskiego obrządku i znaczył swe czoło Chrystusowym znakiem, ale oczy często stawały się ślepe, a jasnemi, morze zaś, co nocą wznosiło się pośród skał, szło mu do głowy, jak wino. Czynił na czole Boży znak i umiał rzymską modlitwę, ale miał nierozsądek w sercu przez bogów, którzy niegdyś byli.

Lepszej charakterystyki Celta trzebaby szukać chyba u najnowszych pisarzy irlandzkich, u Yeatsa lub u Synge'a. Jej uzupełnieniem jest rozmowa Colana z Alfredem.

„Jam jest Alfred z Wessexu, jam jest król pobity“, rzekł ktoś, podnosząc zielony bluszczyk i pochylając potężną włócznię.

A człowiek z jaskini odpowiedział z oczyma, zmienionemi w gwiazdy sztycherstwa: „Pobici bywali więksi królowie, nim przyszły na świat twoje ojce. Cóż to za bogini była twą matką, co za wieszczka twój ród wydała, że nie chcesz zginąć z Uterem, Arturem i Lancelotem?“...

Lecz gdy Colan usłyszał słowa Bogarodzicy, że „niebo pociemnieje jeszcze, a fale morskie wezdmną się jeszcze wyżej“, potrząsnął czarną czupryną i zawołał, prostując się:

„Jeżeli niebo² i morze będą naszymi wrogami, poskromimy niebo i morze“.

W bitwie Colan zabija pierwszego nieprzyjaciela, rzucający weń mieczem, i walczy dalej, otrzymawszy nową broń od samego Alfreda. Ginie, jak i tamci dwaj wodzowie. Jego ludzie pierzchają inną drogą, niż reszta wojska. Gdy walka zawrzała na nowo, przywołani dźwiękiem rogu Alfreda, wracają z ciałem Colana, niesionem przodem na tarczy wśród dźwięku gallickich piszczałek. To „natarcie trupa“ zadaje ostatni cios chwijającym się już barbarzyńcom. Naturalnie symbolika epizodu jest zupełnie jasna — kto życie złożył w ofierze, zwycięża po śmierci.

Zupełnie podobnie tłumaczą się same przez się inne

¹ Irlandja była w pierwszych wiekach swego rozwoju prawdziwą ojczyzną świętych.

² Dzięki użyciu wyrazu *sky*, oznaczającego zawsze tylko niebo widzialne, słowa te nie mają bluźnierczego brzmienia.

wypadki i akcesorja akcji, np. związane z tytułem „plewienie Białego Konia“, przedstawione w księdze ostatniej, lub straszna włócznia, pochodząca od boginek Renu, od której ginie Eldred.

Podanie mówi, że Alfred przed bitwą pod Eddington dostał się w przebraniu harfiarza do obozu Duńczyków, aby naocznie przekonać się o ich sile i usposobieniu. Na tej fantastycznej legendzie zbudował Chesterton trzecią księgę „Ballady“, zatytułowaną „Harfa Alfreda“, w której podkład ideowy poematu maluje się jeszcze wyraźniej, niż gdzie indziej. Przyprowadzony do obozu „wielkiej armji“ przez pijanych żołdaków, król staje przed obliczem wodzów nieprzyjacielskich. Ci każą mu śpiewać, występuje więc z pieśnią o zwycięskich bojach swych przodków. Starym zwyczajem harfa przechodzi z rąk do rąk. Kolejno zabierają głos trzej hrabiowie duńscy, a po nich sam król Guthrum. Każdy z nich symbolizuje jeden z pierwiastków nihilizmu moralnego.

Młody Harold, „oszołomiony nowem dla siebie winem wojny“, śpiewa hymn na cześć użycia, które zdobyć można siłą :

„Rzym dostał władzę nad światem i niewielką miał z tego przyjemność, lecz my użyjemy świata — cały olbrzymi świat będzie dla nas zabawką. Dla nas przednie wino z Burgundji, do krwi podobne, i tyryjskie płaszcze, jak chmury, i marmur, jak stężała poświata księżycy, i złoto, jak zamarnięty ogień. Dla nas wonie, które można wielkimi haustami pić z puharów, drogie kamienie, które jeść można, i rosłe, gładkie, jakby z kości słoniowej, kobiety, które Turcy sprzedają na ulicy“.

Harold kończy szyderstwem z „rzymskiego Boga gwoździ“: Prawdę powiedziała pieśń Alfreda, Anglosasi byli niegdyś dzielnymi wojownikami. Zniewieścili jednak pod wpływem chrześcijaństwa, więc teraz najeźdźcy, potężni, jak piorun Tora, gnają ich przed sobą, niby zająca po stokach góry.

Drugi śpiewa Elf, minstrel z trefionym po niewieścieniu włosom — pieśń jego brzmi nutą czułości perwersji. Trzeci stary Ogier, ponury przedstawiciel nienawiści. Nazywa ją jedyną prawdziwą rzeczą na świecie. Zdaje się, że Chester-

ton wprowadził go jako typ nietzscheańskiego nadczłowieka, znajdującego po przejściu faz, które reprezentują Harold i Elf, jedyne podniecenie w okrucieństwie.

Sam król Guthrum, starszy od Ogiera, kocha walkę, ponieważ jedynie w chwili zadawania śmierci człowiek zdolny jest na krótką chwilę zapomnieć, że śmierć nad nim wisi ustawicznie. Z tego powodu Guthrum pustoszy świat bezcelowo i czuje się wielkim władcą. Jest to nowa, konsekwentnie następująca faza nihilizmu moralnego. Lecz poeta zaznacza u skandynawskiego króla pewne szlachetne rysy charakteru, daje mu z pogwałceniem wszelkiego prawdopodobieństwa umiejętność czytania i znajomość łaciny. Nie dowiemy się później nic dokładniejszego o przejściach duchowych Guthruma. Usłyszymy tylko, że gdy ujrzał bitwę beznadziejnie przegraną, „oczy jego nabrały po raz pierwszy innego wyrazu“. Można domyślać się, że poczuł w tej chwili wyższość wiary „Boga gwoździ“ nad brutalną siłą niszczycielską i sceptycyzmem, że dlatego pozwolił nakreślić krzyż na swem czole.

Czterem przedstawicielom *Herrenmoral* odpowiada Alfred natchnionym hymnem na cześć pokornej wiary i dobrego Boga. Kończy przepowiednią klęski Duńczyków, których śmiech długo brzmi za odchodzącym, mieszając się z kwileniem przebudzonych sów na drzewach. Cała scena jest wspaniała, pełna niezwykle śmiałych wzlotów poetyckich i subtelnie malowanych zmian nastroju. Lecz konstrukcja myślowa i symbolika wybija się tu silniej, niż gdzie indziej.

Z „Ballady o Białym Koniu“ widać dobrze, jaką Anglię kocha Chesterton. Jego oko zwraca się tęsknie ku zamierzchłemu średniowieczu, ku czasom naiwnej wiary i bohater-skich bojów o każdą skibę ziemi ojczyściej. Protestantyzm, imperjalizm, materjalizm skrzywiły linię rozwoju, skrzyły serca potomków Alfreda duchem jego wrogów. Myśl tę wypowiedział Chesterton z początkiem wojny światowej w sławnej książce „Zbrodnie Anglii“ (*The Crimes of England*, 1915).

Bezwzględny przeciwnik rozbójniczego najazdu na republiki południowo-afrykańskie wysoko podniósł sztandar swej ojczyzny w chwili, gdy wszczęła walkę w obronie zagrożonych sprzymierzeńców i własnej. Gdy całe społeczeństwo niemieckie uczyniło swem hasłem wyrazy *"Gott strafe England!"*, a ludzie, reprezentujący najwyższą inteligencję Niemiec, wystąpili przed światem z aktem oskarżenia przeciw Anglii, Chesterton uczuł się powołanym do odpowiedzi.

Tytuł książki poszedł stąd, że autor, jak mówi, postanowił dostarczyć oskarżycielom jeszcze więcej materiału obciążającego. Zaczyna od krótkiego przeglądu dziejów angielskich od reformacji, poświęcając najwięcej uwagi wiekom XVIII i XIX, i piętnuje szereg nieetycznych czynów swej ojczyzny, ale równocześnie dowodzi, że były one wpływem niemieckiego ducha, który naprzód dzięki reformacji zatruł życie „wesołej Anglii“, a potem, wcielony w niemiecką dy nastję, uczynił dwór siedzibą „dziwnej północnej mieszaniny grubjaństwa i etykiety“, a w politykę wniósł metody brutalne i nieuczciwe.

Potępienie szeregu faktów jest niezwykle silne. Oto, co mówi Chesterton o zgnieceniu powstania irlandzkiego w r. 1803:

Zda się, że przeznaczenie raz stworzyło sytuację w dwóch kolorach, białym i czarnym, jakby alegoryczną... Bohaterowie byli naprawdę bohaterami, a łotry tylko łotrami... Tu niema mowy o jakimś huśtawkowem wahanii się sympatyj, jakie zachodzić może przy Brutusie i Kasjuszu lub przy Cromwellu i Karolu I. Poprostu niema człowieka, coby przypuszczał że Emmet¹ szukał światowej korzyści lub, że Castlereagh² szukał czegośkolwiek innego.

Po krwawych egzekucjach nastąpił głód, wywoływany celowo przez angielskich namiestników:

¹ Robert Emmet, przywódca nieudanego powstania irlandzkiego w r. 1803, powieszony przez Anglików, był postacią rzeczywiście świetlaną.

² Lord Castlereagh, późniejszy markiz Londonderry i premier za czasów św. przymierza, w r. 1803 był najbardziej wpływową osobistością w zarządzie Irlandji.

Wyrok ławy przysięgłych, urzędującej przy oglądaczu zwłok (*coroner's jury*), wydany nad trupem jakiegoś wychudłego nędzarza „Planowe morderstwo lorda Johna Russel“ był nie tylko ogólnym wyrokiem opinii publicznej, ale wyrokiem dziejów.

W tym i w temu podobnych ustępach książki czuje się patriotyczny ból Anglika, który chętnie wydarłby kilka kart z historii swej ojczyzny. Nie może o nich mówić spokojnie i dlatego wyrzuca z głębi zranionej duszy tak silne słowa. Dodaje jednak:

Przeciwny Anglik był absolutnie niezdolny do okrucieństw, jakie popełniano w jego imieniu.

Przyczynę widzi Chesterton w „germanizacji Anglii“, niestety trwającej przez cały wiek XIX. Za jej typowy przykład uważa Carlyle'a.

Przytacza jako dowód jego dzieło o rewolucji francuskiej:

Gwałtowność, która wielu ludzi odpychała od rewolucji, była jedyną rzeczą, pociągającą go ku niej. Wig Macaulay miał szacunek dla żyrondistów, a płakał nad czynami Góry (t. j. jakobinów), podczas gdy torys Carlyle sympatyzował z Górą, a niestusznie pogardzał żyrondistami.

Płynęło to z niemieckiego ubóstwienia siły i okrucieństwa. Wedle Chestertona Niemiec w bajce o chłopcu, walczącym z potworami, stoi nie po stronie chłopca, ale po stronie potwora — wszakże ten jest silniejszy i bezwzględniejszy.

Nawet styl angielski zwyrodniał pod wpływem niemieckim, tracąc swą pierwotną typową cechę, mianowicie jędrność¹:

Anglik z artykułów wstępnych jest spokojny, umiarkowany i panuje nad sobą, ale w tym wypadku Anglik z artykułów wstępnych jest Prusakiem.

Jako przykład rdzennie rodzimego stylu przytacza Chesterton Cobbetta.²

¹ Naturalnie zdanie to odnosi się do naszych czasów, a nie do Carlyle'a, którego styl jest jędrny i silny aż do ekscentryczności.

² William Cobbett († 1835), wybitny publicysta, cierpiał w czasie wojen napoleońskich prześladowanie za to, że ujął się za żołnierzem angielskim, traktowanym brutalnie przez oficera Niemca.

Rozprawia się potem z niemiecką filozofją. „Niemcy sterylizują myśl“, czynią ją „dziewiczą, aby nie mogła wydać owocu“. Niemiecka wolność jest tylko wolnością myśli.

Dużo dałoby się zacytować z tej ciekawej książki, ale ograniczę się już tylko do paru zdań, odnoszących się wprost do wojny światowej, która dla autora była „wojną między barbarzyńcą a obywatelem“. O kwestji alzacko-lotaryńskiej czytamy:

...Zdobywcy musieli dojść do dziwnej pozycji — do anektowania ludności jako niemieckiej i do prześladowania jej jako francuskiej.

Wielkie armaty niemieckie są symbolem:

Oznaczają wzrost miast ponad prowincje i fabryk ponad miasta — panowanie Hunnów.

Chesterton uważa za największe zło naszych czasów, za źródło wszelkich innych nieszczęść — niewiarę. Tom swych szkiców z r. 1905, głównie literackich, zatytułował „Heretycy“ (*The Heretics*). Dwa pierwsze szkice noszą znamienne tytuły: „Wstępne uwagi o potrzebie prawowierności“ i „O duchu przeczenia“. Widząc w Ibsenie jednego z ojców duchowych generacji, przeciw której książka jest aktem oskarżenia, autor poświęca mu mocno krytyczną wzmiankę. Głównym błędem skandynawskiego dramaturga jest, że

niema cnót kardynalnych w ibsenizmie. Niema idealnego człowieka u Ibsena. Falsz działa niszcząco w „Podporach społeczeństwa“, ale prawda również niszcząco w „Dzikiej kacze“...

Stajemy

twarz w twarz z problemem ludzkiej świadomości, przepełnionej bardzo określonymi obrazami złego, a pozbawionej określonego obrazu dobrego.

Równie szkodliwy wpływ wywarli realiści w rodzaju Zoli.

Tacy

szerzą moralność, ale w tem znaczeniu, jak szerzy ją kat, jak szerzy ją djabeł.

Jeżeli negacja ideałów podszywa się pod nazwę postępu, to Chesterton stwierdza, że

może od początku świata nie było wieku, któryby tak mało miał prawa do mówienia o postępie, jak my. W katolickim w. XII, w filozoficznym w. XVIII kierunek mógł być zły lub dobry, ludzie mogli mniej lub więcej nie zgadzać się z sobą w tem, jak daleko pójść,

ale między nami brak właśnie zgody na jakiś kierunek. Nie może być postępu, gdy ludzie kłócą się o to,

czy świetlana przyszłość będzie polegała na pomnożeniu, czy na zredukowaniu ustaw; na rozszerzeniu, czy na ograniczeniu wolności; na ostatecznem zjednoczeniu własności, czy na jej zniesieniu; czy popęd płciowy stanie się najzdrowszym przy prawie dziewiczem uduchowieniu, czy przy zwierzęcej pełni swobody, czy mamy kochać każdego z Tolstojem, czy nie oszczędzać nikogo z Nietzschem.

Rzucając rękawicę swemu wiekowi, Chesterton stwierdza, że wyraz „postęp“ nic nie znaczy „bez poprzedniego sformułowania doktryny moralnej“.

Pierwszym z heretyków jest Kipling. Jego patriotyzm przybrał formę imperjalizmu. Chce mieć Anglię tak wielką, że ta przestanie być Anglią. Podziwia ją „za to, że jest silna, nie za to, że jest Anglią“. W gruncie rzeczy Kipling jest kosmopolitą i mógłby tak samo podziwiać Niemcy.

Dalej przychodzi kolej na Shaw'a, który „zabrania ludziom mieć ściśle określone ideały moralne“.

Szydził ze wszystkich wier zapomnianej przeszłości, a odkrył nowego boga w niedosiężnej dla wyobraźni przyszłości.

Mowa naturalnie o nadczłowieku. Wyjaśnienie Chestertona jest proste i, zdaje się, prawdziwe:

Że p. Shaw trzyma wysoko głowę i stroi twarz w pogardliwy uśmiech wobec olbrzymiej panoramy imperjów i cywilizacyj, to samo przez się nie przekonywa, aby widział rzeczy takimi, jakimi są... Po grzmoceniu wielkiej ilości ludzi przez wielką ilość lat za to, że nie są postępowi, p. Shaw odkrył z charakterystycznym rozsądkiem, że żadna istota ludzka o dwóch nogach nie może być postępową. Zwątpiwszy, aby ludzkość i postęp mogły istnieć obok siebie, niejeden, poprzestający na małym, byłby skłonił się ku porzuceniu postępu i pozostaniu przy ludzkości. Shaw, który nie poprze-

staje na małym, postanawia odrzucić ludzkość ze wszystkimi jej ograniczeniami i oświadczyć się za postępem dla samego postępu.

Trudno wyobrazić sobie bardziej druzgocącą krytykę „Siły Życiowej“ Shaw'a i jego „nadczołowieka“. Pociski Chestertona trafiają precyzyjnie nie tylko w to, co Shaw już przed r. 1905 wypowiedział, ale i w to, co miał wypowiedzieć w r. 1921, wróciwszy w *Back to Methuselah* do teorii nadczołowieka. Najwidoczniej Chesterton zdawał sobie sprawę z petryfikacji pojęć, jakiej Shaw uległ koło pięćdziesiątki, doświadczał zaś formalnego jasnowiedzenia, gdy wyrażał się żartobliwie, mając na myśli jego fanatycznie głoszoną teorię równości płci:

Wiem doskonale, co p. Shaw będzie mówił za lat trzydzieści, — to, co mówił zawsze. Jeżeli za lat trzydzieści od dziś spotkam pana Shaw'a czcigodną istotę o zamiatającej ziemię srebrzystej brodzie, i odezwę się do niego: „Rozumie się, że nigdy nie można atakować słownie damy“, patriarcha podniesie swą sędziwą rękę i grzmotnie mną o ziemię.

Lecz Chesterton zdaje sobie sprawę, że w powtarzaniu tych samych zasad jest prócz pewnej ciasnoty pojęć także głęboka szczerłość i uczciwość, więc dodaje tu uwagę, godzącą w politykę i polityków:

Czyż jest ktoś tak głęboko czytający w gwiazdach i wyroczniach, żeby odważył się przepowiadać, co za lat trzydzieści od dziś będzie mówił p. Asquith?

W omawianym szkicu Chesterton traktuje Shaw'a specjalnie jako heretyka, więc zajmuje się głównie jego błędnym poglądem na świat. Nie należy jednak zapominać o cytowanej już przeze mnie książce, poświęconej w całości autorowi „Majora Barbary“.

Następnym heretykiem jest Wells, fanatyk nauki. Autor nie bez pewnej złośliwości zaczyna od stwierdzenia, że ten człowiek, który rozpoczął swą karierę pisarską od niesłychanie śmiałych pomysłów, od „strzelania aniołów“ („Cudowna wizyta“ — *The Wonderful Visit*, 1896) i od „robienia przy pomocy lancetu ludzi ze zwierząt“ („Wyspa doktora Moreau),

jest w gruncie rzeczy pokorny, gdyż w szeregu punktów zmienił zdanie, czyniąc ustępstwa na rzecz istniejących pojęć, obecnie zaś odbywa się u niego „wesoly i rozweselający proces postępu ku konserwatyzmowi“. I Chesterton wylicza parę przykładów. Ale zapomina — lub udaje, że zapomina — o jednej rzeczy. Oto Wells już w r. 1905 był autorem tylu książek, choćby nawet tylu książek o przyszłości świata, że musiał ze względów artystycznych wprowadzać pewne zmiany. Chesterton jest względem niego znacznie surowszy, niż względem Kiplinga i Shaw'a. Wells twierdzi, że:

nic na świecie — oprócz umysłu pedanta — nie jest określone i pewne, a Plato odwrócił się plecami do prawdy, gdy zwracał się ku swemu muzeum szczegółowych idei.

To zdanie jest zaprzeczeniem całej filozofji Chestertona, dla którego idee i prawa moralne są rzeczą stałą i niezmienną, więc autor „Heretyków“ bierze przykład, przytoczony przez samego Wellsa, i wykazuje na nim, że

Plato obrócił się twarzą do prawdy, a plecami do p. H. G. Wellsa, gdy zwracał się ku swemu muzeum.

W dalszym toku książki znalazło się miejsce i na silne potępienie t. zw. prasy żółtej, operującej zawsze jaskrawą reklamą i sensacją, a często kłamliwymi wiadomościami. Niestety dziś, gdy od pierwszego wydania „Heretyków“ upłynęło lat dwadzieścia, widzimy, że dużo „żywołu żółtego“ zakradło się nawet do najpoważniejszych gazet angielskich. Głos Chestertona był głosem wołającego na puszczy — i tem bardziej trzeba nad tem ubolewać, że nasza prasa chętniej naśladuje zachodnie przykłady w złem, niż w dobrem.

W trzy lata po ogłoszeniu tego tomu szkiców, które miały być „dziełem zniszczenia, w dobrej sprawie tak świętem, jak dzieło stworzenia“, Chesterton w myśl swej teorii, że negacja nigdy nie wystarcza i że temu, co się potępia, trzeba przeciwstawić ideał dodatni, wystąpił z „Prawowiernością“ (*Orthodoxy*). Jest to *pendant* do „Heretyków“, a równocześnie rodzaj bardzo nowoczesnej książki religijnej.

Autor maluje tu proces duchowy, który doprowadził go do oparcia całego poglądu na świat na katolicyzmie.

Jeszcze jako chłopak widział wkoło siebie dwa typy ludzi — pesymistę i optymistę. Sam tych wyrazów używał, a jednak przyznaje się, że ich nie rozumiał. Zastanawiał się nad ich znaczeniem i doszedł do przekonania, że wszelkie istniejące określenia są nonsensem. Stosunkowo najlepszą wydała mu się definicja dziecka: „Optymista to człowiek, co patrzy na twe oczy, pesymista to człowiek, co patrzy na twe nogi“. Słyszał w tych naiwnych wyrazach alegoryczną prawdę i nauczył się odróżniać myśliciela, który kładzie nacisk na nasz powtarzający się wciąż kontakt z ziemią, od tego, który zwraca więcej uwagi na naszą zdolność widzenia i wyboru drogi.

Nie wynika stąd, aby stanął bezwzględnie po stronie optymizmu. Stwierdził bowiem, że oba kierunki polegają na zasadniczym błędzie. Świata nie można traktować, jak traktuje się mieszkanie do wynajęcia, gdyż człowiek wchodzi, w życie, zanim zacznie zastanawiać się nad tem, czy żyć wogóle warto.

Odnosi nieraz bohaterskie zwycięstwa, nim wstąpi w szeregi.

Chesterton przyznaje, że wiele w swym rozwoju duchowym zawdzięcza naprzód bajkom, później książkom dla młodzieży. Bajki nauczyły go, że są rozkazy, które trzeba spełniać, choć się ich nie rozumie, gdyż inaczej następuje nieszczęście. Awanturnicze przygody, które lubił czytać, natchnęły go duchem żołnierskim. Przekonał się, że stosunek ludzi do życia „lepiej można wyrazić terminami wojskowej wierności dla sztandaru, niż terminami nagany czy pochwały“ (jakich używają pesymista i optymista). Świat

to nasza twierdza rodzinna z chorągwią, powiewającą na wieży, a im gorzej w niej się dzieje, tem mniej godzi się ją opuszczać. Nie w tem rzecz, czy ten świat jest zbyt smutny, aby go kochać, czy zbyt wesoły, aby go nie kochać; w tem rzecz, że gdy kochasz rzecz, to jej

wesołość jest przyczyną, aby ją kochać, a jej smutek przyczyną, aby ją kochać jeszcze więcej.

Jako przykład bierze Chesterton szkaradną dzielnicę Londynu, w której miał Wells później umieścić swój ponury pensjonat. Nie wystarczy ganić Pimlico, bo w tym wypadku człowiek „poderżnie sobie gardło lub wyprowadzi się do Chelsea“. Nie wystarczy też chwalić — bo Pimlico mimo pochwał pozostanie tą ohydą, jaką jest obecnie. Trzeba je kochać „transcendentalnie; bez ziemskiej przyczyny“.

Gdyby ludzie kochali Pimlico, jak matki kochają dzieci, bez uzasadnienia, dlatego tylko, że do nich należy, Pimlico za lat parę mogłoby stać się piękniejsze od Florencji.

I nie jest to fantazja, to rzeczywista historia ludzkości.

Idźcie do najciemniejszych zaczątków cywilizacji, ujrzycie, że jej korzenie wiją się około jakiegoś świętego kamienia lub około jakiejś świętej studni... Ludzie nie kochali Rzymu, ponieważ był wielki. Stał się wielkim, ponieważ go kochali.

A więc konieczny jest pewien moment transcendentalny i on był źródłem rozwoju ludzkości. Dziesięcioro przykazań, podstawa etyki wszystkich narodów, pojawiło się u Żydów jako „kodeks wojskowy, wydany dla ochrony pewnej arki podczas pochodu przez pewną pustynię“. Ludzie naprzód stworzyli święto dla Boga, a dopiero potem przekonali się, że stworzyli święto dla siebie.

Jednym z dalszych stadijów rozwoju duchowego Chestertona była jego silna reakcja na kult samobójstwa, uprawiany szczególnie przez angielskich ibsenistów. Posuwali się oni aż do stawiania samobójcy narówni z męczennikiem. Chesterton odczuł, że pogląd jest zgruntu błędny, a samobójca przeciwieństwem męczennika.

Męczennik to człowiek, który tak wysoko ceni coś, będącego poza sobą, że zapomina o swem osobistym życiu. Samobójca to człowiek, który tak nisko ceni wszystko, co jest poza nim, że chce wszystko raz na zawsze zakończyć.

Doszedłszy do tego punktu, Chesterton spostrzegł, że spotkał się w swem rozumowaniu z doktryną chrześcijańską, bo właśnie chrześcijaństwo tak ostro rozróżniało zawsze dwa typy duchowe, z pozorów do siebie podobne.

Jeden człowiek wzgardził życiem; był tak dobry, że jego wyschłe kości mogły ocalać miasta przed zarazą. Drugi wzgardził życiem; był tak zły, że jego kości mogły splamić kości jego braci.

Tu poczuł Chesterton, że wędruje po bitej drodze. Spostrzegł, że chrześcijaństwo, jak on, odczuwa tę samą konieczność połączenia optymizmu z pesymizmem przy pomocy momentu transcendentnego, że łączy postulat zasadniczej wierności bytowi z postulatem gwałtownej reformy bytu. Zawsze pogardzał sofizmatem, jakoby pewna wiara odpowiadała jednemu wiekowi, a nie odpowiadała drugiemu. Uczuł się więc chrześcijaninem, zdobywając tym sposobem „możność kochania świata bez ufania światowi“. Jest to paradoks — ale paradoks polega na połączeniu dwóch rzeczy sprzecznych. Osiągnąć to można tylko w drodze transcendentnej — i rzeczywiście chrześcijaństwo czyni tak w całym szeregu wypadków.

Trojaka jedność; Bóg-człowiek; dziecię, jeszcze pozbawione pełnej świadomości, a już obciążone grzechem pierworodnym; wolność woli obok Bożej wszechmocy i przedwiedzy — to parę przykładów.

Pogaństwo głosiło, że cnota polega na równowadze; chrześcijaństwo, że na konflikcie, na ścieraniu się dwóch namiętności, najwidoczniej sobie przeciwnych.

Doskonale ilustruje to zdanie analiza odwagi wojskowej:

Odwaga to nieledwie *contradictio in adiecto*. Oznacza silne pragnienie życia, przybierające formę gotowości na śmierć... Chrześcijaństwo... zaznaczyło swe granice grozą przejmującymi mogiłami samobójcy i bohatera, stwierdzając przedział między tym, co umiera dla życia, a tym, co umiera dla śmierci. I odtąd zawsze wysoko trzymało ponad europejskimi lancami tajemniczy sztandar rycerski — chrześcijańską odwagę, która jest pogardą śmierci, nie chińską odwagę, która jest pogardą życia.

Chesterton stanął po stronie katolicyzmu przeciw protestantyzmowi, ponieważ ten drugi daje zbyt silną przewagę pierwiastkowi rozumowemu nad uczuciem. Przeciw ateizmowi, a jeszcze bardziej przeciw obojętności na kwestje religijne napisał między innymi alegoryczną fantazję powieściową „Kula i krzyż“ (*The Ball and the Cross*).

Apoteozą duchowieństwa katolickiego są trzy zbiory opowiadań, których bohaterem jest ksiądz Brown. Lubując się w oryginalnych, nawet ekscentrycznych pomysłach, Chesterton użył tu formy spopularyzowanej przez Doyle'a noweli kryminalnej. Ałe jego Sherlockiem Holmesem jest katolicki kapłan — okrągłutki, rumiany, cichy, bezpretensjonalny i dobroduszny. Pod temi pozorami kryje się potężna inteligencja i nabyta w konfesjonale gruntowna znajomość natury ludzkiej. Ksiądz Brown ściga przestępców nie poto, aby wydać ich w ręce sprawiedliwości, lecz poto, aby o ile możności wstrzymywać ich od zbrodni, ewentualnie skłaniać do pokuty i do poprawy. W jednej z nowel chrześcijańska miłość, jaką pała ksiądz Brown, skontrastowana jest z ponurym fanatyzmem, doprowadzającym protestanckiego duchownego do przelewu krwi.

Jak w prozie, tak i w poezji Chestertona religja odgrywa pierwszorzędną rolę. „Ballada o Białym Koniu“ jest tylko jednym z przykładów. Z drobniejszych wierszy Chestertona właśnie religijne są najbardziej znane i najpopularniejsze. Gdy to piszę, przychodzi mi na myśl zrobić próbę — i sięgam po „Antologję najnowszej poezji angielskiej“ A. Methuena, która wyszła po raz pierwszy w r. 1921, a której dwudzieste wydanie z r. 1925 leży na moich półkach.

Chestertona reprezentuje tu przedewszystkiem ciekawy monolog osiołka. Wzgardzone, bite, głodzone zwierzę, chodząca djabelska parodja wszystkich czworonogów, zazdrośnie strzeże swej tajemnicy. Pamięta, że miało raz wielką i słodką godzinę — w uszach jego brzmiały radosne okrzyki, a palmy

słały mu się pod nogi. Mowa naturalnie o wjeździe Chrystusa do Jerozolimy.

Drugi z wierszy sławi stajenkę betleemską i kończy się słowami: „Tam, gdzie Bóg był bezdomny, cała ludzkość jest w domu“.

Wreszcie trzeci wiersz Chestertona w antologii Methuena ma za temat bitwę morską. Nie Drake, nie Grenville, nie Blake¹ i nie Nelson jest bohaterem, lecz Don Juan d’Austria. Silniej od zapasów z Armadą i od Trafalgaru przemówiło do wyobraźni poety Lepanto, ta zwycięska krucjata morska, przedsięwzięta pod egidą głowy Kościoła katolickiego. Niema tu zresztą opisu boju — tylko szereg obrazków fantastycznych i ziemskich. Mahomet — zwany tu, jak w średniowiecznej angielszczyźnie *Mahound* — wysłał duchy przeciw chrześcijańskiej flocie; sułtan przygląda się grze barw i świateł w fontannach swego pałacu; Filip II czeka na wieści; papież modli się w swej kaplicy. Potem słyszymy o strasznych cierpieniach chrześcijańskich jeńców, przykutych do wiosel — a wśród tego wszystkiego wraca raz po raz wzmianka o Don Juanie, który wyrusza na wojnę, płynie wzdłuż brzegów włoskich, rozpoczyna ogień; wreszcie słyszymy, że przełamał linię statków tureckich — i następuje scena wyzwolenia nieszczęsnych więźniów, potem w triumfalny rytm ujęte okrzyki zwycięstwa, aby zaś w duchu ballad ludowych skończyć słabszym akcentem, Chesterton dodaje krótki ustęp o Cervantesie, który na swej galerze, chowając szpadę do pochwy, ma przed oczyma postać Don Kiszota. I tu dwukrotnie wracają, jak refren, wiersze o Don Juanie, powracającym z laurem na czole do Hiszpanji.

¹ Drake odbył pierwszy po Magellanie podróż naokoło świata i walczył z Armadą. Grenville wslawił się bohaterską śmiercią w bitwie morskiej, w której jego statek przez długie godziny walczył z całą flotą hiszpańską. Sławna jest ballada Tennysona na ten temat p. t. *The Revenge* (od nazwy okrętu). Blake odniósł za Rzeczypospolitej kilka świetnych zwycięstw morskich i był największym admirałem angielskim przed Nelsonem.

Nietylko tematem tego przepięknego wiersza jest walka chrześcijaństwa z islamem, nietylko bohaterem jest ostatni z rycerzy krzyżowych. Nie brak nawet wycieczki antyprotestanckiej — słyszymy, że „północ pełna jest zawitych rzeczy i tekstów, nad którymi oczy bołą“, że tam „chrześcijanin nienawidzi Marji“, a o wielkiej Elżbiecie czytamy: „Zimna królowa angielska przegląda się w zwierciadle“.¹

Cała filozofja Chestertona opiera się na paradoksie — i to samo można powiedzieć o jego stylu. Ma on nadzwyczajny talent wyszukiwania w rzeczach i ludziach cech, sprzecznych z pozorami, z nazwą lub z utartym zdaniem. Umie dowieść, że Wells jest człowiekiem pełnym pokory, lub że sensacyjna „żółta prasa“ jest szara i zbyt spokojna w tonie. Jeszcze w jednym z ostatnich swych utworów uczynił rzecznikami tych poglądów członków „Ligi Długiego Łuku“ (*Tales of the Long Bow*, 1925) — Anglik zaś nazywa *a long bowman* błagiera. Bohaterowie tej ekscentrycznej — i zresztą dość słabej — książki podejmują się wykonania szeregu rzeczy, od niepamiętnych czasów uznanych przysłowiowo za niemożliwe, i uważają za swój najświętszy obowiązek dotrzymać słowa. Jeden „zjada swój kapelusz“, drugi „podpala Tamizę“, trzeci „uczy świnię latać“. Ich hasło brzmi: „Tylko kłamcy mówią prawdę“.

Widzimy, jaki u Chestertona silny i jaki organiczny związek między formą a treścią. Jest to poważna zaleta. Ale zamiłowanie paradoksu wyradza się czasem w manierę. Krytyka angielska niewątpliwie przesadza w podkreślanii tego, ale zarzuty jej są niezupełnie pozbawione słuszności. Gdybyśmy tylko co pewien czas spotykali się z niezwykłymi, a trafnymi zestawieniami, robiłyby o wiele większe wrażenie,

¹ Z początkiem września r. 1926 ukazał się jako uzupełnienie do wspomnianej serji feljetonów w „Kurjerze Poznańskim“ piękny przekład „Lepanto“ przez p. Czesława Kozłowskiego. Spotykamy się tu również z wierszem „Polska“, traktującym alegorycznie orły białe i czarne, a więc powtarzającym ulubioną myśl Chestertona.

niż robią, gdy jest ich po kilka na każdej stronie. Są chwile, gdy czytelnik czuje się, jak człowiek, karmiony samymi wyszukanymi przysmakami i tęskniący za sztuką mięsa. Być może, iż uznał to sam Chesterton. W wydanym w r. 1925 „Człowieku wiecznotrwałym“ (*The Everlasting Man*) paradoksów można znaleźć tylko znikomą ilość.

Drugą wadą Chestertona jest szybkość pisania. Powtarza się on czasem. Prawda, że wynika to głównie z żywotności w jego umyśle pewnych idei i obrazów. Wybornym przykładem są motywy z bajek — wspomniany *Jack the Giant-killer* (Jack olbrzymobójca), *Kopciuszek* i t. p. Ale Chesterton ma taką obfitość oryginalnych i głębokich myśli, że z pewnością uniknąłby nicowania tych samych przerośni, gdyby nie jego prawdziwie dziennikarski pośpiech w pisaniu. Lista utworów tego pięćdziesięcioletniego człowieka zajmuje dobrych kilka kartek w katalogu *British Museum*.

Trzecia wada tak samo płynie z jednej z zalet. Chesterton posiada umysł, podobny do szpady hartowanej a giętkiej. Rozumuje z precyzją i z łatwością. Otóż wspaniała jego dialektyka robi czasem wrażenie sofistyki. Wrażenie to jest niewątpliwie błędne, a Chesterton człowiekiem szczerym i głęboko wierzącym w prawdę swych przekonań. Nie cofa się przed błaznowaniem, ale zachowuje zawsze powagę w treści. Nigdy nie dowodzi czegoś dla samej przyjemności dowodzenia. A jednak można złapać go na gorącym uczynku dowodzenia dwóch przeciwnych rzeczy. Potępia Nietzschego za to, że stale ubiera swe myśli w szaty przerośni, które pozostawiają wątpliwość co do pojęć i dopuszczają rozmaitą interpretację. Ale w innej książce stwierdza, że wszelkie wywody filozoficzne są zgóry skazane na operowanie przerośniami, bo wogóle słowa nie są niczem innym. Coprawda, jest to jedyny wypadek, na który zwróciłem uwagę, i zapewne w całym olbrzymim stosie dzieł Chestertona dałoby się wyłowić zaledwie parę podobnych, a zarzut sofistyki musiałby być oparty na poważnej ilości wypadków. Prostu

więc albo autor zmienił zdanie, albo w jednym ze sprzecznych miejsc wyraził się niedość jasno, a miał na myśli co innego, niż w drugim. Rzecz jest zresztą w związku z jego gorączkowym tworzeniem.

Należy dodać jeszcze słów parę o stylu i formie utworów poetyckich Chestertona. Jego obrazowanie odznacza się niesłychaną śmiałością — i mimo bladeści prozaicznego, prawie dosłownego przekładu, czytelnik mógł to spostrzec z przytoczonych urywków. Niekiedy śmiałość ta przekracza nawet może dozwolone granice. Oto dwa przykłady z „Ballady o Białym Koniu“: Alfred w księdze I mówi o ludziach zwyrodniałych, którzy „cierpią z rozkoszy“, i dla lepszego wyrażenia tej myśli dodaje, że „przykrzy im się zielone wino“, a „wstrętem napawa purpurowe morze“. Przystawienie epitetów służy tu do wywołania wrażenia perswersji.

*(Where the perverse in pleasure pine,
And men are weary of green wine
And sick of crimson seas.)*

W księdze VI czytamy o wodach Renu, że „pomrukują pod mogiłami, pomrukują i buntują się, pełzają wdół do pogrzebanych królestw i, jakby zabłąkany deszcz ryczą i płaczą nad czerwonym niebem piekła:

*(Under all graves they murmur,
They murmur and rebel,
Down to the buried kingdoms creep
And like a lost rain roar and weep
O'er the red heavens of hell.)*

Niełatwo zorientować się, że poeta wyobraża tu sobie podziemne piekło, nad którym, jak nad ziemią, wznosi się firmament — tylko nie błękitny, lecz czerwony.

W podobnych miejscach Chesterton zapewne za wiele wymaga od swego czytelnika. Lecz zwykle mijają one niepostrzeżenie wśród powodzi obrazów, których trafność dorównywa śmiałości, a znaczenie nie wymaga zastanowienia.

Trzeba było przytoczyć w oryginalnym brzmieniu choć kilka wierszy Chestertona przed scharakteryzowaniem jego poetyckiej formy. Autor „Ballady o Białym Koniu“ jest z krwi i kości Anglikiem. Widać to między innymi w jego metryce. Najchętniej używa rytmu ballad ludowych, opartego na staroangielskim wierszu, w którym liczba zgłosek nieakcentowanych była obojętna. Idzie w tym wypadku za przykładem kilku z wielkich romantyków, a będąc obdarzonym doskonałym poczuciem rytmu, osiąga nieraz wspaniałe efekty. Posługuje się bardzo chętnie aliteracją. Angolicy odznaczają się wrodzonym zamiłowaniem do tej ozdoby, tak zgodnej z duchem ich języka, poeci jednak najczęściej unikają jej celowo jako czegoś pospolitego i zbyt prymitywnego. Chesterton, czciciel tradycji, świadomie i otwarcie zerwał z przyjętą przez nowsze czasy konwencją. Nie wstydzi się naśladować Cynewulfa i Langlanda,¹ a o ile moje cudzoziemskie ucho zdolne jest ocenić, wiersz tylko zyskuje na tem.

Utworky Chestertona z wątkiem powieściowym są fantasmagorjami o charakterze snu, w którym działają najdziwniejsze asocjacje. Autor miesza motywy codziennego życia z pierwszorzędnymi zagadnieniami bytu, rzeczy błahe z ważnemi. Niema bowiem dla Chestertona nic błahego. Wiejska oberża jest dla niego symbolem serdeczności, prostoty, starej cywilizacji, tępionej dziś bezwzględnie przez nowszą, tandetną i szablonową, symbolem „wesołej Anglii“ Tak jest w „Latającej gospodzie“ (*The Flying Inn*). Warto zanalizować pomysły tej dziwacznej niby-powieści, aby sprawdzić, do jakiego stopnia autor powoduje się samem kojarzeniem wyobrażeń.

Punktem wyjścia były etatyzm i abstynencja. Państwo zaczyna regulować prywatne życie obywateli. W myśl agita-

¹ Cynewulf — poeta epoki staroangielskiej, podczas której aliteracja była nie okolicznościową ozdobą, lecz jednym z koniecznych warunków wiersza. Langland był autorem sławnego poematu z w. XIV, „Wizja Piotra Oracza“. Pisał wierszem aliterowanym.

cji antyalkoholików znosi gospody. Naturalnie popiera tym sposobem interes kapitalistów, budujących wielkie hotele, bogatym ludziom nie przeszkadza ani trochę w picciu szampana, a biednym odbiera jedną z nielicznych przyjemności życia. Niszczy byt poczciwych, pełnych humoru oberżystów, którzy są żywą kroniką lokalnych tradycji, a wzbogaca mniej sympatycznych aptekarzy, sprzedających alkohol na recepty. Ta akcja rządowa, niby wysoce humanitarna, jest więc w gruncie rzeczy uciskiem klas niższych; jest i czemś więcej, jest dławieniem życia przy pomocy formułek, przy pomocy aktów parlamentu i poprawek do aktów parlamentu.

W niesamowitej powieści Chestertona spotykamy się z chłodnym, po swojemu humanitarnym i po swojemu wymownym fanatykiem, który operując takimi formułkami, usiłuje zburzyć dawny świat i zbudować nowy, dostosowany do własnych pojęć. Uzupełnieniem jest wpleciony obrazek z Izby Gmin, a raczej z kularów i bufetu, gdzie naprawdę załatwia się wszelkie sprawy, obmyślając mniej lub więcej niegodne sztuczki, które mają być wykonane na *plenum*.

Spotykamy się dalej z postacią właściciela gospody, dobrodusznego i przesiąkniętego tradycją, a przytem trochę poety. Nie chce on pogodzić się z losem i gdy policja pod osobistym nadzorem lorda Ivywood niszczy jego zapasy oraz lokal, zabiera beczułkę rumu, dużą kulę sera i drag z szyldelem, aby przed prześladowaniem kryć się po lasach i co pewien czas zatykać swe godło w ziemię — to przed chatą biednego dzierżawcy, to przed gmachem, w którym odbywa się wegetariański odczyt, to przed pałacem samego lorda Ivywood, to przed futurystyczną wystawą obrazów, to w do-
brach lekarza kapitalisty, który ciągnie ogromne zyski z cudo-
downego „górskiego mleka“, dającego rzekomo długowiecz-
ność, a będącego tylko zwyczajnem mlekiem z obfitym do-
datkiem wody, to przed lokalem aptekarza kapitalisty, który
posiada całą ulicę niby-aptek, a w gruncie rzeczy tajnych

szynków. Naturalnie weszły tu także postaci biedaków, wyzyskiwanych i gnębionych przez zarządców lorda.

Lecz kojarzenie wyobrażeń nasunęło Chestertonowi cały nowy kompleks motywów. Fanatycy w rodzaju lorda Ivywood chcieliby wszystkich Anglików zrobić abstynentami i jaro-szami. Wszakże to nic nowego, wszakże oddawna istnieje religja, wzbraniająca wina i wieprzowiny. Stąd w powieści błazeńska postać Turka, który prowadzi w Anglii propagandę mahometańską. Lecz skoro autorowi raz przyszła na myśl Turcja, natychmiast przypomniały mu się koncepcje polityki angielskiej, polegające na popieraniu Porty O-tomańskiej, które niegdyś Salisbury nazwał „stawianiem na kiepskiego konia“. Więc lord Ivywood jest nie tylko protektorem Misysry, lecz także zwolennikiem zbliżenia do Turków, poprostu nawet zwolennikiem islamu. Jego imperjalizm polega na upodobnieniu Zachodu do Wschodu, na zastąpieniu krzyża półksiężycem.

Odezwały się i dalsze asocjacje, odezwał się sentyment Byrona. Wszakże Turcja stała przez całe wieki uciskiem narodów chrześcijańskich południowej Europy, szczególnie Greków. Ale jeżeli mówimy o ucisku, to poco szukać tak daleko? Irlandja pod bokiem! I Chesterton wprowadza postać typowego Irlandczyka, któremu nawet na imię Patryk. Łączy go przy pomocy wspomnianego już wyżej dziwaczного pomysłu z Grecją i czyni przywódcą Greków w walce z Turkami. Po ostatecznej klęsce rokowania pokojowe sprowadziły tego Irlandczyka do Anglii, ale zerwawszy je, zostaje on sprzymierzeńcem oberżysty i odgrywa główną rolę w odysei jego gospody — niedarmo jest królem Itaki.

Jego i lorda Ivywood dzieli jeszcze jedna okoliczność. Patryk kocha pannę z arystokracji, którą rodzina chce wydać za lorda. I tu nasuwa Turcja nową asocjację, niesłychanie groteskową, a w swej groteskowości ironiczną. Zimny, poprawny, zupełnie temperamentu pozbawiony Ivywood żyje

przeważnie w otoczeniu kobiecem. Gospodynią w jego pałacu jest niezamężna kuzynka, sekretarką również kobieta, pomaga jej siostra. W pewnej chwili Lady Brett, z którą Ivywood chciał się ożenić, a która właśnie przebywa z matką u niego, rzuca paradoksalne słowa: „Jesteśmy jego harem!”

Chesterton zdołał w „Latającej gospodzie” wybornie uwydatnić związek między socjalistycznym etatyzmem a kapitalizmem. Przedstawicielem, choć niezupełnie świadomym, tego związku jest lord Ivywood. Naturalnie kapitalizm przypomniał autorowi Żydów, w powieści jest też ich dwóch. Zresztą nie słyszymy wyraźnie o ich pochodzeniu. U jednego, sekretarza lorda, jest ono zaznaczone nazwiskiem Leveson, u drugiego, lewantyńskiego aferzysty, który tak wysoko zaszedł, że reprezentuje Niemcy przy układach pokojowych Itaki z Turcją, śmieszną wymową. Lekarz kapitalista, handlujący cudownym mlekiem, nazywa się Meadows, ale autor zaznacza tylko, że nazwisko jego miało pierwotnie brzmienie niemieckie.

Że walka toczy się między starym, dobrym, a nowym, złym światem, to spowodowało wyszydzenie kilku mniej ważnych cech tego drugiego. Mamy więc wystawę „pofuturystów” oraz postać ekscentrycznego poety, opiewającego uczucia różnych mniej lub więcej egzotycznych zwierząt i głoszącego dziwne teorie nie tylko o sztuce, lecz także o własności. W myśl właśnie tych teorii jego auto zostaje ku niemałemu oburzeniu właściciela zarekwirowane na pewien czas przez latającą gospodę. Lecz pokrzywdzony przebacza i staje ostatecznie po stronie oberżysty i Patryka.

Oto część asocjacji, tworzących podkład fantastycznej powieści. Chesterton urozmaicił ją całym szeregiem wplecionych wierszy, przeważnie humorystycznych. Wyszedł poza ramy bezpretensjonalnej groteski w zakończeniu, czyniąc je alegorycznym obrazem walki dwóch światów. Patryk Dalroy wywołuje w Londynie rewolucję. Tłumy niszczą naprzód pełne

alkoholu apteki, a potem, uzbroiwszy się po sklepach rusznikarskich i po muzeach, dążą do posiadłości lorda Ivywood. Lecz podstąpiwszy pod siedzibę przeciwnika, Patryk wbrew oczekiwaniu urządza tylko serenadę na cześć lady Joanny, którą wyprowadza z „haremu“. Jego pospolite ruszenie zwraca się przeciw wojsku tureckiemu, przybyłemu potajemnie do Anglii dla ewentualnego poparcia planów lorda Ivywood i ukrytemu w pobliskim folwarku. Następuje zwycięska dla Anglików walka. Patryk własnoręcznie zadaje cios śmiertelny Omanowi paszy, z którym i poprzednio krzyżował już był szpady, a stary Turek ostatnim wysiłkiem odwraca się w stronę Mekki. Ivywood w czasie bitwy dostaje nagle obłąkania. Ponieważ naprzekór Bogu pragnął wedle własnego widzimisię świat porządkować, zdaje mu się, że wznosił się „o tyle wyżej od głupich nadludzi, o ile oni są ponad zwyczajnymi ludźmi“. Ma złudzenie, że jest w rajskim ogrodzie i zrywa kwiaty. Do końca życia nie będzie czynił nic innego, będzie szczęśliwy. Inne szczęście stanie się udziałem lady Joanny i Patryka.

Chesterton okazał się fałszywym prorokiem, ostrzegając Anglię przed popieraniem Turcji. Dzisiejsze czasy wykazują, że proroctwa powinny były raczej iść w przeciwnym kierunku. Ale nie o realne szczegóły, ani o przewidywanie przyszłości szło Chestertonowi. Szło mu o idee. „Latająca gospoda“ jest, jak cały szereg jego utworów, wielką walką dobrego ze złem — przy charakterystycznym pomieszaniu po jednej i drugiej stronie rzeczy ważnych z błahemi. Wybrałem ten utwór do szczegółowego omówienia dlatego, że i postaci i akcja są zapewne najznamienniejsze. Przytem, o ile mi wiadomo, nie był dotąd tłumaczony na nasz język.

Zupełnie podobna jest technika Chestertona w dramacie. Jego komedia „Czary“ (*Magic*) opiera się na pomysłe nieledwie dziecinny. Proste streszczenie wywołałoby pobłażliwy uśmiech na twarz czytelnika. Panna z arystokracji wierzy w elfy. Chesterton daje jej dla usprawiedliwienia krew irlandzką i irlandzkie imię Patrycji — a jak zaznacza jedna

z osób sztuki, „jest rzeczą zupełnie poprawną widywać elfy w Irlandji; to tyle, co grać, gdy jest się w Monte Carlo“. Wedle dalszego rozwoju akcji sam autor wierzy w możliwość utrzymywania przez człowieka stosunków z djabłami i doznawania od nich pomocy. Człowiekiem tym jest zawodowy kuglarz, produkujący się po pałacach arystokratów. Zyskuje on ostatecznie miłość Patrycji, która oddawna widywała go i brała za elfa...

A jednak sztuka nie jest bezpretensjonalną bajeczką sceniczną. Jest tu i myśl głęboka i wyborna obserwacja psychologiczna. Stoją naprzeciw siebie dwa światy — jeden uczucia i naiwnej wiary, za którym oświadcza się autor, drugi oschłego rozsądku i sceptycyzmu.

Ów magik, który niegdyś kumał się z djabłami, a posiada dobrą znajomość ludzi i wogóle wyższy umysł, oraz poetyczna panna, widująca elfy, skontrastowani są z czterema postaciami, reprezentującymi niewiarę w różnych odmianach. Najlepszą z tych figur jest książe, pokrywający gruntowną głupotę dobrymi formami towarzyskimi i dobroduszną uprzejmością względem gorzej urodzonych. Ma dziwaczne asocjacje. Jedna rzecz przypomina mu Joannę d'Arc, druga rewolucję francuską. W praktycznych kwestjach życia trzyma się zasady „I Panu Bogu świeczkę i djabłu kaganek“. Składa równocześnie datek na walkę z alkoholem i na założenie gospody, w której robotnik mógłby popić w porządnym towarzystwie. Przy całym swem ubóstwie umysłowym książe jest dżentelmenem w każdym calu. Zresztą, ponieważ całe życie polega dla niego na kompromisach, jest skłonny do kompromisu nawet ze światem elfów.

Przedstawicielem materializmu, datującego się z czasów Spencera i Huxleya, jest stary lekarz, któremu zresztą autor dał wiele zdrowego rozsądku, doświadczenia i uczciwości. Satyrę na materialistyczne kierunki w protestantyzmie, tem wstrętniejsze Chestertonowi, że importowane z Niemiec, stanowi postać pastora. Nie wierzy on w świat pozagrobowy

i myśl tę wyraża skromnemi słowy, że każdy ma prawo do powątpiewania. Amerykański, kapitalistyczny materjalizm reprezentuje brat bohaterki, przybyły właśnie z za oceanu, gdzie „robił w nafcie“. Ten jest tak skrajny, że wyznający zasady Huxleya lekarz musi go mitygować słowami:

„No, no, musi pan zostawić nieco więcej miejsca poezji; nie samą naftą żyje człowiek“.

Pocziwy stary książę w myśl swych dziwnych asocjacji chce wyleczyć swą kuzynkę z naiwnej wiary w elfy przedstawieniem kuglarskiem i zaprasza do zamku magika. Przejęty amerykańską kulturą młodzieniec odrazu zaczyna zachowywać się wrogo względem przybysza. Co chwila przychodzi do starc, w których magik stale bierze górę, gdyż Morris Carleon łączy złe wychowanie z płytkością sądu, a także z porywcznością, zdolną zapewnić przeciwnikowi przewagę nawet w wypadku, gdyby wszelkie inne dane były u nich równe. Magik z początku znosi zniewagi z bolesną pobłażliwością, ale później zaczyna odcinać się coraz ostrzej. Morris wypada z równowagi:

„Czy pan wie, że gdyby pan to powiedział spokojnemu *businessmanowi* w Ameryce, ten jużby sięgnął do swej kieszeni“

(po rewolwer)? — „Zdaje mi się, że spokojny *businessman* częściej sięga do cudzej kieszeni, niż do swojej“, brzmi odpowiedź magika.

Ostatecznie Morris ponosi zupełną klęskę. Tak długo kpił sobie ze sztuk kuglarza i ich ukrytego mechanizmu, aż ten, skupiwszy wolę i, jak później wyznaje Patrycji, wezwawszy — czego oddawna zaprzestał — pomocy sił nieczystych, pokazuje mu sztukę, której Morris nie może już sobie wytłumaczyć żadnym naturalnym sposobem. W jednej chwili runął w gruz cały pogląd na świat amerykańskiego materjalisty. Popada on w rozstrój nerwowy, nieledwie w obłąkanie. Ratuje go dopiero magik, wymyśliwszy z trudem fałszywe wyjaśnienie.

Lecz postępowanie Morrisa ma jeszcze donioślejszy skutek. Patrycję zraziło rozwianie się złudzeń co do rozmów z elfem. Chce ona jednak zatrzeć wrażenie szorstkości brata, więc zbliża się znowu do magika — i ten w chwili wzruszenia wyznaje jej miłość. Zaznacza wprawdzie, że nie żąda wzajemności, lecz egzaltowana panna nie chce zgodzić się i nie zgodzi z pewnością na tę abnegację.

Komedja usiana jest wybornymi powiedzeniami. Jedne, jak groteskowe reminiscencje historyczne i literackie księcia, służą do charakterystyki postaci. Inne podkreślają przeciwieństwa postawionych obok siebie dwóch światów. Inne jeszcze reprezentują własne poglądy autora.

Przytoczyłem już wycieczkę przeciw kapitalizmowi i „spokojnym *businessmanom*“. Lecz Chesterton strzeże się, aby nie posądzono go o sympatię dla środków, stosowanych przeciw ustrojowi kapitalistycznemu. „Czy pan interesuje się nowoczesnym postępem?“ pyta książę magika. — „Tak“, odpowiada zagadnięty, „my interesujemy się sztukami, wykonywanymi przy pomocy iluzji“.

Nietylko postać księcia godzi tu w przesady rodowe. Matka magika była damą z arystokracji i popełniła z miłości mezaljans. „Mogła była nosić perły, gdyby zgodziła się być osobą rozsądną“. Tu Patrycja wtrąca z oburzeniem: „Mogła też była wydawać perły, gdyby zgodziła się zostać ostrzygą“.

W czytaniu musi niejedna rzecz w „Czarach“ budzić pewne wątpliwości. Na scenie sztuka czyni potężne wrażenie. Przy dobrej grze aktorów zacierają się nieprawdopodobieństwa, zaciera się charakterystyczne u Chestertona branie rzeczy błahych narówni z ważnymi. Nie razi też żywioł fantastyczny. Moment natężania woli przez magika w *Kingsway Theatre* hipnotyzował poprostu widownię. Jak widzę, patrzący na dramat Szekspira, nie zdaje sobie sprawy z nieprawdopodobieństw i sprzeczności — np. w różnych wzmiankach o czasie —, tak w „Czarach“ nikną na scenie rzeczy, które w groteskowych pseudo-powieściach Chestertona wydają się

czemś zbyt sztucznem lub zbyt naiwnem. Należy szczerze żałować, że autor nie poświęcił się twórczości dramatycznej.

Najwyżej może wznosił się on jednak jako krytyk. Z pewnością zawodowych historyków literatury stać na subtelniejszą analizę. Ale nie znam żyjącego Anglika, który umiałby zdobyć się na tak świetną syntezę, na tak trafne wydobywanie z twórczości jednostki jej cech najcharakterystyczniejszych, na tak przekonywające powiązanie dzieł z życiem autora, na tak efektowne przeciwstawienie jednych kierunków drugim i zobrazowanie stosunków między nimi oraz stosunku każdego do społeczeństwa.

Książka Chestertona o Dickensie stawia i udowadnia tezę, że autor „Dawida Copperfielda“ był optymistą, ponieważ wierzył w postęp. Stąd tak ostro występował przeciw szeregowi ustaw i urządzeń angielskich (więzieniu za długi, wyzyskowi robotników, pracy dzieci, okrucieństwu nauczycieli i t. p.). Głos jego nie przebrzmiał bez echa i rzeczywiście stosunki poprawiły się znacznie. Chesterton zanadto jest publicystą, ażeby mógł odmówić sobie przyjemności zestawienia Dickensa z pesymistycznymi krytykami ustroju społecznego Anglii swych własnych czasów. Ci nic nie osiągną, gdyż nie mają prawdziwej wiary w naturę ludzką i wartość reform. Tylko optymizm może być twórczy. Publicystyczna wycieczka Chestertona jest w tym wypadku niewątpliwie na miejscu, służy bowiem równocześnie do uwydatnienia rysów duchowych omawianej postaci i do wykazania w jej twórczości trwałych pierwiastków, które powinny stać się dla potomności świętą spuścizną.

Wyborne jest również studjum o Browningu. Lecz zalety Chestertona jako krytyka uwydatniają się może najlepiej w krótkich szkicach. Weźmy więc do ręki jego książkę p. t. „Dwanaście typów“ (*Twelve Types*). Jak zobaczymy, autor nie ogranicza się tu ani do literatury angielskiej, ani do literatury wogóle.

Początkowy szkic poświęcony jest powieściopisarce

z pierwszej połowy XIX w., Karolinie Brontë. Jej rola w dziejach literatury polegała na pokazaniu po raz pierwszy, że „otchłanie mogą istnieć w duszy guwernantki, a wieczne pierwiastki w duszy fabrykanta“. Słynna powieść „Jane Eyre“ odznacza się wielkiem nieprawdopodobieństwem i wypadki akcji zasługują na nazwę niemożliwych, ale psychologja jest prawdziwa. „Typowa postać, kreślona przez pannę Brontë“ (*a Brontë character* — więc określenie odnosi się zapewne i do dwóch sióstr Karoliny, pokrewnych jej rodzajem talentu i metodami twórczymi), „ma ręce na miejscu nóg i nogi na miejscu rąk, ma nos nad oczyma, lecz serce na właściwem miejscu“.

Następuje potem przemówienie, wygłoszone na odsłonięciu biustu Williama Morrisa. Chesterton uwydatnia tu organiczny związek między jego poezją, działalnością dekoracyjną i poglądami społecznymi. Wniosek uderza trafnością. Morris, „jak się zdaje, naprawdę wierzył, że ludzie mogą znaleźć zadowolenie w zupełnie płytkiem szczęściu“, polegającym na estetycznym otoczeniu i wygodzie, nie na pięknie duchowym, które musi być wytworem walki. Nikt nie upiększy rzeczy brzydkiej, póki jej nie ukocha w jej brzydocie, a Morris nienawidził nowoczesnego życia.

Byrona uważa Chesterton za optymistę. Sam poeta wprawdzie sądził, że jest pesymistą, ale też „posiadał najmniejszą dozę znajomości samego siebie, jaka kiedykolwiek była udziałem człowieka inteligentnego“. „Białą kredą można pisać tylko na czarnej tablicy“ — Byron potępił i wyszydzał dlatego, że miał cześć dla ideałów. Dopiero gdy napisał „Don Juana“, „nagły wybuch wesołego śmiechu, oznajmił światu, że lord Byron został naprawdę pesymistą“. Ale wciąż drzemała w nim natura, wierząca w dobro i pełna zapału. Przebudziła się „w obliczu zimnej, twardej konieczności politycznej“ t. j. w Missolungi. Niestety Byron zaczął żyć, gdy był umierający.

Dalszy szkic poświęcony jest odwiecznemu, w przysło-

wie wchodzącemu sporowi o to, czy Pope był poetą. Lekceważony przez romantyków i ich epigonów, Pope miał jednak i ma wciąż zwolenników. Jego gorącym wielbiciele, a nawet często naśladowcą, był Byron, a gdy w lecie r. 1925 Lytton Strachey porównał autora „Duncjady“ ze złośliwą małpą, która siedzi w oknie pierwszego piętra z miseczką wrącej oliwy i pryska nią na przechodniów, sędziwy historyk literatury Edmund Gosse odpowiedział mu: „Chciałbym być taką małpą“. Chesterton rozstrzyga odwieczne pytanie mocnym „tak“. Sprowadza kwestję do roli natchnienia i dowcipu w poezji.

Może rzeczywiście jest łatwiej mieć dowcip, niż naprawdę — w najśmielszym i trwałym znaczeniu — mieć wyobraźnię. Ale jest nieskończenie łatwiej udawać, że się ma wyobraźnię, niż że się ma dowcip... Prorok w owych czasach — t. j. czasach Pope'a — może nie mógł być poetą, ale przynajmniej nie mógł być poetą głupiec.

Teraz Chesterton zwraca uwagę na obfitość myśli u Pope'a i urządza sobie ciekawą rozrywkę. Jeden jego sławny wiersz (*A being darkly wise and rudely great* = „Istota o ciemnej mądrości i szorstko wielka“) rozgadnia przy pomocy powtarzania i pretensjonalnych, a ogólnikowych porównań na dziewięć wierszy modernistycznych, przypominających trochę Remigjusza Kwiatkowskiego z jego parasolem. Rzuca pytanie, czy od czasów Pope'a nauczyliśmy się lepiej myśleć. — Może tylko lepiej rozcieńczać swe myśli?

Polityczna i społeczna satyra są sztuką zaginioną, jak artystyczne garncearstwo i witraże... Nie mamy dość szlachetności,

gdyż pogardzamy przeciwnikami i przeciwnymi poglądami. Tu Chesterton stanowczo myli się i chyba wszystkie postaci niniejszego szkicu wraz z nim samym są dostatecznym tego dowodem. Zmieniła się tylko forma satyry.

Potem, jakby na dowód lotności swego umysłu, omawia autor kolejno św. Franciszka z Assyżu i Rostand'a, przy którym wypowiada głębokie zdanie, że „w wielkich komedjach

śmiejemy się nie z bohaterów, ale z nimi“. Dalej kreśli sylwetkę Karola II.

Następuje polemika z H. B. Baildonem o Stevensona. Baildon w swem studjum zarzucił temu powieściopisarzowi pesymizm i „manję morderczą“. Lecz wedle Chestertona Stevenson wciąż powtarzał, że dobro należy czcić bez względu na powodzenie w czasie i przestrzeni, był więc w dziedzinie etyki optymistą, a obfity rozlew krwi w jego utworach wynikał tylko z romantycznego usposobienia autora.

Nie pochodził stąd, żeby Stevenson nie lubił ludzi, lecz stąd, że bardziej lubił pistolety i maczugi.

Nie należy przerażać się akcją jego powieści, gdyż Stevenson reprezentuje typową dla romansu koncepcję, że „możliwości są istotnymi rzeczami“.

Przedmiotem dziewiątego szkicu jest Carlyle. Istnieją dwie moralne konieczności, których wymaga działalność wielkiego człowieka: aby wierzył w prawdę swego posłannictwa i w możliwość jej przyjęcia. Carlyle wierzył w pierwsze, nie wierzył w drugie — i to było jego tragedją. Za główną zaślugę należy mu poczytać, że „był twórcą irracjonalizmu“, gdyż nauczył ludzi zwracać uwagę na założenie, nie na wnioskowanie. Carlyle ma jednak na sumieniu ciężką winę. Jest odpowiedzialny za to, że obecnie ludzie chcą być z jednej bryły, nieraz zaś chcą „iść do ostatecznej granicy świństwa“ (*going the whole hog*). Salomon i Horacy, Petrarca i Szekspir byli pesymistami w chwilach melancholji, optymistami, gdy czuli się szczęśliwi. Ale dzisiejszy optymista uważa za swój obowiązek dowodzić, że artretyzm i miłość bez wzajemności są dla niego powodem do płasów i uciechy, pesymista, że blask słoneczny i dobra kłóćca „wprawiają go w konwulsje beznadziejnych męczarni“. „Carlyle był silnie opętany przez tę manję duchowej jednolitości“. Wiele wziął z niego Nietzsche, lecz „Carlyle był wieśniakiem o twardym karku, Nietzsche bardzo wiotkim arystokratą“.

Najgorzej wychodzi u Chestertona Tołstoj. Szkic zaczyna się od szyderstw pod adresem różnych metod „powrotu do natury“. U jednych polega on na niepicciu wina, u drugich na picciu znacznie więcej, niż im wychodzi na zdrowie... Wedle imperjalisty jest dla człowieka rzeczą naturalną zabijać innych prochem strzelniczym, a siebie wódką. Wedle humanitarnego rewolucjonisty jest rzeczą naturalną zabijać innych dynamitem, a siebie wegetarjanizmem... Ibsen wraca do natury przez kanciastą stronę zewnętrzną faktów, Maeterlinck przez wieczystą wewnętrzną stronę bajki. Whitman wraca do niej, „rozglądając się, ile“ — z istniejących pojęć i urzędzeń — „może przyjąć, Tołstoj, rozglądając się, ile może odrzucić. Otóż to heroiczne pragnienie“ (powrotu do natury) „...jest, jak łatwo zrozumieć, pod pewnemi względami podobne trochę do heroicznego pragnienia kocięcia, które chce wrócić do swego ogona. A naturę, jak ogon, zawsze powinniśmy mieć za sobą. W twarz jej nie umiemy patrzeć...“

Oto sąd Chestertona o etyce Tołstoja: Główna różnica między wysoką etyką a sfabrykowaną etyką pedanta jest ta, że zła bajka ma morał, dobra bajka sama jest morałem. I w Tołstoju naprawdę moralne jest tylko to, co przypadkowe, ale nie

roztrąbiane i hałaśliwe brednie Tołstoja nauczyciela, piszczenie o nieprzyzwoitą czystość, wrzeszczenie o nieludzki pokój, rąbanie życia siekaczem na drobne grzeszki, szydzenie z mężczyzn, kobiet i dzieci przez cześć dla ludzkości.

Przychodzi kolej na teorię niesprzeciwiania się złemu:

Ciężko uwierzyć, że człowiek, który tak dobrze czuje sromotę ucisku, gdyby mu dano sposobność, nie powalilby pięścią ciemności.

Zupełnie podobnie traktuje Chesterton i chrystjanizm Tołstoja: Chrystus kochał nie abstrakcyjną ludzkość, lecz ludzi z krwi i kości.

Jest tylko ogłupiającym nonsensem twierdzić, że należy mieć taką samą miłość dla wszystkich ludzi.

Jedenasty szkic omawia Savonarolę, dwunasty Scotta, którego, jak Stevenson, Chesterton uważa za romantyka *par excellence*. Młody wiek więcej myśli o broni i narzędziach, niż o przygodach¹ — i stąd popularność „Robinsona Crusoe”. Dziecko lubi twardość drzewa, mokość wody, „mydlaność” mydła. Scott zaś miał dużo z dziecka i, „jak prawdziwe dziecko, nieraz ignorował różnicę między rzeczami żywymi i martwymi”. Dziś boją się bombastu, on się nie bał. Jego templarjusz (w „Ivanhoe”) mówi: „Złamałem dużo praw i przykazań, słowa nigdy”. Niestety Scott traktował swe bohaterki sztywnie i pedantycznie. Jego ośmnastoletnia dziewczyna „odrzuca oświadczyzny stylem doktora Johnsona”. „Kobieta, jak dla większości ludzi jego czasu, nie była dla Scotta jednostką, była instytucją — toastem, pitym w jakiś czas po toastach na cześć Kościoła i króla”. Ale „zdolność ocenienia Scotta bodajże można zrobić probierzem dekadencji.” W tem zdaniu mieści się sąd Chestertona o własnym pokoleniu, bo w dzisiejszej Anglii Scott jest prawie zupełnie zapomniany. Ostatnim — poza Chestertonem — krytykiem, który naprawdę odczuwał jego romantyczne piękno, był Andrew Lang, urodzony w r. 1844...

Jeszcze o jednym dziele Chestertona trzeba koniecznie wspomnieć zarówno ze względu na jego odrębny charakter, jak ze względu na popularność. „Człowiek wiecznotrwały” wyszedł we wrześniu r. 1925 i do stycznia 1926 doczekał się czwartego wydania.

¹ Na krótko przed oddaniem niniejszej książki pod prasę miałem przypadkowo sposobność stwierdzić trafność tej uwagi. Z moim sześciolatnim synkiem, rozwiniętym mniej więcej na swój wiek normalnie, zrobili krewni, u których przez jakiś czas przebywał, ciekawy eksperyment. Przeczytali mu w ciągu paru tygodni całego „Pana Tadeusza”. Naturalnie próbowałem zbadać, co w umyśle dziecka pozostało z tej przedwczesnej nieco lektury. Otóż przedewszystkiem „scyzoryk”, „kropidło”, „brzytewka” i t. p. Lecz największe wrażenie zrobił — szponton, zapewne dlatego, że to broń podwójna: („Szponton jest to zarazem dzida i siekiera”).

Powstanie swe zawdzięcza niewątpliwie „Historji świata“ Wellsa, której autor w przedmowie oddaje dość dwuznaczną pochwałę:

Ponieważ niejednokrotnie wypowiedziałem inny pogląd na historję niż p. H. G. Wells, tem słuszniej jest, abym na tem miejscu pogratulował mu odwagi i wyobraźni konstrukcyjnej, które towarzyszyły mu przez cały ciąg jego rozległego, różnorodnego pod względem przedmiotu i niezwykle zajmującego dzieła. Lecz jeszcze bardziej tego, że stwierdził prawo amatora do użytkowania w miarę możności faktów, których dostarczą specjaliści.

Zawarta w tych grzecznych słowach krytyka spada części i na własną książkę Chestertona. Jest to rodzaj dziejów ludzkości, swoiście ujętych. Wells ufał ślepo nowoczesnej nauce, a za główną siłę twórczą w rozwoju świata uważał socjalizm. Chesterton stanął przeciw paleontologom i prehistorikom po stronie tradycji religijnej, a za decydujący czynnik uznał religję. Błędów faktycznych Wellsa uniknął, nie wdając się w szczegóły i poprzestając na bardzo ogólnym zarysie dziejów. Kierując się zdrowym rozsądkiem, sprowadził do absurdu szereg pseudonaukowych darwinistycznych dowolności. Poszedł jednak za daleko. Jeżeli przy jego precyzji rozumowania i bystrości łatwo unicestwić cały szereg fantastycznych teoryj o „nieodkrytem jeszcze ogniwie“ (t. j. istocie, stanowiącej przejście między małpą a człowiekiem), o człowieku jaskiniowym i t. p., to kampanja przeciw prehistorji wogóle nie jest równie łatwa do wygrania. O wiele szczęśliwiej wojuje Chesterton z dziwną umiejętnością, którą nazywają „religią porównawczą“.

W dalszych częściach książki dużo myśli trafnych i świetnych, lecz koncepcja układu dziejów świata wedle „pięciu śmierci wiary“, t. j. pięciu herezj i ruchów antychrześcijańskich oraz reakcyj na nie, jakkolwiek głęboka i oryginalna, cierpi na właściwą Chestertonowi skłonność do zestawiania rzeczy nierównomiernej wagi. Owemi pięciu ruchami są: herezja arjańska, herezja albigensów, sceptycyzm odrodzenia, filozofja encyklopedystów i filozofja Darwina...

Wartość książki polega niewątpliwie na szczegółach, jak cały szereg trafnych ustępów o człowieku przedhistorycznym, jak wspaniałe ujęcie wojen punickich i różne wycieczki polemiczne przeciw nielogicznościom wrogów chrześcijaństwa.

VII.

Poglądy społeczne Hilarego Belloca są prawie zupełnie identyczne z poglądami Chestertona. Natomiast zachodzą między obu pisarzami poważne różnice co do stylu i co do uprawianych rodzajów twórczości.

W r. 1924, kiedy wciąż jeszcze trwała nerwowo prowadzona dyskusja nad „Żydami“, książką, którą najnieślusniej uczuł się dotknięty naród wybrany, ukazał się feljeton pisarza o nazwisku, trącącym na kilometry Starym testamentem, mianowicie Filipa Guedalla. Autor usiłował stanowczo Belloca obniżyć i ośmieszyć, a silił się tylko na ubranie swego szyderstwa w dobroduszenie kulturalną formę. Pisał pod tytułem „P. Belloc — panorama“ i, zaznaczywszy na wstępie, że autor „Żydów“ jest „nie tylko prorokiem, lecz i procesją“, przedstawił go ze względu na jego wielostronność jako całą grupę ludzi:

Naprzód... idzie poeta liryczny, wygrywający melodie, wyjątkowo dyskretne w tonie i regularne w rytmie, na złość najlepszym — a może najgorszym — współczesnym wzorom. Za tą smukłą i zamyśloną postacią idą dwie zupełnie różne odmiany poety. Jedna z nich, o wiele cięższy dżentelmen, wytrwale a rozgłośnie śpiewa chóry pijackie z widocznym uprzedzeniem geograficznym na rzecz wiosek hrabstwa Sussex, podczas gdy jego przyjaciel, osoba o cienkich wargach, prawie ponura, zwraca się w rymowanej satyrze przeciw profesorom i politykom. Dalej wala drogą czwórkami zwarte szeregi prozaików. Dziennikarz przepycha się przy użyciu łocki naprzód i oskarża — czasem głosem nieco przeraźliwym — polityków o to, że są Żydami, i Żydów o to samo przestępstwo; niezwykle wymowny historyk deklamuje z namaszczeniem i z lekkim, ale wyraźnym francuskim akcentem o rewolucji; geograf robi mapki rzymskich dróg oraz pasm górskich i porównywa swe notatki z notatkami historyka; dobrze znany znawca sztuki wojennej wyklada jej podstawy wyjaśniającym

tonem mającego w każdej kwestji wyrobione zdanie nauczyciela, który usiłuje głuchemu uczniowi, miernie uzdolnionemu do matematyki, wbić w głowę szczególnie ciężkie twierdzenie trygonometryczne. Jest tam i powieściopisarz, czy coś w tym guście, a nawet... ekonomista. Nieco bałamutny polityk z doskonałym darem robienia aluzji osobistych piętnuje nadużycia, jakie mu wpadną pod rękę; a gdzieś wśród hufca idzie po krzywych liniach swej nieregularnej drogi eseista. Ale czuje się, że inni patrzą na niego jako na literata nieco z góry... Nie mam pretensyj, aby ten home-rycki katalog był wyczerpujący. Opuściłem artylerzystę, wybitnego archeologa, cierpliwego wydawcę pism pośmiertnych po p. Lambkinie i ową wymowną encyklopedję, co swego czasu głośnem wołaniem torowała sobie drogę po „Ścieżce do Rzymu“.

Jest tu nieco złośliwej przesady. Naogół jednak Belloc rzeczywiście jest tak wszechstronny. Nie będę silił się na szczegółowy przegląd jego twórczości. Jako poeta liryczny Belloc odznacza się głębokiem odczuciem przyrody. Nie spotykamy się u niego z namiętными wybuchami. Chętnie marzy o cichym wiejskim domku w ukochanem hrabstwie Sussex, gdzieby spokojnie słuchał miejscowych pieśni i opowiadań, przechadzał się po wybrzeżu morskiem lub po lesie i pił „z ludźmi, co byli chłopcami, gdy on był chłopcem“. Wedle słów Harolda Williama „osiąga wyższy poziom tylko wtedy, gdy go natchnie jeden z jego wielkich tematów — Sussex lub piwo“. Śpiewki pijackie Belloca nawiązują do starej tradycji angielskiej i stanowią punkt styczny z Chestertonem.

Barwne i żywe opisy podróży, urozmaicane często wprowadzaniem ciekawych postaci i rozmowami, przypominają nieco *Reisebilder* Heinego, lecz wolne są od jego złośliwości i od jego wybuchów sarkazmu.

Zbiory szkiców, ogłaszane pod charakterystycznymi tytułami *On anything* („O wszystkim“), *On something* („O czemś“), *On nothing* („O niczem“), dostarczają na każdym kroku dowodów nadzwyczajnej zdolności Belloca do lekkiego gawędzenia na różne tematy, a nieraz zupełnie bez tematu i treści. Wartość stanowi tu wykonanie. Oto przykład: Ktoś opowiada autorowi, że szedł malowniczą drogą ku pięknemu

miastu. Zapoznał się z jednym z mieszkańców, a ten zaprosił go na obiad, wzywając wedle miejscowych zwyczajów, aby sam zadysponował sobie potrawy i napoje. Uczyniwszy za-
dość tej prośbie, opowiadający wykapał się i w wybornym humorze wszedł do jadalni. Tu gospodarz oznajmił mu, że prawo gościnności w jego ojczyźnie wymaga, aby gość nie miał żadnych zgryzot i kłopotów, więc złożył na rzecz przy-
bysza w Banku Angielskim dziesięć tysięcy funtów. O ile ktoś nie chce przyjąć takiego daru, rzuca się odpowiednią ilość złota do rzeki. Wszystko to naturalnie spotęgowało wesoły nastrój opowiadającego. Lecz zanim skosztował ostrego i francuskiego wina, oziębionego ściśle do 35° Fahrenheita — zbudził się. Przychodzi więc do autora ze skromnym pyta-
niem: Co zrobić, aby się to wszystko wróciło?

Trudno o prostszy pomysł, a i oryginalność jest dość wątpliwa. Czyta się jednak podobne drobnostki Belloca z prawdziwą rozkoszą, podziwiając naturalność i szczęśliwy dobór szczegółów. One też stały się podstawą popularności autora, torując drogę jego poważniejszym utworom.

Od początku działalności literackiej pociągała Belloca historia, zwłaszcza jako szczerego, pełnego zapału demokratę i z pochodzenia Francuza — wielka rewolucja. Poświęcił jej cały szereg studjów. Tytuły „Danton“, „Robespierre“, „Marja Antonina“ mówią za siebie. Belloc maluje wypadki bez niesamowitego rozmachu Carlyle'a, ale równie wyraziście. Jest prawdziwym artystą i umie z sytuacji historycznej wydobyć *maximum* efektu. Przedstawiając koniec Marji Antoniny, wywołuje bardzo silne wrażenie przez to, że raz po raz przenosi czytelnika z Paryża do obleżonej Maubege i na pole bitwy pod Wattignies. Lecz nie tylko chęć osiągnięcia efektu podsunęła mu taką metodę. Przy jej pomocy uwydatnia wy-
borne organiczny związek między losem królowej a wypadkami wojennymi. Carlyle zachwycał się wielkością zdarzeń, o których opowiadał stylem epickim, rozgrzanym czasem do liryzmu. Lecz przeważnie wcale nie silił się na ich wyjaśnie-

nie i na ustalenie związków przyczynowych. Jego „Rewolucja francuska“ to szereg wspaniałych, wbijających się w pamięć obrazów. Jako całość jest mętna. Belloc stara się być głębszym. Charakteryzuje wybitne osobistości i grupy polityczne, docieka motywów postępowania, analizuje operacje strategiczne i umie zwykle dać dostateczne wyjaśnienie, dlaczego pewne wypadki zaszły.

Zawodowi historycy zarzucają mu niedokładności. Nie mogą zapuszczać się w roztrząsanie tych oskarżeń, nie czują się zresztą nawet do tego powołanym. Ale jeżeli nawet tu i owdzie znajdzie się szczegół mylny, nie wpływa to na syntetyczne koncepcje Belloca, które epokę wielkiej rewolucji naprawdę oświetlają i czynią zrozumialszą.

Stwierdza on, że Robespierre wprawdzie uważał się i był uważany za duszę Komitetu Ocalenia Publicznego, ale w gruncie rzeczy nią nie był, gdyż pod szatą Brutusa krył się umysł zbyt słaby i płytki, a prawdziwego wpływu w Komitecie najwięcej posiadał Carnot, jednostka o potężnej woli i zdolnościach, jakby stworzona nato, aby terorem wewnętrznym i nadludzkimi wysiłkami na polach bitw uchronić Francję od zagłady. Najnowsze badania francuskie dają temu pogładowi silne oparcie.

Syntezań niejako studjów Belloca nad epoką jest niewielka książeczka, wydana w r. 1911, p. t. „Rewolucja francuska“ (*The French Revolution*). Zawiera tylko zarys wypadków, uzupełniony ich dość ogólną analizą oraz sylwetkami głównych bohaterów. Lecz właśnie dzięki temu, że autor zbyt nie wdaje się w szczegóły, dziełko zaleca się treściwością i jasnością, może też laikowi oddać nieocenione usługi, a i specjalista powinien się z nim zapoznać.

Belloc ma dużo temperamentu historyka, który umie przenieść się w przeszłość i roztrząsać ją bezstronnie, bez uprzedzeń i bez ustawicznej myśli o własnych czasach. Dość rzadko tylko spotykamy się u niego z zestawianiem stosunków i problemów rewolucyjnej Francji z obecnymi. Jeżeli

jednak to się zdarza, daje czytelnikowi doskonały wgląd w zapatrywania autora. Tak np. Belloc wyraża się, że Marat działał, „jak w naszym społeczeństwie działałby szaleniec, którego obłądem jest, powiedzmy, kolektywizm lub prawo własności, myśląc o swej jedynej tezie, powtarzając ją przeraźliwym głosem i piniąc się przytem“. Jasno widać, że Belloc nienawidzi obu skrajnych sił, panoszących się w dzisiejszej Anglii i wogóle w świecie cywilizowanym, kapitalizmu i socjalizmu. Jak Chesterton, widzi jedyne ocalenie w rozdrobnieniu własności. To znów, mówiąc o Robespierze i nazywając go, jak Carlyle, nieprzedajnym, dodaje mimochodem: „A być politykiem i być nieprzedajnym równa się czemuś, co Kościół nazywa w człowieku heroiczną cnotą“. Ani słowa więcej — lecz łatwo domyślić się, jakie autor ma zdanie o nowoczesnym parlamentarystyce.

Belloc pracuje obecnie nad ogromną historią Anglii i w r. 1925 wydał tom I, w którym dochodzi do podboju normandzkiego. Zwraca baczną uwagę na kwestje religijne i ekonomiczne. Jego przypuszczenia co do liczby ludności za czasów anglosaskich wywołały ataki paru historyków i ożywiały dyskusję.

O ile opisy podróży Belloca i jego wdzięczne, a prawie beztreściwe szkice przesyczone są dobrodusznym, pozbawionym żółci humorem, o tyle w powieściach panuje niepodzielnie satyra polityczna i społeczna — tem skuteczniejsza, że ujęta w dyskretną formę. Akcja i charakterystyka są tu rzeczami zupełnie podrzędnymi.

Od beletrystycznych utworów Chestertona różnią się te powieści bardzo poważnie. Belloc czasem czyni punktem wyjścia jakiś szczegół fantastyczny, ale poza tem jest bliższy rzeczywistego życia. Jego ironja odznacza się subtelnością. W „Emanuelu Burden“ (1904) posługuje się on z wielkiem powodzeniem sztuką, która u nas stanowiła główną przyczynę powodzenia „Podfilipskiego“. Ubiera opowiadanie w szatę biografii, pisanej przez człowieka mocno naiwnego, który

wprawdzie ceni bardzo wysoko samego bohatera, uczciwego angielskiego kupca starej daty, ale wyraża się z równym, często z większym szacunkiem o szeregu osób, wciągających Burdena podstępnie w typowo oszukańcze przedsięwzięcie finansowe w wielkim stylu, aby jego uczciwe nazwisko było magnesem dla łatwowiernych. Rzekomy autor biografii nie orientuje się w szalbieryczym charakterze towarzystwa akcyjnego, w niskich pobudkach popierającej je prasy, wreszcie w charakterach aferzystów, do których należy i własny syn Burdena i zrujnowany lord, chętnie dający się swym wierzytelcom używać za firmę, i kuty na cztery nogi Żyd niemiecki.

Czytelnik naturalnie orientuje się pierwszy, a dopiero po nim sam Burden. Przekonawszy się, jak dał się wyzyskać i na jaki szwank naraził swe dobre imię, wpada w gniew, zachowuje się jak nieprzytomny i ulega wywołanej wzruszeniami chorobie. Biograf kończy: „Uczciwy Anglik i dobry człowiek — szkoda, że nie mogę o nim mówić wznioślejszymi słowami“.

Belloc napisał jeszcze dwie satyryczne powieści „Wybór pana Clutterbuck“ (*Mr. Clutterbuck's Election*, 1908) i „Zmianę w gabinecie“ (*A Change in the Cabinet*, 1909). Widzimy z samych tytułów, że zakres satyry rozszerzył się na życie polityczne. „Zmiana w gabinecie“ jest stanowczo najlepszym ze wszystkich trzech utworów.

Rzecz dzieje się w bliskiej przyszłości, stanowiącej już dla dzisiejszego czytelnika przeszłość (w r. 1915). Baronet Karol Repton zasiada na ławie ministerjalnej, lecz choć cieszy się w parlamencie opinią wytrawnego polityka, najwięcej uwagi poświęca olbrzymim interesom finansowym, w których odgrywa pierwszorzędną rolę. Nabył za bezcen kilka tysięcy akcji towarzystwa, mającego rozwinąć gospodarczo północną Australję. Akcje te, niegdyś rozchwytywane i przepłacane, są obecnie martwym papierem. Ich niski kurs jest czysto teoretyczny, gdyż nikt nie chce kupować. Kwestją więc, która

w danej chwili najbardziej zaprzęta umysł Reptona, jest, jakby kurs wyśrubować i pozbyć się swego zapasu. Ma odbyć się zebranie akcjonariuszów, dykcja zażąda od nich niewielkiej nowej subskrypcji i zgody na budowę kolei, gdyż „z takiej lub innej przyczyny na kolej jeszcze ludzie się łapią“.

Tymczasem Belloc wprowadza swego drugiego bohatera. Jest nim Jerzy Mulross Demaine, młody człowiek o arystokratycznym pochodzeniu i nienagannych manierach, lecz ciężko głupi, a co gorsza, niezgrabny i nieśmiały. Autor demonstrowa teraz wpływ, jaki na bieg angielskiej polityki wywierają operacje finansowe drugiej półkuli. Demaine ożenił się był z córką Amerykanina Bensona, handlującego, odkąd dorobił się pierwszego dziesiątka tysięcy dolarów, „nie rzeczami, jak mniejsi kupcy, lecz cyframi“ — tę myśl znamy już z Chestertona. Stary Benson jest potęgą finansową, ale spotyka go katastrofa. Założył towarzystwo akcyjne, mające na celu stworzyć raj rolniczo-przemysłowy na stokach i u stóp Popokatepetla. Nadeszła chwila podniesienia kursu akcji i wysprzedaży. Benson zamówił u senatora, z którym był zaprzyjaźniony, odpowiednią mowę i wydał stosowne polecenia swym agentom giełdowym. Niestety tego samego dnia złośliwy Popokatepetl wybuchł, mowa nie została wypowiedziana, Benson wskutek katastrofy kolejowej nie mógł odwołać instrukcyj — i stracił prawie cały majątek. Stary rekin giełdowy z pewnością odbije się niezadługo, narazie jednak państwo Demaine są skazani na nędzę, t. j. na 1500 funtów rocznie.

Najbardziej wpływowa kobieta w Anglii, Mary Smith, która już w „Wyborze pana Clutterbucka“ odegrała względem bohatera rolę anioła opiekuńczego, postanawia coś poradzić i prosi premjera o dobrze płatną posadę rządową dla Demaine'a. Wyłania się tedy taka kombinacja: Repton wejdzie do Izby Lordów, ponieważ stronnictwo, będące przy władzy, rzekomo potrzebuje tam wzmocnienia, a Demaine

obejmie jego tekę. Repton nie ma nic przeciw projektowi, jest też gotów złożyć nieodzowny haracz na rzecz funduszu partyjnego. Izba Gmin zabiera mu zbyt wiele czasu, jako par będzie mógł swobodniej zajmować się interesami. Prace przygotowawcze są więc w pełnym toku, pojawiają się w prasie pochlebne notatki o Demainie, on sam na każdym posiedzeniu parlamentu występuje z opracowaniami przez kogo innego interpelacjami — gdy wtem nadchodzą nieprzewidziane zawikłania.

Belloc wprowadza tu pomysł fantastyczny, ale niezmiernie sprytny i efektowny. Teką Reptona była satyryczną fikcją i po ustroju Anglii przychodzi teraz kolej na anatomję. Wedle dołączonej do powieści medycznej rozprawy darwinistycznej człowiek ma po obu stronach głowy poza uszyna zwoje nerwowe, które są jedyną zasadniczą cechą, odróżniającą go od zwierząt. Stanowią bowiem siedlisko „panowania nad sobą i równowagi wewnętrznej, którą stoi społeczeństwo“. Pewnego razu Repton wskutek wadliwego urzędzenia fryzjerskiego krzesła uderzył się dotkliwie w oba miejsca poza uszyna — a były u niego szczególnie czułe, bo „silnie rozwinięte i, jakby zdawać się mogło, żywione niezwykle obfitym dopływem krwi“. Wypadek po jakimś czasie wywołał chorobę, dowcipnie nazwaną *veracititis*.

Nieszczęśliwy Repton zaczyna zachowywać się zupełnie tak, jak ma ochotę, i mówić bez wyjątku wszystko, co myśli. Autor prowadzi go przez cały szereg odpowiednio dobranych, a zupełnie naturalnych sytuacji. Jak w kalejdoskopie, następują po sobie doskonałe epizody ze służbą, z dorożkarzami i szoferami, przyjęcie u Reptona, odpowiedź na interpelację w Izbie Gmin, rozmowa z przestraszonym, a taktownym premierem, bójka na dachu autobusu, wywołana tem, że baronet, zobaczywszy obok siebie zasmolonego robotnika, odezwał się głośno:

„Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego takich wpuszczają do omnibusów!“

Lecz koroną tych epizodów jest zebranie akcjonarjuszów owego towarzystwa, zawiązanego poto, aby podnieść północną Australję. Repton miał dawno przygotowaną mowę, pełną efektownych zwrotów. Przyszłą kolej chciał przedstawić jako energję potencjalną, która zmienia się na kinetyczną, wspomnieć w odpowiednim związku o Cecilu Rhodes i o Nelsonie, zakończyć zaś wierszowanym cytatem na cześć imperjum. Lecz choroba zrobiła swoje. Zapomniał o ułożonych pięknych okresach i zaczął od tego, że idzie tylko o pieniądze. Na podstawie statystyki stwierdził, że akcje kosztowały wszystkich nabywców razem 32 miljonów funtów, a w danej chwili nie są nic warte. Trzeba coś poradzić, trzeba podnieść wiarę w przyszłość towarzystwa. Na to jedyną radą jest owa linja kolejowa.

„Ale przedewszystkiem zdajcie sobie sprawę, panie i panowie, że tej kolei nikt nie będzie budował... Każemy ją wykropkować na mapie; na wszystkich mapach, na szkolnych mapach, na urzędowych mapach. Postaramy się o wstępne artykuły i mowy na jej temat. I o poczciwe, serdeczne ataki na nią. A wte-e-edy — tu zniżył głos do bardzo poufnej pieszczołliwości — „cena akcji zacznie zwolna iść w górę, — o, o, o, prawdziwa cena, moi drodzy — spółakcjonarjusze, cena, po której naprawdę można sprzedać, cena, po której można pozbyć się tego rupiecia“.

Wydał głębokie westchnienie ulgi. „Widzicie teraz? Pójdzie zaraz na 40 szylingów, powinna pójść na 45, może pójść na 60. A wtedy, rzekł z wesołą żywością, nagle zmieniając ton, „wtedy wysprzedajecie djabelnie dobrze, wyładowujecie swój ciężar, pakujecie go na nich. Jest jeszcze spory zapas głupców w tym tłumie, z którego wyście wyszli. Nie będę doradzał — wysprzedacie w chwili, którą uznacie za stosowną. Każdy niech myśli za siebie — i każda także“, rzekł, kłaniając się grzecznie dwom starszym damom w drugim rzędzie krzeseł — „a niech djabeł bierze tego, co się spóźni. Ale wszyscy będziecie mieli coś, nikt nie straci wszystkiego, na co zanościło się przed tygodniem. Większość z was nie osiągnie ceny, po jakiej kupowała, najmniej stracą ci, co kupowali najpóźniej; niewiele zarobi, o ile kupowali niżej dwóch funtów. W każdym razie ja zarobię... Otóż to! Jeżeli to nie jest zdrowy zmysł finansowy, to nie wiem, co nim nazwiemy“.

I budowniczy imperjum zaśmiał się od ucha do ucha — pogodnie, końcowo, z zadowoleniem i ostatecznie, ku osłupieniu wszystkich spojrział

na zegarek, wezwał swego Stworzyciela na świadka, że godzina jest późna, i pośpiesznie wyszedł.

Gdy takie koleje przechodzi ustępujący minister, i przyszły ma swoje przygody. Wybrał się na przyjęcie do pani Smith, ale przewrócił zaraz w przedsionku olbrzymiego wypchanego niedźwiedzia. Zobaczyła to gospodyni i uznała, że niezręczność Demaine'a może mu popsuć karierę polityczną, kazała mu więc jak najprędzej zniknąć. Posłuszny młody człowiek wyszedł bez okrycia i bez kapelusza. Idąc bezmyślnie przed siebie, zapuścił się w ubogą część Londynu. Zaciągnięto go przemocą do jakiejś nory, obrabowano, obdarto i natomiast ubrano w łachmany. We fraku budził szacunek i pozostawał pod opieką władz bezpieczeństwa, teraz wydaje się im niebezpiecznym ptaszkiem. Wystraszony, ucieka przed policjantem i chowa się na okręcie, który odplywa — na szczęście tylko do jednego z angielskich portów. Kapitan nie wątpi, że ma do czynienia ze złodziejem, i każe Demaine'a stosownie do tego traktować.

Premjer jest w prawdziwie tragicznem położeniu. Repton, jak mu się wydaje, oszalał i urzęda wciąż gorszące sceny. Demaine zniknęła. Trzeba niesłychanego sprytu i energii, aby uciszyć prasę i nie dopuścić do olbrzymiego skandalu, jaki wisi na włosku. W niezyczliwych dziennikach ukazują się pewne wzmianki, ale ostatecznie premjer dzięki zapobiegliwości swego doświadczonego sekretarza i niedługiemu trwaniu fatalnej sytuacji wychodzi zwycięsko, bo Repton zostaje wyleczony, a Demaine odnajduje się wreszcie.

W domu baroneta jawi się amerykański lekarz, który odkrył był i chorobę i lekką operację, potrzebną do jej usunięcia. Repton zgadza się chętnie na użycie lancetu — i odrazu następuje zmiana w jego usposobieniu. Przed operacją zrobił był uwagę, że dr. Scypjo Knickerbocker mówi „albo bestjalskim amerykańskim akcentem, albo jeszcze bardziej bestjalskim australijskim“. Nazwał go też małpą. Ale już po dotknięciu lancetem pierwszego bolesnego miejsca

widać polepszenie. Gładkie frazesy mieszają się jeszcze Reptonowi z wymyślaniami. Po drugim ukłuciu uzdrowiony zaczyna mówić — narazie słabym głosem i bez związku :

„Najwyższe możliwe uznanie... Samo moje stanowisko publiczne... dostateczna nagroda... jest w swoim rodzaju ogniwem między prowincjami... nasze wielkie imperjum... córka... córka... córka“ (mowa o Ameryce)
 „...narody...“

Po pięciu minutach milczenia baronet przychodzi zupełnie do siebie i wypowiada gładko myśli, które już poprzednio tłoczyły mu się na usta dzięki uleczonym zwojom nerwowym, ale nie mogły przybrać skończonej formy. *Veracititis* minęła. Tylko Repton jest trochę zły, że Amerykanin wziął za lekką operację aż 100 funtów.

Tymczasem Demaine'a pod strażą wysadzono na ląd w Parham, ale uciekł marynarzom i wpadł do pierwszego lepszego domu. Szczęśliwym trafem mieszkał tam znajomy, który usunął się był z życia politycznego i pisał — jak sam Belloc — książkę o Żydach. Gospodarz sprytnie wywiódł w pole szukającą zbiega policję, dostarczył mu tymczasowego ubrania i odesłał go do Londynu. Publiczność uraczono historją, że Demaine używał sportu wioślarskiego, że w tym czasie zerwał się wiatr, który go zaniósł na morze, że załoga cudzoziemskiego okrętu obeszła się brutalnie z desygnowanym ministrem, lecz wybawiła go łódź angielska. Aby Demaine nie zapomniał tego fantastycznego opowiadania, przyjaciel z Parham dał mu je na piśmie, przyozdobione sentymentalnemi szczegółami w stylu reporterskim.

Następują dwie uroczyste sceny. Demaine po odbyciu staroświeckiego ceremonjału, który jest przywiązany do jego nowego stanowiska, zasiada na ławie ministerjalnej. Gdy to dzieje się w Izbie Gmin, Repton wygłasza dziewiczą mowę w Izbie Lordów. Mowa ta jest znów satyrycznem arcydziełem Belloca, gdyż nowy arystokrata bierze za temat szerzone przez przewrotnych dziennikarzy zarzuty, że kupczy się miejscami w dostojnem zgromadzeniu. Przeprowadza więc staty-

stykę. Liczba lordów nie jest stała i każdy rząd mianuje ich dowolnie. Stąd Belloc w złośliwej przesadzie podaje przez usta Reptona cyfrę 1.500. Odpadają naprzód członkowie *ex officio* (t. j. pewni wysocy urzędnicy), biskupi i „parowie kolonialni” — naturalnie i ci są fantazją autora. 280 jest kretynów, małoletnich lub nieuleczalnie chorych. Ponad 80 nigdy nie bierze udziału w obradach. Pozostaje więc 1.100. Z tych 512 odziedzyczyło tytuły po ojcach — i t. d. Tą metodą lord Repton, nie zapominając o dziesięciu kolegach, będących chwilowo w więzieniu, redukuje wreszcie cyfrę tych, do których mógłby odnosić się zarzut, do ośmdziesięciu.

„...Ani pięciu procent! Jeżeli można użyć śmiałej przenośni, 13 pensów z funta! Wedle takiej jedynie proporcji nawet gdyby owe pogardy godne fałsze zawierały — jak go nie zawierają — ziarno prawdy, ma zaiste być sądzony nasz ogół! Ale, milordowie, kimże jest tych ośmdziesięciu ludzi, jeżeli nie obrażam ich, mieszając ich w tok moich wywodów?”

I Repton wylicza, taktownie wstrzymując się od dodawania nazwisk, zasługi kilku w ostatnich czasach mianowanych parów, poczem piętnuje oszczerców i kończy przepisowo cytatai. Zabierają głos jeszcze inni członkowie dostojnego ciała, a więc lord Methlinghamhurst, którym jest p. Clutterbuck z poprzedniej powieści; po nim księżę Battersea — cudownie nazwany od robotniczej dzielnicy Londynu, przez co jego tytuł przywodzi na myśl i niskie pochodzenie i wyzysk mas pracujących. Księżę wymawia s jak *th*, a więc zapewne jest Żydem z pochodzenia. Wreszcie wygłasza mowę także sędziwy lord Ballymulruck, przeciw którego osobie zwracały się złośliwe oskarżenia — i Izba Lordów, znużona niezwykle długiemi, bo do trzech kwadransów dochodzącem trwaniem posiedzenia, kończy obrady.

Zadowolony premier razem z Demainem udają się do pani Marji Smith. Między jej gośćmi jest i żydoznawca z Parham, lecz zyczliwie milczy.

Ba, jego przyjaźń poszła dalej. Ujrzał, że gdy wstawano od stołu, Demaine, wzięwszy przez omyłkę koniec obrusa za swą chustkę, pakuje go nerwowo do kieszeni.

„Uważaj, Dimmy!“ odezwał się.

Dimmy podskoczył, obrus podskoczył z nim razem — a potem nastąpił trzask — głośny trzask tłuczonego szkła i padających świec.

Marja Smith omal nie uczuła się dotkniętą, ale przebaczyła ze względu na uroczystą chwilę.

— — — — —
A na północ od parku, w danej chwili już od dwóch godzin, lord Repton of Giggleswick spał smacznie.

O Bellocu jako o powieściopisarzu możnaby wyrazić się nieco podobnie, jak Chesterton o Karolinie Brontë. Akcja jest groteskowa i daleka od wszelkiej rzeczywistości, postaci doskonałe. Lecz to nie wszystko. Groteska trzech beletrystycznych utworów Belloca, zresztą zupełnie świadoma, daje obraz stosunków skarykaturowany, zasadniczo jednak prawdziwy i trafny, trafny nawet tam, gdzie autor operuje zmyśleniami. W *A Change in the Cabinet* mamy średniowieczny ceremoniał związany z fikcyjną teką, piastowaną przez Reptona, a potem przez Demaine'a, i cyfrę lordów. Naturalnie niema takiego ministerjum i niema 1.500 członków Izby Parów. Atoli są w Anglii przestarzałe urzędy, mające znaczenie tylko wtedy, gdy je piastuje człowiek wybitny. Nawet ilość ministrów jest zmienna. Często zasiada w gabinecie kanclerz księstwa Lancaster, które od wieków przestało tworzyć samorządną jednostkę. Lord pieczętarz nigdy nic nie pieczętuje. A z każdą godnością związane są pewne z normandzkich czasów pochodzące przywileje i uroczyste obrzędy. Co zaś do liczby lordów, to ta również nie jest stała, a ponieważ ministrowie mianowali ich często dla stworzenia sobie większości w Izbie Parów i mianują ich dla pozyskania pewnych ludzi, a czasem poprostu dla otrzymania hojnego daru na fundusz partyjny, cyfra rzeczywiście wciąż rośnie.

Zupełnie analogicznie przedstawia się sprawa owych zwójów nerwowych, zwanych *Caryll's Ganglia*. To godne

Swifta zmyślenie nie potrzebuje chyba obrony. A jeżeli autor mówi, że organ jest szczególnie dobrze rozwinięty u polityków i prawników, niema się także z nim co spierać.

Zaznaczyłem już pewne podobieństwo, zachodzące między „Emanuelem Burden“ a „Podfilipskim“. Wogóle satyra Belloca przypomina polskiemu czytelnikowi Weyssenhofa. I Polak i Anglik nigdy nie używają sarkazmu. Nie jest im to potrzebne, gdyż umieją równie silnie działać spokojną a subtelną ironją. Lekki szyderczy uśmieszek doskonale zastępuje zgrzyty oburzenia. Dla uniknięcia nieporozumień należy dodać, że nie może tu być mowy o wpływie, analogje należy więc przypisać pokrewieństwu organizacji artystycznych obu pisarzy.

Dokładne streszczenie ciekawej książki Belloca o Żydach, która porusza ubocznie cały szereg doniosłych problemów społecznych chwili obecnej, znajdzie czytelnik na innym miejscu niniejszej książki.

Atakowano nieraz Belloca jako historyka, zwalczano jego poglądy społeczne i religijne. Jednej zalety nikt mu nie próbował odmówić. Belloc jest mistrzem języka i stylu. W tym wypadku i Guedalla przyłącza się do ogólnej opinji, usiłując zresztą bardzo sprytnie obniżyć wartość treści przy pomocy hymnów na cześć formy. Przytoczywszy bowiem kilka wierszy z „Marji Antoniny“, kończy artykuł słowami:

Oto tak subtelne użycie prozy angielskiej, oto pewne obchodzenie się z instrumentem, najtrudniejszym do opanowania pomiędzy językami. Kilka stron p. Belloca czyni nas pod tym względem jego dłużnikami. Jest to cenniejsze od jego uczoności, lepsze od jego dowcipu i — o ile można ośmielić się to powiedzieć — donioślejsze od całych jego przekonań.

Cokolwiek Guedalla myśli o przekonaniach Belloca, ma słuszość co do jego języka. Trzech doniedawna było takich mistrzów angielszczyzny. Jeden — z pochodzenia Polak — zstąpił już do grobu. Dwaj inni poważnie różnią się między sobą. Galsworthy jest niesłuchanie czuły na rozwój języka i dba o jego aktualność, którą osiąga często przy pomocy niesamowitych skrótów myślowych i niezwykłych

skojarzeń. Belloc ma w żyłach krew francuską i conajmniej w ćwierci jeszcze jest Francuzem. Stąd jego jasność i prostota. Nie zbiera on kwiatów na niwie *slangu*, nie stroi się w kotyljonowe ordery tanich efektów, lecz wyraża swe myśli z precyzją, pozornie bez pretensyj do ozdobności, używa tropów i figur oszczędnie, wznosząc się dzięki temu właśnie na wyżyny piękna. Umie trzymać wyrazy na wodzy. Język jest dla niego środkiem, a nie celem i nigdy Belloc nie da mu się unieść, jak to zdarzało się np. Carlyle'owi. Przypomina wytrawnego jeźdźca, który panuje idealnie nad pełnej krwi wierzchowcem i jednym drgnieniem mięśni nożnych lub niedostrzegalnym ruchem ręki umie go przywołać do porządku, ale gdy trzeba, rzuca go w cwał łatwością.

Z dbałości o zrozumiałość i przystępność Belloc czasem powtarza jedno i to samo dwukrotnie, lecz zwyczaj ten nie razi, gdyż spotykamy się z nim wyłącznie wtedy, gdy idzie o rzeczy pierwszorzędnej wagi, a nigdy przy mało ważnych szczegółach.

Gdy Belloc rozumuje lub gdy bada przyczyny jakiegoś zjawiska, lubi numerować punkty i zrobił mu z tego zarzut Wells, twierdząc, że podobny system stawia błahe narówni z ważnym; dodał też zjadliwie, że Belloc używa średniowiecznych metod dialektycznych. Zarzut nie był słuszny. Inteligentny czytelnik potrafi zawsze ocenić większą lub mniejszą doniosłość poszczególnych punktów i Belloc zresztą pamięta o tem, aby mu dopomóc. Lepsza zaś systematyczna jasność od mętnej chaotyczności. Prawda, że na dnie konstrukcyj Belloc'a jest logika, umiejętność, która dziś jednemu wydaje się przestarzałą i średniowieczną. Ale jeżeli za taką ją uznamy, to lepiej w tym wypadku stać po stronie średniowiecza. Jest potwornem złudzeniem sądzić, że wszystko, co nowe, to dobre, i że wszystko, co nasz wiek wynalazł lub rozpowszechnił, jest postępem. I Belloc, jak Chesterton, często przed takim postępowaniem przestrzega.

VIII.

Chesterton i Belloc o całe niebo przewyższają Galsworthy'ego duchem obywatelskim. Jeżeli także ironizują i smagają społeczeństwo biczem satyry, to dlatego, że chcieliby je widzieć innem. Shaw'a i Wellsa przewyższają poczuciem rzeczywistości.

Ale i oni są synami swego pokolenia. Ich krytyka ma więcej siły przekonywającej, niż konstrukcje pozytywne. Zwłaszcza można to powiedzieć o Bellocu, który często ogranicza się do potępiania tego, co istnieje, a nie podaje, coby należało stworzyć lub wskrzesić w miejsce potępionych urządzeń. Nie pochodzi to u niego z braku skryzalizowanego *credo*. Tak samo, jak Chesterton, widzi on zbawienie Anglii w powrocie do dawniejszej religijności i prostoty, w uproszczeniu dzisiejszych zbyt skomplikowanych form życia.

Obaj wierzą silnie, że Anglija jakimś cudownym sposobem przeobrazi się w tym duchu. Wiara ta występuje szczególnie silnie u Chestertona, nie brak jej jednak i u Belloc'a. Nie poświęcają natomiast baczniejszej uwagi zagadnieniu, jakim sposobem zaszcześcić społeczeństwu swe zasady i dążenia. Jest to zawsze najsłabszy punkt wszelkich teorii socjalnych.

Shaw rozwiązał trudność — coprawda pozornie — przy pomocy koncepcji swego nadczłowieka, Wells wcale nie kusił się o jej rozwiązanie. Lecz obaj, zwłaszcza Shaw, starali się nawiązać kontakt z masami, głosili swą ewangelję na ulicy. Będąc literatem i myślicielem, Shaw szukał chluby w tem, aby równocześnie być agitatorom.

Chesterton i Belloc są tylko literatami i myślicielami. Chesterton rzuci czasem jakąś myśl praktyczną w czasopiśmie, które redaguje. Belloc czyni to jeszcze rzadziej.

Stąd ich pogląd na świat mógłby przyjąć się i wydać owoce, gdyby znaleźli pełen zapалу zastęp wyznawców, gotowych „iść i nauczać“.

Niestety poza szczupłym kołem znajomych i wielbicieli takich uczniów nie widać. Obaj pisarze cieszą się wśród publiczności czytającej ogromną popularnością. Wydania ich książek następują szybko jedno po drugim. Ludzie bawią się paradoksami, póki nie uczują się niemi znużeni; podziwiają styl i rozkoszują się oryginalnością pomysłów, choć nad niejednym ten i ów pokiwa głową; chwalą precyzję rozumowania — lecz na tem koniec. Owszem, można powiedzieć nawet, że idee Belloca i Chestertona są w Anglii niepopularne. Z jednej strony krytyka stosunków wywołuje uśmiech na уста ludzi, którzy dziś jeszcze usiłują wmówić w siebie i w drugich, że w Anglii wciąż jeszcze dobrze się dzieje, a jeżeli są trudności, to przejściowe. Z drugiej strony dąsają się ci, co widzą zbawienie w ustroju socjalistycznym. Katolicyzm zaś nie trafia do przekonania ani jednym, ani drugim.

Z socjalizmem idee Chestertona i Belloca są w jaskrawej sprzeczności. Słabszy od wywrotowego ruch faszystyczny ma podkład wstrętnej im obom imperjalizmu, stoi zresztą w Anglii przy tradycyjnych instytucjach, które oni uważają za martwe, a przynajmniej za zwyrodniałe. Ostatecznie oba prądy opierają się na nowoczesnej kulturze materialnej, a tej Chesterton i Belloc bynajmniej nie cenią, przeciwstawiając jej wyższy ideał kultury duchowej. Łatwo więc zrozumieć, że dotąd nie znaleźli silniejszego oddźwięku w narodzie.

Czy go jeszcze znajdą? Na to pytanie dość trudno dać odpowiedź. Żyjemy w czasie, w którym kultura materialna przy całym swym ogromnym rozkwicie okazuje się niewystarczającą do uszczęśliwienia ludzkości. Wydała szereg skutków ubocznych, zdolnych nam dostatecznie obrzydzić jej dobrodziejstwa. A w Anglii czuje się to bardziej, niż gdziekolwiek indziej. Słuchając w luksusowym apartamencie

hotelowym boskiego śpiewu, którego tony przynosi usługne radjo — nie cierpiące tak, jak u nas, na chroniczną chrypkę; przechadzając się po wspaniałych ulicach i oglądając jeszcze wspanialsze stroje oraz wystawy sklepowe, zwiedzając olśniewające świątynie sztuki; nawet zatapiając się w czytelni Muzeum Brytyjskiego w dorobek myśli wieków — niepodobna wyzbyć się wrażenia, że jest się na wulkanie. Cały ten dobrobyt, cała ta świetność stoi na zbyt skomplikowanych podstawach, zbyt jest zależna od tysiąca warunków, nad którymi potężna cywilizacja europejska panuje tylko do czasu. W każdej chwili może gdzieś w odległości wielu setek mil popsuć się jedno kółeczko maszyny — i cała odmówi posłuszeństwa. A przytem co krok spotyka się jaskrawe przeciwieństwo bogactwa i biedy, czuje się na sobie zły wzrok nędzarzy... W powietrzu są ciężkie przejścia, które dowiodą, że sama kultura materialna nie może dać szczęścia, nie może być ostoją bytu.

I wtedy może ludzie szukać zaczną pociechy oraz ratunku w ewangelji Chestertona i Belloca.

Zastęp ich literackich naśladowców jest bardzo szczupły. Sztandar katolicyzmu dźierży wysoko Robert Hugh Benson, autor powieści, dramatów i rozpraw religijnych. Trudno jednak rozstrzygnąć, czy zwrot ku katolicyzmowi w jego życiu oraz twórczości zaszedł pod wpływem Chestertona, ewentualnie Belloca.

Plan niniejszego szkicu wogóle wyklucza omawianie pisarzy podrzędnych lub nie mających za sobą jeszcze poważniejszego dorobku, choćby nawet bardzo obiecujących. Nie mogę jednak wstrzymać się od wzmianki o jednym nazwisku i jednym utworze. Mówię o Sheili Kaye-Smith i jej powieści „Upadek domu Alardów“ (*The Fall of the House of Alard*), drukowanej po raz pierwszy w r. 1923, a nadzwyczajnie popularnej. Tematem jest tu rozpaczliwe położenie angielskiej większej własności ziemskiej w ciężkich warunkach

powojennych, a rzecz dzieje się w hrabstwie Sussex, z którego pochodzi autorka. Trzy rzeczy świadczą tu o wpływie Chestertona i Belloca.

Przedewszystkiem spotykamy się z wyraźnemi katolickimi sympatjami. Jeden z członków skazanej na zagładę rodziny szlacheckiej jest pastorem. Duszę jego coraz silniej nurtuje wciąż obawa, że anglikanizm to religja zbyt wygodna i zbyt konwencjonalna, że nie jednoczy tak z Bogiem i nie wyciska takiego piętna na całym życiu, jak katolicyzm, przedstawiony w osobach zacnego lekarza, jego córki, dziewczyny o nieprzebranych zaletach serca i o żelaznej woli, oraz księdza z pobliskiej ubożuchnej parafji. Do księdza tego zwraca się pastor o ostatnią pociechę w chwili skonania.

Drugi z braci Alardów, Gerwazy, przechodzi również na katolicyzm, a nawet wstępuje do klasztoru, którego nie porzuca, gdy wskutek jednoczesnego zgonu ojca i samobójstwa brata spadł nań tytuł baroneta wraz z resztkami świetnej niegdyś fortuny.

Innym sposobem ratuje się z rozbicia jego siostra, Jenny. Gardząc światem błyszczącej nędzy i szlacheckich zabobonów, a ulegając potrzebie uczucia, oddaje ona rękę młodemu, energicznemu farmerowi. Jej imienia nie będzie wolno wymówić w domu ojcowskim — lecz na śmiało wybranej nowej drodze czeka ją płynące z pracy i szczęścia rodzinne zadowolenie. Pójdzie w obce ręce dumny pałac Alardów i rozsypie się ich majątek — lecz skromna farma męża Jenny będzie kwitnąć i rozbrzmiewać wesołym gwarem. Czyż to nie rozdrobnienie własności, w którym Chesterton widzi jedyne ocalenie Anglii?

Trzecim dowodem wpływu jest ujęcie stosunku do Żydów. Najstarszy z braci Alardów, Piotr, po ciężkiej walce wewnętrznej postanowił poświęcić się dla utrzymania w ręku ziemi, wyrzekł się miłości do ubogiej córki lekarza i poślubił bogatą żydówkę, Werę. Autorka w traktowaniu tej postaci

nie okazuje się antysemitką. Starannie jednak zaznacza całym szeregiem rysów zupełną odmienność natury i poglądu na życie, a na małżeństwa mieszane wydaje surowy wyrok, każąc Piotrowi skończyć samobójstwem. Czyż to nie teoria Belloc'a o „przyjaznem wydzieleniu Żydów ze społeczeństwa“, którą poznamy bliżej ze streszczenia książki na ten temat?

DWIE OSTATNIE SZTUKI SHAW'A.

(*Back to Methuselah i Saint Joan.*)

Mało który z wielkich pisarzy umie zdobyć się na to, aby w pewnej chwili zamilknąć. Czasem niepostrzeżenie nadchodzące wyczerpanie sił twórczych pozostaje tajemnicą dla człowieka, pewnego siebie i przyzwyczajonego do hołdów. Czasem dręczy go przeświadczenie, że jeszcze nie wypowiedział najważniejszej z rzeczy, jakie miał do powiedzenia. Czasem poprostu żyć trzeba. Powstają więc różne „Na polu chwały“. Krytycy nie wiedzą, co z tym fantem zrobić i w drukowanych sądach powodują się kurtuazją, ledwie zlekka zaznaczając usterki, a tylko w prywatnych rozmowach są szczerzy. Publiczność daje wprawdzie zwabić się sławnym nazwiskiem, ale prędko przestaje czytać.

Z Bernardem Shaw'em, który urodził się w r. 1856, jeszcze tak źle nie jest. Nie można twierdzić, że nastąpił u niego starczy zanik talentu. Nie brak w powojennych sztukach świetnych przeblysków. A jednak — *quantum mutatus ab illo!* Wyraźnie można zaobserwować u niego trzy wady, cechujące właśnie pisarzy, którzy zaczynają się przeżywać.

Na jedną zwraca uwagę sam Shaw. Dołącza on zawsze do wydań swoich sztuk obszernie wstępy, wtajemniczając czytelnika w genezę utworu i nieraz naprawdę kładąc mu jego ideę „łopatą do głowy“. Otóż we wstępie do wydanej w r. 1920 fantazji dramatycznej „Zpowrotem do Matuzala“ zestawia ją z „Człowiekiem i nadczłowiekiem“. Jak mówi,

będąc w r. 1901 w pełni sił umysłowych, nierozważnie ozdobił sztukę i jej niedramatyczne uzupełnienia taką obfitością dowcipnych paradoksów i scenicznych czy niescenicznych efektów, „że nikt nie zauważył nowej religii w centrum tego intelektualnego wiru“. I przyzna autorowi słusność, kto „Człowieka i nadczłowieka“ widział na scenie lub czytał. Równie trafnym jednak jest sąd Shaw'a o Shawie czasów obecnych, streszczający się w wyrazach: „Mało już piasku w mej klepsydrze; przesadna szczodrość r. 1901 przeszła z wiekiem w gadulstwo r. 1920“. Rzeczywiście błyskotliwy satyryk stał się na starość okropnym gadułą. W tym samym utworze wypracowuje ten sam motyw kilkakrotnie pod różnemi postaciami, a za każdym razem popada w rozwlekłość i upaja się szmerem własnej wymowy — niczem Polonjusz.

Autokrytyką Shaw'a uderza bystrością. A jednak nie ustrzegł się on drugiej typowej starczej wady literackiej — nietylko z irytującą pewnością siebie rozcina różne węzły gordyjskie, bo to zawsze robił, ale jego pewność siebie jeszcze spotęgowała się i stała bardziej dogmatyczną. Przy tem wszystkim, choć może zdaje mu się, że umysł zachował dawną giętkość, popadł w petryfikację pojęć. Umie logicznie i bystro rozumować, ale już tylko w dawnych kierunkach. Nowych dróg nie odkryje, choćby stał o krok od miejsca, gdzie się odgałęziają.

Wrodzona trzeźwość i zmysł satyryczny dyktowały mu nieraz dobroduszne szyderstwa, jeżeli nie pod adresem socjalizmu, to przynajmniej pod adresem socjalistów. Dziś ta zdolność krytyki zanikła. Wytłumaczył sobie Shaw lub zdołano mu wytłumaczyć, że wszelkie okropności bolszewickiej Rosji są tylko potwarzami kapitalistycznego świata — i myśl tę ze starczym uporem powtarza do znudzenia w każdym swym powojennym wstępie. We wstępie do „Świętej Joanny“ zestawia Dziewicę Orleańską i Washingtona z Leninem, oburzając się na to, że dzieci uczą się zawsze historii współczesnej w kłamliwym przetworzeniu. Na pierwszych wydaw-

nictwach *Fabian Society* można wyczytać motto: „Trzeba czekać na właściwą chwilę tak, jak Fabjusz czekał cierpliwie w walce z Hannibalem, choć wielu ganiło jego zwleknięcie; ale gdy czas nadejdzie, trzeba uderzyć z całej siły, jak Fabjusz, o ile całe czekanie nie ma być bezsensownem i daremnem“. Później wyrazy te znikły z okładek. Angielski socjalizm prawie zupełnie wyrzekł się myśli o gwałtownym przewrocie. Coraz nowe zdobycze utwierdzały w jego zwolennikach wiarę w ewolucję. Stąd Hamon, analizując socjalistyczne *credo* Shaw'a, dochodzi do wniosku, że nie można go uważać za marksistę. Obecnie jednak autor „Zpowrotem do Matuzala“ orzekł, że w Rosji godzina wybiła. Zaimponowała mu siła uderzenia bolszewików. Wyrzekł się swej herezji i wrócił do prawowiernego marksizmu. Jak pierwszy lepszy niewykształcony „towarzysz“, uznał, że wszystko, co burzuje mówią lub piszą, musi być kłamstwem, a wszystko, na czym socjalizm przylepił swą etykietę, musi być słuszne, etyczne i zbawienne. Pogrzebał dawne subtelne wątpliwości, stał się dogmatyczny.

W związku z pewnością siebie jest trzecia starcza wada — idąca w parze z konserwatyzmem pojęć postępowość w wyborze form i przedmiotów. Shaw był zawsze bystrym obserwatorem i satyrykiem współczesnego życia, był mistrzem techniki teatralnej. Tymczasem pierwszy z jego ostatnich utworów jest niesceniczną fantazją w dialogowanej formie, obejmującą przeszłe i przyszłe dzieje ludzkości. Jak średniowieczne misterja zaczynały od stworzenia świata, a kończyły sądem ostatecznym, tak „Zpowrotem do Matuzala“ obejmuje skromny okres 36 tysięcy lat, gdyż pierwszy obraz rozgrywa się w raju przed grzechem pierworodnym, ostatni „tak daleko, jak myśl sięgnąć może“, w r. 31920 chrześcijańskiej ery.

Drugi nowy utwór jest dla odmiany dramatem historycznym, a może raczej historjozoficznym. Wprawdzie Shaw puszczał się już na tematy z dziejów, lecz w podobnych

próbach największą wartość zawsze miało to, co w obce środowisko i w odległy moment przeniósł z otaczającej rzeczywistości. Juljuszowi Cezarowi — zresztą kpiąc poprostu z wszelkiego prawdopodobieństwa — dodał do boku fikcyjnego sekretarza Brytańczyka, godnie reprezentującego angielską ciasnotę pojęć i angielskie przywiązanie do form. Napoleonowi włożył w usta paradoksalne, ale poczęści trafne uwagi o charakterze narodowym swych rodaków. Na dwór Katarzyny II wprowadził pysznego oficera angielskiego — Semiramida Północy początkowo radaby kapitana Edtastona mieć kochankiem, ale ostatecznie wyraża żal, iż nie dostanie go na okaz do muzeum, które właśnie zakłada. Otóż, jak zobaczymy, w „Świętej Joannie“ znowu jest coś analogicznego, ale niestety daleko więcej historjoficznej gadaniny o wątpliwej wartości.

Z tem wszystkim czyta się obie sztuki z przyjemnością. Późniejsza stoi o wiele wyżej od wcześniejszej i święciła nie małe triumfy sceniczne, kto zaś dobrze zna dawnego, młodszego Shaw'a, ten wciąż czeka z upragnieniem na błyski jego intelektualnej szpady — i nie doznaje zawodu, a po każdym zwrocie, przypominającym lepsze czasy, może sobie z uśmiechem zacytować Szekspira: „Zawsze ten sam stary Kassjusz“.

I.

Pomysł malowania idealnego społeczeństwa na tle czyto fikcyjnych krajów, czy przyszłości, nie jest nowy. W w. XIX po rozpowszechnieniu się doktryny socjalistycznej często podejmowano odwieczny temat specjalnie w jej duchu i snuto obrazy przyszłego raj, nie zapominając o żadnym szczególe programu, a zapominając tylko o jednym — o naturze ludzkiej.

Prostoliniijny chrześcijański pogląd na świat uczył niegdyś każdego z nas w katechizmie, że wola ludzka jest skłon-

niejsza do złego, niż do dobrego. Natomiast przedstawiciele skrajnych doktryn społecznych zawsze kładą nacisk na zasadniczą dobroć natury ludzkiej — bo z chwilą, gdy uzna się, że ludzkości trzeba urządzeń, któreby były wędzidłem dla złych popędów, porządek socjalistyczny staje się niemożliwy. Najlepszym dowodem — Rzeczpospolita Sowieć, będąca piekielnie złośliwą parodią ustroju socjalistycznego.

Wiara w dobroć natury ludzkiej jest piękna, czasem wzruszająca, ale naiwna — i taką była już u Rousseau'a. Shaw, który mimo głębokiego umiłowania zasad socjalistycznych, nie grzeszył dawniej nigdy zwyczajem *iurare in verba magistri* i ciasnotą pojęć, zdawał sobie z tego poniekąd sprawę. Wprawdzie nigdy prawie nie oskarżał ludzi i wołał zwracać się przeciw urządzeniom, ale wiedział też, że gdyby ludzie rzeczywiście byli z natury bezwzględnie dobrzy, nie mogliby wytworzyć złych urządzeń. Musiał dużo czasu poświęcić rozmyślaniom, jak dla wprowadzenia w życie programu socjalistycznego zaradzić uniemożliwiającej go niedoskonałości człowieka. Ostatecznie zdołał pogodzić rzeczywistość z doktryną: doszedł do poglądu, że człowiek jest zasadniczo dobry, ale narazie tylko potencjalnie. Jego natura musi podnieść się drogą ewolucji. I dał na trudne swoje pytanie w *Man and Superman* odpowiedź: Trzeba wyprodukować nadczłowieka. Ale wówczas przeszła niepostrzeżenie, jak sam słusznie stwierdził, dzięki bogactwu zbytecznych, choć efektownych szczegółów.

Wróciwszy do starego tematu, Shaw nietylko ją powtarza, ale i maluje samego nadczłowieka, przedstawiając nadto rzucone na ekran przyszłości stadja jego genezy. Dodaje jeszcze potrzebne ze względu na logikę koncepcji momenty z przeszłości.

Skądże weźmie się nadczłowiek? Shaw wpada na pomysł, charakterystyczny ze względu na jego sędziwe lata i na jego pewność siebie: Oto poziom intelektualny, pozwalający rozsądnie patrzeć na sprawy tego świata, daje tylko —

wiek. Niestety umieramy właśnie wtedy, gdy zbliżamy się ku doskonałości, ku ideałowi nadczłowieka. A więc trzeba koniecznie żyć dłużej. Adam i Ewa mieli pierwotnie być nieśmiertelni. Matuzal żył 960 lat. Jakim sposobem „wrócić do Matuzala“, a może jeszcze poza niego, do pierwszych rodziców?

Nasuwa się naturalnie pytanie, dlaczego Adam i Ewa utracili nieśmiertelność. Na teorię grzechu niema miejsca u Shaw'a, który prawie nigdy nie wprowadza czarnych charakterów i robi Szekspirowi zarzut z ich malowania, a złe czyny ludzkie, jak już mówiłem, składa zwykle na karb złych urządzeń społecznych. Zresztą biblijna historia upadku człowieka jest zasadniczo sprzeczna z wiarą w dobroć jego natury. Shaw daje własną odpowiedź w pierwszej części swej fantazji, dziejącej się w raju i w paręset lat później gdzieś w jego bliskości. Pierwsi rodzice znużeni są myślą o wiecznym byciu. Wąż podsuwa im myśl, aby nieśmiertelność indywidualną zamienić na gatunkową. „Wybierz dzień śmierci“, mówi do Adama, „i postanów sobie w ten dzień umrzeć. Wtedy śmierć nie będzie już niepewna, lecz pewna. Każ Ewie ślubować ci miłość aż do twej śmierci. Wtedy miłość nie będzie już niepewna“.

Utrata nieśmiertelności była więc aktem woli. Ta sama wola zdolna jest życie przedłużyć. Wpadają na ten pomysł dwaj bracia, filozof i biolog, żyjący w naszych czasach (część druga), a doszedłszy do zgody, że człowiek może dojść do lat 300, ogłaszają wynik swych badań jako „ewangelję braci Barnabas“.

Część trzecia dzieje się w 150 lat później — naturalnie już przy nowym ustroju świata i Anglii. Ludzie zwyczajni pracują do pewnego wieku, a osiągnąwszy go, żyją dalej na koszt społeczeństwa. Ale dwie osoby, występujące w poprzedniej części, wzięły sobie do serca ewangelję długowieczności i uwierzyły w nią. Byli to pastor i pokojówka. Doszedłszy do pewnych lat, każde z nich poczuło, że młod-

nieje, że więc widocznie ma żyć lat trzysta. Mieli trudności z władzami, które nie chciały im wierzyć, iż naprawdę tak długo żyją, i uważały ich za oszustów, chcących mimo młodego wieku uchylić się od pracy. Z tego powodu parokrotnie symulowali śmierć wskutek wypadku i rozpoczynali nową karierę, a dzięki nabytej mądrości stale piastowali w Rzeczypospolitej Angielskiej wysokie stanowiska. Pastor w danej chwili jest arcybiskupem, pokojówka ma tekę spraw wewnętrznych. Ich historia wychodzi najaw — postanawiają więc zawrzeć małżeństwo, aby rasa długowieczna nie zginęła.

Część czwarta przenosi nas w świat roku 3000. Rasa długowieczna mieszka na wyspach brytyjskich, poza tem ognisko cywilizacji jest na Wschodzie. Stolicą Rzeczypospolitej Angielskiej jest Bagdad, sąsiednia Turanja jest monarchją, w której włada wielki wojownik Kain Adamson Karol Napoleon. Ludzie zwyczajni toną w starych błędach — w militaryzmie, w kapitalizmie, w politycznej szarlatanerii. Do długowiecznych udają się czasem, aby zasięgnąć wyroczni. Dłużej w ich kraju przebywać nie mogą, bo zabija ich zniechęcenie do własnej nędzy i słabości. Ale rasa nadludzi myśli o kolonizacji reszty świata, a ponieważ mieszkańcy tej reszty są źli i nieszczęśliwi, ma zamiar bez skrpułów wytepić ich doszczętnie.

Część piąta nosi tytuł „Tak daleko, jak myśl zdoła sięgnąć“. Jak odbył się proces, nie wiemy, ale na świecie niema już nikogo prócz nadludzi. Nastąpił powrót do Matuzala, a raczej do pierwszych rodziców. Śmierć powodują tylko wypadki. Postęp nauki doprowadził do tego, że ludzie wykluwają się z jaj, w których w przeciągu dwóch lat przebywają całą ewolucję od najniższych form bytu do człowieczeństwa i rozwój dwóch dziesiątków lat życia. Przychodzą na świat jako dwudziestoletnie dzieci, a zanim osiągną dojrzałość pięćdziesiątki i wyzwolą się ze słabostek młodocianych w rodzaju pociągu do zabawy i miłości, są zamknięci w miejscach dla siebie przeznaczonych, którym Shaw daje

nazwę *nurseries* (*nursery* — pokój dziecienny). I ten okres jest sztucznie skrócony do lat czterech. Dawną ludzkość reprezentują dwa automaty, skonstruowane przez młodego uczonego Pigmaljona wedle modelu rzeźbiarza. Para ta jest zjadliwą satyrą w stylu Swifta. Zdolna jest jedynie do refleksów (t. j. odruchów), przybiera imiona starożytnych władców, używa pompatycznych cytatów — i zabija. Zostaje więc przez nadludzi zniszczona.

Na zakończenie zjawiają się duchy osób części pierwszej w towarzystwie Lilit, która wedle żydowskich podań miała żyć przed Adamem i Ewą. Ta wypowiada rodzaj epilogu, stwierdzającego wieczystość bytu i jego ewolucję ku coraz doskonalszym formom.

Jak widzimy, Shaw, dając upust swej czysto mózgowej fantazji, usiłował stworzyć syntezę tego, nad czym przez całe życie myślał. Przy tej sposobności wypowiedział coś, jakby „pochwałę wieku dojrzałego“. Niestety, są to tylko rojenia staruszka, którego cechą przez całe życie była niezachwiana wiara w siebie samego. Nie ratuje ich czar poezji, jakim swoje panteistyczne wizje przyszłości opromieniał Shelley, a co do zasadniczego motywu każdy musi przyznać wyższość pesymistycznej koncepcji Swifta, która może była punktem wyjścia dla Shaw'a, piszącego często przez przekorę — bo chyba na złość Miltonowi uczynił treścią pierwszego obrazu wypadki, stanowiące przedmiot najpiękniejszej pieśni „Raju utraconego“. W jednym z krajów, zwiedzanych przez Gullivera, rodzą się też niekiedy ludzie nieśmiertelni — skazani na wieczyste cierpienie, bo po jakimś czasie życie ich staje się dzięki zniedołężnieniu i dziedziczeniu męczarnią, symbolem nędzy nieśmiertelnej gatunkowo ludzkości. Nawiasem mówiąc, pomysł Swifta tem większe czyni wrażenie, iż był jakby proroczą wizją jego własnej okropnej starości.

Swoich nadludzi wyposażył Shaw nie tylko w wszechwładny intelekt, ale — jak Nietzsche — w wyższość nad skrupuły moralne. Wolno im zabijać zarówno w imię euge-

niki, jak w imię ewolucji. Zresztą niepodobna odmówić Shaw'owi konsekwencji. Zwalczał on zawsze karę więzienia, uznawał karę śmierci, a raczej nie „karę“, tylko prawo społeczeństwa do unieszkodliwienia z najmniejszym okrucieństwem dokuczającej mu jednostki. Rzecznikiem tej myśli jest np. Juljusz Cezar, będący — zapewne na złość Szekspirowi — najbardziej dodatnią postacią w całej twórczości Shaw'a.

Tu Shaw doszedł do ostatecznej konsekwencji. Na nieśćczęście jednak najwyższa konsekwencja jest zazwyczaj najwyższą niekonsekwencją. W trzeciej części „Zpowrotem do Matuzala“ długowieczni myślą o wytepieniu reszty ludzkości. Dlaczego? Głównie dlatego, że ta, hołdując starym przesądom, ustawicznie trapi się wojnami. Nadludzi nie zaczepia. A więc sens moralny jest: Pozabijamy was, abyście się nie zabijali. Trzeba przyznać, że takie ujęcie sprawy wobec rozumu nadludzi i ich wysokiej cywilizacji materialnej oszczędza wiele trudu militarystom. Ale odrazu nasuwa się pewne praktyczne zastrzeżenie.

Ten, kto uważa się za nadczłowieka, może nim nie być, a jednak zabijać w imię ewolucji i innych ideałów wszechludzkich. Socjalistyczny ustrój wymaga nadludzi, którzyby rządili. A jeżeli pomiędzy nich wkręci się „Kain Adamson Karol Napoleon“? Bo bywa tak na świecie. I wbrew temu, co Shaw przyjmuje, taki Napoleon niezawsze wygłasza ty-rady o nacjonalizmie i sławie wojennej. Czasem deklamuje także o świetlanej przyszłości świata i w natchnionych słowach zwalcza militarizm. Lenin i Trocki w r. 1920 chcieli Polskę radykalnie wyleczyć z kapitalizmu, nacjonalizmu i militarizmu, a Rosję podobno już z tych trzech izmów wyleczyli...

Z pisarzy, którzy na podstawie doktryny socjalistycznej malowali przyszłość świata, Shaw jest bodaj że najkonsekwentniejszy. Morris zanadto był esteta, France zanadto sceptykiem, a Wells z chwalebłą ostrożnością naogół woli doprowadzać do absurdu ustrój kapitalistyczny, niż dawać

obrazy socjalistycznego. Shaw przy starczem zeszytwnieniu umysłu nie zawahał się dojść spekulatywnie do tego, co w drodze praktycznej wynaleźli przed nim bolszewicy.

Stałą cechą fantazyj w rodzaju „Zpowrotem do Matuzala“ było zawsze, że część pozytywna posiada za mało siły przekonywającej i wychodzi błado, a zato część satyryczna bywa silną stroną utworu. Zbyteczne mówić o Swiccie. Przecież już w „Utopji“ More'a najsilniejsze wrażenie robi zjadliwa, a efektowna satyra na żądę bogactw.

Shaw nie należy do wyjątków. Przedmiotem jego sztyderstwa jest przedewszystkiem militarizm, atakowany w postaci Kaina, w postaci „Napoleona“ z Turanji i w mnóstwie okolicznościowych wycieczek — np. we wzmiance o owej wojnie, która miała nastąpić w jakiś czas po znanej nam jako światowa. Aeroplany i gazy odegrały w niej taką rolę, że pierwsi poginęli politycy i dyplomaci, bo wielkie miasta nie dawały żadnego schronienia i tylko żołnierze ocalili w rowach...

Napoleon jest karykaturalny. Przybywa do kraju długowiecznych *Incognito* jako generał Aufsteig zapytać wyroczni, jak to zrobić, aby mimo znużenia żołnierzy i cywilnych móc do śmierci wojną zadowalać swój genjusz. Dla osobistego bezpieczeństwa ma w kieszeni pistolet. Pitja daje mu jedyną logiczną odpowiedź: Zmusiwszy go do oddania broni, tłumaczy mu, że jedynym sposobem jest umrzeć, zanim przyjdzie odpływ potęgi i sławy, poczem strzela do niego, rzuca pistolet i odchodzi. Chybiła jednak, a Napoleon, nie szczędząc pogroźek i wymyślań, nazywa ją „niehumanitarnym potworem“. Oto dalszy ciąg jego mowy:

Żadnego poczucia świętości życia ludzkiego! Żadnej myśli o mojej żonie i dzieciach! Suka, świnia, nierządnic! I chybiła do mnie z odległości pięciu łokci! Otóż to kobieta w każdym calu (*all over*)!

Wielki wojownik podnosi troskliwie pistolet, dobywa gwizdawkę i świszczę na policję. Tymczasem nadchodzi reszta gości z kraju zwykłych ludzi pod opieką Zoo, młodej jeszcze,

bo 50-letniej „nadmężnicy“. Tu Shaw wprowadza groteskowy pomysł. W świątyni stoi olbrzymi posąg Falstaffa, jako „starożytnego bardzo grubego mędrca“, który był pierwszym „kaznodzieją tchórzostwa“ (w sławnym monologu z „Henryka IV“, część I, V, 1), zanim „mężowie stanu odkryli, że jest ono wielką cnotą patriotyczną“ (bo uniemożliwia wojnę). U stóp tego pomnika zostaje Napoleon przy pomocy jakiejś bliżej nieokreślonej siły „izolowany“ i ubezwładniony. Nie dowiadujemy się, co się z nim dalej stało.

Bledsze i rzadsze są ataki na nacjonalizm. Bądź co bądź, niema dla niego miejsca nietylko u nadludzi, ale już w Rzeczypospolitej Angielskiej z r. 2170. Rząd składa się w większości z ludzi kolorowych, Anglicy przeważnie zajmują tylko stanowiska reprezentacyjne — bo do czego innego nigdy bardzo się nie nadawali. Natomiast słyszymy, że Chiny rozkwitły, odkąd najważniejsze urzędy państwowe powierzyły Szkotom.

Najpoważniejszą wycieczkę stanowi następujące miejsce z części czwartej: Prezydent ministrów Republiki Bagdadzkiej, zagrożonej przez sprawniejszą militarnie, choć uboższą, Turanję, chce zapytać wyroczni, jak Turańczycy wyrabiają swoje gazy trujące. Zaznacza przytem wyraźnie, że on i jego rodacy są w zasadzie przeciwnikami wojny i zbrojeń, ale muszą się bronić. Oto odpowiedź, jaką przed nadejściem Pitji daje mu Zoo:

„Możecie sami fabrykować gazy, gdy wasi chemicy odkryją, jak się to robi. Wtedy będzie wam działa się, jak dawniej: będziecie truli się, póki nie zbraknie chemików i cywilizacji. Zaczniecie wtedy od początku jako głodna, ciemna dzicz, a zaczniecie bumerangami i zatrutymi strzałami, aż dojdziecie w postępie do trujących gazów i silnych materiałów wybuchowych — z tym samym skutkiem. To znaczy — o ile my nie będziemy mieli dość rozsądku, aby przez wytepienie was' położyć kres tej śmiesznej zabawie“.

Przedstawiciel Rzeczypospolitej Bagdadzkiej otrzymał wedle starego angielskiego wyrażenia „zimną pociechę“. Z nim razem, zdaje się, otrzymują ją wszystkie t. zw. małe narody,

a może i niektóre większe, co, mając złych sąsiadów, nie chcą słyszeć o rozbrojeniu. Słów „nadkobiety“ nie powstydziliby się Lloyd George, jak zaraz zobaczymy, złośliwie i bardzo skutecznie wyszydzony w innej części „Zpowrotem do Matuzala“. Przed majestatem pacyfistycznego trybunału wszyscy są winni jednakowo — i ci, co napadają, i ci, co się bronią. Zaiste murzyńska moralność! A jest tu i okoliczność obciążająca. Shaw przez całe życie głosił tolerancję dla wszelkich zasad. Oburzał się na ustawy przeciw propagandzie komunistycznej. Wszakże każdemu wolno być komunistą. Ale dla nacjonalistów niema miejsca na świecie...

Rzecz dziwna, że ów premier z Bagdadu, stanąwszy w obliczu wyroczni, pyta się o coś całkiem innego — mianowicie, czy rozwiązać parlament, czy czekać nowych wyborów. Tu już przedmiot satyry jest inny — stanowi go parlamentarizm państw demokratycznych.

Wycieczki przeciw niemu udały się stanowczo najlepiej. W części drugiej występują dwaj przywódcy stronnictwa liberalnego. Ośmieszać liberałów w czasie, gdy rysowała się koncepcja rządu *lib-lab* (t. j. liberalno-socjalistycznego), nie było w interesie członka *Labour Party*. Jeżeli to zrobił, to widocznie wiedziony nieomylnym instynktem, że kpiny jego znajdą oddźwięk w społeczeństwie. A Shaw, który nieraz swą publiczność prowokował umyślnie bluźnierstwami i odwracaniem wartości, w gruncie rzeczy w każdej sztuce starał się umieścić coś zgodnego z pojęciami ogólnymi, coby te pigułki osłodziło.

Dwaj owi politycy nazywają się Joyce Burge i Lubin. Kto choć zgrubsza zna życie publiczne współczesnej Anglii, rozpozna w pierwszym Lloyd'a George'a, wskazanego zresztą samem brzmieniem nazwiska. Drugi ma pewne rysy Asquitha, ale w jego postaci jest już więcej ogólnej satyry, a nazwisko zawdzięcza może Baldwinowi.

Karykatury są bajeczne. Robił je niewątpliwie „stary Kassjusz“. Ogromnie szczęśliwym pomysłem było kazać się

obu mężom stanu spotkać w domu człowieka, którego każdy z nich chce skłonić do kandydowania ze swej frakcji liberałów. Każdy bowiem widocznie ma swoich zwolenników. Czuł to Shaw w r. 1920, dowiodły tego wybory z r. 1924. Każdy uważa się za głowę całego stronnictwa, Gdy jeden zobaczył drugiego, wywiązuje się taki dialog:

BURGE: Próbuję pozyskać dla swojej partji cenne poparcie p. Barnabasa.

LUBIN: Dla swojej partji? dla partji dzienników? (Jest to niezmiernie złośliwa aluzja do paru grup gazet, reprezentujących interesy wielkiego kapitału, które Lloyda George'a popierały — naturalnie nie bez przyczyny.)

BURGE: Dla partji liberalnej. Dla partji, której mam zaszczyt być przywódcą.

Na to odpowiada ugrzeczniony Lubin:

Ma pan obecnie ten zaszczyt? To bardzo interesujące, bo ja myślałem, że to ja jestem przywódcą partji liberalnej. W każdym razie bardzo to pięknie z pańskiej strony, jeżeli pan zwolni mnie od tego ciężaru, o ile partja się zgodzi.

Lubin chce działać na ludzi swem pogodnem usposobieniem i towarzyskimi zaletami. Twierdzi, że zna i pamięta każdego, myląc się zabawnie raz co do osób, raz co do okoliczności, w jakich je poznał. Przypominają się przytem jego polityczne koziołki. „Przedstawiono mi go na wiecu, na którym sufrażystki mi wciąż przeszkadzały. Musiano je powynosić — wierzgały i robiły okropną wrzawę“. Ale dotyczący dżentelmen wyjaśnia, że było to na wiecu, na którym Lubin przemawiał za billem, dającym kobietom prawo wyborcze. Staruszek nic sobie z tego nie robi:

„Pan ma słuszność, tak, tak. Wiedziałem, że to miało coś wspólnego z kobietami. O, moja pamięć nigdy nie zawodzi“.

Lubin właściwie nie ma pojęcia o żadnej kwestji politycznej. Socjalizm wedle niego nie może ostać się wobec praw ekonomji. Gdzieś u początku swej kariery, musząc

z Gladstonem walczyć jego własną bronią, zdecydował się mówić w „uniwersytecie robotniczym“.

„Było to trochę kłopotliwe, bo w owym czasie jeszcze nie był doszedł do ekonomji politycznej. Jak wiecie, na uniwersytecie studjowałem filologję klasyczną, a z zawodu byłem prawnikiem“ (wycieczka przeciw angielskim zawodowym politykom starszej daty). „Ale przejrzałem książki z tego zakresu i jak najstaranniej rozważyłem sprawę... Naturalnie po upływie tak długiego czasu nie przypominam sobie dokładnie rozumowania; w przeciągu paru dni jednak mógłbym je zrekonstruować“.

Burge powołuje się wciąż na swe zasługi w czasie wojny. Gdy Lubin żartuje, wzywa go, aby był poważnym.

BURGE: Bóg to wie, że przeszliśmy czasy dostatecznie straszne, aby każdego uczynić poważnym.

LUBIN: Nie sądzę, aby mi to trzeba było przypominać. W czasach pokojowych zachowywałem świeżość potrzebną do pracy przez to, że w swych myśli wypędzałem w niedzielę wszelkie światowe sprawy. (W Anglii minister urządza sobie *week-end*, jak każdy zwykły śmiertelnik, oddaje się sportom, często wyjeżdża na wieś.) Ale wojna nie szanuje świąt; i były w ciągu paru ostatnich lat niedziele, w które musiałem grać ni mniej ni więcej, tylko po 66 robrów bridża, aby odwrócić myśl od wieści z frontu. (Naturalnie ilość robrów jest fizyczną niemożliwością.)

BURGE (oburzony): Sześćdziesiąt sześć robrów bridża w niedzielę! (Wedle purytańskich poglądów dzień święty powinien służyć do modłów i rozmyślań. Do dzisiaj nie wolno w Anglii w niedzielę grać teatrem.)

LUBIN: Pan zapewne odśpiewywał po 66 hymnów. Ale ponieważ ja nie mogę pochłubić się ani pańskim podziwu godnym głosem, ani pańskim religijnym zapalem, musiałem uciekać się do bridża.

Burge jest równocześnie gwałtowny i wykrętny w swych rozumowaniach. Na zarzut, że w czasie wojny zawarł z konserwatystami cichy układ, wyrzekając się za cenę ich poparcia wszelkich donioślejszych reform, odpowiada:

— Uroczyście oświadczam, że to oskarżenie fałszywe i potworne.

— Jakto, przeczy pan, że tak było? Czyż wiadomości, którym nikt nie przeczył, były fałszywe? Czyż ogłoszone listy były podrobione?

BURGE: Na pewno nie. Ale to nie ja zrobiłem. Ja nie byłem wtedy premierem, To ten stary ciemiega, ten należący do przeszłości blagier (*humbug*) Lubin. On był wtedy premierem, nie ja.

(Lubina niema w danej chwili na scenie.)

— Chce pan powiedzieć, że pan o tem nie wiedział?

BURGE: O, musieli mi mówić. Ale cóż mogłem zrobić? Gdybyśmy się nie zgodzili, musielibyśmy ustąpić.

Ultima ratio! Jednym słowem dla obu polityka jest „sztuką dochodzenia do władzy i utrzymywania się przy niej“. A oto próbka, jak Burge załatwia się z treścią ogólnie znanych pojęć, nie tykając nazwy:

...Kościół w gruncie rzeczy ma słuszność. Oddzielmy go od państwa, pozbadźmy się biskupów, pozbadźmy się kandelabrow, pozbadźmy 39 artykułów (podstawy całej struktury anglikanizmu), a kościół anglikański będzie równie dobry, jak każdy inny.

Dyskusja przybiera czasem dramatyczne zwroty. Jeden z braci Barnabas zarzuca obu politykom, że w czasie wojny omal nie zniszczyli cywilizacji Europy i, że zmiotli z powierzchni ziemi wiele milionów jej mieszkańców. Burge protestuje:

Mniej niż jeden milion.

FRANKLYN BARNABAS: Tyle straciliśmy tylko my.

BURGE: Ach, jeżeli pan liczy cudzoziemców —

PASTOR HASLAM: Wiedz pan, że Bóg liczy cudzoziemców.

Bardzo ciekawe jest stanowisko polityków wobec ewangelji braci Barnabas. Marzą im się wybory pod hasłem „Zpowrotem do Matuzala“. Lubin przeraża się myśli, że i wyborcy będą żyli po lat trzysta, Burge proponuje, aby cudowny środek zachować w tajemnicy i samemu go fabrykować. Gdy dowiadują się, że środkiem jest tylko wola ludzka, ostygają szybko w zapale i wycofują się z komunalami na ustach.

Naturalnie w całej dyskusji niema wycieczek przeciw *Labour Party*, a raczej wycieczki przeciw niej są w rzeczywistości pochwałami autora. Natomiast Shaw, wykazując duży spryt i jasność sądu, doskonale charakteryzuje stron-

nictwo konserwatywne. Jedno miejsce może służyć do wyjaśnienia zwycięstwa tego stronnictwa w r. 1924:

BURGE: ...Co lord Dunreen może dać ludowi?

FRANKLYN: Ja panu powiem. Ma do dania uchwytność pojęcia i zasady. Ludzie wiedzą, gdzie stoją z lordem Dunreenem. Wiedzą, co uważa za słuszne i za niesłuszne. Z pańskimi zwolennikami nigdy nie wiedzą, gdzie stoją. Z p a n e m nigdy nie wiedzą, gdzie stoją.

Wogóle wbrew intencji Shaw'a, jak zwykle było u niego, wybija się na pierwszy plan satyra na życie współczesne i stąd najlepsza jest część druga, dziejąca się w r. 1920, poza tem ustępy części czwartej, ośmieszające militarystykę i parlamentarystykę. Efektowny jest I akt części pierwszej. Reszta mimo niektórych dobrych momentów jest rozwlekła i słaba.

„Zpowrotem do Matuzala“ nie wytrzymało ogniowej próby kinkietów, spotkało się też z bardzo ujemnymi sądami krytyki. Z powodu wznowienia w *Royal Court* pisał James Agate w *Times Literary Supplement* z 24 lutego 1924, że jest to jedna z najsłabszych sztuk Shaw'a, gdyż „teza zabija dramat“. I sam autor zdawał sobie sprawę z niesceniczości swej fantazji, stracił nawet wobec niezyczliwej postawy widzów — bodaj, że pierwszy raz w życiu — zwykłą pewność siebie. Bywał w teatrze i miał zamiar na jednym z przedstawień w *Royal Court* wygłosić przemówienie. Ostrzeżono go jednak, że są ludzie, którzy postanowili mu przerywać i przeszkadzać. W innych warunkach byłaby taka zapowiedź podziałała podniecająco na jego temperament. W tym wypadku jednak stary rębacz nie podjął rzuconej rękawicy — nie przyszedł w dniu krytycznym do teatru.

II.

Prof. Dyboski stwierdza słusznie,¹ że w latach ostatnich powiał w Anglii jakiś wiatr historyczny. U przeciętnego Brytyjczyka, który przygotowuje się przedewszystkiem do prak-

¹ „Anglja po wojnie“.

tycznego zawodu, nawet znajomość dziejów ojczystych wykazywała zwykle poważne luki — a już co do powszechnych bywał z reguły zupełnym ignorantem. Dziś, po zetknięciu się z różnemi problemami wojennemi i powojennemi, przy których rozwiązywaniu brak historycznego wykształcenia okazał się poważną przeszkodą, zaczęto na nie zwracać bacniejszą uwagę w szkołach, a i samo społeczeństwo okazało pewną tendencję do nadrobienia tego, co tak długo zaniedbywano. Wells napisał swą „Historję świata“, Belloc, który dotąd ograniczał się do szkiców i monografij głównie z przeszłości Francji, wydał pierwszy tom dzieła, mającego objąć całość dziejów angielskich.

Przedsięwzięcie Wellsa, jak stwierdziłem, skończyło się niepowodzeniem. Shaw, wyższy od niego i talentem i dobrą wolą, uległ jednak tym samym trudnościom.

Historja zawsze go pociągała, ale w „Świętej Joannie“ po raz pierwszy spróbował potraktować ją poważnie, wznosząc się ponad stanowisko agitatora. Prawda, że sympatyczne przedstawienie sędziów Joanny t. j. biskupa Cauchon i stojącego przy jego boku przedstawiciela św. Inkwizycji, było podświadomym, a może i świadomym wynikiem wrodzonej przekory — wy mówicie „czarne“, ja mówię „białe“ i patrzcie, że na moim obrazie naprawdę jest białe. Ale poza tem, przystępując do historii Dziewicy Orleańskiej, Shaw niewątpliwie postanowił godłem swego stosunku do bohaterki i całego współczesnego jej świata uczynić klasyczne *sine ira et studio*.

W dramacie niema ani jednego czarnego charakteru. Wszyscy działają tak, jak każą im pojęcia i wedle nich rozumiany obowiązek. Odpowiada to poglądom i dotychczasowej praktyce Shaw'a, a równocześnie daje mu sposobność do związania czynów jednostek z historycznym procesem późnego średniowiecza, z upadkiem feudalizmu i z powstaniem wielkich prądów, które miały nadać odrębny charakter dziejom nowożytnym — protestantyzmu, demokratyzmu i nacjonalizmu.

Zamiar nie powiódł się. Shaw nie posiadał odpowiedniej wiedzy historycznej. Wszelka historjografja może wyrósć tylko z idealnego zżycia się z historją — i to bardzo szeroko pojętą. Zbyt prostolinijnie przedstawiał sobie jej zagadnienia, ze zbyt niemię zaufaniem do własnego rozumu je rozstrzygał. Dostał się na niewłaściwy teren. Przypomina w stal zakutych rycerzy, zmuszonych walczyć w ciasnym przesmyku górskim. Nadto nie mógł wyzwolić się ani na chwilę ze swego materialistyczno - przyrodniczego poglądu na świat. Nie jest ani trochę romantykiem, nie jest — poza rzadkimi przeżytkami — poetą. A Dziewica Orleańska jest postacią poetyczną i romantyczną.

Jak nurt rzeki, płynącej przez zmieniające się ustawicznie okolice, przybiera raz tę, raz inną barwę, tak dzieje zwycięstw i męczeństwa Joanny zmieniały się w ciągu wieków. Shaw daje we wstępie zarys tych metamorfoz, niestety niezupełny. Pomija historyków, z których powinien był się uczyć, a zajmuje się jedynie utworami literackimi, z którymi postanowił współzawodniczyć. O ile trafnie charakteryzuje i wyjaśnia stanowisko angielskiego anonima w I części „Henryka VI“, która z drobnymi poprawkami Szekspira weszła do jego dzieł, o tyle nie umie się zdobyć na dość silne wyrazy potępienia dla Voltaire'a, pokrewnego sobie rodzajem umysłu, i wczuć się w Schillera, stojącego na przeciwnym biegunie. Sąd o nim Shaw'a jest stanowczo krzywdzący. A przecież Joanna Schillera mimo niefortunnego zawikłania miłosnego i jaskrawych nieściśłości historycznych bliższa jest prawdziwej, dzięki silnemu zaakcentowaniu dwóch rzeczy, dla Shaw'a podrzędnych, — wiary i miłości.

Jego Joanna jest postacią dodatnią, odartą jednak nie tylko z uroku świętości, ale i z uroku, płynącego z jakichś nieznanych głębin natchnienia. Jej „głosy“ są fikcją, którą ludzi trochę siebie, a więcej drugich. Posiada natomiast dużo zdrowego rozsądku i wrodzony talent strategiczny. Rycerze francuscy — w przeciwieństwie do Anglików — robią z wojny

turnieje i polują na jeńców, aby wzbogacić się okupem. Joanna wprawdzie wnosi w zwątpiałą armję bastarda Orleańskiego nowego ducha, ale przedewszystkiem daje jej nowe zasady taktyczne. Każe atakować, nie krępując się przesadnemi ostrożnościami, i walczyć na serjo, nie szczędząc krwi własnej i nieprzyjacielskiej. Nadto Shaw powtarza motyw, którego raz był już użył w „Człowieku przeznaczenia“. Tam jego Napoleon „pierwszy od wynalezienia prochu spostrzegł, że kula armatnia, gdy trafi w człowieka, zabija“. Tu Joanna nigdy nie zapomina o działach.

Poza tem zrobił, co mógł, aby ją ściągnąć z piedestału. Wspomina o tem, że ktoś skarżył ją za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, zaznaczając zresztą przez jej usta, że niesłusznie — bo jego Joanna, może na złość Schillerowi, jest mężczyzną w kobiecej postaci, jest urodzonym żołnierzem, któremu miłość jest obca. Posiada tylko nieco próżności kobiecej, wyraża bowiem następujące przypuszczenie: „Gdybym, jak warjotka, nie była podczas bitwy ubrana w swój płaszcz ze złotogłowiu, burgundzki żołnierz nie byłby mnie ściągnął z konia“. Shaw dał jej też pewną dozę snobizmu. Już we wstępie zaznacza, że jej ojciec był człowiekiem zamoznym, a w gminie swej wpływowym, w scenie sądu zaś Joanna z urażoną dumą protestuje przeciwko nazwaniu siebie pastuszką. „Pomagałam przy owcach, jak każdy inny. W domu potrafię robić to, co robią panie, — będę przędła lub tkła — i nie ustąpię żadnej kobiecie z Rouen“.

Joanna Shaw'a ma jeden wspaniały moment, zgodny z całą koncepcją, ale oblewający na chwilę światłem poezji postać, odartą z promieni. Oto napół ulegając powadze Kościoła, napół lękając się stosu, pozwoliła swoją ręką podpisać akt, w którym uznaje, że jej głosy były złudzeniem szatańskim. Dowiaduje się, że wobec tego nie zginie, ale do końca życia w więzieniu „pożywać ma chleb smutku i pić wodę strapienia“. Jej cała istność buntuje się. Jakto? Nie słyszeć wiatru, szumiącego w liściach drzew? Nie słyszeć skowronków, kapiących się

w słońcu? Nie słyszeć beczenia młodych baranów „na zdrowym mrozie”? Nie słyszeć błogosławionych dzwonów, które przynosiły jej owe anielskie głosy? „Bez tych rzeczy ja żyć nie mogę, a po tem, że je chcecie odebrać mnie lub jakiekolwiek ludzkemu stworzeniu, poznaję, iż mądrość (*counsel*) wasza jest djabelska, a moja od Boga“. Ten żywiołowy wybuch staje się ostateczną przyczyną zguby Dziewicy.

Było pięknym pomysłem kazać jej parokrotnie zaznaczyć, że nie ma żadnej nienawiści do Anglików, bo te wilki, wypędzone z cudzej ziemi, staną się dobremi „psami Bożemi“. Ale tego rodzaju odezwania szpeci dodatek — może satyryczny, a może mający podkreślić naiwność Joanny, która mówi, że nie jest wolą Bożą, aby Anglicy przychodzili do Francji i mówili po francusku. Shaw zapomniał przytem, że z początkiem XV w. szlachta angielska dopiero co przestała była rzeczywiście mówić po francusku, a na dworze język ten miał jeszcze pełne równouprawnienie...

Tytuł dramatu brzmi „Święta Joanna“. Shaw ma jednak własne pojęcie świętości, naturalnie odbiegające daleko od chrześcijańskiego czy katolickiego. Cuda wyszydza lub stara się wytłumaczyć przypadkami. Zaraz w pierwszym obrazie spotykamy się z ciekawym, a trywjalnym pomysłem: Joanna, jak w historii, udaje się do Roberta de Baudricourt, komendanta zamku w Vaucouleurs, z żądaniem, aby odesłał ją do delfina. Ale Robert nie chce nawet udzielić jej posłuchania — i wówczas wszystkie kury w zamku przestają się nieść. Dopiero gdy rycerz uczynił zadość życzeniu Joanny, jego rządca przynosi wiadomość, że strajk na podwórku ustał, i jest pięć tuzinów świeżych jaj, a Robert żegna się pobożnie i przyznaje: „Rzeczywiście Bóg ją przysłał“.

Trzeba oddać autorowi sprawiedliwość, że jest to jedyne w sztuce błazeństwo w tak złym smaku. Traktowanie innych cudów nie jest już tak jaskrawe, chociaż gdy pod Orleanem wiatr zmienia się na potrzebny Francuzom, oznajmia o tem przedewszystkiem kichnięcie pazia. Zresztą Shaw

usiłuje wytrwale być poważnym i podkreśla na każdym kroku swą koncepcję ideową. Świętym jest wedle niego ten, kto, pomijając całą hierarchję kościelną, czerpie natchnienie wprost od Boga. Jest to poniekąd postępowanie rewolucyjne. Joanna Shaw'a to poprzedniczka protestantyzmu, który odrzuci pośrednictwo księży i, nie dbając o ich pozwolenie, będzie również rozmawiał z samym Bogiem.

Stąd dostojnicy kościoła muszą uznać ją za niebezpieczną heretyczkę. Kaci Joanny, stojący od wieków pod pręgierzem, są u Shaw'a ludźmi sympatycznymi. Biskup Cauchon odbija od Anglików swym spokojem i ogładą. Wierzy w winę Joanny. Inkwizytor wprawdzie nazywa ją niewinną — „bo cóż ona tam wie o kościele i o prawie?“ — ale poświęca ją idei, której w najlepszej wierze służy przez całe życie. Obaj wzdragają się przed zbyt zbytecznym okrucieństwem i radziby uniknąć strasznej ostateczności. Obok nich stoi młody francuski zakonnik, ożywiony uczuciem litości. Tylko dla urozmaicenia wprowadził Shaw dwie postaci komiczne — księdza Francuza i księdza Anglika. Pierwszy oburza się, że sąd nie chce rozpatrywać zarzutu, jakoby Joanna pewnemu dostojnikowi kościelnemu ukradła konia i wogóle, że z mizolnie przygotowanych 64 punktów oskarżenia uwzględniono tylko 12. O drugim przyjdzie szczegółowiej pomówić jako o nieodzownem w każdej sztuce Shaw'a wcieleniu wad angielskich.

„Protestantyzm“ Joanny zagraża kościołowi i z tego powodu potępiają ją sędziowie duchowni. Z innego względu pragnie jej zguby wódz Anglików, hr. Warwick. Kto pomija pośrednictwo magnatów, a zwraca się wprost do króla, godzi w same podstawy porządku feudalnego, a więc musi być w jego imię unicestwiony. Zdają sobie z tego sprawę i Francuzi z wyjątkiem mocno dziecinnego, zahukanego Karola VII. To też ani jedna ręka nie podniesie się w obronie Dziewicy.

Będąc przedstawicielką demokratycznego postępu, Joanna reprezentuje także budzące się ogólnofrancuskie poczucie

narodowe, więc pierwiastek nacjonalistyczny, równie niebezpieczny dla dwóch głównych idei średniowiecza. Shaw jednak, będąc wrogiem nacjonalizmu, zaznacza to dość słabo.

Cała koncepcja jest oryginalna, ale fałszywa. Feudalizm w pierwszej połowie w. XV był już w rozkładzie. Korzenie jego podgryzały dwie nowe siły dziejowe — idea dynastyczna, o której Shaw zapomina, i nacjonalizm, który lekceważy. Joanna z porządkiem społecznym nie wojowała, nie zaczęła też kościoła, sam Shaw zaznacza nawet we wstępie, że chciała stanąć na czele krucjaty przeciw husytom. Robienie z niej poprzedniczki reformacji uszłoby jako paradoks w błyskotliwym dialogu i byłoby nawet dobrym dowcipem. Na założenie poważnej sztuki się nie nadaje.

Jakie były motywy jej francuskich sędziów, trudno dziś stanowczo powiedzieć. Ale bardzo wątpliwe, aby działali w obronie hierarchji kościelnej i w przewidywaniu Lutra czy Kalwina. Może poprostu bali się Anglików i ulegli ich naciskowi, może kierowali się służalczym oportunizmem. Były zresztą we Francji pierwszej połowy XV w. partje wrogie „delfinowi“ i zwalczające go z zaciekłością, równą angielskiej. Ich nienawiść musiała zwrócić się przeciw tej, która przeważała szalę wojny na jego stronę.

A Anglicy? U tych pobudką była przedewszystkiem żądza zemsty. Jakto? Zwycięzcy z pod Crécy, Poitiers i Azincourt ulegli wiejskiej dziewczynie? Zresztą Joanna mogła i w przyszłości okazać się groźną.

Dla jednych zaś i dla drugich była czarownicą. Człowiek XX w. umie sobie przy pomocy nauk przyrodniczych wytłumaczyć cały szereg zjawisk, gdzie zaś jego doświadczenie i wiadomości nie wystarczają, tam, rozumując przez analogję, przypuszcza, że przecież wyjaśnienie naturalne istnieje, tylko on go nie zna lub nauka jeszcze go nie wykryła. Człowiek XV w. to, czego nie rozumiał, przypisywał stale dwom przyczynom — cudowi albo czarom. Bohaterska odwaga i militarne powodzenie wiejskiej dziewczyny musiały wydać

się cudem tym, którzy walczyli z nią w jednych szeregach, byli uczestnikami zwycięstw, pozostawiali pod czarem jej osobistości i mieli na dodatek jej własne zapewnienie o nadprzyrodzonych głosach i posłannictwie. Dla przeciwnej strony, doznającej niesławnych porażek, Dziewica musiała być czarownicą. Jej niepowodzenie pod Compiègne było wyraźnym dowodem, że ją nareszcie chytry a złośliwy djabeł opuścił, a przyćmiony niewolą i grozą położenia urok Joanny nie mógł z pewnością zachwiać raz zakorzenionej wiary.

Shaw z pewnością wiedział to wszystko. Ale zamiast pójść w kierunku najprostszego wytłumaczenia, wolał puścić się na manowce historjoficzne. Choć zresztą wplata szereg wzmianek o zabobonach, przypisuje je tylko szaremu tłumowi. Utworzył sobie prymitywny a fałszywy obraz średniowiecznego życia, mniej więcej taki: Ogół wierzy w cuda i czary, wierzy w to, co mu powiedzą biskupi i hrabiowie. Biskupi i hrabiowie utwierdzają go w tej wierze, ale sami nie są tak naiwni. Czują, że dokoła nich lęgną się siły, które położą koniec ich władzy, więc przeprowadziwszy naprzód wyczerpującą dyskusję nad niebezpieczeństwem, grożącym z tej strony feudalizmowi i katolicyzmowi, świadomie i systematycznie biorą się do ich zwalczania.

Te naiwne pojęcia o średniowieczu przypominają dickenowskiego Amerykanina, szyszającego z królowej Wiktorji jako z jakiegoś tyrana w spódnicy, rezydującego w Wieży londyńskiej. Ależ hrabiowie i biskupi byli takimi samymi ludźmi swoich czasów, jak ci, co musieli ich słuchać! Mógł się między nimi znaleźć jakiś *esprit fort*, ale nie kolekcja samych *esprits forts*, jak w naszym dramacie. Naogół święcie wierzyli w czary, żegnali się z trwogą na wzmiankę o nich i pobożnie palili czarownice. Szkoda, że Shaw nie przeczytał sobie jednej z takich książek, jak sławny *Malleus maleficarum*, lub choćby późniejsze znacznie rozprawy Reginalda Scota, który z końcem XVI w. napróżno zwalczał wiarę w czary. Szkoda, że nie policzył sobie królów, którzy w nie wierzyli, —

z wyposażonym w całą teologiczną wiedzę swego wieku Jakóbem I (1603—1625) na czele. Byłby zdał sobie sprawę, jak realny, jak żywy był strach przed szatańskimi sztuczka-
kami nie tylko w XV w., ale i znacznie później. Nie ułatwiał wyzwolenia się z niego i najwyższe stanowisko społeczne. Wiarę w czary podkopała nieco humanistyczna swoboda myślenia, ale obalił właściwie dopiero racjonalizm.

Z błędu historycznego i historjozoficznego wypływa błąd psychologiczny i dramatyczny: Przyjmijmy, że u biskupa Cauchona i hr. Warwicka działała troska o ład społeczny, który ukochali i który im się wydawał najlepszym. Mogła jednak działać tylko podświadomie lub półświadomie. Ich długa, nużąca dyskusja w obrazie IV sprzeciwia się psychologii i psuje dramat.

Gdyby Shaw potrafił być wyjść poza swój zakres pojęć, byłby w dziejach Joanny i w jej postaci uznał za zasadnicze inne pierwiastki. Można wierzyć lub nie wierzyć w jej cuda. Ale trudno nie zdawać sobie sprawy, że hasło jej brzmiało „Bóg, król i ojczyzna“. Że te trzy wyrazy nie wykrzesaly z socjalisty entuzjazmu, trudno się dziwić. Nie przeoczył ich bynajmniej — wracają raz po raz w roli Joanny, ale nie są rozstrzygającymi czynnikami w jej tragedji. Dramaturg, ożywiony duchem nacjonalistycznym i demokratycznym, mógłby być z wybornym skutkiem przeciwstawić narodową świadomość Joanny, przedstawicielki niższej sfery społecznej, pochodzącej z pogranicza trzech francuskich prowincyj, obojętności na tym punkcie magnatów i książąt kościoła. Zaznaczył to tylko ubocznie Shaw, któremu protestantyzm i demokracja przysłoniły nacjonalizm.

Jest jasne, dlaczego do zguby Dziewicy dążą Warwick, Cauchon i inkwizytor. Ale dlaczego nie bronią jej ci, którzy jej tyle zawdzięczają? Tu Shaw już jest na własnym terenie, na terenie nie skrepowanej historjozofji psychologii. Joanna posiada nad każdym z otoczenia jakąś wyższość. Nad jednym góruje odwagą, nad drugim zdrowym rozsądkiem, nad trze-

cim wrodzonym genjuszem wojskowym, nad wszystkimi wiara. A przecież jeden jest królem, drugi politykiem, trzeci wodzem, czwarty prymasem Francji. Dziewica zaś nie zniża się nigdy do kłamstw towarzyskich. Nie umie nawet dla swych wyższych celów czegoś przemilczeć, nie schlebia nigdy ludziom, aby ich pozyskać dla swych myśli. Nawet w jej porozie jest dużo szlachetnej dumy. To też w ogień poszedłby za nią tylko nieokrzesany rębacz La Hire, a później w epilogu nie ucieka przed nią tylko rubaszny potępieniec, ów żołdak angielski, który prowadzonej na stos i wołającej o krzyż podał dwa kije odpowiednio związane i za to w rocznicę jedyne go dobrego czynu swego życia nietylko może na 24 godzin opuścić piekło, ale i jest przez ten czas świętym... Ci dwaj ludzie pozostają pod czarem żołnierskiej wielkości i prostoty Joanny. Wszystkich innych musi z nią poróżnić ambicja.

Nie chcę niniejszego szkicu zbyt przeciążać szczegółami, zanim więc przejdę do techniki dramatycznej, zwrócę jeszcze uwagę tylko na dwie postaci.

Z delfina, a raczej z Karola VII Shaw zrobił karykaturę i o wiele szczęśliwsza jest koncepcja Schillera, który również zaznacza słabość woli i kwietyzm, ale nie robi z biednego króla takiego tchórza, mazgaja i poszturchajły, teroryzowanego przez tego, kto chce i kto nie chce. Wogóle stosunki na dworze, odmalowane w II obrazie, są groteskowe. Postaci samego Karola niewiele pomaga epilog, gdzie dowiadujemy się, że dzięki miłości ku Agnieszce Sorel i jej wpływowi nabrał odwagi, że zdobył przydomek Zwycięskiego, że dowodzi w bitwach i osobiście kieruje szturmami, „brodząc po pierś w krwi i błocie“.

De Stogumber, kapelan Warwicka, bohater komicznych intermezzów w jego rozmowie z Cauchonem i w scenie sądu, reprezentuje godnie ujemne strony angielskiego charakteru narodowego. Ale jest czemś więcej. Jest wcieleniem nienawistnego Shaw'owi nacjonalizmu. I jakkolwiek przykry może

być podkład ideowy tej karykatury, trzeba przyznać, że jej rysunek udał się doskonale. Oto parę charakterystycznych odezwań się kapelana:

„Ponosimy klęskę za klęską. Jargeau, Meung, Beaugency — zupełnie tak, jak pod Orleanem. A teraz wycięto nas pod Patay i Sir John Talbot dostał się do niewoli. Ja to czuję, milordzie, ja to głęboko czuję. Nie mogę patrzeć na to, jak moich ziomków zwycięża garść cudzoziemców. Na Boga, jeżeli to tak dalej pójdzie, rzucę mą sutannę do diabła, chwycę sam za broń i będę tych przeklętych dusił własnymi rękami“.

Po wyrzuceniu słów „do diabła“ mógłby tak mówić jakiś kapelan *Ironsides* Cromwella.

Cauchon oświadcza Warwickowi, że będzie dążył do zguby Joanny tylko w tym razie, jeżeli ona okaże się niepoprawną heretyczką, ale przedtem zrobi, co można, aby ocalić jej duszę i ciało. Tu kapelan porywa się z wściekłością i rzuca francuskiemu biskupowi w twarz imię zdrajcy. Warwick musi za niego przeproszać, tłumacząc, że wyraz oznacza w Anglii co innego, niż we Francji.

„W waszym języku zdrajca to ten, co zdradza, co jest perfidny, zdradziecki, niewierny, nielojalny. W naszym kraju oznacza poprostu tego, kto nie jest zupełnie oddany naszym angielskim interesom“.

Dostojnik świecki i duchowny nie porozumieli się ideowo, bo każdy ma inny pogląd na świat, ale zawarli chwilowy sojusz i Warwick mówi:

„No, więc jeżeli wasza wielbność spali protestantkę, to ja spalę nacjonalistkę, chociaż może ksiądz John nie ze wszystkim zgodzi się ze mną. Do niego przemówi hasło „Anglija dla Anglików“.

KAPELAN: Naturalnie niema dyskusji nad Angliją dla Anglików, to proste prawo natury. Lecz ta kobieta odmawia Anglikom tego, co prawnie zdobyli, tego, co Bóg oddał im w ręce ze względu na ich szczególną zdolność do rządzenia rasami niższymi cywilizacją dla ich własnego dobra.

Imperjalista ma gotową formułkę, przy której pomocy załatwia się z „Francją dla Francuzów“.

Cauchon znosi dość spokojnie impertynencje Stogumbera. Warwick wyraził się dodatnio o mahometanach, których

zna z pielgrzymki do Ziemi Św. Biskup na to oburza się, że „krzyżowiec wraca więcej, niż w połowie, Saracenem“, i dodaje: „Wszyscy Anglicy są urodzonymi heretykami“. Stogumber wybucha oburzeniem, widząc w tem zdaniu *contradictio in adiecto*. Na to biskup:

Wybaczam wam... z powodu waszej nie do pokonania ignorancji. Gęste powietrze waszego kraju nie wydaje teologów.

Gdy na pożegnanie kapelan oświadcza, że spaliłby Joannę własnymi rękami, Cauchon błogosławi go, mówiąc: „*Sancta simplicitas*“.

W scenie sądu Stogumber ustawicznie protestuje — jest to, zdaje się, aluzja do angielskiego protestantyzmu. Oburza się, że w oskarżeniu skreślono punkt, odnoszący się do zeznania Joanny, iż św. Małgorzata, św. Katarzyna i archanioł Michał mieli przemawiać do niej po francusku:

INKWIZYTOR: Niewątpliwie myślicie, że musieli mówić po łacinie.

CAUCHON: Nie, on myśli, że powinni byli mówić po angielsku.

KAPELAN: Naturalnie, milordzie.

Teraz Shaw z niemałą satysfakcją daje po nosie temu dziecinnemu nacjonalizmowi:

INKWIZYTOR: No, skoro, jak sędzę, wszyscy zgodziliśmy się na to, iż te głosy Dziewicy są głosami złych duchów, kuszących ją ku potępieniu, nie byłoby zbyt grzecznie względem was i względem króla angielskiego przyjmować, że angielszczyzna jest ojczystym językiem djabła.

Stogumber bez żadnych bliższych wyjaśnień żąda za-protokołowania swego protestu.

Gdy Joanna zdecydowała się podpisać odwołanie, woła, zgrozą przejęty, do Cauchona:

„Milordzie, czy to znaczy, że chcesz dać tej kobiecie nam się wymknąć?“

INKWIZYTOR (uspokaja): Imć panie de Stogumber, prawo musi iść swoim torem, a wy wiecie, jakie jest prawo.

KAPELAN (wstając, purpurowy z wściekłości): Ja wiem, że Francuz nie ma w sobie iskry wierności. (Zgiełk, ponad który wybija się jego krzyk:) Ja wiem, co milord kardynał z Winchester

powie, gdy o tem posłyszyc. Ja wiem, co hr. Warwick zrobi, gdy posłyszyc, że chcecie go zdradzić. Przy bramie jest ośmiuset ludzi, którzy postarają się, żeby tę ohydą spalono wam naprzekór (*in spite of your teeth*).

Inkwizytor spokojnie wzywa Stogumbera, aby pamiętał, czem jest i gdzie jest, aby więc usiadł. Ten krzyżuje ręce i z konwulsyjnym drganiem w twarzy mówi: „Ja nie siądę“.

Na to inkwizytor zajmuje miejsce i mówi: „Jeżeli nie chcecie siedzieć, to musicie stać; niema innej rady“. Stogumber odpowiada: „Ja nie będę stał“ — i rzuca się gwałtownie na krzesło.

Ostatecznie Joanna podarła odwołanie i Stogumber, nie czekając formalnego oddania jej w ręce władzy świeckiej, sam razem z żołnierzami wlecze ją na stos. Nie domyśla się, że jego pośpiech i jego protesty odegrają ważną rolę w rewizji procesu. Shaw zaznacza to wyraźnie przez usta inkwizytora, który powstrzymuje Cauchona, gdy ten chce naprawić nieformalność:

„Nie śpieszmy się zanadto... My postępowałam zupełnie prawidłowo. Jeżeli ci Anglicy wolą narazić się na zarzuty, nie jest naszą rzeczą zwracać im uwagę, aby byli poprawni. Kiedyś błąd w procedurze może być użyteczny, nigdy nic nie można wiedzieć. A im prędzej będzie po wszystkim, tem lepiej dla biednej dziewczyny“.

Shaw wiedział z opisu stracenia Joanny, że były różne głosy między obecnymi Anglikami. Któryś miał zawołać: „Spaliliśmy świętą“. Otóż dramaturg powziął śmiałą myśl, aby to właśnie Stogumberowi kazać pod wpływem okropnego widoku przejrzeć i zrozumieć, w jakiej zbrodni uczestniczył. Kapelan wybuchł spazmatycznym płaczem i ucieka do sali sądu. Zastaje tam Warwicka, który ostrożnie wolał nie patrzeć na egzekucję.

KAPELAN (czepiając się jego ręk): Milordzie, milordzie! Przez miłość Chrystusa módl się za moją grzeszną, biedną duszę.

WARWICK (uspokajając go): Tak, tak, będę się modlił, naturalnie. Spokojnie, powoli —

KAPELAN: Ja nie jestem zły człowiek, milordzie.

WARWICK: Nie, nie, wcale nie.

KAPELAN: Ja źle nie chciałem. Nie wiedziałem, jak to będzie wyglądało.

WARWICK (twardszym głosem): O, więc to widziałeś?

KAPELAN Nie wiedziałem, co robię. Jestem głupim zapaleńcem — będę za to potępiony na całą wieczność.

WARWICK: Brednie! Bardzo to przykre, bezwątpienia, ale nie tyś to zrobił.

KAPELAN (z rozpaczą): Ja im to pozwoliłem zrobić. Gdybym był wiedział, byłbym ją im wydarł z rąk. Wy nie wiecie, wyście nie widzieli, to łatwo mówić, gdy się nie widziało. Wprawiasz się w szal słowami, wtrącasz się w potępienie dlatego, że wydaje ci się czemś wzniosłem lać oliwę na płomieniste piekło swego temperamentu. Ale gdy zrozumiesz, gdy zobaczysz rzecz, którą zrobiłeś, gdy ci oślepią oczy, gdy ci zapiera oddech, gdy ci rozdziera serce, wtedy — wtedy — (padając na kolana). O Boże, usuń ten widok z przed moich oczu! O Chryste, wyzwól mnie od tego ognia, który mnie pożera! Ona wśród niego wołała do Ciebie: Jezu, Jezu, Jezu! Ona jest na Twojem łonie, a ja na zawsze jestem w piekle.

Przychodzi kolej i na pewną rehabilitację Anglików:

„...Wołała o krzyż. Jakiś żołnierz dał jej dwa związane kije. Dzięki Bogu, że był Anglikiem! Ja mogłem to być zrobić, ale nie zrobiłem. Jestem tchórzem, wściekłym psem, głupcem. Ale on także był Anglikiem“.

Shaw nie zapomniał o psychologicznej prawdzie. Stogumber i po nawróceniu się pozostaje nacjonalistą, a następne jego odezwanie się łączy wspaniale motyw komiczny z tragicznym:

„Niektórzy z ludzi śmiali się z niej. Byliby śmiali się z Chrystusa. Milordzie, to byli Francuzi. Ja wiem, że to byli Francuzi“.

Mnich Ladvenu mówi później o tym śmiechu i wyraża nadzieję, że to był śmiech angielski. Stogumber zaprzecza namiętnie:

„Tylko jeden Anglik przyniósł hańbę swej ojczyźnie, a był to ten wściekły pies de Stogumber. Na tortury z nim! Na stos z nim! Pójdę modlić się między popiołami. Jestem równie Judaszowi. Powieszę się“.

Przeszkodzono mu — i w epilogu zobaczymy go jako dobrodusznego księdza wiejskiego, mającego czasem chwile

nieszkodliwego obłądu, ale „w sam raz dobrego dla małej parafji“.

Kto wie, czy krótka wzmianka historyczna nie urosła w tę mocną scenę — ze świadomością lub bez świadomości autora — pod wpływem analogicznego zachowania się Chilona. Tem to prawdopodobniejsze, że w genezie „Androklesa i lwa“ odegrało zapewne jakąś rolę „Quo vadis“, mianowicie można przypuszczać, że Shaw pisał tę sztukę na złość Sienkiewiczowi i jego popularności, dość znacznej w świecie anglosaskim.

Lecz w związku z ideową koncepcją postaci Stogumbera i z epilogiem następuje się jeszcze i symboliczne znaczenie epizodu, który oznacza w intencji autora nagłe wyzdrowienie ludzkości z rzekomego nacjonalistyczno-militarystycznego szału, trywjalnie mówiąc — dziką demobilizację.

Starcze obniżenie poziomu twórczości ujawniło się w „Świętej Joannie“ niewłaściwym wyborem tematu, fałszywą historjozofją i drobniejszemi błędami. Naogół mało go widać w robocie dramatycznej. Ta jest staranna, oparta na dojrzałym doświadczeniu, miejscami świetna, jak można stwierdzić z przytoczonych już powyżej przykładów. Dużo w dramacie drobnych rysów, rozrzuconych niby mimochodem dla charakterystyki osób, ich poglądów, epoki. Shaw umiał niemi urozmaicić nawet nieznośną scenicznie rozmowę między Warwickiem a Cauchonem. Biskup nie uważa zwycięstw Dziewicy za cuda. Widzi w nich tylko dowód, że ona ma „lepszą głowę na karku“ od angielskich dowódców w rodzaju „wściekłego byka“ Talbota, że więc „odwaga, płynąca z wiary, nawet jeżeli będzie to wiara fałszywa, przetrzyma odwagę wściekłości“. Tu kapelan nie może zapanować nad sobą:

„Wasza wielbność porównywa Sir Johna Talbota, dziedzica hrabstwa Shrewsbury, z wściekłym bykiem?“

Lecz Warwick, który chce z Cauchonem dojść do porozumienia, przerywa natychmiast:

„Takie porównania czynić byłoby nieprzystojnie tobie, księżu Johnie, ponieważ jeszcze sześciu ludzi dzieli cię od baronji. Ale ja jestem hrabią, a Talbot tylko rycerzem, więc mogę odważyć się na przyjęcie tego porównania“.

Cauchon zaznacza również, iż w zwycięstwach francuskich niemałą rolę odegrał Dunois.

KAPELAN (wzgardliwie): Bastard Orleański!

CAUCHON: Proszę mi pozwolić przypomnieć —

WARWICK (przerywając): Wiem, co macie zamiar powiedzieć, milordzie. Dunois pobił mnie pod Montargis.

CAUCHON (kłaniając się): Biorę to jako dowód, że Seigneur Dunois musi naprawdę być bardzo zdolnym wodzem.

WARWICK: Wasza miłość jest kwiatem uprzejmości (wyrażenie, wzorowane na Szekspirze). Ja przyznaję z naszej strony, że Talbot nie jest niczem więcej, jak dobrem do walki bydlęciem (*a mere fighting animal*) i że prawdopodobnie zasłużył na to, aby go wzięto do niewoli pod Patay.

Łącząc tym sposobem żywioł komiczny z tragicznym, Shaw szedł za starą tradycją angielskiej sceny. Ale pokusił się o połączenie organiczne, jakie tylko parokrotnie udało się samemu Szekspirowi (w niektórych scenach „Henryka IV“ lub w „Królu Learze“). W wielu wypadkach wyszedł z trudności zwycięsko. W innych przeszarżował.

Tak np. w obrazie II Joanna właśnie przybyła do Chignon i ma stanąć przed królem. Zaszło coś, co wygląda na cud. Oto ostrzegła klnącego żołnierza, aby panował nad sobą, bo jest bliski śmierci, a żołnierz w chwilę potem wpadł do studni i utonął. Pod wrażeniem tego woła zabijaka La Hire: „Jeżeli jeszcze kiedy wymówię przekleństwo, niech mnie wszyscy djabli porwą na wieczyste potępienie!“ — „Bardzo pobożny początek, kapitanie“, dodaje arcybiskup z Rheims. Trzeba pamiętać, że Shaw pisał dla anglosaskiej publiczności, która do klątw przywiązuje ogromną wagę.

Niektóre pomysły rażą swą niezgodnością z tłem historycznym. Shaw musiał sobie z tego zdawać sprawę, ale nawet w dawniejszych czasach nie umiał wyrzec się dowcipu

tam, gdzie ten się nastęczał. Jeżeli Dunois na wezwanie Joanny, aby podczas szturmów szedł tuż za nią, zwraca jej uwagę, że „tylko komendantom kompanij jest dozwolone popisywać się osobistem męstwem“, a sztabowym oficerom jest to wzbronione, dowcip jest doskonały, ale anachronizm potworny. Jeszcze napoleońscy generałowie zagrzewali własnym przykładem, prowadzili swych ludzi do ataku i ginęli jak muchy, dwaj najwięksi wodzowie angielscy, Marlborough i Wellington (z początkiem XVIII i z początkiem XIX w.) ustawicznie imponowali pogardą śmierci — a o w. XV chyba zbyt czczone mówić. Pocóż jednak wytykać pomniejsze anachronizmy, gdy ów protestantyzm Joanny jest takim, jak wszystkie szekspirowskie razem wzięte?

Lecz wróćmy do zalet sztuki. Przeprowadzenie akcji jest bez zarzutu, efekty sceniczne bardzo szczęśliwe. Weźmy np. zakończenie obrazu VI. Stogumber wybiegł z zamiarami samobójczymi, Warwick posłał za nim francuskiego mnicha, aby czuwał nad szaleńcem. Wracając od drzwi, staje oko w oko z katem.

WARWICK: No, człowiecze — kto jesteś?

KAT (z godnością): Nie mówi się do mnie „człowiecze“, milordzie. Jestem sławetny kat miasta Rouen — to sztuka trudna i wysoco subtelna. Przyszedłem donieść waszej miłości, że jej rozkazy spełnione.

WARWICK: Wybaczcie mi, mości kacie — a postaram się, abyście nic nie stracili przez to, że nie będziecie mieli relikwii na sprzedaż. Mam wasze słowo, że nic nie pozostało, ani kosteczka, ani włos, ani paznokiec — prawda?

KAT: Jej serce nie chciało spłonąć, milordzie, ale wszystko, co pozostało, jest na dnie rzeki. Ostatni raz słyszeliście o niej.

Ale Warwick przypomina sobie, co mówili Stogumber i Ladvenu, więc z kwaśnym uśmiechem powtarza:

„Ostatni raz? Hm! Czyżby?“ (*I wonder*).

Pełnym świetnych efektów teatralnych — może zanadto teatralnych — jest epilog. Shaw wyzyskał tu wszelkie moż-

liwości nowoczesnej sceny, operując umiejętnie oświetleniem, obrazami kinematograficznymi pomników, wprowadzeniem między osoby w barwnych strojach XV w. księdza naszych czasów i t. p. Już sam obraz, przedstawiający się oczom widza po podniesieniu kurtyny, musi wywołać bardzo silne wrażenie. Oto Karol VII, o ćwierć wieku starszy, niżemy go widzieli w obrazie V. Spoważniał, jest prawie starcem, ale w gruncie rzeczy pozostał tem samem dzieckiem. Abyśmy o tem nie zapomnieli, przegląda sobie w łóżku ilustrowaną książkę. Szkoda, że widz w niej nie może poznać Bocaccia.

Reżyserja *Regent Theatre*, w którym miałem sposobność widzieć „Świętą Joannę“, zastosowała się do intencji autora, bardzo wyraźnie zaznaczonych dla czytelnika w uwadze początkowej epilogu. Każdy szczegół — błyskawice za oknami, falujące za najłżejszym podmuchem wiatru zasłony, chwiejące się płomyki barwnych świec woskowych, odpowiednio dobrana tonacja obrazów — wszystko przygotowuje na zjawienie się duchów.

Zdaje się bowiem, że im bardziej Shaw zbliża się do owej chwili, w której człowiek staje się czystym duchem, tem chętniej wprowadza duchy do swych utworów. Nie żeby w nie wierzył. Broni mu tego materialistyczny pogląd na świat, wedle którego jest tylko nieśmiertelność gatunku. Gdy zjawi się Joanna, Karol zapyta się wyraźnie, czy ona jest duchem, i usłyszy w odpowiedzi:

„Ani tem nawet, chłopcze. Czy biedna spalona dziewczyna może mieć duszę? Jestem tylko snem, który śnisz“.

Później usłyszymy z jej ust, że „wydostała się z ciała“, ale Shaw nie ma chyba na myśli nieśmiertelności indywidualnej. Jeżeli zjawia się angielski żołnierz, wypuszczony chwilowo z piekła, nie jest to dowodem, aby autor wierzył w piekło. Swego czasu wprowadził je już w formie snu w „Człowieku i nadczłowieku“. Tak samo tu posłuży ono do sze-

regu dowcipów— przedewszystkiem usłyszymy, że po piętnastu latach wojaczki we Francji człowiek doskonale czuje się w piekle, potem, że wogóle nie jest tam zbyt nieprzyjemnie, bo ma się uczucie, jakby się bez trudu i kosztu picia wciąż było pijanym, wreszcie, że pełno tam papieży, cesarzy i królów. Idąc za przykładem Marlowe'a w *Fauście*, Shaw używa pojęć chrześcijańskich jako literackiej konwencji, trafiającej do współczesnych umysłów. Tak samo poeci odrodzenia używali mitologii. Zagłoba powiedziałby o tem: „Ubrał się djabieł w komżę i ogonem na mszę dzwoni“.

Ale ludzie wierzący miewają wątpliwości. Bądźmy pewni, że i niewierzący Shaw musi mieć swoje. Inaczej duchy zapewne nawet nie przyszłyby mu na myśl.

Ladvenu przynosi Karolowi wieść o rehabilitacji Joanny, ten przyjmuje ją obojętnie i oburza na siebie starego mnicha, który odchodzi, mówiąc, że odtąd będzie unikał pałaców i królów. Wnet zjawia się sama Joanna. Uspokaja strwożonego Karola, zapewniając go, że to tylko sen, poczem gawędzi z nim o różnych przedmiotach. Nagle na wzmiankę o tem, że na miejscu jej stosu wzniesiono krzyż dla wiecznej pamięci o niej i dla jej zbawienia, rzuca słowa: „To pamięć i zbawienie uświęcają krzyż, a nie krzyż uświęca pamięć i zbawienie. Ja przetrwam krzyż“. Zdaje się, jest to nieco mętnie wyrażona myśl, że etyka czynna i twórcza przetrwa chrześcijaństwo.

Schodzą się później duchy zmarłego i znieważonego po śmierci Cauchona, żyjącego i śpiącego spokojnie w swym zamku Dunois, żołnierza-potępieńca, żyjącego Stogumbera, kata i Warwicka. Stary ksiądz angielski wciąż mówi o tem, że był okrutny, bo nie wiedział, jak okrucieństwo wygląda. „Czyż cierpienia Pana naszego Chrystusa ci nie wystarczyły?“ — pyta go Cauchon.

DE STOGUMBER: Nie. O, nie, wcale nie. Widziałem je na obrazkach, czytałem o nich w książkach i myślałem, że jestem nimi bardzo

wzruszony. Ale to było na nic; to nie Pan nasz mnie odkupił, ale pewna młoda kobieta, którą widziałem naprawdę spaloną..

Tu Cauchon rzuca głębokie pytanie:

„Czyż co wiek musi w męce ginąć jeden Chrystus, aby zbawić tych, co nie mają wyobraźni?“

Naturalnie ostrze dialogu zwraca się przeciw chrześcijaństwu, które wedle Shaw'a daleko odbiegło od nauki Chrystusa i od tego, co nazywa miłością chrześcijańską.

Joanna wyprowadza wniosek co do siebie samej:

„Więc jeżeli zabiłam tych, dla których on (Stogumber) byłby okrutny, gdyby nie był okrutny dla mnie, to mnie nie nadaremnie spalono, nieprawdaż?“

Kat stwierdza, raz jeszcze, że nie zabił Dziewicy. Jej serce nie chciało spłonąć ani zatonać. Ona „powstała i żyje wszędzie“.

Zjawienie się Warwicka przynosi ulgę dzięki humorystycznemu zwrotowi w dialogu:

WARWICK: Pani, składam powinszowania z powodu rehabilitacji. Czuje, że jestem pani winien przeproszenie.

JOANNA: Ależ proszę o tem nie wspominać.

WARWICK: Spalenie było czysto polityczne. Zapewniam panią, że nie było przeciw pani osobistej niechęci.

Stwierdza dalej, że „polityczne konieczności są czasem politycznymi błędami“ i że historia będzie o nim pamiętała przez „wzgląd na Joannę, chociaż „szczegóły tego stosunku były może niezupełnie szczęśliwe“.

JOANNA: A może być, że troszeczkę, troszeczkę, ty żartowniszu.

WARWICK: A jednak, gdy panią zrobią świętą, będzie mi pani winna aureolę — tak, jak ten szczęśliwy monarcha winien pani koronę.

Lecz Joanna nie może sobie siebie wyobrazić świętą. Coby też na to powiedziały św. Katarzyna i św. Małgorzata? Ale w tejsze chwili jawi się francuski ksiądz z XX w., aby pokazać akt kanonizacji Joanny, a przytem rozśmieszyć całe towarzystwo strojem i pojęciami naszych czasów. Ukazują

się wreszcie arcybiskup i inkwizytor, poczem następuje apoteoza Joanny. Każdy z obecnych kolejno klęka przed nią, wymawiając formułkę adoracji, zastosowaną do swego charakteru i roli w dramacie.

Nie na tem jednak koniec. Następuje silny efekt, będący satyrą na chrześcijaństwo, na wiek XX i wogóle na naturę ludzką. Joanna zapytuje wszystkich, czy chcą, aby powstała z martwych. To zmartwychwstanie jest symbolem nowego świata miłości i pokoju, którego pojęcie niestety z całą pewnością kojarzy się u Shaw'a z ustrojem marksowskim i z kosmopolitycznym państwem przyszłości.

Łatwiej modlić się do świętej, niż mieć ją koło siebie na ziemi. Duchy zaczynają rozplýwać się w ciemności. Cauchon mówi: „Zawsze lepiej, aby heretyk nie żył, a śmiertelne oczy nie umieją rozróżnić świętego od heretyka. Oszczędzaj ich“. Warwick stwierdza, że choć konieczności polityczne w pewnych wypadkach prowadzą do błędów, mają jeszcze głos rozstrzygający. Inkwizytor uważałby zniesienie św. Oficjum za przedwczesne. Kat musi dbać o interesy swego za wodu, o żonę i dzieci. Nawet ksiądz z XX w. udaje się do Rzymu po nowe instrukcje, bo tam nie zastanawiano się nad możliwością zmartwychwstania świętej. Karol wprawdzie żałuje opuszczonej Joanny, ale mimo to kładzie się spać. Przy Dziewicy zostaje tylko żołdak potępieniec, ale ten z uderzeniem dwunastej będzie musiał powrócić do piekła.

JOANNA (do żołnierza): A ty, mój jeden wierny? Jaką ty pociechę masz dla św. Joanny?

ŻOŁNIERZ: No, czyż oni wszyscy dorośli do ciebie, ci królowie, wodzowie, biskupi, adwokaci i wszyscy im podobni? Ot, zostawiają cię w rowie, byś się na śmierć skrwawił, a potem spotykasz ich tam na dole — mimo wszystkich tonów, jakie sobie nadają. Powiadają, że ty masz do swoich pojęć równie dobre prawo, jak oni do swoich, a może lepsze. (*Zabierając się do wykładu na ten temat.*) Widzisz, to jest tak: Jeżeli — (*nadlatuje łagodny dźwięk pierwszego uderzenia odległego dzwonu*). Wybacz mi, rzecz nie cierpiąca zwłoki. — (*Wychodzi na palcach.*)

JOANNA. O Boże, któryś stworzył tę piękną ziemię, kiedy będzie ona gotowa na przyjęcie twoich świętych? Jak jeszcze długo, Panie, jak jeszcze długo?

Zakończenie jest tak zręcznie zrobione, że zapomina się chwilowo, kto to mówi. Bo mówi w gruncie rzeczy nie fantazja, uskrzydłona uczuciem, ale mózg, oplatający snutemi z namysłem niemi propagandy. Bądź co bądź, choć Shaw'owi zawsze gdzieś w odległości wieków lśni światelko socjalistycznego porządku świata, czuje się, że i tu, jak wszędzie, silną stroną dramaturga jest negacja i satyra. Wszakże romantycy zrywali Boga z tronu dłonią rozkutego Prometeusza, sprzymierzali się przeciw Niemu z Lucyferem, wyzywali Go do walki na serca, gdy ziemski chaos i ziemskie cierpienia podszeptęły im myśl, że tam wgórce niema sprawiedliwości ani dobroci, a Shaw napisał tylko „Blanka Posnet“, satyrę na dobroć i sprawiedliwość Boga, zestawiając Jego sądy ze ślepotą i namiętnością ziemskiego sądu w najniedoskonalszej formie, a gdy pod koniec tej silnej sztuki przeszedł od negacji do pozytywnej koncepcji, to chrześcijańskiemu Bogu przeciwstawił własnego — Siłę Życiową. W „Świętej Joannie“ żywił satyry metafizycznej spotykamy tylko w zakończeniu.

Dramat był naprzód wystawiony w Ameryce, a dopiero potem w Anglii. Miał i tu i tam powodzenie, ale w Ameryce większe. Nic dziwnego. Amerykańska publiczność, mniej posiadająca tradycji, mniej też musiała być czuła na anachronizmy i lepiej przelykała fałszywą historjozofję, a wytrzymalsza też jest z pewnością na sceny w rodzaju rozmowy Warwicka z Cauchonem. W Anglii „Święta Joanna“ stała głównie grą sławnej Sybilli Thorndike, dla której rola tytułowa niewątpliwie była pisana. Zresztą kto ma te same przekonania, co Shaw, i nie zraża się błędną historjozofją, komu historyczna postać Joanny nic nie mówi, kto potrafi zapomnieć o myślowym szkielecie dramatu i nie kojarzyć wzniosłych ostatnich słów epilogu z doktrynami Shaw'a, temu

sztuka da wiele przyjemności estetycznej, Każdy zaś musi jej przyznać dobrą robotę sceniczną, szereg wybornych efektów i dużo dowcipu. Ma też „Święta Joanna“ tę zaletę, że pobudza do myślenia. Choć jako całość nie dosięga poziomu najlepszych sztuk Shaw'a, jak „Cezar i Kleopatra“, „Major Barbara“, „Druga wyspa Johna Bulla“, „Broń i człowiek“, „Kandida“ lub „Pigmaljon“, z pewnością nie przynosi mu ujmy.

KWESTJA ŻYDOWSKA W ANGLJI.

I.

Tytuł niniejszego szkicu może wywołać zdziwienie. Jakto? — zawoła ktoś — w Anglji jest kwestja żydowska? W tym klasycznym kraju asymilacji, gdzie Żyd nie różni się od reszty ludności strojem, językiem, trybem życia? W kraju, gdzie zresztą Żydów jest tak mało, a ci, którzy są, mają dostęp do najwyższych stanowisk i rzeczywiście je osiągają?

Wszystko to prawda. Każdy Żyd angielski, zapytany o narodowość, odpowie „Jestem Brytyjczykiem“. Nie słyszy się na miejscach publicznych żargonu, a widząc chałatowca, można być pewnym, że to gość ze wschodu Europy i że długo nie zabawi albo wnet upodobni się zewnątrznie do ogółu. Ale jest faktem, że w sprawach ogólno-żydowskich — jak kolonizacja i zarząd Palestyny, jak wykonanie traktatu o mniejszościach, jak ekonomiczne położenie Żydów w poszczególnych krajach, jak prawdziwe czy mityczne pogromy — panuje wśród Żydów, zamieszkałych w Wielkiej Brytanji, podziwu godna jednomyślność oraz solidarność, i to bez względu na to, gdzie kto się urodził i jak długo bawi w ojczyźnie Szekspira.

Istnieje cały szereg odrębnych żydowskich instytucyj, utworzonych za zgodą państwa i korzystających z jego opieki. Tuż koło Muzeum Brytyjskiego wznosi się potężny gmach organizacji syjonistycznej, nieopodal jest gimnazjum hebrajskie,

coraz więcej widzi się hebrajskich szyldów. Szczególnie często wabią nimi Żyda koszerne restauracje.

Ciekawego świadectwa może dostarczyć nawet armia angielska. Gdy Wielka Brytania w czasie wojny światowej ogłosiła zamiar stworzenia państwa żydowskiego w Palestynie, sformowały się w jej służbie trzy żydowskie pułki. Istnieją i nadal. Nie dawniej, niż 24 maja 1925, w sam *Empire Day*, t. j. w dzień uroczystości i powszechnych manifestacyj na cześć imperjum brytyjskiego otrzymały w synagodze na Duke Street wobec licznego grona dostojników cywilnych i wojskowych nowe sztandary.

Gdyby asymilacja rzeczywiście czyniła większe postępy, zniknęłyby stopniowo objawy odrębności, tymczasem liczba ich nietylko nie maleje, lecz wzrasta. Wszystko wskazuje na to, że każdy prawie Żyd angielski ma w najlepszym razie dwie narodowości.

Encyclopaedia Britannica z r. 1904 ustala liczbę Żydów brytyjskich na 150 tysięcy, a wedle ostatnich danych statystycznych liczba ta nie przekroczyła 350 tysięcy. Byłaby to więc kropla w morzu. Ale rzuca się w oczy, że w ciągu lat dwudziestu wzrosła ona nawet wedle źródeł urzędowych z górą o 100%. Co więcej, nie może być najmniejszej wątpliwości, że źródła te podają cyfrę niższą od rzeczywistej, a to z następujących powodów. Przy spisach ludności znaczna część Żydów w rubryce „religja“ pisze *agnostic* (bezwyznaniowy) i przez to znika jedyne kryterjum. Nadto stale przebywa w Anglii poważna ilość Żydów, którzy są obcymi obywatelami — tak np. sam Londyn gości ich za polskimi tylko paszportami dwadzieścia kilka tysięcy.

Jeżeli idzie o wpływ w życiu ekonomicznym i idący z nim wpływ polityczny, to trzeba wprawdzie przyznać, że znaczna część Żydów angielskich jest nędzarzami, ale i tak okaże się, że zgromadzone w ręku narodu wybranego kapitały są znacznie większe, niżby można spodziewać się na podstawie jego odsetki. Pozostawiam w tej sprawie głos

pisarzom, których dzieła będę omawiał, sam zaś ograniczę się do skreślenia wrażeń, jakie odnosi cudzoziemiec przy zwiedzaniu Londynu. Zaznaczyć przedtem należy, że poza paru wielkimi miastami fabrycznymi i handlowymi, Żydzi koncentrują się prawie wyłącznie w stolicy i ta stanowi bez porównania największe ich skupienie na ziemi brytyjskiej, w Szkocji zaś np. niema ich zupełnie.

Parę dzielnic londyńskich należy do Żydów niepodzielnie. Nie trzeba chyba wspominać o Whitechapel, znanem z tego oddawna. Lecz kto, zachęcony reklamą, wybierze się do „największego na świecie kina“ w Shepherdsbush, ujrzy się w ogromnej rzeczywiście sali otoczonym samemi żydowskimi twarzami i stwierdzi, że urozmaicająca program orkiestra składa się w całości z Żydów. W Golder's Green, gdzie w pobliżu londyńskiego krematorium leży cmentarz hiszpańskich Żydów, potomkowie ich stanowią zapewne większą część ludności. Przybywa ich ustawicznie w Hampstead, gdzie na niektórych ulicach sklepy chrześcijańskie należą do wyjątków — i t. d.

Przemysł fryzjerski, z którym w Anglii łączy się zawsze handel tytoniem, jest wyłącznie w żydowskich rękach. Coraz też więcej żydowskich restauracyj. Charakterystyczną cechą Londynu są tanie jadłodajnie, będące równocześnie cukierniarniami. Anglik jada najczęściej w południe poza domem, więc są one w tej porze przepełnione. Istnieje kilka towarzystw akcyjnych, które usiały Londyn licznymi lokalami tego typu. Lecz ani *A. B. C.* ani *Express Dairy Company* nie rozwinęły się tak, jak olbrzymie przedsiębiorstwo Lyonsa. Ojciec obecnego właściciela miał przywędrować z Polski czy z krajów zabranych jako ubogi wschodni Żydek. Syn ma tytuł *Sir*, zwyż pół tysiąca lokali i zatrudnia ponad 30 tysięcy kelnerów. Jego popularności nie zachwiały nawet przykry wypadek, jaki zdarzył się w r. 1924 na wystawie w Wembley, gdzie zasłabło nagle pośród objawów zatrucia sto kilkadziesiąt osób i stwierdzono, że wszystkie jadły u Lyonsa.

Za przykładem Ameryki Żydzi wykupują kina i odgrywają coraz większą rolę w prasie. Potęgą jest w niej lord Cassel, którego ojciec, pochodzący z Niemiec, dorobił się znacznego majątku, pożyczając pieniędzy późniejszemu Edwardowi VII. O innych potentatach prasowych będzie mowa poniżej.

Nie zatracają poczucia rasowej przynależności Żydzi, którym majątek czy uzdolnienie pozwoli dojsć do tytułu lub do wysokich godności państwowych. Konstytucja angielska rezerwuje dla członków kościoła anglikańskiego tylko dwa stanowiska. Człowiek innego wyznania nie może być królem, ani lordem kanclerzem, t. j. głową sądownictwa angielskiego — jest to urząd pod pewnemi względami wyższy od urzędu premiera. Poza tem Żydzi piastowali już wszelkie godności. Z górą pół wieku upłynęło od czasu, kiedy hr. Beaconsfield (Benjamin Disraeli) został pierwszym ministrem, lord Reading (Rufus Isaacs) był doniedawna wicekrólem Indyj, a w gabinecie zasiada paru Żydów.

Arystokracja angielska chętnie łączy się węzłami krwi z żydowskimi potentatami finansowymi. Lord Balfour był dwukrotnie żonaty — oba razy z Żydówką. Można śmiało powiedzieć, że obecnie tylko niewielka część starych rodów magnackich nie ma przymieszki krwi żydowskiej.

Nikt też prawie z Żydów, którym powiodło się wybić w społeczeństwie, nie wstydzi się i nie ukrywa swego pochodzenia. Już Disraeli powiedział, że „jego przodkowie byli książętami Izraela w czasie, gdy rdzenni Brytonowie biegali z pośladkami, pomalowanemi na niebiesko“¹.

A ile w jego powieściach żydowskiego sentymentu! Weźmy jako przykład „Tankreda“. Bohater, syn angielskiego księcia, czuje się powołanym do wielkich czynów. Niezad-

¹ Pierwotna ludność Anglii miała odznaczać się zamilowaniem do niebieskiego koloru i używać niebieskich strojów, szczególnie przy uroczystościach.

wolony z otaczającego życia, marzy, iż otrzyma jakieś objawienie i stanie się twórcą nowej religji, która odrodzi Anglję i świat cały. Po to objawienie wyrusza do Palestyny, bo czuje „że życie i własność angielska są pod opieką praw z góry Synaj“, że „ciężko pracującemu ludowi angielskiemu prawa z góry Synaj zapewniają co tydzień jeden dzień spoczynku“, że „lud angielski zwraca się po pociechę i współczucie“ do harfy Dawidowej. A jednak — rozmyśla dalej młody arystokrata — jego ziomkowie „prześladują Żydów¹, którym winni wzniosłe prawodawstwo, łagodzące nieunikniony los mas pracujących“. Tankred Montacute rusza więc na wschód na „nową krucjatę“, a wszelkich wskazówek i pomocy udziela mu żydowski bankier Sidonia, który przy pomocy bajecznych bogactw trzęsie światem, a nie zapominając o swym narodzie, wszędzie opiekuje się Żydami. Tankred po przebyciu różnych przygód spotyka w Bretanii piękną i inteligentną Żydówkę, wygłaszającą następujące poglądy:

Czyż to cud, że Jehowa czuwa nad Swym ludem? A czyż może lepiej nad nim czuwać, niż przez to, że obdarza go zdolnościami, przewyższającymi zdolności narodów, pośród których żyje?

Młody lord oświadcza się tej syjonistce, wtem otrzymuje wiadomość, że jego rodzice przybyli do Jerozolimy — i na tem powieść się urywa. Oto marzenia zasymilowanego Żyda na pięć lat przed osiągnięciem przez niego stanowiska premiera W. Brytanji...

Szlachta czy arystokracja pochodzenia żydowskiego przeważnie zachowuje swą religję, patronuje ruchowi syjonistycznemu, krótko mówiąc, tak samo ma dwie narodowości, jak reszta Żydów angielskich.

Niema tedy najmniejszej wątpliwości, że kwestja żydowska w Anglji istnieje. Natomiast społeczeństwo naogół słabo sobie z niej zdaje sprawę. Posiadało zawsze potężną

¹ Pierwsze wydanie „Tankreda czyli Nowej krucjaty“ wyszło w r. 1847, a Żydzi otrzymali równouprawnienie polityczne w r. 1858.

siłę asymilacyjną i duma narodowa nie pozwala mu uwierzyć, aby znalazł się ktoś, zdolny się oprzeć. Odkąd zresztą na-przód handel światowy, a później imperjum światowe prze-pełniło wielkie miasta, a szczególnie Londyn, przedsta-wicielami wszelkich ras i szczepów, Anglik stracił czułość wzroku na odrębne typy antropologiczne.

Gdyby jednak kwestja żydowska nie istniała, nie po-święconoby jej z pewnością w ostatnich latach tyle uwagi w literaturze. Nie będę tu katalogował i przedstawiał wszyst-kich publikacyj, wybieram do szczegółowego omówienia jedną, a jej streszczenie uzupełnię dokładniejszymi wzmian-kami o paru innych.

Ostatnim ważniejszym głosem były poglądy profesora Sarolea, wypowiedziane w jego „Wrażeniach z Rosji so-wieckiej“. Autor niewątpliwie posiada dostateczną dozę taktu i odwagi cywilnej, aby zabierać głos w kwestjach drażli-wych, jego wywody są więc równocześnie rzeczowe, spo-kojne i śmiałe. Polską publiczność może szczególnie zainte-resować, ponieważ zajmuje się wschodem Europy, posiada pewną znajomość naszego życia i znany jest z przyjaznych uczuć dla nas, a rozpatrując zagadnienie przyszłości Żydów, zwrócił baczną uwagę na ich stosunek do państwa i społeczeństwa polskiego.

Książka prof. Sarolea pozostanie jednak poza ramami niniejszego szkicu, a to z następujących powodów: Przed-e-wszystkiem każdy Polak może obecnie bezpośrednio się z nią zapoznać, była też przedmiotem sprawozdań i recenzyj w na-szej prasie. Nadto, jakkolwiek autor zajmuje katedrę na uni-wersytecie edynburskim, jest Belgiem. O kwestji żydowskiej mówi właściwie tylko ubocznie. Nie czyni przytem punktem wyjścia Anglii. Wreszcie jest niewątpliwie zależny od swych angielskich poprzedników. Z Belloc'iem zgadza się we wszyst-kich ważniejszych punktach, uzupełniając tylko jego poglądy praktycznymi wnioskami.

Wybierając zresztą do dokładniejszego streszczenia

„Żydów“ Belloca, kierowałem się i względem, że dorzuci ono szereg ważnych szczegółów do charakterystyki tego niepospolitego pisarza i obrazu jego poglądu na świat.

II.

Sprawozdanie o poważnem dziele autora „Marji Antoiny“ należy poprzedzić przykładem typowej książki antysemitycznej, starającej się przemówić nietyło do umysłów, ile do temperamentów. Będzie ona dowodem, że i w Anglii nie brak zapatrywań skrajnych.

T. W. H. Crosland, autor *The Fine Old Hebrew Gentleman* (1922), może posłużyć za przykład Anglika, który, mówiąc o kwestji żydowskiej, tak wypadł z równowagi, że zamiast wyliczać fakta i opierać na nich teoretyczne wnioski i praktyczne wskazania, dał poprostu upust złości. Odnosi się wrażenie, że celem było poprostu powiedzenie Żydom i ich przyjaciółom jak największej ilości nieprzyjemnych rzeczy. Przyczyną mogła być wrodzona napadziłość publicysty, rąbiącego już i poprzednio z niesamowitym rozmachem na prawo i na lewo, a także stan jego zdrowia, gdyż pisał na krótko przed śmiercią, w końcowym okresie choroby cukrowej.

Że książka jest niepoważna, dowodzi sam jej początek, w którym Crosland oznacza odsetkę Żydów pośród ludności W. Brytanji na 3. Do tej dziwnej cyfry doszedł przez to, że oparł się na statystyce urzędowej i pomylił się o jedno zero, gdyż wynik dzielenia powinien być być tylko 0·3%. Od pomyłki matematycznej ciekawszym musi wydać się fakt, że autor mimo całego swego antysemityzmu nie zdał sobie sprawy z konieczności pomnożenia cyfry, wziętej z urzędowej statystyki przez dwójkę, jeżeli nie przez trójkę.

Są w tej książce i inne błędy faktyczne, gdyż Crosland lepiej widocznie zna stosunki angielskie od światowych. Lenina uważa za Żyda. Natomiast o ile idzie o samą Anglję,

można tu znaleźć dużo ciekawych rzeczy, których prawdziwość nie ulega wątpliwości, ponieważ stale poparte są cytataami ze sprawozdań parlamentarnych i z prasy.

Wybieram szczegóły, odnoszące się do Lloyd'a George'a, bo dzięki zasłużonej sympatji, zdobytej u nas przez tego męża stanu, mogą zainteresować polskiego czytelnika. Crosland mottem swej książki uczynił złośliwą parafrazę sławnych słów, wypowiedzianych przez Lloyd'a George'a w dyskusji nad jedną z ustaw o opiece nad inwalidami i wogóle byłymi żołnierzami. Sławny polityk wyraził się był wówczas z demagogiczną emfazą:

„Starajmy się zrobić Anglię krajem, w którymby dobrze było żyć bohaterom“.

Crosland zmienia tylko jeden wyraz, podstawiając inny, nawet dźwiękowo podobny. Zamiast *heroes* (bohaterowie) kładzie *Hebrews* (Hebrajczycy).

Że Lloyd George podczas konferencji w Cannes mieszkał u żydowskiego bankiera Sterna, że różnych zagranicznych dyplomatów przyjmował często w willi żydowskiego milionera Sassoon¹, to są rzeczy, znane dość dobrze i u nas. Ciekawszą będzie relacja o t. zw. *Marconi Scandal*, w którym główną rolę odegrał obecny lord Rufus Isaacs, kilkoletni wicekról Indyj, a wówczas Sir Rufus Isaacs, prokurator generalny (*attorney general*)².

Amerykańska spółka *Marconi Wireless Telegraph Company* starała się o doniosłe koncesje w Anglii. Na krótko przed ich udzieleniem (w maju i w czerwcu r 1912) trzej członkowie rządu kupili po kilka tysięcy udziałów. Byli to Isaacs, lord Murray of Elibank i Lloyd George, który później

¹ Sassoon posiada olbrzymie kapitały, ulokowane na bliskim Wschodzie, i wywiera tam, jak Sidonia z powieści Disraelego, potężne wpływy. Jest tam mniej więcej tem, czem Rotschildowie w Europie.

² Prokurator generalny zwykle, choć nie z reguły, zasiada w gabinecie i Isaacs w owym czasie w nim zasiadał.

sprzedał swe udziały z zarobkiem około 100%. Lloyd George i Isaacs przeprowadzali jeszcze i inne operacje tego samego rodzaju. Głównie przeciw drugiemu zwracał się wniosek lorda Roberta Cecila, zawierający groźną formułę:

Jesteśmy zdania, że prokurator generalny popełnił poważną niewłaściwość, nabywając korzystnie udziały amerykańskiej *Marconi Company* za radą i informacjami, podówczas niezupełnie dostępnymi dla ogółu, a otrzymanymi od naczelnego dyrektora angielskiej *Marconi Company*.

Lecz Lloyd George zdołał zapobiec przyjęciu wniosku przez Izbę Gmin, a później za czasów swej wszechwładzy przeforsował mianowanie Isaacs'a wielkim sędzią (*Lord Chief Justice*) — drugie stanowisko w sądownictwie angielskim. Przy tej sposobności jedna z gazet wystąpiła z poważnym zarzutem przeciw Sir Rufusowi. Mianowicie miał on niegdyś, chcąc zostać członkiem giełdy londyńskiej, złożyć fałszywą deklarację co do swego wieku. Zarzut poparty był cytatami z dokumentów. Nikt go nigdy nie odparł, a Lloyd George ostatecznie uwieńczył świetną karierę Isaacs'a tytułem lorda¹ i godnością wicekróla Indyj.

Wogóle można znaleźć u Croslanda ciekawe informacje o szeregu znanych w życiu angielskim osobistości. Dowiadujemy się, że lord Beaverbrook, właściciel potężnej grupy gazet (o różnym zabarwieniu politycznym, ale zwykle jednomyślnych w sprawach ekonomicznych), przywędrował w swoim czasie z Kanady jako skromny Max Aitken.

Poza tem książka obraca się w zakresie jadowitej humorystyki, bo trudno inaczej określić opowiadanie o tem, jak autor, idąc w dniu 14 stycznia 1922 z Haymarket do rogu Piccadilly, a orjentując się wedle nosów i uwzględniając tylko płęć brzydka, naliczył aż 217 Żydów.

¹ Należy odróżniać wirylistów, do których stanowisk przywiązany jest tytuł lorda i miejsce w Izbie Wyższej, od dziedzicznych parów. Isaacs jako wielki sędzia nie był jeszcze prawdziwym lordem.

Może publicystyczne wystąpienia w rodzaju książki Croslanda mają pewną wartość przez to, że zwracają uwagę na doniosłość kwestji żydowskiej i demaskują pewne znane osobistości. Stanowczo jednak robią więcej złego, niż dobrego. Nic innego nie możnaby o nich powiedzieć nawet z czysto antysemitckiego stanowiska. Podsycają zawziętość po obu stronach, obracają rzecz poważną w żart i są wodą na młyn nieuczciwych publicystów, którzy bronią ludzi w rodzaju dzisiejszego wicekróla Indyj jedynie ze względu na ich żydowskie pochodzenie. Cóż bowiem łatwiejszego, niż wskazać na zjadliwy, uprzedzeniem tchnący ton książki i na jej nieścisłości, aby na tej podstawie ze wzgardliwym wzruszeniem ramion przejść do porządku także nad podanymi w niej prawdziwymi faktami?

Nawiasem mówiąc, gdy wkrótce po ukazaniu się „Hebrajskiego dżentelmena“ w handlu księgarskim Crosland uległ swej chorobie, prasa angielska przemilczała zupełnie wiadomość o jego zgonie.

III.

Rzecz łatwo zrozumiała, że pisarze, interesujący się kwestjami społecznymi, nie mogli pozostać obojętnymi na kwestję żydowską. Zobaczmy więc, jak wygląda ona u pięciu wybitnych literatów, omówionych w jednym z poprzednich szkiców.

Poza drobnymi i nie zasługującymi na uwagę wzmiankami Galsworthy poświęcił jej dramat *Loyalties*, niedawno grany w Warszawie i obszernie omawiany w prasie. Przy tej sposobności sztukę albo brano mniej więcej tylko z teatralnego stanowiska lub czyniono punktem wyjścia do własnych wywodów o kwestji żydowskiej. Nie mam zamiaru wdawać się ani w jedno, ani w drugie, spróbuję tylko określić stanowisko Galsworthy'ego.

„Lojalność“ (tak przetłumaczono u nas tytuł¹) jest dramatem sądowym, napisanym jakgdyby poto, aby dać Żydom zadośćuczynienie za „Kupca weneckiego“. W sztuce reprezentuje ich wzbogacony na wojnie i torujący sobie drogę w eleganckim towarzystwie angielskim De Levis. Naprzeciw niego stoi kapitan Dancy, mający za sobą zaszczytną karierę polową i należący z urodzenia do tego towarzystwa. Lecz dzięki stosunkom majątkowym De Levis jest coraz milej widziany, Dancy'emu coraz trudniej utrzymać się na odpowiedniej stopie życia. Popołnia więc kradzież. Autor czyni wszystko, co może, aby zgromadzić okoliczności łagodzące, które umożliwią żonie kapitana i szeregowi innych osób wzięcie jego strony bez względu na silne poszlaki i dotrwanie w towarzyskiej lojalności nawet, gdy jego wina stanie się jawną.

Dancy posiadał konia wyścigowego, którego nie mógł utrzymać, zrobił więc z niego prezent De Levisowi. Ten po jakimś czasie sprzedał konia za blisko 1000 funtów. Zaszło to właśnie w chwili, gdy Dancy był w krytycznym położeniu. Potrzebował pieniędzy dla Włocha, z którego córką miał być stosunek, gdyż ten groził skandalem, a przede wszystkim wyjawieniem całej historii żonie kapitana. Przyparty do muru, Dancy zapewne sofistycznie wytłumaczył sobie, że owe pieniądze są naprawdę jego własnością, i zabrał je sobie — nawet nie bez pewnej złodziejskiej chytryści. Działo się to w eleganckim wiejskim domu wspólnych znajomych.

De Levis zorjentował się i wystąpił z oskarżeniem. Dancy ujrzał się zmuszonym wytoczyć proces o oszczerstwo. Nazwał przeciwnika publicznie „przeklętym Żydem“ i podniecił jego zawziętość. Mimo całego moralnego poparcia ludzi ze sfery kapitana sprawa wzięła dla niego obrót nie-

¹ Liczba mnoga w oryginalnym tytule odnosi się do różnych rodzajów lojalności u poszczególnych osób sztuki.

pomyślny. Jak w procesie Wilde'a, adwokat cofnął się w chwili, gdy przekonał się, że jego klient jest winien — i Dancy skończył samobójstwem.

Mieliśmy w „Kupcu weneckim“ Żyda, okazującego w chwili pozornego triumfu bezwzględność, posuniętą do niesłychanego okrucieństwa, a potem pogwałconego. Galsworthy stwarza odwrotność tej sytuacji. Jego De Levis — bez względu na to, jak go może pojmować ten lub ów aktor i publiczność — posiada prawość, przenikliwość i dumę, brak mu tylko delikatności i subtelności towarzyskiej. W chwili, gdy nad Dancym po katastrofie sądowej wisi aresztowanie, De Levis przychodzi go ostrzec — i ów adwokat, który musiał być lojalniejszym wobec poczucia sprawiedliwości, niż wobec klienta, chwali go za to, ale De Levis rzuca odpowiedź:

Proszę sobie fałszywie nie tłumaczyć mego postępowania... Nie przyszedłem dlatego, jakobym czuł się chrześcijaninem. Jestem Żydem. Nie wezmę pieniędzy — nawet tych, które mi zostały ukradzione. Dajcie je na cel dobroczynny. Dowiodłem, że mam słuszność — a teraz koniec z tą przekłętą sprawą. Moje uszanowanie.

Ale jest w sztuce miejsce bardziej charakterystyczne. Numery skradzionych banknotów są znane, więc adwokat, wierząc jeszcze w niewinność Dancy'ego, ogłosił, że poszukuje się ich posiadacza. Spodziewa się tym sposobem wykryć prawdziwego złodzieja. I rzeczywiście po krótkim czasie przychodzi do niego kupiec Gilman. Ta postać epizodyczna ma najwidoczniej reprezentować opinię przeciętnego niewykształconego Anglika o Żydach. Galsworthy dał mu gminną wymowę (*Ebrews* zamiast *Hebrews*). Gilman zna dobrze sprawę z gazet i chciałby dopomóc Dancy'emu, a spowodować pogwałcenie De Levisa. Jest bowiem antysemitą:

Nie lubię... Żydów. Pracują ciężiej od nas, są trzeźwiejsi, są uczciwi — i pełno ich wszędzie. Nie mogę im nic zarzucić, ale fakt faktem — oni tak się dorabiają...

Podobne wyjaśnienie źródła antysemityzmu jest mocno powierzchowne. Polska w swym rozwoju politycznym i kul-

turalnym pozostała daleko za Anglią. Ale w stosunku do Żydów zaszła dalej, gdyż dłużej ma ich w znaczniejszej liczbie u siebie. Stąd Anglia jest obecnie w okresie sentymentalno-racjonalistycznych złudzeń, reprezentowanych u nas np. przez Korzeniowskiego, a później przez Orzeszkową. Ich typowym przedstawicielem jest Galsworthy, którego poglądom nie zabarwiła wyraźniej żadna zdeklarowana doktryna społeczna.

W „Lojalności“ antysemita Gilman przyczynia się do zguby Dancy'ego i zwycięstwa De Levisa, gdyż jego banknoty pozwalają wykryć tajemnicę wymuszenia, które popełnił na kapitanie Włoch. Jest może w tej sytuacji pewna filosemicka symbolika... W każdym razie znalazła ona sympatyczny oddźwięk u żydowskiej publiczności.

Shaw i Wells dość niechętnie poruszają kwestję żydowską, bo w socjalistycznym poglądzie na świat niema właściwie miejsca na kwestje narodowościowe. Wells więc pomija ją prawie zupełnie, Shaw przeważnie obraca ją w żart. Jeżeli bowiem słyszymy, że Cezar, na którego czeka okręt w aleksandryjskim porcie, przyjdzie dopiero za chwilę, bo musi naprzód załatwić kwestję żydowską, służy to z pewnością do charakterystyki Cezara, ale przytem jest doskonałym dowcipem i budzi burzę śmiechu. Widz pomyśli sobie, że kwestja żydowska istniała już za czasów Cezara, że już wtedy ją załatwiano, że później czyniono to po tysiąc razy i że jeszcze wciąż czeka załatwienia. Lecz Shaw musiał myśleć co innego, mianowicie: Dajcie nam spokój z tem, co już Cezar raz załatwił.

Paroksalna postać Mendozy w „Człowieku i nadczłowieku“ ma zapewne również za podkład tendencję obrócenia w żart kwestji żydowskiej. Poza tem Shaw parokrotnie zaznacza wiarę w żydowskie zdolności organizatorskie (po raz ostatni w „Zpowrotem do Matuzala“) i żydowską solidność handlową. Ale raz wzmianka tego drugiego rodzaju ma charakterystyczną szatę ironiczną, gdyż towarem jest Joanna

d'Arc, którą Warwick przy pomocy złota dostaje w ręce. Shaw stawia kwestję mniej więcej tak: Zamówienie przyjąłby każdy handlarz, ale tylko Żyd, przyjąwszy je, naprawdę dostrzymuje zobowiązania.

Chesterton jest zdeklarowanym antysemitą. Nie lubi Żydów jako przedstawicieli międzynarodowego kapitalizmu. Bierze ich czasem z humorystycznej strony i podobnie, jak Belloc, operuje odpowiednio dobranymi nazwiskami. Jeszcze w *Tales of the Long Bow* angielskich właścicieli ziemskich, którzy oburzają się na amerykańskiego milionera idealistę za to, że rozdając ziemię ubogim Anglikom, miesza się w stosunki angielskie, nazywa: Rosenbaum Low, Goldstein i Guggenheimer. Do zmysłu humoru u Chestertona przemawia silnie pozowanie żydowskich dorobkiewiczów na starą konserwatywną szlachtę angielską. Ale bierze on kwestję żydowską i poważniej. Zaświadczyć o tem mogą liczne artykuły w *The New Witness* i w *G. K's Weekly*, a przede wszystkim książka „Nowa Jerozolima“ (*The New Jerusalem*, 1920). Są to wrażenia z oddanej Żydom Palestyny, które autor przeplata głębokimi uwagami o Żydach i charakterze żydowskim. „Nowa Jerozolima“ oddziałała poważnie na tych, którzy później zajmowali się problemem narodu wybranego, z drugiej zaś strony ściągnęła na Chestertona szereg ataków ze strony jego przedstawicieli.

IV.

Belloc zabrał głos w kwestji żydowskiej prawie równocześnie z Croslandem, miał jednak już przedtem markę antysemity, częścią dzięki paru postaciom swych satyrycznych powieści, częścią dzięki swemu stanowisku w sprawie Dreyfusa. Zadziwił też wszystkich, ogłaszając dużą książkę, pod której tytułem *The Jews* („Żydzi“) wyczytano ten sam wyraz, wydrukowany hebrajskimi literami, i dedykując ją „swej

długoletniej sekretarce, Miss Ruby Goldsmith, najlepszej i najserdeczniejszej ze swych żydowskich przyjaciół“.

W przedmowie stwierdza, że rozwiązanie problemu wymaga przede wszystkim zerwania z nieszczerością, z jaką go dziś każdy traktuje, i mówienia absolutnej prawdy. Jakkolwiek uwzględnia w pierwszym rzędzie stosunki angielskie, nie ograniczy się do nich. Pragnąc, aby jego wystąpienie wywołało pożądany przewrót w pojęciach, a nie dąsy i polemiczne zacierzewienie, pomija konkretne przykłady. Jest przekonany, że gdyby książkę oddano do oceny jakiejś międzynarodowej komisji, to ta uznałaby ją jeszcze za zbyt umiarkowaną w ustaleniu doniosłości niebezpieczeństwa, na które zwraca uwagę, gdyż kwestja żydowska wbrew wszelkiemu chowaniu głowy w piasek siłą faktu narzuca się po kolei każdemu narodowi.

Obce ciało zawsze wywołuje tarcie w organizmie. Jakże temu zaradzić? Odpowiedź może być dwojaka — przez usunięcie lub przez oddzielenie od reszty organizmu. Usunięcie może polegać na zniszczeniu, na wydaleniu lub na wchłonięciu, oddzielenie może być wrogie lub przyjazne, t. j. oparte na uznaniu. Otóż teza Belloca brzmi: Tylko „przyjacielskie oddzielenie“ rozwiązuje zadowalająco kwestję żydowską, gdyż wszelkie inne sposoby są albo niesłuszne albo niewykonalne.

Zniszczenie wogóle nie nadaje się do dyskusji. Wydalenie nigdy nie będzie zupełne, zresztą sama Anglja może zaświadczyć, że po jakimś czasie następuje powrót. Wchłonięcie jest niemożliwe.

Była chwila, najbliższa tej możliwości, raz w Polsce, raz w Hiszpanji, ...ale najlepsze szanse istniały podczas krótkiego, ale świetnego okresu polityki liberalnej, która zapanowała w Europie na przeciąg trzech ostatnich pokoleń.

A jednak ostatecznie okres ten tylko powiększył odębność. Od r. 200 przed Chrystusem do 200 po Chrystusie istniały w Aleksandrii doskonałe warunki, jeszcze lepsze

w średniowiecznej Polsce lub w nowoczesnej Anglii — rzecz jednak każdym razem spełzła na niczem.

A więc oddzielenie. Wrogię nieraz próbowano i udawało się czasowo, ale „pozostawiało poczucie krzywdy po stronie Żydów i moralne niezadowolenie z siebie samego po drugiej stronie.“ Liczyć więc można tylko na ostatni środek, t. j. oddzielenie przyjacielskie. Każdy zarzut przeciw tej tezie da się sprowadzić do jakiegoś fałszu w założeniu.

Ogromną przeszkodą w rozwiązaniu kwestji jest przede wszystkim odmawianie jej wogóle istnienia. Tak czynili wielcy mężowie rewolucji francuskiej i wychowani w ich duchu liberali. Ostatnim śladem są niektóre paragrafy traktatu wersalskiego, biorące Żydów w opiekę, ale przeczące ich istnieniu, bo zamiast „Żydzi“ mówiące stale „mniejszość narodowa“. Ci sami twórcy traktatu „stworzyli nowiutkie państwo żydowskie, grożąc mieczem większości“. Sądzono po prostu, że najlepiej nie uznawać narodu żydowskiego w wypadkach, gdzie jest to dla Żydów niedogodne, aby go uznawano, a uznawać, gdzie korzystne. Skrajna forma tego poglądu brzmi: „Żyd jest tylko obywatelem innej religji“. Przyjmowano ją ogólnie w latach od 1830 do 1870.

Był to jednak okres zaniku perspektywy historycznej. Wyolbrzymiano doniosłość własnych czasów, a nie zdawano sobie sprawy z tego, że współczesny porządek tak samo podległy jest zmianom, jak wszelkie poprzednie. Dziś jest już jasne, że nie może być równocześnie narodowości żydowskiej i traktowania każdego Żyda tak, jakby do niej nie należał, nie można bowiem „zjeść ciastka i mieć go nadal“. Sentymentalista zawsze błędnie rozumuje, ma bowiem równocześnie wstręt i do zbrodni i do kary, i do nieładu i do policji. A na dnie poglądów XIX w. na kwestję żydowską był zawsze sentymentalizm. Był zresztą tu i owdzie na ich dnie i dawniej.

Przykładem jest wedle Belloca Polska:

Ostatecznie zawsze przychodzi do niszczącej kolizji (*smash*). Żyda witają radośnie w średniowiecznej Polsce; jawi się w poważnej liczbie, wszystko idzie jak najlepiej. Potem nadchodzi rzecz nieunikniona. Żyd i Polak stoją naprzeciw siebie jako nieprzyjaciele, oskarżając się wzajemnie o niesprawiedliwość — jeden woła, że go prześladują, drugi, że państwu zagraża obca działalność w jego wnętrzu.

W Hiszpanji działo się naprzemian jedno i drugie.

Jakże problem wygląda w obecnej fazie? Zbadajmy zarzuty, czynione Żydom. Najważniejsze i najczęściej powtarzane są następujące: Żydzi dążą do władzy, szczególnie w handlu i przemyśle. Działają ze szkodą dla interesów swych gospodarzy i wywołują obcą interwencję. Albo ignorują, albo atakują wszystko, co kochamy, a więc nasze uczucia narodowe, tradycje religijne, ogólną kulturę moralną chrześcijaństwa.

Ostrą formą tych poglądów jest antysemityzm, lecz ten nie istniał prawie za czasów rozkwitu liberalizmu. Żydów wówczas było w państwach zachodnich mało, nie dążyli też do władzy, ani do szerzenia swych doktryn przez prasę. Istniała konwencja, że niczem nie różnią się od otoczenia. Sprzyjał im proces odsuwania od rządu terytorjalnych magnatów przez kapitalistów. Żydzi rzucili się do wolnych zawodów, ale jeszcze nie opanowali byli żadnego. Jeszcze też

nie przyszło było do konfliktu między rasą żydowską a interesami żadnego narodu europejskiego z wyjątkiem może Polaków, ci zaś byli w niewoli i nie mieli głosu.

Rosły wpływy żydowskie mniej więcej od bitwy pod Waterloo aż do wojny francusko-niemieckiej w r. 1870—71. Sprzyjał Żydom rozwój wolnomularstwa, którego cały rytuał ma charakter żydowski. Powstała anonimowa prasa i takież system handlowy.

W tym czasie zaszły także i pewne wypadki asymilacji, a kilku zasymilowanych Żydów odegrało pierwszorzędną rolę w swych społeczeństwach. Z Anglików wymienia Belloc potętów Browninga¹ i Arnolda, z Włochów Mazziniego.

¹ Niewątpliwie błędnie. Browning miał przymieszkę krwi niemieckiej i kreolskiej, ani kropli żydowskiej.

Reakcję wywołała klęska Francji w r. 1871 — pobici bywają drażliwi — i obalenie świeckiej władzy papieża. Zwrócono uwagę na postępy Żydów w opanowaniu prasy, na wszechświatowe znaczenie biura Reutera, na czeskiego Żyda Oppera, który w latach siedmdziesiątych i z początkiem osmdziesiątych był paryskim korespondentem *Timesa* i kształtował opinię angielską, niezawsze na korzyść Francji, krył się zaś pod pseudonimem de Blowitz. Pojawiły się też po raz pierwszy pisma antysemityczne, atakujące przede wszystkim kryptojudaizm.

Spostrzeżono ze zdziwieniem ogrom wpływów żydowskiego kapitału, który spowodował wciągnięcie Egiptu w system europejski, w szczególności w system W. Brytanji.¹ Francją wstrząsnęła sprawa Dreyfusa, Anglję uwikłali żydowscy potentaci finansowi w wojnę południowo-afrykańską, nadspodziewanie długą, kosztowną i krwawą. Wielkie wrażenie wywołała Panama, potem skandal *Marconi Company*.

Emigracja Żydów polskich stworzyła zaczątki *ghetta* w Paryżu i zrobiła $\frac{1}{3}$ ludności Nowego Jorku żydowską lub związaną z Żydami.

Powstaje socjalizm². Teorja pochodziła od Ludwika Blanc, pół Szkota, pół Francuza, ale opracował ją i ujął w system Żyd Marx (Mardocai). Przed wojną cały sztab socjalistyczny składał się z Żydów, ruch jednak był właściwie tylko teoretyczny, więc nie zwracano na to większej uwagi.

Wybuchła wojna światowa. Żydzi nie byli jej winni, owszem, ich wielcy potentaci finansowi starali się jej zapobiec.

¹ Okupacja nastąpiła za rządów Gladstone'a, ale była logicznym następstwem polityki ekonomicznej Disraeliego, który postarał się o wykupienie od kedywa akcyj kanału Sueskiego. Gladstone był przeciwnikiem imperjalizmu, ale miał do wyboru albo wyrzec się wszelkich wpływów w Egipcie, albo go zająć zbrojną ręką. Wybrał to drugie.

² Mowa naturalnie o doktrynie, na której opierają się dzisiejsze międzynarodówki (druga i trzecia), a nie o poprzedzających ją teorjach francuskich i angielskich (Fourriera, St. Simona, Owena i i.).

W przeciwieństwie do Croslanda, wedle którego angielscy lekarze wojskowi mawiali zamiast „wada serca“ — „żydowskie serce“, Belloc mówi, że Żydzi walczyli dzielnie we wszystkich armjach — i to, jak powiedział Zangwill, tylko za honor swego narodu. Ich kapitał podtrzymywał materialnie państwa, w których mieszkali. To też było blisko do zupełnej zgody, gdy nastąpił przewrót bolszewicki w Rosji.

Belloc nazywa bolszewizm ruchem żydowskim, ale zastrzega się, że nie znaczy to, jakoby prąd ten obejmował ogół Żydów, gdyż ich większość nie ma z nim nic wspólnego, a ich część go zwalcza. Lecz Żyd kierował socjalizmem. Na czele stawiała go „jego energja, jego charakter międzynarodowy, jego zdolność skoncentrowania wszelkich dążeń dla jednego celu“, jego obojętność na hasła narodowe i skłonność do dedukcji, połączona z jasnością umysłu.

Przyszła po teorii praktyka. Motywami kliki, złożonej z Żydów i ludzi ściśle z nimi związanych, jak Lenin, były szczerzy fanatyzm socjalistyczny i równie szczerza nienawiść do wszelkiego poczucia narodowego (prócz żydowskiego). Chrześcijaństwo zaatakowano jako sprzeczne z doktryną socjalistyczną. Motywem drugorzędym była żądza zemsty nad Rosją.

Między przywódcami bolszewizmu czy socjalizmu a żydowskimi kapitalistami Zachodu musi mimo różnicy przekonania panować pewna sympatja, istnieje między nimi połowiczne przymierze. „To wyjaśnia słabość (*half-heartedness*) obrony przed bolszewizmem i krzyki, podnoszone przez“ (angielską) „partję pracy w obronie niemieckiego żydowskiego przemysłu lub przeciw Polsce“.

Bolszewizm wywołał znów dyskusję nad kwestją żydowską, bo dotychczas ludzie czuli, że ogólne milczenie o problemie

było potrzebne ze względu na ich osobiste powodzenie. Niektórzy milczeli, dopóki regularnie otrzymywali pensje i dywidendy. Teraz odkryli... nową, a straszliwą potęgę żydowską, dążącą ku zniszczeniu własności.

Spostrzeżono takie fakta, jak spokrewnienie bolszewickiego agenta dyplomatycznego Litwinowa-Finkelsteina z jednym ze znakomitych Żydów angielskich. Zachodzi niebezpieczeństwo ostrej reakcji, mogącej spaść na ogół Żydów.

Po tym szkicu dziejów kwestji żydowskiej w ostatnich stu latach Belloc przechodzi do „ogólnych przyczyn tarcia“. Wszystkie dają sprowadzić się do jednej: „Żyd jest odmienny od narodów, wśród których żyje“.

Nie posiada on innych cnót i złych skłonności, niż reszta świata. Natomiast wszelka zaleta i wada przybiera u niego specyficzny żydowski charakter. Nieprawda, aby Żydzi odznaczeni byli tchórzostwem, skąpstwem, chciwością, pochopnością do zdrady. Tylko przeciwne cnoty jawią się u nich w żydowskiej formie i służą żydowskiemu celom.

Gdy Anglik pozwoli nad sobą zapanować chciwości, staje się skryty, samolubny, pozbawiony miłości bliźniego. Żyd bywa bezlitosny i podstępny w gromadzeniu dóbr, przytem zaś, nawet gdy ryzykuje, myśli ściśle. Lecz jest wspaniałomyślny w użyciu majątku — i to w większości wypadków nie dla imponowania. To też nawet tam, gdzie Żydzi stanowią potęgę, wolno żartować z ich skąpstwa. Żart taki chybia celu.

Żadna rasa nie wydała tak mało zdrajców. Nie jest zdradą u Żyda być międzynarodowym. Natomiast jest prawdą, iż Żyd wynajmuje się nieżydowskim państwom czy instytucjom, które go nic nie obchodzą. Żydzi bywali szpiegami obu stron, które starły się w wojnie światowej — także jeszcze w czasie zbrojnego pokoju. Dawała im do tego kwalifikacje znajomość języków, mnogość stosunków w różnych krajach, skłonność do podróży. U nas byłaby to zdrada, oni nie zdradzali Izraela.

Co nas upadła, zwykle nie upadła Żyda. Dotrzymuje on zobowiązań, ale nie po naszymu. Mniej mu wstyd zbankrutować, niż osobiście pożyczać. Nie pije. „Nie ma poczucia godności spoczynku“ — jest to zapewne aluzja do „mó-

wienia rękami". Szanuje węzły rodzinne. Swych darów intelektualnych używa z wyrachowaniem, na zimno, my naszych w podnieceniu. Jego wytrwałość ma ciaśniejszy zakres od naszej — my mamy po kilka celów, on tylko jeden. Ogranicza się wyłącznie do tego, czemu się poświęci. Stąd płynie jego siła i słabość. Posiada jasność rozumowania i zdolność rozgłaszania lub ukrywania tego, co chce rozgłosić lub ukryć.

Mówi się dużo o bogactwie Żydów, tymczasem jako całość są oni narodem biednym. Dlaczego? Czy nie pracują? Pracują, nawet często fizycznie, we wschodniej Europie wielu na roli — tu Belloc chyba myli się, zresztą eksperyment, który obecnie właśnie przedsięwzięli bolszewicy na Krymie, okaże, czy jest to rzeczą możliwą. — W średnich wiekach Żydzi zmonopolizowali w niektórych krajach farbiarstwo i budowę okrętów. Żydowskie fortuny prędko powstają i nikną; złudzenie, że Żydzi są bogatym narodem powstało poczęści na tle faktu, że wyższe klasy zbliżają się tylko do bogatych Żydów, że same do zbliżenia dążą — szukając zresztą bogactwa, nie Żyda. Poza tem nikt go nie stara się użytkować.

Politycy wschodni, zależni finansowo, opiekowali się Żydami. Było to sztuczne, to też posłużyło tylko do rozjątrzenia Polaków, Rumunów i Węgrów, którzy cierpią z powodu istnienia mniejszości. Zachodni traktowali rzecz mechanicznie; spełniali rozkazy, nie rozumiejąc ich.

Bardzo niebezpieczną rzeczą, jawiącą się w parze z bogactwem żydowskim, są „monopole“. Belloc wylicza tu wielki kapitał, scenę, handel owocami, tytoniem, srebrem, ołowiem, niklem, rtęcią. Żydzi nie widzą niebezpieczeństwa, jakie na ich ogół ściągają małe grupki potężnych finansistów.

Rzecz ta jest zasłużenie znenawidzona, jako niepomierne sprzeczna z naturą i niepomierne gnębiąca... mówiąc poprostu, tym monopolom musi się kres położyć.

Najgroźniejszy jest monopol metalowy (np. kopalnie

Rotschilda we Francji). Kwestja wojny i pokoju wymyka się z rąk państwom.

Belloc wyraża obawę, że

Izrael jako całość padnie ofiarą sprawiedliwego gniewu przeciw niewielu marnym tuzinom z pośród najgorszych jednostek narodu.

Skąd biorą się owe monopole? Zarówno z międzynarodowości, wytrwałości i żelaznej konsekwencji Żyda, jak z poparcia, którego zawsze udzielają mu rodacy w całym świecie.

Monopol finansowy jest dziś równoznaczny z ogólnym monopolem ekonomicznym. Bogatsze klasy weszły w jego system i popadły w zależność. Ale odczuwa go każdy — biedniejszy obywatel dzięki swemu patriotyzmowi.

Nie zgodzi on się na to, aby mu mówiono, że dla dogodzenia interesowi owych obcych bankierów musi rzec się praw zwycięzcy i nieprzyjacielowi, którego, mając słuszność po swej stronie, poskromił, dać wywinąć się od następstw tego poskromienia. Tem bardziej stanowczo jeszcze odmówi żydowskim bankierom prawa interwencji w sprawie odškodowania państwowego, należnego mu za szkody, zrządzone lekko-myślnie podczas trwania działań wojennych.

Wielką nienawiść wywołują także spekulacje ubezpieczeniowe w przemyśle.

Trzeba więc zastanowić się nad środkami zaradczeni, aby na wypadek gwałtownego zburzenia tego całego systemu wielu niewinnych nie ucierpiało narówni z winnymi...

Obok „ogólnych przyczyn tarcia“ są szczególne, do których Belloc teraz przechodzi. W rozdziale o pierwszych były światła obok cieniów, tu panują prawie niepodzielnie cienie.

Zaczyna od zamięłowania Żydów do tajemnicy. Powstało ono na gruncie prześladowań. Typowym przykładem są nazwiska żydowskie. Salomon został Stanleyem, Cohen Curzonem, Schlesinger Sinclairem, Mojżesz Montague, Benjamin Bensonem. Żydzi pierwotnie nazwisk nie posiadali wcale, otrzymali je od rządów, które miały rację ze swego stanowiska.

Lecz dla ponazywanych było to coś narzuconego i przymusowego, więc nie miało mocy obowiązującej. Zdarzały się wypadki, że zmieniano nazwiska poprostu w celu oszustwa, ale nie można ich uogólniać.

Rzecz ta ogromnie szkodzi Żydom. Wychodzi zawsze najaw i wtedy ludzie gniewają się, że ich oszukiwano — nawet w wypadkach zupełnie niewinnych. Karol Kingsley, znany pisarz XIX w. i pierwszy przywódca chrześcijańskiego socjalizmu, oraz Booth, twórca Armji Zbawienia, mieli matki Żydówki. Fakt ten, który mógłby przyczynić się do należytego ocenienia rasy żydowskiej, traktuje się jak obelgę.

W związku z upodobaniem do tajemnicy jest reklama, jaką Żydzi często robią ludziom swego pochodzenia, przemilczając równocześnie to pochodzenie.

Drugą „specjalną przyczyną tarcia“ po stronie Żydów jest okazywanie przez nich wyższości. Każda metoda, stosowana do nich przez polityków, wprawiała ich w rozdrażnienie. Albo ich traktowano jakby nie byli Żydami, albo prześladowano, co polegało na poczuciu ich niższości, albo uznawano, ale z zaznaczeniem tej niższości. Była i czwarta metoda. W państwach upadających lub przy rządzie ludzi słabych i nikczemnych — Belloc ma na myśli współczesną Anglię — faworyzowano pewne potężne jednostki żydowskie. Ale i na dnie tego kryła się pogarda. To jednak metoda wyjątkowa i niema dla niej miejsca w rozsądnie obmyślonym systemie państwowym.

Żyd ze wschodniej części Londynu, najbiedniejszy z biedaków, czuje się wyższym od urzędnika, przed którym go stawiają, od policjanta, który utrzymuje porządek na ulicach, a o całe niebo wyższym od prostodusznych żołnierzy i majtków, których zajęcie ma najbardziej typowy charakter dla naszej rasy. Czuje się nawet wyższym od tych, których lepiej rozumie, — od handlowców, ludzi, żyjących z własnego sprytu.

Poczuciu wyższości nie można zapobiec, trzeba natomiast powściągnąć objawy zewnętrzne. Lecz Disraeli powiedział otwarcie: „Żyda nie można pochłonać; niższa rasa nie

może pochłonąć wyższej“. I Żyd nietylko tak myśli, ale i wedle tego postępuje :

Będzie pisał o naszej religji, przyjmując jako pewnik, że jest ona nonsensem, i będzie się dziwił, że się obrażamy. Będzie brał udział w naszych dyskusjach o sprawach narodowych... i wpadał w osłupienie, spostrzegając, że jego obojętność wobec uczucia patriotycznego oburza.

Będzie uważał za swe prawo narzucanie nam żydowskiego temperamentu jako rzeczy, z którą musimy się zgodzić, czy nam się podoba, czy nie.

Na tem tle powstały skargi na „żydowską bezczelność“ i „żydowskie szyderstwo“. Nie mamy słuszności, uważając te rzeczy za rozmyślne obelgi. Trzeba je uznać jako złe nieuniknione, przestać się na nie gniewać, ale nie dopuszczać do ich zbyt otwartego wyrażania.

Renan, zależny od żydowskiego księgarza i pełen zachwyty dla żydostwa, powiedział, że to najmniej demokratyczny naród świata. Nie rozumiał Żydów, bo są demokratyczni między sobą, ale w stosunku z obcymi ograniczają się do wybranych jednostek. Przyczyną jest ich poczucie wyższości.

Musimy się z niem pogodzić, ale tak samo i Żyd musi uznać, że narody, wśród których żyje, uważają go za coś niższego. Dla obu stron równe prawa.

Belloc przechodzi teraz do „przyczyn tarcia po naszej stronie“. Polemizuje przedewszystkiem z tymi, którzy mówią poprostu : „Dom jest nasz, a Żyd to intruz“.

Sprawa nie jest taka prosta, — odpowiada Belloc, — ...mamy do czynienia z wolami, skupionemi w dwie grupy, a wiemy, że wole są wolne... Jest faktem, że w tej kłótni między nami a Żydami i my odgrywamy czynną rolę.

Pierwszą z przyczyn tarcia po naszej stronie jest kontrast charakteru. Ale ważniejsze są te, które płyną z woli. Tu należy wymienić przedewszystkiem brak szczerości. Szczery jest tylko ten, kto nie uznaje istnienia Żydów, i antysemita,

poza tem nikt. Błąd ten nasz odpowiada ich zamięłowaniu do tajemnicy.

Witamy się z Żydem, a gdy odszedł, robimy złośliwe uwagi. Kto źle wyszedł na spółce z nim i potem oburza się, jest godzien pogardy. Pocóż wdawał się z żydowską handlową wyższością, gdy nie czuje się równym? Niema szczerości w przyjaźni z Żydem, w małżeństwach mieszanych bywa jeszcze gorzej.

„Nie śmiemy i nie chcemy“ w naszych podręcznikach historycznych podawać w całej nagości faktów z zakresu stosunków między naszą rasą a Żydami. Komu np. wiadomo, że za czasów Hadrijana w Libji i na Cyprze Żydzi wymordowali około ćwierć miliona nie-Żydów, a rząd odpowiedział takimi samemi represaljami?

Przemilcza się odrębny charakter Żyda, jego działanie przez tajne stowarzyszenia, jego rolę w różnych rewolucjach, gwałtowny wzrost jego wpływów politycznych i społecznych przez opanowanie kapitału — szczególnie w Anglii.

Człowiek, piszący monografię o jakimś przedmiocie, nie wspomina zupełnie o Żydach, a prywatnie wylicza cały szereg faktów, odnoszących się do nich.

Czytelnik gazet pada ofiarą oszustwa. Czyta :

Abraham Cohen, Polak...; p. Mojsewicz, znakomity Rumun...; Mr. Schiff i inni przedstawiciele Ameryki...; p. Bergson i jego typowo francuska przejrzystość...; Maksymiljan Harden, zawsze jednakowo odważny, gdy idzie o krytykę własnego narodu (t. j. Niemców) — i tym podobne brednie (*rubbish*).

Drugą przyczyną, której wola mogłaby zaradzić, jest nasz nierozsądek w postępowaniu z Żydami. Specjalne formy grzeczności, stosowane w obcowaniu z Żydami, którzy wcale nie są z nami w poufałym stosunku, można porównać z „uprzejmością, jaką bogaci okazują ubogim“. Immigrację żydowską nazywa się rosyjską, mówi się o „napływie niepożądanych osobników ze wschodniej i środkowej Europy“. Niektórzy

pisarze, „jakby chcieli wynagrodzić Żydom dawne prześladowanie, wprowadzają do swych książek fantastycznych żydowskich bohaterów. Ciężko zgrzeszył Dickens. Nie lubił Żydów instynktownie“ i stworzył postać żydowskiego zbrodniarza¹. Gdy mu to wytknięto, wymyślił inną postać,

coś w rodzaju kombinacji z szejka arabskiego i znanego biblijnego obrazu, wiszącego na ścianie w każdym domu rodzinnym, a wszystko to wyhaftował na tle zupełnie nieżydowskiego, zgruntu angielskiego typu².

Nawiasem mówiąc, literatura angielska dostarcza znacznie wcześniejszych przykładów. I pewien przedszekspirowski dramat, i powieść Smolleta *Ferdinand Count Fathom* mieszczą fantastyczną postać żydowskiego lichwiarza filantropa. Po Dickensie idealizowała Żydów także np. George Eliot w jednej ze swych ostatnich powieści („Daniel Deronda“, 1876).

Należą tu różne wystąpienia w obronie Żydów, przedsięwzięte bez ich znajomości, nawet bez wiedzy o tem, że są oni nomadami. A rzeczą, która najbardziej wyprowadza Żyda z równowagi, jest typowe, tak powszechne postępowanie, polegające na ustawicznym krzyku przeciw niemu bez żadnej konkretnej propozycji.

Trzecią przyczyną jest brak miłości chrześcijańskiej. Nikt nie próbuje postawić się w położeniu Żyda. Nie czyta się żydowskich gazet i książek. Anglja przeszła niepostrzeżenie od życzliwości względem przybyszów do niechęci. Co będzie, jeżeli ta niechęć przybierze ostry charakter? A że to stać się może, dowodzi istnienie antysemity.

Antysemita nienawidzi Żydów jako takich, a nie ich obecności w naszym społeczeństwie i jej złych skutków. Podziwia dzieło sztuki, ale zmienia sąd, gdy dowie się, że Żyd był twórcą. Nie zdobędzie się na sprawiedliwość tak samo, jak ten blagier (*humbug*), który zaprzecza wogóle istnieniu kwestji żydowskiej i nie uzna nigdy Żyda, szczegól-

¹ *Oliver Twist*.

² *Our Mutual Friend*.

nie bogatego, winnym. Antysemita natomiast zbliża się do Żyda zgóry przekonany o jego winie. Ten kontrast doskonale zaznaczył się w sprawie Dreyfusa.

„Antysemita jest to człowiek tak pochłonięty przez przedmiot swych myśli, że traci zainteresowanie wobec każdej innej rzeczy, o ile nie może jakimś sposobem skojarzyć jej ze swem złudzeniem“, jakoby Żydzi winni byli wszystkiemu na świecie. „Jego stan umysłowy stanowi poniekąd rodzaj komplementu dla narodu żydowskiego.“

Antysemitów jest więcej, niż widać z prasy, gdyż ta wedle Belloca ma jeszcze dawne złudzenia. Zdaje się jednak, że przyczyną jest raczej potężne stanowisko Żydów w dziennikarstwie. Wogóle wielkie ruchy naszych czasów nie rodzą się w prasie, — wracam do streszczenia — bo prasa naszych wielkich miast pozostaje pod władzą niewielu ludzi, których celem jest nie dyskusja o sprawach publicznych, lecz gromadzenie majątku. „Ci nie podejmą żadnej kwestji, o ile im się ona sama nie narzuci“.

Choć oparty w znacznej mierze na złudnych podstawach, antysemityzm działa praktycznie, zbiera fakta i dokumenta, na tem polega jego siła. Ktokolwiek nie jest Żydem, jest potencjalnie antysemitą, bo każdy silniej lub słabiej reaguje na potęgę żydowską. Między antysemitami najgwałtowniejsi bywają ci, którzy przez dłuższy czas nie zdawali sobie sprawy z istnienia problemu.

Ruch ten z początku wyśmiewano, dziś jeszcze wielu ludzi, skłaniających się ku niemu, odrzeka się nazwy, zaznaczając na wstępie: „Nie jestem antysemitą“ i wypowiadając potem ataki przeciw Żydom. Ale jeżeli przyjdzie moda... Przecież i upaństwowienie własności, prohibicję w Stanach Zjednoczonych, prawo wyborcze dla kobiet uważano za doktrynę, nie mającą szans realizacji.

Objawem antysemityzmu jest, że każdy Niemiec przypisuje klęskę Żydom, twórcom poprzedniego dobrobytu...

Żydzi wybrali niemądry system obrony, używając otaczania

się tajemnicą i ośmieszania, zresztą z początku skutecznie. Ale tej samej polityki trzymali się wobec wszelkiej dyskusji nad problemem. Wszystko nazywali antysemityzmem. Antysemitą był, kto tylko powiedział o Żydzie „Żyd“.

To przez jakich 20 lat pomagało.

Ale długo nie da się mieszać interesu z nienawiścią, stwierdzenia prostych, a doniosłych prawd z szaleństwem, dyskusji nad zasadniczymi kwestjami z naiwnym entuzjazmem — z tej samej przyczyny, dla której długo nie można mieszać prawdy z fałszem. Prędzej czy później ludzie muszą zauważyć, że oskarżony podejrzenie uchyla się wogóle od jakichkolwiek dochodzeń.

Żydzi popchnęli ludzi, chcących bezstronnie zbadać problem, nieraz aż na prawe skrzydło antysemityzmu¹. Nadobitkę przyszedł bolszewizm.

Bolszewizm będzie punktem zwrotnym w stosunku narodów zachodnich do Żydów.

Mówiono o istniejącym od wieków spisku. Belloc przeczy: „Ludzie nie są zdolni do czegoś podobnego“. I z racji rewolucji francuskiej mówiono o templarjuszach. W tamtym wypadku tajne działanie trwałoby sześćset lat, w tym przypuszczano dwa tysiące! „To wszystko kosałki opałki (*It is all smoke*)“.

Natomiast jest wiele prawdy w tem, co mówi się o rasowej zemście. Ale to nie cała prawda. Rasowa zemsta wyjaśniałaby chaos i rzezie, nie wyjaśnia prób konstrukcyjnych, prowadzonych konsekwentnie przez przeciąg lat pięciu (Belloc pisał w r. 1922).

Żyd nie wszędzie jest rewolucjonistą. Zawsze jest niezadowolony z obcego społeczeństwa, ale niezawsze kusi się o zburzenie porządku, z którego często w znacznej mierze korzysta. Rewolucja bolszewicka różni się poważnie od innych, bo te były imperjalistyczne (*jingo*) i żądały podziału własności. Przez to ma typowo żydowskie piętno.

¹ U nas Niemojewskiego.

Dlaczego? Przypadła na czas rozwielenienia się kapitalizmu, który, zdobywając władzę, niszczy masowo własność. Żyd zaś nie umie sympatyzować z tym „rdzeniem naszych instynktów obywatelskich“. Nigdy nie rozumiał europejskiego pojęcia własności i Belloc wątpi, aby kiedykolwiek je zrozumiał. A system kapitalistyczny w Rosji był nowy, więc łatwo udało się porwać przeciw nowym panom miejski proletarijat ($\frac{1}{10}$ ludności¹).

Przeciw międzynarodowej potędze walczyć może chyba międzynarodowa potęga. Poza kapitałem wchodziły w grę tylko dwie — kościół katolicki i żydostwo. Pierwszy ze względu na własną naukę wprost nie może atakować kapitalizmu, choć „tam, gdzie będzie wiara, zaatakuje go z flanki i zniszczy“. Pozostawali więc tylko Żydzi.

Gdy przez kapitalizm przemysłowy lub inną chorobę społeczną dojdzie się do stanu rzeczy, w którym praktyczne zburzenie prawa własności jest możliwe, bo masy zatraciły jej pragnienie, i gdy zburzenie własności przedstawia się jako bezpośredni środek zaradczy przeciw nieznośnym krzywdom, przychodzi chwila, w której Żyd może wystąpić jako przywódca.

Ma on z powodu *spersis* odmienne poczucie narodowości. Weźmy zwykłe sofizmaty rewolucyjne. „Co za różnica dla robotnika, czy jest wyzyskiwany przez Anglika, czy przez Niemca?“ „Dlaczego jednostka, Tom Smith, ma być poświęcona pojęciu oderwanemu, jakim jest Anglja?“ lub „Nacjonalizm jest wielką przeszkodą na drodze rozwoju ludzkości“. Sofizmaty te dla Żyda mają rzeczywiste znaczenie, bo Anglja, Francja, Irlandja nie są mu potrzebne. „Anglja“, „Francja“, „Polska“ to dla niego chimery (*whimsies*). Widzi tylko jednostkę, bo jest wykluczone, aby wątpił o jej istnieniu.

Dziś kapitalizm przemysłowy może mieć tylko obrońców głupich lub nieszczerých. Trzeci rodzaj nie jest obrońcami,

¹ Cyfra przesadnie duża.

ponieważ mówi: To złe konieczne, ograniczajmy je i zwolna usuwajmy, bo usunąć je trzeba tak, aby zarazem nie zniszczyć własności ani narodu. Z wrogów kapitalizmu, jedni Żydzi mogli iść wprost do celu.

Rewolucja rosyjska ma dla obcych dwa ważne następstwa — 1) propagandę, 2) wzmocnienie się i rozszerzenie antysemityzmu. To drugie wedle Belloca jest ważniejsze, bo trwalsze. Otóż, mówi on, nie dajmy wyprowadzić się z równowagi.

Czy człowiek, który jest za umiarkowanym użyciem alkoholu, zobaczywszy ostry wypadek *delirium tremens*, ustanowi prohibicję?

Niebezpieczeństwo, w jakim są Żydzi, można sprowadzić do zdania: „Żydzi osiągają władzę, a my nie chcemy być pod ich władzą“. Belloc zwraca jednak uwagę na szereg modyfikacyj: 1) rozmiary niebezpieczeństwa są różne w różnych społeczeństwach; 2) miejscowe tradycje co do traktowania kwestji żydowskiej nie wszędzie są jednakowe — ale dałoby się stwierdzić istnienie pewnych grup, złożonych z państw i narodowości; 3) położenie jest różne stosownie do obecności czterech innych sił międzynarodowych — kościoła katolickiego, islamu, międzynarodowego kapitału i reakcji proletariatu przeciw niemu.

Żyd zaprzeczy, jakoby posiadał władzę, i będzie jako jednostka miał słuszość. Co jednak okaże się, gdy jednostki zesumujemy? Zwykła odpowiedź historii w takich wypadkach brzmi: „Pytajcie tych, co czuli nacisk, nie tych, co go wywierali“. Ludzie przesadzają, gdy nadają naciskowi żydowskiemu świadomą osobowość, ale z pewnością nie przesadzają, gdy wskazują na jego skutki. „Żyd powinien pamiętać, że nie tylko jego władza budzi oburzenie, ale samo jego występowanie w roli jakiegokolwiek władzy jest nienawistne“.

Władza żydowska ukazała się między innymi w postaci ataków prasy na narody, z którymi Izrael miał zwadę, i obrony w prasie tych, od których w bezpośredniej przyszłości sam

spodziewał się obrony. Jedno i drugie wedle Belloc'a, piszącego w roku 1922, już prawie znikło. Stwierdzono przy tej sposobności wszechświatową solidarność Żydów. Rzecz byłaby prosta, gdyby wszędzie odczuwano ją tak żywo, „jak drobna część opinii angielskiej, większa francuskiej, jeszcze większa polskiej“.

Belloc przystępuje teraz do przeglądu poszczególnych krajów. Zaczyna od Rosji. Tam lud jest gotów masowo walczyć za swych komunistycznych panów, bo „wierzy, iż czyniąc to, zabezpiecza sobie własność w formie absolutnej. Tem — mimo widocznego paradoksu — była czerwona armja“.

W państwach, leżących między Rosją a Niemcami, sprawa stoi inaczej, niż na zachodzie :

Nawet w chwili, gdy to piszę, słyszę skargę, dziwnie brzmiącą w naszych zachodnich uszach, a wnoszoną przez polskich Żydów. Zaapelowali do zachodu przeciw temu, co nazywają uciskiem t. j. przeciw zapisywaniu ich jako Polaków... W Polsce większa część tego ludu ma odmienny język, całość ma odmienny obyczaj i różni się trybem życia od otaczającego świata.

Najwięcej Żydów jest wedle Belloc'a na Litwie i w Galicji.

Na zachodzie ilość Żydów jest mniejsza, ale niebezpieczeństwo ich panowania przedstawia się inaczej tylko co do formy. Panowanie to dąży do urzeczywistnienia się

w pierwszym rzędzie przez kapitał; następnie przez przesiąknięte sceptycyzmem uniwersytety, przez anonimową prasę i zdeprawowane parlamenty, na koniec — w formie ogólniejszej — przez istnienie instytucyj które bardzo sprzyjają uzyskaniu przez Żydów przewagi we współzawodnictwie z ich gospodarzami; każda popiera międzynarodową naukę, każda popiera bezmiennność; każda popiera stary liberalny nonsens, który sam nadawał sobie miano „tolerancji“, a w rzeczywistości był obojętnością na najbardziej podstawowy ze wszystkich motywów społecznych, na religję — naturalnie poza wyjątkami, dającymi możność ataków na Kościół katolicki.

Żydzi wywierają wpływ nieproporcjonalny do swej liczby, do zdolności — tu Belloc wtrąca pół uprzejme, pół ironiczne „nie obrażając“, — a z pewnością do prawa mieszania się w nasze sprawy. Żyd wprowadził we Francji ustawę rozwo-

dową, Żyd podsyczał tam i we Włoszech antyklerykalizm, Żyd wołał zachód na pomoc swym rodakom na wschodzie, żydowskim duchem przesiąkły bardzo silnie uniwersytet i prasa. Wyjątek stanowi Irlandja.

Nie można wykryć prawa migracji żydowskiej. Ameryka doniedawna jeszcze miała Żydów mniej, niż Europa zachodnia. Nie było tam konwencji liberalnej, mówiono o nich prawdę. Mimo to nagle wszczął się masowy ruch migracyjny, który stworzył największe na świecie liczebne skupienie Żydów w Nowym Jorku i ich potężne wpływy w całych Stanach Zjednoczonych. „Wilson, najniepopularniejszy z prezydentów, całkowicie był w ich rękach“.

Dalej poświęca Belloc nieco miejsca prasie, zajmując się tylko tygodnikami i miesięcznikami. Wyraża zdziwienie, że *The New Republic*, oparta na kapitale nieżydowskim i rzadko drukująca artykuły Żydów, stoi zazwyczaj na czysto żydowskim punkcie widzenia. Wymienia dalej jako typowe pisma filosemickie jeszcze dwa, mianowicie odpowiadające sobie dość dokładnie francuską *Humanité* i angielskiego *The New Statesman*.

Naturalnie pojawiła się w prasie i reakcja, lecz Belloc stwierdza, że odrazu była *sticky* — jest to wyrażenie giel-dowe, oznaczające walor, który „przylepia się do palców“, t. j. nie znajduje nabywców. Bezinteresownych obrońców Żydzi mają niewielu, ale niewątpliwie ich mają.

W Rosji Żyd był publicznym wrogiem, nieco podobnie zapatrywano się na niego „w Polsce i wśród mniej etnograficznie wyraźnej ludności obszarów granicznych, a nawet w starych Węgrzech otwarcie mówiono o Żydzie jako o należącym do narodowości odrębnej i, ogólnie biorąc, wrogiej“¹. Natomiast im bardziej zbliżamy się ku zachodowi, tem wyraźniej traktowano go jako obywatela. Ustaliło się to wszę-

¹ Belloc miesza zapewne stosunki obecne z przedwojennymi.

dzie na zachód od Łaby. W Anglii działał protestantyzm, we Francji sceptycyzm. Rewolucja francuska wybuchła w chwili, gdy Żydów uważano tylko za wyznanie, a nie za naród.

W świecie pogańsko-mahometańskim było i jest ich mało. W Indjach pojawiali się tylko dzięki rządowi, w Chinach sporadycznie jako niby-europejscy kupcy. Islam postępował z nimi bez metody, mniej też więc było na jego terytorjum systematycznego ucisku, ale Żydów uważano zawsze „za coś niższego i za nikczemne istoty“. Czasem tylko dopomagała im do wyniesienia łaska poszczególnych władców. Mahometanie mówią, że Żyd ma wśród chrześcijan wyższe stanowisko, ale też u nas mówi się to samo naodwrot.

Dziś stosunki te zmieniły się wskutek wpływu i władzy zachodu. W Algierze Żyd głośuje, Arab nie. W Marokko nie można było traktować Żydów inaczej, niż we Francji. W świecie brytyjskim wszędzie są protegowani. Pozwolono im sfinansować Egipt, zająć silne stanowisko handlowe w Indjach, oddano im w ręce walutę indyjską. Koroną tego wszystkiego stało się „groteskowe mianowanie“ lorda Readinga... i „niezwykły eksperyment z Palestyną“. Krajowcy patrzą wszędzie na Żydów niechętnym okiem. Doniedawna niezadowolenie ich zwracało się głównie przeciw Francji, dziś zwraca się przeciw W. Brytanji.

Mówiąc o Kościele katolickim w przeszłości, Belloc twierdzi, że ten nie prześladował nigdy Żydów i karał tylko nawrócenie pozorne. Nie będzie też ich nigdy prześladował, ale widzi odrębność i nie przyjmie fikcji liberalnej. Protestanci byli zawsze usposobieni przychylniej dla Żydów. Wpłynął tu Stary Testament, wpłynęło „wchłonięcie natchnionego żydowskiego folkloru“. Ale głównym czynnikiem była wspólna nienawiść przeciw katolicyzmowi.

Kapitalizm i reakcję społeczną przeciw niemu Belloc traktuje razem:

Śmiem powiedzieć, że gdy niechęć ku Żydom dojdzie do punktu działania, Żyd z natury rzeczy i w obronie własnej ucieknie się do stania na czele proletariatu przeciw kapitalizmowi przemysłowemu. Wyzyska — i musi wyzyskać na podstawie samego instynktu, bez względu na rozumowanie, — linję, rozłupującą na dwoje wrogie sobie społeczeństwo. Lecz proletariąt miejski jest mniejszością, jest mniej produktywny i mniej zdrowy (od innych klas), a kapitał przemysłowy obejmuje stosunkowo małą powierzchnię ziemi. Rewolta proletariatu, wywołana przez Żydów, nie może trwać długo. Albo zostanie zgnieciona, albo, jak w Rosji, zniszczy zdolność produkcji.

Przed przejściem do zagadnienia syjonizmu i państwa żydowskiego, stworzonego przez Anglję, Belloc szkicuje jej historyczny stosunek do Żydów.

Pojawili się oni w wiekach średnich w charakterze lichwiarzy. „Lichwa (jak dzisiaj) oznaczała wtedy pobieranie procentu od nieproduktywnych pożyczek“ — gdyż Żydzi finansowali tak mało na dochód obliczone przedsięwzięcia, jak wojny w rodzaju wypraw krzyżowych i budowę kościołów czy klasztorów¹. Pobieranie procentu było w owych czasach wogóle wzbronione. Dla Żydów zrobiono wyjątek, t. j. stworzono dla nich monopole. Po zgonie finansisty zysk jego miał wracać do króla, lecz była to naturalnie tylko teoria. Sprawy między wierzycielem a dłużnikiem rozstrzygała ława przysięgłych, złożona w połowie z Żydów.

Te przywileje wywołały reakcję i Anglję, która dziś jest w rodzaju przymierza z Żydami, w r. 1290 wypędziła ich ze swych granic. Nie było tych wygnańców wielu, ilość ich nie przenosiła 17 tysięcy. Wracali stopniowo, aż za Cromwella pozwolono im wreszcie formalnie na osiedlanie się w Anglii. Wnet ukazały się w życiu ekonomicznym nowe

¹ Kronika Jocelyna de Brakelonde (pocz. w. XIII), spopularyzowana przez książkę Carlyle'a *Past and Present* (Przeszłość a terażniejszość), przedstawia dzieje klasztoru, który popadł w finansową zależność od żydowskich lichwiarzy, lecz zdodał się od niej uwolnić dzięki energii i zapobiegliwości nowego opata.

objawy — dług narodowy, giełda w nowoczesnym znaczeniu, spekulacje na akcjach.

Sprzyjało Żydom kosmopolityczne stanowisko Anglii i jej handlowy charakter. Z jednej strony zachodziła między nimi a państwem identyczność interesów, z drugiej usposabiał na ich korzyść protestantyzm, spoufalający społeczeństwo z Biblią. „Żydzi wydawali się... bohaterami epopei i relikwiarzami wiary“. Zresztą nie było między nimi biednych.

Z początkiem w. XX wielkie rody terytorjalnych magnatów, pozbawione przymieszki krwi żydowskiej, stały się wyjątkiem. Literatura przedstawiała Żydów jako wzniosłe postaci. W części nastąpiło to wskutek „rozbratu między literaturą a poczuciem ogółu w połowie i drugiej połowie XIX w.“ Wpływ Żydów był nieproporcjonalny.

Polska pod koniec wieków średnich, kiedy kraj ten co do użyczenia Żydom opieki i poparcia najbardziej nadawał się do porównania z Brytanią, jest jedynym analogicznym przykładem, i to odległym.

Żydzi zasiadali w każdym rządzie — najpóźniej weszli do *Foreign Office*. Reakcja przeciw nim zaczęła się podczas wojny południowo-afrykańskiej.

W czasie wielkiej wojny deklaracja Balfoura, złączonego z Żydami mnóstwem węzłów przyjaźni i gościnności — dodajmy także węzeł małżeński — miała na celu przeciągnięcie Żydów na stronę koalicji, ale kolidowała z interesami chrześcijaństwa i islamu. Obecnie przeżywamy ostatnie stadium przy mierza, już moralnie wstrząśniętego — głównie wskutek napływu biednych Żydów.

Każda siła jest najwyraźniejsza, jej objawy są najostrejsze i najbardziej emfaticzne podczas niebezpiecznego okresu między chwilą, w której w rzeczywistości zaczęła słabnąć, a jej pierwszą widoczną porażką.

Syjonizm oświetlano z różnych punktów widzenia. Ale nie stawiano dotychczas pytania, czy zmniejszy on, czy zwiększy naprężenie, jakie wywołuje obecność Żydów wśród nieżydowskiego świata.

Pomińmy to, że $\frac{1}{10}$ ludności ma w Palestynie stworzyć państwo tak żydowskie, jak Anglja jest angielska, i przypuśćmy, że państwo to powstaje na pustem miejscu — tu wywody Belloca stają się ważne ze względu na późniejszą teorię profesora Sarolea. Pierwszy stawia dwa pytania — czy pozwolonoby Żydom wszędzie uważać się za obywateli tego państwa i czy oznaczanoby ich jako takich bez względu na zgodę jednostek.

Żyd chce być pełnym obywatelem państwa, w którym żyje, ale równocześnie pozostawać w pewnym specjalnym stosunku do państwa żydowskiego. Wyjdzie to niewątpliwie Żydom na szkodę. Palestyna będzie dla nich tem, czem jest dla obrazu rama, stanowiąca tylko jego część (i to nieistotną), ale zaznaczająca odrębność. Narody nieprzyjazne skorzystają z istnienia nowego Syjonu.

Dziś rządy Londynu, Washingtonu, Rzymu i Paryża są pod silnym wpływem żydowskiego kapitału i narazie mają dostateczną siłę militarną, aby narodom Wschodu narzucać swą wolę. Taki stan rzeczy może trwać jeszcze przez jedno pokolenie, i to jednak jest nieprawdopodobne.

Czy państwo żydowskie ma istnieć? Odpowiedź należy do Żydów. Ale jeżeli powiedzą „tak“, niech oświadczą się także za „pewną formą uznania czysto żydowskiej narodowości Żydów poza tem państwem“. Deklaracja musi być dobrowolna — to jednak nanić nie przydałoby się w czasie ewentualnego prześladowania i nikt wtedy nie robiłby różnic.

Czy państwo żydowskie ma stać o własnych siłach? Dziś jest pod opieką, i to pod opieką W. Brytanji. Zależy od brytyjskiej armji i organizacji, od brytyjskiej ofiarności. Zachodzi niebezpieczeństwo, że w groźnej chwili Anglja może powiedzieć: „Nie możemy poświęcać naszych interesów waszym. Radźcie sobie sami“.

Forma protektoratu jest „najniebezpieczniejszą formą, jaką było można wybrać, o ile idzie o samych Żydów...“ „Powołuję się na bliską przyszłość“, dodaje Belloc i zwraca

się do żydowskich czytelników. Jeżeli sądzą, że wzruszenia religijne w nowoczesnym świecie są martwe lub zmniejszają się, mogą zostać boleśnie wyleczeni ze złudzenia — mowa tu naturalnie o fanatyzmie mahometan.

Ubocznie dodaje Belloc, że wybór pierwszego rządcy bardzo nieszczęśliwie padł na człowieka, który był twórcą kontraktu z *Marconi Company* i złożył w Izbie Gmin słynną deklarację, że żaden z będących przy władzy polityków nie nabywał udziałów tego konsorcjum...

Następują dwa rozdziały pod tytułami „Nasz obowiązek“ i „Ich obowiązek“.

Ważniejszy wedle Belloca jest pierwszy. „Prawo gospodarza“ jest niesłuszne i nie może mieć zastosowania, gdyż niema gdzie wyrzucić gości (Sarolea twierdzi, że jest gdzie). Równie niesłuszne jednak było wydalenie z Anglii dra Oskara Levy za krytykę bolszewizmu, a raczej stwierdzenie roli Żydów w bolszewizmie. Wówczas Żydzi domagali się wydalenia, Belloc publicznie sprzeciwiał się temu.

Pierwsi pionierzy ruchu wrogiego Żydom nie mogli ani wzbudzić szacunku w przeciwnikach, ani nawet porwać za sobą własnych stronników — Belloc, jak sądzę, ma na myśli np. lorda Douglasa, który w wydawanym przez siebie piśmie ostro występował przeciw żydowskim finansistom i wyszedł zwycięsko z pierwszego procesu prasowego, a później zarzucił Churchillowi brudną spekulację giełdową, zrobioną na zatajeniu na kilka godzin prawdziwego wyniku jednej z bitw morskich z Niemcami, ale przed sądem nie mógł swego oskarżenia poprzeć dowodami i został skazany. Zapewne mowa tu także o Croslandzie i innych.

Dlaczego dotychczasowi antysemita nie wywarli większego wpływu? Bo fanatyk (*the enthusiast*) może stale być wodzem ludzkich grup, człowiek niezrównoważony (*the extravagant man*) nigdy przez czas dłuższy. Traktujemy więc Żydów tak, jak jakikolwiek inny naród. Jakby powątpiewając

o możliwości podobnego postępowania, Belloc przytacza w nocy następującą uniwersytecką anegdotę: Pewien młody magister, przejęty duchem liberalnej teologii w stylu niemieckim, odezwał się w obecności dra Jowetta, rektora Baliol College w Oxfordzie: „Biorę Pismo św. i traktuję je jak zwyczajną książkę“. Na to odparł Jowett: „A czy pan nie uważa, że to bardzo niezwykła książka?“ „Wynik takich eksperymentów z Biblią“ — dodaje Belloc — „nie stanowi zbyt pomyślnego proroctwa dla mych obecnych wywodów...“

Ostatecznie sprowadza on obowiązki narodów europejskich względem Żydów do dwóch punktów — do mówienia o kwestji żydowskiej z całą otwartością i przyjaznego postępowania wobec Izraela.

Jakoś tak się złożyło, że rozdział książki, zatytułowany „Ich obowiązki“, otrzymał jako numer porządkowy feralną trzy-nastkę. Belloc liczy na umiarkowanie i zimny rozsądek żydowskiego ogółu, poddając mu, aby poszedł dalej w kierunku wyodrębnienia. Reformy w tym duchu nie mogą być narzucone z zewnątrz, propozycje muszą wyjść od samych Żydów.

Początki osobnych instytucji żydowskich już istnieją. Są nimi szkoły, rady opiekuńcze i inne organizacje. Oponent mógłby powiedzieć: „W tem jest jakaś łapka“. Belloc odmawia mu słuszności. To, co do dziś stworzono, dobrze wpłynęło — np. prasa żydowska. Prawda, że mniejszość, broniąca swego stanowiska, zawsze przesadza i wygląda na agresywną. Ale jest to zdrowy kontrast do prasy anonimowej i sił anonimowych.

Spotykamy się dalej z myślą, że spory między Żydami mogłyby rozstrzygać żydowskie trybunały, mogłyby także zczasem dojść do utworzenia mieszanych. Zresztą w myśl tego, że Żydzi powinni sami wystąpić z propozycjami, Belloc poprzestaje na paru ogólnych pomysłach.

Czas skończyć z całym szeregiem mylnych teorii, jak teoria ciężącego nad Żydami przekleństwa i ich ostatecznego nawrócenia się kiedyś w przyszłości lub opieki Bożej nad Żydami. O ludziach, wierzących w tę opiekę, wyraża się Belloc:

...uważają w mistycznym usposobieniu Brytanję na służebnicę żydostwa, a jest między nimi grupa, która widzi w swych ziomkach zaginionych dziesięć pokoleń. Mam w swej bibliotece pewne próbki ich literatury.

Należą tu dwie przeciwne teorie, że inne narody są w stosunku do Żydów narzędziem kary Bożej i że nieszczęścia narodów są karą Bożą za krzywdy żydowskie. Także teoria, że cywilizacja europejska pochodzi od Żydów, bo oni są prawdziwym pierwiastkiem czynnym, że zresztą samo chrześcijaństwo płynie z żydowskiego źródła. Lecz i chrześcijaństwo i kultura europejska są sprzeczne z duchem Izraela.

Żydzi twierdzą znów, że kwestja żydowska jest ich wewnętrznym problemem. Nie może tak być, skoro w grę wchodzi dwie strony.

Dwom innym przeciwnym sobie teorjom: „każdy zawsze i wszędzie uciskał Żyda“ i „Żyd bez względu na traktowanie jest złośliwy“ — przeczy Belloc na podstawie własnego doświadczenia. Nieco obszerniej traktuje „teorię wchłonięcia“, która polega na błędnych pojęciach o przeszłości. „Tolerancja względem Żydów i przychylnie usposobienie dla nich, więc tem samem i sposobność ich absorbcji były nieskończenie większe w średniowiecznej Polsce, niż są w nowoczesnej Ameryce“ — a niedorzecznością jest zachwycać się dzisiejszemi stosunkami i sądzić, że w nich jest możliwe to, co nie było możliwe dawniej. „Co do zmniejszenia się ekskluzywności po ich stronie — nie widzę żadnych symptomów“. Zachodzi pod tym względem falowanie. Ford powiedział:

„Dobrze to gadać o przetapiającym tyglu“ — tak Zangwill nazwał był Nowy Jork, — „dla mnie rzecz cała coś tak wygląda, jakby oni mieli ochotę przetopić sam tygiel“.

Na końcu wymienia Belloc jeszcze teorię żydowskich uczonych, którzy na podstawie badań antropologicznych twierdzą, że wogóle niema Żydów.

Ustawy wyodrębniające musi wyprzedzić przewrót w pojęciach. Czy jednak przewrót ten nastąpi? A jeżeli Żyd „zaryje się piętami w ziemię i będzie dalej upierał się przy korzystaniu z tego, z czego korzystał kiedykolwiek“, a nadto z osobnych przywilejów?...

Wtedy ogół będzie zmuszony tworzyć prawa wbrew jego woli. Będzie to niebezpieczne dla niego i dla nas... ale będzie nieuniknione.

Dowodem chwila obecna.

W Polsce i w Rumunii narazie narzucono przemocą dawną fikcję... Naprężenie znacznie tam powiększyło się przez to, iż rzecz zaszła nie z woli społeczeństwa, ale dzięki akcji postronnej. — Rządy angielski, francuski i amerykański (lecz przede wszystkim amerykański i angielski) zbudowały we wschodniej Europie ten prowizoryczny i sztuczny stan rzeczy. Nie może on trwać, gdyż jest nierealny.

Belloc dodaje ostrzeżenie: Za jakiś czas to, co mówi, może być już nie na czasie,

jak dziś stare frazesy o czystości życia parlamentarnego lub o braniu na serio polityki partyjnej, jak byłyby w r. 1922 debaty nad tak pojętnie przedstawiającym się w latach ośmdziesiątych samorządem Irlandji.

Książka kończy się słowami:

Ale co do mnie, mówię: Pokój Izraelowi.

V.

Streściłem „Żydów“ Belloca bardzo dokładnie, rzadko dodając własne uwagi, które wszędzie jak najwyraźniej ozna-
czałem, często zaś poprostu tylko tłumacząc i nawet poza cudzysłowami używając własnych słów autora. Przywiązywa-

łem szczególną wagę do dwóch rzeczy — do wzmianek o Anglii i o Polsce. Te drugie czytelnik łatwo oceni i sądzi, że dojdzie do tego przekonania, co ja: Bellocowi z podwójnej odległości wieków i mil kwestja żydowska w średniowiecznej Polsce przedstawia się zbyt różowo. My, których dzieli od niej tylko wieki, widzimy ją nieco odmiennie: warunków asymilacji nie było i wtedy, nikt też o niej nie myślał. Niepodobna jej sobie wyobrazić na tle średniowiecznego świata, gdyż jego alfą i omegą była religja. Wszelkie przywileje Żydów, rzeczywiście ogromne, podkreślały tylko ich odrębność. Były urzeczywistnieniem tych praktycznych wskazań, które Belloc daje dzisiejszemu światu. Niewątpliwie też mogło sobie na nie pozwolić państwo silne i kto wie, czy nie byłyby wydały najlepszych owoców, gdyby nie późniejsza katastrofa polityczna. Lata niewoli z jednej strony zdezorientowały Żydów, z drugiej pomnożyły ich liczbę żywiołem napływowym, który, nie mając nic wspólnego z tradycją swych rodaków, niezasymlowanych wprawdzie, ale przesiąkniętych z dziada pradiada tradycją polskiej tolerancji i opieki nad Żydami, stał się narzędziem ucisku ekonomicznego.

Nie będę jednak kusił się o kwadraturę koła, t. j. o rozwiązanie kwestji żydowskiej w Polsce, choćby dlatego, że odbiegłbym od czysto sprawozdawczego celu niniejszego szkicu. Wracam więc jeszcze do Belloc'a. Cokolwiek można powiedzieć o jego praktycznych wskazaniach, udowodnił on mojem zdaniem ponad wszelką wątpliwość nicość „liberalnej fikcji“ i odrębność żydowską, zwrócił uwagę na konieczność szczerej i otwartej dyskusji i szybkiego działania, stwierdził wreszcie, że punktem wyjścia tego działania musi być odrębność żydowska.

Książka nie znalazła dobrego przyjęcia. Autora spotkał los, który on sam sobie mimowoli przepowiedział, mówiąc, że „nazywano antysemitą każdego, kto Żyda nazwał Żydem“.

Najbardziej znaną odpowiedź ogłosił W. R. Inge, dziekan kościoła św. Pawła.

Każdoczesny dziekan londyńskiej katedry protestanckiej jest już z racji swego stanowiska wielką figurą, a Inge, znany z licznych pism teologicznych, społecznych i innych oraz z publicznych odczytów i przemówień, cieszy się szczególną popularnością. Czy sam wpadł na myśl polemiki, czy mu ktoś tę myśl podsunął, niewiadomo. Artykuł swój ogłosił w *Evening Standard*, potem w *Jewish Guardian*, wreszcie w małej broszurce, sprzedawanej po 1 pensie ($\frac{1}{240}$ części funta st.). Ta niska cena, zapewne nie pokrywająca kosztów druku, wskazywałaby na pokrycie ich przez kogoś w celach agitacyjnych.

Inge zarzucił Bellocowi uprzedzenie i niechęć rasową. Wypomniał mu stanowisko w sprawie Dreyfusa. Wreszcie wytoczył przeciw niemu najcięższe działo, zdolne zwłaszcza w Anglii zniszczyć jednym strzałem najsilniejszą pozycję: Belloc bierze sprawę po kontynentalnemu. My w Anglii nic nie wiemy o takiej kwestji. Sądzymy, że każdy kraj ma Żydów, na jakich zasługuje. My „i zasłużyliśmy na najlepszych i mamy najlepszych“.

Dalej, jakby dla stwierdzenia zgodnie z Bellociem protestanckiej słabości do Żydów, mówi dziekan: „Jest luką w książce p. Belloca, że nic nie mówi o religijnej stronie kwestji. Wszakże Chrystus był Żydem!“ (Argument wart argumentu prymitywnych antysemitów „Wszakże Żydzi ukrzyżowali Chrystusa“, na który Mickiewicz kazał odpowiedzieć Żydom jakiegoś litewskiego miasta: „To nie my, to miński kahał“).

Potem urządza Inge wycieczkę antykatolicką: „Katolicy byli w naszej historii daleko kłopotliwsi obywatelami, niż Żydzi“. (Analogja, trzeba zaznaczyć, jest zgruntu fałszywa i ilości niewspółmierne, ponieważ katolicy stanowili żywioł miejscowy.) Wedle Żydów ich wygnanie za Edwarda I

nastąpiło za sprawą „papieskich kupców i papieskich lichwiarzy“, którzy „zajęli ich miejsce“.

Natomiast w poglądzie na udział Żydów w rosyjskim przewrocie bolszewickim Inge zbliża się do poglądów Belloca. Zamach Lenina i Trockiego przygotowywał się w Niemczech. Dziekanowi nasuwa się wobec tego pytanie: Czy prawdopodobne, że rząd niemiecki użył niemieckich i rosyjskich Żydów, którzy dzięki swym zdolnościom i kosmopolityzmowi są do użycia w każdym międzynarodowym ruchu? „Wydaje mi się to prawdopodobnym z następującego powodu: Niemiecki kapitał przemysłowy jest głównie żydowski, rosyjski kapitał przemysłowy (ile go tam było) był głównie rosyjski“.

Oddawszy tym sposobem Bellocowi przez rozwinięcie jego zapatrywania na rewolucję bolszewicką lekki komplement, dziekan rzuca mu na zakończenie zdanie: „Zarozumiałość rasowa (*race-consciousness*) jest dość naiwną (*silly*) rzeczą“. Nie trzeba chyba po podaniu treści broszury zaznaczać, w kogo ta strzała trafia.

Nie od rzeczy będzie tu skreślić dalszy stosunek Inge'a do kwestji żydowskiej. Zdaje się, że poglądy jego uległy pewnej ewolucji. Będąc z wiosną r. 1925 w Ameryce, przyrzekał się olbrzymiemu skupieniu Żydów w Nowym Yorku i tygiel Zangwilla wydał mu się widocznie podejrzanym, gdyż powiedział w publicznym odczycie, wygłoszonym w tem mieście, rzecz zgoła niespodziewaną:

Sądzę, że Żydzi powinni odbudować świątynię Salomona nie w Jeruzolimie, lecz tu. Jest ich tu bowiem najwięcej i najwięcej mają chrześcijan do strzyżenia (*to fleece*).

Zrobił się naturalnie huczek w prasie — i dziekan poszedł do Kanossy. W kilka tygodni potem odbywał się w Londynie odczyt Filipa Guedalla p. t. „Napoleon a Palestyna“. Przewodniczył i zagajał Zangwill, który z zadowoleniem oznajmił publiczności, że wystosował do Inge'a list z wy-

mówkami i otrzymał odpowiedź z zapewnieniem, iż owe słowa, wypowiedziane w New Yorku, były tylko żartem. Na dowód odczytał cały ustęp z listu dziekana.

Złośliwi widzieli w tem znak widomy faktu, że w obecnej Anglii bez poparcia Żydów nie można zostać nawet i biskupem. Zdaje się jednak, że dziekan powodował się raczej obawą, aby nie zarzucono mu niekonsekwencji.

k. 1236/53



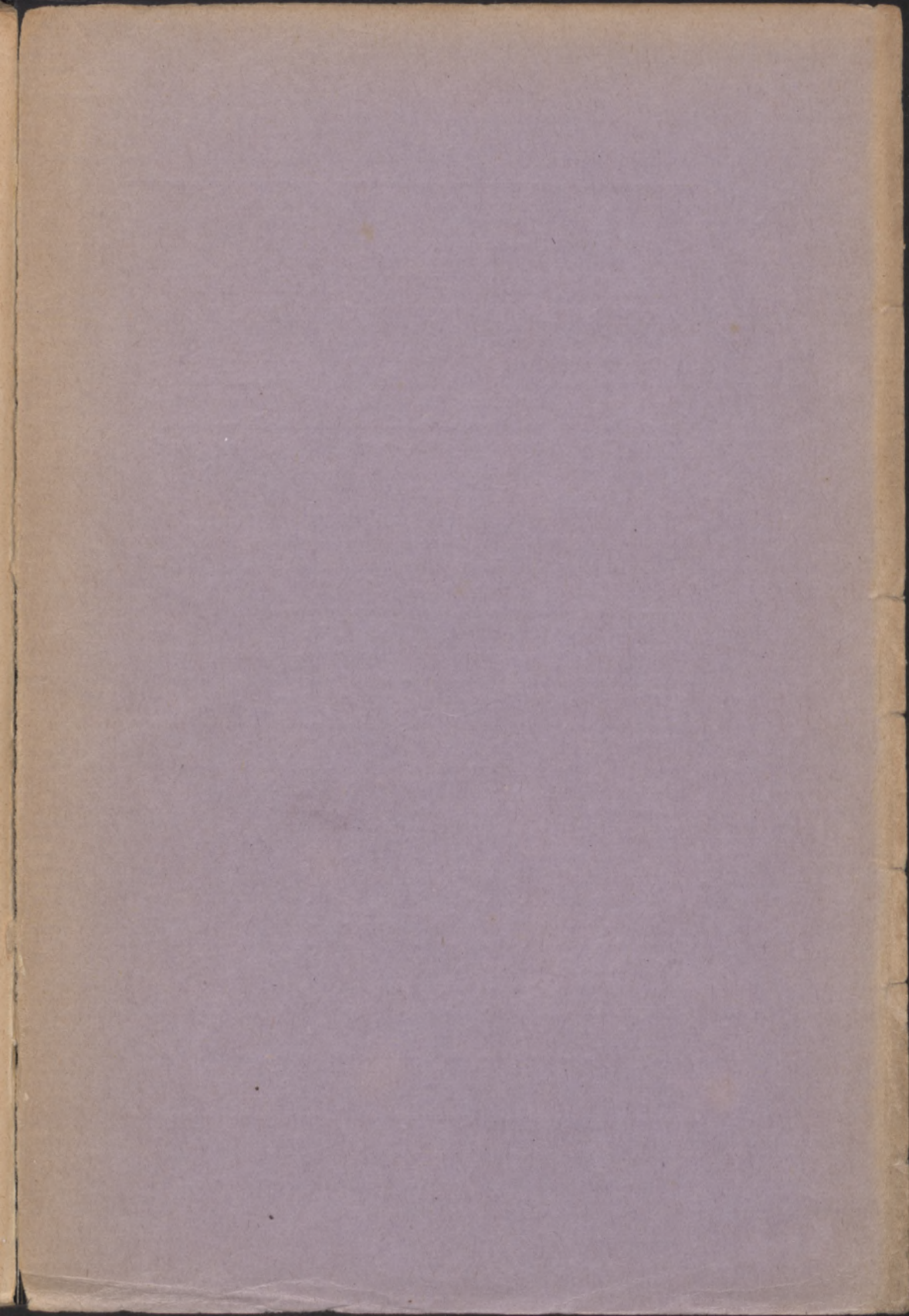
Biblioteka Główna UMK



300052022140

SPIS RZECZY

	Strona
Charakter Anglików	1
„Dynaści“ Tomasza Hardy	130
Grupy społeczne w dzisiejszej beletryście angielskiej	222
Dwie ostatnie sztuki Shaw'a	378
Kwestja żydowska w Anglii	416





WYDAWNICTWO

ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE, UL. OSSOLIŃSKICH 11, TEL. Nr. 168

Lwów, Główna Ekspedycja, ul. Kalecza 5, tel. 1222. — Lwów, Księgarnia własna pl. Halicki 12 a, tel. Nr. 3269 — Kraków, Filja Wydawnictwa, ul. św. Anny 11, tel. Nr. 3527. — Warszawa, Księgarnia własna, ul. Nowy Świat 69, tel. Nr. 198-81. — Poznań, Skład główny, Księgarnia św. Wojciecha — Wilno, Skład główny, Księgarnia św. Wojciecha

POLECA NASTĘPUJĄCE NOWOŚCI:

- Aśwaghosza.** Wybrane pieśni epiczne. Przekład z sanskrytu
Andrzeja Gawrońskiego (Biblioteka Wschodu Nr. 2.) 3.—
- Badecki K. Dr.:** Literatura mieszczańska w Polsce XVII w. 60.—
— Niedrukowane pierwodruki literatury mieszczańskiej
w Polsce XVII w. 6.—
- Bernacki L.:** Teatr, dramaty i muzyka za czasów Stanisława
Augusta. Z 68 podobiznami. 2 tomy 60.—
- Brückner A.:** Historia literatury rosyjskiej. 2 tomy 16.—
- Chłędowski J.:** Siena. Wyd. II z 66 ilustr. (opr. płóc.) 12.—
- Czernowa A. L.:** Antologia nowej liryki francuskiej 6.—
- Czerny Z. Dr.:** Współczesna wymowa francuska (z 4 tabl.) 10.—
- Homer:** Odyseja (Tłum. J. Wittlina) 7:50
- Kallenbach J.:** Adam Mickiewicz. Wyd. IV. 2 tomy 16.—
- Kowalski T.:** Turcja powojenna (z 39 ryc.) (Biblioteka
Wschodu Nr. 1) 8.—
- Kutrzeba S.:** Historia źródeł dawnego prawa polskiego. T. I. 7:40
— Tom II. 10.—
- Piniński L.:** Shakespeare. Część I. 10.—
— Część II. 12.—
- Polakiewicz S. Dr.:** Igrzyska VIII Olimpiady w Paryżu 1924
(Biblioteka wychowania fizycznego i sportu T. II.) 28.—
- Smogorzewski Z. Prof.:** Źródła abadyckie do historii islamu
(w zarysie) 5.—
- Strycharski I.:** Proza włoska XIX wieku w wyjątkach 2:32